

*Spisek, tajemnicza sekta i walka o władzę.
Wyjątkowa powieść o starożytnym Rzymie.*

NIEZWYCIĘŻONY

ANDREA FREDIANI

Ponad 800 000 sprzedanych egzemplarzy!

Andrea Frediani

Niezwyciężony

Tłumaczenie: Luiza Wyganowska



Tytuł oryginału: *Gli invincibili. Alla conquista del potere*

Outsourcing wydawniczy – Roboto Translation

Tłumaczenie: Luiza Wyganowska

Redakcja i korekta: Marta Muszel

Skład: Jacek Goliatowski

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński

Copyright © 2013 Newton Compton editori s.r.l.

Zdjęcie na okładce © oscar_killo / Istockphoto.com, © Enrico Fianchini / Istockphoto.com, © bjones27 / Istockphoto.com

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal 2014

Wydanie I

Warszawa 2014



GRUPA WYDAWNICZA

Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.

ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

e-mail: biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-7881-463-4

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

i Krzysztof Talarek / Virtualo Sp. z o.o.

I

Cezar nie żyje. Wiadomość, jaką przekazał Lucjusz Pinariusz, wprowadzony przed chwilą przez niewolnika, przeszła lodowatym chłodem jego kuzynkę Oktawię. Kobieta wypuściła z rąk małą Klaudię Marcellę. Dziewczynka upadła na ziemię, a z ust matki wydobył się tak okropny krzyk, że bez trudu zdołał zagłuszyć płacz dziecka. Na szczęście Oktawia, drobna i niewielkiego wzrostu, poczuwszy drżenie kolan, wcześniej się schyliła, więc córeczka upadła z niewielkiej wysokości. Płakała bardziej ze strachu niż z bólu, jednak matka była przerażona. Pochyliła się i ostrożnie wzięła ją na ręce. Wtedy podbiegła do niej z pomocą oddana służka Etain.

Kiedy Oktawia zrozumiała, że Marcelli nic się nie stało, podała ją swej pomocnicy i ponownie spojrzała na kuzyna. W jej oczach kipiał gniew.

— Twoje żarty są w złym guście. Wiesz dobrze, jak łatwo mnie wystraszyć.

— Chciałbym, żeby to był żart, droga kuzynko — odpowiedział wyraźnie zmieszany Pinariusz. Był starszy od niej o parę dobrych lat, a jednak sprawiał wrażenie młodszego, choć to raczej dwudziestopięcioletnia Oktawia wyglądała poważniej niż jej rówieśnice.

Powtórzył, sylabizując niemal każde słowo:

— Juliusz Cezar, nasz kuzyn, dyktator, został zamordowany przed godziną, może niecałą, w Kurii Pompejusza podczas obrad senatu. Czy nie słyszysz krzyków na drodze?

Ponownie ugięły się pod nią nogi. Poczula, że musi usiąść. Chwyliła krzesło za podłokietnik, przyciągnęła je do siebie i oparła się na nim, nie odrywając wzroku od kuzyna. Zaczęła przysłuchiwać się odgłosom dobiegającym spod jej domu na Awentynie. Istotnie, to były krzyki.

— Kto? Kto go zabił?! — zapytała przerażona.

— Musiałbym wymienić cały szereg imion. Należących do ważnych osób. Do senatorów. Z pewnością było ich wielu. Pozostali się przyglądali.

— Wymień jakieś!

— Nie mam śmiałości. To wszystko wydaje mi się tak niewiarygodne, że wciąż nie mogę pojąć, iż mogli to być oni. Nie chcę wysuwać niesprawiedliwych oskarżeń wobec ludzi, którym po wojnie domowej Cezar

wybaczył, których nagroził i wyniósł na najwyższe stanowiska w państwie.
— Pinariusz wydawał się zmieszany.

Oktawia się zawahała. Rzeczywistość wciąż do niej nie docierała, chociaż krzyki na zewnątrz wzmagaly się, niczym na potwierdzenie, że stało się coś bardzo ważnego.

— Może nie umarł. W takich sytuacjach plotki roznoszą się szybko i z ust do ust przybierają na sile — usiłowała sobie tłumaczyć. — Może to tylko nieudany zamach...

Zmartwiony Pinariusz potrząsnął przecząco głową.

— Wielu ugodziło go mieczem, kuzynko. To jedyne, czego możemy być pewni. Mówi się, że jego zwłoki leżą w kałuży krwi, porzucone w atrium Kurii, u stóp posągu Pompejusza Wielkiego. Jeśli to prawda, nie ma szans, by przeżył. Teraz musimy się skupić na tym, jakie my mamy szanse... na przeżycie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — wyszeptała.

Wtem rozległ się łomot, który zatrzęsł murami.

— Śmierć zwolennikom tyrana! Śmierć jego krewnym!

Dobiegające z zewnątrz złowrogie groźby sprawiły, że kobieta znowu zdrząła. Instynktownie wyciągnęła ręce w kierunku Etain, dając jej do zrozumienia, że chce z powrotem dziewczynkę, która nie przestawała płakać.

— Czy słyszysz ich? Myślisz, że mieliby odwagę wyjść na ulice, gdyby Cezar był żywy? — powiedział Pinariusz. — Teraz wszyscy przeciwni jego władzy, którzy wcześniej nie śmieli się zbuntować w obawie przed represjami, dadzą upust swojemu niezadowoleniu. A jeśli jest prawdą, że zabili go najbliżsi współpracownicy, nie pozostał nikt, kto mógłby wstawić się za jego rodziną. *Nikt*. To w nas w pierwszej kolejności uderzą ci tchórze, których Cezar trzymał na powrozie swojej władzy. Musimy uciekać.

— Moja matka... — wymamrotała Oktawia, niezdolna do działania. Taka reakcja była u niej częsta.

— Kwintus Pediusz udał się do Atii. Był świadkiem mordu, razem z senatorami. Wysłał niewolnika, aby mnie ostrzec. Ja postanowiłem uprzedzić cię osobiście. Wiedziałem, że nie uwierzysz niewolnikowi. Wraz z żoną Cezara stanowiliśmy jego najbliższą rodzinę. Jesteśmy więc najbardziej narażeni, przynajmniej dopóki sytuacja polityczna się nie wyklaruje. Ryzykujemy bardziej niż inni. Na szczęście twój brat przebywa w Ilirii, więc nie dotrą do niego.

Oktawia chciała się podnieść z krzesła, na które wcześniej ciężko opadła. Chciała biec i mobilizować niewolników, kazać szykować powóz, jechać przynajmniej do rodzinnej willi w Velletri, aby zapewnić sobie minimum bezpieczeństwa. Trzymały ją jednak niewidzialne więzy. Kobietę dopadła dobrze jej znana niemoc, która naznaczyła całe jej dotychczasowe istnienie. Jej natura popychała ją ku rozwiązaniu, które zawsze zwykła wybierać: czekać na działanie innych.

— Mój mąż nie pozwoli, aby cokolwiek złego nam się stało. — Ostatecznie tylko tyle zdołała powiedzieć swemu kuzynowi.

— Jesteś tego pewna? — spytał Pinariusz. — Marek Klaudiusz Marcellus z pewnością był dzisiaj w senacie, a nigdy nie należał do zwolenników Cezara. W czasie wojen domowych został ułaskawiony przez dyktatora i być może nie jest jednym z morderców, niemniej należy z pewnością do tych, którzy nie kryją teraz zadowolenia. Dowodem jest choćby to, że nie wrócił jeszcze do domu. Czyż nie powinien martwić się o swą rodzinę bardziej niż o cokolwiek innego?

— Sugerujesz, że przyłączył się do wściekłego tłumu?

— Oczywiście, że nie. Ale nawet jeśli nie bierze w tym udziału, może nie być w stanie zareagować, jeśli zwrócą się przeciwko nam. Nie możemy być teraz niczego pewni. Cezar był dla Rzymu wszystkim i każdy Rzymianin, nawet najznamienitszy, mógł żyć jedynie w jego cieniu. Dzisiaj dla wszystkich otworzyła się droga do władzy.

— Jak sądzisz, co się będzie działo?

Pinariusz odezwał się po chwili wahania.

— Nikt nie może tego przewidzieć. Najpierw musimy odkryć, kto naprawdę uczestniczył w spisku, a także na jakie wsparcie konspiratorzy mogą liczyć wśród narodu i w senacie. Krążą pogłoski, jakoby chępnili się, że dokonali tego, by przywrócić pełnię władzy republikańskiej, ale wątpię, by Republika mogła odzyskać dawną świetność po tylu latach ukrytej monarchii, ze stanowiskami obsadzonymi na kolejnych pięć lat. Za dużo wokół ambitnych ludzi, zbyt wielu tych, którzy sądzą, iż mogą iść śladem Cezara. W tej sytuacji nie można się łudzić, że znowu będzie tak, jak było niegdyś, zanim nastąpiły jego rządy. Sądzę, że wiele zależy od tego, jakie kroki podejmie Marek Antoniusz. Mimo że w ostatnim czasie wiele stracił w oczach dyktatora, nadal piastuje wszak stanowisko konsula i cieszy się największym autorytetem spośród wszystkich wysoko postawionych

urzędników. Trzeba również zobaczyć, jaki wpływ na wydarzenia będzie miał Cynceron. Podobnie twój mąż: nawet jeśli nie uczestniczył w zamachu stanu, z pewnością widzi w nim swoją korzyść i bez wątpienia będzie walczył o przywrócenie Republiki. Poza tym nie wszyscy cezarianie zdradzili wodza. Nie umiem w tej chwili powiedzieć ilu ani którzy, ale sądzę, że jest wśród nich *magister equitum*¹ Lepidus, konsulowie mianowani, Hircjusz i Pansa, ich przyjaciel, Azyniusz Pollion, oraz ich zamożni poplecznicy, tacy jak Korneliusz Balbus. Co zrobią? Boisz się, prawda? Ja także. Obawiam się, że Rzym jeszcze długo nie zazna spokoju...

— Ale dlaczego, dlaczego? — Oktawia nic nie rozumiała.— Cezar pokazał, że potrafi być naprawdę łaskawy. I byłby nadal, ze względu na wojnę przeciw Partom i Getom. Dlaczego więc to zrobili?

— Dlaczego? Mówi się, że zginął, ponieważ chciał zostać królem, a Rzym nie może tolerować monarchii. Zbyt długo z nią walczyliśmy, by teraz się na nią godzić. Według mnie jednak każdy, kto przystąpił do spisku, widział w morderstwie Cezara swą korzyść... lub odczuwał jego istnienie jako swego rodzaju szkodę — oświadczył poważnie Pinariusz.

Głośniejszy niż dotąd hałas zwrócił uwagę rozmówców. Z przedsonka dobiegały ich podniecone głosy. Gdydo środka weszli ludzie, Oktawia chwyciła córkę i przytuliła ją do siebie. Zawsze unikała przemocy, a nawet jakichkolwiek nieporozumień. Była uważana za najbardziej uległą spośród skromnych matron stojących u boku senatorów Wiecznego Miasta. Nie lubiła się nikomu sprzeciwiać, bez względu na to, czy tym kimś był członek rodziny, znajomy, czy też zupełnie obcy człowiek. Bardzo liczyła się z opinią innych osób. Przywiązywała ogromną wagę do dobrych manier i dbała o dobre stosunki z ludźmi. Wystarczyła błałostka, by wytrącić ją z równowagi. Tak więc teraz, kiedy ona i jej najbliżsi znajdowali się w niebezpieczeństwie, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej, była przekonana, że nie udźwignie takiego ciężaru.

Poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma, i wybuchła płaczem. Jej łzy spływały po buzi córeczki, która także zaczęła szlochać. Oktawia nienawidziła samej siebie za to, że nie potrafiła zachowywać się właściwie przed kuzynem i niewolnikami. Jeżeli przyszli ją zabić, powinna pokazać, że jest godna swych przodków, a następnie umrzeć jak prawdziwa rzymska kobieta, jak jedna z rodu Juliuszów, do którego należała. Postanowiła, że przede wszystkim, gdy tam wejdą, muszą ją zastać stojącą, z wypiętą piersią

i podniesionym czołem. Otarłszy łzy brzegiem palli, usiłowała się podnieść. Jakaś potężna siła przytrzymała ją jednak na krześle. Tymczasem hałas w domu się nasilał. Rozległ się odgłos metalu, stukot podkutych butów na pięknej marmurowej posadzce zdobiącej *domum*, szcęk mieczy uderzających o nagolenniki żołnierzy.

Żołnierze? Oktawia poczuła dreszcz paniki przebiegający po plecach.

Gladiatorzy. *Clivus capitolinus* – droga prowadząca na Kapitol – była ich pełna. „To ludzie Decymusa BrutusaAlbinusa” — pomyślał Gajusz Cilniusz Mecenas, zerkając to na krzepkich bojowników, to na niosących jego lektykę muskularnych tragarzy, którzy trzęśli się ze strachu na widok tego, czego byli świadkami. Prawdę mówiąc, on sam odczuwał strach. Nigdy zresztą nie cieszył się opinią nieuleknionego męża. Przybył tu ze swego rodzinnego Arezzo, by osobiście doprowadzić do końca pewną delikatną transakcję handlową. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że jest świadkiem buntu... lub, co gorsza, wojny domowej.

Wszyscy dookoła mówili, że Cezar nie żyje, a jego zabójcy, najznamienitsi senatorowie, chodzili po ulicach Rzymu, chełpiąc się swym czynem. Twierdzili, że zabili tyrana w imię wolności. Chociaż Mecenas nie był senatorem, a jedynie zwykłym ekwitą, jego majątek i powiązania handlowe z wielkimi właścicielami ziemskimi zasiadającymi w senacie sprawiły, iż rozumiał, jak bardzo obalony właśnie reżim dawał się we znaki pewnym kręgom finansowym. Był to zatem raczej wynik porachunków niż ukłon w stronę obywateli! Panowanie Cezara stanowiło dużą przeszkodę dla możnowładców, a nie dla szarego ludu, który – wręcz przeciwnie – czerpał ogromne korzyści z reform przeprowadzonych przez dyktatora oraz z pokoju, do którego doprowadził. Tłum był jednak niestały. Wystarczył jeden naganiacz, by zmienić jego nastawienie i nakłonić go do poparcia zabójców. Nieważne, kim byli. Ludzie na ulicach tworzyli teraz grupy uzbrojone w pałki i kamienie. Szukali senatorów, których powołał Cezar. Szukali Marka Antoniusza i jego zwolenników, jednym słowem – tych wszystkich, którzy stanowili podporę reżimu. Tak samo liczni byli jednak zwolennicy cezarian, oplakujący dyktatora i przeczesujący miasto w poszukiwaniu senatorów, którzy dopuścili się mordu na nim, ale także tych, którzy biernie przyglądali się wydarzeniom. Nie mogąc rozróżnić zwolenników Cezara od

jego wrogów i morderców, bez sentymentów i bez wahania atakowali każdego, kto nosił *tunicam laticlaviam*.

On także mógł się czuć zagrożony. Wprawdzie jego ubiór nie wskazywał na to, że jest senatorem, jednak przepych, jakim lubił się otaczać, mógł narazić go na nienawiść ludu. Lektyka z subtelnie inkrustowanym baldachimem, wykonana z drewna zdobionego szlachetnymi kamieniami, przykuwała uwagę. Zazwyczaj obnoszenie się z bogactwem sprawiało mu przyjemność, tym razem marzył, by przemknąć się niezauważonym.

Ludność była wzburzona. Nie dało się powiedzieć, kto cieszy się ze śmierci dyktatora, a kto pragnie zemsty na jego mordercach. Mecenasa widział ludzi, którzy okładali się ze wszystkich sił, widział członków przeciwnych ugrupowań znieważających się nawzajem, widział obywateli, którzy wdrapywali się na posągi zamordowanego dyktatora, by powalić je, gdy w tym samym czasie inni usiłowali im przeszkodzić. Widział grupy osób, które wywracały wozy towarowe z zezwoleniem na jazdę po ulicach po zapadnięciu zmroku, prawdopodobnie z zamiarem ich wykorzystania, by w chaosie, jaki zapanował po zbrodni, swobodnie plądrować miasto. Obiektem ataków tych rozszalałych band stały się również warsztaty rzemieślnicze. Młody Etrusk miał podstawy, by przypuszczać, że powodem tych napaści nie była żadna polityka.

I co robili gladiatorzy na Kapitolu? Byli niewolnikami, a mimo to chodzili wszędzie uzbrojeni niczym żołnierze. Mecenasa wiedział, że ludzie ci należą do Decymusa Brutusa Albinusa, ponieważ parę godzin wcześniej, rankiem, mieli uczestniczyć w igrzyskach w Cyrku Flaminiusza – zostali ofiarowani przez swego pana z okazji uroczystego pożegnania Cezara, który wyruszał na wojnę z Partami.

Do Rzymu kupiec przybył, by sfinalizować pewną transakcję z senatorem Markiem Klaudiuszem Marcellusem. Mieli się spotkać w Cyrku Flaminiusza i tam, zgodnie z pisemnymi ustaleniami, omówić ostateczne szczegóły dotyczące sprzedaży willi Cuma w Kampanii, której senator miał się pozbyć na rzecz Mecenasa. Pewne trudności sprawiły jednak, że Etrusk spóźnił się kilka godzin na umówione spotkanie i wysłał niewolnika, któremu polecił powiadomić Marcellusa, że spotkają się na Forum po *ludis* i po zamknięciu posiedzenia senatu. Posiedzenia, które dla Cezara miało się zakończyć tragicznie.

Teraz nie było mowy o szukaniu Marcellusa na Forum. Na ulicach zrobiło

się zbyt niebezpiecznie.

— Trzeba się było skryć w jednej z miejskich posiadłości — powiedział do siebie Mecenas — i tam zaczekać, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Albo przynajmniej dopóki nie wyjaśni się, kto zabił Cezara i co zamierzają robić pozostali.

Dostrzegł *Vicum unguentarium* – drogę prowadzącą do Awentynu, gdzie znajdował się jego najokazalszy rzymski *domus*. Trakt zagradzała grupa demonstrantów, którzy właśnie podpálili jeden z budynków. Rozglądali się wokół i Mecenas odniósł wrażenie, jakby szukali kogoś, kogo mogliby dla rozrywki rzucić w ogień, by patrzeć, jak piecze się na stosie.

Dotarło do niego, że go zauważyli. Krzyknął do swych tragarzy, aby szli szybciej w stronę *Clivi capitolini*, chciał bowiem znaleźć się jak najbliżej gladiatorów. Miał nadzieję, że ich ponure oblicza odstraszą rozjuszoną gawieź. Niewolnikom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ich kondycja robiła wrażenie. Przyspieszyli kroku i zaczęli wchodzić pod górę. Mecenas wychylił się odrobinę zza zasłony i dostrzegł, że demonstranci nie dają za wygraną. Jeden z nich podniósł nawet kamień i rzucił w ich stronę, nieomal trafiając w tragarza. Na szczęście tylne straże z jednostki gladiatorów były już bardzo blisko. Odległość dzieląca je od wicherzycieli zmniejszyła się. Buntownicy zwolnili, aż w końcu stanęli w miejscu.

To był najlepszy moment, by działać. Mecenas dał znak swym ludziom, by szli za wojownikami. Musieli ponownie wspiąć się na wzgórze. Nie było to do końca zgodne z jego planem, ale skoro chciał ująć cało, nie miał wyboru.

Po wejściu na górę zobaczył chaos.

Na trójkątnym placu wytyczonym przez świątynię Jowisza Kapitolińskiego, tabularium i Skałę Tarpejską tłoczyli się ludzie. Odnosiło się wrażenie, że spotkał się tam cały Rzym. Porządek pozornie starali się utrzymywać gladiatorzy i kilka oddziałów żołnierzy, ale sytuacja w każdej chwili mogła się wymknąć spod kontroli. Pośród niezliczonych świątyń, którymi usiane było wzgórze, posągów oraz kolumn kłębiły się różne klasy społeczne. Senatorów było niewiele i od razu rzucali się w oczy, ponieważ otaczali ich uzbrojeni strażnicy.

Uwagę Mecenasa przykuło coś, co dostrzegł u stóp głównej świątyni poświęconej Jowiszowi Kapitolińskiemu. Stojący tam optymaci, w togach splamionych krwią, starali się przemówić do tłumu. Ogromny zgiełk panujący na placu sprawiał jednak, że tylko osoby stojące w pierwszych

rzędach mogły cokolwiek usłyszeć. Mecenas poczuł przez chwilę ulgę. Prawdopodobnie w żadnym innym miejscu w Rzymie nie było teraz tylu porządkowych, ilu zgromadziło się właśnie tutaj. W razie niebezpieczeństwa mógł zatem liczyć na swoistą ochronę.

Pomyślał, że nareszcie uda mu się w jakiś sposób ogarnąć to, czego był świadkiem, i zrozumieć, kim są ludzie stojący u stóp świątyni. Dostęp do informacji, czy to w interesach, czy w codziennym życiu, to najlepszy środek do osiągnięcia sukcesu. A on znał się na sukcesie jak mało kto. Nie była to wiedza urzędnika czy polityka ani zdobywcy czy przywódcy; było to doświadczenie człowieka interesu, który potrafił kupić wszystko i każdego.

Mecenas marzył, by stać się budowniczym. Nie zamierzał jednak wznosić budynków ani niczego równie materialnego. Pragnął być na tyle wpływowym, by móc budować życie innych ludzi lub przynajmniej nimi sterować. Marzył, aby mieć kontrolę nad ścieżkami, po których kroczy społeczeństwo i historia. Nie interesowała go chwała, sława ani popularność, a jedynie władza, do jakiej dochodzi się, dając innym poczucie zadowolenia. Nie było mowy o żadnym altruizmie, nic z tych rzeczy. Miał na tyle silną osobowość, że nie odczuwał najmniejszej potrzeby ustawiania się w pierwszym rzędzie. Wystarczała mu świadomość bycia tym, dzięki któremu wszystko działa tak, jak powinno; kimś, do kogo ludzie przychodzą, gdy pragną samorealizacji. Po raz pierwszy doświadczył tego uczucia, mając zaledwie dwanaście lat, kiedy jeszcze nosił *togampraetextam*. Podarował wtedy miejscowemu pastuszkowi cytrę, ujęty jego dźwięcznym śpiewem. Pastuszek odszedł szczęśliwy, Mecenas natomiast poczuł się niemal bogiem. Miał moc, która pozwoliła mu odmienić życie innej osoby. Spojrzenie obdarowanego chłopca mówiło mu, że stał się obiektem uwielbienia. Wiedział, że w zamian może go poprosić o cokolwiek i nie spotka się z odmową.

Tak więc informacje były podstawowym narzędziem dla kogoś, kto zamierzał dać ludziom to, czego potrzebują. Dzięki informacjom można było uprzedzać ich pragnienia i podawać im na srebrnej tacy spełnienie tych pragnień. Spojrzał badawczo przed siebie, usiłując zrozumieć, kim są ludzie przemawiający do tłumu. Ich zakrwawione szaty nie pozostawiały wątpliwości: byli to mordercy Cezara.

Zmrużył oczy, by wyostrzyć wzrok. Nie mógł uwierzyć, że to, co widzi, dzieje się naprawdę.

Marek Wipsaniusz Agrypa wyszedł z obserwatorium. Jego twarz promieniała w uśmiechu. Astrolog Teagenes przepowiedział mu przyszłość usianą sukcesami przerastającymi wszelkie marzenia, o jakie mógłby się pokusić w obecnej sytuacji. Co więcej, starzec mówił mu o zwycięstwach znacznie przewyższających te, które osiągnął dotychczas jakikolwiek Rzymianin chodzący po tej ziemi.

Gajusz Oktawian i Kwintus Salwidienus Rufus wciąż czekali na swą kolej przed budynkiem, w cieniu góry, której szczyt wznosił się nad Apolonią. Od razu dostrzegli zmianę nastroju swego przyjaciela. Gdy wchodził do środka, był niespokojny. Obawiał się tego, co może usłyszeć o swojej przyszłości. Teraz na jego twarzy widzieli triumf.

— Co znalazłeś w środku? Tłum nagich dziewcząt, które dały z siebie wszystko, by cię uszczęśliwić? Z tego, co mi wiadomo, miał tam siedzieć tylko pewien starzec... — powiedział Salwidienus Rufus, którego Agrypa i Oktawian poznali właśnie w Apolonii i wkrótce znaleźli w nim prawdziwego przyjaciela.

— Nawet stado nagich dziewcząt nie byłoby w stanie uczynić ze mnie tak szczęśliwego człowieka. Zapewniam cię! — oznajmił, z trudem utrzymując równowagę na skalistym zboczu, tym bardziej że masywna sylwetka nie czyniła zeń szczególnie zgrabnej osoby.

— Dobre wieści na nadchodzące lata? — zapytał Oktawian. Jego bystry umysł w mig pojął przyczynę tego zadowolenia. Agrypa wiedział, że przyjaciel nie da się zwodzić.

— Bez wątpienia! — wykrzyknął. — Gdyby Teagenes nie cieszył się tak wielkim szacunkiem i poważaniem wśród wszystkich narodów, ośmieliłbym się twierdzić, że ze mnie zakpił!

— Uff... Cóż zatem ci powiedział? — zaśmiał się Rufus.— Może to, że będziesz nowym dyktatorem Rzymu, drugim po Cezarze?

Agrypa nigdy nie patrzył na to w ten sposób i na moment się zachmurzył. Jakże mógłby wyobrazić sobie siebie jako następcę pana Rzymu? Na samą myśl o tym nogi zaczynały drżeć, nawet tak ambitnemu człowiekowi jak on.

— Można tak to ująć... tak — odburknął niemrawo, nieco zawstydzony. Zauważył, że Oktawian jest bardzo poruszony jego odpowiedzią. Zastanawiał się, czy nie powinien był zachować dla siebie treści przepowiedni. Stało się

już jednak, co się miało stać. Jego przyjaciela, patrycjusza należącego do jednego z najbardziej znaczących i najstarszych rodów Rzymu, czekała świetlana przyszłość, było więc zrozumiałe, że nie życzy sobie, by nisko urodzony człowiek, taki jak Agrypa, aspirował do nieosiągalnej dla siebie roli.

— Nie ma wątpliwości. Zakpił sobie z ciebie — potwierdził Rufus. — Tylko pomyśl, jak ubogi nędznik twojego pokroju miałby dojść do tego, co osiągnął Juliusz Cezar...

— Niezupełnie to miałem na myśli — wymamrotał zmieszany Agrypa. Mówiąc to, spojrzął ukradkiem w stronę Oktawiana, by zobaczyć jego reakcję. Jego wzrok go niepokoił.

— Teagenes zawsze potrafi nas rozszyfrować. Jest z tego znany — odparł Oktawian bezbarwnym głosem, patrząc tępo w dal. — Po to właśnie tu przyszliśmy.

— To niemożliwe... Co dokładnie powiedział? I co pozwoliło mu tak twierdzić? — Rufus nie dawał za wygraną.

Agrypa spojrzął na Oktawiana. Często robił tak, zanim przeszedł do działania. Choć przyjaźnili się od dziecka, nigdy nie zapominał, że dzielili ich status i klasa społeczna, z której pochodzili. Ojciec powtarzał mu zawsze, że przyjaźń ze szlachetnie urodzonym nie daje plebejuszowi prawa do lekceważenia hierarchii. Nieustannie musi mieć na uwadze, że wodzem jest Oktawian, on zaś ma za zadanie jedynie podążać za nim, nawet wtedy, gdy wydaje mu się, iż mógłby go wyprzedzić. *Jeden krok za nim. Zawsze jeden krok za nim.*

Z drugiej strony w ten sposób udało mu się w wieku niespełna dziewiętnastu lat dojść do rangi oficera w armii, która przygotowywała się do przeprowadzenia jednej z największych kampanii wojennych w historii Rzymu – podboju królestwa Partii i Dacji.

Odezwał się dopiero wtedy, gdy przyjaciel udzielił mu głosu.

— Podaję ci swoją datę urodzenia, to wszystko. Przeglądał potem jakieś mapy, na których były wyrysowane gwiazdy, a następnie powiedział mi o wielu rzeczach. Że zostanę wielkim zdobywcą, zwyciężę we wszystkich bitwach, że pozostawię Wieczne Miasto bogatsze w budynki i udogodnienia, a Rzym zyska dzięki mnie moc i chwałę, i że obejmę wszystkie wysokie stanowiska w Republice. A moje potomstwo zajdzie jeszcze wyżej niż ja.

— No widzisz? Jak nic zgłupiał na starość! — oznajmił Rufus. — Albo

astrologia przestała być nauką ścisłą. Tak czy inaczej, szkoda naszego czasu. Skoro tobie przepowiedział takie rzeczy, mogę sobie wyobrazić, co powie siostrzeńcowi dyktatora i największego wodza... — dodał ironicznie i uniósł rękę, zachęcając Oktawiana, aby wszedł do budynku.

Zdaniem Agrypy młody oficer traktował znamienitego przyjaciela ze zbyt dużą poufałością i zbyt często zapominał, że Oktawian jest nie tylko bliskim krewnym dyktatora, ale także podczas kampanii piastuje funkcję *magistri equitum*, czyli jego bezpośredniego zastępcy. Poza tym Rufus nie był nawet patrycjuszem, a ich znajomość trwała raptem od zimy, którą spędzili razem w Apolonii. Cezar wysłał tam swego siostrzeńca i Agrypę, aby obaj przygotowali się do służby w legionach, te bowiem przekroczyły już morze, szykując się do wojny, najważniejszej od czasów starcia z Galią, które pozwoliło dyktatorowi stanąć w jednym szeregu z najznamienitszymi wodzami w historii. Nowa kampania ostatecznie wyniosłaby Cezara na piedestał, a każdy, kto by do niego dołączył, mógłby liczyć na ogromne korzyści, poczynając od najbliższego młodego krewnego, Oktawiana, oraz jego najlepszego przyjaciela. Obaj natychmiast utworzyli legion z Salwidienusem Rufusem, trybunem wojskowym z legionu Martia Victrix², w którym w tej samej randze służył również Agrypa. Jednak w odróżnieniu od nich dwóch Rufus, starszy zaledwie o trzy lata, miał już duże doświadczenie wojskowe, ponieważ służył jako rekrut pod rozkazami Cezara w czasie wojny w Hiszpanii. W rzeczywistości i oni brali udział w konflikcie iberyjskim, lecz tylko nominalnie. Z powodu choroby Oktawiana dotarli na półwysep dopiero w czasie, gdy pod Mundą trwała decydująca bitwa ze starszym synem Pompejusza Wielkiego, a ich wkład ograniczył się do uczestnictwa w najazdach i działaniach odwetowych.

Z drugiej strony Rufus zawsze chętnie opowiadał o tym, czego się dotąd nauczył, i hojnie dzielił się ze swymi przyjaciółmi dobrymi radami, czerpiąc z bogatego bagażu doświadczeń zdobytych na polu walki. Nie było tego wiele w porównaniu z tym, czego nauczali i wymagali centurioni poddający ich ciągłym, surowym musztróm (bez wątpienia zgodnie z wolą dyktatora), ale postawa Rufusa pomogła im przełamać początkową oschłość i scementowała przyjaźń, jaka zawiązała się między nimi już po pierwszym sezonie.

— Ja nie idę — odezwał się nagle Oktawian. Wstał i skierował się w stronę zbocza.

— Jakże to? — zawołał Rufus, chwytając go za ramię i usiłując zatrzymać.

Oktawian spojrział na swą rękę, a następnie, milcząc, przeniósł wiejące chłodem spojrzenie na przyjaciela. Ten zrozumiał, że posunął się za daleko i natychmiast puścił ramię, jakby poczuł oparzenie. Tymczasem Agrypa wzniósł oczy ku niebu. Musiało upłynąć jeszcze wiele wody, zanim Rufus zrozumie, jak należy postępować z Oktawianem.

— Dlaczego rezygnujesz? — zapytał trybun znacznie łagodniejszym tonem.

— Nie mam ochoty, po prostu — odparł wciąż chłodno młodzieniec.

Agrypa wiedział, że sprawa wymaga dużego taktu, a jako przyjaciel czuł się w obowiązku przynajmniej spróbować go przekonać.

— Powinniśmy wiedzieć, co szykuje dla ciebie przyszłość, Oktawianie — powiedział, podchodząc do niego. — Jesteś naszym wodzem. W najbliższych latach, za sprawą przychylności, jaką darzy cię twój znamienity wuj, zostaniesz także jednym z rzymskich dowódców. Dowiadując się, kim będziesz, gdy dojrzejesz, dowiemy się również, jaki los pisany jest Rzymowi na najbliższe dziesięciolecia...

Oktawian zmarkotniał i zamyślił się.

— A jeśli tak nie będzie? Jeśli bogowie przygotowali dla mnie nic nieznaczącą przyszłość?

Agrypa wiedział, do czego zmierza. Mówiąc „nic nieznacząca przyszłość” miał na myśli: „gorsza od twojej”. Tak, to byłoby niezręczne, ale stałoby się coś znacznie gorszego, gdyby nie rozwiązał swoich wątpliwości. Ich przyjaźń została wystawiona na ciężką próbę. Mogli ją stracić, na zawsze. Nie było odwrotu. Musiał pójść do Teagenesa. Ryzykowali wszystko, lecz i gra toczyła się o wszystko.

Zastanawiał się, czy Rufus zdaje sobie sprawę z tego, o jak wysoką stawkę chodzi w tej grze. Prawdopodobnie przeczuwał coś, ale nie był w stanie pojąć sedna. Agrypa i Oktawian przyjaźnili się całe życie. Było to możliwe przede wszystkim dlatego, że nigdy nie próbowali zmieniać porządku rzeczy. Teraz jednak, jeżeli nie wydarzy się nic, co pomoże na nowo ustalić hierarchię, koniec przyjaźni będzie nieunikniony. Mogli nawet stać się wrogami.

— Chcesz już do końca żyć z ciężarem niepewności? — dokończył Agrypa. Nie było czasu na owijanie w bawełnę. Wszak łączyła ich serdeczna przyjaźń. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas...

Oktawian milczał, a Rufus poczuł, że powinien się włączyć do rozmowy:

— Agrypa ma rację, mój drogi przyjacielu. Jeżeli chcesz być wodzem i jeżeli jest ci to pisane, musisz skorzystać z okazji, by otrzymać potwierdzenie, że twoje pragnienie jest słuszne.

Tak, trybun uchwycił z grubsza wagę problemu.

Oktawian pojął, że nie ma wyboru. Jeszcze przez parę chwil spoglądał na linię horyzontu, po czym wziął głęboki oddech i nie rzekłszy ani słowa, skierował się ku wejściu do obserwatorium astronomicznego. Jego towarzysze stali w ciszy i żaden z nich nie ośmielił się przerwać oczekiwania nawet jednym słowem. Obaj zdawali sobie sprawę z powagi chwili. Początkowa zwykła ciekawość przekształciła się w złowieszczą grę. Uratować mogło ich tylko jedno: zwycięstwo Oktawiana.

Agrypa, czekając na jego powrót, rozmyślał o tym, jak dziwnie potoczyły się ich losy. Zaledwie parę miesięcy wcześniej rozpoczęli najwspanialszą przygodę swojego życia. Przybyli tu, by wziąć udział w wydarzeniu, które na długo pozostanie w pamięci Rzymian. Cezar planował wziąć odwet za porażkę i śmierć swego przyjaciela, triumwira Krassusa, pod Carrhae, która miała miejsce dziewięć lat temu. Chciał odzyskać orły odebrane Rzymianom, zajmując królestwo Partii w Mezopotamii oraz tereny położone dalej. Nie zamierzał jednak na tym poprzestać. Zgodnie z planem miał następnie rozszerzyć hegemonię Republiki na cały obszar naddunajski, podbijając królestwo Getów i Daków. Dyktator przewidywał, że całe przedsięwzięcie może zająć pięć lat. Podjął odpowiednie kroki w Rzymie i na terytorium Italii, nawet w prowincjach. Zadbał o obsadzenie stanowisk magistrackich na cały ten okres, aby w czasie jego nieobecności państwo nie pogrążyło się w chaosie. Wyzaczył do tej funkcji swych najbliższych współpracowników, którzy nie brali udziału w kampanii wojennej. Pod jego nieobecność sprawami Republiki mieli się zajmować ludzie, którym ufał: Marek Juniusz Brutus, Gajusz Kasjusz Longinus, Gajusz Treboniusz, Decymus Brutus Albinus, Marek Antoniusz, Aulus Hircjusz, Wibiusz Pansa, Marek Emiliusz Lepidus i Azyniusz Pollion. Cezar powierzył im stanowiska konsulów i prokonsulów oraz zadbał, aby senat był posłuszny zaleceniom, które pozostawił, zanim wyruszył na wojnę.

A po upływie tych pięciu lat mieli wrócić wraz z Oktawianem do Rzymu, w blasku chwały, wciąż młodzi, dwudziestoczteroletni, by wejść na *cursi honorum*, który – jak mógł się teraz spodziewać – doprowadzi go na szczyty

władzy w Republice.

Stali właśnie u wrót tej przyszłości. Trwały idy marcowe, za trzy dni dyktator miał wyruszyć z Rzymu do Brundyzjum, aby tam wejść na pokład okrętu zmierzającego do wybrzeży Ilirii, gdzie oczekiwali go wraz z pozostałymi legionami gotowymi do wyprawy. Za około miesiąc ogromna armia powinna rozpocząć swój marsz na wschód, a na jej czele będą stać również oni.

Z zamyślenia wyrwał go hałas dobiegający z budynku. Spojrzał w tamtym kierunku i dostrzegł Oktawiana zbliżającego się wielkimi krokami do drzwi. Młody patrycjusz podszedł do swoich przyjaciół. Wyraz jego twarzy był, jak zwykle, nieodgadniony. Nawet Agrypa nie zdołał wyczytać z niej, co mogło teraz chodzić mu po głowie. Odruchowo zadał mu pytanie, ale wiedział, że jeśli przyjaciel nie zechce mówić, nie uda się nic z niego wyciągnąć.

— I jak? Podałeś mu datę swoich urodzin? — zapytał Agrypa łamiącym się głosem. Znał ją doskonale: 23 września. Teraz wyrzucał sobie, że nie wpadł na pomysł, aby zapytać o nią samego Teagenesa, kiedy jeszcze był w środku.

Oktawian skinął głową.

— I co? — naciskał Rufus, świadomy już tego, jak bardzo ich losy zależą od odpowiedzi Oktawiana.

Siostrzeniec dyktatora milczał przez krótką chwilę, a następnie odrzekł:

— Padł przede mną na kolana.

II

W imieniu *magistri equitum* Marka Emiliusza Lepidusa przejmuję kontrolę nad tym domem! — oznajmił uroczyście Gajusz Cherea, gdy przekraczał próg imponującej rezydencji Marka Klaudiusza Marcellusa, nie czekając nawet na to, by niewolnik zaanonsował go właścicielom.

Oddział żołnierzy pozostających pod jego rozkazami podążał za nim ze ślepym posłuszeństwem. Był młodym centurionem, ale potrafił zyskać posłuch, opierając się na doświadczeniu, jakie zdobył w legionach służących pod rozkazami Juliusza Cezara, i dyscyplinie, która cechowała od tego czasu wszelkie jego działania.

Nie obawiał się ostrej reakcji pana domu, chociaż wydawała się nieunikniona. Za wszelką cenę musiał chronić rodzinę Cezara.

Wykonywał rozkazy zastępcy zamordowanego przed kilkoma godzinami dyktatora. Teraz, kiedy zapanowała próżnia władzy, była to osoba pełniąca najważniejszą funkcję w państwie, w którym nie wiadomo, kto przejął stery. Konsulowie? *Magister equitum*? Senat? Pretorzy? Ci, którzy – jak mówiono – zabili dyktatora?

Nie koniec na tym. Jego gorliwość wynikała z całkiem prywatnych powodów. Z drugiej strony to właśnie on zasugerował dowódcy, iż należałoby zapewnić ochronę rodzinie Cezara. Wiedział bowiem, że wskutek chaosu, który zapanował wkrótce po morderstwie, oni pierwsi mogą paść ofiarą spirali przemocy. A młody oficer gotów był zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić. *Wszystko*. Nawet poprosić Oktawię o wybaczenie.

Usłyszał za plecami hałas spadających na ziemię i roztrzaskujących się przedmiotów. Odwrócił się i ujrzał, jak jego żołnierze, choć byli przyzwyczajeni do działania w szyku i do ostrożnego marszu, nie mogąc się powstrzymać, zaczęli rozbijać posągi i meble stojące pod ścianami przedsionka. Wzruszył ramionami. W takich chwilach myślał, że sprawy w Rzymie mogły się potoczyć dużo gorzej.

Przedarł się jakoś do atrium. Widok Etain, która wyszła mu naprzeciw, sprawił, że serce zaczęło łomotać mu w piersi. Zawsze była taka odważna. Oktawia nie mogła wymarzyć sobie lepszej służki i wierniejszej przyjaciółki: trzeba było mieć nie lada odwagę, by wyjść na spotkanie grupy żołnierzy,

którzy wtargnęli do domu jej pani. Z drugiej strony pani powierzyła jej funkcję swej asystentki i powierniczki, a to miało ogromny wpływ na jej poświęcenie dla rodziny Juliuszów.

Dziewczyna dostrzegła, że na czele oddziału stoi Cherea i nagle jej twarz się rozpogodziła. Nie trzeba było wyjaśniać, że przybył tam, by ich chronić, ale musiał o tym powiedzieć, aby nikt z obecnych nie zauważył, że on i dziewczyna się znają. Chciał także dodać jej otuchy.

— Jestem centurion Gajusz Cherea, pomocnik *magistri equitum* Marka Emiliusza Lepidusa. Wezwij jak najszybciej swojego pana — zwrócił się do młodej niewolnicy. — Powiedz mu, że po śmierci dyktatora w mieście wybuchły zamieszki. Otrzymaliśmy zadanie, by was chronić. Pozostajemy do dyspozycji senatora, dlatego też przejmujemy ten dom.

Zależało mu, aby ukryć prawdziwe intencje Lepidusa, w rzeczywistości bowiem *magister equitum*, występując jawnie w charakterze wykonawcy woli dyktatora, zamierzał zdobyć zakładników, swoisty towar na wymianę, na wypadek gdyby mordercy jego wodza uzyskali jakieś większe poparcie i wystąpili także przeciwko niemu. Młody centurion kierował się jednak prostym pragnieniem roztoczenia opiekinad Etain; jego celem było niedopuszczenie, by stała się jej jakakolwiek krzywda.

— Pana nie ma w domu. Pójdę powiadomić panią — odpowiedziała służka.

Miał wrażenie, że spojrzała na niego porozumiewawczo.

Gajusz nie mógł się już doczekać spotkania, a czekał na nie dziewięć lat. Wszedł do tego domu ze ściśniętym gardłem; miał wrażenie, że jego żołądek płonie. Teraz nieobecność Marka Klaudiusza Marcellusa – którego Lepidus wyraźnie kazał mu zatrzymać – dodatkowo go rozdrażniła. Wszyscy wiedzieli o wrogim stosunku senatora do dyktatora i było całkiem prawdopodobne, że poparł on spiskowców lub wręcz działał wraz z nimi. A to komplikowało sprawy.

Pojawienie się Oktawii, za którą podążała Etain z dzieckiem na rękach, uzmysłowiło mu, że właśnie nadeszła chwila, na którą czekał i której jednocześnie bał się od dziewięciu lat. O bogowie! Nie zmieniła się ani na jotę! Kiedy się rozstawali, była jeszcze dziewczynką. Teraz zobaczył kobietę. Przyszło mu na myśl, że i on jest odpowiedzialny za tę przemianę. Wprawdzie jej wdzięk z czasów, gdy była nastolatką, pozwalał się spodziewać, że wyrośnie na kobietę jeszcze piękniejszą, ale niezmiennie

pozostały jej wytworne maniery, typowe dla wszystkich z jej rodu, ten powab, który sprawiał, że trudno było się oprzeć pragnieniu chronienia jej. I ten zadarty nosek, przez który na moment, lecz bezpowrotnie, stracił dla niej głowę.

— Mów, centurionie Gajuszu, co ma oznaczać to nagłe wtargnięcie? Czy naszemu życiu istotnie grozi niebezpieczeństwo? — Oktawia mówiła głosem pełnym obawy. Gajusz doskonale znał ten ton. Był to głos kobiety, ale za sprawą pobrzmiwającego w nim drgania powracało do niego wspomnienie dziewczynki, którą niegdyś tak dobrze znał. Zastanawiał się, czy ta obawa była wywołana ich spotkaniem, czy może dramatycznymi wydarzeniami, jakie dotknęły jej rodzinę. A może jednym i drugim?

Dopiero wtedy zauważył, że obok niej stał jeszcze jeden szlachetnie urodzony Rzymianin w charakterystycznej todze senatorskiej. Był niewiele starszy od niego i wyglądał na członka rodziny. Wszyscy z rodu Juliuszów posiadali pewne cechy— jedni w mniejszym, inni w większym stopniu – które nadawały im rys boskości. Nie bez powodu twierdzili, że są potomkami samej Wenery. A to oznaczało, że także w żyłach dziecka Gajusza Cherei płynie boska krew.

Oktawia zauważyła, że centurion przygląda się stojącemu obok niej mężczyźnie.

— To mój kuzyn, Lucjusz Pinariusz Scarpa. Mów więc.

Gajusz skinął głową. Wiedział, że Lucjusz Pinariusz to jeden z najbliższych krewnych Cezara, lecz nie był w stanie spamiętać twarzy wszystkich senatorów. Znał dobrze innego kuzyna Oktawii, Kwintusa Pediusza, ponieważ jako doskonały wódz służący pod rozkazami dyktatora zdobył on nawet pewien rozgłos, ale Pinariusz nie był tak znanym żołnierzem.

Odezwał się, mając nadzieję, że nie zdradzi się ze swymi uczuciami:

— Jak powiedziałem twojej służce, pani, jesteśmy tu, abywas chronić. Z pewnością wiesz już o okrutnym morderstwie, którego ofiarą padł twój wuj. Rzym nie jest teraz najbezpieczniejszym miejscem, szczególnie dla rodziny dyktatora...

— Czyżby Lepidus był tak zapobiegliwy, że wysłał nam ochronę? — Pinariusz nawet nie starał się ukryć ironicznego tonu. — To doprawdy bardzo uprzejme z jego strony... Cóż za zapobiegliwość.

Nie kupił tej wersji wydarzeń. Mądrała, nie wiedział jednak, że Gajusz

naprawdę stara się chronić Oktawię, zatem – bez względu na prawdziwe intencje Lepidusa – strażnicy rzeczywiście byli tam, by ich bronić.

— Senatorze, jesteśmy tu *wyłącznie* po to, by zapewnić bezpieczeństwo rodzinie dyktatora — podkreślił, zwracając się do Pinariusza, lecz wpatrywał się w Oktawię, z nadzieją, że ona zrozumie jego stanowisko.

Oczy kobiety były jednak pełne łez. Cherea pamiętał ją jako wrażliwą osobę, a teraz mógł się przekonać, że wraz z upływem czasu jej wiara w siebie wcale nie wzrosła.

Lecz oto kobieta zaskoczyła go, robiąc parę kroków w jego kierunku. Zatrzymała się w niewielkiej odległości od centuriona i zwróciła się do obecnych:

— Przyjmujemy ochronę, jaką zaofiarował nam *magister equitum* — powiedziała, szlochając między słowami. — Oczekując powrotu mego męża, proszę, abyś to ty, centurionie, podejmował decyzje w tej sprawie.

Spojrzała mu w oczy jedynie przez krótką chwilę, by zaraz potem ponownie uciec przed jego wzrokiem.

— Dziękuję, pani — odparł Gajusz Cherea, a następnie zwrócił się do swoich żołnierzy: — Stańcie w parach po obu stronach bramy, a także z tyłu, wzdłuż murów otaczających ogród za domem. Ja dołączę do was później. Najpierw muszę obejrzeć dom i sprawdzić, gdzie jeszcze należy ustawić strażę.

— To nadużycie! — wykrzyknął Lucjusz Pinariusz. — Nie macie prawa! Dowie się o tym *magister equitum*! A także Marek Antoniusz!

Oktawia wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię, starając się go uspokoić.

— Senatorze, znajdujemy się w trudnej sytuacji — odpowiedział mu Gajusz, prostując swą potężną sylwetkę. — Już jutro może się okazać, że nie będziesz miał komu zgłaszać swych skarg. Władze mogą się zmieniać z godziny na godzinę i może nie dotarło jeszcze do ciebie, że ponownie stoimy w obliczu wojny domowej, w której wszyscy wystąpili przeciwko wszystkim, ponieważ nie wiadomo, kto jest z kim. Teraz liczy się tylko jedno: uchronić przed chaosem tych, którzy ryzykują najwięcej.

Pinariusz otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym spojrzał na kuzynkę, która skinęła na znak zgody.

— Nie mogę więc nawet wyjść i wrócić do domu? — zapytał bez przekonania.

— Sugeruję, byś tego nie robił, przynajmniej dopóki sytuacja się nie

wyjaśni. Z tego, co mi wiadomo, na Kapitolu są teraz podejmowane ważne decyzje — odparł Cherea.

Pinariusz parsknął śmiechem, a następnie energicznie chwycił i ścisnął ramię centuriona.

— Masz rację. Przepraszam cię. Zdaję sobie sprawę z tego, że wasza obecność to w tym momencie mniejsze zło. Pozwól mi jedynie pójść do mego niewolnika przy drzwiach, chcę mu bowiem powiedzieć, aby uprzedził moją rodzinę, że nie wrócę do domu.

Gajusz Cherea lubił ludzi, którzy potrafili powiedzieć: „przepraszam”, szczególnie gdy chodziło o wpływowe osoby z silnym poczuciem wyższości. Stwierdził, że biorąc pod uwagę całą sytuację, Pinariusz jest nawet sympatyczny.

— Oczywiście, idź, senatorze. Musisz jednak wiedzieć, że Lepidus posłał żołnierzy także do twego domu, a nawet do domu twojego kuzyna, Kwintusa Pediusza — odpowiedział.

Pinariusz skinął głową i wyszedł z atrium, zostawiając Gajusza z Oktawią. Długo patrzyli na siebie w milczeniu. Miał ochotę opowiedzieć jej o tak wielu rzeczach, nie wiedział jednak, od czego zacząć. Każdy wstęp wydawał mu się pusty i nic nieznaczący. A poza tym... nie potrafił rozszyfrować zachowania Oktawii. Była bardzo zmieszana, to pewne, ale jej gesty i słowa mogły być spowodowane tragedią, jaka dotknęła jej rodzinę. Zresztą zawsze łatwo było wprowadzić ją w zakłopotanie. Głównie dlatego nie potrafił wybaczyć sobie tego, co jej uczynił, mimo że z pewnością nie zrobił niczego wbrew jej woli.

— Oktawio... ja... — wybełkotał w końcu, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

Podniosła dłoń, dając mu znak, by przestał.

— Nie musisz nic mówić. Nie musisz się też usprawiedliwiać. Powiedz mi tylko, jak się czuje Marek. Etain twierdzi, że jest zdrowy i silny.

Gajusz poczuł się pewniej i już miał odpowiedzieć, gdy nagle usłyszał odgłos szarpaniny dobiegający z przedsionka. Czyżby ktoś próbował już zaatakować dom? Ale przecież wciąż nie było nawet do końca jasne, kto przewodził ludziom, którzy wystąpili przeciwko dyktatorowi.

Wyszedł z atrium i skierował się w stronę bramy. Zobaczył tam leżącego na ziemi żołnierza z raną ciętą brzucha. Pozostałych dwóch było bez broni, a trzech inni, których nie znał, stali z mieczami wymierzonymi w swych

towarzyszy. Jeden z uzbrojonych legionistów trzymał na rękach córkę Oktawii, drugi ścisnął Etain za nadgarstek.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał z całą mocą, na jaką było go stać w tym momencie. Nie dobył jednak miecza.

Odpowiedział mu żołnierz trzymający dziewczynkę:

— Nie jesteś na bieżąco, centurionie. My przejmujemy tę rodzinę. Pretorianie, którzy zabili tyrana, przejmują kontrolę nad miastem i będą nam bardzo wdzięczni, gdy doprowadzimy do nich twoich podopiecznych. Wyciągnij miecz i rzuć go na ziemię, jeśli nie chcesz, by dziewczynka dorastała bez swojego pięknego noska!

Z ust Oktawii wydobył się krzyk przerażenia. Gajuszowi nie pozostało nic innego, jak wypełnić polecenie.

Spotkanie Klaudiusza Marcellusa w tłumie zgromadzonym na Kapitolu wokół zabójców Cezara wydawało się Mecenasowi rzeczą niemożliwą. Jeszcze trudniej było mu uwierzyć w to, że dyktator zginął z rąk swych najbliższych współpracowników.

— Marek Juniusz Brutus... Na bogów! Cezar wybaczył mu to, że stanął przeciwko niemu w czasie wojny domowej, powołał go na urząd miejskiego pretora, a następnie propretora³ najważniejszej prowincji! — dzielił się swymi wrażeniami z Marcellusem. Ich lektyki, jedna obok drugiej, przebijały się przez tłum w kierunku *Clivi capitolini*.

Marcellus odpowiedział coś, lecz Etruskowi nie udało się tego usłyszeć. Głos jego rozmówcy, leżącego w lektyce obok, został zagłuszony przez krzyki weteranów Cezara. Byli to żołnierze, którzy zakończyli służbę i zajęli się prowadzeniem gospodarstw, teraz jednak przybyli do Rzymu, by wziąć udział w uroczystym pożegnaniu wodza wyruszającego na wschód i otrzymać od niego obiecane darowizny. Z ruchu jego warg zdołał zrozumieć, że mówił o Kasjuszu piastującym stanowisko *praetoris peregrini*, który w czasie wojny domowej w jeszcze większym stopniu niż Brutus doświadczył wspaniałomyślności Cezara, a następnie otrzymał od niego stanowisko gubernatora jednej z prowincji.

Nagle lektyka gwałtownie się zachwiała i jakiś nieogładzony typ wylądował niemal na rękach Mecenasa, okładany pięściami przez innego obywatela.

— Jak dużą sumę dostałeś od tych morderców, świnio?! Wystarczy, by zapomnieć o tym, co Cezar dla ciebie uczynił, prawda? — krzyczał osiłek wyraźnie mający przewagę w bójce. Tymczasem jego powalony przeciwnik, nie zważając na to, że upadł na lektykę Etruska, starał się bronić, wymierzając cios za ciosem. Na potwierdzenie tego, co wykrzykiwał obywatel, na suknie posypały się pieniądze i powpadały między poduszki, na których opierał się Mecenias.

— A ty chronisz tyrana! Człowieka, który odebrał nam wolność! — krzyknął zaatakowany człowiek i odwrócił się plecami do bijącego go napastnika, by pozbierać pieniądze rozsypane między nogami Etruska.

Mecenias odruchowo go kopnął. Przeraziło go nie tyle nagłe wtargnięcie tego osobnika, ile odrażający smród, jaki od niego bił. Wystraszył się także, że dwóch kłócących się Rzymian może zauważyć kufer, który ukrył pod jedną z poduszek. Znajdowała się w nim pokaźna suma, którą zamierzał przekazać Marcellusowi w zamian za willę Cuma.

Dwaj ludzie, których Mecenias wziął ze sobą do ochrony, ruszyli się w końcu i postanowili zareagować. Dotąd zajęci byli torowaniem drogi wśród gęstego tłumu. Obaj awanturnicy zostali wyrzuceni z lektyki bez zbędnych ceregieli i otrzymali na dokładkę porcję solidnych kopniaków. To jednak nie przeszkodziło im kontynuować kłótni.

Mecenias rozejrzał się dookoła i zobaczył, że w zamieszkach brało udział coraz więcej osób. Wiedział, że musi niezwłocznie się stamtąd oddalić.

— Wszystko w porządku? — upewnił się Marcellus.

— Tak. Nic się nie stało — odparł Etrusk. — Wszystko wskazuje na to, że konspiratorom udało się zdobyć poparcie dość dużej rzeszy obywateli dzięki pieniądзом, jakie rozdawali po swym wystąpieniu.

— Cóż, bądźmy szczerzy, Cezar także zdobył przychylność narodu dzięki darowiznom. Naród to motłoch. Czymże innym są przybyli tu weterani, jeśli nie ludźmi przekupionymi dzięki łupom wojennym i siedzibom w koloniach? My, senatorowie, wyraziliśmy na to zgodę i nie było możliwości sprzeciwu.

Marcellus także był jednym z senatorów ułaskawionych przez Cezara po wojnie domowej. Nietrudno było się domyślić, że śmierć dyktatora nie stanowiła dla niego żadnej straty. Nie posunął się wprawdzie tak daleko jak Publiusz Korneliusz Dolabella – człowiek, którego Cezar wyznaczył na swego następcę na stanowisku konsula na czas wojny z Partami; ten bowiem wszedł na podium Świątyni Jowisza Kapitońskiego wraz ze spiskowcami

i chełpił się uczestnictwem w zamachu, chociaż zaraz potem ktoś temu zaprzeczył. Podobnie jak on zachowało się wiele innych osób ze szczytów władzy, dając wyraźnie do zrozumienia, jakie stanowisko zajęli ludzie mający wpływ na sprawy Rzymu.

Mecenas wolał nie wdawać się dyskusje z człowiekiem, z którym zamierzał sfinalizować transakcję handlową. Wysoko cenił dzieło zmarłego dyktatora, więc gdyby to od niego zależało, wtrąciłby do więzienia i ukarał jego morderców, bez zbędnych sentymentów. Wszystko jednak wskazywało na to, że sprawy rzymskiej polityki miały pójść w zgoła innym kierunku. Wolał zatem ograniczyć się do komentowania listy spiskowców.

Tymczasem udało się mu opuścić najbardziej gorącą strefę.

— Mnie zaskakuje najbardziej to, że jednym ze spiskowców był Decymus Brutus Albinus! — powiedział. — Zwyciężył pod rozkazami Cezara w niejednej bitwie i był jednym z najbardziej lubianych współpracowników dyktatora. W przyszłym roku miał nawet objąć urząd gubernatora Galii.

— Zwróć uwagę, że Cezar został zdradzony nawet przez swego najważniejszego współpracownika, Tytusa Labienusa— odparł Marcellus. — Bez wątpienia był autokratą, skoro znieawidzili go nawet ludzie, których nagroził. A co możesz mi powiedzieć o Gajuszu Treboniuszu? Zdaje się, że próbował zatrzymać Marka Antoniusza, podczas gdy pozostali uroczyście witali Cezara. Gajusz Treboniusz, uwierzyłbyś? Jego legat w Galii przez wiele lat. Był z nim nawet w Brytanii, a potem pełnił funkcję konsula i pretora, miał objąć stanowisko prokonsula w Azji. Człowiek tak bardzo uhonorowany przez swego przełożonego powinien się wykazać bezwarunkowym oddaniem. On tymczasem nie wahał się go zamordować. Właśnie dlatego, że działał z nim w ścisłej współpracy, nie mógł dłużej znosić jego tyranii!

Mecenas z kolei odnosił wrażenie, że ludzie, których imiona padły właśnie z ust Marcellusa i które pojawiały się w rozmowach o spisku, postanowili działać, gdyż czuli się przytłoczeni osobą dyktatora, który skazał ich na byt nic nieznaczących pionków. Czym innym było sprawowanie urzędu konsula w Republice działającej na właściwych zasadach, czym innym pełnienie funkcji w cieniu tak dominującej postaci, jaką był Cezar. Na kartach historii zapisze się jego imię, podczas gdy imiona jego współpracowników będą jedynie dalekim tłem, nawet jeśli zajmowali najzaszczytniejsze stanowiska w państwie. Powodowały nimi najprawdopodobniej duma i ambicja, a także

bardzo konkretne interesy natury finansowej. Mecenas był gotów przysiąc, że zabójcy Cezara – ci sami, którzy twierdzili na podium świątyni, iż działali w imię wolności wyboru – nie mieli zamiaru ustępować ze stanowisk, na których sam Cezar umieścił ich na kolejne pięć lat; pod warunkiem oczywiście, że ludzie tacy jak Marek Antoniusz, Emiliusz Lepidus czy Cyceron nie zdołają nastawić wrogo wobec nich ludu i tym samym nie wyeliminują ich z gry. Coś jednak mówiło mu, że tak się nie stanie. Antoniusz, na przykład, nie pokazał się więcej; krążyły słuchy, że zaszył się w swym domu w obawie przed tym, że mogą nastawać także na jego życie. Lepidus, który miał zastępować Cezara, pośpiesznie ukrył się po drugiej stronie Tybru. A byli to dwaj mężowie, którzy jak nikt inny mieli podstawy, by uzurpować sobie prawo do zajęcia miejsca po dyktatorze.

Mecenas wzdrygnął się na samą myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć. Ci dwaj nie pogodzą się tak łatwo z władzą cesarobójców i ani chybi obmyślają kolejne posunięcia. Na pewno nie będzie to ucieczka! Tymczasem jednak spiskowcy mogli swobodnie pozyskiwać poparcie tłumu, zmiennego ze swej natury, wczoraj gloryfikującego Cezara z wdzięczności za rozdawaną pszenicę, dziś z kolei gotowego schlebiać jego zabójcom w zamian za parę sestercji.

— Nareszcie Republika została przywrócona! Od co najmniej czterech lat, odkąd Cezar przekroczył Rubikon, jej miejsce zajmowała monarchia! — krzyknął senator, przerywając jego rozmyślenia.

Mecenas zauważył, że zaczęli wchodzić na Wzgórze Awentyńskie, gdzie znajdował się dom Marcellusa. Towarzystwo tego człowieka zaczynało mu ciążyć. Nie podobał mu się. Nie podobały mu się jego poglądy polityczne ani jego zachowanie. Był tchórzem, który zawsze sprzeciwiał się Cezarowi, ale swoje prawdziwe oblicze pokazał dopiero teraz, kiedy wódz już nie żył. Było oczywiste, że spiskowcy doskonale zdają sobie sprawę z jego tchórzostwa i pilnie się strzegą, by przypadkiem do nich nie dołączył. Być może zresztą wyczuwał pogardę, jaką żywił wobec niego senator. Marcellus należał do starego rodu patrycjuszy traktującego z góry klasę ekwitów, z której wywodził się Mecenas, w dodatku Italów, a nie Rzymian, którym Cezar ufał bardziej niż samym senatorom. Jednocześnie optymaci, tacy jak Marcellus, nic sobie nie robili z jęgonacisków i prowadzili interesy bez uprzedzeń. Ignorowali wpajane im zasady i patrząc przez palce na pewne fakty, zawierali umowy z ludźmi, którymi gardzili. Z drugiej strony– mówił

sobie w duchu – on sam postępował podobnie. Patrzył przez palce.

Nie mógł jednak pominąć milczeniem ogromnej naiwności Marcellusa. Jego stwierdzenie było prawdziwe, aczkolwiek należało je zrozumieć w odpowiedni sposób.

— Czy wiesz na pewno, czego naprawdę chcą Marek Brutus i Kasjusz, Decymus Brutus, Treboniusz, Kaska i pozostali? — zapytał senatora, podczas gdy tragarze starali się utrzymać obie lektyki jedna obok drugiej. — Nie przedstawili swoich planów ani projektów. Nie oświadczyli, że zamierzą oddać stanowiska, które powierzył im Cezar, piastowane dzisiaj i obiecane na przyszłość, co pozwala przypuszczać, że nie chcą nowych wyborów. I nie sądzę, by byli tak naiwni, aby uważać, że Republika powróci do normalnego trybu funkcjonowania, jak gdyby przez te wszystkie lata nic się nie stało. On utorował drogę ambicji. Zobaczysz, ilu będzie miał teraz naśladowców...

Marcellus podniósł rękę, dając do zrozumienia, że nie chce tego dłużej słuchać.

— Bzdury! Rzymianie zbyt przesiąkli demokracją. Teraz, kiedy pozbyliśmy się tyrana, wszystko niechybnie wróci do dawnego trybu. Zabójcy nie oddadzą swych stanowisk z tej prostej przyczyny, że dają im one ochronę przed pragnącymi zemsty zwolennikami Cezara. Gdyby to uczynili, zdaliby się na łaskę Antoniusza i Lepidusa, którzy w dowolnej chwili mogliby wytoczyć im proces, w ten sposób pozbywając się ich i przejmując władzę! Ale Cynceron pogodzi ich wszystkich, zobaczysz. Wiem, że zamierza wystąpić z propozycją amnestii dla zabójców tyrana...

Mecenas zaczął rozmyślać. Rzymianie już dawno stracili tytuł mistrzów demokracji: Marcellus mówił o dyktaturze życia Cezara, lecz udawał, że nie pamięta dyktatury Mariusza i Sulli, triumwiratu Cezara, Pompejusza i Krassusa, nieudanych zamachów Katyliny i ojca Lepidusa, wojen domowych, zesłań, a przecież naznaczyły one ostatnie minione półwiecze rzymskiej polityki. Zupełnie nie dostrzegał, że najbliższa przyszłość może się bardzo różnić od ostatnich lat. Tym razem jednak wolał milczeć i udał, że przekonuje go słuszność argumentacji rozmówcy.

Swoje rozważania zamknął refleksją o tym, że interesy nie mogły się obejść bez kłamstwa, a on był tam tylko dla interesów. Dlatego zeszytniał, gdy Marcellus zatrzymał się pod wytwornym domem, przed którym stało na straży dwóch legionistów. Jeżeli to był dom Marcellusa, finalizowanie

transakcji handlowej w obecności pazernych żołnierzy nie wydawało się najlepszym rozwiązaniem. A jeśli senator chciał go onieśmielić? Cóż, w takim razie mu się udało.

Zauważył jednak, że on także zdawał się zaskoczony.

— Żołnierze! Jaki jest powód waszej obecności tutaj? Mówcie! — zapytał Marcellus dwóch legionistów, schodząc z lektyki.

— Aby cię chronić, panie. Ciebie i twą rodzinę. Na polecenie *magistri equitum* Emiliusza Lepidusa! — wykrzyknął jeden z nich.

Senator zawahał się, a następnie skinął głową, prosząc Mecenasa, aby zechciał usiąść. Ten krzyknął na dwóch swych tragarzy, by wzięli skrzynię ze złotem i podążali za nim do środka. Zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne może się okazać spacerowanie z kufrem pełnym monet, ale chciał, by jego bogactwo kłuło Marcellusa w oczy – chciał sypnąć w niego brzęczącymi monetami, by zabić jego poczucie wyższości wobec ekwitów. Ludzie tacy jak Marcellus nie liczyli się z nikim, a ten, kto nie wywodził się ze świętego rodu, był tolerowany, tylko jeśli posiadał ogromne ilości pieniędzy. On je miał i nie zamierzał się z tym kryć, zwłaszcza gdy mogło mu to przynieść korzyść. Możliwe, że podstawiając mu pod nos swój majątek, wzbudzi w nim ten rodzaj szacunku, który senatorowie zwykli okazywać wyłącznie ludziom z wyższych sfer.

Wyraz twarzy strażnika nie podobał mu się. Człowiek ten był zbyt spięty. Nie wyglądał na kogoś, kto chroni, raczej na kogoś, kogo zastraszone. Marcellus również zdradzał zdenerwowanie, a to oznaczało, że i on wyczuwał coś dziwnego. W przedsionku leżało na ziemi kilka potłuczonych popiersi. Wszędzie panował nieład.

Mecenas i Marcellus weszli do atrium, gdzie drogę zagrodziło im kolejnych dwóch żołnierzy.

— Kim jesteście? — spytał jeden z nich, spoglądając ponuro spod osłony hełmu.

— Jak to, kim jestem? Jestem panem domu, oto kim jestem, durniu! — wrzasnął Marcellus czerwony od gniewu. — Raczej kim wy jesteście i co tu robicie?

Wtedy żołnierz zamachnął się mocno i z całej siły go spoliczkował. Marcellus się zachwiał. Mecenas podbiegł, by go wesprzeć i powstrzymać, na wypadek gdyby chciał zrobić coś głupiego. Szybko zrozumiał, że dobrze zrobił: zobaczywszy za plecami żołnierzy prawdopodobnie swą żonę z córką

na rękach, senator chciał się na nich rzucić, lecz drogę zagroziły mu włócznie.

— Uspokój się, przyjacielu. Nie ty tutaj rozkazujesz. Miasto pogrążyło się w chaosie i teraz to my stanowimy prawo— powiedział drugi żołnierz, którego dostrzegli dopiero teraz. Dobył gladiusa i przystawił go pod nos Marcellusa, mówiąc: — Uciszyć się więc, dopóki nie zdecydujemy, komu bardziej opłaca się ciebie przekazać. Jesteście warci górę pieniędzy, wiesz? A zabójcy Cezara mają ich dużo do rozdania, z tego, co widać...

Mecenas dopiero wtedy zauważył, że czterech legionistów, w tym jeden centurion, zostali rozbrojeni i stali teraz przy *impluvio* razem z żoną Marcellusa, a siostrzenicą Cezara, Oktawią. Między żołnierzami musiało więc dojść do sprzeczki. Ktoś nie zgodził się na przejęcie domu, a podwładni zbuntowali się przeciwko swojemu przełożonemu. Sytuacja była jeszcze do uratowania. Mecenas zaczął się zastanawiać nad jakimś sposobem. I tak nikt specjalnie się nim nie przejmował, ponieważ nie był łakomym kąskiem – przynajmniej dopóki nikt nie dowie się o jego pieniądzech. Postanowił, że musi zrobić z nich użytek, zanim mu je ukradną.

Spojrzał przenikliwie na Marcellusa, który wydawał się mocno przerażony i z trudem powstrzymywał wściekłość. „Cóż za ironia losu!” – pomyślał. Wspierał potajemnie cesarobójców, a skończył jako ofiara ludzi, którzy także starali się im przypodobać.

Potem jego wzrok padł na Oktawię. Nie była piękna, ale posiadała urok, który sprawiał, że przyciągała uwagę mężczyzn. Drżała. W oczach miała łzy, co świadczyło o braku opanowania i wrażliwości, z której jej mąż z pewnością nie był dumny. Przede wszystkim odnosiło się wrażenie, że nie nadaje się do roli matrony biorącej udział w najważniejszych wydarzeniach w dziejach Republiki; nie spełniała wyobrażenia o żonie senatora i siostrzenicy władcy.

Obok niej stał inny senator, mniej więcej w wieku Marcellusa. Wydawało się, że należy do rodziny. Prawdopodobnie był jednym z Juliuszów. Rozglądał się nerwowo dookoła i z trudem starał się zachować resztki godności. Możliwe, że miał ochotę krzyczeć i lamentować, ale bardziej niż strach powstrzymywała go przed tym duma.

Mecenas popatrzył w końcu na centuriona, który trzymał się blisko Oktawii i uważnie śledził każdy jej ruch. Był dość młody, jak na pełniącego funkcję, co oznaczało, że wywodzi się z bogatej rodziny. Nie powinien więc

dać się przekupić i zapewne można było na niego liczyć, zwłaszcza jeśli, jak się zdawało, chciał chronić Oktawię ze względów osobistych.

Na koniec przyjrzał się żołnierzom, którzy kontrolowali sytuację. Twarze bez wyrazu. Nieszczęśnicy zupełnie niezainteresowani bieżącymi wydarzeniami politycznymi, dostrzegający w obecnej sytuacji jedynie dobrą okazję do uzyskania korzyści materialnych, które pozwoliłyby im odmienić swój nędzny status.

— Co słyhać na Kapitolu, senatorze? — zwrócił się do Marcellusa jeden z uzbrojonych legionistów. — Po czyjej stronie opowiedział się naród? Czy zabójcy Cezara zdobyli mocne poparcie? Jeśli Marek Antoniusz i Cynceron nie wyszli jeszcze z ukrycia, ze swych domów, a Lepidus nie włączył się do gry, nietrudno będzie im opanować miasto.

Marcellus odwrócił głowę w drugą stronę i spojrzał w bliżej nieokreślony punkt na ścianie obok niego. Żołnierz zbliżył się o parę kroków i popchnął go.

— Odpowiadaj, gdy cię pytam! Nie jesteś teraz w senacie i nie chronią cię liktorzy konsula!

— Może senator Marcellus nie odpowiedział ci, ponieważ nie potrafi — pospieszył Mecenas z pomocą. — Na Kapitolu panuje takie zamieszanie, że trudno jest ocenić, jak rozwinie się sytuacja. Wasza stanowczość może się okazać niepotrzebna, a nawet obrócić się przeciwko wam — dodał.

— A coś ty za jeden? — Żołnierz jakby dopiero teraz zauważył jego obecność.

— Jestem kimś, kto ma dla ciebie pewną interesującą propozycję oraz wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mieć pewność, że zechcesz jej wysłuchać — odrzekł Etrusk. Żołnierz spojrzał na niego nieufnie. Mecenas poczuł na sobie wzrok pełen pogardy, ale i chciwości. Był pewny, że może kontynuować.

— Mów. I tak musimy jakoś wypełnić czas, czekając na informacje o tym, kto jest w stanie zapłacić nam więcej. A nie sądzę, by nastąpiło to wcześniej niż jutro — powiedział, nieco się odprężając.

— Ja zapłacę ci najwięcej. I najprawdopodobniej będzie to jedyna oferta, jakiej możesz się spodziewać w najbliższym czasie.

Żołnierz nic nie odrzekł. Wraz z pozostałymi zamienił się w słuch.

— Na Kapitolu widziałem tylko chaos — kontynuował Mecenas. — Jedynie ludzie, którzy otrzymali darowizny, zdawali się popierać morderców

Cezara. Pozostali, a było ich wielu, sprawiali wrażenie, jakby czekali na rozwój wypadków, z kolei weterani zdecydowani byli mścić się za śmierć swego dobroczyńcy. Nie wiadomo, co wydarzy się jutro w senacie i w mieście. Możliwe, że dojdzie do porachunków lub, co gorsza, do buntów, a wtedy wpływowi ludzie mogą się okazać zbyt zajęci własnymi wojnami, by interesować się waszą propozycją. Tak więc może coś dostaniecie, choć będziecie musieli długo czekać, a może nie dostaniecie nic. Ja natomiast — mówiąc to podszedł do niewolnika trzymającego kufer — proponuję wam pokazać sumę już teraz, o ile natychmiast stąd odejdziecie.

Polecił niewolnikowi otworzyć wieko. Blask sestercji niemal oślepił żołnierza, który — podobnie jak jego towarzysze — nie zdołał powstrzymać okrzyku zdziwienia. Legionista zbliżył się do kufra i zanurzył w nim dłoń. Dotknąwszy dna, stwierdził, że monety sięgają niemal jego łokcia.

Uśmiechnął się do swych współników i krzyknął:

— Patrzcie, jest tu tego tyle, że starczy nam na długo!

Teraz i oni podeszli do kufra, chcąc doświadczyć tego odurzającego uczucia. Mecenas dostrzegł kątem oka, jak oficer prostuje się i robi krok w ich stronę. Zrozumiał, że ma zamiar wykorzystać zamieszanie i zaatakować ich od tyłu, ale Etrusk uznał, że ruch ten może się okazać zbyt niebezpieczny. Jego plan był inny. Dlatego też dał mu znak głową, aby odpuścił, i oficer zatrzymał się niepewnie.

Tymczasem człowiek, który był prawdopodobnie przywódcą buntowników, ponownie zwrócił się do niego:

— Założmy, że przyjmę twoją hojną propozycję. Wezmę pieniądze i podzielę się nimi z moimi kompanami, a następnie jutro mimo wszystko doprowadzę tę rodzinę przed kogoś, kto również da mi jeszcze więcej...

— Założmy, że ci w tym przeszkodzi...

Legionista wybuchł śmiechem.

— A jak zamierzasz to zrobić? Nie wyglądasz na postawnego, nie masz też żadnej broni, która pozwoliłaby ci spełnić swą groźbę!

— Ależ ja jestem uzbrojony o wiele lepiej niż ty! — odpowiedział Mecenas, siłąc się na uśmiech i próbując zachować pewność siebie. W rzeczywistości nigdy nie znajdował się w takiej sytuacji i testował teraz swoją zimną krew. — Jestem uzbrojony w pieniądze... jeszcze więcej pieniędzy! To jedynie zaliczka. Jeżeli teraz puścicie wolno tę rodzinę i odprowadzicie mnie do jednej z moich posiadłości w Rzymie, sporządzę

pismo, w którym polecę mojemu człowiekowi wypłacić wam kolejną sumę.

Żołnierz spojrział na swych towarzyszy, którzy przecierali z niedowierzaniem oczy, jednocześnie starając się ukryć entuzjazm. Mecenas wiedział jednak, że ma ich w garści. Mimo wszystko łatwo poszło. Bez względu na to, ilu by ich było, jak byliby uzbrojeni, miał nad nimi miażdżącą przewagę: miałyte pieniądze, że mógł pozwolić sobie na ich marnotrawienie.

Cóż, z pewnością ich nie zmarnotrawił. Świadczył o tym chociażby zdumiony wzrok Marcellusa – pełen uznania. Willa Cuma była bezpieczna. Możliwe, że bezpieczeństwo sięgało jeszcze dalej. Drugi senator także spoglądał na niego z szacunkiem i skinął głową na znak wdzięczności.

Żołnierz, który stał najbliżej, przytaknął z entuzjazmem i odezwał się z ożywieniem:

— Nie traćmy czasu. Skorzystajmy z hojności tego pana, zanim dotrze do niego, że jest szaleńcem. Do dzieła, koledzy, idziemy! Centurionie, starczy i dla ciebie, przystąp do nas! — zwrócił się na koniec do oficera i razem z towarzyszem podniósł kufer.

Centurion spojrział na niego, lecz nie wykonał żadnego gestu. Pozostali rozbrojeni żołnierze, choć propozycja legionisty była kusząca, wzięli przykład ze swego dowódcy.

Rozpogodzony Mecenas przeszedł przez bramę w towarzystwie eskorty, która stanowiła pewną ochronę przed niebezpieczeństwami, jakich ten pełen pułapek wieczór mu nie poskąpił. Poza tym uszczęśliwił jednego z najważniejszych senatorów, ba, dwóch, biorąc pod uwagę krewnego Oktawii. Tym samym zaskarbił sobie wdzięczność wysoko postawionej rodziny, rodu Juliuszów, która nawet po śmierci swego wybitnego przedstawiciela najprawdopodobniej w dalszym ciągu miała odgrywać jedną z głównych ról w życiu miasta.

Był zadowolony. Zyskał dużo więcej, niż spodziewał się zyskać, wyruszając do Rzymu.

— Dasz wiarę? *Magister equitum!* Naiwny, chorowity chłopiec na czele niezliczonej armii, w razie gdyby Juliusz Cezar nie był w stanie poprowadzić swych oddziałów do walki— wyszeptał żołnierz.

— *Ćśś!* — uciszył go jeden z kolegów. Jego twarz była rozświetlona blaskiem ogniska. — O pewnych rzeczach lepiej nie wspominać. Pamiętaj, że

mówisz o siostrzeńcu naszego największego wodza. Skąd wiesz, czy ktoś, chcąc mu się przypodobać, nie pójdzie mu tego powtórzyć?! A poza tym nie możesz zapominać, że skoro wybrał go Cezar, musi być dzielny. Cezar nigdy się nie myli i dlatego stał się tym, kim jest.

Oktawian zatrzymał się, gdy tylko usłyszał rozmowę, a wraz z nim zatrzymali się Agrypa i Rufus. Wszyscy trzej zachowali odpowiednią odległość od poświęty rzucanej przez ognisko, przy którym żołnierze grali w kości. Chłopak poczuł, jak jego wnętrzem wstrząsa gniew. Miał ochotę rzucić się na niedowiarka i wykrzyknąć mu w twarz prorocstwo, które właśnie przekazał mu Teagenes, po czym osobiście ukarać go za brak zaufania. Drugiemu żołnierzowi natomiast należała się nagroda za to, że cenił w Cezarze umiejętność dostrzegania potencjału w ludziach. Poczuł jednak, jak ramię Agrypy powstrzymuje go, i zrozumiał, że nie powinien się ujawniać. To był wyjątkowy dzień i nie należało kończyć go awanturą, tym bardziej że gdy był z nimi Agrypa, zawsze kończyło się bójką.

Czekał z niecierpliwością na nastanie ranka, ponieważ pragnął udać się na chwilę do Apolonii. Nie mógł się doczekać rozmowy ze swoim nauczycielem, Apollodorosem z Pergamonu, pod okiem którego – zgodnie z wolą wuja – kończył swe studia. Był ciekaw opinii erudyty o Teagenesie i jego sposobie odczytywania gwiazd; chciał wiedzieć, czy zdaniem nauczyciela astrolog jest wiarygodny i czy jego przepowiednie często się spełniają. Z drugiej strony bał się, że Apollodoros pokaże mu, iż przyszłość oparta na wizji wróżbity jest niczym zamek budowany na piasku.

Władca świata. Jemu samemu trudno było w to uwierzyć. Nie należałoby się dziwić ewentualnemu sceptycyzmowi tak światłego człowieka jak Apollodoros. A jednak do Teagenesa przybywali ludzie z całej Europy i Azji. Gdyby jego przepowiednie były zwodnicze, nie cieszyłby się takim uznaniem. Oktawian postanowił zachowywać się tak, jakby wszystko było prawdą. Tak czy inaczej, wuj wyraźnie przewidywał dla niego świetlaną przyszłość i dlatego należało jak najszybciej zacząć spełniać jego życzenie. Chciał, aby Cezar był z niego dumny, by nigdy nie żałował, że – nie zważając na jego młody wiek i słabą kondycję fizyczną – wybrał go i postanowił uczynić jednym ze swych głównych współpracowników.

— Nie zwracaj na to uwagi. Żołnierze zawsze mówią o swoich

dowódcach. Miałeś próbkę tego, co będzie się działo, gdy się nim staniesz — zwrócił się do Cezara Salwidienus Rufus, kiedy oddalili się na tyle, że żołnierze nie mogli ich już usłyszeć.

Oktawian otworzył usta, by mu odpowiedzieć, ale nagle zauważył, że nie ma z nimi Agrypy. Wiedział, w jakim kierunku ma patrzeć — dobrze znał swego przyjaciela. Zobaczył, jak podchodzi do żołnierza, który źle się o nim wyrażał. Wyglądało na to, że udaje pijanego. Oktawian miał nadzieję, że Agrypa nie zacznie bójkę, przynajmniej nie tym razem. Dałby tym wyraźny znak, że w oddziale panuje terror, a Cezar pragnął zasłużyć na uznanie żołnierzy w sposób naturalny, nie zaś zdobywając przez zastraszenie.

Agrypa zbliżył się do dwóch żołnierzy i udając, że się potyka, kopnął żarzący się kawałek drewna. Gdy niedopałek wylądował na wojaku źle wyrażającym się o Oktawianie, jego tunika zaczęła się palić. Legionista przetoczył się po ziemi, by ugasić ogień, następnie podniósł się, a jego wzrok niewróżył nic dobrego.

— Co robisz, głupcze?! Zaraz ci pokażę! — syknął. Dopiero wtedy spostrzegł, że ma do czynienia z trybunem, i natychmiast spuścił z tonu.

— Chciałem powiedzieć... trybunie... Legatowi legionu może się nie spodobać, że jego oficerowie chodzą pijani...

Agrypa poklepał go delikatnie po policzku.

— Nic się nie martw! Jedna kropelka za dużo nikomu jeszcze nie zaszkodziła... Nic się nie stało, żołnierzu. Wracaj do kości — odpowiedział z chytrym uśmiechem, doskonale naśladowując bełkoczący głos pijaka. Następnie oddalił się od ogniska i wrócił do swych przyjaciół.

Oktawian potrząsnął głową i również się uśmiechnął. Stary, poczciwy Agrypa! Nie było drugiego takiego człowieka, równie lojalnego i oddanego.

— Udało ci się ukarać tego żołnierza, mimo że w jego odczuciu wcale nie został ukarany... — zwrócił się do niego i objął go w pasie. — Nigdy się nie zmienisz... Chronisz lepiej niż żelazne kraty.

— Tak jak te, które chroniły Atyliusza Regulusa — zaśmiał się przekornie Agrypa. — Teraz, gdy przepowiedziano ci panowanie nad światem, tym bardziej opłaca mi się nie opuszczać cię, nieprawdaż? Z drugiej strony, skoro Teagenes wróżyłmi świetlaną przyszłość, oczywiste jest, że może się to ziścić, tylko jeśli pozostanę przy tobie. Mam wszelkie powody, by stać koło ciebie...

Oktawian ponownie rozciągnął usta w uśmiechu. Przyjaciel towarzyszył

mu od czasów dzieciństwa, kiedy on sam był jeszcze tylko chorowitym i niezdarnym, małoletnim członkiem, co prawda starego, lecz zubożalego rodu patrycjusza. Wiedział, że przyjaźń Agrypy nie wynikała z interesowności ani oportunistycznie. Miał natomiast prawo do wątpliwości wobec każdego, kogo poznał, odkąd znalazł się w łaskach u Cezara, łącznie z Salwidienusem Rufusem. Rzucił okiem w jego stronę i zobaczył, że jest nachmurzony. Do tego dnia miał jedynie wrażenie, że Rufus jest zazdrosny o wielką zażyłość, jaka łączy Oktawiana z Agrypą, i że pragnie być na równi z nimi. Tym razem chodziło o coś więcej: proroctwo Teagenesa nie było dla Rufusa tak pomyślne. Zgodnie ze słowami przyjaciela astrolog przepowiedział mu bliską chwałę, po której jednak miał przyjść upadek. Oktawian czuł, że musi poświęcić mu całą swą uwagę.

— Jeśli jest prawdą, co mówi Agrypa, Rufusie, nie pozostało ci nic innego, jak iść jego śladem: zostań ze mną i daj już spokój z tą swoją fatalną wyrocznią, dobrze? Mimo wszystko czeka cię chwalebny okres i tylko od ciebie zależy, czy będzie dla ciebie owocny, nie sądzisz?

Mówiąc to, objął także jego. Rufus z zakłopotaniem pokiwał głową.

— Nie widzę żadnego powodu, dla którego nasze ścieżki miałyby się rozejść, drogi Oktawianie — odrzekł. — Nie wiem jednak, dokąd zawiedzie nas życie. Czekają nas jedna z największych kampanii wojennych w historii Rzymu. Pod rozkazami twego wuja jesteśmy gotowi na wszelkie ryzyko. Każdy z nas ma do wypełnienia specjalne zadanie, chociaż nie wiadomo, dokąd nas to zaprowadzi i co przypadnie nam w udziale, bo też i nie zawsze będziemy mogli podejmować niezależne decyzje. Lecz nie sądzę, aby moje losy potoczyły się równie szczęśliwie jak wasze... — dodał smutno.

Oktawian objął obu przyjaciół.

— Nie można zaprzeczyć temu, co powiedziałeś. Nie ulega jednak również wątpliwości, że jesteśmy bardzo zżyci, a dzisiaj nauczyliśmy się, że razem możemy zejść bardzo daleko. Jeśli pozostaniemy nierozłączni, możemy wręcz stać się niezwyciężeni. Co wy na to? *Niezwyciężeni!* Cezar będzie z nas dumny, będzie dumny z naszych czynów, a do Rzymu powrócimy jako bohaterowie!

Agrypa nie mógł powstrzymać okrzyku zwycięstwa, który wyrwał mu się z ust. Rufus zawahał się przez moment, lecz w końcu dołączył do przyjaciela. Jemu także udzielił się entuzjazm Oktawiana. Wyglądało na to, że zły humor nareszcie go opuścił.

Młody Rzymianin odczuwał przyjemność, widząc, jaki wpływ ma na innych. Niejednokrotnie go to zaskakiwało. Nie umiał jeszcze określić, jak bardzo inne osoby były skłonne mu ulegać, w swoim krótkim życiu otrzymał jednakże wiele znaków, które pozwalały dobrze wróżyć na przyszłość. Chociaż był raczej zamknięty w sobie i na pewno nie mógł się poszczycić żelaznym zdrowiem, ludzie kochali go i darzyli zaufaniem. Nie musiał się starać o ich sympatię, sami do niego lgnęli. Ci, którzy go znali, zabiegali o jego akceptację. Może dlatego, że wydawał się nie dbać o ich zdanie?

Podobnie rzecz się miała z wielkim Juliuszem Cezarem– Oktawian nigdy nie starał się o jego przychyłność, przekonany mocno o tym, że sławny przywódca nie ma powodów, by pokładać ufność w osobie tak niepozornej. A jednak dyktator otworzył przed nim szerokie możliwości, wzywając go do siebie, do Hiszpanii, a następnie zabierając ze sobą do Italii. Wtedy to chłopiec wziął udział w pochodzie triumfalnym u boku dyktatora po ulicach Wiecznego Miasta, a nawet otrzymał z rąk Cezara tytuł *magister equitum in pectore* na czas nadchodzącej wyprawy. Zastępca dowódcy! Ten, który nigdy nie trzymał miecza w dłoni! A jednak nie zawiedzie go. Tam, gdzie nie uda mu się z pomocą siły, będzie sobie radził, korzystając z intelektu. Był przekonany, że bystry umysł doprowadzi go do imponujących osiągnięć. Poza tym miał Agrypę, który doskonale radzi sobie ze wszystkim, czemu nie może sprostać jego chorowite ciało. Przyjaźń tego chłopca była dla niego najcenniejszym skarbem. Oktawian wiedział, że za nic nie dopuści do tego, by cokolwiek jej zaszkodziło. Zresztą, dopóki Cezar stoi na czele państwa, on może liczyć na pewne wsparcie i ma wystarczająco dużo czasu na przyswojenie sobie wszystkiego, czego potrzebuje, by nikt nie mógł wykorzystać jego słabości i pokonać go lub poniżyć.

Za pięć lat, po zakończeniu kampanii wojennej, dzięki której wpływy Rzymu rozszerzą się na Partów, Getów i Daków, stanie się najważniejszym współpracownikiem dyktatora. Musi jedynie udowodnić, że jest tego godny. Z drugiej strony czyż Cezar nie zamierzał wcześniej uczynić go jednym z patrycjuszy? Czyż nie dał mu możliwości przewodzenia letnim igrzyskom? Czyż nie zatwierdził prawa, które pozwoliło przyspieszyć jego *cursum honorum*, jak było to w przypadku Scypiona Afrykańskiego? A jednak nie uczynił tego wszystkiego dla Kwintusa Pediusza ani Lucjusza Pinariusza, dwóch innych siostrzeńców, najbliższych krewnych Cezara od czasu bolesnego odejścia jego jedynej córki – Julii.

Uczynił to dla niego. Cokolwiek było mu pisane, winien to uczynić dla swego wuja. Cezar był jego mistrzem.

III

Słyszała, jak mówiono, że ktoś zemdlał na widok rozdartej, zakrwawionej togi. Oktawia nie mogła w to uwierzyć. Miała wrażenie, jakby szata władcy Rzymu przyćmiewała wszelkie inne elementy żałobnej scenerii. Etain przytrzymała swą panią, która odwróciła się w stronę płaczącej bezgłośnie matki. Atia opierała głowę na piersi swojego drugiego męża, Lucjusza Marcjusza Filipa, który zastąpił Oktawii i Oktawianowi ojca. Nikt z nich nie zdobył się na odwagę, by w dniach poprzedzających uroczystości pogrzebowe odwiedzić pozłacaną kaplicę, wzniesioną przez Marka Antoniusza na Forum, przed Rostrami, w której miały spocząć zwłoki dyktatora i w której każdy obywatel mógł składać wota. Przyjaciele odradzali im to. Sugerowali, by wstrzymać się, dopóki sytuacja polityczna się nie uspokoi. Po mieście wciąż krążyły grupy szaleńców, którzy mogliby za bardzo obnosić się z radością z powodu śmierci tyrana. Niebezpieczeństwo czyhało na jego krewnych na każdym rogu.

Wiele zmian przyniosło otwarcie testamentu Cezara. Nie miało to jednak wpływu na rozgrywki o władzę. Nawet wróżbita nie byłby w stanie nakreślić scenariusza przyszłych wydarzeń na arenie politycznej. Nie ulegało jedynie wątpliwości, że darowizny Cezara przyćmiły to, czym jego zabójcy zamierzali zdobyć przychylność ludu, a tym samym Brutus i Kasjusz oraz Decymus ze swoimi ludźmi musieli się zadowolić towarzystwem swych liktorów i gladiatorów. Z drugiej strony cieszyli się szerokim poparciem w senacie i wszystko wskazywało na to, że również Marek Antoniusz oraz Emiliusz Lepidus zamierzają do nich dołączyć, zapominając o tym, że jako najbliżsi współpracownicy dyktatora winni raczej szukać zemsty za jego śmierć. Cezar wytyczył kierunek działania urzędów sprawujących władzę w Rzymie na najbliższe pięć lat i ustalił, kto w tym okresie ma obejmować funkcje magistrackie. W pewien sposób zadbał o spokój w Wiecznym Mieście i zapewnił bezpieczeństwo wielu osobom. Teraz jego plany upadły i każdą z kwestii należało omówić ponownie.

I nagle ten testament, ten nieszczęsny testament sprawił, że w samym centrum areny znaleźli się jego najbliżsi krewni, którzy zawsze trzymali się z dala od rozgrywek politycznych.

Oktawia rozejrzała się dookoła. Przy stosie tłoczyła się ogromna rzesza ludzi; nie potrafiła w niej dostrzec mężczyzny, którego tak bardzo chciała teraz widzieć. Jedyne go człowieka, przy którym czuła się bezpieczna w tych nowych i jakże niebezpiecznych dla niej okolicznościach, jakie nastąpiły po tragicznych wydarzeniach id marcowych. Świat przerażał ją bardziej niż kiedykolwiek: wypełniały go złowrogie cienie postaci spragnionych władzy i chwały, które krążyły nad jej głową i nad głowami jej krewnych.

Jej wzrok przebiegł po smutnych, chwilami wykrzywionych w nienawiści, twarzach szarego tłumu, a następnie zatrzymał się na dłużej na oczach mężczyzn przyodzianych w togi z purpurowymi pasami. Ich oblicza wyrażały jednocześnie ulgę po śmierci Cezara i niepokój związany z oczekiwaniem na nowego pana lub, co gorsza, nową wojnę domową. Nie, nie mogła pośród nich znaleźć tego, którego szukała. Zobaczyła za to swojego męża i właśnie na jego twarzy dostrzegła te sprzeczne uczucia, które można było wyczytać u jego kolegów. Marcellus doświadczył łaski Cezara po wojnie domowej, kiedy to wystąpił przeciwko dyktatorowi, ale chętnie wziąłby udział w spisku... gdyby tylko miał silniejszy charakter. A jednak bał się teraz konsekwencji i być może zadawał sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej pozwolić dyktatorowi wyruszyć na wojnę z Partami, by tam zginął z ich ręki.

Do uszu Oktawii dobiegły litanie odśpiewywane przez koryfeuszy.

— Ocaliłem ich, aby nie zabrakło kogoś, kto mógłby mnie zabić... Niech będą przeklęci za zdradę, której się dopuścili...

Były to wersety z tragedii Pakuwiusza. Antoniusz pragnął, by odśpiewano je podczas pogrzebu, chociaż powinny zostać skierowane do Rzymian, którzy nie wzięli udziału w uroczystości, do morderców Cezara, do tych wszystkich, którzy zawiedli jego zaufanie. Gdyby urodziła się mężczyzną... uczyniłaby wszystko, aby znaleźć sposób i zemścić się za ich zdradę. W jej rodzinie było jednak tylko dwóch mężczyzn, Lucjusz Pinariusz i Kwintus Pediusz, a ci zdawali się teraz zajęci omawianiem spadku, jaki przypadł im w udziale.

Łoże z kości słoniowej, powlekane złotem i purpurą, na którym spoczywały sponiewierane zwłoki dyktatora, zostało podniesione przez grupę mężczyzn, a następnie złożone na stosie. Dopiero wtedy Antoniusz rozpoczął przemowę, a Oktawia zrozumiała, że wersety stanowiły część niezwykle

subtelnej gry.

— Obywatele, nie ma potrzeby, bym rozwodził się na temat zasług Cezara. Dowiódł ich, umierając dla was z tą samągorliwością, jaka wypełniała jego życie — mówił konsul.— Żywił was i dbał, byście żyli w dobrobycie. Nigdy się już nie dowiemy, o jak wielkie bogactwa powiększyłby skarb państwa, czyli skarb nas wszystkich, dzięki zwycięstwu nad królestwem Partii, a także jaka duma rozpierałaby wasze serca, gdyby w waszym imieniu pomścił hańbę, którą Rzym okrył się po klęsce Krassusa pod Carrhae i stracie orłów odebranych legionistom. Musimy jednak pamiętać, że na pierwszym miejscu zawsze stawiał obywateli. Najpotężniejszy człowiek na świecie ufał wam tak bardzo, że nie wahał się chodzić po Rzymie bez eskorty. Bynajmniej nie dlatego że uważał się za nietykalnego, niczym bóg, ale ponieważ wam ufał. Był tak pewny, że lud kocha go za to, co dla niego uczynił, że uznał, iż nie musi się obawiać niczego ani nikogo. Wierzył, że ma nad nami kontrolę, nie poprzez zastraszenie, lecz dzięki szacunkowi i miłości, jakimi nas darzył! Z pewnością darzył szacunkiem i miłością także tych, którzy nam go odebrali. Tak, darzył ich miłością, ponieważ pobudki, które nimi kierowały, były szlachetne i czyste! Słyszeliście ich, gdy tłumaczyli swój postępek, i trudno było ich posądzić o złe intencje. Nie chodziło o żadne osobiste porachunki! Ci czcigodni mężowie szanowali i kochali Cezara, także dlatego że on, tak hojny dla wszystkich, był jeszczebardziej hojny dla nich, wszak powierzył im najważniejsze stanowiska w państwie. Ludzie ci działali przeciwko temu, co reprezentował Cezar. Czuli się w obowiązku to uczynić. Powiem więcej: należy docenić ich gest, właśnie dlatego że z pewnością wiele ich kosztował!

Antoniusz chciał wzbudzić nie tylko współczucie, zamierzał również wywołać skandal. Potwierdzeniem tego przypuszczenia był dla Oktawii moment, w którym wziął zakrwawioną togę Cezara z pucharu, na którym została złożona, podniósł ją i zaczął nią wymachiwać na wszystkie strony. Kobieta miała przeczucie, że ten dzień nie zakończy się spokojnie. Tymczasem mężczyźni składali trumnę na stosie. Dopiero wtedy dotarło do niej, że jednym z niosących był właśnie on – Gajusz Cherea.

Próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, ale centurion wydawał się całkowicie pochłonięty wykonywanym zadaniem. Zastanawiała się, czy to, co uczynił, było dowodem jego miłości do niej, czy raczej formą szacunku

dla wodza, pod którego rozkazami walczył w Hiszpanii, w ostatniej fazie wojen domowych. Chciała wierzyć, że kierował się obydwoma motywami. Tydzień temu, kiedy przyszedł do ich domu, nie udało mu się jej ochronić i gdyby nie pomoc Etruska, sprawy potoczyłyby się naprawdę źle. Ale dał jej do zrozumienia, że dla niej jest gotowy na wszystko. Jego obecność powstrzymała ją przed całkowitym pogrążeniem się w rozpacz.

Nie myślała o nim przez lata. Jakby ignorowanie go mogło zmazać ich winę. Pozwoliła, by Etain opiekowała się dzieckiem, i tylko czasami, ulegając impulsowi, pytała o jego dorastanie. Wołała jednak, by przynoszono jej wiadomości o mężczyźnie, z którym poczęła to dziecko w chwili słabości, za którą Gajusz wziął całą winę na siebie. W rzeczywistości nigdy nie przyszło jej do głowy, by obarczać go odpowiedzialnością. Nie chciała go więcej widzieć, by nie przypominać mu o tym, że nie potrafiła się wywiązać z obowiązków, ona – kobieta, która pragnęła stać się nieskazitelną rzymską matroną. Poza tym osoba Gajusza wywoływała w niej zbyt silne emocje. Oktawia szukała przede wszystkim spokoju, a ten nie szedł w parze z obecnością w jej życiu człowieka, dla którego mogła stracić głowę.

— Spalmy go w świątyni Jowisza Kapitońskiego! — wykrzyknął ktoś z tłumu. — Jest przecież bogiem i powinien spłonąć w głównej świątyni Rzymu!

— Nie! Spalmy go tam, gdzie został zamordowany! W Kurii Pompejusza! Dzięki temu mordercy rozumieją, co uczynili!

Mowa Antoniusza była krótka. Oktawia, pogrążona w rozmyślaniach o Gajuszu, nie umiała powiedzieć, czy była krótka, dlatego że przerwali ją ludzie, czy dlatego że niczego więcej nie potrzebował, by poruszyć ich dusze. I jeżeli taki właśnie był jego zamiar, dopiął swego! Wśród ludzi wokół niej narastało napięcie.

Nie, ten dzień nie zakończy się spokojnie.

— Jeżeli czujesz się rozczarowany, pomyśl, co ja powinienem powiedzieć. Walczyłem dla niego w Galii i proszę, jak mi się odwdzięczył... — usłyszała narzekania swego starszego kuzyna, Kwintusa Pediusza.

— Ja byłem bliżej niego, w sprawach cywilnych — odpowiedział Lucjusz Pinariusz. — Gdyby nie ja, wiele ustaw nigdy nie ujrzałoby światła dziennego...

— Nie rozśmieszaj mnie! Wszyscy wiedzą, że nawet nie byłeś u niego w łaskach. Ja natomiast otrzymywałem od niego istotne rozkazy w czasie

wojny. Powinieneś dziękować bogom, że przynajmniej w testamencie o tobie pamiętał. Ale zrobił to, tylko dlatego że byłeś jego krewnym, więc w istocie nie miał wyboru... A także przez wzgląd na pamięć o swej siostrze...

— Jeśli mamy być szczerzy, tobie zostawił dokładnie tyle co i mnie, więc nie widzę powodów, dla których miałbyś sobie pochlebiać. — Pinariusz nie dawał za wygraną. — Jeśli ja niewiele się liczę, ty liczysz się jeszcze mniej, ponieważ ryzykowałeś dla niego życie w Galii, lecz nie znalazło się dla ciebie żadne stanowisko magistrata, pośród tych, które obsadził na najbliższe pięć lat. Musiałeś po prostu zrobić na nim wyjątkowo złe wrażenie.

— Ech, tak czy siak, nie ma sensu się kłócić. — Pediusz, dotknięty do żywego, postanowił zmienić temat. — Musimy zewrzeć szeregi, by otrzymać to, co się nam należy. Przynajmniej tyle. A zważywszy, że nie możemy liczyć na tego chłopca, Oktawiana, musimy sami zadbać o swoje interesy. Żona Cezara dostarczyła już wszystko Antoniuszowi, na jego prośbę, z pewnością ma on pełen dostęp do majątku.

— Racja — przytaknął Pinariusz. — Pełniona przez niego funkcja daje doskonałą możliwość przedłużania stanu wyjątkowego i opóźniania rozstrzygnięcia. Z pewnością wykorzysta młody wiek Oktawiana, aby przeciągnąć chłopca na swoją stronę. Musimy przynajmniej zadbać o własne sprawy. Trzeba jak najszybciej porozmawiać z konsulem. Możemy również zawrzeć z nim układ...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Spróbujemy go przekonać, że w zamian za część spadku Oktawiana oraz jakiś urząd do objęcia, namówimy chłopca, aby nie występował z żadnymi roszczeniami. Nie powinno być problemu z wytłumaczeniem mu, że jakiegokolwiek pretensje nie mają sensu... — zasugerował, zanim zdał sobie sprawę z tego, że Oktawia mogła go usłyszeć.

Pediusza ogarnęło poczucie winy.

— Żartujesz? Antoniusz marzy, by pójść śladem Cezara i zastąpić go na tronie, który za życia dyktatora stał się idealnym stanowiskiem. Będzie naprawdę zagniewany, jeśli nie znajdzie się w pierwszej trójce dziedziczących, i dołoży wszelkich starań, by uzyskać coś w spadku — mówił z oburzeniem. — Potrzebuje czegoś, co pozwoli mu narzucić swą władzę, a pieniądze zawsze był najskuteczniejszym środkiem. Cezar kupił pół Rzymu, aby dojść na szczyt i utrzymać się w siodle.

Oktawia nie miała pewności, czy słowa kuzyna były szczerze, czy może

mówił tak, zdając sobie sprawę, że docierają one do niej. Potrząsnęła głową. Jej dwaj kuzyni także wydawali się wzburzeni, ale ze zgoła innego powodu. Zdawało się, że rosnące dookoła napięcie ich nie dotyczy. Zbyt pochłoneła ich dyskusja na temat ich małostkowych potrzeb, by mogli dostrzec, że gra toczyła się o dużo większą stawkę. Kobieta miała przemożne wrażenie, że spokój, o jaki zawsze zabiegała i jaki zdawała się otrzymać od Cezara za sprawą jego działań politycznych i decyzji dotyczących życia prywatnego oraz rodziny, przez długi czas nie powróci.

Krzyk zgromadzonych nasilał się. Tłum zaczął napierać, chcąc dotrzeć do stosu. Wielu usiłowało po prostu zbliżyć się i po raz ostatni dotknąć swego dobroczyńcy. Oktawia bała się, że może zostać stratowana. Przyłapała się na tym, że instynktownie szuka spojrzenia Gajusza Cherei. Nie człowieka, z którym od dawna łączyło ją małżeństwo, ale żołnierza, którego ujrzała ponownie po wielu latach. Zupełnie skołowana, uchwyciła się ramienia Etain. Kiedy nareszcie jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem centuriona, odniosła wrażenie, że dostrzegła w jego oczach błysk zrozumienia. Zdawała sobie sprawę, iż mogło to być jedynie złudzenie, lecz nieco ją to uspokoiło.

Zaraz potem Gajusz Cherea chwycił jedną z pochodni płonących przy stosie i polecił swemu towarzyszowi, by czynił to samo, a następnie obaj, nie czekając na rozkaz urzędników i kapłanów, rzucili je na gałęzie znajdujące się pod łóżem. Stos błyskawicznie zajął się ogniem. Po chwili baldachim z kości słoniowej, królewską postać dyktatora i ustawiony u wezgłowania puchar z jego zakrwawioną togą – wszystko to objęły płomienie. Ludzie zaczęli głośniejsze krzyczeć, ale przestali napierać, odstraszeni ognistym węzłem unoszącym się ku niebu. Widok Forum wypełnionego dymem działał na nich odstraszająco. Ktoś zaczął wykrzykiwać oskarżenia pod adresem morderców.

Oktawia przyglądała się badawczo twarzom senatorów. Niektórzy z nich, już dzień po śmierci Cezara, bez oporów okazywali swoje poparcie dla czynu Brutusa i Kasjusza: Dolabella był tego najbardziej jaskrawym przykładem. Teraz jednak, kiedy stało się jasne, za którym ze stronnictw zamierza podążać tłum, bali się, że ktoś może ich kojarzyć z prawdziwymi zabójcami, którzy z kolei stanowili zbyt silne ugrupowanie, aby można ich było ukarać bez większych problemów.

Znowu zaczęła drżeć. Tym razem nie ze strachu o siebie, lecz o brata. W jakim świecie przyjdzie żyć temu, którego Cezar wybrał na swego następcę?

Marek Wipsaniusz Agrypa potrząsnął głową: Oktawian nigdy nie był wojownikiem. W trakcie ćwiczeń wymierzał ciosy jak szaleniec i jedyne, co osiągał, to szybkie zmęczenie. Dał mu znak, by zwolnił, ale przyjaciel spojrział na niego z ukosa. *Campidoctor* przydzielony do ich szkolenia był bardzokrępowany obecnością siostrzeńca Juliusza Cezara, chociaż Oktawian polecił właśnie Agrypie wymagać od instruktora jak najwięcej. Tym razem jednak przyjaciel bał się, że mógłby go nadmiernie zmęczyć, ponieważ na twarzy młodzieńca dostrzegł olbrzymi wysiłek.

— Spokojnie, młody Oktawianie, spokojnie — powtarzał *campidoctor*, obawiając się, by chłopiec nie padł na ziemię zemdłony, jak zdarzyło się raz, parę tygodni wcześniej.

Agrypa wykrzywił twarz w grymasie. Przecież takie słowa sprawią jedynie, że Oktawian będzie ćwiczył jeszcze intensywniej! I rzeczywiście, chłopiec zaczął uderzać ze zdwojoną prędkością. Doszło do tego, że Marek przerwał ćwiczenia i zatrzymał się, patrząc na Oktawiana. Czekał na moment, w którym będzie musiał podbiec, by go przytrzymać.

— Ćwicz... dalej, Agrypo. Nie ma... na co patrzeć. *Doctor*, Agrypa... się... ociąga! — krzyknął Oktawian, starając się zwrócić uwagę instruktora, lecz jego słowa były ciche i pourywane. Mężczyzna stał jednak bardzo blisko, toteż zdołał je usłyszeć. Z typową dla niego nadgorliwością zbliżył się do Agrypy i zadyszał mu prosto w twarz:

— Dalej, obiboku! Bierz przykład z naszego przyszłego *magistri equitum*, najbardziej obiecującego wśród rekrutów!

Marek spojrział kątem oka na przyjaciela i dostrzegł, że niewiele brakuje, by wybuchł śmiechem. Z trudem udało mu się pohamować, choć stał z *doctore* twarzą w twarz. Pomimo komizmu całej sytuacji wyprostował się, skinął głową na znak szacunku i powrócił do ćwiczeń, uderzając ponownie w pał. Instruktor odszedł, najwyraźniej przekonany, że przysłużył się bliskiemu krewnemu dyktatora. Biedaczysko, nie znał Oktawiana na tyle, by wiedzieć, że właśnie stał się jego wrogiem. Z pewnością, gdy tylko przybędzie Cezar, zostanie poinformowany, że ze względu na swą lękliwość nie może dłużej pełnić funkcji instruktora. Wobec przyjaciół Oktawian potrafił być zawsze wspaniałomyślny i pomocny, ale nie miał litości dla ludzi, którzy go rozczarowywali lub mu szkodzili.

Agrypa nie widział go jeszcze w walce z prawdziwym nieprzyjacielem i nie sądził, aby kiedykolwiek miał okazję zobaczyć coś takiego. Ze względu na słabą kondycję fizyczną Oktawian sprawiał wrażenie osoby bardzo delikatnej i nikt nie miał serca go atakować. Poza tym nie obawiano się go na tyle, by usiłować zrobić mu krzywdę. Marek znał go jednak dobrze i wiedział, że za wątłym zdrowiem, za jego łagodnością i delikatnymi rysami kryła się żelazna wola. W duchu zadał sobie pytanie, do jakich środków, prawnych lub bezprawnych, byłby zdolny uciekać się Oktawian podczas walki z wrogiem.

Przyglądał się, jak niemal wpadł na pal po zadaniu chybionego ciosu, podszedł więc, by go przytrzymać i uchronić przed upadkiem na ziemię. Kiedy jednak go chwycił, ten wyrwał się zdecydowanym ruchem, dając dowód zaskakującej witalności.

Dyszząc, krzyknął do niego:

— Nie wolno ci mnie podtrzymywać! Psiakrew, już ci to mówiłem! Jeśli upadnę, najwyżej nałykam się kurzu. Będę musiał nałykać się go wiele w czasie długiego marszu po pustyni syryjskiej i za granicami, więc wyjdzie mi na dobre, jeśli już teraz zacznę się przyzwyczajać. W przeciwnym razie trudno mi będzie iść z podniesioną głową u boku Cezara.

Agrypa zachowywał należytą odległość, aby ponownie go nie urazić.

— Wybacz mi, drogi przyjacielu. Powinieneś jednak unikać także podróży w lektyce. Za kilka dni Cezar przybędzie tutaj i szybko rozpoczniemy kampanię. Jeśli się rozchorujesz, a wiesz, że o to nietrudno, nie wypadniesz najlepiej, leżąc pośród bagaży, zmożony gorączką i kaszlem. Przypomnij sobie, co było, kiedy wyruszyłeś w podróż do Hiszpanii. Nieomal przegraliśmy decydującą bitwę w wojnach domowych.

Oktawian zawahał się przez chwilę.

— Nie mogę rozczarować Cezara. Ani żołnierzy, którzy już są mi bardzo oddani...

Marek pomyślał, że kochają go, bo ich rozczula. Z pewnością nie zawdzięcza tego charyzmem, która w tym momencie stanowiła jedynie refleks wielkich możliwości dyktatora. Nie powiedział mu tego jednak.

— Żołnierze kochają Cezara, ponieważ dzielił z nimi ich trudy, wszystkie trudy — kontynuował Oktawian. — Nie mogę być gorszy, jeżeli chcę sobie zaskarbić ich szacunek i nie stracić ich oddania. Zaufali mi, więc powinienem im udowodnić, że jestem tego wart. Będę jechał konno u boku największego

zdobywcy w historii i nie mam wyboru: muszę pokazać, że jestem jak on, lub zginąć, usiłując tego dokonać.

„Cezar zdobył miłość żołnierzy także darowiznami” – pomyślał Agrypa, lecz i to zachował dla siebie.

Tymczasem nadszedł Salwidienus Rufus z człowiekiem, w którym Oktawian rozpoznał swego wyzwolenca. Twarz ich przyjaciela pociemniała, zdawał się czymś wstrząśnięty. Nagle Agrypa uświadomił sobie, że w obozowisku zapadła cisza. Nie było słycać krzyków centurionów, stukotu końskich kopyt i tupotu żołnierzy ani szczęku zbroi. Rozlegały się jedynie dźwięki wydawane przez rekrutów ćwiczących na zewnętrznym polu, tam gdzie znajdowali się trzej przyjaciele.

— *Ave, domine* — powiedział wyzwoleniec, zwracając się do Oktawiana, a na jego twarzy malował się smutek nie mniejszy niż ten, który można było dostrzec na obliczu trybuna. — Przynoszę ci pilne wieści z Rzymu od twej czcigodnej matki — dodał, wręczając mu woreczek z tabliczką woskową.

Oktawian wyjął wiadomość, przeczytał i raptem jego twarz przybrała wyraz, który przeraził Agrypę. Jego delikatne rysy wyostrzyły się, choć przecież wydawało się to niemożliwe, a błyszczące błękitne oczy zapłonęły. Nogi ugięły się pod nim i poczuł, że jego ciało przeszywa dreszcz.

Agrypa przyjrzał się badawczo Rufusowi, który otworzył usta, ale nic nie powiedział. Wpatrywał się jedynie w Oktawiana. On zaś spojrzał w dal, w kierunku morza, Italii, a ogień w jego spojrzeniu nie tracił swej mocy.

— Kto to był? — zapytał wyzwolenca szorstkim, niskim głosem. Gdyby Marek nie usłyszał tego głosu, nigdy by nie uwierzył, że mógł on należeć do Oktawiana.

— Wymieniali bardzo dużo imion, kiedy odchodziłem — odpowiedział mężczyzna — lecz twoja matka i twój ojczym wysłali mnie do Brundyzjum zaledwie kilka godzin po tym, co się wydarzyło, i nie potrafię ci przedstawić żadnych szczegółów. Wiem jedynie, że krążyły słuchy, iż było ich wielu i byli to nieprzypadkowo wysoko postawieni ludzie. Mogę tylko powiedzieć, że na pewno widziano tam Kasjusza Longinusa, Marka Brutusa oraz Decymusa Brutusa, natomiast zdaje się, że można wykluczyć, aby Marek Antoniusz należał do grona spiskowców. Z tego, co mi wiadomo, w Italii mogła już wybuchnąć wojna domowa, dlatego twoi rodzice przykazują ci, abyś nie wracał.

Agrypa nie wytrzymał.

— Co tam się stało? — zapytał w końcu.

Oktawian zwrócił ku niemu głowę i spojrział tak, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność. Łzy zgasiły płomienie w jego oczach i spłynęły po ustach, które poruszały się, artykułując ledwo słyszalne zdanie.

— Cezar nie żyje — powiedział i padł przed przyjacielem na kolana.

Oktawia odczuwała wdzięczność wobec Gajusza Chereiza to, że powstrzymał napierający tłum i podłożył ogień, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli. Przełożeni zmyją mu za to głowę. Możliwe, że nawet sam Lepidus udzieli mu nagany, ponieważ działał bez upoważnienia. Może jednak zdarzyć się i tak, że pochwałą jego inicjatywę. Wyobrażała sobie, że zrobił to dla niej, mimo że szukając jego wzroku w tłumie, nie zdołała go uchwycić i w końcu obróciła głowę w stronę Etain.

Nie powinna była się w to angażować. Nie powinna była znowu tego robić. Zapatrzyła się więc w płomienie, które sięgały coraz wyżej, ku niebu przesłoniętemu ołowianymi, marcowymi chmurami. Gorące powietrze bijące od stosu ogrzewało najbliższą okolicę i łagodziło dreszcze, które raz po raz wstrząsały ciałem Oktawii na myśl o tym, co czeka jej rodzinę.

Co teraz robi Oktawian? Rola spadkobiercy Cezara, która jasno została wskazana w zapisach testamentowych, nakazywała, by dokonał zemsty na cesarobójcach. Z kolei Marek Antoniusz – wyraźnie dający do zrozumienia, iż pretenduje do objęcia stanowiska po swym najwyższym dowódcy – postrzegał chłopca jako rywala, toteż będzie utrudniał mu wykonanie misji, być może nawet nie do końca świadomie. Samo *utrudnianie* byłoby jeszcze mniejszym złem, ale Antoniusz słynął z zapalczywości i w porywie gniewu mógłby wyrządzić Oktawianowi krzywdę.

A Lepidus? Był oportunistą i nie da żadnych szans chłopcu, nie dość, że pozbawionemu środków, to jeszcze dźwigającemu ogromny ciężar. Nie mówiąc już o Cynceronie odrzucającym wszelkie formy autokracji; w osobie, której Cezar powierzył zadanie kontynuowania swego dzieła, dostrzegałby bezpośrednie zagrożenie. Podobnie Aulus Hircjusz i Wibiusz Pansa, którzy najprawdopodobniej nie mogli się doczekać objęcia stanowiska konsula, by wykorzystać je do zdobycia władzy, w czym dotychczas przeszkadzała im obecność dyktatora. Była jeszcze Kleopatra – królowa Egiptu, którą Cezar zuchwale przedstawił w Rzymie nie jako zdobycz wojenną, nie jako

gościa, lecz jako potężną i wpływową konkubinę. Co zamierzała uczynić teraz, bez wsparcia dyktatora i ojca swego syna, Cezariona? Jej obecność w Rzymie była kolejnym czynnikiem potęgującym destabilizację.

Zbyt wiele ujadających psów stało na arenie politycznej, aby dziewiętnastoletni chłopiec o wątłym zdrowiu i bez jakiegokolwiek doświadczenia, posiadający wielkie bogactwo, lecz tylko teoretycznie, mógł mieć nadzieję na przeżycie.

Matka i ojczym rozumieli to doskonale i uprzedzając chłopca o śmierci wuja, pragnęli dać mu do zrozumienia, aby trzymał się z daleka od problemów. Tak, ponieważ jego powrót do Italii stałby się dla niego jedynie źródłem problemów. Oktawian spotkałby się niechybnie z wrogością morderców Cezara, a także jego współpracowników lub przynajmniej tych paru osób, które nie zdradziły go, lecz – tego matka była pewna – nie zawahałyby się zdradzić wyznaczonego przez niego spadkobiercy.

Tym bardziej że w środowisku, w którym ponad wszystko liczyła się siła przetargowa, Oktawian nie miał nic do zaoferowania. Bez Cezara był nikim. Z kolei pozostali z powodzeniem gromadzili w jego cieniu siły, pieniądze i klientele i mogli teraz stanąć do walki na arenie politycznej z całkiem sporymi szansami na zwycięstwo.

Kiedy wiatr zaczął wiać w jej stronę, poczuła intensywny zapach kadzidła i róż, którymi obłożono stos. Woń przeniknęła jej głęboko do nozdrzy i napełniła oczy łzami. Postaci wokół niej straciły ostrość i Oktawia poczuła się jeszcze bardziej odcięta od ludzi. Pragnęła jak najszybciej wrócić do domu, ale dla niej i dla jej najbliższych krewnych zapowiadał się długi dzień. Musieli dogasić popiół, a następnie przenieść prochy na Pola Marsowe, obok grobowca Julii. Później, zgodnie ze zwyczajem, krewni mieli się spotkać w domu Kalpurnii, wdowy po Cezarze, by wspominać go przy suto zastawionych stołach. Było pewne, że to wszystko nieprędko się skończy. Oktawia przeczuwała, że Pediusz i Pinariusz mają zamiar porozumieć się z Antoniuszem, może nawet ze szkodą dla Oktawiana. Powinna więc zacząć działać.

— Śmierć mordercom! — krzyknął ktoś tuż obok niej.

— Niech umierają śmiercią, którą umarł Cezar!

Kolejny krzyk, tym razem w oddali:

— Idźmy splądrować ich domy!

— Spalmy je! Spalmy wszystko! Idźmy do Brutusa! Idźmy do Kasjusza!

To oni są głównymi sprawcami!

Zaiste Antoniusz odniósł zamierzony cel: nagle usunięcie rzekomego tyrana przestało być powodem do dumy.

Tłum zaczął falować. Wielu dawało wyraz swemu oddaniu Cezarowi, pozostając niewzruszenie na miejscu, w pobożnym skupieniu przed stosem; inni uznali, że muszą okazać swą wdzięczność dyktatorowi, i odeszli, by go pomścić. Zaczęto wszczynać bójki. Najbardziej wzburzeni obywatele wychodzili na przód, zbliżali się do stosu, chwytali płonące polana i odchodzili z nimi, by podpalić siedziby cesarobójców.

Stopniowo także inni szli za ich przykładem i chwytali za pochodnie. Ci, którzy już je trzymali, odstraszaali gawieź, wymachując ogniem. Wielu złąknionych robiło pospieszne uniki, przewracając się niejednokrotnie na tych, którzy stali za nimi. Niektórzy, popychani przez napierający tłum, tracili równowagę i upadali na ziemię, zdeptywani przez ogarniętych paniką obywateli.

Oktawia zobaczyła żołnierza, który usiłował zatrzymać napierającego na niego człowieka z płonąca pochodnią w ręku. Legionista pchnął mieczem w ramię demonstranta. Wytrącona pochodnia potoczyła się po ziemi pod nogi znajdującego się nieopodal mężczyzny. Rąbek jego togi zajął się ogniem. Człowiek zaczął krzyczeć i wymachując gwałtownie kończynami, upadł na stojącą obok kobietę. W jednej chwili płomień objął również i jej szatę, a po kilku sekundach płonęli już oboje, od stóp do głów, nie przestając jednak rzucać się na wszystkie strony i wpadając na obywateli, którzy w strachu usiłowali odsunąć się od nich na tyle, na ile pozwalał im napierający tłum.

Znalazła się niebezpiecznie blisko tych dwóch żywych pochodni i zdała sobie sprawę, że roztaczające się dookoła ciepło nie bije od stosu, lecz od płonących nieszczęśliwców. Ludzie krzyczeli, napierali, padali. Podział na sektory dla szlachetnie urodzonych i resztę przestał istnieć. Zgromadzeni przetaczali się, szukając jakiegokolwiek drogi ucieczki. Nieliczni, usiłujący jeszcze dotrzeć do stosu po pochodnię, przeciskali się między rzędami arystokracji. Z kolei żołnierze starali się opanować ruch tłumu, ale w ten sposób ograniczali przestrzeń do odwrotu osobom uciekającym przed natłokiem i ogniem, potęgując tym samym chaos przed Rostrami.

Forum spowite dymem, oślepiające światło płomieni, unoszący się zapach kadzidła, łyzy, strach – Oktawia miała wrażenie, jakby wszystko przed jej oczami przesłoniła gęsta mgła. Czuła się zagubiona. Mocno ścisnęła Etain.

— Spróbujmy tędy, pani! Tam jest twój mąż! — krzyczała służka, ale ona widziała tylko zamazane kształty i niczym niewidoma pozwoliła się prowadzić dziewczynie.

Nagle poczuła silne uderzenie gorąca.

— Uważaj! Ten człowiek się pali! Skręćmy w lewo!

Etain nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej pani nic nie widzi. Oktawia, uświadomiwszy sobie, że stoi przed zagrożeniem, którego nie potrafi dostrzec, wpadła w panikę. Poczuła, że się dusi.

— Twój mąż! Stara się do nas dotrzeć! Idź w lewo!

Etain krzyczała jej do ucha, ale ona miała wrażenie, że straciła władzę w nogach. *Jakby doznała paraliżu.*

— Nie, nie tędy! W prawo! Chodźmy w prawo! *Dominus* został wessany przez tłum. Nie widzę go. Musimy dotrzeć do bazyliki Julii! — Służka nie dawała za wygraną i bezskutecznie próbowała zmusić swą panią do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Temperatura nadal rosła. Na jej twarz padło silne światło, które oślepiło i parzyło. Etain krzyczała, ludzie wpadali na Oktawię, czuła, że upada, a następnie, że podnoszą ją dwie mocne ręce. Potem zemdlała.

Kiedy odzyskała świadomość, leżała we własnej lektyce. Przy sobie widziała tylko Etain, męża i tragarzy. Nie była już na Forum. Wszystko ucichło.

— Co... co się stało? — zapytała, nie kierując jednak swych słów do nikogo konkretnego. Nie wiedziała, kto mógłby jej odpowiedzieć.

— Nie pamiętasz? Zamieszki na Forum, w czasie pogrzebu...? — powiedziała Etain, łagodna jak zwykle.

— Tak, to pamiętam. Potem nic nie widziałam i zemdlałam. Sądziłam, że umieram...

— Mogło się tak stać, gdyby pewien mężczyzna niechwycił cię i nie wyniósł z tłumy. Gdy byłaś już bezpieczna, twojemu mężowi udało się cię odnaleźć. — Niewolnica uśmiechnęła się.

— Mężczyzna? Jaki mężczyzna? — zapytała Oktawia, wciąż oszołomiona, lecz nie na tyle, by nie ulec ciekawości.

— Ten centurion, który przyszedł do domu w idy na polecenie Lepidusa. Ten, który starał się nas obronić. Powiedział, że tym razem mu się udało... — dodała służka udając, że go nie zna.

Gajusz Cherea!

— Ten człowiek ma niezwykły dar trafiania we właściwie miejsce we właściwym czasie. Szkoda, że nie jest gladiatorem, moglibyśmy go przyjąć na twojego strażnika... — ironizował Marcellus.

Oktawia nie zważała na niego. Gajusz Cherea chronił ją, co dodawało jej sił i poczucia bezpieczeństwa, a tego zawsze jej w życiu brakowało. Teraz nie bała się już ani o siebie, ani o Oktawiana. Cokolwiek postanowi brat, będzie go wspierać.

— Przyjacielu, ktoś, kto czeka na zewnątrz, chciałby się z tobą zobaczyć — powiedział Salwidienus Rufus, wszedłszy do namiotu, w którym przebywał Oktawian.

Siedział zmartwiony, skulony, oparty plecami o łożo. Obok niego Agrypa chodził w kółko i sapał nerwowo niczym zwierzę w klatce. Młodzieniec podniósł głowę. Spojrzał ponuro na Rufusa, ale sprawiał wrażenie, jakby go nie rozpoznał.

Agrypa zbliżył się do niego.

— Nie widzisz, w jakim jest stanie? — syknął ze złością. — Starczy już tych wszystkich kondolencji, nikogo więcej nie wpuszczajcie. Chce pobyć sam, nie rozumiesz tego?

Rufus przytaknął i zachowując spokój, odpowiedział:

— Nie chodzi o kolejne wyrazy współczucia. Tym razem to coś innego...

Wziął go za rękę i poprosił, by udał się z nim na zewnątrz. Agrypa głośno przełknął ślinę i szeroko otworzył ze zdumienia oczy. Rufus był wyraźnie usatysfakcjonowany jego reakcją.

— Sądzę, że teraz możesz go przekonać, żeby wyszedł, czyż nie? — zaproponował szeptem.

Agrypa pokiwał dyskretnie głową. Podszedł do przyjaciela, przykucnął, wziął go za rękę i coś mu szepnął. Zdawało się, że Oktawian w końcu się otrząsnął, spojrzał na Rufusa, po czym szybkim ruchem wstał z ziemi. Przyjaciel zaprowadził go do wyjścia.

Pojawienie się Oktawiana na zewnątrz wywołało owacje. Rufus nie miał wątpliwości, że wśród tłumu zgromadzonego przed namiotem Oktawian rozpoznał wiele dziesiątek centurionów i *optiones*, którzy pochodzili z kohort niemal wszystkich legionów obozujących w pobliżu Apolonii. Na jego obliczu malowało się zdziwienie i niedowierzanie. Tymczasem *primus pilus*

z XIII legionu, który towarzyszył Cezarowi w marszu przez Italię po przejściu Rubikonu, wystąpił z szeregu i stanął tuż przed nimi.

Zapadła cisza. Wszyscy czekali, aż zaczną mówić.

— Panie, w imieniu wszystkich oficerów pragnę powiedzieć ci, że twój ból jest naszym bólem — rozpoczął centurion tak głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć. — Cezar sprawił, że poczuliśmy dumę z tego, iż jesteśmy Rzymianami; wpisał nas na stałe na karty historii i otrzymalibyśmy od niego o wiele więcej, gdyby nie został zgładzony przez tchórzy. Żaden inny wódz nie będzie tak opłakiwany przez swych ludzi, zapewniam cię, ponieważ żaden wódz nie potrafił dotąd prowadzić ich z odwagą, wytrwałością, poczuciem sprawiedliwości i wyrozumiałością, które cechowały Cezara. Dlatego pragnę, byś wiedział, że jesteśmy gotowi na wszystko, byleby sprawcy tej okrutnej zbrodni zapłacili za swój czyn. Jeżeli pragniesz zemsty na tych, którzy próbowali pozbawić przyszłości ciebie i twego wuja, musisz wiedzieć, że pozostajemy do twojej dyspozycji, gotowi ruszyć z tobą do Italii i u twojego boku stawić czoła każdemu niebezpieczeństwu. Będzie dla nas zaszczytem móc maszerować pod twoimi rozkazami, tak jak zaszczytem było maszerowanie pod jego rozkazami!

Zgromadzeni przyjęli owacjami tę krótką przemowę. Oktawian długo przyglądał się centurionowi, kiwając głową z łagodnym uśmiechem, następnie spojrzał na tłum oficerów i w końcu odnalazł wzrokiem swych dwóch przyjaciół.

— Wszyscy jesteśmy z tobą, Oktawianie. A z taką armią po powrocie do Italii nikt nie będzie w stanie cię pokonać — powiedział Rufus. Na początku był przerażony wiadomościami z Rzymu, ale teraz dostrzegał w tej nowej sytuacji sposobność, by przyspieszyć własną karierę. Ponownie nastał czas wojny domowej, a w czasie wojen domowych dzielni mężowie pną się do góry.

— Zgadzam się z Rufusem — oświadczył Agrypa, kiedy Oktawian zatrzymał na nim swój wzrok. — W Rzymie dojdzie do próżni władzy. Należy działać, zanim ci, którzy zabili Cezara, kimkolwiek są, zaczną łączyć siły.

— Pamiętaj, że właśnie szybkość działania doprowadziła Cezara do zwycięstwa po przejściu Rubikonu — kontynuował Rufus. — Jego wrogowie nie przypuszczali, że skieruje się do Italii, zwłaszcza że dysponował tylko jednym legionem. Ty masz ich dużo więcej, a Republika jest z pewnością

znacznie słabsza niż wtedy. Masz większe szanse na powodzenie niż on.

— Skoro pozbyli się Cezara, można przypuszczać, że będą chcieli wyeliminować również jego najbliższych współpracowników i krewnych. Uderzą w ciebie, jeśli ty nie uderzysz w nich pierwszy. Nie masz wyboru, musisz działać. — Agrypa potwierdzał wywody przyjaciela.

Oktawian wciąż milczał. Na jego twarzy malowało się skupienie, ramiona zdawał się przygniatać niewidzialny ciężar nieoczekiwanej presji. Rufusa zaczęły dopadać wątpliwości: czyżby postawił na niewłaściwego konia? Może jego przyjaciel nie miał odpowiednich predyspozycji, by stać się tak wielkim człowiekiem, za jakiego uważał go Cezar. A może po prostu zbyt wiele oczekiwano od tego młodego chłopca, schorowanego i zbyt wychuchanego od dnia narodzin.

— A jednak mam wybór — odezwał się w końcu Oktawian. — Nie ruszę na Rzym, jak zrobił to mój wuj. Nie uczynię tego, gdyż nie wiem, co mnie tam czeka, on zaś wiedział.

— Co więc zamierzasz? Uciec do Egiptu i tam okopać się z ludźmi, którzy pójdą za tobą, licząc na to, że skoro Kleopatra jest w Wiecznym Mieście, pewnie i ją zabiją? A może sądzisz, że królowa udzieli ci azylu i zbrojnego wsparcia, ponieważ jesteś siostrzeńcem jej kochanka? — naciskał Agrypa.

Rufus pokręcił głową. On nie zdobyłby się na taką szczerość.

— Nie mam zamiaru uciekać, jak sugerują mi rodzice, namawiając mnie, abym tu został — odpowiedział Oktawian. — Nie byłbym godny Cezara. Lecz Cezar był mądrym graczem, podejmował tylko dobrze przemyślane ryzyko, bo Rubikon był ryzykiem przemyślanym. Oczekiwałyby ode mnie, abym nie narażał się niepotrzebnie, dlatego nie będę podejmował lekkomyślnych kroków. W tej sytuacji atakna Italię sprawiłby, że uczyniłbym sobie wrogów ze wszystkich, także z tych, którzy mogliby stanąć po mojej stronie.

— Co więc chcesz zrobić, skoro ani nie uciekniesz, ani nie ruszysz na Italię? — Rufus rozłożył bezradnie ręce.

Oficerowie szeptali między sobą. Oktawian natomiast przemówił głośniej, tak aby wszyscy go słyszeli.

— Muszę się udać do kraju, lecz bez armii. Muszę tam wrócić jako zwykły obywatel, bo takim jestem, i zobaczyć, komu mogę zaufać. Sam ani nigdzie nie zajdę, ani nie zdołam się obronić przed ewentualnymi wrogami. Zamierzam się trzymać z dala od Rzymu, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

Dopiero wtedy będę w stanie coś powiedzieć.

Wśród oficerów pojawiły się głosy niezadowolenia.

— Słyszysz ich? Nie zgadzają się. Chcą, abyś ruszył na Rzym — powiedział Agrypa.

— Byłaby to decyzja podjęta pod wpływem impulsu, podyktowana wyłącznie emocjami — odpowiedział Oktawian. Wyraz jego twarzy był coraz bardziej stanowczy. W jego głowie powoli wszystko zaczynało się układać, a Rufus miał pewność, że nie zmieni już zdania.

— Jestem wam wszystkim bardzo wdzięczny za wsparcie, jakie ofiarujecie mi, bym mógł pomścić ukochanego wuja. Nikt bardziej niż ja nie pragnie, aby ci, którzy go zabili, zapłacili za swój postępek. Nie mogę jednak wywoływać wojny, nie wiedząc, ilu mam wrogów i jak są mocni. Nie mogę również zniechęcać tych, którzy mogliby wesprzeć mnie w działaniach, ponieważ, uwierzcie mi, przede mną nie lada wyzwanie. Od teraz będzie to mój jedyny cel: pomścić Cezara. Biorę was na świadków i tu, przed wami, przysięgam uroczyście na Wenerę, która spłodziła mych przodków, i na Marsa Mściciela. Muszę jednak wcześniej dobrze określić cel i sprawić, by ci, którzy byli szczerze przywiązani do Cezara, obdarzyli mnie zaufaniem. Teraz wiemy tylko tyle, że prawdopodobnie Antoniusz i Lepidus nie przyłożyli ręki do zbrodni. Podobnie Cynceron. W takim razie mogę im zaproponować pomoc i, jeśli ją przyjmą, wspólnie z nimi wymierzyć sprawiedliwość. Poza tym nie chcę, aby Rzym wciąż był na łasce silniejszego, nie chcę, by miastem rządził wódz, który akurat zdołał stanąć pod jego bramami z armią, a dzieje się tak od czasów Mariusza i Sulli. Pragnę, aby sprawy Republiki wróciły na właściwe tory. Trzeba działać w taki sposób, by Rzymianie w końcu mogli spokojnie poświęcić się swoim codziennym zajęciom, bez obawy o to, że uzbrojone oddziały zniszczą w jednej chwili to, co budowali i gromadzili przez całe życie! A zatem przyjmuję waszą propozycję. Dziękuję wam za zaufanie i względy, na które jeszcze sobie nie zasłużyłem. Kiedy przyjdzie pora, zwrócę się do was, abyście zechcieli wywiązać się ze swojej obietnicy. *Lecz dopiero gdy nadejdzie czas!*

Oktawian rozpoczął od wyjaśnień, ale jego ton stopniowo się zmieniał i wkrótce można było usłyszeć z jego ust prawdziwą przemowę skierowaną do żołnierzy, którzy coraz liczniej gromadzili się za oficerami. Początkowe niezadowolenie i rozczarowanie minęło. Zaczęły się pojawiać pierwsze

niepewne okrzyki zgody, które na koniec przeistoczyły się w prawdziwy entuzjazm. Każdy z oficerów podchodził do Oktawiana, aby go uścisnąć i podać mu dłoń; niektórzy poklepywali go po plecach, może nawet zbyt poufale. Chłopiec, nieco zmieszany, odwzajemniał gesty sympatii. Udało mu się nawet uśmiechnąć, co uspokoiło także Agrypę.

— Ech, żeby był takim wojownikiem, jakim jest mówcą!— powiedział do Rufusa. — Nawet mnie przekonał, a chciałem bez zastanowienia ruszyć na wrogów Cezara. Posłuchaj, przyjacielu: jeśli przejdziemy do historii, to tylko dzięki niemu! Jest naprawdę dzielny!

Rufus nie podzielał jego zapału. Owszem, nauczył się cenić inteligencję Oktawiana i miał świadomość, że co najmniej równoważyła ona jego fizyczne niedostatki. Niemniej jednak był przekonany, że aby stać się wielkim człowiekiem, niewystarczą słowa. Życzył jak najlepiej Oktawianowi i Agrypie, lecz jak daleko mogą zejść z ich ograniczeniami teraz, bezprotekcji Cezara?

Przystał do nich, ponieważ ich lubił i dopingowali go do działania, jak to bywa wśród prawdziwych przyjaciół, ale także dlatego że dzięki dyktatorowi otwierały się przed nimi wspaniałe perspektywy i Rufus nie widział nic zdrożnego w tym, że ceni ich również za to. Teraz jednak, kiedy zabrakło ich mentora, widział ich takimi, jacy byli: młodzi, niedoświadczeni, jeden wrażliwy, drugi pokorny, może nawet bez grosza przy duszy.

Obecnie nikt na nich nie postawi, a mimo to powinien mu jeszcze trochę zaufać. Będzie to jednak zaufanie warunkowe, zależne od wyników. Rzecz jasna, jeśli ich nie będzie... No cóż... ostatecznie nie znali się aż tak długo, by musieli być razem na zawsze...

IV

Żołnierz bez oka brnął przez las. Podtrzymywał jednego ze swych ludzi, dużo bardziej pokiereszowanego; jego rozcięte udo wyglądało tak źle, że brocząca krwią rana i zakrwawione ramię wodza rozbitej hordy wydawały się niewielkim draśnięciem.

Kobieta bez ręki czekała na nich, siedząc na koniu. Podjechała bliżej, lecz nagle zatrzymała się, ujrawszy wyłaniających się z leśnej gęstwiny pozostałych żołnierzy. Wszyscy nosili ślady przegranej walki. Próbowała ich policzyć, ale po pojawieniu się piętnastego rannego zrozumiała, że nikt poza nimi nie przeżył potyczki. *Nikt inny.*

Spojrzała na swojego mężczyznę w nadziei, że skinie w jej kierunku dłonią, dając znak, aby się nie martwiła, i powie, że pozostali przybędą później. Wiedziała jednak, że on zawsze wycofuje się ostatni. Gdy ze smutkiem malującym się na twarzy potrząsnął przecząco głową, miała już pewność, że przegrali. Ostatecznie.

Nie było potrzeby go pytać. Nie będą mieli kolejnej szansy. W tych stronach, gdy jakiś klan lub wódz przegrywali, choćby jeden raz, żaden wojak nie wstępował ponownie w szeregi jego armii. Nikt nie chciał bowiem podlegać dowódcy, z którym nie udało się zdobyć łupów lub pokonać innego plemienia.

Nie miała więc żadnej możliwości, by odzyskać berło, które należało do jej ojca. Wraz z przegraną w bitwie, o którą tak długo zabiegali, runęły wszystkie jej marzenia. Może zawiniła ich wielka niecierpliwość: tak bardzo chcieli stoczyć tę walkę, że nie zaplanowali jej wystarczająco dokładnie, zgodnie z tym, czego nauczycy się od Cezara w Rzymie.

Zbliżył się do niej i upadł na ziemię wraz z żołnierzem, którego podtrzymywał. Poczula bijący od ich ciał odór potu i krwi i usłyszała ciężki oddech – byli wycieńczeni i zniechęceni. Spojrzał na nią tylko przez chwilę. Milczał. Kobiecie bez ręki wydawało się jednak, że dostrzegła w jego oczach wyrzut. Posłała go na rzeź, tak. Teraz wiedziała, że to, co jej zapowiedział przed walką, było prawdą. Dlatego zabronił jej uczestniczyć w bitwie. Był pewny, że przegrają, i nie chciał dopuścić, by zginęła. Lecz z miłości – z miłości do niej – sam poszedł do boju.

Czując zakłopotanie, a może nawet wstyd, postanowiła coś powiedzieć. Spojrzała na pozostałych żołnierzy. Obdarci i poranieni kładli się na ziemi wokół niej, na polanie, gdzie czekała na rezultat bitwy. Odezwała się do swego mężczyzny:

— Wiem... Należało zaczekać. Byłam zbyt niecierpliwa.

Kosztowało ją to wiele, bo nie lubiła się przyznawać do porażki. Nie była godna germańskiej księżniczki.

Wojownik, podniósłszy wzrok, spojrzał na nią jedynym okiem. W bitwie zgubił przepaskę i teraz kobieta mieszała się na widok pustego oczodołu i pionowej szramy, ponieważ nie przywykła do tego widoku.

— Nie ma sensu robić sobie wyrzutów. Musimy pomyśleć, jak odbudować armię, a potem zaczekać na lepszy moment, by uderzyć — oznajmił poważnym tonem.

Uśmiechnęła się smutno. Wiedziała doskonale, że mówi to przez wzgląd na pozostałych wojowników, aby nie odbierać im resztek odwagi. Nawet on sam w to nie wierzył.

Próbowała zmienić temat.

— Jak poszło? — zapytała, chociaż przebieg walki zupełnie jej nie interesował.

— O czym tu mówić? Było nas niewielu w porównaniu z armią uformowaną przez twojego kuzyna. Kiedy dałem sygnał do ataku, poszła z nim co najmniej jedna trzecia naszych. Odwrót był niemożliwy, musiałem walczyć. I oto wynik... — dodał, pokazując ocalałych, teraz opatrywanych już przez swoje kobiety. Pozostałe, zrozumiałwszy, że ich mężów nie ma pośród obecnych, padały na kolana, krzycząc i rwąc włosy z głowy.

Księżniczka wzięła z wozu zioła i bandaże przygotowane przez ludzi z klanu. Zsiadłszy z konia, zaczęła oczyszczać ranne ramię swojego mężczyzny. Drugim żołnierzem zajęła się córka, więc kochankowie mogli porozmawiać swobodniej.

— Niedługo owdowiałe kobiety zaczną na nas krzywo patrzeć — powiedziała.

— Być może także towarzyszki ocalałych — przytaknął mężczyzna. — Będą ich obwiniać, że nie stanęli po stronie twojego kuzyna. Możliwe nawet, że uda im się przekonać mężów, iż jesteśmy przegraną stroną. Teraz nie ufam już nikomu. Nasze głowy mogą się stać cennym łupem, bo ci, którzy nam je zetną, na pewno na tym skorzystają.

Rozglądając się dookoła, napotykała pełne urazy spojrzenia mężczyzn i kobiet, którzy zaledwie parę lat wcześniej z poświęceniem walczyli pod rozkazami jej ojca – Ariowista. Tak, patrzyli na nią ze złością, ponieważ pchnęła ich do beznadziejnej walki, wykorzystując autorytet nieżyjącego już od jakiegoś czasu ojca. Nie udało jej się pozyskać tych ludzi. Po latach spędzonych u Juliusza Cezara i Pompejusza Wielkiego z trudem zdołała nakłonić garstkę, która przystała do niej wyłącznie wabiona korzyściami, jakie im obiecała. Korzyściami, których nie mogła im już zapewnić.

— Co więc sugerujesz? — zapytała zniechęcona.

— Pozostaje tylko jedno wyjście. Pomóc może nam Cezar. Perspektywa naszego przymierza z Rzymem mogłaby mu się wydać zachęcająca, lecz wcześniej musimy połączyć plemiona Swebów.

Kobieta długo się zastanawiała, po czym pokiwała twierdząco głową.

— Wracamy zatem do Rzymu. Sami?

— Sami — odpowiedział, wyczuwając rosnącą wrogość mężczyzn, których właśnie poprowadził na pewną śmierć.

Oktawian opuścił Italię zaledwie przed czterema miesiącami, lecz miał wrażenie, że upłynęły całe wieki. Świat zmienił się w tym krótkim czasie nie do poznania, ale przede wszystkim zmienił się on sam. W jego życiu nastąpił zwrot, którego nigdy by się nie spodziewał. Wystarczyło zaledwie kwartał, by bezpieczna droga, po której kroczył jako najpotężniejszy człowiek na ziemi, przeistoczyła się w ścieżkę, na której był skazany na łaskę swych nieprzyjaciół.

Aby przeżyć, musiał zaplanować wszystko na nowo, a może nawet zmienić sposób myślenia. Snuł swoje rozważania, schodząc ze statku, którym celowo dobił do brzegów Lecce, a nie Brundyzjum, gdzie mogliby się go spodziewać. Wcześniej oczekiwał, że wuj zadba o wszystko, że przygotuje jego karierę i uczyni go jednym z najważniejszych ludzi w Rzymie. Teraz musiał porzucić swe aspiracje i skupić się przede wszystkim na tym, jak ocalić skórę. Ocena sytuacji i decyzja co do kolejnych kroków wymagały czasu.

Być może okaże się, że niewiele da się zdziałać bez ochrony Cezara, bez majątku, klienteli, doświadczenia politycznego. Jedyne, co miał, to wątłe zdrowie. Potrząsnął głową. Nie chciał się przyznać przed przyjaciółmi,

Agrypą i Rufusem, którzy towarzyszyli mu w niebezpiecznej podróży powrotnej do Rzymu, że czuje się przytłoczony śmiercią wuja. Nie miał nic i choć ponad wszystko pragnął go pomścić, nie miał ani środków, ani siły, by dać o sobie usłyszeć.

W Apolonii – stojąc przed żołnierzami, którzy dali mu kredyt zaufania – pokazał, że jest zdecydowany, ale uczynił to tylko po to, by nie okazać się niegodnym ich wiary i pamięci o Cezarze. Podróż po morzu dała mu jednak czas na rozmyślenia i teraz, będąc zmuszonym stawić czoła rzeczywistości, zdał sobie sprawę, że jest nic nieznaczącym pyłkiem, bez możliwości kierowania losem gigantów toczących spór o władzę. Chciał się zwierzyć przyjacielowi, ale Agrypa nie tracił determinacji i ufności, toteż Oktawian obawiał się, że go rozczaruje. Postanowił milczeć. Przynajmniej dopóki nie dowie się, jak zmieniła się sytuacja w ciągu przeszło dwóch tygodni od śmierci dyktatora.

— Musimy zachować ostrożność. Co robimy? — zapytał Agrypa, czytając niemal w jego myślach.

— Informacje. Bardziej niż czegokolwiek innego potrzebujemy informacji. Z tego, co nam wiadomo, możemy się znajdować w stanie wojny domowej — odpowiedział.

— Powinieneś więc zostać tutaj. Jeszcze parę miesięcy temu brałeś udział w triumfalnym pochodzie Cezara i ktoś mógłby cię rozpoznać — powiedział Rufus. — My przejdziemy się trochę i spróbujemy zbadać grunt. Gdy zorientujemy się, jak sprawy stoją, będzie nam łatwiej ustalić plan działania. Zgadzasz się?

Oktawian przytaknął i przyjaciele zniknęli między budynkami za portem. Zobaczył, jak Agrypa wchodzi do tawerny, i był pewny, że wkrótce wyjdzie stamtąd z jakimiś wiadomościami. Klienci portowych karczm przybywający z wybrzeży całego półwyspu czynili z takich miejsc kopalnie wiedzy.

Nagle poczuł, że dopada go strach. A jeśli mordercy Cezara przejęli już stery władzy w Republice? Jeśli usuwają ze swej drogi wszystkich cezarian? Czy wyznaczyli nagrodę za jego głowę? W każdej chwili mógł zostać śmiertelnie pchnięty przez byle rzezimieszka. Może jednak warto było posłuchać rad matki i pozostać w Ilirii?

Zastanawiał się, czy przemawia przez niego tchórzostwo, czy po prostu lenistwo. Częstotliwość, z jaką chorował, słabość i niemoc, które często go dopadały, dawały mu wymówkę, by unikać cięższych prac i wszelkiego

ryzyka. Gdyby jednak nie miał podobnych ograniczeń, czy byłby w stanie podejmować niebezpieczne wyzwania? Nie umiał tego powiedzieć, w tym problem – nie wiedział, z jakiej gliny był ulepiony. Lecz, koniec końców, Cezar wierzył w niego, wszak nie pokładałby tak wielkich nadziei w tchórze. Widocznie dostrzegł w nim coś, o czym sam Oktawian jeszcze nie wiedział. Miał jednak wrażenie, że cokolwiek to było, szybko uda mu się to odkryć.

Ujrzawszy powracających Agrypę i Rufusa, poczuł, że drżą pod nim nogi. Nagłe uczucie pustki w żołądku szarpnęło nim i wymiotował. Jego organizm często reagował w ten sposób na lęk. Dopadł go dobrze mu znany ból, jakby za ciasna zbroja zaciskała się na jego piersi. Miał ochotę uciec, by nie usłyszeć, z czym wracają przyjaciele. Bał się tego, co ustalili.

— Przynosimy wyjątkowo zaskakujące wiadomości, Oktawianie — powiedział Agrypa podniesionym głosem, ponieważ był jeszcze dość daleko.

Oktawian zaniepokoił się. Wymawianie tak głośno jego imienia nie było zbyt rozsądne.

— Tak, naprawdę zaskakujące — wtórował mu Rufus.

Wyimaginowana zbroja zaciskała się coraz mocniej. Ponownie zakaszłał i niemal poczuł, że się dusi.

— Jest jeszcze jeden Juliusz Cezar — oznajmił uroczyście Agrypa.

— Otóż to! Ty nim jesteś — dodał Rufus, uśmiechając się.

— Co takiego?

Nie mogli powiedzieć mu nic bardziej tajemniczego.

— Dobrze słyszałeś, mój przyjacielu. Cezar cię adoptował. Jesteś nieomal jedynym jego spadkobiercą. Marek Antoniusz otworzył testament dwa dni po jego śmierci.

Oktawian czuł, że nogi się pod nim uginają. Agrypa podbiegł w porę, by go podtrzymać. Upewniwszy się, że chłopiec może stać o własnych siłach, cofnął się.

— To niemożliwe. Jest przecież Marek Antoniusz. Lucjusz Pinariusz, Kwintus Pediusz, są potężniejsi ode mnie... — odpowiedział, z trudem rozpoznając własny głos.

— Z tego, co usłyszeliśmy, zostałeś nie tylko adoptowany, ale należą ci się również dwie trzecie jego majątku; twoim kuzynom zaś ledwie jedna trzecia — uściślił Agrypa.— Rzymianie otrzymują trzysta sestercji na głowę, Marek Antoniusz dziedziczy dopiero w drugiej linii, natomiast Decymus Brutus Albinus, który zamordował Cezara, został wymieniony jako spadkobierca

dopiero w trzeciej linii. O tym właśnie mówią ludzie: że Cezar został zabity również przez jednego z ludzi, których uznał za godnych dziedziczenia jego majątku.

— Niewiarygodne, niewiarygodne... — mamrotał Oktawian. — Kto jeszcze go zabił?

— Wymienia się wiele imion. Wiesz, jak to jest z żołnierzami z prowincji, wszyscy są gadatliwi i plotą jeden przez drugiego, chcąc pokazać, jak wiele wiedzą. Nie można mieć jednak pewności, że wszystko jest prawdą — odpowiedział Rufus. — Oprócz tych, o których już wiedzieliśmy, mówi się także o Gajuszu Treboniuszu, Serwiliuszu Kasce i jego bracie, Longusie, Lucjuszu Tiliuszu Cymberze, Lucjuszu Poncjuszu Aquili, Decymusie Turulliuszu, Publiusz Sekstusie Nazonie, Sulpicjuszu Galbie oraz innych, których imion nie pomnę.

— Jest ich dużo. Zważ, że na ciele Cezara doliczono się dwudziestu trzech ran kłutych.

Oktawian odzyskał zimną krew. Znowu mógł trzeźwo myśleć. To, czego się dowiadywał, było niepojęte. Zdawał sobie sprawę, że jeśli mordercy Cezara dojdą do władzy, niewiele będzie mógł zrobić. A skoro było ich aż tylu, obawiał się, że usłyszy, iż im się to udało. Bał się, zadając kolejne, nieuchronne pytanie. Małomówność przyjaciół niepokoiła go i nie pozwalała mu się cieszyć, choć miał ku temu powody. W końcu ciężko westchnął i zapytał:

— Czy żyją? Są na wolności? Co się dzieje w Rzymie?

— Sytuacja jest niezwykle skomplikowana. Ja również nie potrafię tego zrozumieć i właściwie nikt nie jest w stanie do końca tego wyjaśnić — przyznał Agrypa. — Wygląda na to, że ludzie cieszący się autorytetem, tacy jak Cynceron, zaproponowali, by ogłosić amnestię dla morderców i umożliwić im objęcie stanowisk, na które powołał ich Cezar.

— Ależ to niebywałe! Najpierw go zabili, a teraz trzymają się kurczowo tego, co im podarował! — oburzył się Oktawian. — Co więcej, inni się na to godzą! Do tego Cynceron! Zawsze nienawidził Cezara. Możliwe, że on także brał udział w spisku!

— Cóż, wiadomo, że mordercy skandowali jego imię, gdy zabili dyktatora... — zauważył Rufus. — Twierdzą jednak, że dokonali tego czynu, by przywrócić Republikę, a Cynceron jest dla nich symbolem prawa.

— Republika funkcjonuje dzięki Cezarowi! — podkreślił Oktawian. —

Czym teraz będzie bez niego państwo? Mordercy przywłaszczyli je sobie! Chcą doprowadzić do sytuacji, w której będą mogli robić wszystko. Czy nikt nie potrafi się temu przeciwstawić? Nikt nie chce pomścić Cezara? Co robi Marek Antoniusz? A Lepidus? A naród, który stał się bogaty dzięki Cezarowi?

— Część ludzi twierdzi, że Antoniusz się boi, dlatego zawarł z nimi układ. Z drugiej jednak strony wielu uważa, że właśnie dzięki niemu uniknięto wojny domowej. Lepidus z kolei nie przyłączył się do żadnej partii, jakby czekała rozwój wydarzeń. Tak więc pośród wysoko postawionych osób nikt nie sprzeciwił się wyraźnie cesarobójcom. Wręcz odwrotnie, naród jest wzburzony. Prawdopodobnie były już próby ataków na dom Marka Brutusa i Kasjusza, którzy – podobnie jak pozostali zabójcy – rzadko się pokazują, a jeśli to robią, zabierają ze sobą gladiatorów Decymusa Brutusa — wyjaśnił Agrypa.

Oktawian się zamyślił.

— Antoniusz jest sam, dlatego się tak bardzo boi — odrzekł w końcu. — Nie wie, na kogo może liczyć... Jestem jednak przekonany, że pragnie pomścić Cezara.

— Tak... Pewnie dlatego, zgodnie z tym, co mówią, dwa dni po jego śmierci oddał w niewolę zabójcom własnego syna, a następnie zaprosił na ucztę Kasjusza. Lepidus z kolei gościł Marka Brutusa. Bez wątplenia po to, by pomścić Cezara... — ironizował Rufus.

Oktawian zamilkł, lecz na jego twarzy malowała się pogarda.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytał Agrypa, przyglądając mu się badawczo. — Przyjęcie spadku w takich okolicznościach może być bardzo niebezpieczne...

— To prawda. Zresztą nie tylko z powodu cesarobójców — dodał Rufus. — Antoniusz bardzo źle przyjął wiadomość o tym, że nie został wyznaczony na głównego spadkobiercę. Będziesz potrzebował jego pomocy, przy wszystkim, ale nie sądzę, by rad był ci jej udzielić... Z pewnością nie będzie chciał się narażać dla młokosa.

— Ale musi to zrobić. Skoro nie zdradził Cezara, będzie chciał go pomścić, kiedy tylko znajdzie ku temu sposobność — odparł z przekonaniem Oktawian. — A ja, dzięki bogactwu Cezara, dam mu ją!

— Czy nie zamierzasz przypadkiem wywołać wojny domowej? — zapytał Agrypa. — Tamci muszą mieć mocną pozycję, skoro ogłoszono dla nich

amnestię. Kiedy obejmą prowincje przydzielone im przez Cezara na następny rok, jeszcze bardziej urosną w siłę.

— Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Dzięki pieniądzom pozyskam w imię sprawiedliwości ważne osoby, a także cały naród. Natomiast mając Antoniusza na czele zwolenników Cezara, zdobędziemy wielu sympatyków. W ten sposób mordercy zostaną sami i będziemy mogli postawić ich przed sądem, tam gdzie ich miejsce. Nie zaznam spokoju, dopóki każdy z nich, od pierwszego do ostatniego, nie zapłaci za swą zradę... Ponieważ dopuścili się nie tylko morderstwa, ale również zdrady wobec swego dobroczyńcy!

— Nie masz klienteli, nie masz popleczników... — Rufus pokręcił głową.

Oktawian podniósł dumnie czoło i spojrzał na przyjaciela czujnym wzrokiem, w jego oczach płonął ogień. Cezar nareszcie pokazał mu drogę! Jego życie ponownie wstąpiło na wyraźnie wytyczoną ścieżkę.

— Jestem teraz spadkobiercą Cezara! — odrzekł z dumą.— Sami widzieliście, że wszyscy żołnierze byli gotowi pójść za mną. Pójdą także za tymi, którzy kochali Cezara. Tak samo będzie z narodem, o ile prawdą jest, że oplakuje go i nienawidzi jego morderców. Muszę natychmiast pomówić z Antoniuszem, ale także z Cycleronem. Pierwszego powinienem przekonać, że nie jestem dla niego zagrożeniem, a drugiego – że nazwisko mojego adoptowanego ojca nie czyni ze mnie zagrożenia dla państwa. Z nimi u mego boku rozgromimy wszystkich, którzy dopuścili się tego okrucieństwa, i podejmiemy dzieło w miejscu, w którym przerwał je Cezar. Dopiero co zaczął odbudowywać Republikę i prostować wszystkie jej błędy, niewłaściwe decyzje, które doprowadziły do trwających kilka dekad wojen domowych oraz dały dostęp całej rzeszy niekompetentnych, krótkowzrocznych chciwców do głównych stanowisk w państwie. Zadbamy, by jego dzieło zostało ukończone!

— My? — zapytał entuzjastycznie Agrypa, zachowując się jak dziecko.

— Oczywiście, my: ja i wy dwaj. A także każdy, kto zechce do nas dołączyć. Czyż nie jesteście moimi najdroższymi przyjaciółmi?

Agrypa pokiwał głową z przekonaniem, a Rufus podążył jego śladem, nie przejmując się skrywanymi wątpliwościami.

— A zatem zdecydowałeś, że staniesz do walki i będziesz bił się do końca w tej niemal nierealnej bitwie? — spytał z wyraźnym grymasem na twarzy.

— Nie jest nierealna, Rufusie — odpowiedział sucho Oktawian. — Cezar podejmując pewne decyzje, uznał, że jestem w stanie podjąć to wyzwanie.

Moim obowiązkiem jest mu uwierzyć. Uwierzyć do końca...

Przejście pod rozkazy Antoniusza powinno być dla żołnierza Lepidusa formą nagrody – mówił sobie w duchu Gajusz Cherea, starając się dotrzymać kroku dziarskiemu konsulowi. Marek Antoniusz był głównym namiestnikiem Cezara, mimo że nie uczestniczył w jego ostatniej kampanii, i cieszył się prestiżem znacznie większym niż *magister equitum*. Zajmował się również rzeczami dużo bardziej interesującymi niż on. Na pewno przechodząc pod jego rozkazy, centurion mógł liczyć na duże zmiany w swym życiu. Gajusz właśnie towarzyszył mu w drodze do królowej Egiptu – Kleopatry. Konsul chciał się z nią pożegnać, ponieważ kochanka Cezara szykowała się do powrotu do swojego kraju. Jej obecność drażniła Rzymian i właściwie każdy obywatel czekał, by jak najszybciej zniknęła z miasta, zwłaszcza teraz, kiedy nie mogła już liczyć na ochronę dyktatora.

W czasie gdy Antoniusz przebywał u królowej, Gajusz otrzymał zadanie pilnowania strażników stojących pod jej domem. Przez cały czas pobytu w Rzymie Kleopatra – w związku z chłodnym przyjęciem, z jakim spotkała się na dworze Cezara – zajmowała pełen przepychu *domum* na Awentynie, wiodąc tam dość spokojny żywot.

Odwiedziny Marka Antoniusza u królowej przedłużały się. Centurion był zmuszony upomnieć swoich żołnierzy, którzy wraz z upływem czasu mieli coraz większe trudności z powstrzymaniem chichotów. Z drugiej strony nie mógł ich winić. Kiedy Kleopatra przybyła do Wiecznego Miasta, nikt nie miał wątpliwości, że pożądała Cezara, najpotężniejszego człowieka w Republice, przede wszystkim powodowana pragnieniem ocalenia własnego królestwa i utrzymania jego niezależności. I skoro z taką łatwością oddała się mężczyźnie dużo starszemu od niej, dlaczego miałaby mieć opory przed związaniem się z kolejnym najbardziej znaczącym człowiekiem w mieście, skoro był on w kwiecie wieku, przystojny i silny, a na dodatek cieszył się reputacją bywalca i nałogowego kobieciarza. Sam Gajusz był właściwie pewny, że nie spotkali się po to, by powiedzieć sobie po prostu „do widzenia”. Uznał również, że nie może w żaden sposób powstrzymać swoich ludzi przed rozsiewaniem plotek. O tym szczególnym pożegnaniu szybko dowiedzą się wszyscy... bez względu na to, co kryło się pod pozorami.

Poza tym wyraz twarzy Antoniusza po zakończonym spotkaniu był jednoznaczny – każdy wyczytałby w nim zadowolenie i satysfakcję. „Owszem, mogła to być tylko złośliwa interpretacja żołnierzy, tak bardzo lubujących się w obmawianiu swoich dowódców” – tłumaczył sobie w duchu Cherea, odprowadzając konsula na kolejne spotkanie, które także mogło skutkować licznymi plotkami.

Antoniusz przyszedł do domu Marka Juniusza Brutusa, by tam spotkać się z nim i z Kasjuszem Longinusem. W tamtym czasie lud rzymski nikogo nie darzył większą nienawiścią. Senat był jednak wolny od takich uprzedzeń, poza tym Antoniusz – jako najpotężniejszy i najbardziej szanowany człowiek w Rzymie – mógł robić, co chciał. Wszystko wskazywało na to, że ludzie pragną nowego Cezara, kogoś, kto swym autorytetem uchroni ich przed nowymi wojnami domowymi, a on zdawał się być jedynym, który mógłby to dla nich uczynić. Zawieranie układów z konspiratorami, w taki sposób, by nie zostać posądzonym o tchórzostwo i zdradę, uczyniło z niego mediatora.

Gajusza Cherei nie interesowało zbytnio, co mieli sobie do powiedzenia Antoniusz i Kleopatra. Zgoła inaczej miała się sprawa rozmów prowadzonych przez osoby uczestniczące w kolejnym spotkaniu. Centurion miał ochotę poznać każde słowo, które tam pada. Wpatrywał się w oddzielające go od nich drzwi. Pragnął posiadać tajemną moc, która pozwoliłaby mu przebić się przez drewno, by mógł śledzić przebieg wydarzeń po drugiej stronie. Tym razem jego żołnierze stali nieruchomo, on natomiast nerwowo spacerował tam z powrotem.

Wtem drzwi się otworzyły. Gajusz pomyślał przez moment, że posiadał nadprzyrodzoną siłę. Było to jednak tylko złudzenie, gdyż po drugiej stronie stał Antoniusz, to on je otworzył. Centurion z trudem zmobilizował swój umysł, by zrozumieć polecenie przełożonego: miał wejść do środka!

Jego zdenerwowanie rosło, kiedy zbliżał się do konsula i przekraczał próg. Znalazł się w wystawnym triklinium, którego ściany pokryte były zdobionymi panelami i ramkami z wielokolorowymi intarsjami. Na malunkach motywy zwierzęce przeplatały się z ludzkimi postaciami ze świata mitów. Na wysokich piedestałach ustawione były pochodnie, które oświetlały pomieszczenie niemal jak słońce za dnia. Pośrodku ustawiono w podkowę pokryte pomarańczowym sukniem sofy, na których spoczywali zgromadzeni, zajęci przegryzaniem owoców leżących na okrągłym stoliku.

Gajusz rozpoznał wśród gości tych, którzy szczylicili się uczestnictwem

w przestępstwie w dniu id marcowych – zakładając, że było to przestępstwo, ponieważ wielu uważało, iż nie należy rozpatrywać ich czynu w takich kategoriach. Z drugiej strony ludzie ci wciąż chodzili po Rzymie bezkarni. Nie dość na tym, sam konsul dawał im poczucie bezpieczeństwa.

— Cóż, drodzy przyjaciele — odezwał się głośno Antoniusz — skoro sami nie jesteście przekonani, może powinniście usłyszeć opinię kogoś, kto żyje wśród zwykłych ludzi. Żołnierzowi dużo łatwiej niż nam, osobom wysoko postawionym, obserwować nastroje obywateli. Jest centurionem i można założyć, że potrafi wydać wyważony osąd. Jak masz na imię?

— Gajusz Cherea, panie — odpowiedział speszony oficer.

— Dobrze, Gajuszu Chereo. Jak widzicie, czcigodni obywatele, nawet się nie spodziewałem, że zostanie wezwany, i wydaje się zmieszany, pod warunkiem że nie jest aktorem. Nie wie nawet, o co go zapytam, możecie mu więc zaufać. Nic tu nie zostało ukartowane, niczego nie przygotowywano. A więc, centurionie — kontynuował, zwracając się do Cherei — co mówi lud o tych, którzy twierdzą, że oswobodzili go od tyranii Cezara? Czy po zamieszkach, jakie wybuchły w dniu pogrzebu, powrócił spokój? Czy naród pogodził się z nowym stanem rzeczy oraz z tym, że kara ominęła tych, którzy nazywają siebie wyzwolicielami?

Pytanie było niewygodne. Gajusz nie wiedział, jakiej odpowiedzi spodziewa się Antoniusz; nie wiedział, czy konsul chce usłyszeć prawdę. Bał się także, by nie zrazić do siebie wysoko postawionych ludzi. Mordercy Cezara należeli do najbardziej wpływowych osób w Rzymie, a niektórzy z nich piastowali lub mieli piastować urzędy, które dawały im moc decydowania o losie obywateli. Tak więc, cokolwiek by powiedział, bez względu na odpowiedź, jakiej by udzielił, z pewnością uczyniłby sobie z kogoś wroga, który będzie w stanie zniszczyć go w jednej chwili.

Antoniusz postawił go w trudnej sytuacji. Nagle Gajusz poczuł, że go nienawidzi.

— Nie obawiaj się, centurionie. Wszyscy tu obecni chcą poznać prawdę — usłyszał słowa zachęty.

Wyczuł, że Antoniusz naprawdę chce wiedzieć, jak się mają sprawy; w przeciwnym razie nie podkreślałby tego, raczej uprzedziłby go przed spotkaniem. Centurion poczuł na sobie spojrzenia obu gości. Przyjrzał się każdemu z osobna, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście zabili dyktatora, dlatego że uważali się za szczerych republikanów i walczyli z wszelką formą

monarchii. Kasjusz – mózg spisku, o wyniosłym obliczu i nieprzyjaznym wyrazie twarzy. Marek Brutus – elegancki i uprzejmy, a jednocześnie niezdecydowany i łasy na pieniądze. Wszyscy pozostali zdążyli się już ulotnić. Decymus Brutus Albinus, najbardziej oddany ze zwolenników Cezara, a tym samym najpodlejszy ze zdrajców, przebywał już w Galii, gdzie objął prowincję, którą dyktator przydzielił mu po ośmiu latach ciężkich walk; Gajusz Treboniusz – od lat nietolerujący hegemonii, mimo że do ostatnich chwil czerpał z niej korzyści, udał się do Azji, by objąć urząd, wyprzedzając terminy ustalone przez Cezara; Kwintus Ligariusz podążył prosto do Afryki, gdzie dyktator zesłał go niegdyś, by następnie mu wybaczyć; bracia Kaska, Publiusz i Serwiliusz, którzy nigdy nie znaleźli przy Cezarze miejsca, o jakie zabiegali, tylko i wyłącznie z winy ich własnej niekompetencji; w końcu Sulpicjusz Galba, Lucjusz Tiliusz Cymber, Poncjusz Aquila, Kasjusz z Parmy, Minucjusz Basylus oraz wszystkie drugoplanowe postaci, których dyktator nie uznał za wystarczająco dzielne, by przyjąć w poczet swych współpracowników, a które uznały, że łatwiej zrobią karierę, jeśli się go pozbędą. Cherea nie umiał sobie jednak przypomnieć wszystkich imion.

Tak czy inaczej, ludzie, przed którymi stanął, nie zawahali się zdradzić zaufania i zabić najpotężniejszego człowieka na świecie. Prawdopodobnie także najlepszego na świecie. Dlaczego więc mieliby odczuwać skrępowanie, gdyby przyszłom się pozbyć także jego? Nie miał jednak wyboru. Nabrał więc powietrza w płuca i w końcu przemówił. Ale jego głos brzmiał jak głos kogoś, kto odczytuje własne epitafium.

— Ja... ja i moi ludzie otrzymaliśmy rozkaz tłumienia zamieszek w ostatnich dniach. Zwłaszcza w Suburze, gdzie Cezar spędził dzieciństwo, byliśmy zmuszeni robić naloty w karczmach i wyrzucać pijanych ludzi, którzy... mówili... niebezpieczne rzeczy.

— Jakie rzeczy? — odezwał się Kasjusz.

Najgorszy ze wszystkich. Był powszechnie znany z zawziętości i mściwości. Wielu twierdziło, iż zabił Cezara w odwecie za to, że ten obsadził na stanowisku miejskiego prefekta Brutusa, a nie jego.

Cezarobójca utkwiał wzrok w Gajuszu, jakby chciał przeszyć go na wylot wrogą ciekawością. Cherea odchrząknął. Sytuacja robiła się coraz bardziej niebezpieczna.

— Cóż, no więc... pretorze... mówili, że staną pod domami niektórych z was i że rzucą się na was ze sztyletami, aby... odplacić wam za to,

co uczyniliście Cezarowi. Dwadzieścia trzy pchnięcia sztyletem. Tak szeptali.

Nareszcie! Powiedział to. Poczul, jakby ktoś przyłożył mu do piersi ostrze noża, które naciskając, nie dawało mu oddychać. Kasjusz wciąż mu się przypatrywał, nie rzekłszy ani słowa, podczas gdy Marek Brutus zdawał się poruszony.

— Słyszeliście? To samo wam powiedziałem! Mów dalej, centurionie, mów dalej — zachęcał Antoniusz. Wyglądało na to, że cieszy się z tego, co usłyszał. Przynajmniej on nie był wrogo nastawiony. Nie to co inni... Cóż, wyraz twarzy Kasjusza mówił sam za siebie.

Cherea zawahał się przez moment. Nie miał już jednak drogi odwrotu.

— Niektórzy namawiali, aby nie podporządkowywać się poleceniom, które wydajecie jako urzędnicy — kontynuował bacznie obserwowany przez konsula — ale w zasadzie to najłagodniejsze wypowiedzi. W porównaniu z pozostałymi były to śmieszne pogroźki godzące w porządek publiczny. Tłumiliśmy burdy uliczne, w których ludzie w imię Cezara i pamięci o nim rzucali się na tych, którzy nie mieli zamiaru ronić po nim ani jednej łzy. Inni znowu krzyczeli, że będą rzucać głązy z Kapitolu, gdy tylko zobaczą was idących po Forum. Byli też tacy, którzy mówili, że jeśli senat nie zechce przeprowadzić procesu w waszej sprawie, sami was skazą i wykonają wyrok.

— Myślę, że wystarczy, centurionie — przerwał mu Antoniusz. — Ogólny obraz, jaki nam przedstawiłeś, jest wystarczająco jasny. Teraz, tylko mów szczerze, czy dla kogoś, kto – słusznie czy też nie – odważył się zabić Cezara, w Rzymie jest bezpiecznie? Czy ci ludzie mogą spokojnie sprawować swoje urzędy?

Gajusz ponownie spojrział na, jak ich zwano, wyzwolicielei.

— Hm... Rzekłbym, że nie, panie. Nie, zdecydowanie nie.

— Czy zatem ich obecność jest źródłem niepokojów?

— Tak.

— A czy oni sami narażają swe życie?

— Wydaje się, że tak właśnie jest.

— Dobrze. Słyszeliście, przyjaciele? — konsul zwrócił się do dwóch pozostałych. — Uczyniłem wszystko, by zapewnić spokój i stłumić zamieszki. Jeśli jednak czym prędzej nie udacie się do prowincji, które przydzielił wam Cezar, dłużej nie będę w stanie zapewnić wam bezpieczeństwa. — Następnie ponownie zwrócił się do Gajusza: — To

wszystko, centurionie. Możesz odejść.

Ten skinął z szacunkiem głową, jednak napotkawszy ponownie wzrok Kasjusza, poczuł, jak po plecach przechodzi mu dreszcz. Smętnym krokiem opuścił salę, świadomy tego, jak niewielką wartość ma teraz jego życie. Lecz kiedy poza ścianami tamtego pomieszczenia odzyskał pewność siebie, pocieszał się myślą, że „wyzwoliciele” mają chyba inne zmartwienia. Antoniusz się nie mylił: atmosfera panująca w Rzymie nie była teraz dla nich korzystna i z pewnością byliby bezpieczniejsi za granicą. Nieprzypadkowo większość z nich opuściła już kraj. Po cóż mieliby zaprzętać sobie głowę zwykłym centurionem, który po prosu przekazał im opinię ludzi? Koniec końców, jasno dał im do zrozumienia, że działał w celu stłumienia wszelkich przejawów wrogości wobec nich.

Ale dlaczego Antoniuszowi tak bardzo zależało, by odesłać ich za granicę? Nie ukarał ich, mimo że w pewien sposób podburzył przeciwko nim tłum. Nie wyglądał też na ich współnika, choć podejrzewano go o to, ponieważ okazał swoją przychylność. Nie walczył jednak z nimi, a wręcz zdawał się martwić o ich bezpieczeństwo. Cherea nie potrafił zrozumieć, co znaczy owo niejednoznaczne stanowisko konsula. Co do Lepidusa było jasne: trzymał się na uboczu, czekając, aż sytuacja polityczna się ustabilizuje i będzie mógł przejąć władzę nad Hiszpanią, zgodnie z wolą Cezara. O Cynceronie z kolei można było powiedzieć, że pragnął pokoju i pełnego przywrócenia republiki. Lecz Antoniusz... Zachowanie Antoniusza było niezrozumiałe.

Gajusz pograżył się w rozmyślaniach nad własną przyszłością, a także nad motywami, jakie kierowały Antoniuszem. Z zadumy wyrwał go dźwięk otwieranych drzwi. Antoniusz dał mu znak do odejścia, a kiedy wyszedł, najwyższy urzędnik Republiki wezwał do siebie sekretarza, który czekał na niego na drodze.

— Wyjeżdżają — rzekł do niego. — Brutus i Kasjusz rezygnują z pretury i przejmują prowincje, pierwszy na Krecie, drugi w Afryce. Idź i powiedz mojemu bratu, Gajuszowi, że się udało. Jutro w senacie przyjmę jego nominację na stanowisko pretora miejskiego.

I nagle wszystkie elementy układanki Cherei zaczęły do siebie pasować. Marek Antoniusz sprawował niekwestionowaną władzę, ponieważ drugi konsul, powołany przez Cezara, Dolabella, miał nieskończenie mniejszą charyzmę; brat Antoniusza, Lucjusz, od dawna piastował urząd trybuna ludowego, było to ważne stanowisko, które dawało mu kontrolę nad

wszystkimi ustawami senatu. Teraz trzeci z braci miał zostać pretorem miejskim. Tymczasem wszyscy, którzy mogliby przyćmić jego pozycję, opuszczali Rzym.

To był cel Marka Antoniusza. W końcu było wiadomo, do czego zmierzał. Pragnął stać się nowym Cezarem, niekwestionowanym liderem rzymskiej polityki, a na dodatek miało się tak stać, mimo że to nie jego dyktator wybrała swego następcę.

V

Oktawian rozwinął papirusowy zwój, który właśnie dostarczyła mu służąca jego siostry. Postanowił nie okazywać, ile satysfakcji czerpie z jego lektury już od pierwszych zawartych w nim słów. Spodobał mu się pomysł, by odtąd skrywać swe emocje przed wszystkimi, z wyjątkiem najbliższych przyjaciół. Uznał, że będzie to najskuteczniejszy sposób, by dominować nie tylko podczas zwykłej rozmowy, ale również przed audytorium, a nawet w oczach każdego, kto mógłby go obserwować.

Zauważył bowiem, że wszyscy spoglądają na niego z zaciekawieniem. Tak, wszyscy: poczynając od Agrypy i Rufusa, którzy przebywali z nim od momentu zawinięcia do portu w Lecce, poprzez ludzi, którzy podążali za nim, pokonując wiele kilometrów, wiedząc, kim jest i co reprezentuje, na klientach znamienitej osoby, do której zwrócił się z prośbą o spotkanie w drodze powrotnej do Rzymu, kończąc.

Zdawało się, że cała Cuma zgromadziła się pod willą Cyceroną, nie po to, by oddać cześć największemu adwokatowi wszech czasów, lecz aby być świadkiem przybycia spadkobiercy Cezara, chłopca, którego adoptował zmarły dyktator.

Oktawian rozejrzał się i mrużąc oczy, usiłował odczytać, co wyrażają twarze otaczających go ludzi. Nie było w nich nieufności ani zwykłej ciekawości. Dostrzegął w nich ufność. Miał wrażenie, że nie jest dla nich jedynie adoptowanym synem. Dla tych ludzi, nieważne, czy biednych, czy bogatych, jako główny spadkobierca dziedzictwa dyktatora był przede wszystkim jego *następcą*. Oczekiwali od niego, że pójdzie w ślady ojca. Możliwe, że byli gotowi udzielić mu kredytu zaufania, aby pomimo swego młodego wieku mógł zdobyć przewagę nad ludźmi dzierżącymi władzę w Wiecznym Mieście i przejąć stery w państwie.

Potrzebowali nowego Cezara. Poprzedni, położywszy kres wojnom domowym, zyskał ich dozgonne zaufanie, lecz odszedł zbyt wcześnie. Właśnie go oplakiwali, przede wszystkim dlatego że obawiali się, nie bezzasadnie, iż Rzym raz jeszcze ogarnie chaos, który panował przed nastaniem dyktatury. Pragnęli kolejnego tyrana i byli gotowi – bazując na wyborze, jakiego dokonał Cezar – wierzyć w następcę; w niego, nie

w głównych namiestników znamienitego wodza, nie w tych, którzy go zdradzili, ale i nie w tych, którzy nie wykazywali chęci zemśczenia się za jego śmierć. Cóż, do niego należała zemsta, on również miał się stać gwarantem pokoju, który Cezar podarował swemu ludowi. I podobnie jak Cezar – który snuł intrygi, przekupywał, zabijał, kradł, kłamał, wtedy, gdy było to konieczne – tak i on miał się posługiwać tymi samymi środkami, by pokonać wszystkich, którzy ponad dobro kraju stawiają własny interes. Dyktator pokazał, że aby mieć władzę nad bezlitosnymi i ambitnymi, należy walczyć z nimi ich własną bronią. Prawdopodobnie oczekiwał, że ten, którego wybrał na swego spadkobiercę, pójdzie w jego ślady.

Oktawian brzydził się tego typu metodami. Tylko jednak przy ich użyciu mógł pokonać bardziej doświadczonych rywali, o znacznie większych wpływach i posiadających dużo większą władzę. Nie miał jeszcze w ręku pieniędzy, by przekupywać ludzi, nie miał również środków, by zabijać, zwłaszcza tych, którzy byli jego prawdziwym celem — oprawców Cezara. Nie miał wpływów ani znajomości, które pozwoliłyby mu kraść... Dążenie do realizacji swych celów mógł jednak zacząć od kłamstw. Była to chwilowo jego jedyna broń. Jeżeli dobrze rozegra sytuację, zdobędzie lepsze środki obrony.

Był gotów kłamać, by zjednać sobie pierwszego cennego sojusznika: Cyncerona. Wcześniej musiał jasno określić, dokąd zmierza. Agrypa i Rufus z niecierpliwością czekali, aż wyjawi im treść otrzymanego właśnie pisma, w którym matka i ojczym szczegółowo przedstawili mu spadek po Cezarze. Nie o tym jednak chciał z nimi mówić Oktawian.

— Czy przekazano ci także inne informacje, o które prosiłem? — zwrócił się do Etain.

Niewolnica kiwnęła głową na potwierdzenie i wyjęła z sakwy drugi zwój. Oktawian wziął pakunek, otworzył, jedną ręką rozwinął papirus, drugą przytrzymując jego kraniec, i zaczął czytać. Gdy skończył, wezwał swych dwóch przyjaciół, by niezwłocznie podzielić się z nimi listą, której oczekiwał z taką niecierpliwością, dużo większą niż wykazu dziedziczonych dóbr.

— Przyjaciele, z radością dowiaduję się, że wymiar tego, co przypało mi w spadku, jest istotnie tak wielki, jak się spodziewałem — rozpoczął szeptem, aby nikt poza Agrypą i Rufusem nie mógł go usłyszeć. — Jednak tym, na co naprawdę czekałem, jest ten oto dokument. Lista, która od teraz będzie kierować każdym naszym ruchem, od niej będzie zależało nasze

stanowisko w sprawach publicznych czy jakichkolwiek innych. Imiona, które wam teraz odczytam, musicie zapisać w swej pamięci, przez wzgląd na mnie, i nie wolno wam nigdy zapomnieć o tym, co uczynili ci, którzy je noszą, i na co sobie zasłużyli. Nie spocznę, dopóki wszystkich, od pierwszego do ostatniego, nie spotka sprawiedliwa kara za popełnioną przez nich zbrodnię. Mam nadzieję, że pomożecie mi w tym, nie zważając na środki, nie patrząc, czy są one legalne, czy bezprawne, pragnę bowiem, by dotknęło ich cierpienie, które zadali Cezarowi. Jeśli nie zostaną skazani, my tego dokonamy, nawet gdybyśmy mieli poświęcić na to całe dziesięciolecie; nawet gdyby okoliczności zmusiły nas, by uspić ich czujność i czekać na lepsze czasy, nie zapominajcie nigdy o tym, że są oni naszym najważniejszym celem. Jeśli miłujecie Cezara tak, jak ja go miłuję, wiem, że mogę na was liczyć.

— Oczywiście, że możesz na mnie liczyć, drogi przyjacielu. — Agrypa niemal wszedł mu w słowo. — Wiesz, że dla mnie Cezar był bogiem i twój cel jest także moim celem. Bez względu na cenę.

Oktawian spojrzał na Rufusa.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby ukarać morderców największego człowieka, jakiego oglądał Rzym — odrzekł, uznając, że powiedział wystarczająco.

— Gdybym mógł, zanurzyłbym miecz w ciele każdego z nich: Gajusz Kasjusz Longinus, Marek Juniusz Brutus, Decymus Brutus Albinus, Gajusz Treboniusz, Gajusz Serwiliusz Kaska Longus, Publiusz Serwiliusz Kaska Longus, Lucjusz Tiliusz Cymber, Publiusz Sekstus Nazo, Kwintus Ligariusz, Minucjusz Basylus, Rubriusz Gallus, Lucjusz Poncjusz Aquila, Marek Spuriusz, Cecyliusz Bukolianus Starszy, Cecyliusz Bukolianus Młodszy, Pakuwiusz Antystiusz Labeo, Gajusz Kasjusz z Parmy, Petroniusz, Publiusz Decymus Turulliusz, Serwiusz Sulpicjusz Galba. Wszyscy muszą umrzeć. Od pierwszego do ostatniego. Zgadza się z tym?

— Tak! — zakrzyknęli jednogłośnie.

— Dobrze. Kiedy nadejdzie pora, złożymy przysięgę przed bogami, a wśród nich będzie także sam Cezar. Teraz mogę iść do Cycerona. Nasza zemsta zaczyna się tutaj — oświadczył uroczyście, odchodząc w stronę wejścia do willi byłego konsula i księcia Forum.

Agrypa nie odprowadził przyjaciela wzrokiem, gdy ten oddalał się w stronę domu Cycerona. O ile gorąco podzielał pragnienie zemsty, o tyle coś go trapiło, odkąd zobaczył Oktawiana czytającego list z zaleceniami dotyczącymi podziału spadku po Cezarze. Na chwilę przeniósł wzrok na Rufusa i zauważył, że on również nie spuszcza z niej oka... Chodziło o służącą wysłaną przez siostrę Oktawiana.

Agrypa zrozumiał, że musi działać szybko. Była zbyt piękna, by pozwolić jej odejść. Podszedł do niej. Stała obok wozu, którym przyjechała aż z Rzymu, czekając na rozkazy Oktawiana. Zobaczył, że Rufus również zbliża się do służki, więc znalazł się między nimi, by podejść jako pierwszy, jednak w taki sposób, aby nie sprawiać wrażenia, że biegnie.

— Jak ci na imię, dziewczyno? — zapytał, zatrzymując się przed nią. Mówiąc to, przyglądał się jej badawczo.

Z bliska mógł podziwiać jej ujmującą powierzchowność. Była naprawdę piękna. Oczy w kolorze morskiej toni, jasne włosy o barwie dojrzałego zboża, delikatne, lecz regularne usta, zadarty, szeroki, ale szlachetny nos, zaokrąglona broda idealnie kreśląca owal twarzy. Wyraźnie można było dostrzec, że ma celtyckie korzenie. To, co delikatnie prześwitywało przez tunikę, wskazywało, że dziewczynamiła niewiele ciała wokół kości, choć jej ramiona były dość mocne.

— Etain, mój panie — odpowiedziała po chwili wahania, a gdy to mówiła, na jej policzkach pojawiły się delikatne dołeczki i nieskończenie słodki uśmiech.

Spodobał mu się również jej głos o lekko nosowym, lecz harmonijnym brzmieniu. Tym razem on się zawahał, nie wiedząc, co mógłby powiedzieć. Rufus wykorzystał milczenie i wtrącił się do rozmowy.

— Jedynie *bull*, którą nosisz na szyi, zdaje się świadczyć, że jesteś niewolnicą. Twoje zachowanie jest godne królowej.

Tak jak i w Apollonii, gdy chodziło o dziewczęta z miasta, Agrypa nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi. Tym razem postanowił, że nie da za wygraną. W tej dziewczynie było coś więcej... Może jej łagodność? Zdecydował, że musi to odkryć, za wszelką cenę.

— Mój przyjaciel stroi sobie z ciebie żarty. Według mnie zachowujesz się jak kobieta, o której marzy każdy mężczyzna — odrzekł i odniósł wrażenie, że jego słowa przyniosły pożądany skutek. Natychmiast otrzymał także potwierdzenie: Etain spojrzała przelotnie na Rufusa, następnie zatrzymała

przez moment wzrok na Agrypie, a na koniec oblała się rumieńcem i skinęła głową speszona.

— Wielki to honor dla niewolnicy, moi panowie, słyszeć takie słowa od dwóch trybunów.

— Sam chętnie zostałbym twoim niewolnikiem, Etain.— Agrypa był nieustępliwy. — Ze mną czekają cię wieczne Saturnalia. — Mrugnął do niej znacząco, wspominając o święcie, w czasie którego panowie zamieniali się rolami ze swymi niewolnikami.

— A ja chciałbym być twoim panem. Ale panem twego serca! — powiedział Rufus. Nie dawał za wygraną i walczył z uporem większym niż zazwyczaj.

Agrypa przywykł do tego, że wzbudza powszechny zachwyt wśród kobiet, bez względu na ich pochodzenie społeczne. Jego mocna sylwetka i proste, szczere spojrzenie zawsze działały na słabą płęć. Zdobycie kobiety nigdy nie zajmowało mu wiele czasu ani nie wymagało specjalnych starań. Zdawał sobie sprawę, że ostre, wręcz surowe rysy nie czyniły z niego szczególnie przystojnego mężczyzny, lecz sprawność fizyczna sprawiała, że czuł się atrakcyjny. Najczęściej właśnie dzięki niej dopinał swego. Teraz wyjątkowo zależało mu na wygranej, jednak dzięki ostatnim słowom to Rufus wysunął się na prowadzenie.

Etain uśmiechnęła się do niego, a w jej oczach pojawił się szelmowski ognek. Agrypa przez moment stracił wiarę w siebie, lecz zaraz potem powiedział:

— Ja natomiast chciałbym być panem świata, by móc ofiarować go tobie!

Nie było to nic nadzwyczajnego, ale pozwoliło mu zachować pozycję. Dziewczyna obdarowała go swoim zachwycającym uśmiechem. Wyglądało na to, że bawi ją sama rywalizacja tych dwóch poważnych mężczyzn o jej względy, ale żaden z nich nie wzbudza jej zainteresowania.

Pojedynek robił się coraz bardziej zacięty. Kiedy indziej Agrypa uznałby tę sytuację za zabawną, lecz nie tym razem.

— A ja zabrałbym cię do innego świata, który odkrywalibyśmy oboje, ja i ty, by stać się tam królem i królową. — Rufus nie ustępował. Miał wyraźnie dobry dzień, najwidoczniej emocje paraliżowały Agrypę, lecz nie poddawał się. Nie chciał jej stracić. Wziął ją pod rękę i przyciągnął do siebie. Spojrzał jej głęboko w oczy i zbliżył twarz do jej twarzy. Poczował delikatny zapach jej skóry i dostrzegł urzekający, jasny, niebieskozielony odcień jej tęczęwek.

Następnie rzekł:

— Wystarczy już. Chodź ze mną, słodka Etain. — I pociągnął ją za sobą.

Rufus przyglądał się wszystkiemu w osłupieniu. Nie zdołał wymówić ani słowa, tymczasem Etain pokornie podążała za Agrypą, który zatrzymał się, dopiero gdy znaleźli się na tyle daleko, że Rufus nie mógł go usłyszeć.

— Kupię cię — powiedział, próbując pocałować ją w szyję.

Usiłowała się odsunąć, ale bez przekonania.

— Nie możesz.

— Dlaczego? Nieważne, jaka to kwota, Oktawian mi pomoże. To mój przyjaciel i jest teraz bardzo bogaty.

— Należę do jego siostry, Oktawii. Jestem jej osobistą służką. Nie sprzedałaby mnie nigdy. Za żadne skarby świata.

Dziewczyna wydawała się wzburzona, a to nie było zamiarem Agrypy. Nie miał także zamiaru wchodzić w konflikt z siostrą swego najdroższego przyjaciela. Chwycił jej podbródek dwoma palcami i uniósł jej twarz.

— A gdyby tak nie było? Chciałabyś, żebym cię kupił?

Zamilkła. Oczy miała wilgotne, a wzrok rozbiegany. W końcu ponownie zatrzymał się na nim. Na jej policzkach pojawiły się delikatne dołeczki uwydatniające uśmiech, w którym zakłopotanie mieszało się z pożądaniem.

To mu wystarczyło. Palcami skierował usta dziewczyny ku swoim, a nie napotykając na opór, dotknął jej warg w delikatnym pocałunku. Nie cofnęła się i Agrypa przywarł do niej mocniej, rozchylając usta i wsuwając niespokojny język w to wilgotne, przytulne gniazdko. Zawsze przy pierwszym kontakcie z kobietą potrafił powiedzieć, na podstawie smaku i zapachu, jakich doświadczał w trakcie pocałunku, czy ma ochotę na całą resztę. Tym razem zrozumiał, że z nią, o ile tylko do tego dojdzie, będzie mu wspaniale. Pragnął, by stało się to jak najprędzej.

Oderwał od niej usta, uśmiechnął się czule i nagle uświadomił sobie, że chce zobaczyć reakcję Rufusa. Zauważył, że przyjaciel stoi tam, gdzie go zostawił, i spogląda na niego ponuro. W pierwszym odruchu chciał podejść i przyznać, że owszem, zagrał nieczysto, ale jemu zależało, a dla Rufusa byłaby to jedynie kolejna zdobycz. Miał jednak niewiele czasu, zanim Oktawian zakończy spotkanie z Cynceronem i zawoła Agrypę na zebranie, które z pewnością się odbędzie, lub zanim odeśle Etain z zaleceniami do swojej rodziny.

Było zrozumiałe, że nie chce marnować tego czasu z Rufusem.

Oktawian rozejrzał się wkoło, szukając wzrokiem wśród szpargałów w *tablino* Cyclerona jakiegoś pretekstu, by zagaić rozmowę z człowiekiem, u którego gościł, znanym powszechnie z próżności. Był pod wrażeniem ilości papirusów, popiersi, dokumentów rozłożonych na stołach, krzesłach i regałach znajdujących się w gabinecie. Zastanawiał się, ile rzeczy ten wybitny retor musiał zgromadzić we własnym domu w Rzymie, skoro w jednej z jego wielu posiadłości rozsianych po całym półwyspie, znajdowała się aż tak bogata kolekcja. Zastanawiał się również, czy wynikało to ze zwykłego kolekcjonerstwa, czy może Cycleron, gdziekolwiek się znajdował, chciał mieć pod ręką materiał potrzebny do pracy nad swoimi pismami.

Podszedł do jednego z regałów i przejrzał etykiety na skrzynkach ze zwojami. Jego wzrok zatrzymał się na najbliższym pudle z napisem: *De imperio Gn. Pompei*. Była to jedna z jego mów. Na skrzynce obok widniał napis: *Divinatio in Caecilium*. Następnie zaczął się przyglądać kolejnym pojemnikom stojącym na regale. Na wszystkich napisano: *In Catilinam*, a pojemniki były ponumerowane. Podszedł do kolejnego regału. *Oratio cum populo gratias egit, Oratio cum senatui gratias fecit, In Verrem actio secunda*, od pierwszego do czwartego... Przejrzał również następny dział: *In Verrem actio prima; De Sullae bonis, De lege agraria (Contra Rullum); In P. Vatinius...*

Były to jego dzieła. Najwidoczniej zabierał je ze sobą, by pracować nad kolejnymi wydaniem, by wprowadzać do nich poprawki i przepisywać je na użytek kolejnych pokoleń, by były jeszcze bardziej trafne niż w momencie ich wygłaszania. W pewnym sensie on także kłamał, okłamywał kolejne pokolenia. Było to dla Oktawiana swoistym pocieszeniem: wielcy ludzie, do których pewnego dnia miał nadzieję dołączyć, budowali swój wizerunek, przedstawiali swą udoskonaloną wersję, może nawet fałszywą wersję, tym, którzy nie mogli ich poznać osobiście. W przyszłości geniusz Cyclerona będzie powszechnie chwalony i nikt nie będzie wiedział, że jego mowy nie cechowały się tak wielką skutecznością, gdy wygłaszano je w sądzie. Podobnie było z wodzami i politykami. Oktawian nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ich sława opierała się na tym, co starali się wyrazić pozorami, nie czynami. Im większą mieli władzę, z tym większą łatwością

wpływali na sposób, w jaki są postrzegani. Nagle zrozumiał, że jest to cenna lekcja polityki, która w przyszłości miała się okazać bardzo pomocna.

— Widzisz, jak wiele pracy muszę wozić ze sobą, młody Oktawianie? Odpoczynek nie jest mi pisany, niestety.

Głos Cyclerona wyrwał Oktawiana z zadumy. Chłopiec obrócił się i zobaczył konsula stojącego parę kroków dalej, przyglądającego mu się z zaciekawieniem i wyższością jednocześnie. Natychmiast zrozumiał, że Cycleron pozwolił mu przebywać w gabinecie w czasie swojej nieobecności, aby mógł podziwiać bogactwo jego pracy i dzieł. Mówiąc krótko: by go onieśmielić. Nie kierowała nim jedynie próżność, ale także chęć wywierania wpływu. Oto kolejna lekcja, którą warto zapamiętać na przyszłość.

— Mogę sobie wyobrazić, senatorze — odrzekł z udawanym przejęciem i podszedł, by uścisnąć mu dłoń. — Człowiek twego kalibru ma wiele obowiązków. Zważywszy na mój młody wiek i brak doświadczenia, uważam za zaszczyt możliwość spędzenia tych kilku chwil w twoim towarzystwie.

Cycleron uścisnął energicznie obie dłonie chłopca, lecz jednocześnie przyglądał mu się badawczo i nieufnie. Nie było to żadną tajemnicą: konspiratorzy wykrzykiwali imię Cyclerona, mordując Cezara, a senator nie krył się z poparciem, jakiego udzielił ich czynowi. Nieprzypadkowo to właśnie on wyszedł z propozycją amnestii dla cesarobójców.

Mówiono, że nie wziął udziału w spisku, lecz Oktawian nie był tego pewny. Wszystko wyjaśni się w swoim czasie — czy powinien umieścić go na swej liście, czy nie.

Właściciel tawerny długo się im przyglądał, zanim dał znak, by podążali za nim, na górę. Przekonały go sestercje rozsypane na stołowym blacie, tuż pod jego nosem. Agrypa uśmiechnął się do Etain, pragnąc dodać jej otuchy, by do końca pozbyła się oporów, lecz ona zastanawiała się, czy w ogóle ma jakiegokolwiek opory. Ten niewiele starszy od niej młodzieniec budził jej zaufanie, czuła się przy nim bezpiecznie, choć dotychczas sądziła, że jest to możliwe wyłącznie przy dorosłym mężczyźnie. Dlatego nie oponowała, od pierwszych chwil poddawała się temu, co robił. Miała pewność, że nie byłaby tak uległa wobec drugiego młodego trybuna. Względy, jakimi ją obdarzył, sprawiały jej przyjemność, ale gdyby to od niego wyszła ta

zaskakująca inicjatywa, bez wątpienia zaprotestowałaby i odmówiła, uznając go za zarozumiałego aroganta.

Z Agrypą było zupełnie inaczej. Czuła, że... ma wszelkie prawo, by to uczynić. Podążając za nim po schodach, trzymana czule za rękę, myślała o tym, jak dziwna jest sytuacja, w której się właśnie znalazła. Dostarczyła wiadomość bratu swej pani i dała się uwieść zupełnie obcemu mężczyźnie, który nie tylko nie musiał nalegać, by ją pocałować, lecz bez sprzeciwu zabrał ją ze sobą do pokoju w gospodzie. Może myślał teraz, że ma do czynienia z kobietą lekkich obyczajów, lecz ona na to nie zważała. Wiedziała tylko, że pragnie z nim być, i fascynowały ją te zaloty.

I pomyśleć, że współżycie nigdy nie było dla niej niczym atrakcyjnym, nawet w trakcie krótkiego związku, jaki łączyła z innym niewolnikiem w domu Atii, dwa lata wcześniej. Spotykała się z nim przelotnie, parę razy, do czasu aż chłopak został sprzedany. Starsze służące wyjaśniły jej wtedy, że nawet nie straciła dziewictwa. Zaskoczyło ją więc to, jak bardzo pragnęła bliskości Agrypy. Zapomniała nawet, że celowo zachowany status niewolnicy chronił ją także przed ewentualnym molestowaniem przez mężczyzn. Kiedy dawna pani, Atia, dała jej wolność, ustaliły, że dziewczyna będzie nadal nosić *bullam*, która niejednokrotnie okazywała się praktycznym środkiem ochrony. Teraz była służką i osobistą powiernicą Oktawii, pracownicą otrzymującą wynagrodzenie, wikt i opierunek, lecz jednym z zadań, za które jej płacono, było także sprytne przemykanie pośród ludzi, właśnie tak jak zazwyczaj robili niewolnicy, i przysłuchiwanie się ich rozmowom. Wiele wpływowych person nie zwracało uwagi na obecność sług w czasie rozmów, natomiast mieli się na baczności, znajdując się w pobliżu wolnych obywateli. Kiedy więc otrzymywała zadanie do wykonania dla swych byłych właścicieli, funkcja zaufanej niewolnicy bliskiej krewnej dyktatora zapewniała jej nietykalność i ogólne poważanie. Teraz jednak porzuciła wszelkie środki ostrożności. Czuła się już naga przed tym chłopcem i dlatego nie myślała o wstydzie. Wiedziała bowiem, że za chwilę Agrypa ujrzy ją taką, jaka jest.

Weszła do pomieszczenia bez uczucia zmieszania; nie przeszkadzało jej, że niewiele miało ono wspólnego z przytulnym gniazdkiem, miejscem miłosnego uniesienia, o jakim mogłaby marzyć kobieta. Nikt nie pomyślał o rozchyleniu okiennic, więc gryzący zapach sadzy unoszącej się z lamp sprawił, że zaczęły jej łzawić oczy; ściany były poszarzałe od dymu,

a na skromnych sprzętach zalegała gruba warstwa tłuszczu. Jedna z nóg łóżka była złamana, stało więc podparte na dwóch kamiennych płytach, którymi wykładano trakty. Pościel była poplamiona, poduszki pokryte porwanymi poszewkami.

Spojrzała na Agrypę i wtedy ich oczy się spotkały. Mężczyzna, uśmiechając się, otworzył przed nią ramiona.

— Jeśli nie chcesz, nie musimy tego robić — powiedział, okazując wrażliwość, która ją poruszyła.

Spuściła głowę i pokręciła nią przecząco. Była zaskoczona swoim brakiem wstydu. Gdy tylko Agrypa zamknął drzwi, jakaś wewnętrzna siła kazała jej zarzucić mu ramiona na szyję, wskoczyć na niego i opleść go nogami w pasie. Zaczęła obsypywać go pocałunkami. Całowała jego policzki, czołoi w końcu usta, a jej wargi nie zatrzymywały się w żadnym z tych miejsc dłużej niż na moment. Reakcja chłopca nieco ją zaskoczyła, uśmiechał się bowiem łagodnie, przytulił ją mocno do piersi i szepnął:

— Jesteś taka dziewczęca...

Myślała, że dostrzeże w niej zmysłową kobietę, ale niestety, nie zdołała ukryć braku doświadczenia. Przez chwilę zmarszczyła brwi, gdy Agrypa głaskał jej policzek, drugą ręką obejmując ją w talii tak mocno, że niemal brakowało jej tchu. Ostrożnie położył ją na ziemi. Wyraźnie poczuła jego podniecenie, kiedy się na niej kładł.

Kobieca intuicja ponownie podpowiedziała jej, co ma robić. Zawsze myślała, że jej pierwszy raz będzie niezręczny, że będzie leżeć nieruchoma i pełna obaw. Tymczasem czuła, że pragnie przejąć inicjatywę. Zsunęła pendent Agrypy, na którym zawieszona była pochwa z mieczem, następnie zdjęła mu tunikę, przyglądając się bezwstydnie jego umięśnionemu nagiemu torsowi, który znajdował się teraz tuż przed jej oczami. Chłopiec został w samej przepasce. Czuł na sobie jej wzrok pełen podziwu i z nieukrywaną przyjemnością prężył dumnie pierś. Zaczęła go pieścić, początkowo delikatnie, następnie dotykała i ścisnęła jego mięśnie, w końcu dotknęła ustami zagłębienia w jego silnej, imponującej piersi.

Ujął jej kark i przywiódł ją do siebie. Wargi Etain zaczęły niespokojnie wędrować po jego owłosionym torsie, by w końcu obsypać całe jego ciało deszczem pocałunków. Coś jej mówiło, że chłopiec zechce delikatnie skierować jej głowę w dół i wyprzedziła jego ruchy. Zaczęła całować jego pierś, a następnie brzuch, by zatrzymać się na pępku. Uklękała. Jej twarz

znalazła się na wysokości miejsca osłoniętego przepaską, pod którą delikatnie rysowała się napęczniała męskość Agrypy.

Oparła dłonie na jego biodrach i lekko się wyżejając, pociągnęła w dół pas tkaniny. Agrypa stał nagi. Etain zamarła, przez moment podziwiając jego przepełnione energią, obnażone ciało.

— Drogi chłopcze, nie wiem, czy powinienem składać kondolencje z powodu odejścia twego wuja, czy możej raczej gratulacje w związku ze spadkiem, jaki po nim objął.

Już po pierwszym zdaniu wypowiedzianym przez Cyncerona Oktawian miał ochotę się na niego rzucić. Pomijając ludzi, którzy fizycznie dopuścili się morderstwa, nie było w Rzymie osoby, która bardziej cieszyłaby się ze śmierci Cezara, a słowo „odejście” było tu co najmniej nie na miejscu. Jego kondolencje stanowiły jaskrawy wyraz hipokryzji, z kolei gratulacje w związku ze spadkiem — kłamstwo, ponieważ nie mógł się cieszyć tym, że ktoś zyskał możliwość pójsia śladem dyktatora. Mimo to Oktawian zdołał się powstrzymać. Bez wsparcia Cyncerona nie mógł uczynić choćby jednego kroku w rzymskiej polityce. Przepełniało go obrzydzenie, lecz tłumaczył sobie, że jest w pracy. Był po prostu w pracy. Dlatego przemógł się i powiedział:

— Czuję, że jesteś ze mną, drogi senatorze, w tych trudnych dla mnie i dla mej rodziny chwilach. Mam nadzieję, że wolno mi liczyć na twą przyjaźń, którą cenię sobie ponad każdą inną.

Cynceron zaprosił go na sofę i usiadł naprzeciwko, wciąż przyglądając mu się z powagą połączoną z trudnym do zniesienia udawanym współczuciem.

— Rozumiem, jak wielką stratą była dla rodziny Juliuszów śmierć dyktatora — zaczął. — Teraz jednakże Republika może powrócić na właściwy kurs, dlatego wszyscy musimy dołożyć wszelkich starań, by przywrócić prawo i wolność, których wuj twój, niewątpliwie z uwagi na trudną sytuację będącą skutkiem wojen domowych, nie zdążył odbudować.

Gdyby nie fakt, że zwracał się do spadkobiercy dyktatora, z pewnością używałby mniejszej liczby eufemizmów, mówiąc wprost i bez ogródek, że Cezar w sposób samowolny doprowadził do wojny domowej i także celowo, powodowany swoją ambicją, pozbawił kraj resztek demokracji. Oktawian był

innego zdania, ale oczywiście nie miał zamiaru wchodzić w jakiegokolwiek dyskusję, zwłaszcza z Cynceronem.

— To jest także moje dążenie i będę je realizował, gdy tylko przejmę spadek, senatorze — oświadczył. — Mój ojciec dał w swoim testamencie wyraz miłości do ludu, a Rzymianietylko czekają, by móc spełnić jego wolę. Z tego, co widzę, konsul Antoniusz nie podjął się tego zadania, w związku z czym przypada ono mnie.

— Twój ojciec? — Cynceron był zaskoczony. — Ach tak! Przecież cię adoptował... Cóż, mnie również nie wiadomo nic o tym, by konsul rozdał po trzysta sestercji na głowę, zgodnie z demagogiczną obietnicą dyktatora daną ludowi rzymskiemu. Z drugiej strony Antoniusz zobowiązał się u wdowy Kalpurnii, że będzie administrował majątkiem Cezara, i teraz trzeba ustalić, co naprawdę było jego własnością, a co należało do skarbu państwa. Wszak sam rozumiesz, że w ostatnich latach jego panowania różnica i granice między tymi dwiema sferami nie były zbyt ostre...

— Wybacz mi, senatorze — Oktawian niemal mu przerwał i w tej samej chwili zaczął wyrzucać sobie, iż nie potrafił ukryć oburzenia — ale myślę, że właśnie ja, jako główny dziedziczący po Cezarze, powinienem otrzymać zadanie administrowania jego majątkiem, nie sądzisz?

— Mój drogi chłopcze, ile masz lat? Nie skończyłeś nawet dwudziestu, jeśli się nie mylę. Niedawno przywdziałeś męską togę i nie sądzę, aby powierzenie ci tak znacznych kwot było dobrym pomysłem, tym bardziej że ich pochodzenie nie jest do końca jasne. Konsul posiada ogromne doświadczenie, poza tym był jednym z najbliższych ludzi Cezara. Będzie umiał się tym zająć, ponieważ sprawuje w Rzymie najwyższą władzę. Będzie również potrafił ustalić, co i komu się należy. Poza tym oprócz niego jest wiele osób, odpowiednich rangą i doświadczeniem, które wiedzą, gdzie powinny trafić te dobra.

Oktawian poczuł, jak zawrzała w nim krew. Pieniądze należały do niego, a ten głupiec sądził, że powinni rozporządzać nimi jacyś ludzie. Cynceron ewidentnie uważał go za dziecko lub za obcego, który pojawił się, by podważyć ustalony porządek i układy panujące między możnowładcami, bez względu na stronnictwo, do którego należeli. Krótko mówiąc, widzieli w nim nieszczęśliwie kłopotliwą uciążliwość. Może nawet nie przyszło im do głowy, by brać go pod uwagę jako przeszkodę, dlatego też nie myśleli o tym, by tłumaczyć się przed nim ze sposobu rozporządzania spadkiem. Cóż, to go

doprowadziło do przekonania, że powinien wykorzystać ich brak zainteresowania.

Długo się zastanawiał, zanim odpowiedział na oburzającą uwagę Cyncerona.

— Cezar nie zostawił pieniędzy i dóbr Antoniuszowi ani nikomu innemu, tylko mnie. Sądę więc, że ty, senatorze, jako najbardziej szanowany przedstawiciel Republiki i gwarant demokracji, nie powinieneś cieszyć się z tego, iż majątek pozostaje w rękach tak potężnego człowieka, jakim jest konsul... — zasugerował. — Czyż nie byłoby lepiej, gdyby trafił do nieznaczącej osoby, jaką ja jestem, bym mógł podzielić go między prawowitych beneficjentów, czyli między naród rzymski i żołnierzy weteranów, którzy nie otrzymali jeszcze zapłaty należnej im za ich trudy?

Wyraz twarzy Cyncerona był potwierdzeniem dla Oktawiana, że trafił w sedno. Orator utkwiał wzrok w ścianie, drapiąc się po nosie.

— Mam nadzieję, że konsul zechce wysłuchać senatorów i pozostałych urzędników współpracujących z nim podczas przywracania porządku — odezwał się na koniec. — Naturalnie nie wolno dopuścić do tego, by komuś udało się przejąć władzę, jak bywało już w przeszłości. Jeśli o mnie chodzi, dołożę wszelkich starań, by do tego nie doszło. Rzymianie nie lubią tyranów, a ja chcę im dać gwarancję, że nie pojawi się w kraju żaden nowy tyran, zapewniam cię. Możesz mnie uważać za strażnika Republiki.

Wpadł w sidła. Stary, mądry i przebiegły Cynceron dał się podejść jak niedoświadczony chłopiec, który „niedawno przywdział męską togę”.

— I właśnie dlatego masz we mnie oddanego poplecznika — odrzekł Oktawian z satysfakcją. — Chciałem porozmawiać z tobą w pierwszej kolejności, ponieważ bez wątpienia cieszysz się największym autorytetem w Rzymie, przewyższającym wszelkie stanowiska. Jestem pewny, że będziesz strzegł stabilności Republiki i poszanowania urzędów, z którymi zamierzam współpracować, pomimo skromnych sił, jakimi dysponuję. Powiem więcej, oddaję się do twojej dyspozycji, w czymkolwiek mógłbym się dla ciebie okazać użyteczny.

Zobaczył, jak na szerokiej twarzy Cyncerona pojawia się szczerzy uśmiech zadowolenia, i wiedział już, że go pozyskał. Przez pewien czas będzie go potrzebował. Przy okazji otrzymał również potwierdzenie swych podejrzeń.

Przyjąwszy ostatnie dyspozycje Oktawiana dla rodziców i siostry, Etain usiadła obok woźnicy. Agrypa spoglądał na oddalający się wóz, podążając za nią wzrokiem nawet wtedy, gdy zawołał go przyjaciel. Wspominał chwile spędzone w tej nędznej karczmie, która pod wpływem uniesienia stała się dla nich królewskim pałacem. Dopiero kiedy zauważył krew na łóżku, zrozumiał, że dziewczyna była dziewicą. Nie przeszło mu to nawet przez myśl, gdyż widział łatwość, z jaką mu się oddała, oraz gorliwość i zaangażowanie towarzyszące każdemu jej gestowi. Na początku wydawała się niedoświadczona i niezdarna, ale nie dostrzegł w niej zmieszania typowego dla kobiety, która nie była jeszcze w jednym łóżku z mężczyzną. A może po prostu dlatego, że nigdy wcześniej nie miał okazji być z dziewicą.

Pożegnali się, obiecując sobie, że znowu się spotkają. I nie mówił tego ot, tak sobie. Często podrywał dziewczęta i szedł z nimi do łóżka, a po wszystkim obiecywał kolejne schadzki, nawet gdy nie miał takiego zamiaru. Z Etain był jednak inaczej: naprawdę chciał znowu ją zobaczyć, chciał widywać się z nią jak najczęściej, o ile tylko pozwolą mu na to przyjaciele oraz wielkie wydarzenia, które wkrótce miały nastąpić.

O tym, co ich czekało, spodziewał się usłyszeć od Oktawiana. Kiedy sylwetka Etain zniknęła w oddali, Agrypa udał się do przyjaciela, który czekał już na niego z Rufusem. Rzucił w jego stronę przelotne spojrzenie, Rufus z kolei udał, że go nie widzi, wciąż rozdrażniony z powodu odrzucenia przez dziewczynę; czuł się też urażony. Nie miało to jednak znaczenia – dla niego była to jedna z wielu porażek obok tak samo licznych sukcesów. Przejdzie mu, a może nawet będzie miał okazję się odegrać.

Agrypa nagle zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty stawać do walki o względy kolejnych kobiet. Chciał przede wszystkim znowu zobaczyć Etain.

— Pamiętacie tę listę, którą odczytałem wam wcześniej? — zaczął Oktawian, aby zwrócić uwagę przyjaciół.

— Imiona, które musimy zapamiętać, aby pomścić Cezara, oczywiście — odparł Rufus.

— Tak, właśnie te. Musimy dopisać do nich kolejne. Ale dopiero wtedy, gdy stanie się bezużyteczne. Teraz traktujcie je jako imię kogoś nietykalnego.

— Cynceron? — domyślił się Agrypa.

Oktawian skinął twierdząco głową.

— On także brał udział w spisku? Jak się o tym dowiedziałeś?

— Nie sądzę, aby w nim uczestniczył — odrzekł. — Jest zbyt dobrym

politykiem i zbyt wielkim tchórzem. Myślę, że Brutus i Kasjusz proponowali mu to, lecz on dał im jedynie swe poparcie, życząc im powodzenia. W zasadzie przyznał mi się do tego, nazywając Cezara tyranem i oskarżając go pośrednio o to, że pozbawił Rzymian wolności. Z trudem zdołał ukryć własne zadowolenie, i to tylko dlatego że stał przed krewnym Cezara, na Jowisza! W każdym razie to on, wysuwając propozycję amnestii, zapewnił ochronę mordercom. To tak, jakby włożył w ich dłonie sztylet, ponieważ sam nie miał odwagi go chwycić. Z drugiej strony właśnie Cezar mówił mi, że jeszcze zanim został konsulem, Cynceron zarzucał mu dążenie do tyranii i widział w nim największe zagrożenie dla państwa. Bardzo bym się zdziwił, gdyby w żaden sposób nie był zamieszany w spisek. Poza tym Brutus i Kasjusz nie przystąpiliby do działania, gdyby nie mieli pewności co do jego poparcia, nie sądzicie?

— To wszystko brzmi bardzo rozsądnie — przyznał Rufus.

— Z pewnością ponosi moralną odpowiedzialność za śmierć Cezara, a może nie tylko — dodał Agrypa.

— Otóż to! Nadszedł czas, by wyruszyć do Rzymu i upomnieć się o nasz spadek — oświadczył uroczyście Oktawian. — Teraz Antoniusz ma władzę, a Cynceron boi się Antoniusza. Pomoże nam, lecz najpierw muszę się dowiedzieć, jakie ma wobec nas zamiary. Pora się z nim zmierzyć. Mam nadzieję, że okaże się rozsądnym człowiekiem.

Agrypa miał wątpliwości, czy osoba pokroju Antoniusza może okazać rozsądek: dysponując majątkiem Cezara i piastując stanowisko konsula, miał właściwie dostęp do władzy absolutnej w Rzymie. W jego sytuacji każdy mógłby ulec pokusie pójścia śladem zamordowanego dyktatora.

Nic jednak nie powiedział. Tego dnia pragnął myśleć wyłącznie o Etain.

Germański jednooki wojownik zbliżył się podejrzliwie do *domus* należącego do Pompejusza Wielkiego i długo przyglądał się wejściu. Od dawna nie miał kontaktu z tymi nadzwyczajnymi zdobywcami cywilizacji; w ciągu ostatniego roku najokazalszymi budowlami, jakie widział z bliska, były surowe lepianki z błota i słomy, w których mieszkali jego ziomkowie — Swebowie. Jednoręka kobieta objęła go, bowiem doskonale wyczuwała jego myśli. Budynki przed nimi przywoływały wspomnienia o życiu, które wiedli jeszcze rok temu, a które wydawało się niezwykle odległe. Sensem ich życia

były wtedy marsze triumfalne po całym półwyspie i po ulicach *Urbis*, podboje i pieniądze towarzyszące najpotężniejszemu człowiekowi, jakiego poznał świat – nic, co mogłoby zapowiadać nagły upadek, który rozpoczął się w momencie, gdy ponownie stanął na ziemi germańskiej i zaangażował w przedsięwzięcie, w które nie wierzył, lecz którego podjął się z miłości do niej.

Aby pójść za głosem szalonych ambicji kobiety, która nigdy nie wykazała tyle rozsądku, by dążyć do realnych celów.

Nigdy jej tego nie wypominał; był zbyt szlachetny, by się do tego zniżyć. Teraz z kolei ona nie mogła robić mu wyrzutów; odbyli bowiem na marne podróż do samego Rzymu, przeżyli wiele trudności i cierpień, zajechali konie, padły im wszystkie, pod koniec byli zmuszeni brnąć pieszo aż do bram miasta... tylko po to, by odkryć, że wielki wódz, do którego po raz kolejny chcieli się zgłosić na usługi, zginął z rąk morderców dwa miesiące wcześniej.

Garstka ich ludzi czekała w odpowiedniej odległości, zastanawiając się, co teraz postanowi ich przywódca. Odwróciła się, by ich zobaczyć. Niewiele w nich pozostało dawnej chluby swebskich wojowników. Byli obdarci i brudni, nosili poszarpaną odzież, broń zaśniedziała, kurz pokrywał ich od stóp do głów, a ich gęste czupryny – niegdyś tak zadbane, pieczołowicie zebrane i postawione na głowie, spięte w finezyjne upięcie i pokryte wapnem – opadały teraz mizernie na ramiona.

— Jesteś pewny, że tego chcesz? A jeśli nie będzie cię pamiętał? — odezwała się do swojego mężczyzny, który zdawał się nie mieć na razie ochoty postąpić choćby jednego kroku do przodu.

— Będzie pamiętał. Walczyliśmy razem w wielu kampaniach — odpowiedział wojownik. — Jeżeli Cezar nie żyje, jedyną osobą, do której mogę się zwrócić, jest Marek Antoniusz. On zaoferuje nam to, czego Cezar nie może nam dać.

— Na co więc czekasz? Poproś, niech cię wpuszczą.

— Wstyd mi... Zostawiłem ich, a teraz przyszedłem żebrać o jałmużnę. Do tego w takim stanie...

Kobieta westchnęła.

— Służyłeś im wierniej niż ktokolwiek inny przez ponad dziesięć lat. Ocaliłeś Cezara wiele razy. Kiedy ich opuszczales, byli już zwycięzcami, nie potrzebowali cię. Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł cię obwiniać. Tak czy inaczej, każdy następca Cezara powinien być ci wdzięczny. A może, skoro

jego stronnictwo ma trudności, wręcz nie mogą sobie pozwolić na to, by nie skorzystać z pomocy kogoś takiego jak ty. Czy nawet kogoś takiego jak my dwoje.

Nie wierzyła w to, co mówi, ale musiała jakoś dodać odwagi człowiekowi, który z jej winy wpadł w tarapaty.

Jej towarzysz również westchnął. Następnie pokiwał głową, zebrał się w sobie i zaczął iść w stronę strażnika, który pilnował wejścia. Wokół budynku stało kilka osób, byli to bez wątpienia klienci Marka Antoniusza czekający na spotkanie z panem domu, ale odsunęli się, gdy tylko zobaczyli nadchodzącego Germanina. Jego posągowa sylwetka, a właściwie stan, w jakim się znajdował: twarz piękna, lecz oszpecona z powodu brakującego oka, i jego barbarzyński wygląd, a może także odór, jaki bił od niego po długiej podróży – to wszystko sprawiło, że wokół zrobiło się pusto. Dzięki temu mógł zbliżyć się na tyle, by usłyszał go *ostiarius*.

— Chcę się widzieć z Markiem Antoniuszem — krzyknął, zwracając na siebie uwagę strażnika.

Człowiek podniósł głowę i spojrzał na Germanina z tępą nieufnością.

— Konsula nie ma teraz w domu, barbarzyńco. Poza tym — dodał z wyraźną pogardą w głosie — nie przyjmujemy tu żebraków.

— Jest teraz konsulem? Dobrze — odpowiedział barbarzyńca, z trudem panując nad gniewem. — Mam na imię...

— W dupie mam twoje imię, barbarzyński żebraku. Wynoś się stąd. W ogóle wynoś się z Rzymu! Nie potrzebujemy tutaj włóczęgów, do tego dzikich.

Kobieta zobaczyła, jak jej wojownik robi nagły krok do przodu, niczym dzika bestia szczerząca zęby, i rzuca się na strażnika. Rycząc jak lew, chwycił go i cisnął nim o ziemię. Skoczywszy na niego, całkowicie unieruchomił swą ofiarę, po czym z całej siły uderzył głową w nos. Strumień krwi zalał strażnikowi twarz. Wojownik nie poprzestał na tym, zaczął okładać go pięściami, ale od razu nadbiegli klienci, starając się go odciągnąć i tym samym zdobyć sobie przychyłność *ostiarrii*, w nadziei, że opowie swemu panu o ich odwadze.

Napastnik został odciągnięty, a następnie skopany, opluty i obrzucony obelgami na oczach swej kobiety, zanim do niej i pozostałych barbarzyńców dotarło, co się wydarzyło, i przybyli z pomocą. Nie trzeba było wiele, ich wygląd przeraził ludzi. Kobieta spojrzała złowrogo na Rzymian i już

po chwili obejmowała swego mężczyznę, poobijanego i poturbowanego, lecz przede wszystkim poniżonego.

Nie mieli nawet pojęcia, jak długo siedzieli w ciszy i kurzu, podczas gdy ich ludzie dbali o to, by zebrani wokół gapie nie podchodzili zbyt blisko. Rzymianie pomstowali i grozili zgłoszeniem sprawy do pretora miejskiego, tymczasem z domu wyszło kilku niewolników, by opatrzeć *ostiarium*.

— Co tu się dzieje?

Kobieta postanowiła ignorować prowokacje ze strony zebranych, ale głos, który właśnie usłyszała, brzmiał władczo, więc odruchowo się odwróciła.

Był to liktor. Stał nad nią z wiązką różg i z toporem na ramieniu. Za nim stał jeszcze jeden liktor, a dalej kolejny. Naliczyła dwunastu. Wokół nie dostrzegła już żadnegoz cywilów, którzy jeszcze przed chwilą obrzucali ich obelgami. Teraz byli to sami żołnierze, a wielu z nich miało na piersi medaliony, jakie zwykli nosić centurionowie. Zrozumiała, że wrócił Antoniusz. Jej mężczyzna także musiał to zauważyć, ponieważ pospiesznie wstał i, choć wciąż był ogłuszony razami, jakie mu wymierzono, wyprężył się dumnie i odpowiedział:

— Przyszedłem zobaczyć się z konsulem i oddać się na jego usługi.

Liktor i ci, którzy stali najbliżej, parsknęli śmiechem.

— Ach tak? A skąd ci przyszło do głowy, że konsul chciałby skorzystać z pomocy takiego nędznika jak ty? Zwłaszcza po zamieszeniu, do którego doprowadziłeś — dodał, rozglądając się wokół.

— Stąd, że mnie zna i że sumiennie mu służyłem — odpowiedział barbarzyńca, usilnie starając się pokazać całą dumę, jaką w sobie miał.

Liktor popatrzył na niego, a potem na swoich kolegów. Na ich twarzach wyraźnie malowało się wahanie. Wtedy kobieta dostrzegła nadchodzącego z obstawą człowieka, którego doskonale знаła.

— Na co czekamy? Co to za nędzarz? — zapytał Antoniusz, wskazując poturbowanego wojownika.

Tymczasem ludzie wokół zaczęli krzyżeć, że napadł na strażnika i że zasłużył sobie na karę.

— Nie poznajesz mnie, konsulu — powiedział Sweb.

— A powinienem? — Antoniusz utkwiał w nim wzrok, ale nie wydawał się poruszony.

Kobieta nie mogła go winić; od czasu, gdy widzieli się z konsulem po raz ostatni, jej mężczyzna stracił jedno oko. Wyglądał teraz jak włóczęga,

pokryty sińcami, bliznami i kurzem.

— Oczywiście, że powinieneś — odrzekł Germanin.— Walczyliśmy razem, ramię w ramię w Galii, w trakcie wielkiego powstania Wercyngetoryksa, braliśmy razem udział w triumfie Cezara po zwycięstwie nad armią Pompejusza pod Dyrrachium i Farsalos. Naprawdę mnie nie pamiętasz?

Antoniusz zastanawiał się jeszcze chwilę, posyłając mu badawcze spojrzenie.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzyknął w końcu.— Ortwin, stary druhu!

— Tak, to ja.

Antoniusz spojrział również na kobietę.

— Ach, barbarzynka bez ręki... Jak cię zwali? Veleđa, prawda? — dodał, a ona przytaknęła.

— Mówiono, że zginąłeś pod Mundą lub że zdezerterowałeś. Z tego, co widać, prawdziwa była druga wersja — kontynuował chłodno Rzymianin. — Uciekłeś...

— Niezupełnie tak było, konsulu. Walczyłem aż do końca i po bitwie uznałem, że wypełniłem swoje zadanie. Wróciłem w moje strony...

— Nie poszczęściło ci się jednak, jak widzę.

— To prawda. Przybyłem tu, aby znowu służyć Cezarowi, lecz teraz, gdy nie żyje – co wydaje się niewiarygodne— uważam, że najgodniejszym wodzem, jakiego mógłbym sobie życzyć, jesteś ty.

Na twarzy Antoniusza pojawił się grymas.

— I sądzisz, że wezmę sobie takiego nędznika? W dodatku zdrajcę? Zapomnij o tym. Jesteś skończony, przyjacielu.

Ortwin zrobił krok do przodu, ale liktorzy natychmiast ruszyli, by chronić magistrata. Stojący za nimi żołnierze dobyli gladiusów.

— Przyjmij mnie do swojego oddziału, a będziesz mile zaskoczony. Nie daj się zwieść pozorom — wycodził.

— Nie wiem, co miałbym z tobą zrobić. Mam teraz tyle pieniędzy, że mogą mnie chronić najlepsi żołnierze w Rzymie. Spójrz na tych — odpowiedział Antoniusz, wskazując ludzi z medalionami.

— Wszyscy to centurionowie. *Wyłącznie centurionowie.* Są do mojej wyłącznej dyspozycji. — Dodał z dumą.

Ortwin zawahał się. Veleđa poczuła ścisk w żołądku. Miała nadzieję, że jej

mężczyzna nie poniży się jeszcze bardziej. Wiedziała, że schował głęboko swą dumę właśnie dla niej.

On jednak to zrobił.

— Proszę cię, konsulu... daj mi jeszcze jedną szansę— nalegał natarczywie.

Zauważyła, że Antoniusz spojrział na niego z niesmakiem, potrząsnął głową i zwrócił się do straży:

— Zabierzcie sprzed moich oczu tego wykolejńca. Porzucił Cezara, mnie również by porzucił. Przez wzgląd na naszą wspólną służbę w armii i posługi, jakie świadczyłeś Cezarowi, pozwolę ci odejść wolno, pomimo tego, co uczyniłeś mojemu *ostiario*. Nie pokazujcie się tu więcej, Ortwinie. Ani ty, ani twoja jednoręka kobieta.

Podczas gdy Antoniusz oddalał się do swego domu, centurionowie wystąpili do przodu, pochwycili Germanina i zaczęli odciągać. Starał się oswobodzić, ale kilka silnych ciosów pozbawiło go sił. Pozostał posłuszny, dopóki nie cisnęli nim o mur pobliskiego zbiornika na wodę. Barbarzyńca leżał odwrócony tyłem na bruku. Velea podbiegła do niego, a kiedy zobaczyła, że jest przytomny, pomogła mu usiąść. Nie pomagał jej ani nie oponował.

— Co teraz? — zapytała.

— Nie wiem... Nie mamy wyjścia, trzeba się zwrócić do kogoś innego.

VI

Gdy pojawił się na progu domu, Oktawia miała ochotę rzucić mu się na szyję. Nie widziała brata od sześciu miesięcy, ale czuła się, jakby upłynęła cała wieczność. Zwyczaj nakazywał jednak, by pierwsi powitali go matka, Atia, i ojczym, Marcjusz Filip, którzy nie czekali nawet, aż chłopiec przekroczy próg. Wyszli mu naprzeciw i oboje serdecznie go uściskali. Oktawia odniosła wrażenie, że brat nie jest zbyt zadowolony z tego gestu.

Zmienił się przez te długie miesiące spędzone dalekood Rzymu. Kiedy ich oczy się spotkały, nie rozpoznała dawnego spojrzenia brata. Zmienił się także wyraz jego twarzy. Oktawian nagle dorósł – nie tylko z wyglądu, lecz także mentalnie – a w twarzy i spojrzeniu zmiany te odbijały się niczym w zwierciadle. W jego kryształowobłękitnych oczach, niegdyś niewinnych, dostrzegła głębię i moc. Gdziekolwiek skierował wzrok, pojawiał się w nim błysk determinacji. Oktawia nie wiedziała, czy chłopiec, którego pamięta, stał się już mężczyzną, ale bez wątpienia zachowywał się dojrzałe i po męsku.

Oktawian celowo uprzedził rodzinę, że przybywa do Rzymu, chciał bowiem, aby wszyscy zebrali się w domu Atii i Marcjusza Filipa, by przedstawić im swoje zamiary. Wydawał polecenia jak mężczyzna, choć jeszcze sześć miesięcy wcześniej nie miałby śmiałości tego uczynić. Teraz jednak był spadkobiercą Cezara, a przynajmniej czuł się nim.

— Mój drogi synu, tak bardzo się o ciebie martwiłam— odezwała się Atia, zapraszając go gestem do środka triklinium, aby mógł się przywitać z pozostałymi, którzy podnieśli się z sof i także zmierzali w jego stronę.

Podbiegł, by przytulić siostrę, a następnie zwrócił się do matki:

— Ale dlaczego, matko? Mordercy Cezara, z tego, co mi wiadomo, ulotnili się, a naród oplakuje dyktatora. Rzym jest teraz bezpieczny, dla całego rodu Juliuszów.

Siostra objęła go mocno, po czym pozwoliła, by przywitali się z nim Kwintus Pediusz i Lucjusz Pinariusz, a także jej mąż, Marcellus.

— Niemniej jednak sytuacja wciąż jest napięta — odparł z naciskiem ojczym. — Antoniusz utrzymuje w Republice względny porządek, Cynceron i senat nie mają zbyt dużego wpływu na naród, a stanowisko *pontificis*

*maximi*⁴, jakie Lepidus otrzymał z woli Antoniusza, nie jest na tyle atrakcyjne, by zamknąć mu usta. Cezarobójcy ukryli się w prowincjach o dużym znaczeniu, gdzie mogą zagrażać Rzymowi, mając za sobą legiony. Mogą nawet wziąć miasto głodem.

Oktawian uściskał dłonie swych kuzynów i szwagra, a następnie zwrócił się do Marcjusza Filipa:

— Nie sądzę, byśmy mieli powody do obaw. Udam się niezwłocznie na rozmowę z Antoniuszem, przejmę moje dziedzictwo i będę mógł wręczyć ludowi pieniądze, a weteranom przydzielić kolonie. Zyskam poparcie ludu i będę nietykalny, a to pozwoli mi zrealizować cel polityczny, jaki przede mną stoi. Kontrolowanie instytucji ułatwi mi zemstę na mordercach mego ojca.

— Ach tak? A co pozwala ci przypuszczać, że uzyskasz wsparcie Antoniusza? — odparł Kwintus Pediusz.

— Albo że senat zgodzi się, by na arenę polityczną wszedł tak młody człowiek? — zawtórował mu Lucjusz Pinariusz.

— Ten spadek jest przeklęty, mój synu — dodał Marcjusz Filip. — Ściągnie na ciebie jedynie problemy. Odstąp od tego, jeśli mogę ci coś radzić. Twoja matka również uważa, że jest to niebezpieczne. Zbyt wielu ludzi interesuje się tymi pieniędzmi. Zbyt wielu ludzi może pozbyć się ciebie w jednej chwili. Poczynając od samego Antoniusza.

— Są jeszcze mordercy Cezara... — dodała poruszona Atia. — Kiedy dowiedzą się, że jakiś chłopiec miał śmiałość przejąć spadek po dyktatorze, zrobią wszystko, by wykluczyć go z gry i dokończyć dzieła!

Oktawian wyprostował się. Spojrzał na Filipa. Siostra nigdy wcześniej nie widziała, by jego oczy płonęły takim gniewem.

— Nie jesteś moim ojcem. Nigdy nim nie byłeś. Teraz Cezar jest moim ojcem. Powinienem jak najszybciej dopełnić formalności związanych z adopcją. Skoro uznał, że jestem tego godny, byłbym doprawdy największym tchórzem pośród śmiertelników, gdybym odrzucił tak wielki honor.

Oktawia chciała powiedzieć, że rodzice nie zasłużyli sobie na takie traktowanie, wszak mówili to z troski o syna. Brat sam jednak zrozumiał, że posunął się za daleko. Podszedł do matki, objął ją i uściskał dłoń ojczyrna.

— Wybaczcie. Wiele wam zawdzięczam, obojgu — powiedział znacznie łagodniejszym tonem. — Winien jestem jednak wdzięczność również

Cesarowi, a najlepiej mu się odpłacę, jeśli stanę na wysokości zadania i nie zawiodę zaufania, którym mnie obdarzył.

Matka zanosła się szlochem.

— Ależ będziesz musiał się zmierzyć z ludźmi wpływowymi, bezlitosnymi, kierującymi się logiką władzy... Zetrą cię na proch, jeśli spróbujesz im się sprzeciwić.

Ojczym wskazał mu sofę. Usiedli, a za nimi także pozostali.

— Byłem konsulem dwanaście lat temu, jak wiesz — zaczął Marcjusz Filip — i widziałem, do czego są zdolni. Napawało mnie to tak wielkim obrzydzeniem, że już dawno postanowiłem wycofać się z polityki. Trzeba być stworzonym do tego, by żeglować po wzburzonych wodach władzy. Są wiecznie niespokojne, nawet wtedy, gdy zdaje się panować na nich cisza, ponieważ zawsze ktoś snuje intrygi, by zdobyć więcej, by przyćmić drugiego, by komuś zaszkodzić. Każda broń jest dozwolona, zwłaszcza ta, której zabrania prawo. Moralność nie istnieje, ani faktyczna, ani pozorna. Albo nauczysz się odrzucać wszelkie skrupuły, albo giniesz. Mnie się nie udało, wołałem zejść ze sceny, zanim mnie zniszczono. Nie jestem twoim ojcem, ale pozwalałem sobie rozmawiać z tobą tak, jakbym nim był, ponieważ stoisz przed najważniejszym wyborem w swoim życiu i czułbym się winny, gdybym nie przedstawił ci wszystkich aspektów sprawy, które pozwolą ci podjąć rozsądną decyzję.

Chłopak pokiwał głową. Oktawia w głębi serca żywiła nadzieję, że brat nie ulęknie się i podejmie wyzwanie. Gdyby ona stanęła przed takim dylematem, prawdopodobnie nie znalazłaby w sobie odwagi i nigdy, przenigdy nie sądziłaby, że może wskrzesić w sobie choć małą iskierkę determinacji niezbędnej, by przeżyć w tym świecie. Mimo to czuła, że byłiby niegodni Cezara, gdyby nikt z rodziny nie pomścił go i nie podjął jego dzieła. Naturalnie nie spodziewała się, by Lucjusz Pinariusz czy Kwintus Pediusz stanęli do walki o ich prawa. Podobnie jak i Marcjusz Filip nie mieli charakteru pozwalającego stawiać czoło pewnym wyzwaniom.

Kiedy Oktawian otworzył usta, by odpowiedzieć, natychmiast zrozumiała, że jest ulepiony z innej gliny. Przypominał teraz swojego poprzednika, nie tylko zewnątrz.

— Przyglądałem się Cesarowi z najwyższą uwagą i próbowałem czerpać z naszych spotkań jak najwięcej — oświadczył. — Jego śmierć nie pozwoliła mi nauczyć się tyle, ile chciałem, a może i tyle, ile było niezbędne, sądzę

jednak, że rozumiałem, jakie mechanizmy pozwalają człowiekowi realizować własne ambicje i bronić się przed tymi, którzy stanowią przeszkodę. Osobistą ambicją Cezara było z pewnością wywieranie wpływu na innych, lecz pragnął również być tym, który uchroni Rzym przed autodestrukcją i przywróci wewnętrzny pokój, którego obywatele od tak dawna łaknęli. Zostawił mi środki i narzędzia niezbędne do realizacji tych celów i nawet gdybym miał poświęcić na to całe moje życie, uczynię wszystko, by spełnić jego życzenie. Wszystko, zapewniam was. On sam niejednokrotnie dopuścił się bezprawia, to nie ulega wątpliwości, ale uświadomiłem sobie, że krocząc drogą prawości, nie można pokonać tych, którzy rzucają kłody pod nogi, jeśli nie stosuje się wobec nich tych samych metod. Tak czy inaczej, Cezar splamił się winami znacznie mniejszymi niż jego wrogowie, ponieważ na koniec został zabity przez tych, którym przebaczył, dał władzę ludziom niegodnym zaufania, którzy później go zamordowali. Nauczyłem się od niego, co należy robić, a czego unikać i jakimi kryteriami się posługiwać przy doborze współpracowników. Tak, ponieważ nikt nie może tego uczynić w pojedynkę. Trzeba bowiem umieć dobrać odpowiednie osoby – zaufane i mężne. Dzisiaj mogę liczyć na wsparcie narodu i żołnierzy i muszę jak najszybciej z tego skorzystać, zanim dojdą do wniosku, że nie byłem godny zaufania, którym obdarzył mnie Cezar. Zamierzam zgromadzić wokół siebie grupę osób, którym będę mógł ślepo zaufać, którym będę mógł powierzyć to, czego nie zdołam zrobić osobiście. Zamierzam związać tych ludzi przysięgą, tworząc koterię połączoną wspólnym celem, którym będzie pomszczenie Cezara i uczynienie Rzymu stabilnym, trwałym imperium, wolnym od groźby wojen domowych i najazdów, jakie były naszym utrapieniem za czasów Gajusza Mariusza. Niewykluczone, że aby osiągnąć taki stan, trzeba będzie stoczyć kolejne wojny domowe...

— Zapominasz o Marku Antoniuszu — wtrącił Kwintus Pediusz. — To potężny człowiek w Rzymie, prawie niczym Cezar. To z nim musisz się rozliczyć, jeśli chcesz się ujawnić. Na przykład mnie i Lucjuszowi Pinariuszowi nie oddał nawet naszej części spadku, wciąż znajdował jakieś wymówki.

— Cokolwiek zrobię, zrobię to z Markiem Antoniuszem, jako że był najbliższym namiestnikiem Cezara i cieszy się największym poważaniem — uściślił Oktawian. — Ja potrzebuję jego, a on potrzebuje mnie, ponieważ

żołnierze mnie kochają, a lud zaakceptował zalecenia zawarte w testamencie. Nie może się sprzeciwić, a skoro dotychczas postępował na tyle roztropnie, by ułożyć się z mordercami Cezara, ułoży się również ze mną.

— Nie masz niczego. Jak chcesz go przekonać, że jesteś mu potrzebny? — Lucjusz Pinariusz nie ustępował.

— Ja nie mam niczego? To śmieszne! Mam poparcie ludu. Sądzisz, że to mało? Mam też pieniądze, które da mi Antoniusz, i żołnierzy, którzy będą czcić pamięć Cezara. Mam więc to wszystko, czego potrzebuje człowiek, aby mieć władzę i aby móc dyktować warunki. A moje warunki, przynajmniej w tej chwili, to pomścić Cezara i zdobyć urząd na tyle znaczący, by móc kierować najważniejszymi decyzjami senatu.

— Urząd? Ależ masz zaledwie dziewiętnaście lat! — zaproponował ojczym.

— Naród, pieniądze i żołnierze. Powiedziałem już, że mam wystarczająco dużo. Scypion Afrykański nie miał nawet tego, gdy objął propreturę w Hiszpanii, aby pomścić – zważcie dobrze – ojca i wuja zabitego przez Kartagińczyków.

Młodzieniec zamilkł i wśród obecnych zapanowała okrutna cisza. Nikt nie potrafił przedstawić żadnych innych zastrzeżeń wobec jego stanowiska. Oktawia przyglądała się badawczo twarzom swoich krewnych i zrozumiała, że teraz wszyscy dzielają jej zdanie.

Dyktator wiedział, co robi. Jeżeli był w rodzinie ktokolwiek, kto mógłby podążać jego śladami, to tylko Oktawian. Nawet w tym przypadku Cezar udowodnił, że przewyższa innych swoją dalekowzrocznością. W chorowitym chłopcu dostrzegł przyszłego mężczyznę, na tyle zdeterminowanego i pozbawionego skrupułów, by móc się sprzeciwić wrogom politycznym i kontynuować dzieło poprzednika. Oktawia nie wiedziała, czy bratu się to uda; okoliczności przemawiały przeciwko niemu i całe przedsięwzięcie balansowało na granicy możliwości wykonania. Bez wątpienia jednak był on jedynym, który może podjąć wyzwanie z jakąkolwiek nadzieją na powodzenie.

Długie oczekiwanie w przedśionku wystawiło na próbę cierpliwość Oktawiana. Postanowił jednak robić dobrą minę do złej gry i nie zamierzał się zdradzać z negatywnym nastawieniem do Marka Antoniusza. Dał znak Agrypie, który odpowiedział mu gestem dodającym otuchy, i udał się za

niewolnikiem, na zewnątrz, gdzie oślepiły go promienie słońca spowijające okazałe Ogrody Pompejusza.

Antoniusz siedział na ławce w cieniu platana. Towarzyszył mu sekretarz, który zajęty był wycinaniem na woskowej tabliczce zaleceń dyktowanych mu przez konsula przeglądającego dokumenty. Nie uniósł głowy, nawet gdy niewolnik obwieścił przybycie Oktawiana. Skinął jedynie, nie odrywając się od czytania i dyktowania sekretarzowi.

— *...z tego względu sądzimy, iż mieszkańcy Sycylii nie powinni czuć się gorsi i nie powinni przeto korzystać z przywilejów mniejszych niż należne tym, którzy jako wierni sprzymierzeńcy Urbis otrzymali rzymskie obywatelstwo. Uchwalamy więc, zgodnie z wcześniejszym zamysłem Cezara, że otrzymają je i oni, a Sycylia nie będzie już prowincją rządzoną przez pretora, lecz wejdzie w granice terytorium italskiego.*

Rozdrażnienie Oktawiana wzrosło. Antoniusz nie tylko jawnie go ignorował, ale wydawał również dyspozycje korzystne wyłącznie dla niego, udając, że realizuje zamiary Cezara. Poprzez przyznanie obywatelstwa Sycylijczykom zamierzał pozyskać szerokie klientele, choć według wiedzy Oktawiana nie taki był zamysł dyktatora. Uświadomiło mu to, jak pilną sprawą jest przejęcie należnego mu spadku i wystąpienie w charakterze najgorliwszego wykonawcy testamentu Cezara. Jeśli bowiem pozostawi wszystko w rękach Antoniusza, zostanie obezwładniony jego osobowością. Niewykluczone, że na zawsze.

Miał ochotę zwrócić na siebie uwagę, ale przewyciężył ten odruch i czekał, aż konsul sam się do niego odezwie. W końcu Antoniusz raczył podnieść głowę i zmierzyszy go obojętnym wzrokiem, rzekł:

— *Ave, synu. Cieszę się, widząc cię w dobrej kondycji, chociaż raz. Obawiałem się, że żołnierski tryb życia w Apollonii wyrządził nieodwracalne szkody twemu zdrowiu. Cóż mogę dla ciebie uczynić?*

Było gorzej, niż się spodziewał. Oktawian modlił się do bogów o siłę, aby nie zdradzić się z tym, jak bardzo czuje się poniżony. Tłumaczył sobie, że powinien do tego przywyknąć, do poniżania i ukrywania własnych myśli, i uznał, że oto nadarzyła się okazja, by zacząć się w tym ćwiczyć. Może był to dość trudny początek, ale próby, jakie już wkrótce go czekały, będą nie mniej ciężkie.

— *Ojczy mój – ponieważ jesteś nim z uwagi na pełnioną funkcję, a także na poważanie, jakim cię darzę – przybyłemu przede wszystkim, aby*

podziękować ci za to, co uczyniłeś dla Cezara, za jego życia i po jego śmierci, a więc pośrednio także i dla mnie, troszcząc się o jego mienie, które wuj pozostawił mi łaskawie w spadku — rzekł podniosłym tonem. — Jestem ci nieskończenie wdzięczny także za to, że stanowczo sprzeciwiłeś się tym, którzy proponowali nagrodzić zabójców. Gdyby nie zatrzymano cię celowo, z pewnością uczyniłbyś wszystko, by go uratować lub pomścić. Pozwólę sobie jednak uczynić ci również zarzut, ponieważ szybko zawarłeś porozumienie z mordercami, dałeś im nawet zakładników, a następnie pozwoliłeś ogłosić dla nich amnestię, nie zważając na wolę ludu, który domagał się sprawiedliwości... Widziałeś, że po odczytaniu testamentu ludzie byli wręcz gotowi spalić ich domy, a mimo to nie stanąłeś wraz z narodem, wspierając go zbrojnie, ale nawet nie wytoczyłeś cesarobójcom żadnego procesu, chociaż należało to uczynić wobec osób złapanych na gorącym uczynku i wobec tych, które przyznały się do winy. Pozwoliłeś im uciec, niektórym nawet do prowincji, którymi władają wbrew boskiemu prawu, zamordowali bowiem tego, który im je powierzył.

Nie zdołał się powstrzymać, musiał wyrzucić z siebie to, co go gryzło. Zdobywanie sprzymierzeńców nie wychodziło mu jeszcze dobrze, pomimo że obiecał sobie pozyskać każdego, kto mógłby okazać się dla niego użyteczny. Poniósł porażkę, jeszcze zanim przystąpił do dzieła. Był przygotowany na to, że Antoniusz odpowie mu wybuchem gniewu, z drugiej strony oskarżał przecież człowieka, który zdążył już źle go potraktować.

— Rozumiem, że raczysz żartować, chłopcze — odezwał się Antoniusz, nie ukrywając irytacji. — Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak wyglądała sytuacja bezpośrednio po śmierci Cezara? Nie, oczywiście, nie było cię tutaj. Mówiło się, że będę kolejną ofiarą, a mordercy mogli liczyć na szerokie poparcie senatu. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, aby uniknąć wojny domowej, i *patres conscripti*⁵ są mi za to dzisiaj wdzięczni. A teraz zjawiasz się ty, nieopierzony zuchwalec, i masz czelność mnie osądzać?

— Skądże. Nie oceniam cię, mój ojczu. Chcę ci tylko powiedzieć, że to, co zostało uczynione z konieczności, można teraz naprawić. Postąpiliście słusznie, ty i Dolabella, obejmując stanowisko prokonsulów Syrii i Macedonii, ale czy naprawdę konieczne było przyznawanie Krety i Cyreny Brutusowi i Kasjuszowi. Ponadto ani ci na tym nie zależy, ani ci się nie opłaca, by potencjalni przeciwnicy polityczni zachowali mocną pozycję. Spodziewałem się, że skoro nie czułeś się na siłach, by w nich uderzyć, to

przynajmniej ich osłabisz.

— Taka była decyzja senatu! I owszem, osłabiliśmy ich, właśnie odbierając im najważniejsze prowincje, takie jak Syria i Macedonia — usprawiedliwiał się Antoniusz.

„No proszę — pomyślał Oktawian — przeszedł do ataku... Wyprowadzenie go z równowagi było właściwym posunięciem”.

— Owszem, ale ty poddałeś to głosowaniu — kontynuował — i ty prowadziłeś obrady senatu. Przyznanie prowincji darowizn było po prostu kolejnym znieważeniem Cezara, a także splamieniem twojego wizerunku politycznego. Na domiar złego pozwoliłeś również, by największy zdrajca, Decymus Brutus, zatrzymał Galię!

Czuł do siebie samego obrzydzenie za to, że nie umiał utrzymać nerwów na wodzy. Zmuszenie Antoniusza do ataku nie było równoznaczne z jego poniżeniem. Pięknie, chciał być przywódcą partii cezariańskiej, a nie potrafił nawet przeciągnąć na swoją stronę najważniejszego współpracownika Cezara. Co powie teraz Agrypie, Rufusowi i swojej rodzinie?

Agrypa doskonale rozumiał, jak delikatna jest to sprawa, i z lękiem oczekiwał na wynik spotkania. Przechadzał się nerwowo tam i z powrotem po atrium w domu przylegającym do Ogrodów Pompejusza. Antoniusz otrzymał tę posiadłość od Cezara i właśnie tutaj urządził swą główną rezydencję. Agrypa kręcił się wokół *impluvii* i, od czasu do czasu, przystawał obok okalających je kolumn ze spuszczoną smutno głową. Oktawian w ostatniej chwili uznał bowiem, że zbyt porywczy przyjaciel nie powinien jednak uczestniczyć w jego rozmowie z Antoniuszem. Wcześniej mile polectała go wiadomość, że Oktawian postanowił zabrać ze sobą tylko jego, rezygnując z obecności Rufusa i swoich kuzynów, dlatego łudził się, że będzie mógł stanąć twarzą w twarz z konsulem. Teraz doświadczył gorzkiego rozczarowania, choć nie mógł zaprzeczyć, że jego arogancki sposób bycia istotnie mógł doprowadzić do sytuacji, w której powiedziałaby Antoniuszowi coś nieprzyjemnego. Musiał przyznać – choć czynił to z ciężkim sercem – że pewne sprawy Oktawian potrafił poprowadzić lepiej od niego. Poza tym był pewny, że przyjaciel dostosuje się do zasad, które postanowił przyjąć, krocząc po drodze ku władzy.

A jednak chciał mu towarzyszyć i przynajmniej z daleka móc śledzić

przebieg spotkania tak ważkiego dla ich przyszłości. Gdy tylko Oktawian znikł z niewolnikiem, Agrypa zaczął się zastanawiać, jak przebiega rozmowa. Postanowił zająć myśli czymś innym i przywołał obraz Etain, ale i tym razem dosięgło go uczucie pewnego żalu do Oktawiana. Tak bardzo chciał uczestniczyć w zebraniu rodzinnym, o którym słyszał, odkąd przybyli do Rzymu. Sądził, że będzie to doskonała okazja do spotkania z dziewczyną. Zauważył także, że coraz częściej myśli o niewolnicy, nie tylko po to, by uciec od spraw większego kalibru.

— Ty pewnie jesteś przyjacielem naszego młodego Oktawiana. Jak ci na imię, młodzieńcze?

Jakiś głos wyrwał go z zamyślenia. Podniósł głowę. Niepostrzeżenie podeszła do niego kobieta, której zmysłowość go oszołomiła. Albo on był za bardzo pochłonięty swymi myślami, albo jej krok był wyjątkowo cichy. Dziwne jednak, że nie poczuł jej zapachu, który przenikał teraz do jego nozdrzy niczym drapieżne pazury sięgające samowolnie mózgu i rozpierające od wewnątrz jego głowę.

Nie była piękna, lecz nie miał wątpliwości co do tego, że może mieć każdego mężczyznę, którego zechce. Przełknął ślinę i odpowiedział:

— Nazywam się... Nazywam się Marek Wipsaniusz Agrypa, pani, i tak, jestem z Oktawianem.

Przywykł do towarzystwa wszelkiego typu kobiet, ale nigdy nie było mu dane przebywać w obecności tak wysoko postawionej matrony. Poczul się onieśmielony już od pierwszej chwili. Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku dni obecność kobiety odbierała mu kontrolę nad emocjami, jednak Etain działała na niego zupełnie inaczej.

Kiedy zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia, jego zakłopotanie wzrosło jeszcze bardziej i jeszcze gwałtowniej. Nie przedstawiła mu się, lecz Agrypa zrozumiał, że nie może to być nikt inny jak żona Marka Antoniusza – Fulwia. Jedna z najbardziej kontrowersyjnych kobiet w Rzymie.

Konsul wybrał sobie trudną towarzyszkę, po dwóch burzliwych małżeństwach: pierwsze łączyło ją z Klodiuszem, trybunem ludowym, powszechnie znanym wicherzycielem zamordowanym w ulicznej bójce; drugim jej mężem był Kurion, jeden z najbardziej pechowych namiestników Cezara, który stracił życie w dramatycznych okolicznościach w Afryce. Antoniusz wykazał się niebywałą determinacją, biorąc ją sobie za żonę, zważywszy na liczbę skandali, w które była zamieszana, a także na jej trudny

charakter. Z drugiej jednak strony, jeśli w Rzymie żył mężczyzna, który nie bał się kobiet, był nim właśnie on.

Agrypa również sądził, że nie ma powodów obawiać się świata kobiet... dopóki nie spotkał jej – Fulwia budziła w nim strach i poczuł, że chce stamtąd odejść. Jednocześnie coś w nim wołało, by rzucić się na nią i wziąć ją przemocą.

— Cóż tu porabiasz sam? Słuchasz Oktawianowi? Jesteś jego wiernym psem? Jego strażnikiem?

Ten głos również przyprawiał go o dreszcze, czuł dziwny lęk, ale także bezgraniczne zmieszanie. Był to szorstki i niski głos – Agrypa miał wrażenie, że celowo moduluje nim w ten sposób. Prawdopodobnie liczyła sobie jakieś piętnaście lat więcej niż on. Różnica wieku między nimi uwidaczniała się głównie za sprawą jej pewności siebie i doświadczeń, które odcisnęły na niej swe piętno.

— Oczywiście, że nie. Jestem jego najwierniejszym i najbliższym przyjacielem. Nie mamy przed sobą tajemnic — odpowiedział głosem, którego nie potrafił do końca opanować.

Fulwia podniosła swe pieczołowicie wypielęgnowane brwi, o łuku tak ciemnym jak jej włosy misternie upięte na czubku głowy. Jej oczy, przyciemnione dookoła dużą ilością *fumigi*⁶, długo wpatrywały się w Agrypę, zmuszając go, by spuścił wzrok. Czuł się przy niej jak zwykły żółtodziób.

— Doprawdy? To ciekawe, że Oktawian żyje w takiej zażyłości z plebejuszem...

— Dorastaliśmy razem w Velletri i przyjaźnimy się, odkąd skończyliśmy siedem lat...

— Hm... — Fulwia pokiwała głową. — Nie łączy was przypadkiem *coś więcej niż przyjaźń*?

Agrypa miał ochotę się roześmiać, lecz był zbyt spięty. On i Oktawian chodzili na kobiety już jako chłopcy, więc podejrzenie, że mógłby pożądać mężczyzn, rozbawiłoby go... ale nie tym razem. Teraz poczuł się dotknięty do żywego.

Niespodziewanie odzyskał swą zwykłą śmiałość wobec płci przeciwnej.

— Tak szanowana matrona jak ty, o tak wysokim pochodzeniu, z pewnością nie zniżyłaby się do tego, by sprawdzać mą męskość, tak więc musisz trwać w niepewności, przykro mi — odrzekł i mrugnął do niej zalotnie, choć nie przyszło mu to łatwo.

— Wprost przeciwnie, zniżę się, do usług. Właśnie to było moim zamiarem. No, pokaż, co potrafisz — powiedziała, odwracając się. Jej palla opadła, podniosła tunikę i oczom Agrypy ukazały się dwa wspaniałe pośladki nieprzesłonięte nawet przepaską.

Marek Antoniusz wstał. Oktawian mógł teraz dokładnie zobaczyć, jak bardzo sylwetka potężnego i imponującego mężczyzny różni się od jego wątłej chłopięcej postury. Poczul się onieśmielony i jednocześnie przytłoczony mocą zarówno jego powierzchowności, jak i autorytetu. Nie doświadczył tego u Cyncerona, dlatego uznał, że bez trudu pokieruje swoimi relacjami z możnowładztwem. Ale rozmawiając z Cyncerem, nie musiał się trudzić, by kontrolować własne emocje, a poza tym potraktowano go uprzejmie. W przypadku Antoniusza było odwrotnie: od razu wychwycił pogardę, z jaką odnosił się do niego ten doświadczony polityk. Oktawian czuł się jak neofita, nie potrafiąc ukryć żalu, który przepełniał go z powodu śmierci Cezara i bezczynności konsula. Zamiast złożyć mu podziękowania, co wbrew własnym odczuciom zamierzał zrobić, uczynił z niego swego wroga. Mając już tak długą listę nieprzyjaciół, z pewnością nie powinien dodawać do niej kolejnych nazwisk.

— Kimże ty jesteś, bym miał się przed tobą tłumaczyć? — zaatakował go Antoniusz. — Myślisz może, że Cezar, zostawiając ci spadek, zostawił ci również władzę? Gdyby tak było, miałbyś prawo rozliczać minie z działań politycznych. Rzymianie jednak nie przyznali nikomu prawa do dziedziczenia władzy, nawet królom za czasów ich panowania, co więcej: zabili Cezara właśnie dlatego, iż uznali, że przestał sprawować urząd, a zaczął zachowywać się jak król. Dlatego też nie muszę ci się tłumaczyć z moich działań na rzecz narodu, a tymsamym zwalnim cię z obowiązku okazywania mi za towdzięczności. Cokolwiek uczyniłem, uczyniłem to dla ludzi, na pewno nie dla ciebie!

Przegrał, to było pewne. Mimo wszystko dobrze zrobił, że nie dał sobie wejść na głowę i pokazał Antoniuszowi, iż będzie musiał rozliczyć się w przyszłości również przed nim.

— Zrobiłeś to, bo chcesz pójść śladami Cezara, ot co! Zadbaleś o dobre stosunki ze wszystkimi, aby wzmocnić podstawę swej władzy — odparł. — Nie ukarałeś morderców Cezara, bo chciałeś się zemścić za to, że nie

wspomniał o tobie w testamencie.

— Dlaczego muszę tego wszystkiego wysłuchiwać?! To ja narażałem się, by oddać Cezarowi pośmiertną cześć i wyprawić mu publiczny pogrzeb, wbrew zdesperowanym i żądnym krwi ludziom, którzy byli gotowi zabić także mnie samego! To ja przekonałem senat, aby nie traktował Cezara jak tyrana i potwierdził ważność wszystkich jego dokumentów, w tym także twojego testamentu. Beze mnie nie miałbyś żadnej schedy, mały głupcze. Tymczasem winisz mnie, ponieważ pozwoliłem, by wypełniono wolę Cezara w kwestii przydziału prowincji? Zdecyduj się – jeśli jego postanowienia w sprawie urzędów straciły swą ważność, nieważny jest także jego testament. A jeśli testament, czyniący cię w zasadzie jedynym dziedziczącym, obowiązuje, obowiązują i pozostałe dokumenty. Zarzucasz mi, że dążę do tyranii, a jednak muszę brać pod uwagę wolę ludu i senatu.

Nic z tego. Antoniusz wciąż przewyższał go inteligencją, zapędził go w kozi róg, przedstawiając bezwzględnie logiczny tok rozumowania. Nie dość, że Oktawian nic nie zyskał, to jeszcze zraził do siebie konsula. Lecz przecież to o niczym nie przesądzało, bo miał w zanadru coś jeszcze: wszyscy znali treść testamentu i wszyscy wiedzieli, że Oktawian jest spadkobiercą. Antoniusz mógł używać dowolnych pretekstów, ale prędzej czy później będzie musiał przekazać mu te pieniądze. W przeciwnym razie zrazi do siebie lud i żołnierzy, którzy czekają na wypłatę obiecanych im wynagrodzeń.

Musieli dojść do kompromisu. Oktawianowi nie pozostawało nic innego, jak zawrzeć konkretną ugodę, opierając się na ostatnich pozorach koleżeństwa.

— Cóż, jak widać, nie mam podstaw, by czynić ci zarzuty, i jeśli faktycznie chroniłeś mój spadek, proszę cię, abys dał mi do niego dostęp — oświadczył na zakończenie Oktawian. — Moim głównym dążeniem jest zemsta za śmierć ojca. Dopomóż mi w tym, przynajmniej umożliwiając korzystanie ze schedy. Nie jestem ignorantem i zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele kosztowało cię przeniesienie majątku Cezara do twojego domu, aby móc go chronić. Ponieważ jednak wszyscy wiedzą, że ja jestem spadkobiercą Cezara, wyjdę na złodzieja, jeśli nie wywiążę się z zapisów testamentowych dotyczących narodu i żołnierzy wciąż przebywających w mieście w oczekiwaniu na to, co im należne. Albo ty nim zostaniesz, jeśli wciąż będziesz trzymał te pieniądze przy sobie. Sądzę, że możemy dojść do

porozumienia. Z uwagi na ryzyko, na jakie się naraziłeś, pozwalam ci zatrzymać cenne przedmioty, ozdobne sprzęty oraz wszystko, co ci się podoba. Potrzebuję niezwłocznie czterech tysięcy talentów odłożonych przez Cezara na kampanię partyjską, które należy teraz wypłacić trzystu tysiącom osób tworzących naród rzymski. To, co należy się żołnierzom, wypłacę w razie potrzeby we własnym zakresie po spieniężeniu mojego majątku. A jeśli to nie wystarczy, wystąpię z prośbą o kredyt do ciebie lub, za twoją zgodą, do skarbu państwa.

Miał nadzieję, że Antoniusz będzie zadowolony z jego propozycji, lecz wyraz twarzy konsula prędko pozbawił go złudzeń.

— Nic nie wiesz! Zupełnie nic! — krzyknął Antoniusz.— I masz czelność stawiać warunki. Za krótko żyjesz na tym świecie, chłopczyku! Czy nie wiesz o tym, że skarbiec jest pusty, ponieważ wszystkie środki wpływające z podatków lądowały u Cezara? Tak, dzieciuchu bez grosza przy duszy, tak właśnie! Nikt nie odważył się badać tej sprawy za życia dyktatora, ale teraz nadarza się doskonała okazja. Twój spadek stanie się przedmiotem nieskończonych skarg i odwołań, ponieważ teraz wszystkie prywatne osoby, które uznały, że Cezar bezprawnie ściągnął od nich pieniądze, podniosą głowy. I nie myśl sobie, że mam w domu wielkie bogactwa. Zaraz po idach marcowych stawilo się tutaj wielu możnowładców i urzędników, zarzucając mi, że przetrzymuję pieniądze tyrana. Jeśli masz choćodrobinę oleju w głowie, nie rozdasz ludziom tego, co zostanie dla ciebie, lecz spłacisz tych, którzy twierdzą, że są wierzycielami twego ojca, tych wszystkich, którzy z powodu niezadowolenia mogliby ci zaszkodzić, ale jako przyjaciele mogą ci się przydać. Jeśli ktokolwiek pomoże ci wysłać żołnierzy do kolonii, to właśnie oni.

Antoniusz unicestwił go, zdeklasował i upokorzył. Oktawian nie mógł jednak dać tego po sobie poznać. Stał przez chwilę w milczeniu, a następnie wykrzyknął:

— Wszystko to tylko wymówki! Wciąż szukasz powodów, by nie wywiązać się ze zobowiązań, jakie masz wobec mnie! Zezwoliłeś na splądrowanie skarbu Cezara, aby zjednać sobie klientele i zawrzeć umowy polityczne, ponieważ dążysz do zdobycia władzy absolutnej! Podzieliłeś ten majątek według własnego uznania, nie zważając na wolę zmarłego! Jesteś oportunistą i złodziejem!

Wypowiedziawszy te oskarżenia, odwrócił się i odszedł od swego

rozmówcy, kierując się z powrotem do atrium, gdzie kazano mu czekać na spotkanie, a idąc, zastanawiał się, co powie na to wszystko Agrypa.

Może to, co mówił Antoniusz, było prawdą? A może prawdą było to, co on sam powiedział konsulowi na odchodne? Najbardziej jednak liczyło się co innego: on, Oktawian, był zadłużony po uszy.

Agrypa rozejrzał się wokół, przerażony i jednocześnie podniecony. Zauważył, że się poci, i poczuł, że naraża się na śmieszność. W najśmielszych wyobrazeniach nie przypuszczał, że mógłby skorzystać z propozycji Fulwii.

— Ale... przecież twój mąż jest zaledwie parę kroków stąd... Co robisz? Oszalałaś? — mamrotał.

— Na bogów — odpowiedziała zniecierpliwiona. Nawet się nie obróciła, tylko odsłoniła plecy. — Młody, a tchórz! Myślałam, że taki byczek jak ty, z boskim ciałem atlety, nie oprze się pożądaniu. Cóż, jeśli chcesz wiedzieć, przy wejściu do ogrodów postawiłam na straży moją służącą. Gdyby ktoś się zbliżał, powiadomi mnie.

Agrypa był zdezorientowany. Ona to wszystko ukartowała! Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się, aby to nieon wychodził z inicjatywą. Miał ochotę rzucić się w jej stronę, upaść na kolana i zatopić twarz w jej wspaniałych wdziękach, czuł się jednak jak rzecz. Zresztą czy nie w ten właśnie sposób patrzył na większość dziewcząt, które zaciągnął do łóżka?

— Młody Agrypo, bardzo się tobą rozczarowałam. Spodziewałam się po tobie większego zaangażowania. Nie będę tak stała w nieskończoność. Muszę wręcz przyznać, że już się zmęczyłam... — powiedziała to bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem. *Surowym*.

Agrypa znowu rozejrzał się wokoło. Pomyślał o tym, w jak niezręcznej sytuacji może postawić Oktawiana, gdyby wszystko wyszło na jaw. Zobaczył również słodką twarz Etain, a następnie oblicze zdeterminowanej, pewnej siebie Fulwii, która napawała go strachem... Znajdująca się przed nim lubieżna rzeźba sprawiła jednak, że zrobił krok do przodu, a następnie drugi i kolejny, aż w końcu, sam nie wiedział jak, splótł się z heterą. Jego sterczący członek pęczniał pod togą. Był bliski czegoś, co dotychczas pozostawało jedynie w sferze jego wyobraźni.

— *Domina*, nadchodzą!

Fulwia, słysząc te słowa, odskoczyła od niego. Ubrała się w pośpiechu i w jednej chwili przywróciła się do stanu, w jakim się tam zjawiała. On zaś był spocony. Czuł, że wyszedł na niedojdę, a co gorsza – zdawało mu się, że erekcja wcale nie mija.

— Wróć, gdy tylko będziesz mogła. W przeciwnym razie będę cię szukać. Pragnę cię — szepnął chwilę przed tym, jak jego oczom ukazała się pochmurna twarz przyjaciela.

Oktawian zauważył matronę i odezwał się bezbarwnym głosem:

— Kłaniam się, droga Fulwio. Wybacz, że nie zostanę dłużej, lecz mam bardzo ważne sprawy do załatwienia.

— Ależ oczywiście, drogi Oktawianie — odparła w pełni opanowana. — Twój przyjaciel, Agrypa, opowiadał mi, jak wiele macie na głowie...

Agrypa spojrzał na niego i zauważył, że przyjaciel przygląda się mu badawczo, zatrzymując wzrok na dolnych partiach jego ciała. Na jego markotnej twarzy przez chwilę malowało się zaskoczenie, a Agrypa dostrzegł w niej wręcz złośliwy uśmieszek. Oktawian bardzo szybko przyjął odpowiednią postawę i dał mu znak do odejścia.

— A... a więc? — wymamrotał zmieszany Agrypa, wychodząc za nim z budynku. — Udało ci się go wywieść w pole, tak jak Cyncerona?

— Jakżeby inaczej... Równie dobrze mogłem posłać tam ciebie! — odparł Oktawian, uśmiechając się smutno.

VII

W związku z tym stwierdza się, że posiadłość znajdująca się przy *Vico capriario*, na wysokości Nimfeum Jowisza, została przejęta przez dyktatora Juliusza Cezara bezprawnie w następstwie wygnania jej właściciela, Lucjusza Domicjusza Ahenobarbusa, który teraz powrócił do Rzymu, aby dochodzić swych praw — oświadczył adwokat strony skarżącej.

Jego słowa rozbrzmiewały w bazylice Juliusza, odbijając się od wysokiego sklepienia, mimo że budynek był pełen ludzi.

— Młody Gajusz Oktawian nie może więc rościć sobie do niej żadnych praw. Własność zostanie przeto wydzielona ze spadku, jaki pozostawił mu Juliusz Cezar.

Oktawian spojrział na Lucjusza Pinariusza, który zgodził się wspierać go przed sądem w sprawach o ich spadek. Na razie z marnym skutkiem. Kuzyn zabronił chłopcu bronić się samemu, twierdząc, że jego starszeństwo oraz wieloletnie doświadczenie procesowe będą go lepiej chronić. Sądy tworzyli jednak zawsze konsulowie lub ich przyjaciele, więc chłopak cały czas był stroną przegrywającą, pomimo wysiłków Pinariusza, który właśnie wstał i podszedł do Marka Antoniusza zasiadającego w trybunie sądowej.

— Konsulu, jestem pewien, że nie trzeba ci przypominać, iż dekret wydany przez senat dzień po śmierci dyktatora orzekł o ważności wszystkich dokumentów, jakie sporządził on w ramach pełnionych przez siebie funkcji. W związku z tym ja także, kończąc swoje wystąpienie, pragnę stwierdzić, że skoro zostały utrzymane w mocy zalecenia Cezara dotyczące przydziału urzędów na kolejne pięciolecie i skoro wdrażane są jego ustawy, dobra przejęte w następstwie wyroków, które ciążą na wrogach państwa lub na osobach swego czasu za nich uznanych, a także w następstwie zesłań, pozostają własnością jego rodziny, a zatem jego spadkobiercy.

Podniosła się wrzawa, jedni brali stronę Pinariusza, inni krzyczeli przeciwko niemu. Większość jednak wzywała Antoniusza, aby wydał wyrok na korzyść Oktawiana, zarówno dlatego że chodziło o dobra przejęte od bogaczy i możnowładców, jak i dlatego że chłopak zaczął już zyskiwać sobie przychylność tłumu – zgodnie z zapisami testamentowymi Cezara – rozdając posiadane pieniądze.

Antoniusz wezwał Pinariusza, by wrócił na swoje miejsce, i pogrążył się w zadumie. Kwintus Pediusz, usiadłszy zaraz za Oktawianem, nachylił się do młodego kuzyna i szepnął mu do ucha:

— Bądź pewny, że tym razem również nie przyznam racji. Ale ludzie pomalu zaczynają dostrzegać, że uwziąłeś na siebie...

— Owszem, jednakże jałowe protesty to niestety jedyne, na co teraz mogą sobie pozwolić — odparł Oktawian z goryczą. — Na szczęście mam jeszcze trochę pieniędzy, które moim współpracownikom udało się odzyskać w Afryce z funduszy przeznaczonych przez Cezara na wojnę partyjską. Choć i one wkrótce się skończą.

— A co z pieniędzmi, które pożyczyci ci Gajusz Matius i Korneliusz Balbus? — dociekał Pediusz.

— Już ich nie ma. Przez wzgląd na swą przyjaźń z Cezarem udzielili mi pożyczki, nie chcieli jednak podejmować nadmiernego ryzyka finansowego. Niestety, gdy udałem się do nich z prośbą o kolejne kwoty, w moich sprawach zaczęto wydawać pierwsze niepomysłne wyroki i najwidoczniej uznali, że wkrótce będę niewypłacalny. Cóż, tak właśnie się stanie, jeśli nic się nie zmieni...

— Na jakim jesteś etapie z wypłatami dla ludu? — zapytał Pinariusz, mając na myśli trzysta sestercji na głowę obiecanych obywatelom Rzymu.

— Sprawy idą źle. Wypłaciłem pieniądze zaledwie pięćdziesięciu tysiącom ludzi. Aby dojść do liczby trzystu tysięcy, trzeba więcej, a jeśli nie uda się nam uratować przynajmniej części spadku, będziemy musieli skończyć, zanim na dobre zaczniemy — odpowiedział zgnębiony.

Były dni, kiedy czuł, że wplątał się w przedsięwzięcie ponad jego siły: przejęcie władzy mimo młodego wieku oraz zemsta za śmierć Cezara to dwa zobowiązania, które przyjął na swoje barki, może zbyt pochopnie. W takich chwilach myślał, że powinien być posłuchać rodziców i odpuścić sobie ten ambitny plan. To był właśnie jeden z takich dni.

Niewiele go obchodziło, że ludzie, którzy przybyli do bazyliki, by przyglądać się procesowi, skandowali jego imię, usiłując w ten sposób wywrzeć nacisk na sąd. W ostatnich dniach spotykał się z coraz większym poparciem ludu, wśród którego szybko rozeszły się wieści o tym, że Oktawian rozpoczął wypłaty kwot zarządzonych testamentem; wielu zapewniało go o swoim przywiązaniu i można było odnieść wrażenie, że widzą w nim nowego Cezara. Dodawali mu więc otuchy, by nie rezygnował

z walki o władzę i nie pozwolił się zniechęcać tym, którzy według starego porządku wciąż dzierżyli władzę.

Pomimo silnego wsparcia zaczął dostrzegać, jak trudno jest zdobyć zaufanie wyższych sfer. Niewiele wysoko postawionych osób było gotowych udzielać mu kredytów i pożyczek, aby mógł wypełnić zalecenia testamentowe. W istocie bowiem realizując ów testament, wywiązywał się z obowiązków, jednak bez możliwości czerpania z niego korzyści, a to oznaczało, że ryzykuje całkowity upadek finansowy. Jego siła opierała się na poparciu ludu oraz wojska, lecz wszystko to mogło runąć w jednej chwili, jeśli nie będzie w stanie zadowolić obu tych grup.

Nie spodziewał się, by tego dnia sytuacja uległa zmianie. Toteż gdy Antoniusz ogłosił niepomyślny dla niego wyrok, nawet nie drgnął. Pozostał na swoim miejscu ze spuszczoną głową. Nie dołączył do Pinariusza, który zerwał się na równe nogi i podbiegł do Pediusza, by wraz z nim zgłosić swój sprzeciw pod trybuną konsula.

— To bezprawie!

Oktawian nie zwracał nawet uwagi na to, który z kuzynów zabiera głos.

— Dekret senatu mówi wyraźnie: unieważnieniu ulegają wyłącznie dokumenty Cezara dotyczące ustanowienia władzy absolutnej. Całą resztę należy utrzymać w mocy!

— Rozumiem wasze rozzalenie — odrzekł uprzejmie Antoniusz. — Istotnie, można odnieść wrażenie, że niektóre nasze wyroki są sprzeczne z uchwałami senatu, lecz tekst dekretu nie do końca zgadza się z faktycznymi decyzjami podjętymi przez *patres conscriptos*. Naród był wtedy zdezorientowany i do amnestii, co do której wszyscy byli zgodni, dodaliśmy zakaz uchylania praw ustalonych za dyktatury Cezara. Należy jednak bardziej przestrzegać ducha dekretu niż jego litery i raczej przywrócić dobra wielu ludziom, którzy zostali ich pozbawieni na skutek wojny domowej, niż mnożyć bogactwo jakiegoś młodzieńca, który dzierżąc w swym ręku olbrzymi majątek, mógłby zacząć zachowywać się w sposób nierozsądny.

— Co ty opowiadasz? To wszystko są wymówki, by nam zaszkodzić! Decyzja należy wyłącznie do ciebie, nie zważasz na nikogo!

Ludzie również protestowali, ale Antoniusz wydawał się niewzruszony.

— Nie mam najmniejszego zamiaru wam szkodzić. Nie chcę wam przeszkadzać w podziale spadku — oświadczył.— Powiem więcej, wy dwaj nie macie się o co martwić; niewzbożacie się za bardzo od tego, co wam się

należy, a skoro zamierzacie mi rzucać kłody pod nogi, jestem gotowy dać wam to od razu.

Oktawian zauważył, że Antoniusz przeszedł do ofensywy. Teraz usiłował skorumpować jego kuzynów, zawierając z nimi pokój na specjalnych warunkach, i nie zadawał sobie nawet trudu, by to przed nim ukryć. Należało go traktować jak powietrze. Otrząsnąwszy się z osłupienia, miał zamiar wstać i podejść do trybuny, lecz nagle dotarło do niego, że w ten sposób da Antoniuszowi pretekst do publicznego poniżenia lub nawet aresztowania. Nie, nie czuł się jeszcze gotowy, by ponownie stawić mu czoła. Może nigdy nie poczuje się gotowy.

Siła Antoniusza była zbyt duża, a mordercy Cezara mieli zbyt duże wpływy. Senat spoglądał z nieufnością na młodego wywrotowca, który zjawił się, by burzyć porządek polityczny i społeczny. Z kolei lud i żołnierze, mimo że mu sprzyjali, byli również z natury niestali w swych sympatiach.

Gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, już dawno dałby sobie spokój. Tylko nieustępujące pragnienie pomszczenia ukochanego wuja dawało mu siłę, by brnąć dalej. Jak długo jeszcze?

Zauważył nadchodzącego szwagra, Klaudiusza Marcellusa, w towarzystwie mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widział.

— Nie udało ci się i tym razem, już wiem — zaczął mąż Oktawii. — Twoja siostra bardzo nalegała, bym zrobił coś dla ciebie, zapytałem więc mojego nowego przyjaciela, czy nie mógłby przypadkiem jakoś nam pomóc. Pomimo młodego wieku to człowiek niezwykle zamożny, a także niezwykle rzutki. Wyciągnął nas nawet z tarapatów w idy marcowe.

Oktawian przyjrzał się badawczo osobie, o której mówił szwagier, i napotkał jej nad wyraz uprzejmy uśmiech. O ile mężczyzna istotnie był tak majątny, jak go przedstawiono, o tyle bez wątpienia należał do ludzi, którzy lubią się obnosić z własnym bogactwem. Odziany był w togę z niezwykle szlachetnej tkaniny ze zdobionymi brzegami. Jego tunika również miała wyszukane wykończenia – tak bogatych ornamentów Oktawian nie widywał nawet na szatach najbardziej zasobnych senatorów. I ta twarz... Po obu stronach, wzdłuż skroni, opadały dwa długie pasma kręconych włosów. Zdaniem Oktawiana tego rodzaju uczesanie bardziej pasowałoby kobiecie niż mężczyźnie. Odniósł również wrażenie, że jego skóra nosi ślady pigmentu. Nie koniec na tym: poruszał się ostrożnie i z uwagą, jakby wszystko, co napotykał, napawało go odrazą, nie wyłączając ludzi. Był to doprawdy

dziwny osobnik albo przynajmniej śmieszny. I pomyśleć, że mogli być mniej więcej w tym samym wieku!

— Witaj, Oktawianie. Mam na imię Gajusz Cilniusz Mecenias — odezwał się przybysz. — Z ogromnym zainteresowaniem przyglądam się twoim ruchom.

— A to dlaczego? — zapytał wprost, nie przejmując się, że może tym pytaniem wprowadzić go w zakłopotanie. Nie był w nastroju do rozmów i nie podobało mu się to, że ktoś go śledzi. Nic jednak nie wskazywało, by zraził rozmówcę swoją agresywną postawą.

— Powiedzmy, że lubię umożliwiać ludziom realizowanie ich marzeń. A ty jesteś kimś, kto ma wiele marzeń, lecz niewiele środków do ich realizacji. Nasze ścieżki musiały się przeciąć. Poza tym lubię, gdy ludzie w moim wieku marzą...

Oktawian spojrzał na szwagra.

— Co to ma być? Jakiś żart? — zapytał.

Marcellus rozłożył ręce.

— Mecenias ma specyficzny sposób bycia, lecz zapewniam cię, że niewielu znajdziesz tak dzielnych ludzi jak on. Twoja siostra może to potwierdzić.

Cilniusz uśmiechnął się. Najwyraźniej nie tracił dobrego humoru.

— Tak, zazwyczaj sądzi się, że ktoś, kto chce pomóc innym, w rzeczywistości kpi sobie z nich. Jeśli jednak zasięgniesz języka na mój temat, dowiesz się, że pomogłem wielu osobom. Dlaczego to robię? Bo liczę, rzecz jasna, że kiedyś to do mnie wróci. Osoba, której pomogłem, czuje się wobec mnie zobowiązana, choćby tylko moralnie, i staje się moim przyjacielem. To bardzo ważne, by mieć wielu przyjaciół. Mając ich wielu, któregoś dnia stwierdzisz, że zdobywasz coraz wyższe szczyty, i tego ci życzę. Ta zasada dotyczy wszystkiego. To, co inwestujesz dzisiaj, może zwrócić ci się z nawiązką jutro – to moje motto. Jeśli uda mi się wydobyć nieodkryty potencjał drugiej osoby, jeśli dam jej szansę na spełnienie, któregoś dnia ja sam będę mógł skorzystać z jej talentu. A jeśli nie ja, to może wielu innych, którzy będą wspominać mnie jako tego, który im to umożliwił. Jeżeli nie przekonuje cię to wyjaśnienie, wiedz, że uważałem Cezara za geniusza, toteż ci, którzy go zabili, w pewnym sensie mi się narazili.

— Czyli robisz to dla potomnych — skomentował Oktawian, a mówiąc to, nie potrafił wyzbyć się ironii, która wyraźnie pobrzmiwała w jego głosie.

Mimo wszystko ten dziwak podnosił go na duchu, a to można było uznać za nie lada osiągnięcie.

— Nazywaj to, jak chcesz. Oczywiście dla ciebie będzie lepiej, jeśli nie będą to potomni zbyt odlegli w czasie. Pomocy potrzebujesz już teraz, jak mi się zdaje — odpowiedział Mecenasa równie ironicznie.

— A jakiego rodzaju pomoc chciałbyś mi zaoferować?

— Pieniężną, rzecz jasna. Tej potrzebujesz teraz najbardziej, a ja jestem w stanie dać ci najwięcej. Oczywiście nie tylko moje pieniądze, ale i pieniądze moich przyjaciół, których mogę przekonać, by zechcieli cię finansować. Nie mam wątpliwości, że przychylą się do moich próśb, bo od tego właśnie są przyjaciele, nieprawdaż?

Oktawianowi wydawało się to wszystko zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Musiał tkwić w tym jakiś haczyk.

— Hm... A co chcesz w zamian? — spytał podejrzliwie.

— Już ci mówiłem: twoją wdzięczność. Oczywiście spodziewam się, że moja inwestycja zwróci się również w wymiarze finansowym. To jasne, że jesteś człowiekiem honoru i oddasz mi wszystko. Nie zamierzam naliczać odsetek. A kiedy dojdiesz już do władzy, może przypomnisz sobie, że okazałem się cennym współpracownikiem, i zechcesz wesprzeć moje interesy, które – mam nadzieję – będą się pokrywać z twoimi.

Tu postanowił się wtrącić Marcellus:

— Prowadzę z nim interesy od marca, Oktawianie, i mogę cię zapewnić, że ma do tego prawdziwy talent. Zawdzięczam mu nie tylko życie, ale również cenne sugestie dotyczącego inwestycji.

— I to wszystko, czego oczekujesz, Mecenasiu? — upewnił się Oktawian.
— A w ogóle, co pozwala ci wierzyć, że stawiasz na właściwego człowieka? Jak widzisz, moje sprawy nie idą zbyt dobrze. Może się okazać, że stracisz pieniądze i swoje, i swoich przyjaciół, a zyskasz jedynie sprzymierzeńca, który na nic ci się nie przyda.

— Cóż, zawsze jest jakieś ryzyko, w każdej inwestycji — przyznał Mecenasa. — Ile ryzykował twój wuj wiele lat temu, przechodząc Rubikon tylko z jednym legionem? Ufam ci, Oktawianie. Możliwe, że właśnie ty jesteś brakującym elementem w budowie długotrwałej stabilności kraju czekającego od dawna na pomoc. Postaraj się teraz umocnić podstawę konsensusu. Zapłać wszystkim, by uczynić z nich swoich dłużników, a kiedy postanowisz sformalizować adopcję, ludzie dostrzegą w tobie nowego Cezara

i staną za tobą, odcinając drogę twoim wrogom. Wtedy będziesz mógł zdobyć to, czego pragniesz.

Oktawian spoglądał na niego z zachwytem. Nie wiedział, na ile uczciwe są intencje Mecenasa, poczuł jednak, że dzięki niemu przepęlnia go nadzieja, dokładnie w chwili, w której poczuł, że ją traci. Już choćby za to był mu wdzięczny.

Ortwin i Velea stanęli w kolejce, mając nadzieję, że dojdą do Oktawiana i jego współpracowników, nim zapadnie zmrok. Pod czujnym okiem żołnierzy, reagujących na najmniejsze sprzeczkę, na Forum Cezara gromadzili się ludzie pragnący uczestniczyć w osobliwej aukcji dóbr młodego patrycjusza. Tylko nieliczni mogli pozwolić sobie na zakup jego posiadłości, mimo że ceny wywoławcze były stosunkowo niskie. Najwięcej przybyło ludzi, którzy podziwiali determinację tego chłopaka walczącego z wrogością najpotężniejszych mężów w Rzymie – a w szczególności samego Antoniusza – gotowego mimo wszystko usunąć się na bok i odstąpić od tego, co było mu należne.

Ortwin przysłuchiwał się komentarzom stojących wokół osób i dzięki nim dowiadywał się coraz więcej na temat człowieka, któremu zamierzał zaoferować swe usługi. A im dłużej ich słuchał, tym bardziej cieszył się, że znalazł nowego, prawdziwego Cezara, któremu będzie mógł służyć. Poza tym los dawał mu szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa, u boku człowieka, który być może dorówna poprzedniemu wodzowi Ortwina. O ile tylko zechce go zatrudnić.

Zdawał sobie sprawę z tego, że niewiele ma do zaoferowania. Doprowadził się do fatalnego stanu, a jedynym, co posiadał, była niewielka grupa ludzi tak wychudzonych, że tylko ktoś o wyjątkowo bujnej wyobraźni mógł dostrzec w nich wojowników. Żywił jednak nadzieję, że Cezar opowiadał Oktawianowi o tym, co Ortwin dla niego uczynił, i że chłopak przyjmie go jako zaufanego człowieka.

— Słyszałeś? Konsul Marek Antoniusz zawiesił *legem curiatam*⁷ i teraz Oktawian nie może nosić imienia Cezara. Ale dla mnie i tak jest jego synem. Przypomina go nawet z wyglądu, zobacz.

Korpulentny obywatel dzielił się swoimi wrażeniami z sąsiadem. Ten mu odpowiedział:

— Nie rozumiem, dlaczego konsul tak bardzo się na niego wziął. To dzielny chłopak. Chce jedynie wypełnić wolę przybranego ojca.

— To prawda, jest nieugięty! Pomimo tego wszystkiego, co z nim robią, on trwa przy swoim i dokłada wszelkich starań, by uszczęśliwić naród! — powiedział drugi.

— Sprzedają wille i działki po śmiesznych cenach! To dopiero gratka! Chodźmy posłuchać.

— Nie, to nie jest gratka. To są własności, o które się upomniano, i nie wiadomo jeszcze, czy wrócą do właścicieli, którym zostały odebrane. Ten, kto je kupi, może je łatwo stracić.

— Sprzedaje je, by zdobyć pieniądze, które chce rozdać ludowi. To szlachetny człowiek!

— Zmuszają go do takiego postępowania! Dopiekli mu na wszystkie sposoby. To nie w porządku wyzywać się na chłopcu, który nie skończył nawet dwudziestu lat.

— Patrzcie, jak się zachowuje! Wygląda na starszego! Widać, że jest mądry. Skoro Cezar wybrał go na swego spadkobiercę, najwyraźniej miał ku temu powody!

Lud zdecydowanie go popierał. Przyglądając się dokładnie Oktawianowi, rzeczywiście nie odnosiło się wrażenia, że stanowi materiał na dobrego wodza: był zbyt wątki, jak na trudy kampanii wojennej. Miał jednak predyspozycje, by zostać dowódcą, a Ortwin znał się na tym, ponieważ przez lata służył pod rozkazami największego wodza, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Cezar miał magnetyzm i charyzmę, które dawały mu przewagę nad innymi, czy to żołnierzami, czy cywilami. Jego siostrzeniec posiadał tę samą, godną pozazdroszczenia, cechę charakteru.

— Nie weźmie nas. Dlaczegoż by miał to zrobić? — powiedziała coraz bardziej strapiona Velea. — Spójrz, jakie tłumy go kochają. Na pewno nie zabraknie mu żołnierzy, gdy zaczną płacić także im.

— Weźmie. Cezar przyjąłby mnie z powrotem.

— Ale on nie jest Cezarem.

— Pragnie nim zostać, z całych swoich sił. Widać, że gdydorastał, wzorem dla niego był wódz.

— Nie łudź się.

Velea nie dawała się przekonać. Miała wrażenie, że kroczą po omacku, oddalając się coraz bardziej od tronu, który należał się jej jako

spadkobierczyni Ariowista, a którego nie potrafili odzyskać nawet z pomocą armii. O ile dla Ortwina pamięć o Cezarze i pragnienie pomszczenia go były silnym bodźcem, o tyle dla niej, która nigdy nie lubiła Rzymian, nie mogło stać się wystarczającym powodem do opracowania strategii odzyskania utraconego królestwa. Ortwin nie znajdował już w Veledzie tej pełnej godności i determinacji kobiety, którą zawsze była, kobiety, którą darzył nie tylko miłością, ale i szacunkiem. To ona zawsze go motywowała i zachęcała, teraz jednak stała się obojętna, dlatego musiał szukać tej siły w sobie.

Zauważył, że przejął w ich związku nową dla siebie rolę, rolę przewodnika, którą dotychczas pełniła ona, wykorzystując przewagę, jaką miała nad nim z racji swego wysokiego urodzenia.

— Posłuchaj, Veledo, wszystko się ułoży. Zaciągniemy się do armii Oktawiana, pomścimy Cezara i pomożemy jego następcy zająć najwyższe stanowisko w Rzymie. Zdobędziemy nowe ziemie i otrzymamy nagrodę, dzięki której uda nam się odzyskać twoje królestwo... lub znaleźć nowe, gdzie indziej — powiedział, obejmując ją.

Jej twarz wykrzywiła się w gorzkim grymasie. Nic nie odpowiedziała. W przeszłości to Ortwin nigdy nie wierzył w marzenia Veledy, a jednak zawsze ją wspierał. Miał nadzieję, że tym razem ona zachowa się podobnie.

Odwrócił się w stronę trybuny licytatorów i stwierdził, że za sprawą nieustannego ruchu, w jakim znajdował się tłum, znacznie zbliżyli się do Oktawiana. Postanowił to wykorzystać. Chwycił Veledę za rękę i zaczął przepychać się między niewielką grupą ludzi dzielącą go od chłopca. Tak jak poprzednio, odstraszący wygląd ułatwił mu zadanie. Szybko dotarł w miejsce, z którego dziedzie Cezaramógł go usłyszeć.

— Oktawianie! Oktawianie! Czy pamiętasz jeszcze Ortwina? — zakrzyknął.

Początkowo chłopiec zdawał się go nie słyszeć, lecz gdy Germanin powtórzył swoje imię, Oktawian spojrzał na niego z zaciekawieniem. Nie wyglądało na to, że go poznał.

— To ja, Ortwin! Walczyłem dla Cezara! — dodał w nadziei, że ta informacja może jakoś pomóc.

— Doskonale! Jest was wielu! Musisz poczekać na swą kolej, kiedy zacznę płacić żołnierzom — odrzekł Oktawian.

— Nie! Nie byłem legionistą. Byłem wodzem jegogermańskich straży przybocznych! Koniecznie muszę z tobą pomówić!

Chłopiec odruchowo machnął w geście irytacji. Zszedł z podium, za nim, niczym cień, podążał jego przyjaciel, rówieśnik, lecz o znacznie mniej imponującym wyglądzie. Ortwin przypomniał sobie, że widział go na polach pod Mundą przed decydującą bitwą przeciwko Pompejuszowi Młodszemu. Był wtedy z nimi jeszcze jeden chłopak.

Oktawian kroczył w jego stronę. Germanin wystąpił z tłumu i w końcu stanęli naprzeciw siebie. Velea przyglądała się im ostentacyjnie z pewnej odległości. „Najwidoczniej wstydzi się mnie” — pomyślał Ortwin.

— Mówiłeś, że jak się nazywasz? — spytał Oktawian.

— Ortwin, mój panie, Cezar z pewnością wspominał ci o mnie. Służyłem mu w czasie wszystkich jego kampanii, w Galii, Afryce, Azji i w Hiszpanii.

Oktawian spojrzał na swych przyjaciół.

— Hm... tak, teraz sobie przypominam: Ortwin. Ale miałeś oboje oczu, jeśli się nie mylę. Mówił mi, że w czasie kampanii pomogłeś mu rozwiązać wiele problemów. Kiedy opowiadał mi o swoich najcenniejszych namiestnikach, zawsze wymieniał twoje imię. Powiedział mi jednak również, że pod Mundą ślad po tobie zaginął... Był rozczarowany, ponieważ po powrocie do Rzymu zamierzał powierzyć ci bardzo odpowiedzialne zadania. Pamiętasz, Agrypo? Zdaje się, że byłeś obecny w czasie jednej z rozmów na ten temat.

— Tak, to prawda. Zastanawiał się, czy zginąłeś, czy po prostu zdezerterowałeś — przytaknął drugi młodzieniec.

Ortwin nabrał głęboko powietrza i wyprężył pierś, by pomimo stanu, w jakim się znajdował, wyglądać dumnie.

— Pod Mundą los mi nie sprzyjał. Spójrz tylko: straciłem oko. Teraz, jak widzisz, jestem tutaj, aby zaoferować własne doświadczenie jego potomkowi. Ja, moja kobieta i moi ludzie.

Oktawian obrzucił go spojrzeniem pełnym politowania. Później popatrzył na Veleę i siedmiu wojaków, którzy towarzyszyli Ortwinowi.

— Co o tym myślicie? — zapytał swoich przyjaciół.

Obaj młodzieńcy również spojrzeli na barbarzyńców, chwilę milczeli i niemal równocześnie pokręcili głowami. Rufus odezwał się pierwszy:

— Mam przecucie, że będą dla nas tylko ciężarem.

— Nie sądzę, by nam się na coś przydali w tak nędznym stanie — zawtórował mu Agrypa. — To tylko jednooki wojak, cóż on może zdziałać? Potrzebujemy pieniędzy dla prawdziwych żołnierzy, a także dla ludu. Nie

możemy sobie pozwolić na to, by choćby jedna sestercja poszła na kogoś, kogo nie potrzebujemy.

Ortwin głośno przełknął ślinę i spojrzał błagalnie na Oktawiana. Miał ochotę rzucić się mu do nóg, powstrzymywała go wyłącznie obecność Veledy. Wtedy rozległy się słowa, których się obawiał:

— Słyszałeś, co powiedzieli moi przyjaciele. Oni znajdują się na żołnierzach lepiej ode mnie. Przykro mi, ale jesteś luksusem, na który nas nie stać — młodzieniec bezradnie rozłożył ręce.

Oktawia poczuła, jak ogarnia ją niepowstrzymana złość. Zaskoczyło ją to, ponieważ nigdy nie traciła nad sobą kontroli. Wyjątek stanowiły sytuacje, gdy czegoś się bała. Tym razem jednak nie chodziło o strach. Była zła. Straciła do reszty cierpliwość z winy swojego męża.

— Tak być nie może! Musimy mu pomóc! Jako jedyni w rodzinie nie wsparliśmy go swoim majątkiem! — krzyczała do niego tonem, którego sama nie poznawała.

Uchodziła za stateczną kobietę, znającą swoje miejsce, stanowiła wzór dla wszystkich rzymskich matron. Dobrze, że nie wiedziały, co ją łączyło z Gajuszem Chereą; dobrze, że nie widziały jej w chwili gniewu, ponieważ z pewnością straciłaby ich szacunek.

— Nie możesz tego ode mnie żądać! — odpowiedział Klaudiusz Marcellus, uderzając pięścią w stół w swoim *tablino*. — Po prześladowaniach, jakich doświadczyła moja rodzina ze strony Cezara w trakcie wojen domowych, sporo się natrudziłem, by odbudować nasz majątek. Dlaczego miałbym oddawać go jakiemuś chłopczyńce, który zapewne nie będzie mógł mi go potem zwrócić?

— Ale otrzymałeś także wiele od Cezara! Powinieneś okazać wdzięczność jego rodzinie, tym bardziej że sam do niej należysz!

— Nie walczyłem przeciwko niemu, jak mój brat i mój bratanek. Byłem jedynie przeciwnikiem politycznym, który zawsze postępował wobec niego uczciwie. Z jakiej przyczyny miałby mnie karać? Mam teraz wyciągać z tarapatów wszystkich jego potomków, tylko dlatego że łaskawie mi przebaczył?

Oktawia była rozdrażniona upartą postawą swojego męża. Wyszła z pokoju i zawołała Etain.

— Idź do Gajusza Cherei i powiedz mu, że chcę się z nim spotkać na Forum Cezara, gdzie Oktawian prowadzi publiczną licytację. Śpiesz się!

Wyzwolenica spojrzała na nią zaskoczona. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by jej pani w otwarty sposób okazywała chęć spotkania się z tym człowiekiem. Oktawia wróciła do *tablini*.

— Idę do mojego brata. Są pewne dobra, które zamierzam mu darować, i nie możesz mi tego zabronić. Stanowią część mojego posagu. Ale ponownie zaklinam cię, abyś zechciał okazać hojność — powiedziała oschle. Pomyślała, że może istotnie czekała dotychczas na silny bodziec, który nauczyłyby ją w końcu stanowczości. I teraz, jak się zdawało, przysłała ta chwila.

— Nie rób głupstw, Oktawio. Wiele wskazuje na to, że czeka nas kolejna wojna domowa, co oznacza, że musimy oszczędzać, by nie spotkała nas krzywda. — Przemawiał teraz łagodniejszym tonem, chcąc przemówić jej do rozsądku.

— Nie zamierzam robić tego typu szacunków, kiedy w grę wchodzi przyszłość mojego brata. Zasłużył, by dać mu szansę, i uczynię wszystko, aby ją otrzymał.

— Ależ tym zajęli się już twoja matka i Marcjusz Filip...— Tym razem ton Marcellusa był wyraźnie zaczepny.

— Jeśli to masz na myśli, wczoraj nawet Kwintus Pediusz i Lucjusz Pinariusz przekazali Oktawianowi swoją część spadku, przynajmniej tę niewielką część, którą pozostawiłem Antoniusz. A moja matka i Marcjusz Filip wyzbyli się niemal wszystkich swoich oszczędności, nie licząc nawet, że kiedyś je odzyskają. Właśnie oni, choć byli przeciwni temu, by Oktawian przyjął spadek!

— Dobrze! W takim razie teraz twój brat będzie miał wystarczająco dużo pieniędzy, by wywiązać się ze zobowiązań, jakie Cezar zaciągnął w imieniu swego spadkobiercy! Na co mu nasze pieniądze? — Mąż Oktawii był nieustępliwy.

— Kpisz? Czy masz pojęcie, ile ich potrzebuje, by wypłacić trzysta sestercji każdemu Rzymianinowi? Spłacić weteranów w koloniach, wynagrodzić legionistów, którzy z radością witali go po jego przybyciu, a także by przeciągnąć na swoją stronę co najmniej kilku znaczących senatorów? Własność Cezara jest przedmiotem dochodzenia i Oktawian wyprzedaje ją po śmiesznych cenach. To, co ma, nie wystarczy. Wystawił na

sprzedaż cały swój majątek, skończy na bruku!

— Otóż to. Pozbędzie się wszystkiego, co uda mu się spieniężyć, i pójdzie paść się na zieloną trawę! Wszyscy chętnie przyjmą pieniądze, które rozdał lekką ręką, ale w przyszłości nikt nie będzie go traktował poważnie. Twój rodzice mieli rację: powinien był zrezygnować z tego spadku...

— I pozwolić, by Cezar pozostał niepomszczony? I nie dążyć do odkrycia, czy wuj miał rację, powierzając mu rolę swego spadkobiercy? Do końca życia zastanawiałby się, czy umiałby być na tyle dzielny, by spełnić pokładane w nim nadzieje!

— Szczerze mówiąc, te wszystkie problemy mnie nie obchodzą — odparł Marcellus. — Przeżyłem wojnę domową, starając się zbytnio nie narażać, i nie zamierzam się angażować w kolejną. Wiesz, co się teraz stanie? Antoniusz nie znosi Oktawiana, Lepidus również. Cezarobójcy nienawidzą go, a zarazem się go boją. Senatorowie bacznie mu się przyglądają. Kiedy dojdzie do rozruchów, ludzie zapomną o otrzymanych pieniądzech i to nieostrożne chłopię skończy na łasce bogatych, wpływowych ludzi, bez jakiegokolwiek sprzymierzeńca, bez grosza przy duszy. Tylko ktoś tak żałośnie naiwny jak ty może się łudzić, że jest on w stanie pokonać możnych pokroju Antoniusza, Lepidusa, Cycerona, Marka Brutusa, Decymusa Brutusa czy Kasjusza.

Tchórzostwo i oportunizm męża budziły niesmak Oktawii. Wyszła z pokoju, nie mówiąc już ani słowa, po czym wzięła akta własności swoich gruntów w Kampanii, zawołała dwóch niewolników i poleciła im, by towarzyszyli jej do Forum Cezara.

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że naprawdę żyje i że chce działać. Wiedziała, że jest przynajmniej jeden człowiek, który poda jej pomocną dłoń.

Do Veledy dotarło, że oto była świadkiem upadku swojego mężczyzny. Ortwin nie runął na ziemię, nie zaczął krzyczeć, nie zakrył również twarzy rękoma, gdy Oktawian oświadczył, iż nie zamierza korzystać z jego usług. Ona jednak rozumiała, że cios, jaki mu zadano, był dla niego miażdżący. Zauważyła jego nieobecny wzrok, puste spojrzenie, zeszywniałe członki— to wszystko mówiło jej, że czuł się przegrany. Nie miał zamiaru ich błagać, nie miał nawet zamiaru nalegać. Przegrał.

Veleda doszła do wniosku, że nie może na to pozwolić. To on zawsze ją

wspierał w trudnych momentach, a było ich tak wiele, że zliczyć potrafili je jedynie bogowie. Teraz, choć raz, ona miała okazję stanąć na jego miejscu. Ortwin byłbydzisiaj sławnym dowódcą w rzymskiej armii, gdyby nie poświęcił się dla niej – musiała dać mu nadzieję. Jeśli tegonie uczyni, nie będzie godna tego mężczyzny, mimoże to on był przegranym.

Podeszła do niego i objęła go, zwracając tym samymuwagę Oktawiana i jego przyjaciół, jeszcze zanim powrócili na trybunę.

Tymczasem licytator, niezrażony, kontynuował swoją pracę.

— Co z was za ludzie, Rzymianie?! — krzyknęła w stronę Oktawiana. — Ten człowiek nie tylko wielokrotnie ratował Cezarowi życie, ale był mu szczerze oddany. To ja zmusiłamgo, by porzucił wodza, ja ponoszę za to odpowiedzialność. Gdyby nie moje nalegania, wciąż stałby u jego boku!

Zamilkła na chwilę i poczuła, że drży. Zauważyła, że Oktawian przygląda się jej badawczo, lecz nic nie mówi, z kolei Ortwin spuścił głowę i nie poruszył się nawet, by wyrwać się z jej objęć. Mówiła więc dalej:

— Czy wy wiecie, czym jest wdzięczność? To, że ty, chłopcze, dostałeś olbrzymi spadek, było możliwe także dzięki mojemu Ortwinowi, który znacząco przyczynił się do ocalenia Cezara i do tego, że mógł on stale umacniać swoją pozycję. Spytaj jakiegokolwiek żołnierza, jeśli nie wierzysz! A zrobił to, ponieważ jest lojalnym człowiekiem, innym niż ci, którzy zdradzili i zabili wodza. Ilu takich jak Ortwin uda ci się znaleźć w przyszłości, młody Oktawianie? Czy jesteś pewny, że możesz bezgranicznie ufać swoim współpracownikom? W przypadku Ortwina fakty mówią same za siebie: jest niezawodny i wierny, jak żaden inny. Postanowił zostawić Cezara dopiero wtedy, gdy stwierdził, że nie jest mu już potrzebny, i odszedł tylko po to, by ruszyć do swego kraju i tam zdobyć tron. Na pewno go nie zdradził. A był przy nim nie dla pieniędzy czy innych korzyści. Stał przy nim, ponieważ podziwiał go i był do niego przywiązany. Prawdziwie kochał Cezara. Wiele razy spieraliśmy się z tego powodu. Zarzucałam mu, że ważniejszy jest dla niego wódz niż jego ludzie. Z bólem przyjął wiadomość o śmierci Cezara. Uczyniłby wszystko, by go pomścić, by ukarać tych, którzy go zabili, i by pomóc temu, którego on wybrał na swego następcę.

Oktawian z powrotem zszedł na dół. Przyjaciele stali za nim. Kobieta wciąż drżała, ale nie zamierzała nic więcej powiedzieć. Rzymianin posłał najpierw jej, a później Ortwinowi, przeszywające spojrzenie, jakim niegdyś zwykł obdarzać poddanych sam Cezar. Dostrzegła, że jej mężczyzna budzi

się z odrętwienia i ponownie wypręża pierś.

— Może postąpiłem zbyt pochopnie, Ortwinie? — odezwał się chłopak, skubiąc w zadumie podbródek. — Twoja kobieta ma rację, rzeczywiście coraz trudniej o prawdziwie zaufanych ludzi. A zważywszy na wyzwania, jakie mam przed sobą, skoro znalazłem takiego człowieka, nie powinienem pozwolić mu odejść. Czy chciałbyś razem ze mną stawić czoła tym przeciwnościom losu?

— Nie sądzę, by mogły mnie spotkać trudy większe niż te, których podejmowałem się u boku Cezara, mój panie— odrzekł Ortwin łamiącym się ze wzruszenia głosem.

— I naprawdę stawiasz ponad wszystko inne pragnienie pomszczenia swego przywódcy?

— Niech Wotan będzie mi świadkiem! Uczynię, co w mojej mocy, aby ci, którzy go zabili, słono za to zapłacili.

— Oktawianie, jesteś pewny? Mam wrażenie, że to, co najlepsze, ten człowiek ma już dawno za sobą. Na co on nam?— odezwał się jeden z przyjaciół młodzieńca.

Twarz chłopaka pojaśniała w szerokim uśmiechu.

— Drogi Rufusie, właśnie wpadłem na pomysł, jaką funkcję mógłby pełnić w naszej drużynie. — To rzekłszy, poklepał Germanina po plecach i wrócił na trybunę.

Tragarze postawili lektykę na ziemi. Oktawia chciała niezwłocznie wsiąść, więc jeden z niewolników pomógł jej się podnieść z poduszek leżących pod jej barkami i podał jej papirusy, które ze sobą zabrała. Brat stał na trybunie ze swymi przyjaciółmi, Rufusem i Agrypą, zajęty przeglądaniem dokumentów, od których zależała jego przyszłość. Widziała, jak potrzęsa głową, a na jego twarzy maluje się rozczarowanie. Domyśliła się, że sprzedaż na aukcji nie była dla niego tak opłacalna, jak się spodziewał. Spojrzała na niego smutno i z całego serca zapragnęła, by jego marzenia nie zderzyły się z twardą rzeczywistością, jak przewidywał jej mąż. Była starsza od Oktawiana o sześć lat i zawsze odnosiła się do niego z troską, nawet po wyjściu za mąż. Przez długi czas traktowała go wręcz z nadmierną opiekuńczością i uwagą, przekonana, że fizyczna kruchość skazała go na życie w cierpieniu. Kiedy jako mały chłopiec kaszlał i pluł krwią, przytulała

go mocno i kołysała, aż zasnął na jej niedojrzałej jeszcze piersi. Chętnie się nim opiekowała, gdy dokuczały mu częste gorączki, czuwając przy jego łożu, dopóki nie dostrzegła u niego poprawy.

Z czasem zdała sobie sprawę, że chłopiec ma żelazną wolę i obdarzony jest wyjątkową inteligencją i że te dwa przymioty w pełni rekompensują niedostatki fizyczne. Oktawian wyrósł na wątłego, lecz wysokiego mężczyznę i – pomimo słabości – swoim zachowaniem i królewską postawą potrafił zrobić wrażenie na innych. Była z niego dumna, ale nie przestała troszczyć się o jego dojrzewanie. Przychodziła do domu rodziców co najmniej kilka razy, nawet będąc w ciąży, ponieważ dowiedziała się, że Oktawian leży w łóżku zmożony chorobą. Spędzała przy nim wtedy całe noce i dni.

Nie zamierzała przeszkadzać mu do czasu przybycia Gajusza Cherei. Musiała mieć pewność, by móc zaangażować się w to niewiarygodne przedsięwzięcie. Jeszcze parę tygodni wcześniej coś takiego nawet nie przemknęłoby jej przez myśl. Była niezwykle podniecona świadomością, że może uczynić coś pożytecznego, coś, co wykraczało znacznie poza jej powszednią rolę matki i żony senatora, która wyznaczała jej skromne miejsce na uboczu. Nie czuła się już związana z tą pozycją. Skoro Oktawian przezwyciężył swoją kruchość i z determinacją rzucił się na głębokie wody, ona również mogła pokonać własny lęk i przyjść mu z pomocą.

Dostrzegła zbliżających się Etain i Gajusza Chereę. Działali szybko. Uznała to za dobry znak. Utkwiła wzrok w mężczyźnie, który przedwcześnie uczynił ją kobietą, i zrozumiała, że nie żywi do niego żadnej urazy. Wręcz przeciwnie, czuła do niego coś, czego znaczenie zrozumiała dopiero teraz, po ponownym spotkaniu z nim. Nigdy nie miała do niego żalu za to, co uczynił, za chwilę słabości. Swój pierwszy raz wspominała nawet jako coś pięknego. To przelotne, lecz tak brzemiennie w skutkach zbliżenie pozwoliło jej doświadczyć czułości i łagodności, których nigdy nie spodziewałaby się po żołnierzu. Wspominała, z jakim baczeniem Gajusz odnosił się do jej potrzeb i jak wyczekiwał jej gotowości. Z mężem nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Wewnętrzne zdyscyplinowanie i surowa moralność, wpojone jej przez matkę, sprawiły, że postanowiła nigdy więcej nie spotykać się z tym mężczyzną. Teraz jednak odkryła, że uczyniła to przede wszystkim ze strachu przed własnymi uczuciami i sposobem, w jaki mogłaby na niego reagować. Teraz wszystko się zmieniło. *Bo i ona się zmieniła.*

— Co się stało, moja pani? Jakież problemy? — zapytał zdyszany Gajusz Cherea, a w jego głosie pobrzmiwała szczególna troska.

— Nie. Przynajmniej jeszcze nie. Chciałam tylko prosić cię o coś.

— Jestem do twoich usług, pani.

Oktawia spojrzała na Etain, dając jej do zrozumienia, by się oddaliła, lecz zauważyła, że nie było to konieczne – dziewczyna odeszła już na bok i zaczęła wpatrywać się w Agrypę, którego mocna sylwetka widniała na trybunie, obok licytatora. Chłopak zauważył ją i także zaczął się jej przyglądać. Jego wyraz twarzy mówił wyraźnie, że cieszy się z tego, co widzi.

Matrona zrozumiała, że może swobodnie rozmawiać z centurionem.

— Chciałam... prosić cię... Gdybym zechciała wesprzeć mojego brata w walce o jego prawa, czy... mogłabym liczyć, że będziesz przy mnie?

Wydawał się zdezorientowany. Widziała to w jego spojrzeniu. Spodziewała się tego. Po wielu latach, podczas których całkowicie ignorowała jego istnienie, teraz zwracała się do niego z prośbą, by był przy niej. Mogła się spodziewać, że uznają co najmniej za szaloną.

— Co... co rozumiesz przez „bycie przy tobie”? — zapytał.

— Miałam na myśli... Jak ci wiadomo, mój brat musi walczyć, by otrzymać potwierdzenie należnych mu praw i by wypełnić zalecenia testamentowe naszego wuja. Chcę stać u jego boku i pomóc mu, w każdy możliwy sposób. Potrzebuję jednak wsparcia, także moralnego, wsparcia odważnego mężczyzny, który zna mnie od dawna i pozwoli mi czuć się bezpiecznie. Mam na myśli kogoś, kto walczył u boku Cezara i kto być może poczuje się szczęśliwy, mogąc uczcić jego pamięć i go pomścić. Myślę o człowieku, z którym byłam związana bardziej, niż chciałam to przyznać przed samą sobą, jedynym na świecie, który może dać mi odwagę, bym zmierzyła się niebezpieczeństwami i lękiem, jakie będą mi towarzyszyć w tej walce.

Gajusz Cherea otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Postąpił krok naprzód, by zbliżyć się do niej, lecz zaraz się zatrzymał, ponieważ uświadomił sobie, że mogą ich zobaczyć ludzie. Gdy Oktawia zrozumiała, że jej słowa zrobiły na nim wrażenie i że chce ją objąć, uśmiechnęła się do niego. Wciąż nie mogła uwierzyć, że znalazła w sobie odwagę, by powiedzieć to wszystko, co powiedziała, ale cieszyła się, że udało się jej to zrobić. Pomyślała wręcz, że mogła to uczynić wcześniej.

— Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że mógłbym dostąpić takiego zaszczytu, Oktawio. Chcę być osobą, której potrzebujesz. Chcę tego ponad wszystko inne, ponieważ pragnę być blisko ciebie, ponieważ marzę o tym, by pomścić Cezara, i może dzięki temu mógłbym żywić nadzieję na twoje przebaczenie — oświadczył uroczyście, nie kryjąc wzruszenia.

— Nie ma potrzeby, bym ci cokolwiek przebaczała. Jesteś ojcem mojego pierwszego dziecka i cieszę się, że to właśnie ty.

Twarz Gajusza się rozjaśniła. Oktawia poprosiła, by udał się za nią w stronę podium, stanęła przy schodach i skinęła na Oktawiana, by zszedł na dół.

— Co ty tutaj robisz? — zapytał brat z nieukrywanym rozdrażnieniem.

— Przyniosłam ci akta zakupu moich dóbr. Sprzedaj je i wykorzystaj pieniądze do spłaty żołnierzy.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Sądziłem, że twój mąż...

— Mój mąż ma swoje priorytety, a ja mam swoje i mogę dysponować moim majątkiem według własnego uznania — ucięła Oktawia.

Brat pokiwał głową.

— Otrzymasz wszystko z powrotem, co do jednej sestercji, przyrzekam ci to. Dziękuję, sestro. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć — powiedział, rozpluwając się w czułym uśmiechu.

— Zaczekaj z podziękowaniami. Jest jeden warunek.

Oktawian spojrzał podejrzliwie.

— Warunek?

— Tak. Chcę wejść do twojej drużyny.

— Drużyny? Jakiej drużyny?

— Daj spokój, cała rodzina o tym wie. Drużyny, którą tworzysz, by zmierzyć się ze stojącymi przed tobą wyzwaniem.

— To nie są sprawy dla kobiet. To zbyt niebezpieczne.

— Los naszej rodziny jest związany z tobą. Narażamy się na takie samo ryzyko. Twój upadek będzie upadkiem nas wszystkich.

— No dobrze, lecz i tak nie wiem, co mogłabyś robić.

— Mogę rozmawiać z matronami, z żonami senatorów i zdobywać cenne informacje. Wszyscy myślą, że Etain, moja wyzwolenica, znasz ją dobrze, jest wciąż niewolnicą. Mogę ją wykorzystać jako szpiega. To nie wszystko —

dodała, przywołując gestem Gajusza Chereę. — Ten człowiek to Gajusz Cherea, centurion, który walczył dla Cezara pod Mundą i który bardzo chętnie pomści dyktatora. Bronił nas w idy marcowe, kiedy żołnierze próbowali oddać nas w ręce cesarobójców. Ocalił mnie również w dniu pogrzebu, gdy omal nie zostałam stratowana przez tłum. Jak widzisz, przyjmując mnie, zyskujesz trzy osoby — oznajmiła z dumą.

Oktawian przyglądał się to Oktawii, to centurionowi i długo się nie odzywał, po czym szczerze się roześmiał.

— Na bogów, siostró! Nigdy bym nie pomyślał, że jesteś taka dzielna! — powiedział, obejmując ją.

Oktawian przyglądał się każdemu z osobna. Stali u stóp ołtarza wzniesionego naprędce w domu jego kuzyna, Kwintusa Pediusza. Więc to oni mieli być jego towarzyszami podróży. Tymi, z którymi zamierza dokonać przewrotu. Powiedział im, że chce uformować zespół, i taka wersja miała trafić do obcych: Oktawian i jego współpracownicy, grupa młodych osób, które pragnęły zrealizować marzenie, będące może złudzeniem i utopią, podążać meandrami rzymskiej polityki, by pomścić śmierć Juliusza Cezara, lecz także – o tym inni nie wiedzieli – kontynuować jego dzieło odbudowy państwa. Młody spadkobierca przezornie zadbał o poparcie ludu, ogłaszając zamiar pomszczenia przybranego ojca i zastąpienia go w polityce. Senat spoglądał na niego nieufnie, ale nie mógł zbyt sprzeciwiać się jego ambicjom. Niemniej jednak dla niego zemsta obejmowała również kolejny etap, wyższy poziom, oznaczała bowiem, że doprowadzi do końca to, co jego poprzednik rozpoczął i czego nie zdołał dokończyć, ponieważ zabrakło mu czasu: stworzy imperium na miarę Rzymu, imperium, do którego Rzym dążyłod zawsze. Aby stało się to możliwe, należało najpierw odbudować państwo, którym od półwiecza targały konflikty i wojny domowe. Musiał zatem wykorzenić przyczynę obecnego stanu rzeczy: niemoc rządów będąca owocem chorej republiki– dwóch konsulów wybieranych corocznie, którzy zamiast współpracować, patrzą sobie na ręce i wzajemnie sobie szkodzą; senat prowadzący spory bez formułowania konstruktywnych ustaw; trybuni ludowi, którzy są narzędziem w rękach możnowładców wetujących weta; naród popierający tych, którzy mu więcej płacą; legiony mające coraz większy wpływ na politykę; wybory manipulowane poprzez korupcję;

nieudolni urzędnicy zajmujący odpowiedzialne stanowiska wyłącznie z racji przynależności do wielkich rodów; zarządcy prowincji, którzy dbają tylko o własne interesy, przysparzając sobie wrogów wśród podległych im narodów; niespójne granice coraz bardziej narażone na ataki wrogów; niespójny system administracyjny na obszarach, które w ciągu wieków niemal przypadkowo weszły we władanie *Urbis*; powstania, których żołnierze nigdy nie są w stanie do końca stłumić... Wiele dziedzin wymagało naprawy, by nie dopuścić do upadku Rzymu pod jego własnym ciężarem, lecz nikt tego nie dostrzegał. Wszyscy, którzy byli w stanie cokolwiek zrobić, by powstrzymać destrukcję państwa, marnowali czas i energię, walcząc o umocnienie własnej pozycji lub zagarniając wszystko dla siebie.

Zabicie morderców Cezara stanowiło tylko jedno z wielu zadań, jakich musieli się podjąć, to najbardziej oczywiste i najbardziej czytelne dla oplakujących śmierć dyktatora. Oktawiana czekało jednak wiele innych wyzwania, o których nie mógł mówić publicznie.

Miał przed sobą tytaniczną pracę, o ile chciał przeżyć i wynieść Rzym na szczyty świata, otworzyć dla miasta złoty wiek. Tego pragnął Cezar i dążąc do zwycięstwa, nie szczędził trudu. Oktawian nie miał wyboru. I on sam, i jego współpracownicy zdawali sobie z tego sprawę. Wszyscy musieli być gotowi łamać prawo i powszechny ład, by zbawić Rzym i skierować go na tory, które pozwoliłyby uchronić Wieczne Miasto przed autodestrukcją. Aby to jednak uczynić, należało przekraczać normy i każdy, kto zdecyduje się wejść do tego ścisłego grona, powinien mieć świadomość, że zostanie zmuszony do wychodzenia poza granice utartych zasad. Za każdym razem, gdy będą ich nachodzić skrupuły, wyrzuty sumienia, muszą przypominać sobie, że czynią to w szczytnym celu, że świat stanie się lepszy dzięki nim – jedynym ludziom, którzy postanowili naprawić porządek rzeczy, zamiast go burzyć czy utrzymywać w stanie zepsucia.

Oktawian tworzył właśnie sektę, w której bezwzględny credo było wielbienie pamięci o Cezarze oraz troska o dobro Rzymu. Tylko to powinni mieć na względzie wszyscy jej członkowie, za każdym razem, gdy przyjdzie im robić coś, czego mogliby się wstydzić. Od teraz najważniejszym ich bogiem miał się stać Mars – bóg wojny, bóg zemsty. Mars Mściciel. *Ich bóg.*

Oktawian przykazał im, aby utrzymywali w tajemnicy tę ceremonię. O przynależności do sekty mieli wiedzieć jedynie jej członkowie. Pozostali przyjaciele, których nie uznała wystarczająco godnych zaufania, mieli

stanowić ich zewnętrzną podporę: Gajusz Matius, Korneliusz Balbus i jego rodzice, kilku senatorów sprzyjających Juliuszom i Oktawianom, a także wielu innych, co do których miał nadzieję, że może na nich liczyć. Nie mogli się nigdy dowiedzieć, że pracują dla koterii, której cele były dużo bardziej wzniosłe, niż sądzono.

Antoniusz nie pozwolił Oktawianowi na oficjalną adopcję na mocy *legis curiatae*, dlatego wielu widziało w chłopaku jedynie spadkobiercę dyktatora. Jednak dzięki sieci sojuszy, którą tworzył przy wykorzystaniu pieniędzy pozyskanych na licytacjach oraz z pożyczki Mecenasa, zamierzał szybko wpłynąć na sytuację i przejąć to, co mu się prawnie należało, on również bowiem miał się nazywać Gajusz Juliusz Cezar. A wtedy nikt nie będzie mógł negować jego prawa do zemsty na tych, którzy zabili jego ojca.

Na dany przez niego znak dwóch niewolników obecnych na ceremonii wyniosło na ołtarz ogłuszonego barana. Jego rogi zostały pokryte złotem, a ciało opasane kolorowymi wstęgami. Oktawian uniósł brzeg togi ponad głowę i okrył się nią niczym kapłan. Nie miał żadnego prawa, by występować w takiej roli – ktoś mógłby to nawet uznać za świętokradztwo – lecz powoływał właśnie do życia nowy kult, był jego twórcą, więc także przewodnikiem duchowym, celebrantem i... mógł sprawować w nim każdą funkcję, jaką uznał za stosowną.

Ujął sztylet leżący na ołtarzu, podniósł go oburączteatralnym gestem, by widzieli go wszyscy zebrani. Ponownie przyjrzał się każdemu z nich z osobna, upewniając się, że uważnie śledzą to, co robi, a następnie oświadczył donośnym głosem:

— Marsie Mścicielu, tobie poświęcam tego barana, abyś zechciał wspierać mnie w mojej zemście oraz na drodze do realizacji dzieła mego ojca, a także byś tym wszystkim, którzy postanowili się ze mną zjednoczyć, dał siłę do wywiązania się ze ślubów, które tutaj składają. Przysięgam ci na to, co dla mnie najdroższe, że nie przestanę składać ci ofiar, dopóki moje dzieło nie zostanie zwieńczone, a kiedy to się stanie, wzniosę dla ciebie świątynię!

Wziął głęboki oddech i wymierzył silny, zdecydowany cios. Krew trysnęła na jego twarz, powalała jego togę i rozlała się po całym ołtarzu. Oktawian oblizwał wargi, rozkoszując się jej cierpkim smakiem. Ta czerwona maska, jaką zwykli nosić triumfatorzy, dobrze wróżyła i zapowiadała, że ofiara

zostanie przyjęta. Przeciągnął ostrze, powiększając rozcięcie w ciele zwierzęcia, zdarł z niego skórę i mięso, spod którego wylały się wnętrzności. Potem, odłożywszy nóż, zanurzył obie ręce w trzewiach barana i poczuł, że jego dłonie niemal płoną.

Zgodnie z jego wolą na ołtarz padało blade światło pochodni zatkniętych na trójnogach, a budynek był lekko oświetlony lampami rozstawionymi na ziemi. Miało to dodatkowo podkreślać uroczystą atmosferę, a on sam jawił się dzięki temu jej uczestnikom jako mroczna i przerażająca postać. Tyle wystarczyło, by napełnić ich strachem, a jednocześnie poczuciem odpowiedzialności, i uświadomić im, że oto ruszyli w drogę, z której nie można zawrócić – mogli albo zwyciężyć, albo polec. Ich przymierze było wieczne, ich przyjaźń niezłomna. Nadeszła chwila złożenia przysięgi. Dla wielu, którzy dali już gorliwe dowody swego oddania względem Oktawiana, nie była ona konieczna, lecz należało uświęcić ich związek przed bogami.

Wyrwał wnętrzności z truchła zwierzęcia, uniósł je w górę, podał dwóm niewolnikom, aby złożyli je na palenisku kilka kroków dalej, a następnie powiedział:

— Powtarzajcie za mną: Przysięgam przed Marsem Mścicielem na to, co mi najdroższe, na moje obecne dzieci i na te, które urodzą się dopiero w przyszłości, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby realizować cele wyznaczone przez sektę Marsa Mściciela.

— Przysięgam przed Marsem Mścicielem na to, co mi najdroższe, na moje obecne dzieci i na te, które urodzą się dopiero w przyszłości, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby realizować cele wyznaczone przez sektę Marsa Mściciela — powtórzyli obecni.

— Przysięgam przed Marsem Mścicielem, że nie spocznę, dopóki nie zostaną ukarani wszyscy mordercy Juliusza Cezara: Gajusz Kasjusz Longinus, Marek Juniusz Brutus, Decymus Brutus Albinus, Gajusz Treboniusz, Gajusz Serwiliusz Kaska Longus, Publiusz Serwiliusz Kaska Longus, Lucjusz Tiliusz Cymber, Publiusz Sekstus Nazo, Kwintus Ligariusz, Minucjusz Bazylus, Rubriusz Gallus, Lucjusz Poncjusz Aquila, Marek Spuriusz, Cecyliusz Bukolianus Starszy i Cecyliusz Bukolianus Młodszy, Pakuwiusz Antystiusz Labeo, Gajusz Kasjusz z Parmy, Petroniusz, Publiusz Decymus Turulliusz, Serwiusz Sulpicjusz Galba.

Oktawian wypowiadał kolejne imiona, czekając, aż pozostali powtórzą je niczym echo, dopiero wtedy wymieniał kolejne.

— Przysięgam przed Marsem Mścicielem, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, i użyję wszelkiej dostępnej broni oraz środków, prawnych lub bezprawnych, aby zaprowadzić pokój w Rzymie i przekształcić go w silne, dostatnie imperium, zgodnie z zamiarem Cezara.

— Przysięgam przed Marsem Mścicielem, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, i użyję wszelkiej dostępnej broni oraz środków, prawnych lub bezprawnych, aby zaprowadzić pokój w Rzymie i przekształcić go w silne, dostatnie imperium, zgodnie z zamiarem Cezara — powtórzyli chórem.

— Przysięgam przed Marsem Mścicielem, że nigdy nie zdradzę mych przyjaciół ani nie porzucę tego stowarzyszenia, do którego mam zaszczyt należeć. Niech Mars Mściciel skieruje we mnie swe strzały, jeśli nie dotrzymam swego przyrzeczenia.

— Przysięgam przed Marsem Mścicielem, że nigdy nie zdradzę mych przyjaciół ani nie porzucę tego stowarzyszenia, do którego mam zaszczyt należeć. Niech Mars Mściciel skieruje we mnie swe strzały, jeśli nie dotrzymam swego przyrzeczenia — zawtórowali.

— Teraz wszyscy jesteśmy dziećmi Cezara! — wykrzyknął ogarnięty uniesieniem. — Przyjmijmy to pożywienie na znak ustanowionego przymierza i naszego poświęcenia Marsowi Mścicielowi!

Dał znak pozostałym, by zbliżyli się do ołtarza, a następnie wezwał niewolników, aby podali mu na wpół upieczone trzewia barana. Chwycił je, jeszcze parzące, a ból przeszył mu palce i dłonie. Mimo to ścisnął ofiarę i odrywał po kawałku, podając członkom sekty. Cierpiał. Zamknął oczy, uczynił to, co do niego należało, po czym położył dymiące jeszcze strzępy w małym naczyniu. Następnie okrążył ołtarz i zatrzymał się przed nim. Pozostali ustawili się jeden za drugim: pierwszy Agrypa, jego najstarszy przyjaciel, jedyny człowiek na świecie, któremu mógł ślepo zaufać. Teraz musiał zacząć myśleć w ten sam sposób także o pozostałych.

Agrypa uśmiechnął się do niego, wziął kawałek gorącego mięsa i włożył do ust. Gdy się odsunął, za nim ukazał się Salwidienus Rufus: nowy, lecz niemal równie wierny druh. I on zjadł mięso barana, a następnie zrobił miejsce Oktawii. Widząc ją, brat poczuł silne wzruszenie: musiała prawdziwie go kochać, skoro przystąpiła do tak niebezpiecznej gry. Za nią ukazał się Mecenas, który zadziwił wszystkich i w ciągu kilku tygodni zrealizował niezwykle obietnice złożone w dniu, w którym się pojawił.

Rozwiązał tym samym wielką część problemów i przyniósł wartościowe rady... nie wspominając o ogromnych kwotach pieniędzy.

Po nich przyszła kolej na Kwintusa Pediusza i Lucjusza Pinariusza, którzy znacznie urosli w oczach Oktawiana, odkąd bez jakiegokolwiek presji z jego strony postanowili przekazać mu swoją część spadku. Następnie dwóch współpracowników Oktawii: Etain – wyzwolenica, która miała się okazać bardzo pomocna i zdawała się być również bardzo ważna dla Agrypy, oraz Gajusz Cherea – centurion szczerze oddany Oktawii mógł odegrać istotną rolę w armii stacjonującej w Rzymie. Pochód zamykało dwoje Germanów: Ortwin i jego kobieta – Veleda. W ostatnich dniach Oktawian odświeżał sobie stopniowo w pamięci opowieści o wyczynach Sweba, które słyszał od Cezara. Gdyby wojownik ten zechciał służyć swojemu nowemu panu choć w połowie tak gorliwie, przyjęcie go do służby okazałoby się niezwykle cenną inwestycją.

Kiedy już wszyscy otrzymali swój kawałek barana, Oktawian wręczył każdemu kielich z gorącą krwią zwierzęcia, a gdy się jej napili, uznał ceremonię za zakończoną. Nie odprawił ich jednak od razu – przypatrywał się im pełen podziwui na zakończenie uśmiechnął się z satysfakcją. Tworzyli wspaniałą drużynę. Razem mieli się stać niezwyciężeni.

VIII

Agrypa podniósł się z łoża, podszedł do skrzyni i wyjął z niej strigil, by oczyścić ciało po stosunku. Przesuwał narzędziem po skórze, zgarniając krople potu, które spływały obficie po jego pięknie wyrzeźbionym torsie.

— Hm... Zachowujesz się, jakby to nie było nasze spotkanie, lecz zawody sportowe...

Etain zbliżyła się do niego z rozbawioną miną, udając, że jest obrażona. Zabrawszy mu strigil, sama zaczęła gładzić ciało kochanka. Dokładnie i powoli przesuwiała się po jego plecach, schodząc w dół, do pięknie rzeźbionych pośladków młodzieńca.

Agrypa uśmiechnął się.

— Ależ skąd... Muszę po prostu iść do domu Marka Antoniusza i chce wyglądać przyzwoicie. Oktawian nie życzy sobie bezpośrednich kontaktów z tą rodziną, ale nie chce też, by rolę pośredników pełnili w jego imieniu niewolnicy lub wyzwolenicy, ponieważ boi się obrazić konsula. Zadanie utrzymywania z nim stosunków spada więc na mnie i Rufusa...

Etain westchnęła.

— Ja otrzymałam podobną misję. Przez kilka ostatnich dni Oktawia bardzo zbliżyła się do żony Lepidusa. Ma nadzieję, że pozwoli jej to pozyskać cenne informacje, które będzie mogła przekazać bratu. Dlatego też chce, żebym poszła teraz do matrony z prezentami. Oczywiście wszyscy wezmą mnie za niewolnicę, więc będę miała okazję poplotkować trochę ze służbą. Może dowiem się czegoś ciekawego.

— Nigdy nie wiadomo. Oktawian ciągle powtarza, że informacje są najpotężniejszą bronią w polityce — powiedział Agrypa — a my, należący do sekty, musimy działać właśnie w ten sposób. Mecenas również jest jej członkiem. Zdobywa popleczników wśród ludu i wśród żołnierzy i na wszelki wypadek przypomina wszystkim, że należy pomścić Cezara, a jedyną osobą, która do tego dąży, jest Oktawian.

— Mam wrażenie, że to wciąż niewiele w porównaniu ze środkami, które mają do dyspozycji Antoniusz i pozostali — skomentowała, po czym rzuciła na ziemię strigil i zaczęła pocierać swym nagim ciałem o ciało kochanka.

Agrypę ponownie ogarnęła fala podniecenia. Starał się odepchnąć ją od

siebie, lecz bez przekonania. Uśmiechnął się do niej i powiedział, wzdychając:

— Od czegoś jednak trzeba zacząć. Nie myśl, że podoba mi się ten styl działania. Jestem człowiekiem czynu. Chciałbym walczyć jak żołnierz, bić się o Rzym lub choćby o prawa Oktawiana, którego traktuję jak brata. Możliwe, że on czuje się lepiej na tym polu, ale wierzę, że nadejdzie chwila, by skrzyżować miecze, a wtedy przydam mu się o wiele bardziej.

— Dopóki nikt cię nie wzywa, byś ruszył do boju o prawa Oktawiana, dopóty możemy czuć się bezpieczni, ponieważ oznacza to, że mamy szansę na uniknięcie wojny domowej — odpowiedziała, uwalniając go w końcu ze swoich uścisków. — Wolałbyś znowu widzieć drogi Italii spływające krwią?

— Nie, oczywiście, że nie — zapewnił gorąco Agrypa. Pragnął stanąć do walki i nie mógł się doczekać pierwszej bitwy na otwartym polu, ale z pewnością nie był żądny krwi i nie chciał, by takim postrzegano go kobieta, którą kochał.

— A jednak... Oktawian zawierzył wszystko swojej inteligencji. Ufam naturalnie jego sprytowi, lecz sądzę, że bez Cezara powrócimy do stanu sprzed rządów dyktatora. A nawet jeszcze gorzej: dopóki ktoś nie zdobędzie na tyle mocnej pozycji, by narzucić swoją wolę narodowi, właśnie tak, jak uczynił wódz, zamykając pozostałym usta, możnowładcy nie ustaną we wzajemnym zwalczaniu się i będą się uciekać do różnych środków, nawet do wojny, bez baczenia na konsekwencje, które będzie musiał ponieść lud. Ustrój republikański w takim stanie nie gwarantuje nam żadnej stabilności, a wręcz tylko zaostrza apetyt ludzi dążących do władzy.

Etain wzięła olejek perfumowany i zaczęła rozprawdzać go na ciele Agrypy, od czasu do czasu go całując. Nie sprzeciwiał się. Oddawał się rozkoszy jej łagodnego dotyku. Pozwolił jej również, by włożyła mu tunikę i by go uczesała. On tymczasem kontynuował rozważania:

— Oktawian lęka się, że wpływ, jaki ma na naród, da mu kontrolę nad Antoniuszem. Konsul jest jednak zbyt sprytny, szczególnie teraz, gdy przejął armię macedońską, a Dolabella, drugi konsul, dowodzi armią syryjską.

— Dlaczego te dwie prowincje są takie ważne?

— Ponieważ stacjonowały w nich oddziały, z którymi Cezar miał ruszyć na imperium partyjskie. Kwiat rzymskiej armii. Kto sprawuje nad nimi kontrolę, może swobodnie przejąć kontrolę nad Rzymem. Teraz tym kimś jest Antoniusz...

Etain opasała go na koniec toga, odsunęła się i zaczęła wpatrywać się w niego swymi cudownymi zielonobłękitnymi oczami. Rzadko mu się przyglądała, gdyż zazwyczaj była zbyt onieśmielona jego dostojnością, lecz gdy to robiła, rozplątywał się pod jej spojrzeniem, a wzruszenie ścisnęło mu gardło. Objął ją, mocno przytulił i jeszcze raz pocałował.

Ich spotkania stały się dość regularne. Widywali się w jego domu od ponad miesiąca i Agrypa nie potrafił już żyć bez tych chwil. Etain sprawiła, że stracił wszelkie zainteresowanie innymi kobietami. Czuł, że powinien być jej wierny na zawsze, gdyby tylko okoliczności na to pozwoliły.

Niestety, okoliczności na to nie pozwalały. Ukrył prawdziwy powód, dla którego Oktawian poprosił go, by udał się do domu Antoniusza.

Trwały igrzyska na cześć zwycięstwa Cezara. Nie obchodzono ich z taką pompą jak niegdyś, ale Oktawian uznała sukces to, że w ogóle się odbywały, zważywszy na ostracyzm, jakiemu Marek Antoniusz poddał postać swego poprzednika. Świętowano je co roku od czasów zwycięstwa Cezara pod Tapsus nad jego afrykańskimi wrogami. Tym razem zostały zorganizowane wyłącznie dzięki gorliwości Oktawiana, który zadbał o to, by Rzymianie całkowicie bezpłatnie mogli się przyglądać widowiskowym polowaniom i walkom gladiatorów.

Młodzieniec zajął miejsce przeznaczone dla *dissignatoris*, fundatora igrzysk, gdyż oficjalnie to on nim był, mimo że zasadniczą rolę odegrały pieniądze Mecenas. Delektował się krzykami wznoszonymi przez tłumnie zgromadzoną publiczność i odwzajemniał ich entuzjazm szerokimi gestami wyrażającymi wdzięczność. Jego popularność rosła z dnia na dzień i był pewny, że wkrótce sięgnie gwiazd. Zawołał Ortwinę, który celowo trzymał się wraz ze swymi ludźmi na obrzeżach podium, i dał mu znak, by się do niego zbliżył. Germanin i pozostali podnieśli jakiś przedmiot zakryty płótnem, który wcześniej ustawili na ziemi. Torując sobie przejście pośród tłumu, dotarli do podium, na którym zasiadały najważniejsze osobistości. Oktawian zlecił niewolnikowi zabrać jedno z siedzisk przy jego miejscu i dał znak Swebom, aby postawili przedmiot przy nim. Kiedy wszystko było już na swoim miejscu, młodzieniec teatralnym gestem zdjął zasłonę i oczom zebranych ukazało się zachwycające intarsjowane złotem krzesło kurulne, a na nim leżała złocista korona zdobiona diamentami.

Efekt był natychmiastowy. Zauważyli ją tylko najbliżej stojący widzowie, lecz po chwili wiadomość zaczęła przechodzić z ust do ust, aż zgiełk wśród zebranych się wzmógł. Wielu zaczęło napierać, usiłując zbliżyć się do podium, by zobaczyć dwa cudowne przedmioty, które już przed kilkoma dniami stały się kością niezgody pomiędzy Oktawianem a Antoniuszem, nie pierwszą zresztą. Były to krzesło i złota korona Cezara. Dzień po śmierci dyktatora senat postanowił, że precjoza te będą wystawiane w teatrach i cyrkach przy okazji ważniejszych uroczystości.

Podniosła się wrzawa. Ludzie skandowali imię nieżyjącego wodza i jego młodego spadkobiercy. Oktawian stwierdził z satysfakcją, że widownia entuzjastycznie przyjęła jego gest, będący prowokacją wobec konsula. Usiłował wystawić dwa cenne przedmioty już na poprzednich igrzyskach edyla Krytoniusza, dwa tygodnie wcześniej, ale urzędnik pozostający pod wpływem Antoniusza na to nie pozwolił. Nikt nie śmiał podjąć się organizacji kolejnych igrzysk na cześć zwycięstwa Cezara, lecz wówczas Oktawian zaproponował, że przejmie wszystkie związane z tym obowiązki, mimo że nie sprawował żadnego oficjalnego urzędu. Mecenas zasugerował mu, by jako organizator igrzysk rozgłosił na cztery strony świata, że wystawi krzesło i koronę pomimo braku zgody ze strony konsula. Etrusk był przekonany, że ludzie przybędą tłumnie nie po to, by przyglądać się igrzyskom, lecz by sprawdzić, czy Oktawian istotnie zdobędzie się na odwagę i sprowokuje konsula, a także by śledzić reakcję Antoniusza. Tak czy inaczej, Mecenas nie miał co do tego wątpliwości, każdy wariant dalszych wydarzeń miał przynieść Oktawianowi zwycięstwo.

Oczywiście sprawy potoczyły się zgodnie z przewidywaniami. Cyrk pękał w szwach, a ludzie wyraźnie okazywali Oktawianowi swoje poparcie. Chłopak spodziewał się, że za chwilę nastąpi kolejny zaplanowany etap wydarzeń. Śledząc wzrokiem ruchy legionistów rozstawionych na rozkaz Antoniusza przy podium, zauważył, że przystąpili do działania. Konsul dał się schwytać w pułapkę. Żołnierze wbiegli szybko na stopnie, strącając po drodze ludzi, i wtargnęli na podium.

Dowodzący nimi centurion stanął między krzesłem Oktawianem i głośno oświadczył:

— Młody Oktawianie, konsul zakazał ci wystawiać krzesło i koronę Juliusza Cezara. Twój brak podporządkowania się jego zaleceniom może wywołać zamieszki. Dlatego wzywam cię, pod karą przejęcia tych

przedmiotów oraz grzywny w wysokości pięciu tysięcy sestercji za zakłócenie porządku publicznego, abyś to usunął!

Oktawian uśmiechnął się i pokiwał głową. Dał znak Ortwinowi, by zakrył i zabrał obie rzeczy. Sam przyglądał się wszystkiemu w milczeniu. Germanin oddalił się w eskorcie legionistów i centuriona, który przed zejściem z podium rzucił w stronę Oktawiana zdeorientowane spojrzenie. Po odejściu żołnierzy młodzieniec postąpił dwa kroki do przodu i wychylił się przez balustradę.

— Rzymianie! — zakrzyknął do widowni. — Widzieliście, co się stało! Po raz drugi usiłowałem wystawić na widok publiczny krzesło i koronę, którą został uczczony mój ojciec, i po raz drugi konsul mi tego zabronił!

Publiczność zaczęła coraz głośniejszemu szemrać. „Doskonale— pomyślał — można zacząć”. Uniósł rękę, by uciszyć krzyki, i ponownie przemówił:

— Jesteście świadkami wyrządzonej mi krzywdy. Widzieliście również, jak znieważono pamięć o moim ojcu! Wiecie doskonale, że nie dzieje się to po raz pierwszy. Odkąd przebywam w Rzymie, konsul nie ustaje w piętrzeniu przeszkód na mej drodze. Posunął się nawet do tego, że nie pozwala na stosowanie się do wyraźnych zaleceń zawartych w dekreście senatu, dotyczących eksponowania krzesła i korony Cezara. Twierdzi, że kieruje nim troska o porządek publiczny. My jednak wiemy, że robi wszystko, by nie drażnić swych przyjaciół – morderców Cezara! Szkodząc tak gorliwie mnie, prawowitemu spadkobiercy dyktatora, znieważa w rzeczywistości samego Cezara, człowieka, któremu przecież zawdzięcza wszystko. Niewdzięcznik podobny tym, którzy zdradzili wodza, mordując go. Jego intencje są oczywiste. Nawet senat nauczył się, że należy na niego uważać, a czcigodny Cynceron nie ukrywa swej niechęci do niego. Teraz, kiedy przejął kontrolę nad sześcioma legionami macedońskimi, możemy się spodziewać, że zechce pójść śladem swego poprzednika. Czy tego właśnie chcecie? Czy sądzicie, że bogowie obdarzyli go takim samym talentem? A przede wszystkim: czy chcecie, by stał się nowym Cezarem przy wsparciu tych, którzy odebrali życie dyktatorowi?

Widzowie zaczęli krzyczeć i przeklinać Antoniusza, a nawet Dolabellę. Jednocześnie skandowali imię Cezara... i Oktawiana. Dokładnie tak, jak przewidział Mecenas. Antoniusz naraził się już senatowi swoimi autokratycznymi skłonnościami, teraz zaś tracił resztki poparcia wśród narodu. Gdy zaś chodzi o Oktawiana – im więcej doznawał krzywd, tym

bardziej rosła jego popularność. Ludzie stali po jego stronie. Teraz należało jedynie zdobyć względy senatu i żołnierzy. Mecenas i w tym przypadku miał opracowaną strategię...

Nieustannie powtarzał sobie, że robi to dla przyjaciela... Odkąd wyznał, że Fulwia, żona Antoniusza, próbowała go uwieść, Oktawian zaczął go zachęcać, by wdał się z nią w romans i spróbował wydobyć od niej informacje na temat planów konsula.

Miał na swoje usprawiedliwienie jeszcze jedno: Fulwia zrobiła pierwszy krok, a była to kobieta, której nie należało odmawiać. Najpierw wysłała mu wiadomość, w której przypominała o ich spotkaniu. Nie odpowiedział. Wtedy wysłała kolejną, grożąc, że powie Antoniuszowi, iż Agrypa usiłowała zgwałcić. Właśnie po tym zwierzył się Oktawianowi, a przyjaciel poradził mu, aby wykorzystał sytuację pod każdym względem.

— Przecież nie robisz tego tylko dla naszej sprawy. W końcu to piękna kobieta. Gdyby próbowała mnie uwieść, nie zastanawiałbym się ani przez chwilę... — powiedział Oktawian, a Agrypa nie mógł się z nim nie zgodzić.

Poza wszystkim przyjaciel wiedział, że jest on nałogowym kobieciarzem, a możliwość zdobycia Fulwii, jednej z najbardziej pożądanых kobiet w Rzymie, w pewnym sensie mu schlebiała. Sęk w tym, że teraz to Agrypa czuł się jak zdobywca. Ponadto Oktawian nie brał pod uwagę najważniejszego: nie wiedział o Etain, a raczej wiedział, lecz nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego przyjaciel jest zakochany.

Oczywiście Agrypa mógł odmówić. Oktawian nigdy by go nie zmuszał. Jednak nawet jeśli Fulwia kłamała i nie zamierzała o niczym mówić Antoniuszowi, relacje Oktawiana z konsulem i tak były już fatalne. Poza tym konsul również uchodził za flirciarza, a jego kobieta miała opinię niewiernej. Fulwia w istocie intrygowała Agrypę. Nie umiał nawet określić, co dokładnie pchało go w jej stronę. Jedyne, czego był pewny, to że go nie pociągała. Nie, na pewno. Pociągała go tylko Etain, a przede wszystkim tylko ją kochał. W przypadku matrony była to kwestia ciekawości, męskiej dumy, wyzwania i przygody. Uważając za kobietę agresywną i okrutną, z którą relacje intymne muszą polegać na ciągłej walce, a w związku z drzemającym w nimod zawsze zamiłowaniem do wojny Fulwia stała się dla jego żywiołowej osobowości idealną okazją, by dać temu upust.

Tak czy inaczej, był całkowicie pewny, że kobieta zadowolona się jednym spotkaniem, dla własnej satysfakcji, i szybko o nim zapomni. Takie założenie uspakajało go i tłumilo jego poczucie winy wobec Etain. Zrobi to tylko raz, dla zaspokojenia ciekawości, a potem po prostu o wszystkim zapomni.

Oczywiście miejscem spotkania wyznaczonym przez Fulwię nie były Ogrody Pompejusza, lecz inna, mniej wystawna posiadłość, bez wątpienia jedna z wielu należących do małżonków. Fulwia dwukrotnie zostawała wdową i przeżyła po swych poprzednich mężach pokaźne spadki.

Agrypa dotarł na Celius i zapukał do drzwi *domus* wskazanego w ostatniej wiadomości, w której wyczytał również, że będzie na niego czekała pierwszego dnia tygodnia przez całe popołudnie, a w razie gdyby nie przybył, spotkają go poważne nieprzyjemności.

Niewolnica, która przysłała mu otworzyć, przyjrzała mu się badawczo, mierząc go od stóp do głów. Nie musiał jej nic mówić, najwidoczniej Fulwia opisała go bardzo dokładnie. Agrypa podążył za niewolnicą bez słowa. Powoli zaczynał czuć ścisk w gardle, lecz nie umiał powiedzieć, czy dusiło go poczucie winy, czy może pewnego rodzaju ekscytacja w związku z niezwykłym spotkaniem, na które zmierzał.

Służka poprowadziła go przez atrium, a następnie korytarzem, aż zatrzymała się przed kubikulum i gestem zaprosiła, by wszedł do środka. Tak jak poprzednio, Fulwia miała jeszcze na sobie tunikę, ale trzymała ją uniesioną aż do talii. Ujrzał znajome pośladki – dorodne i nagie.

— Witaj, Agrypo. Pomyślałam, że powinieneś zacząć od momentu, w którym przerwałeś. Czy zgodzisz się ze mną, że to doskonały pomysł? — powiedziała, nie odwracając się, i zanurzyła twarz w poduszce, gdy tylko usłyszała jego kroki.

— Widzę, że nie lubisz tracić czasu — zauważył, próbując ukryć zaskoczenie. Nie przyszło mu do głowy nic lepszego.

— A dlaczego miałabym go tracić? Wy, chłopcy, nie lubicie tego i ja także nie. Oboje wiemy, dlaczego tu jesteśmy. Po cóż więc mielibyśmy tracić czas na podchody? Weź mnie, Agrypo, i zrób coś, co mnie zaskoczy.

Nie podobało mu się określenie „chłopiec”, ale zdał sobie sprawę, że teraz nic nie zależało od niego. Ta niebezpieczna kobieta trzymała go w garści, a wyglądało na to, że zawsze dostaje to, czego chce.

I rzeczywiście, szybko poczuł się gotowy, by wykonać jej polecenie. Zdjął togę, a następnie przepaskę – lecz zostawił tunikę – i zbliżył się do łóżka.

Położył się na niej. Wciąż trzymała głowę zanurzoną w poduszce, jakby nie chciała go widzieć. Agrypa czuł się wykorzystywany, ale nie łudził się, że ma jakikolwiek wpływ na sytuację. Przesunął członek między pośladkami Fulwii, a następnie skierował go dłonią w miejsce, które – jak sądził – zaspokoi jej pragnienie niezwykłych doznań. Musiał napierać i to dość mocno, lecz Fulwia zdawała się nie czuć bólu, a jeśli go czuła, widocznie sprawiał jej przyjemność, ponieważ zaczęła wzdychać swym ochryplym głosem, który Agrypa miał już okazję poznać w trakcie ich poprzedniego, przelotnego spotkania. Spodziewał się, że i on będzie odczuwał przyjemność. Fulwia była wspaniałą kobietą, która budziła w nim silny niepokój. A jednak, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, poczuł się, jakby wykonywał niemal mechaniczną czynność, jakby zwyczajnie użyczył Fulwii jednej z części swego ciała, zatrzymując całą resztę dla siebie. To go przeraziło. Zaraz potem dotarło też do niego, że kocha się z inną kobietą po raz pierwszy, odkąd związał się z Etain. Szybko przyzwyczyił się do jej smaku, zapachu i do swobody w jej obecności. Uwielbiał spędzać z nią czas. Tym razem jednak czuł się zdezorientowany, ponieważ doświadczał czegoś, co było mu obce – co nie miało tego samego ładunku emocjonalnego: poniekąd ku Fulwii pchnęła go ciekawość – teraz już wiedział, jak się czuje z kobietą zupełnie inną niż Etain, i miał nadzieję, że to wszystko szybko się skończy.

Jeżeli potrzebował potwierdzenia swojej miłości względem dziewczyny, teraz je otrzymał. Zdrada, której się dopuścił, pozwoliła mu przynajmniej dokładnie zrozumieć, co czuje. Absurdalnie był wręcz skłonny uznać, nie umniejszając tego, co ich łączyło, że czyn ten wzmocnił ich miłość.

Pojękiwania Fulwii robiły się coraz głośniejsze, a on starał się za nią podążać, przyspieszając ruchy. Dotknęła swojego ciała, po czym wydała z siebie przeciągły, wyzwalający, dziki krzyk, niemal ryk, opadając bezwładnie pod jego ciężarem. Kolejnym zaskoczeniem dla Agrypy było to, że nie odczuwa potrzeby kontynuowania, by osiągnąć własną przyjemność; ona z kolei nie zachęcała go do tego. Wyszedł z niej i położył się obok. Dopiero wtedy podniosła głowę z poduszki i spojrzała na niego z lubieżnym uśmiechem.

— Przyłożyłeś się... — powiedziała, wpatrując się w niego dwojgiem wąskich, dumnych oczu.

„Ta kobieta nie boi się niczego” — pomyślał.

— Ty również — skłamał, mając nadzieję, że nie zauważyła jego nikłego

zaangażowania.

— Od razu mi się spodobałeś, Agrypo. Gdy tylko cię zobaczyłam. Podoba mi się twoja dumna postawa — mówiła, głaszcząc jego ramiona.

— To prawdziwy przywilej zwrócić na siebie uwagę jednej z najpiękniejszych kobiet Rzymu, Fulwio — odpowiedział obojętnym tonem.

Zauważyła to.

— Och! Pohamuj swój entuzjazm, chłopcze! Przytłaczasz mnie swoją namiętnością!

— Nie lubię, gdy mówisz do mnie „chłopcze” — zaproponował z wymuszonym uśmiechem, leniwie odwzajemniając jej pieśczoć.

— Jestem niemal dwukrotnie starsza od ciebie... Jak mam cię nazywać? Ty i twój mały przyjaciel bawicie się w dorosłych, ale jesteście jeszcze dziećmi... — odpowiedziała ironicznie.

Agrypa jeszcze bardziej spoważniał.

— Dziećmi, które jednak sprawiają twojemu mężowi spore problemy. — Nie mógł się powstrzymać i powiedział to.

Podniosła się i usiadła, wypinając się dumnie. Pod jej tuniką odznaczyły się dwie dorodne piersi.

— Och... Antoniusz poradzi sobie ze wszystkim, zobaczysz. Może z łatwością kupić sobie poparcie senatu i wpłynąć na legiony — odparła.

Usłyszawszy to stwierdzenie, mógł uznać, że spotkanie się opłaciło. Agrypa miał wyciągnąć od niej więcej informacji, ale obawiał się, że może zacząć coś podejrzewać, toteż zamilkł, zastanawiając się, co szykuje Antoniusz.

— Lud nie kocha go już jednak tak jak niegdyś... — zaczął prowokacyjnie.

— Naród jest bardzo zmienny — odpowiedziała pogardliwie. — Antoniusz potrafi przekonać do siebie obywateli. Już niedługo będzie miał wszystkich w garści — dodała tajemniczo.

Milczał przez chwilę, spoglądając na przeciwległą ścianę.

— Co tam, mój drogi? Boisz się o siebie albo o swojego małego przyjaciela? Nic się nie martw, nie dam ci zrobić krzywdy.

Oparła się o kochanka i sięgnęła dłonią pod jego tunikę.

— Bać się? Ja? Żartujesz? — wykrzyknął urażony, lecz nie wrywał się jej. Tymczasem zaczął się zastanawiać, jak może się rozwinąć sytuacja.

— Hm... Dopiero teraz zauważyłam, że nie osiągnęłam satysfakcji —

zamruczała i zaczęła delikatnie pieścić jego przyrodzenie. — Za chwileczkę się tym zajmiemy — dodała, zbliżając do niego usta.

— Nie mogę się pozbyć wrażenia, że sprawy nie idą dobrze — zauważył Mecenaz, przyglądając się Oktawianowi, który wkładał togę.

Pod domem młodego spadkobiercy Cezara stał tłum osób gotowych towarzyszyć mu w drodze na Kapitol, gdzie miało dojść do wydarzenia oczekiwanego od miesięcy. Etrusk musiał podnieść głos, aby zostać usłyszonym.

— A ja ci mówię, że wszystko idzie zgodnie z planem, a Antoniusz jest zwyczajnym głupcem — nie zgodził się Rufus, który nie mógł opanować emocji. — Oktawian potrzebuje go bardziej, niż on potrzebuje Oktawiana. Porozumienie bardziej opłaca się nam.

— Tak, lecz to on chciał porozumienia, pamiętajcie o tym — zauważył Mecenaz. — A to wystarczający powód, by zachować szczególną ostrożność, zwłaszcza po tym, co Fulwia powiedziała Agrypie.

— Prawda jest taka — odrzekł Oktawian — że potrzebujemy się wzajemnie i on o tym wie. Legiony szanują go, ale kochają mnie, senat nie ufa ani mnie, ani jemu, naród kocha mnie, a nie jego. Tylko razem możemy pozyskać wszystkie trzy grupy tworzące państwo. On wie o tym równie dobrze jak ja. Zgodnie z tym, co Fulwia powiedziała Agrypie: Antoniusz trzyma senat w ryzach, z jednej strony mając go propozycją ustawy znoszącej dyktaturę, z drugiej zastraszając przemieszczeniem legionów macedońskich do Brundyzjum. Mnie to odpowiada, ponieważ skoro senat się go boi, znaczy to, że w końcu zaczniesz traktować mnie poważnie, gdyż zrozumie, że jestem jego prawdziwym i jedynym przeciwnikiem: Lepidus dał się kupić za stanowisko najwyższego kapłana, mordercy Cezara są na wolności głównie dzięki Antoniuszowi i na pewno nie mają zamiaru go zaatakować... Kto według was ma zdobyć siłę i środki, by stworzyć równowagę dla jego nieograniczonej władzy? Ja, oczywiście! Przynajmniej Cynceron tak uważa, a dopóki jest on wrogo nastawiony do Antoniusza, konsul nigdy nie zdobędzie przewagi nad senatorami i będzie zmuszony zwrócić się do mnie, by uzyskać od ludu to, czego nie udaje mu się otrzymać od senatu. Myśli, że posługując się wojskiem, narzuci Rzymowi swoją wolę, ale nie zdaje sobie sprawy z tego, że żołnierze wciąż są przywiązani do

Cezara, a tym samym do mnie.

— W rzeczy samej! — wtrącił się Agrypa. — Skorzystasz z pomocy wojska w odpowiednim momencie. Nie tylko Antoniusz może się posługiwać żołnierzami jako narzędziem nacisku. Niedługo Lepidus wyjedzie, by objąć swą prowincję w Hiszpanii, co da nam więcej swobody. A Brutus i Kasjusz z ubogimi prowincjami, jakie im przydzielono, niewiele mogą zrobić, by stać się zagrożeniem dla Rzymu. Sprawy zaczynają przybierać pomyślny dla nas obrót, nieprawdaż?

— Powtarzam: nie ufam Antoniuszowi — naciskał Mecenas. — Musimy bardzo uważać na to, co mu dajemy; to niemożliwe, żeby w ciągu jednego dnia bez powodu zmienił politykę. Postarajmy się wyciągnąć z tej ugody jak najwięcej korzyści.

— Nie możemy jednak za bardzo przeciągać struny, mój przyjacielu — zauważył Oktawian, zmierzając do wyjścia. — Pamiętaj, że moim głównym celem jest uznanie morderców Cezara za wrogów państwa, aby móc ścigać ich jako przestępców, bo nimi właśnie są. Bez Antoniusza nie zdołam tego zrobić. Wszystko należy podporządkować tej sprawie.

— On bez wątpienia o tym wie, toteż cena, jaką ci wyznaczy, będzie bardzo wysoka. Musisz być przygotowany na to, by się targować — dodał Mecenas.

Wciąż rozmawiając, wyszli z domu. Gdy tylko przekroczyli próg, spotkali się z wiwatującym tłumem, który wykrzykiwał hasła o zbliżającym się pojednaniu.

— Targować się? Co przez to rozumiesz? — zapytał Oktawian, przywołując jednocześnie Ortwina, Veledę i ich ludzi, by go chronili.

— Nie wolno ci się zadowolić ustawą przeciwko cesarobójcom. Ty również musisz zażądać wyższej ceny, skoro Antoniusz potrzebuje twojej pomocy.

— Masz coś konkretnego na myśli?

— Sądzę, że tak — szepnął Mecenas i zaczął się przepychać przez tłum.

IX

Oktawia zauważyła, że weszło jej to w nawyk. Szukała wzrokiem Gajusza Cherei podczas każdego publicznego zgromadzenia, jakby potrzebowała potwierdzenia, że nieustannie przy niej czuwa. Zdawała sobie sprawę, iż jest to niemożliwe i nawet nie powinna o tym myśleć, ale nie potrafiła przestać. Jego obecność stała się dla niej nieodzowna i ogarniał ją smutek na myśl, że prędzej czy później Gajusz opuści Rzym wraz ze swoim legionem. Z całego serca pragnęła porozmawiać z nim, zanim odejdzie. A właściwie... nie tylko porozmawiać... Wspomnienie chwil sprzed wielu lat, kiedy znajdowała się w jego objęciach, wyblakło już tak bardzo, że momentami nie była pewna, czy rzeczywiście miało to kiedyś miejsce w świecie, który pamiętała. Gdyby Etain nie przypominała jej nieustannie swoimi opowieściami o istnieniu Marka, dziecka poczętego z tego odległego w czasie spotkania, mogłaby wręcz uznać, że nigdy nic takiego się nie wydarzyło.

Matka zaprosiła ją, aby usiadła obok niej, w pierwszym rzędzie, w najbardziej zaszczytnym miejscu, z którego można było śledzić pojednanie Antoniusza z Oktawianem. Na szczycie Kapitolu, w samym centrum, u stóp posągu Jowisza, wydzielono przestrzeń, na której miało się rozegrać całe zdarzenie. Obaj jego uczestnicy pragnęli, aby wszyscy obecni dokładnie widzieli, co się dzieje. Legioniści otaczali sektor, w którym miało dojść do spotkania, i nie dopuszczali żadnych ciekawskich do strefy wygradzonej przez pretora miejskiego Gajusza Antoniusza, brata konsula. Wśród przybyłej tłumnie publiczności znajdowało się wielu żołnierzy. Byli tam weterani Cezara, zwolennicy pojednania dwóch mężów – jedynych, którzy mogli pomścić dyktatora – a także oczekujący na przydział wojskowi pełniący czynną służbę.

Oktawia powtarzała sobie, że musi się skupić tylko na tym wydarzeniu. Zresztą ona także się do niego przyczyniła swoją ciężką pracą, przekonując żonę Lepidusa, iż powinna wpłynąć na męża, by namawiał Antoniusza do pojednania. A jednak teraz jej myśli krążyły wokół dnia, w którym dzięki Gajuszowi, a może raczej z jego winy, stała się kobietą. Tonący w kwiatkach ogród, bezchmurne niebo, murek biegnący dookoła, obrośnięty bluszczem i jaśminem, przypadkowy upadek i pomoc Gajusza... a później delikatne

pieszczoty, muśnięcie ust, pocałunek – długi, niekończący się. Jego dłonie, delikatne, dotykające każdego skrawka jej ciała, uczucie ogarniającej jej rozkoszy, a potem nagły dotyk nabrzmiałej męskości między udami. Nie wiedziała, co to jest, dopóki nie wyłonił się spomiędzy tuniki. Wreszcie poczuła go między nogami... Nie widziała, jak do niej przeniknął. Po chwili bólu doznała rozkoszy znowu bólu, i ponownie rozkoszy, i raz jeszcze bólu, dopóki nie ogarnęło ją bezgraniczne uczucie ciepła, które rozchodziło się od wewnątrz po całym ciele, wprowadzając ją w stan ekstatycznej błogości.

Rodzice zauważyli dopiero kilka miesięcy później. Nie chcąc, aby doszło do skandalu, postanowili wywieźć ją z letniej posiadłości pod pretekstem długiej choroby. Zobowiązali ją jednak, by niezwłocznie pozbyła się dziecka, zaraz po jego narodzinach, i by nigdy więcej go nie widywała. Zgodziła się, lecz przypłaciła to ogromnym cierpieniem. Na szczęście Gajusz nie odwrócił się od niej i przejął na siebie obowiązek wychowania maleństwa. Powierzył je niańce, którą Oktawia wspierała, posyłając tam regularnie Etain.

— Oto i oni! Nadchodzą! — wykrzyknął Lucjusz Pinariusz siedzący zaraz za jej ojczymem, Marcjuszem Filipem, obok Kwintusa Pediusza.

Mówił o Oktawianie i jego najbliższych przyjaciółach, kluczowych postaciach sekty Marsa Mściciela, jak zwykli nazywać swoje małe bractwo. Ta niewielka koteria w ciągu kilku tygodni rozrosła się w rozległą sieć nieświadomych członków – kupionych lub zdobytych przez Oktawiana i jego przyjaciół – którzy w ten lub inny sposób wspierali młodzieńca na drodze do przejęcia władzy. Liczni senatorowie obawiali się Antoniusza i oplakiwali dyktatora, dlatego też chętnie wspierali decyzje jego prawowitego spadkobiercy. Centurionowie chętnie oddaliby swój roczny żołd, by zobaczyć go w akcji. W szeregi klienteli Oktawiana weszło wielu rolników i rzemieślników, wspieranych przez owych senatorów – byli zdecydowani głosować na niego w przyszłych wyborach, których wyczekiwano z niecierpliwością. Ekwici robili interesy z Mecenasem, który przekonywał ich, by finansowali Oktawiana...

To, że Oktawian przybędzie na Kapitol pierwszy, było oczywiste. Antoniusz nie musiał nawet o to zabiegać, ponieważ tak mówiła zasada: młodszy czeka na starszego, zwykły obywatel czeka na konsula, na osobę sprawującą najwyższą władzę w Rzymie. Chłopiec nigdy nie podawał tego w wątpliwość. Antoniusz oczekiwał czegoś innego – publicznych przeprosin, a to stanowiło już pewien problem. Jednak Oktawian połknął i tę gorzką

pigułkę, był bowiem przekonany, że dzięki ugodzie zyskuje znacznie więcej.

Zaczekał, aż jego najbliżsi przyjaciele zajmą miejsca wśród najznamienitszych widzów, a następnie stanął samotnie pod posągiem Jowisza i tam czekał. Oktawia rozglądała się dookoła, ale w odróżnieniu od pozostałych, szukających wzrokiem mocnej sylwetki Antoniusza, wśród żołnierzy trzymających straż wypatrywała oblicza Cherei. Na próżno. Łudziła się, że gdyby tam był, pokazałby się jej, lecz później porzuciła tę myśl, tłumacząc sobie, że ma on z pewnością wystarczająco dużo powodów, by zachowywać wobec niej dystans emocjonalny. Cokolwiek by mówić, nigdy nie pofatygowała się, by odwiedzić dziecko. To, że rodzice jej zabronili, nie miało znaczenia; mogła przecież zrobić to po kryjomu, zwłaszcza po zamążpójściu.

Powstrzymywał ją strach – obawa przed tym, że mogłaby wprowadzić zamęt w swe poukładane życie, które wtedy obrało określony kierunek, zgodny z oczekiwaniami rodziny, a także tym, co dyktowała jej duma osobista. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie: śmierć Cezara i ciężar dziedzictwa objętego przez Oktawiana, sekta Marsa Mściciela, krzywdy, jakich jej rodzina doznawała od Antoniusza, grożąca im wojna domowa – wszystkie te elementy razem wyrwały ją ze stanu odrętwienia i uświadomiły, że nie może pozostawać bierna wobec wydarzeń dotyczących jej najbliższych. Teraz ma więc nie tylko prawo, lecz wręcz obowiązek udać się w odwiedziny do swego syna.

Usłyszała okrzyki dobiegające z tylnych rzędów. Dotarło do niej, że upłynęło wiele czasu, odkąd Oktawian stanął w umówionym miejscu. Antoniusz kazał długo na siebie czekać i bez wątpienia uczynił to celowo. Pojawieniu się konsula towarzyszyło kilka wiwatów i wiele pomruków niezadowolenia. Przybył ze swoimi braćmi: Gajuszem i Lucjuszem. Zaraz za nim podązał *magister equitum* Lepidus oraz drugi konsul, Dolabella, a następnie przyszli konsulowie – Aulus Hircjusz i Wibiusz Pansa, których Antoniusz zabrał ze sobą prawdopodobnie po to, by udowodnić Oktawianowi, że najwyższej postawione osoby w Rzymie są jego przyjaciółmi, a tym samym pokazać chłopcu, z jak silnymi szeregami przyjdzie mu się zmierzyć, jeśli w dalszym ciągu będzie próbował sprzeciwiać się konsulowi.

Wszystkie dostojne osoby ze świty konsula zajęły kolejno miejsca w pierwszych rzędach wśród publiczności – czy może raczej wśród świadków – i podczas gdy Antoniusz powolnym krokiem zbliżał się do

posągu Jowisza, Oktawia przeniosła wzrok na brata. Dostrzegła, że zaciska pięści w gniewie. Konsul wykorzystywał każdą okazję, aby go poniżyć.

Nie pozostawało jej nic innego, jak mieć nadzieję, iż brat utrzyma nerwy na wodzy.

— Nerwy na wodzy. Muszę trzymać nerwy na wodzy— powtarzał sobie Oktawian.

Antoniusz jawnie go prowokował, aby stracił panowanie nad sobą i pokazał wszystkim swe agresywne oblicze. Możliwe, że w ten sposób chciał udowodnić Rzymianom, iż jest ofiarą, a nie napastnikiem. A może chciał mieć tę odrobinę satysfakcji i postanowił ukarać Oktawiana za lekceważenie, jakie okazywał do czasu ugody.

Chłopak starał się patrzeć mu prosto w oczy, by dać do zrozumienia, że nie boi się i że zna jego intencje. Antoniusz spojrzał na niego od niechcienia, a gdy się zbliżył i wyraźnie było widać, że masą i wzrostem góruje nad Oktawianem, zmierzył go wzrokiem z ostentacyjną wyższością. To, że miał zamiar go onieśmielić, było oczywiste, i może gdyby chodziło o kogoś innego, ten plan by się powiódł, ale nie z nim, nie z wybranym spadkobiercą — powtarzał sobie Oktawian. Cezar nie uląkł się Pompejusza Wielkiego, Wercyngetoryksa, Farnakesa z Pontu, Katona Młodszeo, dlaczegóż więc on miałby się bać zapijaczonego hulaki, jakim był Antoniusz? Jeżeli zamierzał dojść równie daleko jak jego ojciec, musiał znieść co najmniej tę odrobinę zniewag.

Antoniusz spoglądał ponad nim, aby zademonstrować swą obojętność, ale nie ulegało wątpliwości, że czeka, by Oktawian odezwał się pierwszy: wszystko musiało jednoznacznie świadczyć o tym, że to on przychodzi po prośbie. Chłopak zdawał sobie z tego sprawę, dlatego łatwiej było mu zachować spokój. Krzepiła go także myśl, że ludzie docenią to, iż okazuje szacunek człowiekowi uważanemu przez wielu za jego dręczyciela. Dostrzegą w jego postawie przejaw estymy wobec funkcji pełnionej przez Antoniusza, a nie dla jego osoby – dla urzędu, nie człowieka; gest stanie się oznaką respektu dla instytucji, pozwoli mu uspokoić wszystkich i odciąć się od Antoniusza, który – jak zawsze mówił Cyceron w senacie – nie miał wielkiego poważania dla spraw Republiki.

— Ave, konsulu — zawołał ze skruszoną miną. — Dziękuję ci, że

zechciałeś przychylić się do mojej prośby o rozmowę. To wspaniałomyślnie z twojej strony, że poświęciłeś mi odrobinę swego cennego czasu.

Naturalnie nie było to prawdą, bowiem to Antoniusz sygnalizował chęć zawarcia porozumienia. Konsul wołał jednak, by ludzie myśleli inaczej.

— Witaj, młody Oktawianie — odpowiedział, kładąc nacisk na słowo „młody”. — Jak widzę, postanowiłeś nieco spuścić z tonu. Czy mogę mieć nadzieję, że tym spotkaniem zamierzasz położyć kres prowokacjom?

Zgodnie z umową pierwszą część rozmowy mieli odbyć na głos, aby wszyscy mogli wyraźnie ocenić istniejącą między nimi różnicę autorytetów. Oktawian przystał na to, ale konsul nie zamierzał ułatwiać mu zadania.

Chłopak musiał się starać ze wszystkich sił, by nie wpaść w sidła. Wiedział, że członkowie sekty patrzą na niego i go oceniają. Skoro zamierzał pokazać, że jest godny pełnić funkcję wodza, skoro oczekiwał od nich szacunku, przyjaźni i wierności, musiał udowodnić, że na nie zasługuje.

— Znamienity konsulu — odparł — wybacz mi porywczosć, która znaczyła moje działania, odkąd dowiedziałem się, że przejąłem dziedzictwo Cezara. Odpowiedzialność, jaka na mnie spadła, okazała się ponad siły moich wątych barków, a młody wiek sprawił, że zaniedbałem szacunek należny wysokiemu urzędnikowi Republiki, człowiekowi starszemu ode mnie oraz krewnemu, którego czyny rozsławiły naszą rodzinę.

Antoniusz pokiwał poważnie głową. Był usatysfakcjonowany, ale nie dał tego zbyt po sobie poznać.

— Tak młody człowiek nie ma prawa wtargnąć na scenę polityczną i dyktować praw ludziom o ogromnym doświadczeniu, piastującym urzędy powierzone im przez naród; ludziom, których czyny mogą kwestionować jedynie inni przedstawiciele instytucji oraz sam naród właśnie. Każdy, kto zamierza stosować jakąkolwiek formę nacisku z pozycji zwykłego obywatela, uzurpując sobie ten przywilej wyłącznie z racji imienia, które nosi, dopuszcza się nadużycia i występuje przeciwko podstawowym prawom Republiki — odpowiedział. Zamierzał przeciągać rozmowę. Tylko słabi przebaczą natychmiast, to oczywiste.

Przyszła kolej na Oktawiana. Miał nadzieję, że nie będzie musiał się upokorzyć, by uzyskać to przeklęte przebaczenie.

— Masz w pełni słuszność, konsulu. Proszę jedynie, abyś zrozumiał, że stan mojego ducha — na który wpływa niepowstrzymane pragnienie pomszczenia mego ojca oraz rozpacz, jakiej doświadczałem i wciąż

doświadczam, widząc jego morderców nie tylko na wolności, ale nawet zasiadających w miejscach, które on dla nich wyznaczył, gdy uznał, że są ich godni – sprawił, iż popełniłem błędy, nie potrafiłem bowiem trwać w bezczynności.

Antoniusz upajał się chwilą.

— Z winy wielkiego niedoświadczenia, drogi Oktawianie, ośmieliłeś się oceniać działania osoby odpowiedzialnej za sprawy publiczne, a przede wszystkim za dopilnowanie, by nie powtórzyły się wojny domowe, które nękały Rzymian przez dziesiątki lat. Zwykłemu obywatelowi, nieśledzącemu na bieżąco życia politycznego i nieposiadającemu pełnej wiedzy, zbyt łatwo przychodzi krytykować działania kogoś, kto bierze na siebie ciężar decyzji, od których może zależeć los tysięcy osób.

Na bogów! Jeszcze nie miał dość!

— Jak już rzekłem, konsulu, jako syn Cezara byłem zaślepiony żądzą zemsty, a jako rzymski obywatel pragnieniem sprawiedliwości. Nie są mi znane mechanizmy rządzące polityką. Chciałem przyspieszyć bieg wydarzeń, by jak najszybciej doszło do wymierzenia kary tym, którzy dopuścili się najnikczemniejszej ze zbrodni. Teraz jednak zrozumiałem swój błąd i odtąd będę ufał zdolności oceny i osądowi osób bardziej ode mnie doświadczonych.

Miał nadzieję, że to wystarczy Antoniuszowi. Tymczasem dał wszystkim do zrozumienia, że nie zamierza odstępować od swego dążenia do skazania zabójców. Wierzył, że pod tym względem naród się z nim zgadza, i rzeczywiście, na widowni, a szczególnie wśród żołnierzy, dały się słyszeć pomruki poparcia.

To z pewnością nie cieszyło Antoniusza. Oktawian natomiast z trudem powstrzymał uśmiech zadowolenia: przedstawienie reżyserowane przez jego przeciwnika mogło w każdej chwili obrócić się przeciwko konsulowi. Antoniusz najwyraźniej zrozumiał to i nareszcie zmienił ton rozmowy na nieco bardziej stanowczy.

— Wymierzenie sprawiedliwości, w ten czy inny sposób, jest wolą nas wszystkich. Niech nikt nie zapomina o tym, że cesarobójcy chcieli zabić i mnie, a mimo to stanąłem z nimi twarzą w twarz, aby oszczędzić cierpień obywatelom. Zawsze ponad wszystko przedkładałem zgodę. W ten sposób postępowałem z nimi i tym bardziej będę tak postępował z tobą, młody Oktawianie. Wszyscy musimy działać razem w tym jakże trudnym

momencie, aby uzdrowić państwo, dla którego to bolesne wydarzenie stanowi ciężką próbę.

Zaraz potem postąpił krok ku swemu rozmówcy i wyciągnął do niego rękę. Oktawian żywo ją uściskał.

Udało się, przynajmniej jeśli chodzi o przedstawienie, jakie przyszło im odegrać. Publiczność zaczęła wznosić gromkie okrzyki entuzjazmu, ludzi ogarnęła radość i na zmianę wysławiali to jednego, to drugiego, lecz głównie wychwalano Oktawiana, co prawdopodobnie nie spodobało się Antoniuszowi.

W końcu ludzie zaczęli się rozchodzić. Oktawian nie miał jednak złudzeń: to, co musiał dotychczas znosić, było zaledwie rozgrzewką.

Prawdziwy pojedynek miał się dopiero odbyć.

— I co, mały bękarcie? — szepnął Antoniusz, gdy tylko uznali, że nie muszą już głośno rozmawiać. — Co konkretnie zamierzasz zrobić, żeby zapłacić mi za wszystkie zniewagi, jakich od ciebie doznałem?

Oktawian rozejrzał się dookoła. Napięcie wśród widowni opadło, część ludzi się rozeszła, pozostali rozmawiali wesoło między sobą. Co uważniejsi obywatele oraz najbardziej zainteresowane postacie ze świata polityki wciąż jednak uważnie wpatrywali się w obu przeciwników, usiłując rozszyfrować ich zachowanie i ocenić, jakie tak naprawdę są skutki zakończonego przed chwilą przedstawienia. Naturalnie w grupie tych obserwatorów znajdowali się również przyjaciele Oktawiana.

— Byłbym ci wielce zobowiązany, gdybyś choć raz na jakiś czas zechciał mnie potraktować z szacunkiem należnym człowiekowi wybranemu na spadkobiercę przez wodza, któremu od zawsze służyłeś — odpowiedział przez zaciśnięte zęby, starając się jednocześnie, ze względu na obecnych tam świadków, by jego twarz nadal wyrażała spokój.

Antoniusz również zdawał sobie sprawę, że należy zachowywać pozory, chociaż z jego ust padały ostre słowa.

— Nawet wielcy mogą popełniać błędy. Ty natomiast nie dokonałeś jeszcze niczego, by zasłużyć sobie na szacunek, chłopczyku. Niczego oprócz irytującego zwracania głowy człowiekowi, który przewyższa cię rozumem — wycedził.

— Jeszcze się przekonamy. Teraz musimy się dogadać, aby pomścić

Cezara. Mam wrażenie, że przydałby się ktoś, ktoby ci to nieustannie przypominał, bo ciągle wylatuje ci toz głowy, dlatego nadal będę irytujący, możesz być tego pewny.

Każdy przejaw słabości był dla Oktawiana zgubny. Antoniusz tylko czekał na okazję, by go sobie podporządkować.

— No właśnie, co konkretnie chcesz dla mnie uczynić?

— Przedziwne, że wciąż muszę się z tobą targować o sprawiedliwość dla twojego wodza...

— Mieszasz sentymenty z racją stanu, chłopcze. Nie chciałbym, by wspomniano mnie jako tego, który doprowadził do nowej wojny domowej. Ci tutaj bardzo urosli w siłę, mają pod sobą wiele legionów i mogą zagłodzić Rzym, blokując dostawy zboża.

„Oczywiście, bo ty, nikt inny, pozwoliłeś im zdobyć taką przewagę” — pomyślał Oktawian, lecz zachował to dla siebie.

— Właśnie, i dlatego musimy połączyć siły i wzmocnić się, aby móc wywrzeć na nich nacisk i zapobiec kolejnym ciosom — powiedział na głos.

— Połączyć siły? A to dobre! — odparł szyderczo Antoniusz. — A jakie ty masz siły do połączenia? Jesteś nic nieznaczącym żółtodziobem...

— Gdybym ich nie miał, nie byłbyś zainteresowany porozumieniem — odparował Oktawian, świadomy własnej pozycji.

Antoniusz przyjął cios z podniesioną głową:

— Powiedzmy, że zakpiłeś z ludu, a jemu się to spodobało. Ludzie są jednak zmienni, dlatego ja jestem ci potrzebny, abyś mógł zachować ich przychylność. Nie rzucaj mi kłód pod nogi, gdy szukam ich wsparcia, a osiągniesz swoją upragnioną zemstę.

— Chciałeś powiedzieć: naszą zemstę. A dlaczegóż to potrzebujesz wsparcia ludu? Nie bardzo o nie zabiegałeś od czasu śmierci mojego ojca. Odniosłem wrażenie, że bardziej zależało ci na wsparciu jego morderców.

— Przychylność ludu jest mi potrzebna właśnie po to, by odebrać prowincje mordercom twojego ojca — wyjaśnił konsul. — Tylko w ten sposób uda nam się ich osłabić, a następnie uderzyć. Zamierzam wystąpić do senatu z wnioskiem o zamianę Macedonii na Galię, aby zyskać nad nimi przewagę. A ponieważ senat nie uwzględni tego wniosku, zwrócę się do narodu. Planuję bowiem uzyskać tę prowincję w drodze głosowania. Tymczasem Dolabella uda się do Syrii i będzie kontrolował Treboniusza w Azji.

Oktawian uniósł brwi. Antoniusz wytoczył ciężkie działa. Wystąpił z prośbą o Macedonię, potem sprowadził stamtąd sześć legionów do Italii, a teraz postanowił przejąć Galię, przyznaną Decymusowi Brutusowi, wraz z należącymi do niej jednostkami. Było oczywiste, że senat nie wyrazi na to zgody. Cezar ruszył na Rzym właśnie z Galii, a Antoniusz miał teraz dodatkowo wojska stacjonujące na południu. *Urbs* znalazłoby się w ten sposób w kleszczach. Cezarowe przejście Rubikonu to przy tym błąhostka. Strategia Antoniusza stawała się coraz bardziej czytelna.

„Nic go nie obchodzi zamordowany dyktator” — rzekł w duchu Oktawian. Lawirował między poszczególnymi elementami tej gry – cesarobójcami, senatem, narodem, Oktawianem, Lepidusem. Przypochlebiał się i straszył raz jednych, raz drugich, konsekwentnie dążąc do objęcia stanowiska porównywalnego z pozycją Cezara. A to, że aby przypodobać się senatowi, przedstawił propozycję ustawy znoszącej dyktaturę, nie miało większego znaczenia; było wiele metod na zdobycie najwyższej władzy.

Niemniej jednak na razie Oktawian znał tylko jeden sposób, by doprowadzić do zemsty na mordercach Cezara, a jednocześnie nie zaszkodzić własnej karierze politycznej – było to wzmocnienie władzy Antoniusza, ponieważ poszczególne elementy państwa blokowały się wzajemnie sprzeciwami, toteż nie mogły być skutecznym narzędziem do wymierzenia kary cesarobójcom. Młodzieniec uznał, że tymczasowo wspieranie konsula jest dla niego opłacalne. Należało jednak czerpać z tej sytuacji jak najwięcej korzyści.

— Prosisz o wiele, Antoniuszu. Uzyskasz w ten sposób nieograniczoną władzę. Nie myśl, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Skąd mogę mieć pewność, iż wykorzystasz ją, by ukarać morderców mojego ojca?

— Taki był mój zamiar od samego początku. Nie zapominaj, że mnie także chcieli zabić.

— A jednak biorę na siebie ogromną odpowiedzialność, pozwalając ci osiągnąć tak znaczącą pozycję — nie dawała wygraną Oktawian. — Naturalnie oczekuję, że wycofasz zawieszenie *legis curiatae* i umożliwisz mi oficjalne sfinalizowanie adopcji. Mam prawo przyjąć imię mojego ojca.

Antoniusz przytaknął, wyraźnie pokrzepiony.

— Zgadzam się.

Oktawian nie zamierzał jednak tak łatwo ustąpić. Pozbawienie konsula władzy nie było prostą sprawą: Mecenas podsunął mu doskonały pomysł,

który mógł wykorzystać, by zneutralizować lub przynajmniej ograniczyć wpływy Antoniusza.

— To nie wszystko — dodał.

Na twarzy Antoniusza pojawił się grymas zniecierpliwienia.

— Co znowu? — zapytał z irytacją w głosie. — Będiesz mógł się mianować synem Cezara, dokonasz zemsty, do której dążysz... Czego jeszcze chcesz?

Otóż to! A więc rzeczywiście uważał go tylko za rozkapryszonego chłopca, którego można zadowolić symboliczną zabawką. Mogło to jednak zadziałać na jego korzyść: dopóki Antoniusz lekceważył to, co Oktawian tworzy wraz ze swymi przyjaciółmi, a także faktyczny wpływ, jaki chłopiec miał na naród i na legiony, istniała szansa, że nie dostrzeże w nim prawdziwego zagrożenia, a chłopak osiągnie więcej.

— Ja *jestem* synem Cezara — odrzekł wyraźnie urażony — a w związku z tym sądzę, że mam prawo do wcześniejszego obejmowania stanowisk publicznych. Dysponuję poparciem narodu i zamierzam zgłosić swą kandydaturę na trybuna ludowego. Ufam, że nie będziesz mi tego utrudniał.

Zdawał sobie sprawę, że zrobił wrażenie na Antoniuszu. Zauważył niepokój na jego twarzy. Rozejrzał się ukradkiem, by sprawdzić reakcje widzów, w nadziei, że nie dostrzegają, iż napięcie między nimi ponownie rośnie. Na szczęście dla niego nawet Antoniusz nie zapomniał, że wszyscy na niego patrzą, dlatego starał się zapanować nad własnymi reakcjami.

— Trybun ludowy? Żartujesz? W twoim wieku? Poza tym jesteś patrycjuszem, nie możesz — oświadczył.

— Oczywiście, że mogę. Tak jak zrobił jeden z poprzednich mężów twojej żony, Klodiusz. Przy okazji przejdę także do stanu plebejskiego.

Antoniusz oniemiał. Nic dziwnego. Trybun ludowy – obaj byli tego świadomi – dążąc do umocnienia swojej władzy, mógł zablokować wiele ustaw uchwalanych przez konsula, jako że był jedynym urzędnikiem w Republice uprawnionym do ich wetowania. Właśnie z tego przywileju korzystał Antoniusz w interesie Cezara, gdy swego czasu blokował dekrety przeciwko ówczesnemu prokonsulowi Galii. On więc lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego przywileju.

— Nie mogę na to pozwolić — powiedział w końcu.

— Jak uważasz. Ja zaś nie mogę pozwolić, byś przejął również Galie, mając już pod sobą armię macedońską — odparł chłodno Oktawian.

— Nie wiem, jak mógłbyś mi w tym przeszkodzić. Zwrócę się bezpośrednio do ludu.

— Powodzenia. W takim razie nie potrzebujesz, bym wpływał na obywateli. Nie są ci również potrzebne moje dobre relacje z Cynceronem.

Zapadła cisza. Cisza pełna napięcia, które mogło przejąć niepokojem każdego. Oktawian odczuwał satysfakcję z tego, iż nie uległ. Był pewny, że Antoniusz ustąpi, i to przekonanie sprawiło, że poczuł się godny Cezara.

— Niech będzie — powiedział w końcu konsul. — Dajmi wsparcie narodu, a gdy przybędę do Galii, staniesz się oficjalnie synem Cezara i trybunem ludowym, o ile zdołasz wygrać wybory.

Nie do końca podobało mu się to, że realizacja jego celu zależy od realizacji celów Antoniusza, lecz uznał, iż nie może go zanadto drażnić.

— I zaraz potem przyjmiesz ustawę, w której mordercy Cezara zostaną oficjalnie uznani za „wrogów publicznych”? — upewnił się.

— Na pewno to zrobię.

Oktawian wahał się jeszcze, nie mając pewności, czy może zaufać temu człowiekowi. Uznał jednak, że nie ma wyboru. Ostatecznie Antoniusz straci wiele w oczach narodu, jeśli zrealizowawszy własne cele, nie wypełni podjętych zobowiązań. Wyciągnął ku niemu rękę. Konsul czekał przez moment, lecz w końcu odwzajemnił jego gest. Po chwili na placu ponownie rozległy się okrzyki i owacje.

Wyglądało na to, że zawarli porozumienie. A skoro doszło do porozumienia, Oktawian i bractwo mieli powody do zadowolenia. Oktawia się cieszyła. Nie zdołała się jednak oprzeć pokusie i jej uwaga była podzielona pomiędzy rozgrywającymi się przed nią wydarzeniami a powracającymi coraz wyraźniej wspomnieniami o Gajuszu Cherei. Przez lata wypierała je ze swojej świadomości, a teraz, gdy pojawiły się na nowo, przetaczały się przez jej umysł niczym spieniona rzeka, coraz gwałtowniej występująca z brzegów. Im mocniej wyostrzały się kontury tych obrazów, tym silniejsze było pragnienie ich ożywienia. I poznania owocu ich miłości.

Wstała pierwsza. Oktawian i Antoniusz w tym czasie oficjalnie się żegnali, wymieniając sztuczne uśmiechy. Następnie chłopak podszedł do krewnych, lecz ona była już myślami gdzie indziej; nie mogła się doczekać, aż ucieknie. Rodzice i kuzyni gratulowali Oktawianowi, szczególnie chwając go za

zachowanie zimnej krwi pomimo prowokującej postawy Antoniusza. Ewentualne korzyści płynące z zawartego porozumienia miały zostać omówione później, w dogodniejszej chwili. Niemniej sam fakt, że konsul przestał być jego przeciwnikiem, stanowił niemały sukces.

Oktawia nie słuchała, o czym brat rozmawia z krewnymi, a kiedy zauważyła, że się żegnają, poleciła Etain przywołać lektykę. Nie zamierzała jednak wracać do domu. Gdy tylko stanęli przed nią tragarze, poleciła, by zanieśli ją do Subury.

Etain momentalnie pojęła jej zamiary.

— Jesteś pewna, *domina*? — zapytała zaniepokojona.

— Tak, jestem pewna — odrzekła łamiącym się głosem.— Powiedz im dokładnie, dokąd mają się kierować — dodała. Nigdy dotąd nie starała się poznać adresu, w obawie by nieulec pokusie.

— Skutki mogą być bardzo poważne. Zdajesz sobie tego sprawę?

— Tak, ale wszystko, co robimy dla Oktawiana, może przynieść poważne skutki. Z tą różnicą, że to, co planuję zrobić teraz, nie jest aż tak niebezpieczne — odpowiedziała. Tym razem jej głos brzmiał pewnie. Wraz z upływem czasu coraz bardziej jednak musiała się umacniać w przekonaniu, że to, co zamierza, jest słuszne.

Przez resztę drogi jechali w całkowitym milczeniu. Etain przerywała ciszę tylko wtedy, gdy wskazywała kierunek niewolnikom. Oktawia od czasu do czasu wyglądała zza zasłon. Widoki, które ukazywały się jej oczom, napawały ją głębokim niepokojem. Oglądała brudne i wyjątkowo odpychające miejsca. Widziała twarze plebejuszy zniszczone biedą i ciężkimi warunkami, w jakich przyszło im żyć. Ich sytuacja była gorsza, dużo gorsza od położenia niewolników z pańskich dzielnic, gdzie przynajmniej każdy miał zapewniony wikt i opierunek w wygodnym mieszkaniu. Budynki w dzielnicy, do której weszła, wyglądały niemalże jak ruiny, wiele z nich nosiło ślady pożarów; nikt ich nie remontował, nie było tam toalet ani bieżącej wody; śmieci i nieczystości zalegały na ulicach; fetor bijący od olbrzymiej ilości odpadów sprawiał, że z trudem oddychała.

Ludzie mieli na sobie znoszone, podarte tuniki; dzieci bawiły się na ulicach, nierzadko wdając się w bójki, z których wychodziły całe posiniaczone. Czy jej syn, Marek, dorastał w takich samych warunkach? Twarze dorosłych były otepiałe, wzrok nieobecny, typowy dla ludzi pozbawionych nadziei. Wszyscy wyglądali na starszych, niż byli

w rzeczywistości: przerzedzone, tłuste włosy, twarze kobiet pokryte rozmazanym, nieudolnym makijażem deformującym ich rysy; wyglądały, jakby przedwcześnie przekwitły; nosy mężczyzn najczęściej powykrzywiane na skutek bójek ulicznych, w których brali udział, walcząc o byt. Nie potrafiła wyłowić z tłumu żadnego człowieka, który wyglądałby normalnie: byli albo zbyt grubi, albo zbyt chudzi.

Wszyscy patrzyli na nią z zazdrością. Zapewne przeklinali pod nosem bogactwo, którym razła, przemierzając ich terytorium. Zaczęła się bać.

A jednocześnie jeszcze bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję, wstępując do sekty Marsa Mściciela. Jeżeli Rzymowi była pisana zmiana tego haniebnego stanu rzeczy, mógł jej dokonać tylko Oktawian. Cezar, który pochodził właśnie z Subury i tu spędził swoje dzieciństwo, starał się przywrócić kwirytom godność mieszkańców najważniejszego miasta na świecie. Teraz kontynuacja tego dzieła należała do jego spadkobiercy, Oktawiana. Ludzie sprawujący dotychczas władzę nad kwirytami troszczyli się wyłącznie o utrzymanie przywilejów odziedziczonych po rodzicach oraz o umacnianie własnej pozycji, każąc zadowalać się ludowi okruchami z pańskiego stołu, lecz w pewnym momencie zabrakło i tego. Wojny domowe, które tyle lat trawiły kraj, odbierały obywatelom żyjącym w ubóstwie ostatki tego, co jeszcze posiadali, doprowadzając do utraty bezpieczeństwa, wzrostu podatków i ruiny gospodarki.

Były to twarze ludzi umierających z głodu, sparalizowanych strachem przed niepewnym jutrem. A co najdziwniejsze, wszystko to działo się w mieście zamieszkanym przez najzamożniejszych i najpotężniejszych ludzi na tym świecie. Ci biedacy płacili za kosztowne ambicje kilku kluczowych postaci z klasy rządzącej, ich rywalizację, ich wzajemne potyczki. Kwirytów traktowano jak mięso armatnie. Potrzebowano ich tylko w czasie wyborów. Wystarczyło omamić ich obietnicą poprawy warunków życia, by uzyskać ich poparcie.

Tak łatwo było kupić sobie tych nieszczęśników. Cezar starał się jednak uczynić więcej, wszak wśród nich dorastał. Nie dopuścił przynajmniej, by umierali z głodu. Dzięki obecności żołnierzy w *Urbe* udało mu się zwiększyć poziom bezpieczeństwa, a tym samym stworzyć w mieście lepsze warunki rozwoju. Drobni rzemieślnicy i kupcy mogli poszerzać swą działalność i dawać pracę kolejnym ludziom. Teraz, gdy możni ponownie zaczęli się

panoszyć, szkodząc przede wszystkim ludowi, powróciło widmo tego, czego obawiali się najbardziej: braku nadziei na przyszłość.

Oktawian miał jednak zmienić ten stan rzeczy. Planował przywrócić porządek w Rzymie, a jego mieszkańców wprowadzić na nowo na ścieżkę, po której kroczyliby zgodnie z wolą bogów, a na którą obecnie nie mogli wstąpić, ponieważ obfitowała w przeszkody będące wynikiem małostkowości i krótkowzroczności pewnych kręgów.

Wizja jej brata była szersza, sięgała dalej, opierała się na dobru wspólnym i właśnie dlatego Cezar wybrał jego, by kontynuował rozpoczęte dzieło. Żaden ze znanych Oktawii ludzi polityki nie był zainteresowany naprawą imperium, które utworzyło się wokół Rzymu niemal przypadkowo, ponieważ każdy z nich był skupiony na pielęgnowaniu wyłącznie własnego interesu. Oktawian natomiast już na samym początku postanowił, że jego rola będzie polegała na zwiększeniu skuteczności państwa, wzmocnieniu go, gdyż w ten sposób on sam stałby się wielki, mimo że nie dążył do wzbogacenia się, nie zabiegał o władzę i nie wynosił się ponad innych. A gdyby jednak zyskał bogactwo i władzę, byłoby to jedynie swoistą nagrodą dla człowieka, który podjął się gigantycznej pracy, jakiej nikt inny się nie podjął z powodu własnej niedbałości, ignorancji, lenistwa czy uprzedzeń.

Etain wskazała jej wejście do insuli⁸. Budynek nie był brudniejszy niż pozostałe, które widziała po drodze, za to w odróżnieniu od nich nie popadł jeszcze w ruinę, choć na fasadzie można było dostrzec kilka pęknięć, a przed wejściem leżało parę dachówek, które osunęły się z dachu. Oktawia zeszła z lektyki i stwierdziła, że z trudem utrzymuje się na nogach. Poczowała, że drżą i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że robi to wszystko bez wiedzy Gajusza Cherei, ojca dziecka. Przecież przed udaniem się z wizytą powinna była go powiadomić. Miał prawo wiedzieć, że złamała postanowienie podjęte wiele lat temu. Miał również prawo nie wyrazić na to zgody.

Dotarło do niej, że właśnie z tego powodu nie powiedziała mu o niczym: obawiała się, że może jej tego zabronić. Skąd mogła wiedzieć, co przyjdzie do głowy mężczyźnie, z którym od tak dawna nie utrzymywała kontaktu. Tak czy inaczej, weszła w bramę i stwierdziła, że skromna pomoc, którą systematycznie przesyłała za pośrednictwem Etain, oraz pokaźna pensja centuriona pozwoliły, by Marek dorastał w dość przyzwoitych warunkach. Pomieszczenia były czyste, mimo że spod schodów wydobywał się silny odór uryny stojącej w wazach odbieranych regularnie przez garbarzy.

Oktawia weszła na schody. Z każdym stopniem jej żołądek zaciskał się coraz mocniej i kiedy zatrzymała się przed drzwiami mieszkania, w którym dziecko żyło ze swoją opiekunką, sparaliżował ją strach. Etain zapukała. Upłynęło parę chwil i otworzyła kobieta. Oktawia przyjrzała się jej badawczo i sama również poczuła na sobie jej przenikliwy wzrok. Więc to ta, której Gajusz powierzył na wychowanie ich dziecko, po tym jak ona zdezerterowała. Starła się poznać, czy łączy ją z Chereą coś więcej. Jej wrogi wzrok pozwalał wnioskować, że tak właśnie jest. Kobieta stojąca naprzeciw niej zrozumiała, kim jest niespodziewany gość: jej elegancja i obecność Etain nie pozostawiały wątpliwości. Ta wizyta jej nie ucieszyła.

— Przyszłyście do Marka? — zapytała. — Czy do Gajusza?— dodała z nutą goryczy w głosie.

Partnerka Cherei była piękna, to nie podlegało dyskusji. Było to surowe piękno, lecz prawdziwe. Brakowało jej tylko blichtru typowego dla prawdziwej matrony. Z pewnością nie zdawała sobie sprawy ze swojej urody, a równie pewne było to, że przewyższała pod tym względem Oktawię. Przypominała ją, tyle że była... ładniejsza. Miała bardziej regularne rysy, zgrabniejszą, pięknie wyrzeźbioną sylwetkę. Prawdopodobnie miały tyle samo lat. Oktawia ponownie poczuła ścisk w żołądku i tym razem nie wiedziała, czy powodują go emocje związane ze spotkaniem z synem.

— Do Marka — odpowiedziała Etain. — Czy mogłabyś go zawołać? — poprosiła, uprzedzając pytanie Oktawii.

Kobieta spojrzała najpierw na wyzwolenicę, a następnie na matronę, która nie odezwała się ani słowem. Tak właśnie Oktawia w naturalnym odruchu postanowiła podkreślić różnicę stanów istniejącą między nimi: zwracała się do niej za pośrednictwem Etain. Był to swego rodzaju odwet za urodę rywalki, a także za jej bliskość z Markiem i Gajuszem.

— Bawi się na ulicy. Chodźcie ze mną — powiedziała kobieta bezbarwnym głosem. Z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

Podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Oktawia i Etain podążyły za nią, po czym oparły się o parapet, spoglądając w dół: grupka chłopców ganiała się i kłóciła – scena podobna do tych, które od wjazdu do Subury budziły tak wielką odrazę w Oktawii. Kobieta milczała. Czekwała, aż Etain wskaże Marka matce. Wyzwolenica wyciągnęła rękę i palec wskazujący, mówiąc:

— To on. Ten w zielonej tunice, z czarnymi, kręconymi włosami.

Oktawia wychyliła się bardziej i zaczęła przypatrywać się dziecku. Ujrzała

czarujące stworzenie: syna, którego nie zdołała jeszcze urodzić swemu mężowi. Chłopiec miał dziewięć lat, lecz wyglądał na więcej. Był zdrowy, miał mocną budowę ciała i tryskał życiem, a na tle rówieśników zauważało się jego wyrazistą osobowość. Poczwała, jak łzy napływają jej do oczu, a skurcz w żołądku ustępuje pod falą ciepła. Nagle zaczęła w duchu przeklinać samą siebie za to, że straciła pierwsze dziewięć lat jego życia, kiedy mogła go tulić i pieścić, a pozwoliła, by jej miejsce zajęły niewolnice i mamki.

— Idę na dół poznać się z nim — oznajmiła pod wpływem impulsu i odeszła od okna.

Stała już na progu drzwi do mieszkania, kiedy usłyszała za plecami:

— Nie, proszę cię, nie rób tego!

Ton kobiety radykalnie się zmienił. Miejsce obojętności, z którą przywitała matronę, zajęło nagle wołanie z głębi serca, niemal desperacja. Oktawia odwróciła się i zobaczyła, że także twarz partnerki Gajusza jest inna niż dotąd. Wcześniejszy ostentacyjny chłód zmienił się w błagalne spojrzenie.

— Nie mów mu, kim jesteś ani czyim jest synem, zaklinam cię, *domina!*
— powtórzyła kobieta.

— Dlaczego miałabym tego nie robić? Nie mogę go zabrać, lecz chcę przynajmniej z nim porozmawiać.

— On sądzi, że jest moim synem. Odkąd skończył dwa lata, opiekowałam się nim, pielęgnowałam go i traktowałam jak syna, którego nigdy nie mogłam mieć. Wiem, że bardzo nam pomagałaś, i zawsze będę ci wdzięczna, ale teraz to już mój syn. Porzuć swe zamiary, proszę cię. Jest szczęśliwy: ma ojca i matkę, którzy wspólnie się o niego troszczą...

— Co takiego? Szczęśliwy? W tym chlewie? — Oktawia patrzyła na mieszkanie z obrzydzeniem. Naprawdę wcale tak nie myślała. Mieszkanie było urządzone gustownie i utrzymane w czystości, ale pragnęła ją zranić w odwecie za to, że żyje z mężczyzną, którego ona kocha. A może tego samego mężczyznę kochała i *tamta*.

— Gajusz jest bardzo zadowolony. Uważa, że to jego królestwo — odrzekła kobieta, prostując dumnie pierś i spoglądając Oktawii prosto w oczy.

Matrona odwróciła się, przekroczyła próg i bez słowa zeszła po schodach. Będąc już na zewnątrz, poczuła, jak ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu.

— *Domina*, proszę cię... — powiedziała Etain błagalnym tonem.

Ale Oktawia milczała. Nawet nie spojrzała na wyzwolenicę. Czuła, że jest wściekła. Nie wiedziała dokładnie na kogo. Obawiała się, że na samą siebie... Postąpiła parę kroków ku chłopcom zajęтым grą w piłkę, lecz zaraz potem coś ją powstrzymało i stanęła, by przyjrzeć się Markowi. Podeszła jeszcze trochę i znowu się zatrzymała. Odwróciła się w kierunku okna, przy którym przed chwilą stała, i dostrzegła wpatrującą się w nią kobietę. Zrobiła jeszcze jeden krok, potem następny i właśnie wtedy jeden z urwisów przepuścił piłkę, która potoczyła się do stóp Oktawii.

Patrzyła, jak chłopiec w zielonej tunice, z czarnymi, kręconymi włosami, podbiega po piłkę, chwyta ją i w ostatniej chwili spostrzega, że stoi przed elegancką, wyperfumowaną matroną, jakie być może widywał wcześniej tylko z daleka.

Spojrzał na nią oniemiały z zachwytem. Oktawia miała wrażenie, że ciało odmawia jej posłuszeństwa. Nagle poczuła, że rozpaczliwie pragnie z nim porozmawiać.

— Jesteś pięknym chłopcem, Marku — powiedziała, lecz słowa więły jej w gardle.

Na twarzy dziecka odmalowało się zdziwienie.

— Ty znasz moje imię, pani! Skąd? — zapytał zaskoczony.

Oktawia nie wiedziała, co powiedzieć. Spojrzała jeszcze raz na okno i dostrzegła, że kobieta znieruchomiała z przerażenia. Zawahała się przez moment.

— *Domina*... — wyszeptała Etain.

— No więc... — Musiała szybko wymyślić jakieś wytłumaczenie. — Twój ojciec towarzyszy czasem mnie i mojej rodzinie jako członek eskorty. Opowiadał o tobie tyle razy, że mam wrażenie, jakbym cię już znała.

— Aha! A ty jak się nazywasz? — zapytał chłopiec.

— Ja mam na imię Oktawia i jestem... jestem... — poczuła na sobie czujne spojrzenie Etain i kobiety stojącej w oknie — ...siostrzenicą Juliusza Cezara.

— O, to musisz być szczęśliwa, bo jesteś krewną bardzo ważnego człowieka... i jednocześnie nieszczęśliwa, bo go zabili. Mój tata był bardzo smutny z tego powodu — odparł Marek, śmiechnął się i pobiegł do kolegów, zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć.

Zrobiła jeszcze jeden krok do przodu i znowu poczuła na ramieniu rękę

Etain, która ją przytrzymała.

— *Domina...* Chyba już wystarczy na dzisiaj, nie sądzisz?

Matrona stała przez chwilę w zamyśleniu, jeszcze raz spojrzała na chłopca i w końcu zwróciła się do wyzwolenicy:

— Tak, wystarczy. Chodźmy — powiedziała i ruszyła w stronę lektyki, która czekała kilka kroków dalej.

Wchodząc na posłanie, otarła z oczu łzę, ukradkiem, by nie dostrzegła tego Etain. Nie zdążyła jednak i przyjaciółka posłała jej ciepły uśmiech.

X

Oktawian uniósł wzrok ku niebu. Czerwona tarcza słońca wynurzała się sponad dachów najwyższych budynków, a bladoróżowy blask rozświetlał poranek. Odkąd wrócił do Rzymu, nie zdarzyło mu się jeszcze witać tak promiennego dnia. Zwrócił się w stronę Kapitolu i zobaczył zatkniętą czerwoną flagę, taką samą jak ta, która powiewała teraz nad Janikulum, po etruskiej stronie miasta, i zgodnie z tradycją oznajmiała, że nie ma w pobliżu żadnych wrogów i można rozpocząć komicja centurialne.

Poprzedniego dnia poszedł spać w przekonaniu, że dotarł do przełomowego punktu w swojej karierze, że w końcu wyszło słońce i że otworzył nowy rozdział w swoim życiu – mógł teraz dążyć do wyższych celów wyznaczonych mu przez przybranego ojca. W przyszłości będzie opisywał ten dzień jako początek swej ścieżki politycznej, a jednocześnie jako dzień realizacji pierwszego dzieła dyplomatycznego: pojednania z Antoniuszem.

Tak bardzo emocjonowała go myśl o tym wszystkim, że nie potrafił zasnąć. Po paru godzinach bezowocnego kręcenia się w łóżku wstał, włożył tunikę i togę i udał się na Forum, by przyglądać się pracom zleconym przez konsula w ramach przygotowań do nielegalnych komicjów centurialnych, które miały zapewnić Antoniuszowi Galię, a Oktawianowi stanowisko trybuna ludowego.

Gdy tak stał w świetle latarni i patrzył, jak ludzie konsula wyznaczają liniami obszar na Forum, by postawić *saepa*, ogrodzenia na czas wyborów, rozważał ewentualne konsekwencje tego oczywistego naruszenia ustawy, jakiego dopuścił się konsul, choć przecież sam tak aktywnie pracował przy jej tworzeniu. Mógł przypłacić ten wybryk utratą poparcia Cyncerona, który z pewnością nie omieszka wyrazić publicznie swej stanowczej dezaprobaty dla takiego czynu, a jego potępienie było równoznaczne w potępieniem całego senatu, i tak już źle nastawionego do Antoniusza oraz do każdego, kto chciałby go wspierać. Nie miało to jednak znaczenia. Oktawian bardziej potrzebował poparcia ludu i pomocy konsula niż przychylności stetryczających błaznów. Owszem, rozpoczynał swoje polityczne podbije, uczestnicząc w nielegalnym przedsięwzięciu, Antoniusz bowiem, zwołując komicja na

Forum zamiast na Polu Marsowym, dawał senatowi do zrozumienia, że chodzi o komicja trybusowe, a nie o zgromadzenie sądowe. Konsul zamierzał jednak zwołać komicja centurialne, podczas których zostanie wybrany na prokonsula Galii; Oktawian z kolei pomagał mu w tym swoją obecnością, zachęcając tym samym naród do udziału w głosowaniu. Wszak Cezar także musiał używać siły i nie ulegało wątpliwości, że czasami nie było po prostu wyboru, zwłaszcza gdy chodziło o usunięcie zgorzeli z rzymskiej polityki.

Rozległ się głos trąby dobiegający od trybuny Rostrów. Augur zakończył właśnie wróżby – Antoniusz oczywiście postarał się, by były one pomyślne – a jeden z heroldów odmówił ostatnią modlitwę rytualną, błagalną *carmen* wznoszoną przed komicjami. Prowadzący głosowanie zwrócił się do krzykacza publicznego, by ten przywołał zebranych przed oblicze urzędnika. Obwoływacz zaczekał, aż szmery ucichną, i przystąpił do odczytywania obwieszczenia.

— Czy wolą waszą, o kwirycki, jest, by prokonsulem Galii Przedalpejskiej stał się obecny konsul, Marek Antoniusz zamiast wyznaczonego na ten urząd Decymusa Brutusa Albinusa? — odezwał się herold, a jego donośny głos słyszalny był na całym placu, wciąż jeszcze niemal pustym.

A jednak nie całkiem pustym. Kilku nieszczęśników, wstających jeszcze przed świtem, by oddać cześć swojemu patronowi, zauważyło obecność Oktawiana na Forum, toteż wieść szybko się rozeszła i właśnie kolejni ludzie zbliżali się do heroldów obwieszczających wybory. Oktawian, widząc, jak nadchodzą, postanowił zająć swoje miejsce.

Wtedy usłyszał słowa wypowiedane przez człowieka w znoszonej tunice:

— Witaj, młody Oktawianie, dziedzicu Cezara. Niech bogowie cię chronią! To prawdziwa przyjemność móc uczestniczyć w twoich komicjach.

Oktawian uśmiechnął się dobrodusznie.

— Dziękuję ci za wsparcie, przyjacielu — odparł. — Nie przybyłem tu jednak na komicja. Nasz dobry konsul, Marek Antoniusz, zamierza zabrać Galię Decymusowi Brutusowi, jednemu z morderców mojego ojca. Przyszedłem tutaj, by poprzeć kandydaturę konsula. Mam nadzieję, że ty również będziesz na niego głosować.

— Tak naprawdę nigdy nie zagłosowałbym na tego energumena i pijaka. Jest arogancki i dba wyłącznie o własny interes...

— I nigdy nie zrobił niczego, by pomścić Cezara, jedyne polityka, który naprawdę pomógł biednym ludziom, takim jak my — wtrącił kolejny

człowiek, który właśnie pojawił się w pobliżu.

Oktawian był przygotowany na to, że przyjdzie mu bronić Antoniusza. Wiedział, że będzie musiał to robić przez cały dzień. Uznał, że czas zacząć.

— Trzeba mu wybaczyć to, czego nie uczynił, i chwalić go za to, co zdołał zrobić w doprawdy trudnych warunkach, jakie nastąpiły po śmierci mojego ojca — wyjaśnił. — Teraz już sam fakt, iż zamierza przejąć władzę w Galii, nie dopuszczając w to miejsce cesarobójcy, świadczy o tym, że pragnie uczcić dyktatora, nieprawdaż? Poza tym wszyscy mordercy mojego ojca zostaną skazani, a wtedy ja wesprę naród, jak czynił to Cezar, ponieważ z Antoniuszem w roli sojusznika będę mógł objąć stanowisko pozwalające mi działać na rzecz ludu. To zaledwie początek. Głosując na konsula, głosujecie w pewnym sensie na mnie — mówił.

Tymczasem utworzyło się spore zbiegowisko i po kolejnych dźwiękach trąb wciąż nowi ludzie zmierzali ku wejściom do poszczególnych sektorów zarezerwowanych dla trzydziestu pięciu plemion tworzących populację Rzymu.

— Skoro tak, będę na niego głosował. Ale, żeby nie było niejasności, czynię to tylko dla ciebie, Oktawianie — powiedział pierwszy plebejusz.

— Ja również będę głosował na Antoniusza, chociaż wcale go nie lubię — dodał kolejny. — Jeżeli to ma ci cokolwiek ułatwić, przymknę oko na jego wady i poprę go jako prokonsula. Miejmy nadzieję, że nic na tym nie zyska.

Oktawian uściśnął rękę obu mężczyznom i wskazał im wejście do sektora wydzielonego dla ich plemienia.

— Niech żyje syn Cezara! — zakrzyknął jeden z nich, zajmując miejsce.

Pozostali powtórzyli jego słowa, zwracając uwagę przechodzących obok osób, które również przyszły wziąć udział w głosowaniu. Większa część tłumu przesunęła się w stronę Oktawiana. Zaczęto składać mu gratulacje i nieustannie ktoś ścisnął mu rękę, a bardziej impulsywni zwolennicy obejmowali go, często tak mocno, że chwilami brakowało mu tchu. Stojący w pobliżu ludzie Ortwina i Veledy byli zmuszeni interweniować, by rozluźnić ścisnął, jaki się wokół niego utworzył. Przejawy poparcia sprawiały chłopakowi radość. Miał nadzieję, że Antoniusz już przybył i że będzie świadkiem tej sceny. Łudził się, że mogłoby to skłonić konsula do odejścia od przykrego i drażniącego nawyku traktowania go jak młodzika.

Jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, że reakcja ludu nie jest przejawem serdeczności wobec niego samego, ale świadectwem oddania dla tego,

co sobą reprezentował: był synem wybranym przez Cezara i jego w nim uwielbiali; chwalili go za czyny Cezara, nie za jego własne. Ogromne poparcie, z jakim się spotykał, nie było jego zasługą – on sam nie zrobił nic, by zyskać popularność. Poczuli, że ogarnia go szaleńcze pragnienie dokonania czegoś, i postanowił, że już tego wieczoru zacznie naciskać na lud, by uzyskać tytuł trybuna ludowego.

Stanowisko dałoby mu ogromne możliwości, zarówno ograniczenie władzy Antoniusza, jak i blokowanie ustaw senatu przyczyniających się do umacniania przywilejów możnowładców z jednoczesną szkodą dla ludu. Mógłby również nareszcie przedstawić propozycje ustaw poprawiających higienę, jakość zaopatrzenia, dróg, administracji, budownictwa w *Urbe*, zdobywając coraz szersze poparcie oraz umacniając swój wizerunek obrońcy uciśnionych. Może jednak ambicje Mecenasza inwestującego ogromne środki i energię w uszczęśliwianie innych nie były szaleństwem. Każdy uczynek zawsze wraca do człowieka w jakiejś formie, czy to uczuć, czy rzeczy namacalnych. Trwonienie majątku bez jego inwestowania było proste – sztuka polegała na takim obracaniu własnymi dobrami, by przynosiły one korzyści pojedynczym ludziom i społeczeństwu.

Oktawian najwidoczniej przywołał myślami swojego etruskiego przyjaciela, ponieważ właśnie ukazał się on w tłumie obok Salwidienusa Rufusa. Pozdrowił ich gestem, po czym także oni zaczęli przemierzać Forum, przekonując ludzi do udziału w wyborach. Zapewniali każdego niezdecydowanego obywatela, że swoim zaangażowaniem sprawi przyjemność samemu Oktawianowi, synowi Cezara. Postępowali zgodnie z ustaleniami podjętymi dzień wcześniej. Mecenas przyprowadził ze sobą również dużą grupę swoich klientów, ludzi, których uszczęśliwił i którzy wszędzie za nim podążali. Byli wśród nich najznamienitsi senatorowie, poplecznicy Mecenasza. Z sympatii do niego rozproszyli się między budynkami Forum, by zachęcać ludzi do głosowania.

W tłumie mignęli również Lucjusz Pinariusz i Kwintus Pediusz. Mimo że bardzo ich uwierała rola obwoływaczy, przystąpili do pracy z zapałem i przekonaniem. Chłopak uśmiechnął się na ich widok. Wykonywali przydzielone im zadanie niezdarnie, w przeciwieństwie do Mecenasza, który zdawał się być w swoim żywiole. Oktawian miał pewność, że kuzyni biorą udział w akcji, przede wszystkim żywiąc nadzieję, że w ten sposób zwiększą prawdopodobieństwo odzyskania sum przekazanych mu z własnej części

spadku. Kolejna rzecz, która odróżniała ich od Mecenasas.

Słońce wisiało już wysoko na niebie, którego intensywny błękit zdawał się otulać Forum i jego imponujące budowle, zapowiadając pomyślny dzień dla losów sekty Marsa Mściciela. Pomijając Oktawię, której nie wypadało krążyć po placu, wszyscy członkowie stowarzyszenia gorliwie werbowali nowych sprzymierzeńców. Wszyscy, oprócz Agrypy. On miał delikatniejsze zadanie do wykonania...

Był już zmęczony rolą, która przypadła mu w sekcie. Człowiekowi stworzonemu do służby w wojsku nie mogła dać nawet cienia satysfakcji. Miał nadzieję, że będzie mógł się przysłużyć sprawie, biorąc udział w walkach, tymczasem odkąd Oktawian dowiedział się o spadku Cezara, Agrypa nie robił nic poza kopulowaniem w interesie przyjaciela. Spojrzał smutno na Etain. Miał ochotę wyznać jej wszystko, ale uznał, iż jest ona ostatnią osobą na świecie, która mogłaby to zrozumieć. Ufał, że o niczym się nie dowie, bo gdyby się tak stało, straciłby nie tylko jej szacunek, lecz i miłość.

Wiele go kosztowało, by wyjawic Oktawianowi, że jest zakochany, ale uczynił to w obawie, że przez przypadek jego relacje z Fulwią zostaną wspomniane w obecności Etain. Był świadom, że Oktawiana śmieszy jego sentymentalizm. Został nawet zganiony przez niego za to, że nie jest dostatecznie ambitny.

— Kiedy zdobędziemy większe wpływy i władzę, ty również będziesz mógł, a wręcz powinieneś ożenić się z wysoko postawioną kobietą. To wpłynie korzystnie na naszą sprawę i przysporzy nam nowych popleczników — powiedział. — Dlatego wybij sobie z głowy te dziwne pomysły. Ja, na przykład, nigdy się nie zakocham. Miłość to tylko przeszkoda w realizacji wzniosłych celów i zobowiązań, jakie na siebie przyjąłem.

Agrypa zadawał sobie pytanie, czy w ogóle będzie musiał z czegoś zrezygnować, skoro Etain mogła sama się wszystkiego domyślić. Właśnie udawali się oboje do domu Antoniusza, tym razem na polecenie Oktawii, która postanowiła przesłać konsulowi wina z Falernum jako prezent od rodziny. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Fulwia nie będzie się bawiła przy Etain w dwuznaczności; nie mógł tego wykluczyć. Oto, dlaczego Antoniusz był tak bardzo spięty i jak nigdy wypominał sobie, że pewnego

lubieżnego poranka dał się uwieść tej drapieżnej kobiecie.

— Martwisz się, prawda? — spytała Etain, wychylając się z wozu i chwytając jego dłoń. — Nie dziwię się. Wolałbyś być na Forum, śledzić z przyjaciółmi przebieg wyborów, zamiast spisywać z sekretarzem Antoniusza stan liczebny wojsk w Macedonii i Galii.

Agrypa ustalił z Oktawianem, że taki będzie pretekst jego wizyty w domu konsula. Teraz jechał konno obok wozu i wyciągając rękę do dziewczyny, wymamrotał:

— No... właśnie, jeżeli Antoniusz poniesie klęskę, Oktawian nie wygra i wrócimy do punktu wyjścia. A przede wszystkim mordercy Cezara utwierdzą się w przekonaniu, że nic im nie grozi.

Etain posłała mu uśmiech, który zawsze rozpędzał wszelkie jego zmartwienia.

— Jestem pewna, że konsul wygra. Oktawian zdobył już taką popularność, że może bez problemu manipulować wynikiem wyborów.

Agrypa dał znak woźnicy, by się zatrzymał. Dotarli do bramy prowadzącej do Ogrodów Pompejusza.

— Miejmy nadzieję, że się nie mylisz — powiedział, zsiadając z konia, a następnie podszedł do niej, chwycił ją pod pachy, podniósł i delikatnie zdjął z wozu.

Etain skorzystała z okazji, by niespodziewanie dać mu całusa w nos. Usta ześlizgnęły się, szukając jego warg. Agrypa, nieco zmieszany, rozejrzał się wokół. Zauważył kilku przypadkowych przechodniów, ale ponieważ nic nie wskazywało na to, by ich czułości przykuwały czyjąkolwiek uwagę, odwzajemnił jej pocałunek.

Z trudem oderwał od niej usta. Czuł do siebie obrzydzenie za to, co robi, jednak powiedział sobie, że to ważny dzień i każda informacja pozyskana od Fulwii może się okazać istotna dla ich przyszłości. Naszła go myśl, że im lepiej będzie się wiodło sekcie, tym trudniej jemu i Etain będzie pielęgnować ich miłość. Ona nie była tego świadoma, a Agrypa żywił nadzieję, że przynajmniej na razie nie będzie sobie zaprzętała tym głowy.

Wziął głęboki oddech i wszedł na teren posiadłości, zwracając od razu uwagę stróża. Przedstawił się, zanim mężczyzna zdążył cokolwiek powiedzieć. Agrypa nie mógł pozwolić, by wydało się, że jest znany służbie, ponieważ bez wątplenia wzbudziłoby to podejrzenia Etain. Ostatnimi czasy Fulwia zapraszała go bezpośrednio do domu, za każdym razem, gdy była

pewna, że Antoniusz nie pojawi się zbyt prędko. Stróż spojrział na niego zdezorientowany, lecz skinął głową i wszedł do środka, by oznajmić jego przybycie. Wrócił, prowadzącą sobą niewolnicę, i dał Agrypie znak, by wszedł. Etain i woźnicy kazano czekać, aż pojawi się jeden z gladiatorów pełniących straż przy Antoniuszu i przeniesie wino do spiżarni.

Agrypa z niepokojem przemierzał znane mu doskonale pomieszczenia. Jego niepokój był większy niż zazwyczaj z powodu obecności Etain, a także dlatego że tym razem znajdował się z dala od centrum wydarzeń. Niewolnica jak zwykle pożegnała go u wejścia do kubikulum Fulwii. Zastanawiał się, w jakiej pozycji znajdzie tym razem panią domu. Miała ten okropny, a jednocześnie podniecający zwyczaj oczekiwania w pełnej gotowości, bez jakichkolwiek wstępów, nie lubiła nawet rozmawiać, zanim to zrobią. Miał wejść wziąć ją w milczeniu. Dopiero później niekiedy uciniała sobie z nim pogawędkę. Była to perwersyjna gra, której Agrypanie znosił, a jednak się od niej uzależniał. Z pozoru zachowywała się jak przedmiot, lecz w rzeczywistości to ona posługiwała się kochankiem.

Spojrział na łóżko, ale nie znalazł jej tam. Zaskoczony zaczął lustrować wzrokiem cały pokój i w końcu dostrzegł ją leżącą na stole pod oknem. Była naga, nogi miała szeroko rozłożone, a głowę odchyłoną w tył. Wyglądała jak martwa. Zgodnie z regułami gry bez zadawania pytań, bez dociekania, bez sprawdzania, miał ją po prostu wziąć.

I tak też zrobił. Z gwałtownością, jakiej oczekiwała, i z siłą, której on sam pragnął dać upust. Nienawidził siebie za to.

Etain czekała dość długo, zanim podeszło dwóch osiłków, którym zlecono rozładunek wozu. Zmierzyli ją od stóp do głów lubieżnym spojrzeniem, a następnie wskazali niski budynek, mówiąc, by tam ustawiła pojazd. Gdy tylko woźnica wykonał ich polecenie, zabrali się za rozładunek bukłaków z Falernum, zakazując jej się stamtąd ruszać. Każdy wziął po jednym bukłaku i zanieśli je do budynku. Chwilę później przyszli po kolejne dwa, ale Etain zauważyła, że wyglądają na nietrzeźwych. Zniknęli, tym razem na dłużej, a kiedy ponownie wyszli z magazynu, byli zdecydowanie podpici, a ich brody przesiąknięte winem śmierdziały z daleka.

Pochwycili kolejne dwa bukłaki i zataczając się, ponownie zniknęli za drzwiami. Etain spojrziała na woźnicę: uśmiechał się rozbawiony, ona jednak

nie widziała w tym nic śmiesznego. Chciała wracać do Oktawii, a tych dwóch głupców jej to utrudniało. Słyszała ich śmiech dobiegający ze środka. Nie miała wątpliwości, że byli kompletnie pijani. Czekala na ich powrót, lecz nie zjawiali się. Próbowala zająć czymś myśli i zaczęła dumać o Agrypie i najczulszych momentach z nim spędzonych. Snuła marzenia o związaniu się z nim na stałe, o ich dzieciach, o tym, jak czeka w domu na jego powrót z wojny. Otrząsnęła się, uznając, że są to zupełnie nierealne plany. A jednak oboje byli plebejuszami, oboje byli wolni i może ich związek nie był tak absurdalny, jak mogłoby się wydawać.

W pewnej chwili poczuła, że nie ma siły dłużej czekać. Na wozie wciąż leżały bukłaki do wyładowania. Zaczęła się obawiać, że tamci dwaj upili się do tego stopnia, że nie są już w stanie pracować. Straciwszy do końca cierpliwość, zostawiła woźnicę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, i podeszła do drzwi magazynu. Usłyszała gladiatorów bełkoczących słowa bez sensu i weszła do budynku tonącego w półmroku. Białe promienie słońca, które wpadały przez małe okienka, lekko oświetlały wnętrze. Ujrzała obu siedzących na ziemi, jeden naprzeciwko drugiego. Opierali się o ścianę, a każdy trzymał w dłoni kielich. Obok stał bukłak.

— Jak wam nie wstyd?! Gdyby wasz pan o tym wiedział... — powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej stanowczo. — Dalej, wstawajcie i bierzcie następne bukłaki, które zostały jeszcze na zewnątrz. I niech wam nie przychodzi do głowy otwierać kolejnych, bo będziecie mieli do czynienia z moimi państwem!

Dwóch gladiatorów spojrzalo na nią najpierw tępyim wzrokiem, a później z zainteresowaniem. Nagle Etain zdała sobie sprawę, że jest sama w ciemnym pomieszczeniu z dwoma pijanymi olbrzymami, i padł na nią strach. Zrobiła krok w tył, później drugi, ale jeden z niewolników podniósł się niezdarnie i zaczął podchodzić chwiejnym krokiem w jej stronę. Dziewczyna odwróciła się do wyjścia, a wtedy mężczyzna zrobił szybki ruch, dopadł drzwi, zanim zdążyła tam dojść, i zamknął je. Etain najpierw poczuła na sobie pożądliwy wzrok gladiatora, a zaraz potem jego dłonie. Inne ręce chwyciły ją z tyłu i powaliły na ziemię. Poczuła przeszywający ból głowy, a potem zapanowała ciemność.

— Chyba się w tobie zakochałam, chłopcze.

Agrypa pogrążony w rozmyślaniach leżał wyciągnięty na łożu obok nagiego ciała Fulwii. Słowa, które usłyszał, uderzyły go z siłą cyklonu. Zdołał jedynie pomyśleć, że nawet w takim momencie nazywała go chłopcem i nie raczyła zwracać się do niego po imieniu. Po chwili zaczął jednak rozważać znaczenie tego, co powiedziała.

Fulwia należała do tych kobiet, w których nie warto było się zakochiwać, a tym bardziej nie należało dopuszczać, by stać się obiektem ich zadurzenia. O ile schlebiało mu, że straciła dla niego głowę jedna z najbardziej pociągających kobiet w Rzymie, o tyle zdawał sobie sprawę, że miłość tak rozkapryszanej pani mogła mu bardzo łatwo zaszkodzić.

— Nic mi nie odpowiesz? Nie przypominam sobie, bym często robiła takie wyznania.

Agrypa zmusił się, by zwrócić głowę ku niej i spojrzeć jej w oczy. Jednocześnie zastanawiał się, jaki koniec spotkał innych wybrańców.

— Zaskoczyłaś mnie — odpowiedział. — Kiedy współżyjemy, odnoszę wrażenie, że na moim miejscu mógłby się znaleźć każdy.

I taka była prawda: nigdy na niego nie patrzyła, obchodziła ją tylko własna przyjemność, jakby mu za to płaciła. On zachowywał się w ten sposób w stosunku do dziwek z lupanarów. Teraz miał wrażenie, że los mu się odpłaca.

— A czego się spodziewałeś? Że będę ci szeptać do ucha miłosne wyznania? Że będę patrzeć na ciebie rozmarzonym wzrokiem? — odrzekła, unosząc się na ramieniu i wpatrując się w niego po raz pierwszy, odkąd wszedł do kubikulum.

Agrypa pomyślał, że przecież tak właśnie zachowywała się Etain, nie pozostawiając mu wątpliwości co do tego, że jest w nim zakochana. Zastanawiał się, czy Fulwia w ogóle potrafi kochać, czy może kobiety kochają na różne sposoby – jedne umieją okazywać uczucia, inne nie. Najwyraźniej żona Antoniusza należała do drugiej grupy.

Tak czy inaczej, najważniejsze było to, co czuje on. A czuł, że kocha Etain. Owszem, odczuwał coś w stosunku do Fulwii, ale z pewnością nie miłość. Najprawdopodobniej było to połączenie pożądania i satysfakcji, ponieważ przebywając z tą kobietą, mógł dać upust swym najdzikszy instynktom, a dla Etain pozostawić to, co najwznieściejsze. Gdyby tylko mógł, pozbyłby się tego robaka, który toczy go od środka, lecz miał pewność, że byłoby mu go także żal.

— Może nie powinnam była ci tego mówić. Tylko się ośmieszam — dodała i Agrypa zdał sobie sprawę, że i tym razem jej nie odpowiedział.

— Nie, po prostu... nie spodziewałem się tego. Myślałem, że jestem twoją... zabawką.

— No cóż, skoro już wiesz, że tak nie jest, co mi powiesz?

— Ja... nie wiem, co myśleć. Musisz zrozumieć, że cały czas starałem się nie angażować zbytnio w tę historię. Kobieta twojego pokroju, z twoją pozycją, żona najważniejszego człowieka w Rzymie, twoje swobodne zachowanie...

— ...a do tego różnica wieku. Oczywiście, jakże mógłbyś obdarzyć silniejszym uczuciem kobietę o tyle starszą od siebie... — Prowokowała go i nie było jej do śmiechu.

— To nie ma żadnego znaczenia — odpowiedział urażony. — Ma natomiast znaczenie to, że jestem człowiekiem Oktawiana, a... dotychczas twój mąż był wrogo nastawiony do mojego najdroższego przyjaciela. I możliwe, że nadal jest — dodał, próbując ją rozgryźć. Nie wolno mu było ani na chwilę zapominać o prawdziwym powodzie, dla którego się tam znalazł. To pozwalało mu zagłuszyć wyrzuty sumienia wobec Etain. *Choć trochę.*

— Mówiłam ci to wiele razy: postawiłeś na złego konia. Zostaw go i przejdź na naszą stronę — odpowiedziała i znowu zaczęła głaskać go po torsie.

— A to niby dlaczego? Oktawian i Antoniusz nie są już wrogami i obaj osiągną teraz to, do czego dążą, jeden dzięki drugiemu: twój mąż prokonsulat Galii i wojska Macedonii, a mój przyjaciel urząd trybuna ludowego i zemstę na mordercach.

Na twarzy Fulwii pojawił się grymas zniecierpliwienia.

— Już ci powiedziałam, Oktawian jest skazany na porażkę. Szybko się o tym przekonasz.

— Co masz na myśli?

— Że jest zbyt młody, zbyt nieobyty, by brać się za politykę i pogrywać z tak doświadczonym i sprytnym człowiekiem, jakim jest mój mąż.

Agrypa doznał olśnienia.

— Chcesz przez to powiedzieć, że Antoniusz zamierza złamać porozumienie?

Uśmiechnęła się z pogardą.

— A dlaczego miałyby go przestrzegać? Chyba otrzymał już to, czego potrzebował. Wybrano go na prokonsula Galii. Posłuchaj mojej rady i zostaw swojego przyjaciela. Antoniusz poprowadzi cię na podbój imperium partyjskiego, jak zamierzał uczynić Cezar. U boku tego żywego trupa, Oktawiana, na zawsze pozostaniesz anonimową postacią. A kiedy Antoniusz wyruszy na północ, będziemy mogli widywać się zawsze, gdy tylko przyjdzie nam na to ochota. Albo, jeśli chcesz, postaram się, by zabrał cię ze sobą. Zrobię wszystko, żeby mój chłopiec był zadowolony — zakończyła, próbując go objąć.

Siadając, uchylił się i uciekł przed ręką Fulwii. Miała rację. Byli naiwni. Nie powinni dawać niczego Antoniuszowi, nie upewniwszy się, że dotrzyma słowa. Nie należało liczyć na jego honor, bo przecież konsul nie przejmował się tym, co myślą o nim inni. Z drugiej strony nie były to sprawy, które dało się uregulować, podpisując umowę, toteż nie pozostawało im nic innego, jak zaufać politykowi.

— Co się stało? Powiedziałam coś nie tak? — zapytała, znowu próbując go pogłaskać.

Agrypa podniósł się jednak z łóżka, założył przepaskę i tunikę. Musiał jak najszybciej biec na Forum. Może nie było jeszcze za późno, by powiedzieć Oktawianowi i pozostałym, że muszą zatrzymać agitowanie na rzecz Antoniusza i zmienić wynik głosowania.

— Daj mi spokój — odpowiedział, odpychając ją od siebie. — Muszę iść.

— Nie! Nie odchodź!

Fulwia rzuciła mu się do stóp, usiłując go zatrzymać.

— Zostań tu, niech Oktawian idzie na dno! Będzie mi łatwiej przekonać Antoniusza, by wziął cię ze sobą, a może nawet powierzył ci odpowiedzialne stanowisko!

Agrypa przez chwilę zaczął rozważać propozycję Fulwii: namiestnik Antoniusza i kochanek jego żony, wkrótce zdobywca ziemi partyjskiej i może nawet urzędnik w Republice, pretor i, kto wie, gubernator jednej z prowincji. Wszystko to wydawało się bardzo prawdopodobne. Ale przecież Oktawian także mówił o wspólnym dążeniu na szczyt, tyle że nie był w stanie osiągnąć go w tak szybkim tempie jak Antoniusz, a może wręcz nie miał na to żadnych szans, biorąc pod uwagę obecny rozwój wydarzeń.

Z drugiej strony od czasów dzieciństwa łączyła ich przyjaźń, poza tym Agrypa złożył przysięgę przed bogami. I była jeszcze Etain.

Nie, nie miał wątpliwości. Wyswobodził się z uścisku Fulwii i skierował się w stronę wyjścia. W tej samej chwili usłyszał głośne pukanie i drzwi się otworzyły. Zdyszany, poplamiony krwią niewolnik wpadł do komnaty i zwrócił się do zapłakanej Fulwii, która wciąż leżała na ziemi.

— *Domina*, niewolnica, która przywiozła dary od rodziny Oktawiana... — mamrotał zakłopotany.

Agrypa zatrzymał się w przejściu i chwycił go za tunikę.

— Co się stało?! — wykrzyknął mu prosto w twarz.

— Wypadek... — wybełkotał przerażony niewolnik.

— Prowadź mnie do niej, szybko! — rozkazał, wypychając go z komnaty.

Usłyszał za sobą krzyk:

— Co cię obchodzi jakaś niewolnica?!

W głosie Fulwii słyhać było cierpienie, ale nie zwracał na to uwagi. Poszedł za niewolnikiem do magazynu. Gdywchodził do środka, serce waliło mu jak szalone. Zobaczył leżącą w półmroku Etain: zamknięte, opuchnięte oczy, twarz poraniona i posiniaczona, podarta tunika, zakrwawione nogi. Obok stał woźnica i kawałkiem tkaniny zwilżonym w wodzie przecierał jej czoło.

— Zabrali ją do środka... Byłem na dworze. Za późno się spostrzegłem — szlochał.

— Kto to zrobił?

— Dwóch gladiatorów, którym kazano rozładować bukłaki. Nie przypuszczałem, że się odważą...

Agrypa przyklęknął obok niej. Oddech Etain był ciężki i świszczący. Potrzebowała medyka. Pogłaskał ją delikatnie, nachylił się nad nią i szepnął jej do ucha:

— Już tu jestem, już jestem. Nie musisz się bać.

Uniosła z trudem dłoń i oparła na jego ramieniu, nie będąc jednak w stanie jej zacisnąć. Ostrożnie pocałował ją w czoło. Tak bardzo pragnął ją objąć. Zbliżył się do niej, ale bał się, że mógłby jej sprawić ból.

— Musimy natychmiast wezwać lekarza. Prędko, ruszaj się! — krzyknął na woźnicę i podniósł się.

W tym momencie usłyszał za sobą Fulwię:

— Ach! To dlatego martwisz się o niewolnicę! A ja się przed tobą poniżałam! — Ton jej głosu całkowicie się zmienił. Przemawiała przez nią teraz kobieta, której zawsze się obawiał.

Dotarło do niego, że powinien zabrać stamtąd Etain. Obawiał się, że matrona powodowana zazdrością zrobi wszystko, aby utrudnić sprowadzenie pomocy dla dziewczyny, albo – co gorsza – w ogóle do tego nie dopuści. Powinien niezwłocznie przewieźć ranną do Oktawii, by tam się nią zajęto, a także by móc być blisko niej i ją wspierać. Ale musiał również biec jak najszybciej do Oktawiana, ostrzec go przed zdradą Antoniusza, nie pozwolić, by konsul wygrał wybory, o ile było to jeszcze możliwe. *Co robić, na bogów?!*

Oktawian skinął w stronę Antoniusza siedzącego na trybunie, w miejscu wyznaczonym dla kandydata. Głosowanie przebiegało zgodnie z oczekiwaniami, chociaż frekwencja nie była szczególnie duża. Większość osób wchodzących do sektorów poszczególnych centurii i plemion ochoczo podchodziła do Oktawiana, by w pierwszej kolejności przywitać się z nim lub zapytać go o zdanie. Kworum nie było wymagane. Wyglądało na to, że się udało. Antoniusz miał dostać Galię od narodu, co oznaczało, że wyznaczono mu oficjalne zadanie odebrania prowincji Decymusowi Brutusowi. A Oktawian otrzyma tytuł trybuna ludowego.

Tak czy inaczej, konsul zrealizował już swoją część umowy. Do kieszeni wodzów plemion i centurionów wpłynęły całe rzeki pieniędzy, nic więc dziwnego, że gorliwie przekonywali podległy im lud, by głosował na Antoniusza. Nawet jeśli ktoś z przybyłych oddał pusty głos lub postanowił sprzeciwić się kandydaturze konsula – co z pewnością należało brać pod uwagę – można było uznać, że Antoniusz zostanie wybrany zdecydowaną większością głosów, zdobywając absolutną przewagę nad podstawionym rywalem, którego rolę pełnił jeden z jego klientów.

Posiedzenie dobiegało końca, słońce również chyliło się powoli ku zachodowi. Oktawian uznał, że przyszła jego kolej, by oddać głos. Udał się do *saeporum* wyznaczonych dla jego centurii i plemienia. Przeszedł wzdłuż całego ogrodzenia i zatrzymał się przed *rogatore*⁹, okazując mu swój dowódtożsamości. W zamian otrzymał woskową tabliczkę, którą chwycił za charakterystyczny boczny pierścień. Następnie wszedł po stopniach prowadzących na pomost, skąd przechodziło się na trybunę.

Kiedy stanął na podwyższeniu, na jego widok zaczęto wznosić okrzyki radości. Zacisnął pięść w geście zadowolenia i uniósł w górę tabliczkę, by

wszyscy ją zobaczyli. Potem wszedł na podium, gdzie zasiadali przewodniczący – w tej roli występował trybun ludowy – dwóch kandydatów i jeszcze dwóch urzędników. Jeden z nich podał młodzieńcowi rylec. Oktawian przeszedł w stronę balustrady otaczającej trybunę i wyrzył na tabliczce litery „MA”, oznaczające imiona Marka Antoniusza, po czym wrócił na środek podium wrzucił tabliczkę do na wpół wypełnionego już kosza. Skinął w stronę konsula, uśmiechnął się do niego z zadowoleniem i ruszył ku pomostowi.

Zanim zszedł, rzucił okiem na miejsce, w którym zliczano głosy, tuż za podium. Skrutatorzy podawali na głos imię wybranego kandydata, a pozostali zapisywali je w rejestrach. Właśnie odczytywano wyniki dla pierwszej klasy centurii w plemieniu poprzedzającym plemię Oktawiana. Z satysfakcją stwierdził, że dotychczas w głosowaniu wzięła udział co najmniej połowa z osiemnastu centurii ekwitów i z siedemdziesięciu centurii pierwszej klasy. Za każdym razem, niezmiennie, skrutatorzy odczytywali imię Antoniusza.

Gdy tylko Oktawian znalazł się poza ogrodzeniem, podeszli do niego Rufus i Mecenas.

— Muszę przyznać, że idzie dobrze — odezwał się Rufus. — Wprawdzie parę razy napluto mi w twarz, kiedy namawiałem ludzi, by przez wzgląd na ciebie głosowali na Antoniusza, lecz ogólnie osoby złośliwe i źle nastawione do tej kandydatury nie należały do większości.

— I wielu mówiło mi, że z wielką przyjemnością poprze twoją kandydaturę na trybuna ludowego — dodał Mecenas, podczas gdy jeden z niewolników oczyszczał jego togę z brudu będącego skutkiem spacerów w tłumie.

„To ciekawe — pomyślał Oktawian — że w człowieku niosącym pomoc innym kontakt z ludźmi budzi tak silne obrzydzenie”.

Zamierzał coś powiedzieć, gdy dostrzegł mały orszak idący w jego stronę. Na czele kroczyło dwóch senatorów, których można było poznać po szerokim purpurowym pasie zdobiącym krawędzie ich tóg. Za nimi prawdopodobnie podążali klienci, nie spotykało się bowiem możnowładców na ulicach Rzymu bez odpowiedniej świty. Kiedy się zbliżyli, rozpoznał ich.

— To Aulus Hircjusz i Wibiusz Pansa, przyszli konsulowie. Zdaje się, że cię szukają... — Rufus również ich poznał.

— Mhm... Według mnie to źle wróży — dodał Mecenas, kręcąc głową.

— Nie martwcie się. Zatrzymam ich — odpowiedział Oktawian, starając

się okazać stanowczość. Czyż nie takiebyło zadanie wodza?

— Ave, Oktawianie! — zawołał Aulus Hircjusz, wyciągając na powitanie rękę w jego stronę. — Chodzą słuchy, że jesteś tu od bladego świtu...

Oktawian nigdy wcześniej nie rozmawiał z nim osobiście i teraz, przy pierwszym kontakcie, uznał, że Hircjusz to człowiek antypatyczny. Był zausznikiem Cezara, lecz jego faktyczne zasługi ograniczały się wyłącznie do pełnienia funkcji skryby w czasie prokonsulatu galijskiego, kiedy to brał udział w sporządzaniu części *Commentariorum*¹⁰ dyktatora. Nie odznaczył się niczym szczególnym ani na polu wojennym, ani na arenie politycznej, a mimo to Cezar postanowił wynagrodzić jego lojalność, przydzielając mu funkcję konsula, którą Hircjusz miał wkrótce objąć.

— Oczywiście, moim celem i moim zadaniem jest pomszczenie ojca, a jedyną osobą, która może odebrać Galię temu mordercy, Decymusowi Brutusowi, jest Marek Antoniusz— odpowiedział bez owijania w bawełnę, w międzyczasie podając rękę Gajuszowi Wibiuszowi Pansie, kolejnemu cezarianinowi, który niewiele uczynił, by zasłużyć sobie na uznanie dyktatora, a został przez niego sownie nagrodzony.

— Od tego jest senat, nie sądzisz? — powiedział Pansa. Z nim również Oktawian nigdy wcześniej nie rozmawiał.

— Senat? Mówisz o tym samym senacie, który uchwalił amnestię dla morderców mojego ojca i pozwolił, by spokojnie opuścili Rzym? — zapytał prowokacyjnie młodzieniec. — Ten sam senat, który uznał Brutusa i Kasjusza za „wyzwolicieli”? Czcigodni senatorowie, jak możecie sądzić, że mógłbym czuć się bezpiecznie pod opieką kogoś, kto chronił ludzi odpowiedzialnych za odebranie mi człowieka, którego darzyłem najwyższą czcią i miłością? — dodał, starając się, by jego głos brzmiał jak najbardziej rozsądnie.

— Nie musisz nam tego mówić, młody Oktawianie— odrzekł urażony Hircjusz. — Kochaliśmy Cezara i wspieraliśmy go bez względu na okoliczności. Jakże nie szukać sprawiedliwości po jego śmierci! Niestety, względy polityczne sprawiły, że w tamtym czasie nie mogliśmy przyjąć bezkompromisowej postawy, ale wszystko się zmienia. Kiedy nadejdzie właściwy moment, podejmiemy wszelkie środki, by to morderstwo zostało odpowiednio ukarane.

Oktawian usłyszał, jak Rufus tłumi śmiech, i doskonale zrozumiał przyczynę jego zachowania. Choć z ust Hircjusza padła cała masa słów, nic

właściwie nie powiedział, usiłując ukryć w ten sposób fakt, że jest tchórzem i nie zamierza kiwnąć palcem, o ile nie będzie to dla niego opłacalne. Oto prawda o senatorach: ich celem jest jedynie utrzymanie się na powierzchni. A może należało przyjąć dokładnie taką samą taktykę, przynajmniej na pewien czas?

— Drogi senatorze, jestem młody i zrozumienie mechanizmów rządzących polityką wysokiego szczebla sprawiami pewne problemy. Musisz mi wybaczyć nadmierną gorliwość. Wy jesteście profesjonalistami, ja zwykłym dyletantem, żółtodziobem kierującym się miłością synowską. W tej chwili Antoniusz wydaje mi się jedyną osobą, która mogłaby przeszkodzić cesarobójcom dążącym do umocnienia swojej pozycji. Dlatego zamierzam go wspierać.

— W takim razie, chłopcze, skoro sam przyznajesz, że musisz się jeszcze wiele nauczyć, wiedz, że swoją uległą postawą wobec niego możesz doprowadzić do tego, iż przejmie on ogromną władzę, która stanowi zagrożenie dla wszystkich, także dla ciebie. Innymi słowy, rozumiem, że bardziej niż sprawiedliwości pragniesz zemsty, lecz zważ, czy przypadkiem lekarstwo, jakie obrałeś, nie jest gorsze od samej choroby... — uściślił Pansa.

Oktawian pomyślał, że zapamięta sobie tego „chłopca”.

— Szanuję i cenię rady tak doświadczonego polityka, czcigodny Panso — odpowiedział skromnie — lecz na pewno zaskoczy cię, że wziąłem pod uwagę kwestie, o których mówisz, i właśnie dlatego postanowiłem zgłosić swoją kandydaturę na trybuna ludowego. W ten sposób będę mógł kontrolować Antoniusza. Tak czy inaczej, tylko z jego autorytetem, umiejętnościami i doświadczeniem wojskowym można stawić czoła mordercom, w razie gdyby postanowili wywierać nacisk na Rzym. A musicie przyznać, że mają wszelkie podstawy, by to robić.

Hircjusz i Pansa pokiwali głowami zakłopotani, ale w rzeczywistości gestem tym maskowali swoje niezadowolenie.

— Oby obawa, że prędko pożałujesz swych decyzji, nie znalazła potwierdzenia w rzeczywistości, młody Oktawianie. Naprawdę, oby się tak nie stało... — powiedział Hircjusz i wyciągnął do niego rękę na pożegnanie, a Pansa niezwłocznie uczynił to samo.

Oktawian pożegnał się z nimi z całą serdecznością, na jaką było go stać w tej chwili. Pomyślał zarazem z pogardą, że nawet tym dwóm sprawa

Cezara jest zupełnie obca pomimo wszystkiego, co dyktator dla nich uczynił. Jedynym, co odróżniało ich od cesarobójców, było prawdopodobnie to, że Hircjusz i Pansa nigdy nie zdobyliby się na odwagę, by uczestniczyć w spisku.

I naszała go ogromna ochota, by dopisać ich imiona do listy...

Etain otworzyła oczy. W tym czasie Agrypa zadreślał się, usiłując rozstrzygnąć, czy powinien biec do Oktawiana, czy może odprowadzić dziewczynę do domu. Na chwilę zapomniał o przyjacielu, zbliżył się do ukochanej i musnął ustami jej napuchnięty policzek. Z trudem się do niego uśmiechnęła.

— Nie bój się, skarbie, zaraz cię stąd zabierzemy i lekarz sprawi, że poczujesz się lepiej — szepnął, starając się, by w słowach tych było jak najwięcej czułości, chociaż teraz ledwie potrafił się na nią zdobyć.

Targała nim z jednej strony złość z powodu tego, co zrobiono dziewczynie, a z drugiej niepokój o to, co może się stać z Oktawianem.

— Wolisz jakąś brudną niewolnicę niż mnie? I po tym, co ci powiedziałam, plujesz mi w twarz swoją obojętnością, pozostawiając mnie w łóżku dla takiej dziewczki?!

Krzyki Fulwii uzmysłowiły mu powagę sytuacji. *Jego* sytuacji. Spojrzał na Etain, która zdążyła już dojść do siebie na tyle, by zrozumieć słowa żony Antoniusza. Twarz dziewczyny nie drgnęła, była już wystarczająco zboląła z powodu ran. Odwróciła jedynie głowę, by uciec od spojrzenia Agrypy.

Młodzieniec starał się ignorować Fulwię, która jednak nie dawała za wygraną:

— W tej chwili wracaj do mnie, chłopcze. Nie skończyliśmy! Mówię ci, daj sobie spokój! Proszę... Potrzebuję cię!— błagała, zrywając maskę swej powszedniej sztywności.

Ale on nie reagował, szukał bowiem spojrzenia Etain. Przesunął się, by być w zasięgu jej wzroku, lecz dziewczyna cały czas odwracała głowę.

— Idź... idź do niej — wymamrotała w końcu, łamiącym się głosem, który dobywał się z wykrzywionych w bólu ust.

W tym czasie ponownie pojawił się woźnica, tłumacząc, że nie udało mu się znaleźć w pobliżu żadnego lekarza.

— Nie mam najmniejszego zamiaru — odpowiedział Agrypa, starając się

delikatnie przekręcić jej twarz.

— Chodź! Chodź do mnie, zaklinam cię! — Głos Fulwii, mimo że wciąż głęboki, stał się skrzekliwy.

Etain nie pozwalała mu się dotykać. Leżała, wpatrując się nieruchomo w pustkę, tak jakby wcale go tam nie było.

— Proszę cię, Etain! Później ci to wyjaśnię... Teraz pozwól sobie pomóc — nalegał.

— Dam sobie radę sama — odpowiedziała, usiłując podnieść się na ramionach. — *Wolę radzić sobie sama.*

Ale nie radziła sobie. Woźnica zbliżył się do niej i razem z Agrypą podtrzymali ją, lecz Etain wciąż ignorowała chłopaka.

— Zabierz mnie do pani — zwróciła się do woźnicy.

Tymczasem Fulwia zaczęła płakać. Niemal obsesyjnie powtarzała młodemu Rzymianinowi, że ma do niej wrócić. Agrypa chciał wszystko wyjaśnić, ale matrona nie ustępowała. Poza tym musiał biec do Oktawiana, a Etain najwyraźniej nie mogła na niego patrzeć... Tak, wytłumaczy jej wszystko, gdy będzie się lepiej czuła. Teraz powinien iść. Pomógł woźnicy podźwignąć ją i wynieść z magazynu. Delikatnie położyli ją na wozie. Etain wciąż ignorowała obecność Agrypy, Fulwia zaś zamilkła i zapanowała ponura cisza.

— Pamiętaj — odezwał się do woźnicy — jedź jak najszybciej do domu Oktawii. Następnie zwrócił się do Etain:— Wybacz mi. To nie jest tak, jak myślisz — szeptał, lecz ona nie zwracała na niego uwagi.

Spoglądała bez przerwy w pustkę. Nie było wątpliwości co do tego, że doznała szoku, lecz prawdopodobnie większym ciosem niż gwałt stało się dla niej odkrycie, co łączy Fulwię i jej kochanka.

Agrypa pokiwał markotnie głową i ruszył w kierunku ścieżki prowadzącej do wyjścia.

— A ty dokąd idziesz, chłopcze? Wracaj tutaj, nie zostawiaj mnie! Nie waż się mnie zostawiać! — usłyszał za plecami histeryczny krzyk.

Zatrzymał się na chwilę i odwrócił tylko po to, by jej odpowiedzieć:

— Dosyc tego! Nie jestem żadnym „chłopcem”.

Następnie dosiadł konia, puścił cugle i pogalopował w stronę Forum, nie spoglądając więcej za siebie.

Ortwin, pełniący straż przy trybunie wyborczej, podziwiał system głosowania przyjęty przez Rzymian. Mimo że przez długie lata służył Cezarowi, nigdy nie miał okazji być świadkiem wyborów urzędnika. Za czasów dyktatora stanowiska były przydzielane w następstwie nominacji, nie wyborów. W kraju Ortwina ani w państwach przylegających do niezmiernych lasów Germanii nie istniało nic, co choćby w znikomym stopniu przypominało ten zwyczaj. Na jego ziemi obowiązywało prawo klanu – władzę nad ludem sprawował najsilniejszy. Panował on dopóty, dopóki był silny, a raczej dopóki potrafił udowodnić, że taki jest. Żadnego głosowania, żadnych wyborów, żadnych kandydatów. Pomijając wszystko inne, system określany przez Rzymian jako barbarzyński, gwarantował, że władzę dźrzy ten, kto jest najlepszy. Nigdy, przenigdy nie zdarzyło się, by na czele Germanów stał nieudacznik. W przypadku Rzymian było zupełnie inaczej. Naród ten niejednokrotnie wybierał ludzi nieudolnych, na których był skazany do czasu wygaśnięcia mandatu, a nawet dłużej, jeśli polityczna miernota miała wpływowych przyjaciół. W Germanii, jeśli wódz nie sprawdzał się na swoim stanowisku, pozbywano się go bez zbędnych sentymentów.

„Wielka mi rzecz, demokracja” — pomyślał. „Za dużo niepotrzebnych prezentów dla całej rzeszy niegodnych osób. To zaskakujące, że Rzymianom udało się podbić świat z tyloma miernotami na czele”.

Rozmyślając nad tym, co mogło do tego doprowadzić, dostrzegł galopującego Agrypę. Najbliższy przyjaciel Oktawiana nie pokazał się na Forum przez cały dzień, ponieważ powierzono mu inne zadania. Ortwin nie wiedział jednak, o jakie sprawy chodziło.

— Gdzie jest Oktawian? — zapytał zdyszany.

Germanin wskazał mu zaplecze podium, gdzie odbywało się zliczanie głosów jednego z ostatnich plemion pierwszej klasy.

Agrypa zsiadł z konia, poprosił przyjaciela na stronę i zaczął z nim o czymś rozmawiać. Był niezwykle poruszony. Następnie obaj przywołali Mecenasa i Rufusa. Przez chwilę prowadzili ożywioną dyskusję, po czym sam Oktawian ruszył ku Antoniuszowi stojącemu obok podium wraz z kilkoma klientami. Młodzieniec ujął konsula pod ramię i poprosił, by ten udał się z nim na stronę. Zatrzymali się dopiero przy Ortwinie.

— Czego chcesz, Oktawianie? Nie widzisz, że jestem zajęty? — rzucił wyraźnie poirytowany Antoniusz.

— No cóż, masz teraz swój prokonsulat w Galii, więc oczekuję, że wywiązesz się ze swojej części umowy. Wejdź na trybunę i ogłoś wybory na nowego trybuna ludowego. Chciałbym również, abys zasugerował zgromadzonym na Forum, by głosowali na mnie — zażądał.

— Teraz? Chyba kpisz.

— Dlaczegoż by nie? Czekają na przemowę zwycięzcy wyborów. To doskonała okazja, byś wtrącił parę słów na mój temat, nie sądzisz? — nalegał Oktawian.

— Uważam, że nie czas i nie miejsce na to.

Gdy Antoniusz zamierzał odejść, Oktawian przytrzymał go za ramię.

— Nic z tego. Pamiętaj, że to dzięki mnie wygrałeś.

— Dzięki tobie? Nie powiedziałbym. Twoja obecność była wręcz nieistotna. I tak nie mógłbym przegrać, zważywszy na to, jakie sumy przekazałem wodzom plemion.

Ortwin dostrzegł, jak na pogodne oblicze Oktawiana wstępuje grymas oburzenia.

— A więc to prawda, że nie miałeś najmniejszego zamiaru dotrzymać umowy! — wykrzyknął.

— Umowy zawiera się z tymi, którzy mają coś do zaoferowania. A ty, chłopczyku, nie miałeś nic, co mogłoby mi się przydać. Skąd pomysł, że miałbym się z tobą układać? Jesteś nikim, masz tylko imię, do którego uzurpujesz sobie prawo.

Tym razem Antoniusz mówił spokojnie. Był triumfator, czuł się nietykalny.

— Ach tak? Przekonasz się, czy nic nie mam. Naród jest ze mną, nie z tobą. Możesz być niemiło zaskoczony również przez żołnierzy, nad którymi zamierzasz przejąć dowodzenie.

— Żołnierze? Z takim wiejskim dzieckiem, które nie potrafi nawet unieść tarczy? Legioniści cenią siłę i męstwo, a ty nie jesteś w stanie dać im ani jednego, ani drugiego.

— Zobaczymy. Najpierw jednak sam przedstawię swoją kandydaturę. Nie wiem, co mógłbyś zrobić, by mi w tym przeszkodzić — odpowiedział odważnie Oktawian.

— A proszę bardzo! Twój wiek nie daje ci prawa do zgłoszenia kandydatury, dlatego ja, jako najwyższy urzędnik w Republice, publicznie ci tego zabronię. Tylko spróbuj, a narazisz się na poważne sankcje —

oświadczył Antoniusz tonem nieznoszącym sprzeciwu i odszedł.

Oktawian stał skamieniały. Spojrzał na ponurego Ortwina.

„Wygląda na to — pomyślał Germanin — że chłopak dał się podejść jak żółtodziób”.

Przypomniały mu się wcześniejsze rozważania nad jakością przywódców w Germanii i Rzymie. Jego kraj rodził przywódców rangi Antoniusza – silnych, zdecydowanych, wpływowych i bezlitosnych. Wodzowie rzymscy byli jak Oktawian – niedoświadczeni, pełni skrupułów i wręcz naiwni. A mimo to w ostatecznym rozrachunku Rzym zawsze zwyciężał.

XI

Agrypa rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt nie przechodzi. Mimo że była ciemna noc, po Polu Marsowym przejeżdżały wozy ze sprzętami gospodarczymi, ponieważ w dzień obowiązywał zakaz ruchu dla tych pojazdów. Zaczekał, aż konwój zniknie z pola widzenia, chociaż dzięki słabemu oświetleniu jego sylwetka ginęła w półmroku i trudno było go dostrzec nawet z niewielkiej odległości. Upewnił się, czy maska przylega mu dobrze do twarzy i czy sztylet jest na swoim miejscu, ukryty między fałdami tuniki. Następnie przerzucił linę z hakami na drugą stronę muru. Pociągnął, by się zaczepiła, i kiedy poczuł, że hak stawia opór, sprawdził, czy wytrzyma jego ciężar. Lina trzymała się pewnie, więc Agrypa zaczął się wspinać, wsuwając czubki stóp między szczeliny muru.

Dotarłszy na szczyt ogrodzenia, położył się, by nikt go nie zauważył. Zaczął obserwować obszar Ogrodów Pompejusza, pozwalając, by wzrok oswoił się z ciemnością. Chwilę trwało, zanim rozeznał się w terenie i odnalazł wejście. Nie zamierzał jednak wchodzić główną bramą. Na pewno roіło się tamod straży, chociaż teraz widział tylko jednego człowieka. Musiał zachować wzmożoną czujność. Trzeba było postępować tak, by nie narazić Oktawiana, miał on już bowiem wystarczająco dużo problemów. Nikt nie mógł go rozpoznać.

Starał się skupić całą uwagę na miejscu, w którym były mieszkania służby, naprzeciwko Kurii. Powoli zaczynał rozróżniać kontury budynku i jego okna. Przypomnił sobie, że widział niewolników idących od strony prawego skrzydła, domyślił się więc, że gladiatorzy powinni zajmować lewe skrzydło. Zaczepił starannie hak o grzbiet muru i spuścił się w dół, aż dotknął ziemi między krzewami. Znajdował się na skraju ogrodów, w najmniej zadbanej części, która jednocześnie stanowiła dla niego najlepszą kryjówkę przed wartownikami.

Za pomocą kija znalezionej w krzakach odczepił hak. Gdy lina spadła, ukrył ją w jeżynach. Biegł pochylony, rozglądając się ostrożnie dookoła. Omijał główne ścieżki, wybierając dróżki ukryte między żywopłotami, aż dotarł do centralnej części posiadłości. Tu poczuł się bezpieczniej. Jeżeli terenu pilnowały straże, znajdowały się na pewno po przeciwnej stronie,

w części głównej, gdzie mieszkali Antoniusz i Fulwia, a nie w budynkach dla służby. Nie wiedział jednak jeszcze, ile osób będących wewnątrz mogło ewentualnie stanąć do walki z nim, dlatego wciąż musiał być ostrożny. Wyjął miecz i zbliżył się do okna. Okiennice były tylko lekko przymknięte. Spróbował delikatnie je uchylić, by zajrzeć do środka. Liczył na to, że w ciemną, bezgwiazdną noc jego ruchy nie zostaną zauważone. Miał również nadzieję, że ktoś, kto usłyszy hałas skrzypiącego drewna, uzna, że winny temu jest wiatr.

Odczekał chwilę, aż oczy przywykną do ciemności panującej w środku, i dostrzegł kilka sylwetek leżących na łóżkach.

„Za dużo ludzi” — pomyślał i przeszedł dalej, zatrzymując się przy oknie innego kubikulum. Zajrzał do środka i zauważył tylko dwa łóżka. Dostrzegł również długie włosy wystające spod przykryć i zrozumiał, że śpiącymi są kobiety. Dobrze, właśnie takiego pokoju szukał. Ostrożnie rozchylił okiennice i powoli wszedł przez okno. Stanąwszy w środku, zaczął się skradać do łoża stojącego najbliżej. Wyciągnął ręce i położył dłoń na ustach kobiety, która obudziła się nagle, lecz nie mogła krzyknąć. Była to staruszka i Agrypa dostrzegł w jej oczach przerażenie. Bardzo dobrze. Zbliżył usta do jej ucha i szepnął:

— Powiedz mi zaraz, gdzie śpią gladiatorzy. Jeśli piśniesz, uduszę cię.

Odsunął lekko dłoń od jej ust i kobieta wymamrotała:

— Musisz... wyjść z tego kubikulum i wejść do ostatniego po prawej stronie.

— Jeśli mnie okłamałaś, wrócę i cię zabiję. Jeśli spróbujesz krzyczeć, gdy wyjdę, wrócę i cię zabiję. Jeśli obudzisz swoją towarzyszkę z pokoju, wrócę i cię zabiję. Ale jeśli nie piśniesz ani słowa, dwóch gwałcicieli spotka sprawiedliwakara i może w przyszłości uda się przed nimi uchronić twoje młodsze koleżanki.

Agrypa dostrzegł w oczach przerażonej kobiety błysk zrozumienia. Jej ciało się rozluźniło.

— Jeśli o to chodzi, tych dwóch dopuściło się bezceństw nawet ze mną... — powiedziała, gorzko się uśmiechając.

Agrypa również odetchnął, chociaż trudno mu byłouwierzyć w jej słowa.

— Czy tylko oni dwaj są w kubikulum? — zapytał.

— Nie. Powinno być ich czterech. Ale jeden przebywa teraz w Rzymie, załatwia sprawunki.

Agrypa poklepał ją lekko po plecach, wstał i skierował się w stronę drzwi. Otworzywszy je ostrożnie, rozejrzał się po korytarzu. Gdy nikogo nie zauważył, skręcił w prawo i dotarł do ostatniego pomieszczenia. Zatrzymał się na moment przed drzwiami, zastanawiając się, co należy teraz zrobić: dwaj gladiatorzy, którzy dopuścili się gwałtu na Etain, powinni być teraz osłabieni po chłości, jaką wymierzono im z rozkazu Antoniusza, lecz za drzwiami spał jeszcze trzeci mężczyzna, w pełni sił. Nie miał wyboru – musiał zabić wszystkich trzech.

Tylko chłosta! Ogarnęło go oburzenie, gdy dowiedział się, że konsul ograniczył się do tak łagodnej kary, a Oktawii przesłał formalne przeprosiny za „zdarzenie”, jak raczył to nazwać. Powinien był ich zabić i bez wątplenia uczyniłby tak, gdyby „zdarzenie” dotyczyło domu jednego z jego ludzi, a nie rodziny jego największego wroga politycznego, którym Oktawian stał się po przykrej niespodziance, jaką zgotował mu Antoniusz. Dlatego Agrypa postanowił ukarać ich w sposób, na jaki zasługiwali, lecz nie mówiąc o tym Oktawianowi, który mógłby przeszkodzić mu w planowanej zemście.

Nie uczyniłby tego, gdyby stosunki między konsulem a Oktawianem były takie jak dotąd. Niestety, doszło do zerwania relacji, a poza tym, jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, Antoniusz nie będzie miał podstaw by kojarzyć to, co planował Agrypa, ze stronnictwem Oktawiana. *Być może.*

Musiał działać szybko: uderzyć i uciekać, zanim mieszkańcy *domus* się na niego rzucą. Antoniusz był najważniejszą osobą w Rzymie, a co za tym idzie, posiadłość, w której mieszkał, była jednym z najlepiej chronionych i obstawionych miejsc. Ale Agrypa nie zaprzętał sobie teraz tym głowy. Chwycił sztylet i zacisnął go w prawej dłoni, po czym kopnął nogą w drzwi i wtargnął do pokoju. Zobaczył cztery posłania. Za bardzo się spieszył, żeby zastanawiać się, kim byli dwaj gladiatorzy odpowiedzialni za gwałt na Etain, a tak naprawdę chciał zabić tylko ich. Należało sprawdzić ich plecy, aby znaleźć ślady chłosty, ale nie miał na to czasu ani chęci.

Rzucił się ciężarem całego ciała na najbliższego śpiącego. Mężczyzna zdążył jeszcze zapytać, co się dzieje, gdy sztylet Agrypy zanurzył się w jego gardle. Dławiąc się strumieniem ciepłej krwi, stoczył się z łóżka i upadł u stóp drugiego gladiatora, który właśnie chciał się podnieść, lecz nie zdołał. Agrypa wymierzył mu cios od dołu i przez chwilę obracał ostrzem w trzewiach, zanim wyjął je razem z częścią jelit. Spodziewał się w tym momencie krzyku lub ataku trzeciego z nich – nie wydarzyło się nic.

Sprawdził dwa następne łoża tonące w półmroku i dopiero wtedy zauważył, że są puste, ale na jednym z nich leży pomięte prześcieradło, co oznaczało, że jeszcze przed chwilą ktoś tu był.

Zamiast pomstować na zły los, postanowił sprawdzić plecy obydwu zabitych gladiatorów. Pierwszy z nich był poraniony, co wyraźnie wskazywało na to, iż jest jednym z dwóch, którzy dopuścili się gwałtu. Podeszedł do drugiego, odwrócił go i dokładnie obejrzał jego skórę. Była gładka jak u noworodka.

Agrypa zaklął pod nosem, zaciskając pięści ze złości. Drugi winowajca musiał wyjść za potrzebą. Zaczął się zastanawiać, czy powinien czekać na jego powrót, czy też iść go szukać. W obu przypadkach istniało wysokie prawdopodobieństwo, że zostanie odkryty i nie uda mu się wyjść z *domus*. Wątpił, aby ktokolwiek usłyszał hałasy krótkiej walki, jaką stoczył. Był szybki i skuteczny, toteż jego ofiary zdołały wydać z siebie zaledwie tchnienie.

Wciąż głowił się, co robić dalej, gdy usłyszał kroki na korytarzu. Czyżby jednak ktoś ich usłyszał? A może wracał gladiator? Wytężył słuch – rytm stukotu wskazywał na to, że jest to raczej jedna osoba. Nie, dwie. Szły, nie troszcząc się o zachowanie ciszy. Miał ochotę wyjść i sprawdzić, kim są, ale nie mógł popełnić błędu, nie mógł pokazać twarzy nikomu w tym budynku. Postanowił zaczekać w pokoju. Przywarł do ściany przy drzwiach. Ten, który wejdzie, będzie człowiekiem, na którego czekał. Usłyszał rozmowę. *Było ich dwóch, niech to szlag!* Po paru chwilach zatrzymali się dokładnie przy drzwiach do kubikulum, w którym ukrywał się Agrypa.

— Chcesz wejść? Pobawimy się trochę w łóżku. Podmuchałbyś mi na rany. Wiesz, tak strasznie pięką...

— Dzisiaj w nocy nie mogę. *Dominus* zażyczył sobie ikrę z jesiotra na śniadanie i muszę wstać przed świtem, żeby po nią pójść. Ale jutro w nocy możesz się mnie spodziewać.

Drugi głos zdawał się należeć do bardzo młodego chłopca.

— A więc czekam na jutro.

Agrypa usłyszał pojękiwania i głośne westchnienia. Przykucnął w miejscu i zacisnął rękę na mieczu. Usłyszał, jak lżejsze kroki oddalają się, lecz nikt nie wchodził. Możliwe, że drugi zatrzymał się na progu, rozmyślając o swoim kochanku. W końcu drzwi się otworzyły. Sylwetka silnego mężczyzny pojawiła się obok niego. Agrypa wciągnął go do środka, przystawiając

mu ostrze do gardła. Tym razem, skoro miał go w garści, chciał spojrzeć mu w twarz, zanim zatopi nóż w jego ciele.

— Czego ode mnie chcesz? — zapytał gladiator sparaliżowany strachem.

— Sprawiedliwości — odpowiedział Agrypa. Zbliżywszy swoją twarz do twarzy mężczyzny, poczuł jego oddech cuchnący nierozwodnionym winem.

— Nic ci nie zrobiłem.

— Nieprawda. Zgwałciłeś moją kobietę.

— Już za to zapłaciłem.

— Za mało — odpowiedział i szybkim ruchem zanurzył w jego gardle sztylet.

Gladiator wydał z siebie bełkot, a z ust wypłynął mu strumień krwi. Mężczyzna osunął się martwy na podłogę.

Agrypa wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Najważniejsze zostało zrobione, ale nie był to jeszcze koniec: teraz czekała go ucieczka. Właśnie w tym momencie na końcukorytarza zobaczył wątego chłopca idącego w jego stronę. Przez chwilę spojrzeli na siebie i tamten stanął jak wryty, wpatrując się w zakrwawione ostrze sztyletu, po czym krzyknął i zaczął uciekać.

Szlag by to! Najprawdopodobniej był to kochanek gladiatora. Postanowił wrócić i pocieszyć trochę przyjaciela. Agrypa nie mógł marnować więcej czasu. Wrócił do pokoju i wyszedł przez okno. Przez chwilę usiłował się zorientować, gdzie jest, a następnie skierował się w stronę tej części ogrodu, gdzie zostawił linę. Tymczasem za oknami przemykały światła pochodni. Chłopiec podniósł alarm i ludzie powoli się budzili. Agrypa pochylił się, by pozostać w ukryciu za żywopłotem. W pewnym momencie zauważył sylwetki dwóch mężczyzn krążących po ścieżkach ogrodu. Trzymali włócznie i szukali go.

Przyspieszył kroku. Liczba pochodni rosła. Mur był coraz bliżej. W końcu dotarł tam, ale w takich warunkach znalezienie dokładnego miejsca w krzakach, gdzie ukrył linę, było prawdziwym wyzwaniem. Pędził na czworakach między jeżynami, a ponieważ drapały go i kaleczyły, przeklinał pod nosem. Niestety, niczego nie znalazł. Mogła być kilka kroków dalej lub kilka kroków wcześniej. Nie miał czasu szukać właściwego kierunku. Głosy były coraz bliżej, nie wiedział jednak, czy znaleźli go, czy może podeszli tam przypadkowo.

Z coraz większym zdenerwowaniem grzebał jeszcze przez chwilę w zaroślach, nie zwracając uwagi na to, że gęsta roślinność rani jego ciało.

Nic, także po tej stronie. Odwrócił się i zaczął iść z powrotem, cały czas na kolanach, i wtedy nareszcie na nią trafił! Niestety, trafił również na czyjeś nogi.

— To on! Jest tutaj! — usłyszał głos nad swoją głową.

Instynktownie zrobił unik, w ostatniej chwili ratując się przed ostrzem dzidy penetrującej teren w miejscu, w którym dał się zaskoczyć. Trzymając wciąż w ręku sztylet, wziął zamach i wymierzył cios – trafił w konia, na którymsiedział jeden ze strażników. Silne pchnięcie zatopiło ostrze między nogami zwierzęcia, które z bólu aż uniosło się w górę, po czym padło na ziemię, wydając przeszywający ryk. Korzystając z zamieszania, Agrypa pochwycił linę, podniósł się, przerzucił hak na drugą stronę muru i zaczął się wspinać. Zaraz potem usłyszał krzyk i szcęk metalu uderzającego o kamienie obok niego. Włócznia trafiła w mur. Przyspieszył ruchy, by jak najszybciej znaleźć się na górze. Tymczasem głosy na dole się wzmagaly. Dotarł na szczyt ogrodzenia, spojrzał za siebie i dostrzegł liczne sylwetki krążące wśród żywopłotów. Skoczył w dół i zaczął biec. Wciąż jednak słyszał pościg za swoimi plecami. Zorientował się, że grupa ludzi wyszła przez bramę. Chciał jak najprędzej dotrzeć do bardziej uczęszczanego miejsca, pod świątynią Wenus, które przylegało do ogrodów w części przeciwległej do Kurii Pompejusza. Dostrzegł niemal nieprzerwany sznur wozów ustawionych wzdłuż drogi.

Zdjął maskę, wyrzucił ją i zatrzymał się przy jednym z pojazdów. Przystawił ostrze sztyletu do boku jednego z woźniców.

— Daj mi swój płaszcz — rozkazał i człowiek posłusznie wykonał jego polecenie. Agrypa narzucił okrycie na powalaną krwią tunikę. Naciągnął kaptur i ruszył dalej, posuwając się wzdłuż kolejnego wozu. W końcu skręcił w jedną z bocznych uliczek.

Pomiędzy długim rzędem wozów dostrzegł zdeorientowanych ludzi Antoniusza. Zgubił ich. Udało się. Etain została pomszczona. Nie oznaczało to jednak, że odzyskał jej miłość. Wiedział, że będzie to dużo trudniejsze zadanie.

— Cieszę się, że stawiliście się tutaj tak licznie, obywatele, gdyż chciałbym przekazać wam coś niezwykle ważnego. Jestem tu, by was ostrzec. Musicie uważać na osobę, której tak bardzo zaufaliście wyłącznie

przez wzgląd na noszone przez nią imię!

Antoniusz bardzo dokładnie przemyślał każde słowo swojej przemowy. Mecenasa spojrzano na Oktawiana i pokręcił głową. Agrypa miał zmartwiony wyraz twarzy, a Rufusa interesowało przede wszystkim to, co Etrusk dostrzeże, odchylając brzeg kaptura, cała czwórka zasłoniła bowiem dokładnie głowy, by nie dać się rozpoznać w tłumie. Obawiali się, że obecność u stóp trybuny Rostrów na Forum może sprowadzić na nich kłopoty. Antoniusz rozpoczął właśnie głośno zapowiadane publiczne oskarżenie Oktawiana.

— To jakieś szaleństwo... Przecież to on nie dotrzymał słowa, a teraz zamierza oskarżać ciebie. Trudno o drugiego tak bezczelnego człowieka — komentował Rufus.

— Bądź teraz cicho. Posłuchajmy, co ten stary błazen ma do powiedzenia. Naprawdę, jestem ciekaw, co takiego wymyślił — powiedział Oktawian, nie spuszczać oka z podium.

Cała czwórka ponownie zaczęła się uważnie przysłuchiwać słowom konsula.

— Od czasu jego powrotu do Rzymu wszyscy mieliście okazję być świadkami jego nieustannych ataków. Najwidoczniej tytuł spadkobiercy Cezara uderzył mu do głowy! Od samego początku zachowywał się wobec mnie obraźliwie. Mimo że jestem jego krewnym, najwyższym urzędnikiem w Republice, miesiącami mnie krytykował, oskarżał, znieważał, nie podając nawet powodu. Zachowywał się jak rozkapryszone dziecko, które tupie ze złości, bo nie dostało natychmiast tego, co chciało. A przecież działałem na rzecz państwa, dążyłem do złagodzenia sporów, cały czas, bez ustanku, od id marcowych, odkąd zmarł Cezar! Dlatego też zgodziłem się, by i z nim zawrzeć porozumienie. Przyjąłem nawet jego przeprosiny, które — jak się okazuje — były fałszywe!

— To wyjątkowo subiektywna wersja zdarzeń — zauważył Mecenasa.

— Ćśś! — upomniał go Oktawian.

— Tak, były fałszywe, ponieważ po tym, jak wybrano mnie na prokonsula Galii, dopuścił się jeszcze gorszych rzeczy! Najwidoczniej powodowany zazdrością posunął się do tego, by nastawać na moje życie!

Wśród zgromadzonych rozległ się szmer zaskoczenia.

— Co on wygaduje? — zastanawiał się Oktawian.

— Tak właśnie, obywatele — kontynuował konsul. — Ktowie, jakie

zamiary nim kierują? Przekupił jednego z moich gladiatorów, który dwie noce temu usiłował mnie zamordować! Na szczęście dwaj inni strażnicy przyszli mi z pomocą i zabili go, lecz w walce stracili własne życie!

Antoniusz przerwał. Jako wytrawny mówca dał czas słuchającym, by mogli się oswoić z szokującymi wiadomościami. Oktawian rozejrzał się po twarzach zebranych. Niektórzy spoglądali na urzędnika z niedowierzaniem, inni zarzucali mu kłamstwo, lecz musiał przyznać, iż ci ostatni nie byli zbyt liczni.

— To prawda, obywatelu! Rozumiem, że może się to wydawać niewiarygodne, ale tak właśnie postąpił ten, który szczyci się tytułem spadkobiercy Cezara i zamierza nawet przyjąć jego imię! Oktawian chciał mnie zabić! To prawdziwe szczęście, że muszę teraz udać się do Galii, przynajmniej będę dalekood jego morderczych zapędów. Uważam, że taki człowiek jest bardziej niebezpieczny niż cesarobójca Decymus Brutus. W przypadku Brutusa mogę bowiem mieć przynajmniej nadzieję na porozumienie, a dla tego chłopaka – jak mogliśmy się przekonać – umowa nic nie znaczy. Bezceremonialnie złamał jej ustalenia, co jest nie tylko smutne, ale i oburzające.

Oktawian zatrzęsł się ze złości. Miał ochotę zrzucić płaszcz, wejść na podium i wykrzyknąć, że jest niewinny. Rufus i Mecenas zauważyli, że chłopak jest gotowy zrobić coś nierozsądnego i przytrzymali go za rękę. Agrypa natomiast zdawał się dziwnie nieobecny i pogrążony we własnych myślach.

— Skąd on wziął te wszystkie brednie? Do czego jeszcze są w stanie posunąć się te hieny, żeby pozbyć się przeciwnika politycznego... — powiedział Rufus z oburzeniem.

— Mówiłem wam, polityka nie zna moralności ani skrupułów. Wszystkie chwytaki są dozwolone. Jeśli zachodzi taka potrzeba, rzucają bezpodstawne oskarżenia. Nie muszą mieć żadnego pretekstu — odparł Mecenas.

— Pretekst właściwie dałem mu ja... — Agrypa odezwał się po raz pierwszy. Nie patrzył na nich.

Tymczasem Antoniusz kontynuował swoją przemowę:

— Nie mogę czekać, aż zacznę obowiązywać mój mandat w Galii. Teraz, kiedy już wiem, co mi grozi, nie czuję się bezpiecznie w Rzymie. W Rzymie – moim mieście! Oktawian mógłby znowu spróbować, a ja, po tym, co się wydarzyło, nie mam nawet pewności, czy mogę jeszcze ufać ludziom, którym

zawierzyłem moje bezpieczeństwo! Mam wrażenie, że na każdym rogu stoi ktoś, kto mnie szpieguje, ponieważ Oktawian, dzięki pieniądzom, do których uzyskał dostęp, przyjmując spadek, może przekupić każdego. Widzicie, do czego jest mu potrzebny majątek Cezara? Do tego, by zabić człowieka, który był najwierniejszym sługą dyktatora! Oto, dlaczego tak bardzo zależało mu na spadku! Dlatego też jestem zmuszony bezzwłocznie wyjechać. Muszę żyć między żołnierzami, którzy walczyli pod moimi rozkazami za czasów Cezara. Nie ma dla mnie miejsca między obywatelami, których reprezentuję!

Dokładnie zaplanował, jak ma narastać dramatyzm jego wypowiedzi. Coraz więcej zgromadzonych popierało jego słowa.

„Nic, tylko się od niego uczyć” — pomyślał Mecenas, ale był również ciekaw, co miał im do powiedzenia Agrypa.

Etrusk i pozostali dwaj przyjaciele utkwili w nim pytające spojrzenia. Stał milczący, ze wzrokiem wciąż wbitym w ziemię, niczym chłopiec, który nabroił i czuje się winny.

— No więc dowiemy się w końcu, co masz nam do powiedzenia? — Oktawian próbował wydobyć coś z Agrypy.

— Ja... zabiłem tych trzech gladiatorów — wymamrotał.

Przez chwilę między czwórką przyjaciół zapanowała całkowita cisza. Ludzie wokół nich dyskutowali z ożywieniem nad sprawami poruszonymi przez Antoniusza. Inni wciąż sądzili, że jego oskarżenia są niewiarygodne – twierdzili, że owszem, Oktawian potrzebował Antoniusza, ale żywego, nie martwego, bo tylko z takim mógł się zemścić na mordercach Cezara. Wielu uważało jednak te oskarżenia za prawdopodobne. Tłumaczyli incydent krzywdami, jakich doznał Oktawian, lecz nie wszyscy widzieli w nich usprawiedliwienie takiego postępu. Konsul z kolei przyglądał się grupie z góry, z trybuny Rostrów, a na jego twarzy malowało się zadowolenie. Udało mu się: w ten czy inny sposób front ludowy wspierający Oktawiana zaczął pękać. Nie musiał już niczego mówić.

— Na imię wszystkich bogów, dlaczego?

Rufus nie zwlekał i od razu zadał Agrypie pytanie, które równie mocno cisnęło się na usta pozostałym.

— Chciałem ukarać gladiatorów, którzy zgwałcili Etain. Antoniusz kazał ich tylko wychłostać — wycedził Agrypa.

— Etain? Niewolnicę Oktawii? A dlaczego właśnie ty miałeś to zrobić? — dociekał Rufus. Mecenas z kolei zaczynał rozumieć, o co w tym wszystkim

chodzi.

Oktawian chwycił Rufusa za ramię.

— Daj spokój! — wykrzyknął ze złością, spoglądając na Agrypę. — Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

— Bo zabroniłbyś mi.

Oktawian zachnął się tak głośno, że aż zwrócił na siebie uwagę ludzi stojących dookoła.

— *Oczywiście, że bym ci tego zabronił!*

Mecenas ścisnął mu rękę w nadgarstku, dając w ten sposób do zrozumienia, że stracił miarę.

Spadkobierca Cezara dodał łagodniejszym tonem:

— Co tu robimy według ciebie? Tu nie ma miejsca na osobistą zemstę! Wszyscy jesteśmy zaangażowani w misję.

Agrypa nie wytrzymał.

— Osobista zemsta? Czym w takim razie jest to, co chcesz uczynić mordercom Cezara? Robię dokładnie to co ty, tylko na mniejszą skalę. A poza tym ona była... *jest* jedną z nas i nie powinniśmy byli pozwolić na to, by ktoś ją skrzywdził.

— Nie gadaj głupstw! Nie zrobiłeś tego dlatego, że jest jedną z nas, ale dlatego, że jest twoją kobietą — nie ustępował Oktawian. — A zemsta na cesarobójcach to podstawa naszej misji, główny cel naszego stowarzyszenia, nasz wspólny cel. Ci gladiatorzy zasługiwali na karę, zgadzam się, lecz należało to uczynić we właściwym momencie. A ty uparłeś się, żeby zrobić wszystko po swojemu, nie zważając na potrzeby nas wszystkich.

Rufus dopiero teraz zrozumiał, jak poważne było to, co łączyło jego towarzysza z dziewczyną, która odrzuciła go właśnie dla Agrypy. Nie mógł się powstrzymać.

— Jesteś po prostu głupcem — powiedział, dając upust swej zazdrości.

— Ja... tak mi przykro. Ale gdy zobaczyłem, co jej zrobili, nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o zemście — usiłował się tłumaczyć.

— Przykro ci? *Przykro ci?* Gdybyś wiedział, jak mnie jest przykro! Mecenas ma rację — ciągnął dalej Oktawian. — Ludzie pokroju Antoniusza nie potrzebują pretekstów, by uderzyć w tych, którzy im szkodzą, można sobie więc wyobrazić, co robią, gdy dajemy im takie preteksty! Naraziłeś na niebezpieczeństwo naszą misję, podejmując działania w czysto prywatnym interesie, bez porozumienia z pozostałymi. Nie tego potrzebujemy. Jesteś

zbyt impulsywny, by ci zaufać. Uważam, że nie możesz dłużej należeć do sekty Marsa Mściciela — oświadczył podniosłym tonem.

Rufus nie potrafił ukryć satysfakcji. Agrypa był załamany.

— Zrobiłem dla sekty wszystko, co mogłem. A Etain spotkało to, co spotkało, właśnie dlatego, że byłem z Fulwią, wykonując niezbyt pochlebne zadanie, które sam mi powierzyłeś. Straciłem moją dziewczynę, bo zobaczyła mnie z żoną Antoniusza. A teraz ty chcesz, abym stracił również miejsce wśród was? Taka nagroda spotyka mnie za to, że wiernie służyłem celom, które sobie wyznaczaliśmy?

— Sam widziałeś, komu i czemu musimy stawić czoła oraz jakie czekają nas przeciwności losu. Możemy je pokonać, tylko jeśli będziemy działać razem i nie będziemy podejmować pochopnych decyzji. Dlatego też nie możesz być jednym z nas. Nie chcę cię w naszej drużynie — powtórzył wódz.

— Oktawianie, Agrypa popełnił błąd, ale może mógłbyś mu dać drugą szansę... — Mecenasa starał się złagodzić jego stanowisko.

— Nie. Już postanowiłem.

Młody następca Cezara był nieugięty, mimo że drzenie głosu zdradzało ból, jaki towarzyszył tej decyzji.

— Daj spokój, Mecenasiu. Nie muszę nikogo o nic prosić, tym bardziej Oktawiana — powiedział gorzko Agrypa, po czym odwrócił się i zniknął w tłumie.

Trzech przyjaciół spoglądało na siebie w ciszy. Mecenasa dostrzegł w twarzy Oktawiana niezdecydowanie i może nawet żal z powodu tego, co uczynił przed chwilą w porywie złości. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zauważył, kiedy przystał do sekty, było to, że między Oktawianem a Agrypą istnieje wspólna więź. Etrusk był pewny, że gdyby dało się cofnąć czas, Oktawian zmieniłby swoją decyzję, lecz – i co do tego Mecenasa był równie mocno przekonany – teraz nie odwoła już swojego postanowienia, aby nie zostać uznanym za słabego wodza. Wszystko poszło nie tak, jak trzeba.

— I co teraz zrobimy? — zapytał Rufus. — Antoniusz, dzięki swemu podstępowi, zdobywa powoli sympatię całego ludu i jeśli odejdzie stąd, by zamieszkać wśród żołnierzy, odzyska również przychyłność armii. Nie ma tu już dla nas miejsca.

— Nie przesądzajmy, Rufusie, nie przesądzajmy... — odezwał się tajemniczo Mecenasa.

Nadszedł czas, by przystąpić do ofensywy. Na wielofrontach. I każdy z członków sekty musiał wypełnić swoją część zadania.

XII

Co trzymasz w dłoni, żołnierzu? — Centurion uderzył legionistę pochłoniętego lekturą małego papirusu, wymachując laską z drewna winorośli i strasząc, że połamie mu ją na plecach.

— Otrzymałem to od innego żołnierza, centurionie. Usiłowałem tylko zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi — tłumaczył wystraszony.

— Daj mi to — rozkazał centurion.

Wziął papirus i zaczął czytać na głos:

— Zobaczmy... *Legioniści! Juliusz Cezar przez lata prowadził was ścieżką zwycięstw, z nim triumfowaliście pięciokrotnie na trzech różnych kontynentach, obsypał was pieniędzmi i laurami, nie szczędził nagród i wyróżnień nikomu, kto sobie na nie zasłużył, z nim staliście się największymi żołnierzami wszystkich czasów, a pozwalacie, by jego mordercy błakali się bezkarnie po świecie? Dlaczego jeszcze nie sprzeciwiliście się wodzom uchylającym się od obowiązku wymierzenia kary, którzy pozbawili was największego dowódcy w dziejach świata, tego, z którym mieliście dokonać podboju wielkiego imperium partyjskiego? Pamiętajcie, że czeka na was jego syn, nowy Cezar, gotowy, by poprowadzić was do bitwy o zemstę i by przystroić wasze głowy wieńcami odebranych wam przez morderców!*

Żołnierz bał się, że zostanie ukarany za posiadanie tekstu podburzającego do buntu. Konsul Antoniusz właśnie przybył do obozu legionu Martia Victrix, niedaleko Brundyzjum, gdzie jednostka dotarła drogą morską wraz z czterema innymi legionami z Macedonii. Wcześniej ulotki propagandowe krążyły w sposób dość swobodny, a wielu dowódców przymykało na to oko, o ile wręcz nie deklarowało swojego wyraźnego poparcia dla zawartych tam treści. Od kiedy jednak w obozie przebywał główny dowódca, kontrole stały się dokładniejsze i bardziej surowe.

— Co sądzisz o tym, co tu napisano? Tylko mów szczerze— powiedział centurion.

— Co sądzę?

Legionista był zaskoczony, że przełożony chce znać jego opinię. Jednocześnie wystraszył się, ponieważ cokolwiek by powiedział, mogło się to obrócić przeciwko niemu.

— Cóż, jestem wierny naszemu nowemu wodzowi. Nie da się zaprzeczyć, że to najdostojniejszy z namiestników Cezara.

— Powiedziałem „szczerze”, żołnierzu.

— No więc... skoro nalegasz... Sądzę, że powinniśmy ruszyć przeciwko tym nikczemnikom, którzy zabili Cezara. Nieważne, czy na naszym czele stanie Antoniusz, czy Oktawian, mnie wystarczy, jeśli po prostu to zrobimy. Naturalnie Oktawian pokazał, że zależy mu na tym bardziej niż Antoniuszowi...

— To właśnie chciałem wiedzieć — powiedział centurion.

Żołnierz cofnął się przed kijem, gdyż spodziewał się uderzenia, ale przełożony przeszedł obok, jakby zapomniał o jego istnieniu. Oficer skierował się w stronę *portae praetoriae*¹¹. Po drodze mijał innych żołnierzy, którzy na jego widok chowali za plecami ulotki podobne do tej zarekwirowanej pierwszemu legionście. Uśmiechnął się z zadowoleniem, przekroczył palisadę i udał się w kierunku Brundyzjum. Od strony lądu miasto było otoczone w sumie pięcioma obozami.

Centurion wszedł do insuli znajdującej się przy murach. Trzy biegi schodów zawiodły go do drzwi na piętrze. Zapukał. Po paru chwilach otworzył mu adept sekty.

— Gajusz Cherea! A więc to prawda, że Oktawian zdołał przenieść cię do legionu Martia! Doskonale... — powiedział na powitanie.

Cherea wszedł do środka zdecydowanym krokiem.

— Biorąc pod uwagę, że zostałeś wykluczony z sekty, mnie jeszcze bardziej zaskakuje twoja obecność tutaj, w Brundyzjum, drogi Agrypo. A patrząc na ilość ulotek, którymi ty i twoi współpracownicy zasypaliście obozy legionistów, wnioskuję, że jesteś tu już jakiś czas. Ale chodź, porozmawiajmy. Antoniusz przybył właśnie do miasta i niedługo skieruje przemowę do żołnierzy, by przygotować sobie grunt.

— Dobrze. Naszym zadaniem jest udaremnić jego starania — oświadczył Agrypa, zapraszając gościa, by usiadł na sofie w triklinium.

— Jak ci się podoba prosty żywot rolnika, żołnierzu — zwrócił się Oktawian do właściciela gospodarstwa leżącego pod Casilinum, do którego udał się z wizytą. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, kilka zębów i jeszcze mniej włosów na głowie.

— Dobrze mi się żyje, synu Cezara. Nareszcie mogłem poślubić moją towarzyszkę i uregulować sytuację prawną trojga moich dzieci. A kolonia

w Casilinum stale się rozwija. Miałem szczęście. Tylko...

— Tylko? — Oktawian zmrużył swoje przenikliwe oczy.

— Tylko... żał mi tamtych czasów. Należałem do XIII legionu. Byłem z twoim ojcem, gdy przekraczał Rubikon, i żaden z nas nie miał wątpliwości co do tego, że mu się uda. Tak bardzo mu ufaliśmy... Gdybyś wiedział, ile bitew stoczyliśmy w Galii pod jego rozkazami. W Alezji widziałem, jak Wercyngetoryks składał broń u stóp wielkiego wodza, w Avaricum stałem w pierwszych szeregach, które sforsowały mury! W Brytanii walczyłem z celtyckimi wozami bojowymi: skakałem na nie i zabijałem powożącego i miotacza...

— Piękne czasy, nieprawdaż? — westchnął Oktawian.

— Nie krępuj się, powiedz to głośno! Jestem za młody, by pędzić żywot emeryta i rolnika, taka jest prawda. Mam armii jeszcze wiele do zaoferowania.

— Założę się, że byłbyś w stanie bardzo wiele uczynić, by pomścić Cezara.

— Z tym też nie musisz się krępować. Zrobię wszystko, by zemścić się na barbarzyńcach, którzy go nam odebrali. Dwadzieścia trzy ciosy... Dżicz!

— Otóż to! A czy wiesz, że odkąd Cezar nie żyje, byłem jedynym patrycjuszem, który rozgłaszał, na cztery strony świata, że morderców musi osiągnąć słuszną kara? Potrzebuję armii, aby udowodnić, że mam rację i aby przekonać innych, szczególnie Antoniusza, który najwyraźniej boi się Brutusa, Kasjusza i pozostałych.

— Cóż, jeśli stworzysz armię, możesz na mnie liczyć. Mam dosyć siedzenia tutaj, niańczenia dzieci i wysłuchiwania narzekań mojej kobiety. Nigdy nie jest zadowolona. Wczoraj, na przykład...

— Tysiąc sestercji na początek, wystarczy? Mam zamiar wyruszyć do Rzymu za trzy dni. Jeśli stanę z armią u bram, senat będzie skłonny ze mną rozmawiać.

— Tysiąc sestercji? Działasz jak błyskawica! Dokładnie tak jak Cezar! Jestem z tobą, Oktawianie!

Oktawian przywołał do siebie kasjera, który nieopodal czekał na jego znak, nudząc się przy wozie, wraz eskortą dowodzoną przez Ortwina i Veledę.

— Tysiąc także dla niego — poleciał i człowiek wyćwiczonym ruchem wyjął ze skrzyni gotową sakwę.

Młodzieniec wziął ją i z namaszczenie wręczył rozemocjonowanemu weteranowi.

— Czekam więc na ciebie pojutrze przy głównej bramie miejskiej. Otrzymasz drugie tyle, kiedy ponownie się spotkamy. Ruszamy na Rzym! — oświadczył Oktawian i uścisnął mu rękę. Następnie opuścił jego domostwo i wsiadł na wóz.

— Ilu ich teraz mamy? — zapytał kasjera, gdy zmierzali w stronę kolejnego gospodarstwa przydzielonego weteranom przez Cezara.

— Trzystu dwudziestu dwóch. Oprócz tego dwa tysiące przybyłych z Kalatii, którzy niedawno dowiedzieli się, że tutaj przebywasz. Ich również trzeba będzie wynagrodzić.

— Bez wątpienia — przytaknął Oktawian. — Teraz pojedziemy do weterana, który mieszka niedaleko. Jeżeli zobaczy, że byliśmy u sąsiada, a jego pominęliśmy, nie uda się nam go później pozyskać. — Następnie zwrócił się do Ortwina:— Ty udaj się do miasta i rozgłaszaj, że jutro przemówię do ludu i że w odpowiedni sposób nagrodzę tych, którzy będą chcieli do mnie dołączyć.

Oktawian przyglądał się, jak jadący konno Germanin i jego kobieta znikają w oddali. Robili się coraz mniejsi i mniejsi. Pokiwał z zadowoleniem głową. Tak, trzeba przyznać, że ten barbarzyńca był dobrym nabytkiem. Szkoda, że niedługo będzie musiał się z nim rozstać...

Niemal wszyscy senatorowie wyszli już z Kurii i tłumnie, jeden za drugim, kierowali się do swoich domów. Kilku z nich zatrzymało się na rozmowę na schodach budynku. Nie było to szczególnie gorące posiedzenie, nie poruszano drażliwych kwestii – dawało się to wyczytać z twarzy *patrum conscriptorum*, łagodnych i zrelaksowanych, wręcz rozbawionych. Zdaniem Salwidienusa Rufusa był to czas, w którym na obliczach polityków raczej nie powinien gościć uśmiech. Fakt, że senatorowie pozwalali sobie na luksus tego typu, mówił wiele o ich ograniczoności. Oktawian miał rację, twierdząc, że niewielu było w Rzymie ludzi przykładających się z pełną sumiennnością do pracy na rzecz ogółu.

Liktorzy konsula Dolabelli czekali przy wejściu na schody. Oznaczało to, że urzędnik wciąż przebywał w środku. Rufus zrozumiał, że musi czekać. Mając dużo czasu, pozwolił swobodnie przepływać myślom, a te zawiodły go

ku niewolnicy, w której zadurzył się Agrypa. Była piękna i wyglądało na to, że zerwała ze swoim kochankiem. Co więcej, chłopak poróżnił się z Oktawianem i prawdopodobnie pożegnał się również z sektą. Uczucia Rufusa względem Agrypy były ambiwalentne. Z jednej strony żałował, że przyjaciel nie należy już do stowarzyszenia. Przeżyli razem niejedną przygodę i zżyli się ze sobą. Agrypa zawsze był jednak krok przed nim – czy jeśli chodziło o przyjaźń i szacunek Oktawiana, czy względy kobiet – i teraz Rufus poczuł ulgę, ponieważ nie musiał już z nim rywalizować.

Pomyślał, że warto byłoby spróbować z Etain.

Wtem zobaczył wychodzącego Dolabellę. Konsul, który zastąpił Cezara, a został mianowany na to stanowisko właśnie przez samego dyktatora, zawsze robił na nim wrażenie człowieka wyniosłego. Mówiono, że zaraz po morderstwie jego mentora i protektora przypisywał sobie uczestnictwo w spisku, chociaż w rzeczywistości nic o nim nie wiedział. Poza tym z wyjątkową zawziętością tępił zamieszki, które wybuchły wśród ludu po pogrzebie Cezara. Teraz jednak wyglądało na to, że przeszkadzała mu silna pozycja Antoniusza, a także aktywność morderców dyktatora w prowincjach, utrudniało mu to bowiem przejęcie Syrii, którą otrzymał decyzją senatu.

Dolabella pożegnał dwóch senatorów, w których zatrzymał się na rozmowę, a następnie samotnie skierował się w stronę swoich liktorów. Rufus wyszedł mu naprzeciw i zatrzymał go w połowie drogi.

— Konsulu, muszę z tobą pomówić. Jestem Salwidienus Rufus, przysłała mnie Oktawian, syn Cezara — powiedział, zatrzymując się pomiędzy Dolabellą a strażnikami.

Konsul spojrział na niego podejrzliwie.

— Syn Cezara? Nic mi nie wiadomo o tym, by dokonano formalnej adopcji. Odziedziczył wyłącznie jego majątek jako najbliższy krewny. Tymczasem, nie wiedzieć dlaczego, sprawia wrażenie, jakby chciał się stać jego spadkobiercą politycznym... — skomentował zgryźliwie konsul.

Rufus się uśmiechnął.

— Spróbuj zapytać żołnierzy w Syrii, kiedy przejmiesz gubernatorstwo w swojej prowincji, kto jest synem Cezara... Nie powinieneś wygłaszać przed nimi podobnych opinii. Mogliby to źle przyjąć...

Dolabella był coraz bardziej nachmurzony.

— Co to ma być? Pogróżka? — zapytał.

— Ależ skąd! To tylko rada. — Ton Rufusa był niezmiennie uprzejmy. — Chodzą słuchy, że Brutus i Kasjusz zdążają do Syrii i Macedonii, nie bacząc na to, że senat powierzył im Kretę oraz Cyrenę. Treboniusz z kolei zadomowił się na dobre w Azji. Umacnia fortyfikacje w miastach i gromadzi wojska dla Brutusa i Kasjusza. Mam wrażenie, że objęcie tego, co twoje, będzie cię kosztowało nieco zachodu, zwłaszcza że nie będziesz miał oparcia w swoim wojsku.

— A zatem?

— A zatem oświadczyć publicznie, że jesteś mścicielem Cezara i sprzymierzeńcem Oktawiana, jedynego człowieka, który bez wahania poprzysiągł zemstę na mordercach, a zapewnisz sobie współpracę, a może nawet szacunek legionistów. Jesteś wystarczająco sprytny, by wiedzieć, że bez ich wsparcia szybko zginiesz w wojnie domowej, która wydaje się nieuchronna. — Rufus absolutnie nie uważał Dolabelli za sprytnego człowieka, ale w tej rozmowie pochlebstwa były wskazane.

Konsul zastanawiał się przez chwilę i w końcu zapytał:

— Rada, jakiej mi udzieli Oktawian, jest bezinteresowna?

— W pewnym sensie tak. Jego najważniejszym dążeniem jest pomszczenie Cezara i jeśli gdzieś nie może dotrzeć, chętnie posyła z misją innych.

— Nie jestem kimś, kto wypełnia rozkazy żółtodzioba, który dopiero co wkroczył na scenę polityczną — odpowiedział z przekąsem Dolabella.

— Ależ absolutnie! — skwapliwie uspokoił go Rufus.— Chcieliśmy jedynie udzielić ci bezstronnej rady, jak powinieneś postępować, by nie stracić posłuchu wśród swoich żołnierzy. Zapewne wiesz, co się dzieje w Brundyzjum: legioniści nie ukrywają swojej sympatii dla Oktawiana oraz pragnienia zemsty za śmierć Cezara. Antoniusz otwarcie występuje jako zaprzysiężony wróg Oktawiana, odsuwając walkę z cesarobójcami na dalszy plan, i ponosi tego konsekwencje. Chcesz się narazić na takie same problemy? Ostatnie miesiące pokazały, że armia kocha Oktawiana bardziej niż jakiegokolwiek innego wodza. Bardziej niż samego Antoniusza.

— Twierdzisz, że mógłby podburzyć wojsko przeciwko mnie, jeśli nie stanę po jego stronie? — Tym razem konsul sprawiał wrażenie zaniepokojonego. *Dobrze.*

— Ależ nie, nie! Skądże! Naturalnie w interesie Oktawiana leży, abyś zajął się swoją prowincją, osłabiając pozycję morderców jego ojca, dlatego

uczyni wszystko, co w jego mocy, by cię w tym wesprzeć. Mając to na uwadze, chciałby, abyś przyjął w darze ten niewielki oddział barbarzyńskich pomocników, którzy wcześniej służyli Cezarowi. Będą podążać za tobą, będą cię chronić i wykonają dla ciebie każdą brudną robotę, na wypadek gdyby Brutus, Kasjusz i Treboniusz robili ci jakiegokolwiek trudności. Tak więc tylko zyskujesz na naszej współpracy...

— Miałbym korzystać z usług strażników będących na rozkazach Oktawiana? Obyś żartował...

Rufus zmienił ton. Wszystko wskazywało na to, że Dolabella jest zmienny jak chorągiewka na wietrze.

— Rzekłbym, że nie masz wyboru, konsulu. Albo zrobisz, jak ci mówię, albo będziesz musiał tłumić bunt wśród własnych żołnierzy. A byłoby dobrze mieć cię teraz żywym. Możesz być pewny ochrony tych *auxiliorum*¹². Obawiam się, że żadne inne straże pozostające na służbie u ciebie nie zagwarantują takiego bezpieczeństwa.

Twarz Dolabelli straciła swój wcześniejszy wyraz zadowolenia. Pogrożka przyniosła skutek. Rufus trzymał go w garści.

Agrypa wyładował paszę z wozu, na którym wjechał do obozu Martiae Victricis. Właśnie miał powiedzieć swoim pomocnikom, aby ułożyli pakunki przy magazynie i zawołali załogę jednostki, kiedy jego uwagę przykuło skupisko ludzi, które utworzyło się wokół *praetorii*¹³. Podszedł tam i zobaczył Marka Antoniusza przemawiającego do żołnierzy. Zaciekawiony zajął miejsce u stóp prowizorycznej trybuny wzniesionej przed budynkiem, skąd swobodnie mógł się przysłuchiwać słowom konsula.

Nikt nie zwracał uwagi na Agrypę. Dzięki staraniom Mecenasa powierzono mu w obozie funkcję niepozornego pracownika, odpowiedzialnego za dostawę siana dla armii. Niezobowiązany do przestrzegania dyscypliny wojskowej, mógł swobodnie się poruszać po obozach i rozrzucać ulotki propagandowe. W ten sposób Etrusk stworzył mu możliwość kontynuowania pracy na rzecz sekty, przy czym wszystko odbywało się bez wiedzy Oktawiana. Mecenas miał pewność, że ich wódz cierpi z powodu rozstania z Agrypą i że prędzej czy później na pewno mu wybaczy, dlatego też uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby chłopak pozostał z nimi, choćby nieformalnie. Agrypa, pomimo początkowej

niechęci, przystał na jego pomysł. W głębi duszy był szczęśliwy, ponieważ sytuacja okazała się doskonałym ratunkiem przed umizgami Fulwii i propozycją dołączenia do Antoniusza. Pragnął również udowodnić młodemu wodzowi, że pomoc, jaką wciąż chciał mu nieść, była niezbędna.

Agrypa przyglądał się grupie i z zaskoczeniem stwierdził, że wszyscy w oniemienu słuchają mowy Antoniusza. Nikt niczego nie komentował, wbrew przyjętym zwyczajom nikt nie oklaskiwał przemawiającego wodza. Przyjrzał się dokładniej i dostrzegł, że twarze zebranych są ponure lub maluje się na nich zakłopotanie. Wyglądało na to, że propaganda przyniosła pożądany efekt.

Tymczasem Antoniusz mówił dalej:

— Na każdego z was czeka czterysta sestercji, jeśli ruszycie ze mną na Galię, gdzie być może będziemy musieli stanąć do walki i odebrać prowincję gubernatorowi, którego senat pozbawił mandatu. Czterysta sestercji! Mógłbym po prostu oczekiwać waszej wdzięczności za to, że sprowadziłem was do Italii, oszczędzając wam trudów i niebezpieczeństw związanych z kampanią partyjską, lecz postanowiłem was nagrodzić!

Konsul przerwał, usiłując wyczuć, jaki skutek wywołały jego słowa. Niestety, reakcja okazała się zupełnie inna od tej, której się spodziewał. Krzyki żołnierzy były niczym miód na serce Agrypy.

— Czterysta sestercji? Stary kutwa!

— Oktawian daje nam dwa tysiące! Hańba!

— Dlaczego nigdy nie mówisz o pomszczeniu Cezara? Co z ciebie za człowiek?

Wielu wręcz śmiało się, inni pozwalali sobie na kpiny i żarty wszelkiej maści. Sam Agrypa z trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć śmiechem, obserwując tę sytuację. Konsul był wściekły. Jego liktorzy dali znak zgromadzonym, aby się uciszyli, upłynęło jednak wiele czasu, zanim Antoniusz mógł ponownie się odezwać.

— Oto efekt wrogiej propagandy, jaką ta żmija, Oktawian, prowadzi wśród mojego wojska! Zburzył waszą dyscyplinę i wierność, jaką winniście swemu dowódcy. Nie mogę tolerować takiej postawy! Żądam imion wichrzycieli! Wypchnijcie z szeregów tych, którzy rozprowadzali wśród was te przekłete ulotki! — Jego krzyk był niemal histeryczny.

Antoniusz wyciągnął w górę rękę, trzymając w niej jedną z ulotek, którą Agrypa podrzucił żołnierzom. Chłopak nie obawiał się o to, że ktoś go

rozpozna. Działał poprzez pośredników i nikt nie widział, aby dostarczał do obozów legionistów cokolwiek innego niż siano. Zdał sobie jednak sprawę z tego, że Gajusz Cherea może być zagrożony. Istniało ryzyko, że któryś z żołnierzy, pragnąc się przypochlebić, opowie, iż centurion okazał zbyt daleko idącą tolerancję i pozwolił, by ulotki krążyły po obozie. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że legioniści nie zamierzają denuncjować nikogo, nawet tych szaleńców, którzy przez ostatnie dni szydzili z Antoniusza i jego bierności wobec morderców Cezara.

— Powiedziałem: niech wystąpią winni! — krzyknął ponownie konsul.

Jego gniewne wołanie ginęło jednak wśród szemrania żołnierzy. Agrypa pomyślał, że ten pokaz bezradności spodobałby się Oktawianowi, i ogarnął go nagły żal, że nie ma przy nim przyjaciela – czy może raczej tego, którego on sam wciąż chciał uważać za przyjaciela. Gdyby mogły wrócić czasy, kiedy łączyła ich przyjaźń, zrelacjonowałyby mu tę scenę w najmniejszych szczegółach.

Antoniusz czekał jeszcze chwilę, niestety, daremnie. W końcu odwrócił się tyłem do żołnierzy i szybkim krokiem wrócił do *praetorii*. Za nim podążyli trybuni, natomiast żołnierze pozostali na placu i komentowali ostatnie wydarzenia. Agrypa dostrzegł charakterystyczny grzebień na hełmie centuriona należącym do Gajusza Cherei. Miał ochotę podzielić się z nim wrażeniami w związku z wypadką Antoniusza, ale powstrzymał się w ostatniej chwili, pamiętając o tym, że nie powinien zwracać na siebie uwagi.

Zaraz potem dostrzegł poruszenie przed wejściem do budynku zajmowanego przez wodza. Wyszli stamtąd trybuni. *Tribunus laticlavus*¹⁴ uniósł ręce, by przywołać żołnierzy do porządku. I jemu przyszło czekać dość długo, zanim legioniści nieco się uspokoili. Mimo wszystko nie udało się ich całkowicie uciszyć.

— Konsul rozkazuje, byście uformowali się w centurie i kohorty. Natychmiast!

Legioniści spojrzeli po sobie. Wszyscy pozostali na swoich miejscach, czekając na komendy swoich centurionów. Trybun powtórzył rozkaz i dopiero wtedy oficerowie wydali polecenia poszczególnym jednostkom, które ustawiły się w szyku, jedna obok drugiej. Gdy żołnierze zajęli swoje miejsca, trybun przemówił ponownie:

— Żołnierze! Wasze zachowanie jest dla konsula jednoznaczne z buntem! Nie podporządkowaliście się rozkazowi waszego głównego dowódcy.

Chronicie wrogów państwa, którzy usiłują zburzyć jedność, z której słynie rzymska armia! W związku z tym uznaje on, że jedynym sposobem, by przywrócić dyscyplinę w waszych szeregach, jest zdziętkowanie. Jeden żołnierz i jeden centurion na każdym dziesięciu zostanie ukarany śmiercią!

Kiedy przemawiał, jego pozostali koledzy, *tribuni angusticlavii*¹⁵, zeszli po schodach i przemaszerowali wzdłuż pierwszego szeregu. Jeden z nich wyciągnął pierwszego żołnierza, od którego pozostali rozpoczęli odliczanie, wyprowadzając z oddziału co dziesiątego. Legioniści stracili pewność siebie i dezorientowani zamilkli. Nie było słyhać ani słowa protestu. Błagania i lamenty kilku z tych żołnierzy, których straż Antoniusza zabierały ze sobą, nie ułatwiały pracy trybunom. Wreszcie przyszła kolej na pierwszego centuriona, który na swoje nieszczęście stał najbliżej trybuny.

Przerażony Agrypa uzmysłowił sobie, że wśród skazańców mógł się znaleźć również Gajusz Cherea, i zaczął obmyślać sposób na wydobycie go z tarapatów.

Posiadłość Cyclerona w Arpinum, miejsce, w którym wielki mówca przyszedł na świat, była dużo skromniejsza, niż Kwintus Pediusz i Lucjusz Pinariusz mogli się spodziewać: wiejski *domus* niezbyt okazałych rozmiarów, szczególnie dla kogoś, kto – tak jak oni – był przyzwyczajony do wystawnych willi wybudowanych przez senatora w Kampanii oraz na całym terytorium italskim po dojściu do władzy i objęciu pozycji najbardziej wpływowego człowieka w Rzymie. Niemniej obaj kuzyni Oktawiana, minawszy przedsięonek, zauważyli, że Cycleron zadbał o to, by w domu nie zabrakło blichtru, wielu znakomitych rzeźb, fresków i mebli godnych najbardziej luksusowych domów Wiecznego Miasta. Nie miało to dla nich jednak znaczenia. Przybyli tam z konkretnym i niezwykle delikatnym zadaniem. Chcieli udowodnić Oktawianowi, że są godni zaufania, jakim ich obdarzył. Skupili się wyłącznie na spotkaniu z człowiekiem, którego wsparcie mogło się okazać decydujące dla ich kuzyna, dążącego do wzmocnienia swojej bardzo słabej pozycji. Podążali w ciszy za niewolnikiem, który prowadził ich do *tablini* adwokata. Obaj pamiętali doskonale wskazówki udzieloneim przez Oktawiana. Nie zwracając uwagi na to, co mieli dookoła, wymieniali się spojrzeniami pełnymi niepokoju.

Stanąwszy przed Cycleronem, poczuli pewnego rodzaju onieśmienie,

które nie minęło pomimo uprzejmego przyjęcia ze strony senatora. Gospodarz, zagrzebany wśród stosów papirusów, ze skrybą siedzącym obok, wstał od pulpitu i wyszedł na powitanie. Uściskawszy im ręce, poprosił, by usiedli.

— Moi drodzy koledzy — powiedział — poczytuję sobie za zaszczyt to, iż w tak niespokojnych czasach zechcieliście znosić trudy podróży z samego Rzymu, aby zamienić dwa słowa ze mną, reliktem nieistniejącej już Republiki.

Kwintus Pediusz odchrząknął.

— Właśnie o tym chcieliśmy porozmawiać... w rzeczy samej — odparł. — To znaczy... oczywiście o Republice i jej problemach — dodał, uświadomiwszy sobie, że nie zadbał o właściwy dobór słów.

— Moi drodzy — Cynceron także usiadł i pokiwał głową — żyjemy w bardzo trudnych czasach, chociaż po zakończeniu wojny domowej myślałem, że widziałem już wszystko, co było do zobaczenia. Tymczasem teraz przyszło mi oglądać jeszcze gorsze rzeczy. Dlatego wolę życie na uboczu, tu, w moim domu rodzinnym, z dala od mrocznych wydarzeń wstrząsających Rzymem.

— Lecz może, jeśli wolno mi zauważyć — wtrącił Pinariusz — właśnie dlatego że zapanowało ogromne zamieszanie, a nad Wiecznym Miastem zawisła groźba wielkich niebezpieczeństw, potrzebne są twój autorytet i wiedza. Stałyby się one dla nas cennym nabytkiem, gdybyś zgodził się wrócić do polityki. Przynajmniej takie jest zdanie naszego kuzyna, Oktawiana, i trudno się z nim nie zgodzić.

Kwintus Pediusz skwapliwie pokiwał głową.

— Ach, Oktawian... To dzielny chłopak, naprawdę, chociaż martwi mnie jego popularność wśród ludu i legionów oraz to, jak zawzięcie ściga ludzi, którzy – słusznie czy nie – uwierzyli, iż działają na korzyść Rzymu. I to nerwowe dążenie do zostania następcą Cezara... Czyż Antoniusz nie jest wystarczającym zagrożeniem dla demokracji?

— Zapewniam cię, Cynceronie, że chłopak nie ma najmniejszego zamiaru zastępować Cezara — wyjaśnił pospiesznie Pinariusz. — Chce jedynie wywiązać się z obowiązków wobec narodu i żołnierzy, jakie nakłada na niego testament. Oczywiście, Oktawian kochał Cezara i pragnie, by jego mordercy stanęli przed bezstronnym sądem, a nie zostali ukarani na fali zamieszek, jakie miały miejsce po idach marcowych. Nigdy nie odważyłby

się korzystać ze swej popularności, by narzucać swoją wolę, ani też po to, żeby przekraczać swoje uprawnienia, bowiem zadaniem urzędnika jest po prostu stosowanie prawa i sprawiedliwości. Ma gorącą nadzieję, że zechcesz uwierzyć w jego dobrą wolę oraz w to, iż – w odróżnieniu od Antoniusza – prawdziwie zabiega o ochronę Republiki.

— Ach! Jakże bym chciał móc to uczynić — odpowiedział orator, kręcąc głową. — Pragnę tego rozpaczliwie. Młody Oktawian to osoba, której można byłoby powierzyć sprawy państwa. Jestem o tym coraz mocniej przekonany, pod warunkiem że nie będzie robił wszystkiego po swojemu i zechce korzystać z rad udzielonych mu przez ludzi bardziej doświadczonych. Nie zauważyłem dotychczas, by tak właśnie postępował. Musicie przyznać, że powziął już wiele pochopnych decyzji...

— Oktawian znalazł się niezależnie od swojej woli na arenie rojącej się od rywali i kilkakrotnie zdarzyło mu się zareagować zbyt impulsywnie — dodał Pediusz. — Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że potrzebuje pomocy kogoś, kto zasugerowałby mu, jaką obrać taktykę. Jest przekonany, że nie znajdzie na arenie politycznej nikogo o mądrości przewyższającej twoją, Cynceronie. Nie sposób temu zaprzeczyć. Ty pierwszy dostrzegłeś w Antoniuszu zagrożenie.

— Owszem. A ponieważ to Antoniusz jest zagrożeniem, nie ma sensu pozbywać się tak zwanych wyzwolicieli. Nie sądzicie? Dopóki będą na szczycie, ta kanalia nie zdoła wprowadzić tyranii, do której ewidentnie dąży. Dlatego jestem zdania, że zapalczywość, z jaką Oktawian domaga się zemsty, jest w tym momencie szkodliwa.

— Oktawian już to zrozumiał — oświadczył uroczyście Pediusz. — Wie, że teraz prawdziwym zagrożeniem dla Republiki jest Antoniusz, dlatego postanowił tymczasowo odłożyć na bok swoje uzasadnione rozżalenie z powodu mordu na jego ojcu, przekazując pokaźne sumy na rzecz każdego, kto przyczyni się do przywrócenia normalności w kraju. Gromadzi żołnierzy; ma ich wielu, a każdy z nich wciąż jest gotów iść za imieniem Cezara, dlatego ufają jego spadkobiercy. Oktawian pragnie zrównoważyć z pomocą tej armii nieograniczoną władzę Antoniusza i ruszyć na Rzym, by skłonić konsula do złagodzenia swojej postawy.

— Ruszyć na Rzym? Jak Sulla? Niech się nie waży! — wykrzyknął oburzony Cynceron. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się poderwać z krzesła. — Zdaję sobie sprawę z tego, że w jego sytuacji stworzenie prywatnej armii

jest jedynym wyjściem. Z drugiej strony miał tylu znakomitych poprzedników, że zaudziłbym was, gdybym zechciał wymienić teraz imiona ich wszystkich. Byłoby również niepoważne oczekiwać od niego, by zaniechał próby pójścia w ich ślady. Sądzę jednak, że powinien dać do zrozumienia, iż mógłby się posłużyć wojskiem, lecz nie czynić tego faktycznie. Brzydzą się podobną praktyką, ale teraz, kiedy Antoniusz ma pod sobą dwa legiony macedońskie oraz gubernatorstwo galijskie, w Italii potrzebny jest ktoś, kogo konsul by się bał. To jasne, że Oktawian jest jedynym człowiekiem mającym wśród wojska porównywalny posłuch, o ile nie większy niż Antoniusz. Wolałbym jednak, aby nie przystępował do działania. Niech wejdzie do Rzymu bez armii. Antoniusza należy pokonać narzędziami prawnymi. Przygotowuję serię przemów, po których – zapewniam was – straci grunt pod stopami. Nie sądzą, aby po ich odczytaniu w senacie ostał się choćby jeden *pater* zainteresowany dalszym wspieraniem go.

Pediusz i Pinariusz spojrzeli po sobie i pokiwali głowami.

— Oktawian nie czeka na nic innego jak na twoją radę — rzekł Kwintus. — Jeżeli taka jest twoja propozycja, możemy być pewni, że to najlepsze rozwiązanie dla Republiki. Poinformujemy niezwłocznie naszego kuzyna o twoich sugestiach, a on, nie mam co do tego wątpliwości, zastosuje się do nich, abyś mógł bezpiecznie powrócić do *Urbis* i tam pracować dla dobra państwa, co zawsze czyniłeś. Rzym potrzebuje cię, aby powstrzymać dążenia Antoniusza i wojnę domową, do której dążenia te mogłyby doprowadzić — zakończył, widząc zadowolenie na twarzy Cyclerona.

Pinariusz się uśmiechnął. Oktawian miał rację: lechtanie próżności oratora to skuteczna metoda na pozyskanie jego poparcia.

Oktawia przyglądała się Etain kołyszącej do snu małą Marcellę. W wyglądzie wyzwolenicy wciąż można było dostrzec ślady wyrządzonej jej krzywdy – zarówno zdeformowane rysy mimo wszystko wciąż pięknego oblicza, jak i wyraz twarzy: gorzki i nieruchomy. Jej wzrok i ruchy straciły łagodność, którą zawsze się wyróżniała. Oktawia zastanawiała się, czy ta zmiana była spowodowana gwałtem, czy może rozzwierającym rozczarowaniem, jakiego dziewczyna doświadczyła na skutek postępowania Agrypy.

Matrona chciała podejść do swojej powiernicy, zapytać ją o samopoczucie, wyjaśnić, że być może Agrypa kocha ją, a postąpił tak nikkczemie wyłącznie przez wzgląd na dobro sekty; nie miała jednak pewności, czy chłopak nie znajdował przyjemności w igraszkach z Fulwią, wołała więc milczeć. Starła się skupić na rozmowach z innymi matronami zażywającymi wraz z nią kąpieli w tepidarium w łaźniach.

Chciała jak najlepiej wypełnić przydzielone jej zadanie, aby udowodnić bratu oraz pozostałym, że jest godna członkostwa w sekcje Marsa Mściciela. Bardzo jej zależało na tym, by pokazać członkom, że działanie kobiety mogło mieć kluczowe znaczenie dla realizacji ich celów. Mecenas zaproponował jej to jako wyzwanie, a ona ochoczo je podjęła. Miała przekonywać inne kobiety, aby wstawiały się u swoich mężów za Oktawianem, ponieważ w środowisku tym sprawa chłopaka wciąż budziła wiele wątpliwości. W tym celu Oktawia wynajęła całe łaźnie i zaprosiła tam żony najwybitniejszych przedstawicieli klasy ekwitów. Zatrudniła również najlepszych masażystów i żonglerów, a także kucharzy, których zadaniem było uprzyjemnić matronom czas spędzany w termach.

Mecenas wyjaśnił Oktawii, że klasa ekwitów ma dla nich dużo większe znaczenie niż klasa senatorów i właśnie tam powinni szukać wsparcia, nowych wyznawców oraz środków. Uważał, że senatorowie to gerontokracja uwikłana we wzajemne powiązania. Twierdził, że są uprzedzeni i żywią uporczywą wrogość wobec każdego nowego członka, tak jak wobec każdej nowości. Miał ich za małostkowych konserwatystów. To wszystko sprawiało, że nie wierzył, by Oktawianowi udało się zdobyć ich przychylność przed dojściem do władzy. Byli to ludzie skłonni przypochlebiać się komuś stojącemu wyżej niż oni sami, lecz nigdy osobie postawionej niżej od nich, nawet gdyby był to najdzielniejszy człowiek na świecie. Inaczej miały się sprawy z klasą ekwitów – ci czekali na przedstawicieli z silnym autorytetem, którzy mogliby roztoczyć nad nimi pieczę i dopomóc im w drodze po tytuły senatorskie. Majątki wielu jeźdźców¹⁶, w tym samego Mecenas, były niejednokrotnie porównywalne do tego, co posiadali liczni senatorowie, jeśli wręcz nie większe, dlatego ekwicy pragnęły również porównywalnej pozycji społecznej. Zgodnie z planem Etruska Oktawian miał się stać ich liderem i przy ich udziale oraz dzięki ich pieniądзом Rzym miał otrzymać nowe oblicze. Najpierw jednak Oktawia musiała ich przekonać, że właśnie jej brat jest osobą, w którą opłaca im się zainwestować i pieniądze, i nadzieje na

awans społeczny oraz polityczny. Musiała jak najlepiej wykonać swoją część misji.

— Cecyljo, bardzo jestem ci wdzięczna, że przyszłaś. Wiem, że twój mąż nie przepadał za Cezarem, dlatego obawiałam się, że będziesz nieco uprzedzona do naszej rodziny. — Słowa te kierowała do żony Tytusa Pomponiusza Attyka, ważnego i bogatego przedstawiciela ekwitów, przyjaciela Cycerona. Oktawianowi zależało, aby pozyskać go dla stronnictwa.

Kobieta, dużo starsza od Oktawii, zanurzona w wannie aż po piersi, opierała się o brzeg i rozkoszowała ciepłem wody. W tym czasie masażysta zajmował się jej szyją i ramionami. Kolejny niewolnik ustawił przed nią tacę ze świeżymi owocami, z której matrona skubała grona winorośli. Oktawia rozejrzała się i zobaczyła, że niemal wszystkie pozostałe matrony również czują się doskonale. Zgodnie z jej zaleceniami każda z zaproszonych była obsługiwana przez służbę.

— Och, droga Oktawio, w rzeczywistości Cezar nigdy nie szkodził mojemu mężowi, mimo że Pomponiusz przystał do stronnictwa Pompejusza. Wręcz przeciwnie, dyktator był mu zawsze bardzo życzliwy, nagroził nawet dwóch siostrzeńców mego męża, którzy walczyli pod Farsalos. Dlaczego więc mielibyśmy być źle do was nastawieni...

— Miło to słyszeć, moja droga — odrzekła Oktawia, przykucając obok niej. — Bardzo bym bowiem chciała, abyśmy zostały przyjaciółkami. Mój brat nieustannie zabiega o poparcie i rady Cycerona, a wszyscy wiedzą, że znamienity orator jest bliskim przyjacielem twojego męża. Oktawianem kierują wzniosłe pobudki, ale potrzebuje mądrych i doświadczonych przyjaciół, którzy by mu pomogli. Potrzebuje również ich wsparcia pieniężnego. Jest przekonany, że przyszłością Rzymu są ekwici: ludzie o świeżym spojrzeniu, otwartym umyśle, niezwiązani z wiekowymi rodami, które zmuszają senatorów do społecznego i politycznego bezruchu, tak zgubnego dla Rzymu i Rzymian. Gdy Oktawian dojdzie do władzy w *Urbe*, powierzy gospodarkę i urzędy właśnie ekwitom, ponieważ jest przekonany, że tylko oni są szczerze zainteresowani wzmocnieniem i wzbogaceniem skarbu państwa. O ile dojdzie do władzy...

— Pod pewnymi względami masz rację, moja droga. Mój mąż bezustannie narzeka, że nasza klasa jest tak słabo reprezentowana w polityce. Trzeba byłoby jakoś temu zaradzić. Arystokracja nie może bez przerwy stać

u sterów. Nic ich już z nami nie łączy poza nazwą. Ja żyję jak żona senatora, a może nawet lepiej i pozwalam sobie na większe luksusy.

— W takim razie porozmawiaj o tym ze swoim mężem. Cele Oktawiana są jasno sprecyzowane i każdy, kto zechciałby go wesprzeć w ich realizacji, może być pewny, że w przyszłości inwestycja zwróci się mu po tysiąckroć.

— Bez wątpienia tak zrobię, moja droga! — odpowiedziała kobieta. — Nie można dłużej głosować na ludzi, którzy nas nie reprezentują!

Oktawia uścisnęła jej ramię w geście wdzięczności, po czym ruszyła w kierunku kolejnej matrony, by odbyć z nią taką samą rozmowę. Zapowiadał się długi dzień, dużo bardziej męczący niż spokojny i leniwy żywot, do którego przywykła. Lecz mimo wszystko czuła się coraz lepiej i nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować z powierzonych jej ról. Gdyby jeszcze na koniec dnia mogła wrócić do małego Marka i wpaść w objęcia Gajusza Cherei, byłaby naprawdę szczęśliwa.

W szeregach *Martiae Victricis* zapanował chaos. Decyzja o decymacji została podjęta tak niespodziewanie, że żołnierze byli zbyt oszołomieni i dezorientowani, by zareagować inaczej niż rozpaczą. Straże przyboczne Antoniusza wyprowadzały ludzi wybranych przez trybunów. Stojący najbliżej towarzysze usiłowali ich zatrzymać, ale oprawcy skutecznie odstraszaali ich ostrzami mieczy. Tymczasem strażnicy wprowadzili pierwszych żołnierzy na podium i kazali im uklęknąć. Agrypa postanowił za wszelką cenę wyciągnąć z grupy skazańców Gajusza Chereę stojącego nieruchomo na czele swojej centurii. Pośpiech nie pozwalał mu jednak trzeźwo myśleć.

Tribunus laticlavus odezwał się do zgromadzonych:

— Oto, co dzieje się z ludźmi, którzy nastają na urzędników Rzymu i chcą osłabić skuteczność najpotężniejszej armii na świecie!

Na jego znak strażę podniosły miecze do góry, które po chwili opadły ciężko na szyje ofiar. Dwie głowy potoczyły się po podium, a następnie po schodach, pozostawiając za sobą ciemnoczerwony ślad.

— Macie jeszcze czas — odezwał się ponownie trybun — aby zadenuncjować intrygantów i wichrzycieli. Wzywam was! Sami wypchnijcie ich ze swoich szeregów, a niezwłocznie przerwiemy dziesiątkowanie!

Nikt jednak nie kwapił się, by to zrobić. Agrypy to nie dziwiło: legion

jednomyślnie przeciwstawiał się Antoniuszowi i właśnie dlatego konsul był zmuszony ukarać wybranych żołnierzy rękami pomocników. Nie mógł powierzyć tego zadania oddziałowi, jak zwykle się czynić w niezwykle rzadkich przypadkach, kiedy uciekano się do tej praktyki. Zgodnie bowiem ze zwyczajem skazani żołnierze byli zmuszeni przejść korytarzem uformowanym przez ich kompanów, którzy wymierzali im chłostę aż do uśmiercenia skazańców. W tym przypadku jednak nie podnieśliby na nich ręki.

Tymczasem strażnicy Antoniusza wraz z trybunami przeszli do dalszych szeregów, zbliżając się do jednostki Gajusza Cherei. Agrypa musiał się spieszyć, jeśli nie chciał się przyglądać egzekucji jednego z członków sekty.

Nagle doznał olśnienia. Rozejrzał się dookoła i zauważył, że uwaga całego obozu jest skupiona na egzekucji. Powiedział swoim współpracownikom, że czuje dziwny zapach, i poszedł na skraj obozu, do magazynu, w którym – jak się okazało – nie było wartowników. Część siana wciąż stała nieuprzątnięta przy ścianie budynku, ponieważ wydarzenia rozgrywające się przed *praetorio* przyciągnęły na plac nawet pracowników zajmujących się porządkowaniem zapasów. W pobliżu magazynu, tak jak i w wielu innych miejscach w obozie, stał kosz paleniskowy. O tej porze roku, a była późna jesień, żołnierze oraz obsługa mieli zwyczaj rozpalania ognia, aby rozgrzać się w czasiewieczornych lub nocnych zmian. Agrypa wziął kilka słomek, włożył je w płomień i zaczekał, aż zajmą się ogniem, po czym rzucił je na bale siana. Stał chwilę, patrząc na rozprzestrzeniający się żywioł. Kiedy uznał, że ogień jest wystarczająco silny, pospiesznie ruszył w stronę *praetorii*. Dobiegłszy do placu, zobaczył, że strażę Antoniusza dotarły do jednostki Cherei i wyciągnęły z szeregów pierwszego żołnierza. Istniała jedna szansa na sześć, że Gajusz zostanie wybrany spośród centurionów swojej kohorty.

Na szczęście stał z brzegu, tam, gdzie mógł usłyszeć wołanie. Agrypa podszedł do niego, udając zadyszenie:

— Centurionie! Pożar obok magazynu! Szybko, biegnijcie go gasić!

Gajusz spojrział na niego zdezorientowany. Jeden z pomocników odepchnął Agrypę.

— Idź stąd! — powiedział i zmierzył Chereę wzrokiem, zastanawiając się, czy wybrać go na trzecią ofiarę.

— Magazyn z sianem zajął się ogniem! — krzyczał Agrypa.— Istnieje

ogromne ryzyko, że płomień rozprzestrzeni się na cały obóz!

Tym razem to strażnik spojrział na niego zdeorientowany, nie wiedząc zupełnie, co robić. Nad ich głowy wiatr przywiał już kłęby dymu i to chyba ostatecznie przekonało strażnika do działania.

— Dobrze, centurionie, weź dziesięciu ludzi i idź jak najprędzej gasić — polecił.

Cherea nie kazał sobie powtarzać dwa razy. Bez zbędnej zwłoki przywołał do siebie dziesięciu stojących najbliżej żołnierzy i razem pobiegli w stronę cysterny stojącej parę kroków od magazynu. Agrypa powoli udał się za nim, przywołując swoich współpracowników na wóz. Kiedy dotarł do centuriona, zobaczył, jak on i jego ludzie, stojąc jeden przy drugim, podają sobie wiadra z wodą.

Gajusz zauważył Agrypę i podszedł na tyle blisko, by mogli swobodnie rozmawiać szeptem.

— Dziękuję. Oktawian musi się dowiedzieć, co dla mnie zrobiłeś.

Agrypa na krótką chwilę zatrzymał na nim swój wzrok.

— Nie. Oktawian nie — odpowiedział sucho. — Powiedz Mecenasowi, skoro twoim zdaniem tak należy postąpić. Powtórz wodzowi, jeśli uzna to za stosowne.

XIII

Oktawia była dumna ze swojego brata. Gdy tylko dowiedziała się o jego powrocie do Rzymu, niezwłocznie postanowiła wyjść mu naprzeciw, aby powitać go z odpowiednimi honorami. Wyjechał kilka tygodni wcześniej, nie dając później znaku życia, a teraz stał pod murami *Urbis* – niczym wielki generał, z armią liczącą dziesięć tysięcy mężczyzn. A nie miał nawet skończonych dwudziestu lat. Prawdziwym powodem jej pośpiechu była chęć jak najszybszego spotkania z bratem i dopilnowania, by nie wykluczono jej z zebraniasekty, które Oktawian zwoła najprawdopodobniej zaraz po przekroczeniu murów miasta; często bowiem on sam i pozostali członkowie uznawali obecność kobiety na zebraniach za zbyt dużą. Ograniczali się do informowania Oktawii o podjętych decyzjach.

Nie tego się spodziewała, wstępując w ich szeregi. Chciała brać udział w podejmowaniu decyzji, chciała mieć możliwość wyrażania swoich opinii i wpływania na bieg zdarzeń. Była pewna, że może się przysłużyć sprawie dużo bardziej niż Lucjusz Pinariusz i Kwintus Pediusz, których – mówiąc szczerze – nie uważała za geniuszów. Gdyby tylko Oktawian i Mecenaz, będący prawdziwym mózgiem stowarzyszenia, zechcieli dać jej szansę...

A jednak udało jej się tylko przywitać z bratem, ponieważ zaraz potem młody wódz wszedł po schodach świątyni Dioskurów, stojącej na obrzeżach Forum, i wygłosił przemowę do tłumu. Jego wejście do Rzymu poprzedziły pertraktacje. Tylko Sulla, a później Cezar, odważyli się przekroczyć mury Wiecznego Miasta z armią, dlatego mieszkańcy obawiali się, że Oktawian usiłuje postąpić podobnie. On sam nie zamierzał jednak dawać do zrozumienia, że chce naruszyć prawo obowiązujące w państwie. Zależało mu na tym, aby nie stracić zaufania Cyserona oraz aby nie zrazić ostatecznie do siebie senatu. Dlatego też pozostawił żołnierzy około piętnastu stadionów od murów miejskich i przekroczył bramę zaledwie z setką swoich ludzi, którzy otoczyli obszar wokół świątyni, skąd miał przemówić do ludu. Byli to weterani z Kampanii, którzy na dźwięk brzęczących monet postanowili wstąpić ponownie do armii. Wyglądało na to, że ich jedyną bronią jest ponury wyraz twarzy i że w ten sposób zamierzają chronić swego nowego dowódcę. W rzeczywistości – zgodnie z tym, co Pinariusz

powiedział Oktawii po szybkiej rozmowie odbytej z jej bratem – pod tunikami mężczyźni ci trzymali ukryte miecze, na wypadek jakichkolwiek problemów. Kuzyn mówił jej, że w powietrzu wisi kolejna wojna domowa, w związku z czym należy zachowywać pełną czujność.

Wojna domowa... Oktawię przeszedł dreszcz. Stworzyli sektę, aby kontynuować dzieło Cezara i przywrócić Rzymowi wewnętrzny spokój, który niegdyś stanowił solidną podstawę budowy silnego imperium, a teraz z rozmysłem prowadzili do wybuchu kolejnego konfliktu? Może gdzieś popełniała błąd w rozumowaniu? Konflikt między Antoniuszem a Decymusem Brutusem w sprawie Galii już istniał, a oni po prostu dołączali do walki, nie opowiadając się jednak po żadnej ze stron. Postanowiła ubrać swoje myśli w słowa i zwróciła się z pytaniem do Mecenasa. Wciąż nie mogła pojąć, dlaczego Oktawian zdecydował się na tak ryzykowny ruch.

— Moja droga Oktawio, nie dążymy do wojny domowej — wyjaśnił Etrusk nieznośnym tonem kogoś, kto udziela lekcji małej dziewczynce. — Przynajmniej nie chcemy jej wzniecać przeciwko Antoniuszowi. Pragniemy raczej, aby konsul zdał sobie sprawę z tego, że nie może walczyć na dwóch frontach i powinien sprzymierzyć się z nami przeciwko mordercom Cezara, poczynając właśnie od Decymusa Brutusa. Konsul jest nam potrzebny, a jeśli nie będzie chciał zawrzeć z nami porozumienia po dobroci, uczyni to pod przymusem. Teraz, kiedy dysponujemy armią, nie będzie miał wyboru. Przystąpi do układu z twoim bratem i w końcu będziemy mogli zająć się zemstą. Im mocniej wystraszymy Antoniusza, tym większe będą szanse na to, że zechce wesprzeć nasze działania.

Niczym na potwierdzenie słów Mecenasa rozległa się przemowa Oktawiana:

— Rzymianie, co zrobilibyście na moim miejscu? — skierował retoryczne pytanie do tłumu zgromadzonego u jego stóp. — Stalibyście bezczynnie, przyglądając się, jak mordercy waszego ojca poruszają się swobodnie w prowincjach, a ten, który powinien ich ukarać, realizuje własne marzenia o chwale, nie zważając na dobro państwa? Czyż nie staralibyście się zrobić wszystkiego, co w waszej mocy, by sprawiedliwości stało się zadość? I czy nie dążylibyście do tego, aby ten, kto winien dotrzymać nałożonych na niego zobowiązań, istotnie ich dotrzymał? Antoniusz jest nie tylko najwyższym urzędnikiem w Republice. Jest również moim krewnym i krewnym mojego ojca, był także najważniejszym namiestnikiem Cezara. A mimo to do dzisiaj

nie kiwnął palcem, by ukarać tchórzów, którzy odebrali życie dyktatorowi. Co nim powoduje? Lęk czy obojętność? Na jedno wychodzi. Ponieważ nie widzę, co innego mogłoby go skłonić do zaniedbywania własnego obowiązku, którego dopełnienie powinno być dla niego kwestią zwykłego odruchu! A teraz wyrusza do Galii, by zmierzyć się z Decymusem Brutusem. Wierzcie mi, nie kieruje nim poczucie sprawiedliwości, lecz wyłącznie pragnienie okrycia się chwałą! Chce przejąć całkowitą kontrolę nad *Urbe*, ponieważ stanowisko konsula to dla niego za mało. Prokonsulat w tak ważnej prowincji jak Macedonia także mu nie wystarczy! On chce wszystkiego, chce być panem Rzymu, jego tyranem! Chce was wystraszyć, aby osiągnąć to, czego pragnie. Ostrzegam was: ma do dyspozycji tak liczne legiony, że gdy ruszy w tę stronę, z pewnością nie zatrzyma ich u bram Rzymu, tak jak ja to uczyniłem. Wejdzie tu z uzbrojonymi ludźmi niczym Sulla! I nikt nie będzie mógł czuć się bezpiecznie!

Oktawia spojrzała na Mecenasa. Była pod silnym wrażeniem porywczego tonu Oktawiana i zastanawiała się, czy brat przypadkiem nie przesadza. Owszem, uczyli się, że polityk może powiedzieć o drugiej osobie wszystko, co najgorsze, a już dzień później iść z nią pod rękę, ale mimo wszystko była to ryzykowna gra. Etrusk zauważył jej zaniepokojenie.

— Nie martw się — powiedział z uśmiechem. — Przedstawiliśmy Antoniusza jako agresora i coraz bardziej odsuwamy go od ludzi. Wkrótce będzie w jeszcze gorszej sytuacji, zapewniam cię. A wtedy nie pozostanie mu nic innego, jak zwrócić się do nas o pomoc.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Oktawia była poirytowana tym, że nie informowano jej o planach.

— Poczekaj, sama zobaczysz... — Po tej lakonicznej odpowiedzi Mecenaz zamilkł znacząco, wsłuchując się w przemowę Oktawiana.

Matrona skrzywiła się z niesmakiem. Postanowiła jak najszybciej porozmawiać z bratem. Traktowanie jej jak członka niższego rzędu tylko ze względu na płeć było jej zdaniem nie do przyjęcia. Wprawdzie nie zrobiła dla sekty tak wiele jak Mecenaz, nie widziała jednak powodu, dla którego chociażby Salwidienus Rufus miałyby wiedzieć więcej niż ona, skoro miała większe wpływy w rzymskich elitach niż młody trybun i mogła przysłużyć się sprawie lepiej niż on. Postara się, aby wszyscy szybko się o tym przekonali – nie w ten sposób, to w inny.

Etain przysłuchiwała się w roztargnieniu przemowie Oktawiana. Przez jej umysł przetaczały się nieustannie miriady obrazów. Z całego serca pragnęła, aby odeszły na zawsze. Prześladowały ją wspomnienia gwałtu: ból, jaki zadano jej w tym ciemnym magazynie, cuchnący odór napastników i ich dzikie twarze, obrzydzenie, jakie budził w niej kontakt z ich ciałami, ponizenie, którego doświadczyła, stając się przedmiotem w ich rękach. Bała się, że dręczący ją bezustannie koszmar na jawie nigdy nie da jej spokoju.

Nie znajdowała wytchnienia między jednym przebłyskiem wspomnień a kolejnym. Sceny tego feralnego dnia przeplatały się bez końca ze wspomnieniem Agrypy, lecz nie były to czułe i porywające chwile, które spędzali razem. Tamte momenty zdawały się teraz ginąć we mgle pamięci. Ich miejsce zajęło upiorne widmo intymnych schadzek jej kochanka z Fulwią. Na wspomnienie tej kobiety przed oczami Etain stawały odrażające freski przedstawiające akrobacje seksualne z udziałem mężczyzny, który niegdyś wyznał jej szaleńczą miłość, i żony Antoniusza. Żołądek zaciskał się jej w rozpaczy i odrazie. Związała się z Agrypą, nie robiąc sobie początkowo zbyt wielkich nadziei: chłopakowi pisana była chwała, więc zdawało się oczywiste, że szybko zacznie się interesować innymi kobietami, ponieważ znajomość z nimi mogła mu przysporzyć większych korzyści, a także umocnić jego rangę społeczną. Ale Etain szybko uległa jego namiętności, uwierzyła jego słowom, zaczęła żywić nadzieję, że ich związek może przetrwać. Wspólna przynależność do sekty dodatkowo umacniała ją w przekonaniu, że to, co ich łączy, jest coraz silniejsze i może kiedyś będą kimś więcej niż kochankami.

Na bogów! Czuła się już jego kobietą i miała wrażenie, że on tak właśnie ją traktuje! Tymczasem zabawiał się z innymi. Kto wie, z iloma miał romans, szepcząc jej do ucha miłosne wyznania i udając wielkie uczucie... A może stracił głowę dla Fulwii, dla matrony, która mogła przecież zdobyć każdego. Etain nie mogła nawet z nią konkurować. Żona Antoniusza była nie tylko jedną z najpiękniejszych i najbardziej pożądanych Rzymianek, lecz należała również do warstwy, do której Agrypa bez wątpienia aspirował. Dziewczyna była skłonna szukać dla niego usprawiedliwienia, gdyby nie złość z powodu zdrady i steku kłamstw, które od niego usłyszała. Cieszyła się, że Oktawian wyrzucił go z sekty. Nie interesował ją powód tej kary. Ponoć chodziło o to, że zemścił się na jej oprawcach. I chociaż myśl o tym, że więcej go nie zobaczy, sprawiała jej ból, miała pewność, iż z czasem nauczy się myśleć bez

bólu o utraconej miłości.

Naucz się również kontrolować własne uczucia. Już nigdy więcej nie da się zwieść mężczyźnie. Może wręcz nigdy nie da się już żadnemu dotknąć? Na samą myśl, że jakaś męska dłoń – jakakolwiek dłoń – mogłaby musnąć jej skórę, zbierało jej się na wymioty.

— Słyszałem o tym, co cię spotkało. Ogromnie mi przykro. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Czyjś szept wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się i napotkała chytre spojrzenie Salwidienusa Rufusa. Następny, który chce się zabawić jej kosztem.

— Staram się zapomnieć. Dziękuję ci za troskę, Rufusie — odpowiedziała chłodno.

Chłopak wydawał się niezrażony.

— Nie odpowiedziałas mi na pytanie. Mogę coś dla ciebie zrobić?

„Możesz zostawić mnie w spokoju” — pomyślała Etain. Miała już otworzyć usta i powiedzieć mu to, lecz coś ją powstrzymało. W końcu Rufus nie był niczemu winien.

— Teraz potrzebuję po prostu spokoju i ciszy — odparła w nadziei, że mężczyzna domyśli się, iż chce być sama.

Ale Rufus się nie domyślił.

— To chyba niezbyt odpowiednie pragnienie dla kogoś, kto należy do sekty Marsa Mściciela, szczególnie teraz. Możemy stać u progu nowej wojny domowej — powiedział, lekko się uśmiechając.

— Potrzebuję spokoju wewnętrznego, to miałam na myśli. Wiem, że czeka nas coś zupełnie innego. Ślubowaliśmy walczyć do samego końca, by została wymierzona sprawiedliwość i aby do Rzymu powrócił pokój. — Mówiła obojętnym tonem, jakby recytowała główne cele sekty.

— Niekoniecznie — odrzekł. — Jeśli sprawy pójdą tak, jak się spodziewamy, może ofiary nie będą tak wielkie i uda nam się utrzymać kontrolę nad wydarzeniami.

— Czyżby? Jak można to zmienić? Wygląda na to, że Marek Antoniusz jest gotowy zagarnąć wszystko, a wojna to jedyny sposób, by go powstrzymać.

— Zobaczysz, że tak czy inaczej Antoniusz się opanuje. A ty odnajdziesz spokój, którego tak bardzo potrzebujesz. Mam nadzieję, że będę mógł przyczynić się i do jednego, i do drugiego — powiedział z uśmiechem

pełnym czułości.

„Udaje, bez wątpienia” — pomyślała Etain. „Tak samo, jak udawał Agrypa”.

Rufus najwyraźniej nie chciał zdradzić jej zamiarów przywódców sekty i wcale jej to nie zdziwiło – nie dość, że była wyzwolenicą, to jeszcze kobietą. Tania siła robocza, nic więcej; podobnie jak ci Germanie, których Oktawian postanowił przyjąć na służbę.

— Szczerze mówiąc, Rufusie, nie wiem, w jaki sposób miałbyś mi pomóc.

— Mógłbym, na przykład, od czasu do czasu dotrzymać ci towarzystwa, jeśli mi na to pozwolisz.

— Ja... teraz nie mam ochoty spotykać się z kimkolwiek.

— Rozumiem cię — nie ustępował, starając się okazać jej swoje wsparcie. — Po tym wszystkim, co wycierpiałaś, nie może być inaczej. Domyślam się, że odkrycie związku Agrypy z Fulwią było dla ciebie dodatkowym cierpieniem. Ale nie obawiaj się, chciałbym z tobą tylko porozmawiać. Jesteś sympatyczną osobą i przebywanie z tobą, rozmowa byłyby dla mnie przyjemnością. Twój głos jest taki melodyjny! Gdy mówisz, mam wrażenie, jakby ktoś mnie kołysał.

Te słowa poruszyły Etain. Ale pamiętała, że obiecała sobie, iż nie da się więcej zwieść męskim opowiastkom. Rufus z pewnością przyjął taką taktykę, aby prędzej czy później zaciągnąć ją do łóżka, a ona nie miała na to najmniejszej ochoty. Gdyby jednak Agrypa dowiedział się, że spotyka się z nią jego przyjaciel i rywal, może poczułby żal lub chociaż zrobiłoby mu się przykro. Marne to pocieszenie, lecz przynajmniej pokazałaby mu, że nie jest żalowaną ofiarą ślepej miłości do niego.

— Będzie mi bardzo miło — odrzekła w końcu. Słowa same wymknęły się z jej ust.

Rufus uśmiechnął się i oboje ponownie skierowali swoją uwagę na Oktawiana stojącego tuż nad ich głowami, na schodach świątyni Dioskurów. Etain zauważyła, że atmosfera uległa zmianie. Młodzieniec skończył przemawiać. Obok niego stał Mecenas. Obaj prowadzili ożywioną rozmowę. Żołnierze przybyli z Oktawianem zdawali się podenerwowani. Niektórzy nawet dobywali mieczy. Największe poruszenie panowało jednak wśród tłumu. Rufus pozostawił ją samą i wszedł po stopniach prowadzących na podium świątyni. Wytężyła słuch, by dowiedzieć się, co mówią zgromadzeni wokół ludzie.

— Nie chcemy wojny! Nie chcemy walk na ulicach miasta! — rozpaczła kobieta z dzieckiem na ręku.

— Byłem tu, kiedy armia Sulli walczyła ze zwolennikami Mariusza! — wykrzyknął ze złością, ale i z oburzeniem jakiś starzec. — I nie mam zamiaru ponownie być świadkiem takiego świętokradztwa w *Urbe*!

— Antoniusz ma wiele legionów! Może doprowadzić do masakry, jeśli ktoś odważy się mu przeciwstawić! Tak jak uczynił Mariusz, gdy odzyskał władzę!

— Antoniusz to wielki generał. Jest także konsulem! Nie powinniśmy mu się sprzeciwiać! Należy się z nim sprzymierzyć, zamiast z nim walczyć!

Etain zauważyła, że ostatnie słowa wykrzyczał jeden z weteranów, którzy weszli wraz z Oktawianem do miasta jako straż przyboczna. Zaraz potem jego kompani zaczęli popierać go głośnymi okrzykami.

— Myślałem, że jesteśmy tu dla pojednania, nie po to, żeby z nim walczyć. Nie chcę stawać przeciwko mojemu staremu dowódcy! — wołał kolejny żołnierz.

Wyzwolenica spostrzegła, że Oktawia również wchodzi na schody, by pomówić z bratem. Zaraz potem zeszła i skierowała się w stronę służki. Tymczasem tłum zaczął się rozpraszać, a ci, którzy zostali, zaczęli nawoływać do pokoju.

Matrona ujęła dziewczynę pod ramię i pchnęła w kierunku lektyki czekającej nieopodal, poza obszarem świątyni.

— Musimy jechać. Nadchodzi Antoniusz z oddziałami. W mieście mogą wybuchnąć walki — powiedziała wzburzona Oktawia, idąc szybkim krokiem.

— I co teraz zrobimy? — zapytała Etain, gdy wsiadała do lektyki.

— My? Nic. Będziemy czekać w domu, jak każe Oktawian. On schroni się we włościach Mecenasa, w Arretium. Prawdę mówiąc, nie wyglądali na zmartwionych, ani on, ani Etrusk. Są zupełnie nieświadomi tego, co się dzieje: Antoniusz dzierży teraz nieograniczoną władzę, toteż opór może ich drogo kosztować. Nikt nie jest w stanie go zatrzymać, jeśli zdecyduje się złamać wszystkie prawa! Wiedziałam, trzeba było mierzyć siły na zamiary... A jeśli Antoniusz udał się do Galii, wyjazd Oktawiana na północ na niewiele się zda. Konsul go tam znajdzie...

— Nie mówiąc o tym, że jego zachowanie zostanie odebrane jako ucieczka. Naród nie będzie zachwycony taką postawą — powiedziała Etain,

podczas gdy tragarze próbowali nie utonąć w morzu ludzi powracających do domów.

— Z tego, co zrozumiałam ze słów Mecenasa, nasi mają nadzieję, że Oktawian będzie postrzegany jako człowiek zabiegający o pokój, a Antoniusz jako prowokator. Naród jest po naszej stronie. Teraz przede wszystkim potrzebujemy wsparcia senatu, a to możemy uzyskać, tylko jeżeli pokażemy, że jako jedyni jesteśmy w stanie skutecznie powstrzymać ambicje konsula. Tak więc musimy podjąć ryzyko.

Etain nie odpowiedziała. Spoglądała na biegnących ludzi, na twarze pełne niepokoju, często przerażenia. Zastanawiała się, na ile może im się przydać wsparcie ludu i senatu w walce z doświadczonym strategiem stojącym na czele wielu legionów. Pompejusz Wielki, który walczył z Cezarem, dysponował podobnymi siłami, lecz nic mu to nie pomogło.

Pompejusz był doświadczonym wodzem. Oktawian zaś był właściwie jeszcze chłopcem, do tego chorowitym, a jedyny prawdziwy żołnierz, jakiego sekta miała w swoich szeregach, został z nich wykluczony...

— Co robisz?

Optio potrząsnął swoją długą laską, podtykając ją pod nos Agrypie, który razem z belami siana dla kawalerii *Martiae Victricis* dostarczył magazynierom nowe ulotki przesłane przez Mecenasa. Chłopak z miną winowajcy, przestraszony, usiłował wsiąść na wóz, ale podoficer rozkazał robotnikom go zatrzymać. Pochwycili więc Agrypę za ramiona i ściągnęli na ziemię, zanim zdołał sięgnąć po skrzynkę.

— Spójrzmy... co też tu jest napisane — burknął *optio*, przyglądając się małemu kawałkowi papirusu. — A to ciekawe... *Żołnierze! Marek Antoniusz jest dowódcą niegodnym rzymskiego legionisty. Dziesiątkuje wasze oddziały, lekceważy was, wypłaca symboliczny żołd i wzywa do walki przeciwko współobywatelom. Uważajcie, abyście nie stali się współnikami przestępcy. Przestępca, który przede wszystkim bruka pamięć waszegoumiłowanego dowódcy, Gajusza Juliusza Cezara, odmawiając zemsty za jego śmierć!*

Optio rzucił z pogardą kartkę na ziemię, obok Agrypy, i z całej siły wymierzył mu cios laską. Uderzenie wieńczącej ją metalowej kulki w brzuch sprawiło, że chłopak stracił dech w płucach i grunt pod nogami. Agrypa zgiął się w pół. Nie runął na ziemię, tylko dlatego że przytrzymało go dwóch

magazynierów.

— No proszę, a więc to ty szerzysz bunt, tak? — Oficer chwycił go za włosy i uniósł jego głowę. Dysząc mu prosto w twarz, zapytał ze złością: — Kto ci płaci, knypku? Ten chłopaczek, Oktawian, prawda?

Agrypa spojrział na niego, otworzył usta i splunął na oficera. Odpowiedzią był kolejny cios laską, tym razem w mostek.

— Zadałem ci pytanie, knypku. Kto ci płaci? — nie ustępował *optio*, plując chłopakowi w twarz.

Czekał na odpowiedź i wciąż uderzał okrągłym zakończeniem laski w dłoń.

— Robię to niezależnie, sam... — mruknął Agrypa. — Nie lubię Antoniusza.

Kolejny cios spadł na niego w tym samym miejscu co poprzedni, lecz chłopak odczuł go dużo silniej. Przemknęło mu przez myśl, że nigdy wcześniej nie doświadczył takprzeszywającego bólu.

— Dobra, załóżmy, że pracujesz na rozkaz Oktawiana — oświadczył *optio*. — Chcę wiedzieć, kim są twoi towarzysze. W ciągu kilku ostatnich tygodni zarzuciliście obóz ulotkami, najpierw w Brundyzjum, a później wzdłuż całej Drogi Apijskiej. Wygląda na to, że winnych należy szukać wśród dostawców paszy. Rozwozicie zatrutą paszę — ironizował.

Czekając na odpowiedź, przesunął ciężkim zakończeniem laski po twarzy Agrypy, od czoła po brodę. Chłopak wiedział, że *optio* nie ruszy jego twarzy, nie miał prawa oszpecić rzymskiego obywatela. Tak jak i nie miał prawa go torturować. W nadziei, że uda mu się wyciągnąć od chłopaka jakieś informacje, którymi mógłby zapunktować u swoich przełożonych, okładał go po całym ciele tak, aby nie zostawić śladów.

Agrypa wciąż nie odpowiadał. Podoficer wymierzył mu kolejny cios, tym razem niżej, w udo, a następniedwa w brzuch, aż w końcu uznał, że ma do czynienia z wyjątkowo twardą sztuką.

— Dobrze, zajmie się tobą trybun — powiedział rozczarowany oprawca i zabrał go do aresztu.

Agrypa nie był w stanie utrzymać się na nogach. Dwóch magazynierów musiało go podtrzymywać, aby podoficer mógł wyprowadzić chłopaka z budynku. Gdy wyszli, *optio* przywołał dwóch żołnierzy i rozkazał im przejąć pojmanego od magazynierów. Agrypę zaciągnięto przed *praetorio*, gdzie urzędował najwyższy rangą oficer w legionie.

Razem z Martia Victrice prowizoryczne obozowisko na wysokości Ortony, w Samnium, rozbiły również trzy inne legiony, które opuściły Brundyzjum. Zgodnie z wolą konsula miały ruszyć do Rimini, podczas gdy on Drogą Apijską zmierzał do Rzymu. Agrypa przez cały czas rozprawiał w oddziale ulotki podburzające przeciwko Antoniuszowi. Teraz jednak, kiedy Antoniusz dotarł do *Urbis*, należało zdwoić wysiłki. Agrypa właśnie próbował to zrobić.

Optio kazał zawołać trybuna, który po kilku chwilach wyszedł z budynku. Był to jeden z tych, którzy zastąpili oficerów uczestniczących w buncie w Brundyzjum. Chłopak nie miał wątpliwości, że człowiek ten należy do obozu konsula.

Trybun zamienił parę słów z *optione*, a następnie zmierzył więźnia wzrokiem.

— I nie ma zamiaru mówić? — zapytał podwładnego.

— Raczej nie. Nie pomogły nawet moje uprzejme prośby — odrzekł *optio*.

— W takim razie nic nam po nim. Konsul kazał bez zbędnych ceregieli zabijać każdego, kto zostanie przyłapany na podżeganiu do buntu. Należy takich karać natychmiast. Zajmij się tym, oficerze. Na mój znak.

Agrypa poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Wszystko działo się zbyt szybko. *Optio* nakazał dwóm żołnierzom rzucić go na kolana, odłożył laskę i dobył gladiusa. Tymczasem trybun wszedł na schody prowadzące do *praetorii*, przywołał *cornicinem*¹⁷ i nakazał mu zagrać na zbiórkę. Agrypa klęczał z pochyloną głową. Wokół wznosiły się tumany kurzu wzbijanego przez dziesiątki, setki aż w końcu tysiące żołnierskich sandałów.

— Żołnierze! — wykrzyknął trybun. — Przyłapaliśmy na gorącym uczynku dostawcę paszy, gdy rozprawiał ulotki propagandowe przeciwko naszemu głównemu dowódcy! Zgodnie z rozkazem konsula człowiek ten zostanie ukarany, aby każdy z was wiedział, że obowiązuje tu surowa dyscyplina!

Trybun zamilkł. Oddział również stał w milczeniu. Skazaniec poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Nie słyszał żadnego głosu sprzeciwu. Nikt nie powiedział nawet pół słowa w jego obronie. W każdej chwili na jego szyję mogło spaść ostrze gladiusa należącego do *optionis*. „Gajuszu Chereo, na co czekasz?” — zastanawiał się Agrypa.

— Już jest!

Kwintus Pediusz wbiegł do triklinium w domu Klaudiusza Marcellusa i Oktawii. Był tak rozgorączkowany, że wyprzedził stróża, który zamierzał powiadomić o jego obecności.

— Przybył Antoniusz! Wkroczył z całą kohortą!

Oktawia bawiła się z córką siedzącą na drewnianym koniku. Mąż, zajęty krzątaniem, pojawił się na progu pokoju sąsiadującego z *tablino*. Matronę poirytowała nieostrożność gościa. W obecności Marcellusa nie mogła swobodnie rozmawiać z kuzynem o konsekwencjach przybycia Antoniuszadla spraw stowarzyszenia, bowiem mąż nie wiedział nawet o jego istnieniu.

— Nareszcie zjawia się ktoś, kto zaprowadzi choć trochę porządku w tym chaosie — skomentował Marcellus, tym samym kolejny raz potwierdzając, że decyzja o niewtajemniczeniu go w sprawy sekty, była słuszna.

— Nie możesz zrozumieć — odezwała się — że Antoniusz pojawia się w mieście ze swoim wojskiem nie po to, by zaprowadzić porządek, ale by zastraszyć lud i senat?

— To nie ma znaczenia. — Marcellus wzruszył ramionami. — Gdy wszyscy będą się bać, wróci spokój. A wtedy każdy zacznie znowu robić to, do czego został powołany i za co bierze pieniądze.

Kwintus Pediusz usiadł w triklinium, mimo że nikt go nie zapraszał. Oktawia od razu dała znak Etain, aby z kuchni przyniesiono owoce dla gościa.

— Tak naprawdę — uściślił kuzyn, zwracając się do pana domu — nie chodzi tylko o jedną kohortę. Konsul rozbiłobóz kilka mil od miasta, przy Drodze Apijskiej. Pilnują go oddziały konne i dziewięć innych kohort z legionu, który przybył razem z nim. Tymczasem pozostałe legiony macedońskie maszerują wzdłuż wybrzeża adriatyckiego. Teoretycznie kierują się do Ariminum, gdzie staną przeciwko Decymusowi Brutusowi.

— Dlaczego „teoretycznie”? — zapytała Oktawia.

— Ponieważ mimo wszystko wciąż są w zasięgu ręki w razie potrzeby mogą ruszyć na zachód, by przypadkowo znaleźć się w pobliżu Rzymu...

— Czyli wcale nie jest pewne, że pierwszym celem Antoniusza będzie Galia — odpowiedziała.

— Nie, nie można mieć takiej pewności — zgodził się Pediusz. — Mimo że Antoniusz zatwierdził swego czasu ustawę zabraniającą wprowadzenia

dyktatury, teraz siłą może ją znieść. Możliwe, że tytuł konsula i prokonsula Galiito dla niego za mało.

Oktawia była pewna, że to pogłoska puszczona w obieg przez sektę. Jeżeli Mecenas mówił prawdę, przed wyjazdem do Arretium Oktawian chciał zadbać o to, by wśród ludu utrwalił się wizerunek Antoniusza jako potencjalnego tyrana. I rzeczywiście, konsul dawał wiele powodów ku temu, by w ten sposób go postrzegać, dlatego przekonanie ludu i senatu do tej wersji nie stanowiło dużego problemu. Niemniej jednak bez odpowiedniej liczby oddziałów, które mogłyby stawić czoła jego sile militarnej, opinia ludu na niewiele się zdawała.

Na Marcellusie nie zrobiło to wrażenia.

— Im więcej wojsk zgromadzi Antoniusz, tym mniejsze będą szanse na dokonanie zamachu stanu przez nadgorliwców, których nie brak ostatnimi czasy w mieście. Mam wrażenie, że wszyscy czują się tutaj Cezarami!

Oktawia westchnęła ciężko. Komentarze Marcellusa świadczyły o jego tępotcie, która robiła się nie do zniesienia.

Kwintus Pediusz dał się jednak sprowokować:

— Ależ wszedł do miasta, jakby organizował własny triumf! — tłumaczył. — Przekroczył Bramę Apijską na rydwaniu zaprzężonym w cztery białe konie, przyodziany w togę usianą złotymi gwiazdami, a jego głowę zdobił wieniec laurowy. Brakowało jedynie wozu z łupem wojennym, chociaż jasne jest, że łupy chce zdobyć w Rzymie. Wystawcie sobie, że od razu skierował się do Ogrodów Pompejusza, gdzie mieszka, i otoczył posiadłość żołnierzami, którzy salutują do siebie, jakby znajdowali się w obozie. A zważywszy na to, że nie przeprowadził żadnej kampanii wojennej, ewidentnie świętuje triumf w związku ze zwycięstwem nad nami, Rzymianami. Co za zuchwałość!

— Prawdopodobnie zwycięstwo nad Decymusem Brutusem w Galii uznał już za pewnik — stwierdziła matrona.

— Albo też chce pokazać, że Oktawian uciekł, zanim doszło do konfrontacji, i świętuje swego rodzaju zwycięstwo nad nim — odpowiedział Pediusz. — Zwołał na jutro obrady senatu i mówi się, że chce zadenuncjować twojego brata. Naprawdę, martwię się. Wywierając presję na senatorach z taką ilością wojska za sobą, może właściwie uzyskać od nich wszystko, co mu przyjdzie do głowy...

„W tym także okrzykniecie Oktawiana wrogiem publicznym” —

pomyślała i poczuła, jak po jej plecach przechodził drżący zaniepokojenia.

— Nie musi się usprawiedliwiać ten, kto mówi prawdę!— Donośny okrzyk dobiegł z tłumu żołnierzy zgromadzonych wokół *praetorii*.

Agrypa odczekał jeszcze chwilę i w końcu odetchnął z ulgą. Jeszcze wiele musiało się wydarzyć, aby zostały zrealizowane wszystkie elementy ich planu. A przede wszystkim aby on sam wyszedł cało z tej sytuacji. Kiedy miecz *optionis* wisiał tuż nad jego głową, to, że ostrze spadnie na jego szyję, zanim plan w ogóle zacznie nabierać kształtów, wydawało mu się bardzo prawdopodobne.

Tymczasem w tumie dało się słyszeć kolejny pojedynczy głos protestu:

— Skończcie z egzekucjami! Nie tak dowódca powinien zdobywać sobie szacunek żołnierzy! — Ale głos ten był zbyt odosobniony. Prawdopodobnie należał do jednego z ludzi opłaconych przez Gajusza Chereę. Agrypa poczuł, że oblewa go zimny pot.

— Uwolnijcie go! Po prostu nazywał rzeczy po imieniu!

— Marek Antoniusz dba wyłącznie o własne interesy!

— My, żołnierze, wcale go nie obchodzimy!

— Niechby pomścił Cezara, zamiast myśleć tylko o władzy!

— Niechby zapłacił jak należy żołnierzom. Mamy dosyć jałmużny!

— Oktawian wie, jak płacić! Dla niego najbardziej liczy się zemsta za śmierć Cezara, a nie konszachty!

— Tak, wolimy Oktawiana! Jest spadkobiercą Cezara! Jest jego synem! On jeden troszczy się o interes żołnierzy!

Agrypa odprężył się na chwilę, o ile w ogóle było to możliwe w przypadku kogoś, kto czeka, aż na jego szyję spadnie miecz. Tym razem słyszał wiele różnych głosów. To nie mogli być wyłącznie żołnierze opłaceni w celu wywołania buntu. Odważył się unieść głowę i zobaczył, że stojący nad nim podoficer rozgląda się dookoła dezorientowany. Spojrzał również na żołnierzy: większość z nich wpatrywała się złowrogo w *optionem* i trybuna, który z kolei postąpił kilka kroków w tył po schodach *praetorii*, gotowy, by przeskoczyć próg i ukryć się wewnątrz budynku.

Doskonale, dowódca nie był człowiekiem o lwim sercu. Agrypa zauważył gwałtowne poruszenie w tłumie. Pióropusz centuriona pojawiał się co chwilę pomiędzy dwoma żołnierzami, a jego laska z drewna winorośli wzlatywała

ponad ich głowami.

— Uciszcie się! — krzyczał oficer, okładając laską dwóch legionistów. — Tutaj wykonuje się rozkazy dowódcy! Jesteśmy rzymskim legionem, a nie jakąś barbarzyńską hordą!

Trybun, obserwując tę scenę, odzyskał rezon.

— Na co czekasz? Wykonaj wyrok! — rozkazał oficerowi, który wciąż trzymał gladius uniesiony w powietrzu.

Optio zawahał się, tymczasem żołnierze nie przestawali krzyżeć: skandowali imię Oktawiana i rzucali obelgi pod adresem Antoniusza. Kilku z nich wystąpiło do przodu. Wtedy podoficer odskoczył od skazańca, spojrział na podchodzących legionistów, następnie na trybuna i zamarł. Agrypa miał nadzieję, że *optio* boi się linczu, którego dokonano by na nim, gdyby wypełnił rozkaz zwierzchnika.

Kilku centurionów wyszło jednak z szeregów. Zaczęli wymachiwać swoimi laskami, zagradzając drogę zbliżającym się żołnierzom i zmuszając ich, by cofnęli się na swoje miejsca. Spotkali się za to z obelgami i oskarżeniami o lizusostwo, ale pozornie udało im się zaprowadzić porządek.

Znowu zaczynało się robić nieciekawie, tym bardziej że trybun miał teraz poparcie innych oficerów i znowuzszedł ze schodów.

Poirytowany niezdecydowaniem *optionis* podszedł do niego i wyrwał mu z ręki gladius.

— Jesteś tchórzem! Odpowiesz za to, możesz być tego pewny! — wykrzykiwał histerycznie. — Antoniusz potrafi jedynie dobierać sobie oficerów, którzy nie są w stanie zapanować nad legionistami.

Agrypa poczuł, że jest zgubiony. Nad głową usłyszał dyszenie zdenerwowanego trybuna; nie był on tak pewny siebie, na jakiego chciał wyglądać, i podobnie jak jego poprzednik bał się reakcji oddziału. Tym razem musiał to zrobić. Gdyby się cofnął, straciłby resztki szacunku. Żołnierze przestawali obrzucać go obelgami, a centurioni wciąż okładali buntowników laskami. Agrypa czekał na cios, który jednak nie nastąpił. Uniósł głowę i zobaczył, jak jeden z żołnierzy wyrwa *vitignum*¹⁸ z rąk centuriona. Zaskoczony oficer znieruchomiał. Nie zdążył zrobić uniku i zatoczył się pod ciosem wymierzonym przez podwładnego prosto w hełm. Kolejny centurion ruszył z obnażonym gladiusem, by zatopić go w gardle buntownika i wytrącić mu z rąk laskę. Pozostawił jednak bez nadzoru cały sektor, do którego przesunęła się reszta żołnierzy. Nazbierali kamieni

i zagrozili trybunowi, że zaczną nimirzować w jego stronę.

Dowódca cofnął się, zostawiając Agrypę samego. „Teraz” — powiedział do siebie chłopak. „Teraz albo nigdy”. Oficerowie mogli jeszcze przejąć kontrolę nad sytuacją, gdyby trzymali się razem, blisko siebie.

— Żołnierze! *Options!* Centurionowie! Nie jesteśmy już winni posłuszeństwa Antoniuszowi. Byliśmy i zawsze będziemy żołnierzami Cezara. Nie możemy służyć pod rozkazami człowieka, który nie chce go pomścić.

Jeden z centurionów wskoczył na schody *praetorii*. *Gajusz Cherea, nareszcie!* Jego słowa ginęły wśród okrzyków poparcia, ale było także słychać głosy sprzeciwu i przywoływanie do porządku.

— Chce, abyśmy wyruszyli z nim walczyć przeciwko Brutusowi Decymusowi w Galii, lecz nie po to, by pomścić dawnego wodza. Pragnie zaspokoić swoją osobistą żądzę władzy! Wszyscy jesteśmy dla niego mięsem armatnim. Poświęca nas dla własnych celów! Chce zaatakować Decymusa Brutusa, ale nie ogłosił wrogami państwa morderców naszego starego, najchwalebniejszego wodza, tego, który pokazał wam, że bycie rzymskim żołnierzem jest powodem do dumy. Dzisiaj zaś Antoniusz sprawił, że stało się to dla was źródłem wstydu.

Kilku centurionów uniosło zaciśniętą pięść, a paru *options* niezwłocznie powtórzyło ich gest. Pozostali oskarżali ich o zdradę i dobywali gladiusów, lecz nie spieszyli się z ich użyciem, musieli bowiem uważać na innych żołnierzy, którzy coraz liczniej wykrzykiwali wyzwiska pod adresem Antoniusza.

Cherea nie przerywał. Agrypa rozkoszował się jego słowami, chociaż trybun wciąż stał obok niego.

— Oktawian płaci dobrze każdemu, kto zdecyduje się iść za Cezarem, oddając się pod rozkazy jego spadkobiercy. Z nim będziemy mogli uczestniczyć w kampaniach, które napełnią nas dumą rzymskich żołnierzy. Będziemy z nim stawać do bitew o chwałę Rzymu, nie o zyski prywatnych osób. Tak właśnie uczyniłby Cezar, który planował zdobyć wraz z nami największe imperium na ziemi – Królestwo Partów, idąc w ślady Aleksandra Wielkiego! Oktawian nie zamierza wyprawiać się z nami na wojnę domową, chce bowiem, byśmy wspólnie budowali imperium o silnych i bezpiecznych granicach. Co wolicie pewnego dnia opowiedzieć swoim dzieciom? Że zabiliście przyjaciela, a może nawet krewnego w bratobójczej walce? Czy

raczej, że dotarliście aż na kraniec świata, niosąc rzymską cywilizację i pokonując walecznych wrogów?

Po tych słowach rozległy się powszechne okrzyki poparcia. Wielu skandowało imię Oktawiana i nie byli to wyłącznie opłaceni żołnierze. Niektórym z najbardziej wrogo nastawionych centurionów odebrano broń, by nie mogli nikomu zaszkodzić. Trybun próbował uciszyć tumult, krzycząc przeraźliwie, lecz gdy w jego pancerz trafił pierwszy kamień, ponownie wycofał się aż na próg *praetorii*.

— Proponuję uwięzić lizusów Antoniusza i odesłać mu ich wraz z serdecznymi pozdrowieniami — kontynuował Cherea.— Niech od tego momentu Martia Victrix znowu należy do Cezara. Zgłoszmy naszą gotowość jego synowi. Ruszajmy w kierunku Arretium, gdzie Oktawian czeka na nas z pewnym żołdem i silną motywacją, które pozwolą nam odzyskać żołnierski honor!

Ostateczna zmiana obozu została potwierdzona głośnymi okrzykami. Głosy sprzeciwu uciszono. Agrypa nareszcie odetchnął, a ponieważ nie widział w pobliżu ani *optionis*, ani trybuna, dźwignął się z kolan.

Naprzeciwko niego stał Gajusz Cherea i spoglądał drwiąco.

— Nie spieszyłeś się — wycedził lekceważąco Agrypa.

— Wszystko było pod kontrolą — odparł centurion z uśmiechem. — Ani na chwilę nie spuszczałem z oka miecza i *optionis*. Gdybym wkroczył do akcji wcześniej, przeszkodziłoby mi pozostali centurionowie. Trzeba było poczekać, aż niezadowolenie wzrośnie — wyjaśnił. — Czyż nie tak ustalaliśmy? — Odwrócił się i ruszył w kierunku wejścia do *praetorii*, by zatrzymać trybuna.

Agrypa zaczął się zastanawiać, czy odkąd został wyłączone z działań sekty, nie zaczęto go przypadkiem traktować jak mięso armatnie. Kto wie, jakie były prawdziwe zalecenia Mecenasas... Może zakładali, że zostanie stracony...

Lucjusz Pinariusz dostrzegł Kwintusa Pediusza w tłumie senatorów gromadzących się u wejścia do Kurii. Zaczął przepychać się między kolegami. Niektórzy udawali, że go nie widzą, inni pozdrawiali go serdecznie, ale u wszystkich widział tę samą obawę, którą prawdopodobnie można było wyczytać również na jego obliczu: posiedzenie senatu zwołane

w pośpiechu przez Antoniusza, niezwłocznie po wkroczeniu do miasta, nie wróżyło nic dobrego. Podobnie jak nie było dobrym znakiem to, że obszar Forum został obstawiony przez uzbrojonych żołnierzy. Wyglądało to tak, jakby Antoniusz chciał dać do zrozumienia *patres conscripti*, że w mieście panuje teraz prawo wojenne. *Jego* prawo.

Pinariusz, mijając *patres conscriptos*, słyszał ich rozmowy, lecz nie zatrzymywał się przy nikim, mimo że niektórzy usiłowali go zaczepiać. Wszyscy bali się, że Antoniusz ogłosi dyktaturę i powierzy swoim zaufanym ludziom wszystkie kluczowe stanowiska w państwie. Z drugiej strony jego bracia już piastowali na tyle ważne urzędy, że mogli decydować o losach polityki rzymskiej. Ktoś w tłumie wspominał, jak w luperkalia Antoniusz próbował włożyć na głowę Cezara koronę królewską, ale dyktator się na to nie zgodził. Choć może jego oburzenie było udawane... Tak czy inaczej, wydawało się, że teraz ta koronajest celem konsula.

— Słyszysz ich? — zagadnął Kwintus Pediusz, gdy Pinariuszowi udało się w końcu do niego dotrzeć. — Z ich ust nie schodzą imiona cesarobójców...

— Zgadza się — przytaknął Pinariusz. — Są święcie przekonani, że jedynie Brutus i Kasjusz mogą zapewnić przeciwwagę dla niezwykle silnej pozycji Antoniusza. Nikt nie bierze pod uwagę Oktawiana.

— Tylko tego brakowało. Teraz, po wystąpieniu Antoniusza w senacie, będą gotowi zrobić dla niego wszystko, cokolwiek im rozkaże, ale gdy już dotrze do Galii, by zmierzyć się z Decymusem Brutusem – bo Brutus się nie podda, to nie ulega wątpliwości – będą knuć przeciwko konsulowi, wspierając obalonego gubernatora oraz jego przyjaciół siedzących na wschodzie i w Afryce. Stoimy u progu wojny domowej na wielką skalę — stwierdził Pediusz — a jeszcze nie udało nam się ustalić, jaka będzie nasza rola w tym konflikcie.

— Wasz kuzynek wybrał sobie bardzo nieodpowiedni moment na naukę chodzenia po drodze polityki — wtrącił się kolejny senator. — Mamy Antoniusza i „wyzwoliciele”, nie widzę tu miejsca dla nikogo więcej.

Pinariusz poczuł się wywołany do odpowiedzi.

— Zauważ, że Oktawian, będąc synem Cezara, ma za sobą rój legionów. Sądzę, że nie brak mu również siły przetargowej.

— Nie powiedziałbym — odparł tamten. — Zebrał kilka centurii nostalgicznych weteranów gotowych mu zaufać, ale jest zbyt młody, zbyt nieopierzony, by znaleźć posłuch wśród armii. I nie może w nieskończoność

płacić im pieniędzmi ze spadku po Cezarze. Prędzej czy później pieniądze się skończą, o ile już się nie skończyły...

„Nic nie wskóramy” — pomyślał Pinariusz. Nikt nie traktował jego kuzyna jako wiarygodnej alternatywy dla Antoniusza, Lepidusa i tak zwanych „wyzwolicielei”.

— Mam nadzieję, że się mylisz. Oktawian może się okazać bardzo cenny dla państwa. — Tylko tyle powiedział na zakończenie, jednak sam nie był pewny, co może się wydarzyć.

— Cóż, sądzę, że jedynymi osobami cennymi dla państwa są wyzwoliciele. Tylko oni mogą się przeciwstawić Antoniuszowi i na nich właśnie my, senatorzy, powinniśmy stawiać, jeśli chcemy uniknąć pogromu. Dlatego też postanowiliśmy poprzeć kandydaturę Serwiliusza Kaska na trybuna ludowego. Tego typu stanowisko pozwoli mu blokować wiele ustaw, które Antoniusz będzie chciał przegłosować dla własnej korzyści.

Pinariusz był przerażony. Serwiliusz Kaska był jednym z głównych obiektów na celowniku Oktawiana jako ten, który zadał Cezarowi pierwszy cios. Senat tymczasem zamierzał dać mu tytuł trybuna ludowego, chciał mu powierzyć stanowisko, którego odmówił Oktawianowi, i uczynić go w ten sposób nietykalnym! Kuzyn nie przyjmie dobrze tej wiadomości...

Wtem rozległy się głosy:

— Nadchodzi! Nadchodzi Antoniusz!

Pinariusz i Pediusz odwrócili się i po drugiej stronie Forum ujrzeli konsula kroczącego raźnie pośród świty liktorów. Za nim podążał orszak żołnierzy. Spełniały się najgorsze przypuszczenia senatorów. Ogarnięci strachem byli gotowi dać konsulowi wszystko, o cokolwiek by ich poprosił. Dla sekty Marsa Mściciela sprawy zaczęły się komplikować.

Pinariusz uchwycił spojrzenie Antoniusza, który właśnie zbliżał się do schodów prowadzących do budynku. Na jego twarzy gościł szyderczy uśmiech. Bez wątplenia konsul czuł się bardzo pewnie. Tymczasem jego żołnierze w pełnej gotowości uformowali wachlarz, który otoczył Kurię. Nie, nie było już wątpliwości odnośnie do tego, co zamierza konsul. Tłum senatorów ruszył w milczeniu do budynku. Także Pinariusz i Pediusz kierowali się do wejścia, gdy wtem zobaczyli, jak zdyszany legionista biegnie do Antoniusza i zatrzymuje go na pierwszym stopniu schodów. Wywiązała się ożywiona rozmowa. Konsul uczynił gwałtowny gest poirytowania, znieruchomiał, przez chwilę wpatrując się w pustkę,

a następnie odwrócił się do liktorów i rozkazał im, by zawrócili. Zaraz potem żołnierze ustawili się w szyku przy Kurii i poszli w ślad za wodzem. Wkrótce ich sylwetki zamieniły się w małe, trudne do rozróżnienia punkciki pomiędzy budynkami na skraju Forum.

Patres conscripti stojący wciąż przed budynkiem oniemieli. Ich koledzy, którzy weszli do środka, wychodzili teraz na zewnątrz. Paru obywateli wstąpiło na schody, by pomówić ze znajomymi senatorami. Pinariusz wyteżył słuch, ale do jego uszu docierał jedynie ogólny szmer. Podszedł do senatora, z którym niedawno rozmawiał, i zapytał go, co się wydarzyło.

— Antoniusz otrzymał zdumiewającą wiadomość. Legion Martia Victrix zbuntował się i przeszedł na stronę twojego kuzyna, Oktawiana, a legion IV natychmiast poszedł w ich ślady! — odpowiedział senator wzburzonym głosem.

Pinariusz spojrział na Pediusza z zadowoleniem. Wyglądało na to, że plan Mecenasa zaczyna przynosić efekty. Teraz senatorowie powinni nareszcie wziąć pod uwagę Oktawiana.

XIV

Ortwin spoglądał badawczo w dal. Na horyzoncie wylaniały się brzegi Azji Mniejszej. Jego skupiony wzrok zdawał się sięgać jeszcze dalej, jakby miał moc wnikać w głąb łądu, dokąd przywoływały go wspomnienia. Velea nie znała całego życia kochanka. Teraz wpatrywała się w swojego mężczyznę, usiłując odczytać, jakie obrazy mogło skrywać jego oko. Razem stali na dziobie statku, którym podążali ku nowej misji.

Jednoręka kobieta uścisnęła ramię Ortwina, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że rozumie stan jego ducha.

— Masz wiele wspomnień związanych z tą ziemią, prawda? — zapytała.

— Właściwie nie — odpowiedział po chwili namysłu. Odwrócił się do niej i uśmiechnął. — Ale tych kilka, które mam, należy do wspaniałych pamiątek. Dotarłem tu kiedyś z Cezarem i w ciągu kilku dni pokonaliśmy Farnakesa, króla Pontu. Po tym chwalebnym zwycięstwie świętowaliśmy wielki triumf, a wódz powiedział: „Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem”. I rzeczywiście, tak właśnie było. Pamiętam królewskie rydwany. Widok ich obracających się ostrzy budził strach, a mimo to rozgromiliśmy je w mgnieniu oka. Pomyśleć, że Pompejusz Wielki i rzymscy wodzowie tak bardzo się natrudzili, walcząc z ojcem Farnakesa, Mitrydatesem...

Velea doskonale znała podziw, z jakim Ortwin zawsze odnosił się do człowieka, któremu służył przez tyle lat. Ból Germanina po stracie Cezara był wciąż żywy. Z kolei ona sama nie miała najmniejszych powodów, by smuć się z powodu śmierci dyktatora: to on pozbawił ją królestwa, doprowadzając do upadku jej ojca, Ariowista, i on pozbawił ją ręki, rozkazując Ortwinowi uciąć ją, gdy Velea znalazła się pośród nieposkromionych obrońców galijskiej wioski. Ale wciąż żałowała, że oderwała Ortwina od zajęcia, które tak lubił, i wciągnęła go w beznadziejne przedsięwzięcie. Z powodu tej sprawy robiła sobie wyrzuty dużo większe niż w związku z historią z okiem, które wybiła mu przypadkowo pod Mundą, kiedy wydzierają ją z rąk porywacza.

— Bardzo tęsknisz za tamtymi czasami, prawda? — zapytała, choć nie oczekiwała odpowiedzi. Dobrze ją znała.

— Zwłaszcza gdy porównuję je z tym, co robimy teraz — odparł

z grymasem. — Wtedy maszerowaliśmy z całą armią, by zemścić się za rzeź legionu i podbić królestwo przy pełnym poparciu instytucji w *Urbe*. Teraz jesteśmy jedynie garstką sykariuszy działających w ukryciu. Bierzemy udział w walce między Rzymianami i nawet nie mamy pewności, czy wybraliśmy właściwe stronnictwo. Jedno jest pewne, w tym momencie nie służymy nawet stronie, która ma większe szanse na zwycięstwo.

— Ale nie mieliśmy wyboru.

— Nie, nie mieliśmy, po tym jak Antoniusz nie zechciał nas przyjąć na służbę. Lecz skoro on nie ma najmniejszego zamiaru mścić się za Cezara, i tak nie zamierzam mu służyć. Problem w tym, że nie wiem, czy Oktawian naprawdę jest w stanie dokonać zemsty, nawet jeśli pragnie tego ze wszystkich sił. Przynajmniej jedno trzeba mu oddać: jest jedynym wśród wysoko postawionych Rzymian, który nie myśli o własnym przetrwaniu na arenie politycznej. Weźmy takiego Lepidusa: ma się udać do swojej prowincji w Galii Narbońskiej i stara się zawrzeć układ ze wszystkimi, od Sykstusa Pompejusza poprzez samego Decymusa Brutusa po Antoniusza. Nie kiwnął palcem, by zrobić cokolwiek przeciwko zabójcom Cezara. A Aulus Hircjusz? Przycupnął cicho i czekał na swój konsulat. A przecież gdy służył jako pomocnik Cezara w Galii, nie dało się porozmawiać z wodzem bez jego pośrednictwa. Zresztą żaden z nich nie powiedział słowa przeciwko mordercom. Wszyscy czekają, kiedy przyjdzie ich kolej, by lizać Antoniuszowi tyłek i przypominać, że przecież nigdy nie robili mu trudności.

— I sądzisz, że Oktawian jest inny?

— Oktawian *jest* inny. W przeciwnym razie Cezar by go nie wybrał. On również jest spragniony władzy, chce się utrzymać w polityce i mieć przewagę nad innymi. Ale ma też wizję długoterminową, konkretną strategię. Walczy za Rzym, a nie wyłącznie za samego siebie. Poza tym kochał Cezara, dlatego naprawdę chce go pomścić. Właśnie po to tu jesteśmy. To jedyny powód, dla którego nas zaangażował.

— Potrzebował kogoś, kto wyręczy go w tym niewdzięcznym zadaniu. Tania siła robocza. Nie chce sobie brudzić rąk — dodała Velea.

— Nie może się wszystkim zajmować. Ma zaledwie dwadzieścia lat i musi pokonywać niekończące się przeszkody. Z odwagą przyjął na siebie zobowiązania pozostawione mu przez Cezara. Mało kto potrafiłby się na to zdobyć. Chciałbym zobaczyć, co by zrobili ci wszyscy zwolennicy dyktatora, gdyby zostali wyznaczeni na jego spadkobierców. Cieszyliby się

wyłącznie z otrzymanych dóbr, ja ci to mówię! Albo wykorzystaliby je do zniszczenia innych! Poczynając od Antoniusza: był przekonany, że to jemu przypadnie spadek Cezara, a jednak nigdy nie dążył do tego, by go pomścić. Teraz zaś nie myśli o niczym innym niż o tyranii.

— Oktawian również dąży do tyranii. Pod tym względem nie różni się od Cezara.

Veleda nie chciała tego powiedzieć, ale nigdy, w całym swoim życiu nie umiała trzymać języka za zębami i zachować pewnych przemyśleń dla siebie. Wcześniej także nie kryła się z tym, że uważała Cezara za tyrana.

— Zawsze sądziłem, że twój ojciec i każdy inny wódz germański byli o wiele większymi demokratami. Leżało mu na sercu ludzkie dobro. Oktawian również troszczy się o sprawy Republiki i chce, żeby znowu funkcjonowała jak należy. Odkąd służę Rzymowi, nigdy nie widziałem, aby instytucje sprawnie ze sobą współpracowały. Zbyt wiele sprzeczności, ambicji, korupcji, zbyt duży upadek moralności. System jest skostniały: zbyt wielu rządzi, wprowadza zakazy, czerpiąc z obecnej sytuacji prywatne korzyści. Nikt liczący się nie jest zainteresowany wprowadzaniem faktycznych zmian. Cezar usiłował to zrobić, a w Oktawianie widzę przynajmniej przebłysk tego dążenia. Oczywiście, jest zbyt młody, niedoświadczony i chorowity, by mogło mu się udać. Nie jest Cezarem i nigdy nim nie będzie. Ale patrzy bardziej perspektywicznie niż cała reszta i to mi wystarczy.

Veleda miała wrażenie, że Ortwin próbuje przekonywać i motywować samego siebie, podnosząc rangę rozwiązania awaryjnego, jakie byli zmuszeni przyjąć po swych niepowodzeniach. Tym razem jednak postanowiła nie wygłaszać żadnych komentarzy, zwłaszcza że zbliżał się konsul Dolabella.

Co do jednego Ortwin na pewno się nie mylił. Dolabella— teraz już prokonsul Syrii, prowincji przyznanej mu przez senat — zaakceptował ich obecność przy sobie tylko dlatego, że tak było mu wygodnie. Śmierć jednego z cesarobójców przyniosła mu wymierne korzyści w postaci prowincji w Azji Mniejszej, bez konieczności zbytniego narażania się i brudzenia sobie rąk. Ortwin nienawidził Dolabelli, odkąd dowiedział się, że zaraz po idach marcowych przypisywał on sobie rzekomą zasługę bycia jednym z zabójców.

— Zejdziemy na ląd w Pergamonie. Według najnowszych wiadomości tam przebywa Gajusz Treboniusz. Potem sami będziecie musieli się zatroszczyć o to, jak wykonać swoje zadanie, barbarzyńcy! — zawołał

Dolabella w typowy dla siebie, odpychający sposób. — Tylko mnie w to nie mieszajcie, jasne? — oświadczył bez ogródek, przypominając im o wcześniejszych ustaleniach, a także o tym, kim dla niego są.

Veleda z trudem tłumiała złość. Przez moment miała nadzieję, że Ortwin chwyci go za szyję i wrzuci do morza. Ale jej mężczyzna zawsze działał z większą rozwagą niż ona.

— Nie obawiaj się, konsulu. My, „barbarzyńcy”, znamy się na naszej robocie. Ty masz nas tylko doprowadzić do celu.

No cóż, przynajmniej dał upust swojemu rozdrażnieniu.

Dolabella nie sprawiał wrażenia dotkniętego uwagą. Z drugiej strony miał ich za hołotę, toteż nie przykładał wag do tego, co mówili.

— Uważajcie jednak — ciągnął konsul. — Treboniusz wiele zrobił dla Marka Brutusa i dla Kasjusza, gromadząc oddziały i umacniając miasta na granicy między prowincjami. Dowiedziałem się również, że łącznikiem między nim a jego dwoma towarzyszami jest pewien wyjątkowo groźny osobnik: Kwintus Labienus, syn zdrajcy Tytusa Labienusa. Jeśli faktycznie trzyma z Treboniuszem, będzie wam bardzo trudno wykonać wasze zadanie.

Veleda poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach. Spojrzała na Ortwina i w wyrazie jego twarzy dostrzegła pulsującą wściekłość. Kwintus Labienus. Ostatni człowiek na świecie, którego mieli ochotę ponownie spotkać.

— Ale dlaczego legiony przeszły na stronę Oktawiana, zamiast oddać się pod rozkazy senatu?

— Otóż to! Kimże jest Oktawian, jeśli nie zwykłym obywatelem? Jakim prawem przejmuje legiony, które powinny należeć do ludu i do senatu rzymskiego? Kto go do tego upoważnił?

Dwaj senatorowie podnieśli się ze stopni świątyni Jowisza Kapitońskiego, gdzie odbywało się posiedzenie znakomitego zespołu, i usiłowali przerwać mówcy. Był to zupełnie niecodzienny przypadek, przede wszystkim dlatego że przemawiał nie kto inny jak Marek Tulliusz Cynceron.

— Niestety, nie jest dobrze... — szepnął Lucjusz Pinariusz do Kwintusa Pediusza, podczas gdy przez salę przetoczył się szmer poparcia dla wygłoszonego przed chwilą sprzeciwu.— Na razie Cynceron nie wydaje się zbyt dobrą inwestycją. A skoro on nie jest w stanie przekonać senatorów do przejścia na stronę Oktawiana, nie dokona tego nikt z obecnych.

Kwintus Pediusz pokręcił głową.

— Ja jestem jednak optymistą. Antoniusz ma jeszcze cztery legiony, oddziały sił pomocniczych, strażę przyboczne oraz rekrutów i gromadzi ich na granicy Galii Przedalpejskiej. Wygląda na to, że Lepidus jest gotowy udostępnić mu swoje cztery legiony. Decymus Brutus ma ich tylko trzy, plus gladiatorzy, i mimo że zamknął się w Mutinie, nie zdoła zbyt długo się opierać, gdy Antoniusz dokona oblężenia, zwłaszcza jeśli skorzysta on ze wsparcia w postaci oddziałów Lepidusa. Teraz, kiedy Hircjusz i Pansa objęli stanowisko konsula, z czym odeprą atak Antoniusza? Potrzebują jak najwięcej legionów, a niewiele ich pozostało do wzięcia. Zobaczysz, że będą pertraktować, by przejąć legiony Oktawiana, w szczególności Martiam Victricem i IV, ponieważ to dwie jednostki na wagę złota, służą w nich sami weterani.

— Przyjaciele! Przyjaciele! — krzyczał Cynceron, unosząc ręce i dopraszając się o głos. — Na wolności przebywa człowiek, którego winniśmy uznać wrogiem publicznym, a wy obawiacie się jakiegoś chłopca, chociaż wyraźnie dał do zrozumienia, że chce służyć Republice? Chłopca pełnego dobrych chęci, gotowego wykorzystać dla ojczyzny posłuch i szacunek, jakim darzy go wojsko, aby uchronić kraj przed wojną domową? Wiecie doskonale, że jeśli damy Antoniuszowi wolną drogę, uderzy na Mutinę, zabije Decymusa Brutusa, połączy siły z Lepidusem i być może pewnego dnia ruszy na Rzym!

— Ale nie możemy dzisiaj skazywać konsula, którego wybraliśmy wczoraj. Sami sobie zaprzeczmy! Także ty, Cynceronie, jeszcze nie tak niedawno go wysławiałeś! — krzyknął kolejny senator.

— Przyjaciele i koledzy — powtórzył Cynceron, w czasie gdy *princeps senatus* upraszał o ciszę, stukając końcem swojej laski w podłogę podium — zaraz po śmieci Cezara odnieśliśmy wrażenie, że Antoniusz zbyt poważnie traktuje swoją funkcję konsula, tłumiąc rozruchy i wybacząc wyzwolicielom, którzy – jak się zdaje – zamierzali zabić i jego. Udowodnił swoje pokojowe nastawienie, nie podejmując żadnych działań w kierunku zemsty, i za to byliśmy mu wdzięczni. Później jednak odkryliśmy, że realizował własny plan, dążąc do umocnienia swojej pozycji. Odebrał nam pieniądze, zarządzając w niewłaściwy sposób majątkiem Cezara, który częściowo winien zostać zwrócony do skarbu państwa. Wymusił na nas przekazanie mu prokonsulatu Macedonii, wyłącznie po to, by objąć

dowodzenie nad stacjonującymi tam oddziałami. Następnie zażądał Galii Przedalpejskiej, odbierając ją prawowitemu gubernatorowi. Zdziętkował żołnierzy nie za uchybienia – a to jedyny dopuszczalny powód, dla którego można uciec się do tak surowej kary – lecz za żart, za jakieś słowo, w dodatku losując skazańców, bez stawiania ich pod sąd! Przypominam wam również, że próbował ruszyć na Rzym wraz ze swą armią i być może wkroczyłby z wojskiem do miasta, gdyby nie przeszkodził mu w tym Oktawian. A teraz chce Galii Przedalpejskiej, aby mieć bazę do natarcia przeciwko nam, to nie ulega wątpliwości. Swego czasu Cezar uczynił podobnie! A wy mi mówicie, że nie ma się czego bać? Teraz, kiedy ten człowiek pokazał swoje prawdziwe oblicze? Ostrzegałem was przed Cezarem, zanim ujawnił swoje prawdziwe, autokratyczne oblicze. Teraz ostrzegam was przed Antoniuszem i powiadam wam, że najlepszym narzędziem do walki z nim jest właśnie ten chłopak, którego Cezar obrał na swojego syna!

— Jak możesz twierdzić, że Oktawian nie przypomina swojego przybranego ojca? — krzyknął jeden z senatorów.

— Właśnie. To raczej niezbyt rozsądne: zwalczanie jednego zła przy użyciu środków, które mogą się okazać jeszcze gorsze! — zawołał kolejny.

— Nie znacie Oktawiana tak dobrze jak ja! — odparł Cynceron. — To młody człowiek o szlachetnej duszy, uczący się sztuki panowania nad własną porywcznością i przyrodzonym instynktem zemsty. Bardzo szybko dojrzewa i już zdaje sobie sprawę z tego, że w polityce nie ma miejsca na pewne odruchy. Szczerze troszczy się o sprawy Republiki i jest gotowy zapomnieć o urazie wobec tych, których uważa za morderców, aby umocnić pokój i prawidłowe funkcjonowanie państwa. Mogę wam to osobiście zagwarantować. A wiecie, przyjaciele, jak bardzo brzydzę się przymusem instytucjonalnym. W tym przypadku jednak potrzebujemy Oktawiana i musimy udzielić mu wsparcia w tych jakże niespokojnych czasach! Aby umożliwić mu współpracę z instytucjami, pozwólmmy mu wejść w ich struktury. Jego wiek rzecz jasna na to nie pozwala, ale jego urodzenie, poświęcenie, posłuch, jaki zdobył wśród wojska i narodu, z pewnością czynią go godnym piastowania wyższego stanowiska.

Pediusz spojrział na Pinariusza.

— Widziałeś? Stary naprawdę wykonuje dla nas konkretną pracę. Sprawia niemal wrażenie, jakby był jednym z nas. Rzeczywiście wierzy, że będzie

mógł sterować Oktawianami że chłopak będzie mu posłuszny.

— A to oznacza, że dobrze wykonaliśmy swoje zadanie — ocenił zadowolony kuzyn.

Rufus zawahał się, zanim zapukał do drzwi *domus* Oktawii. Według jego obliczeń siostra Oktawiana właśnie udała się wraz z mężem w odwiedziny do matki i ojczyma, Atii i Marcjusza Filipa, w Velletri, a Etain powinna być sama. Miał jednak gotowy pretekst, na wypadek gdyby natknął się na właścicieli. Zamierzał wytłumaczyć swą obecność chęcią wspólnego oczekiwania na powrót Pediusza i Pinariusza i ich relację z niekończącego się posiedzenia senatu w świątyni Jowisza Kapitońskiego. Cokolwiek by mówić, zgromadzenie to miało przesądzić nie tylko o ewentualnej wojnie domowej, ale także o losach Oktawiana, a Rufus pozostał w Rzymie właśnie po to, by przekazywać informacje przywódcy sekty, który wraz ze swymi ludźmi w obozie w Etrurii czekał na rozwój wypadków, a zwłaszcza na decyzję w sprawie przyznania mu urzędu.

Z reguły Rufus nie lubił zostawać w mieście. Był człowiekiem czynu, żołnierzem, toteż z jego punktu widzenia przebywanie wśród cywilów nie należało do najprzyjemniejszych form spędzania wolnego czasu, a teraz, kiedy Agrypa nie należał już do sekty, szczególnie poczuwał się do reprezentowania grupy w sprawach wojskowych i preferował życie w obozach. Zwłaszcza w obliczu zbliżającej się wojny domowej.

Tym razem jednak, gdy Oktawian poprosił go, aby został w *Urbe* jako łącznik, skwapliwie przystał na tę propozycję. Jego myśli od razu podążyły ku Etain. Uznał, że mógłby się z nią spotykać jeszcze przez jakiś czas, zanim wydarzenia wojenne rozdziela ich kto wie na jak długo. I natychmiast skorzystał z okazji. Senat nie chciał podejmować żadnych decydujących uchwał, dopóki stanowisk nie zajmą dwaj nowi konsulowie, czyli jego zbrojne ramię, w związku z tym Rufus miał ponad miesiąc na to, by zalecać się do dziewczyny, okazywać jej swoją troskę i zrozumienie, cierpliwością i łagodnością zdobywać jej zaufanie. Etain pokonała początkowe nieśmiałość i wstyd i teraz chętnie z nim rozmawiała. Gdy ostatnio zostali na chwilę sam na sam, mógł nawet musnąć jej usta pocałunkiem i pogłaskać jej twarz, a ona nie odskakiwała spłoszona, jak zdarzało się poprzednio.

Rufus zastukał do drzwi, a kiedy stróż przyszedł, aby mu otworzyć,

zapytał grzecznie, czy państwo są w domu. Mężczyzna pokręcił przecząco głową i dopiero wtedy chłopak zapytał o Etain. *Ostiarius* miał właśnie odpowiedzieć, gdy nagleza jego plecami pojawiła się dziewczyna.

— Wejdz, Salwidienusie Rufusie. Powinni wkrótce wrócić, więc jeśli zaczekasz, będziesz mógł z nimi porozmawiać — powiedziała ze słodkim uśmiechem. Doskonały znak.

— Bardzo chętnie zaczekam, jeśli ty dotrzymasz mi towarzystwa, Etain.

Odwzajemnił jej uśmiech i wchodząc, nieomal odsunął zdezorientowanego stróża, który posłusznie zrobił mu miejsce. Dziewczyna wprowadziła gościa do triklinium i poprosiła, aby zechciał spocząć na sofie. Poleciała niewolnicy przynieść owoce, a sama usiadła obok. „Coraz lepiej” — pomyślał Rufus.

— Jakież wieści z senatu? — zapytała, kiedy na stoliku obok nich postawiono kosz pełen owoców z ogrodu.

— Niestety, żadnych. Posiedzenie trwa nadal, od wczorajszego poranka, i żaden senator jeszcze stamtąd nie wyszedł. Ale nie mogę powiedzieć, by było mi przykro z tego powodu... — powiedział, puszczając do niej oko.

— A to niby dlaczego?

— Bo gdy stamtąd wyjdą, będę musiał wyjechać, aby zdać relację Oktawianowi, i być może nie zobaczę cię przez bardzo długi czas.

— Byłoby mi smutno. Jeśli wyjedziesz na długo, będzie to oznaczało, że wojna domowa naprawdę wybuchnie, a my, członkowie sekty, będziemy w nią uwikłani, każdy na swój sposób. Zwłaszcza ty, przecież jesteś oficerem.

— Tylko dlatego byłoby ci smutno? Z powodu wojny? — dopytywał, patrząc jej głęboko w oczy.

Etain odwzajemniła spojrzenie tylko przez chwilę i zaraz odwróciła wzrok, zatrzymując go na owocach.

— Jesteś doświadczonym mężczyzną, Rufusie. Wiesz doskonale, że to niejedyny powód... — odpowiedziała niewyraźnie drżącym głosem.

— Doświadczonym mężczyzną? Chcesz powiedzieć, że jestem dla ciebie za stary? À propos... Jestem starszy od Agrypy zaledwie o parę lat...

Zauważył, że twarz Etain poważnieje na dźwięk imienia dawnego kochanka. Przyszło mu do głowy, że mogła to spowodować zarówno pogarda, jak i wciąż żywe uczucie, lecz tak naprawdę niewiele go to obchodziło.

— Nie to miałam na myśli... — odparła z uśmiechem, ale patrzyła

w innym kierunku.

Rufus miał wrażenie, że jest gotowa. Naprawdę wszystko wskazywało na to, że Etain tego dnia zdecyduje się mu oddać, bez zbędnych ceregieli. Czy zrobi to, by zemścić się na Agrypie, czy żeby pokonać traumę, jakiej doznała na skutek gwałtu, czy może dlatego, że on jej się podoba – to nie miało znaczenia. Chwycił brodę dziewczyny, podniósł jej twarz tak, aby spojrzała na niego, i pociągnął ją ku sobie.

— Cóż, skoro nie chcesz mi tego wytłumaczyć, ja tłumaczę to sobie w ten sposób... — wyszeptał, a następnie zbliżył swoje usta do jej i pocałował ją.

Etain nie odsunęła się od razu, jak czyniła to poprzednio, i nie poprzestała tylko na lekkim muśnięciu. Rozchyliwszy wargi, wsunęła język do jego ust. Rufus usłyszał jej ciężki oddech. Nagle coś mokrego spadło na jego wargę i nie była to ślina. Odsunął się na chwilę i poczuł sól. Gdy spojrzał na dziewczynę, zobaczył, jak jej piękną twarz przecinają łzy. Zaczął tracić cierpliwość, lecz postanowił to przed nią ukryć.

— Nie masz ochoty? — zapytał najczulej, jak potrafił, a mówiąc to, delikatnie ją pogłaskał. Etain łkała.

— Mam... mam ochotę... ale nie potrafię tego robić, żeby nie myśleć o tym, co przeżyłam. Dobrze wiem, że nie zrobisz mi krzywdy, Rufusie, lecz boję się, że nagle przeobrazisz się w jednego z nich... — tłumaczyła, mocno ściskając jego ramię.

„Nie wszystko stracone” — pomyślał Rufus, a powiedział:

— To jak najbardziej zrozumiałe.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

— Ty poprowadzisz — oznajmił. — Możesz robić to, co chcesz. — Uśmiechnął się i opuścił ręce wzdłuż ciała, przybierając bezwładną postawę.

Miał nadzieję, że to doda jej odwagi. Jeżeli postanowiła mu się oddać, w ten sposób łatwiej pokona własne lęki.

Dziewczyna posłała mu uśmiech wyrażający zakłopotanie. Odwróciła wzrok, ale zaraz potem znowu na niego spojrzała. Wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po twarzy. Sunęła po jego szyi swymi delikatnymi palcami, a następnie przyciągnęła go ku sobie. Tym razem pocałowali się naprawdę. Rufus był szczęśliwy. Przyjął właściwą taktykę. Etain postanowiła się przełamać, lecz potrzebowała pomocy i otrzymała ją od niego. Teraz było już z górki.

Jak na potwierdzenie jego myśli dziewczyna ujęła go za rękę, dała

mu znak, aby się podniósł i poprowadziła go do swojego kubikulum. To ona zamknęła za nimi drzwi, ona także podeszła do łóżka, by rozwiązać i zdjąć tunikę. Na koniec zsunęła przepaskę i stanęła przed Rufusem całkiem naga. Żarliwie pragnął tej białej, aksamitnej skóry, miejscami skażonej kilkoma siniakami i zadrapaniami, które nie zniknęły jeszcze po zadanych jej gwałcie. Pożądał jej dziewczęcego ciała, długich nóg i delikatnie zarysowanych piersi, ale uznał, że powinien zostać tam, gdzie jest – musiał jej pokazać, że nie będzie się na nią rzucał, że nie wszyscy mężczyźni tak postępują. Zaczekała chwilę, po czym ruszyła w jego stronę, powoli, niby ukradkiem, jak ktoś, kto nie chce obudzić śpiącego.

Kiedy przed nim stanęła, Rufus miał ochotę dopaść jej, cisnąć ją o ścianę, odwrócić i posiąść. Taki sposób lubił, ale wiedział, że tym razem, gdyby tak się zachował, nic by nie osiągnął. Pozwolił, by to ona działała, i znowu się nie rozczarował. Etain odplątała jego togę i rzuciła ją na ziemię. Następnie odwiązała tunikę i zsunęła ją z niego. Był ciekaw, co zrobi z jego przepaską. Dziewczyna zauważyła jego podniecenie i na jej twarzy pojawiła się satysfakcja przemieszana ze strachem. W jej wnętrzu trwała walka pomiędzy pragnieniem a lękiem.

Rufus uznał, że okazanie jej przesadnego szacunku nie pomoże, a może nawet sprawi, że zrodzą się w niej zahamowania, których nie uda się już pokonać. Ujął delikatnie jej dłoń i położył ją na swojej przepasce. Dziewczyna zamarła na moment i trzymała rękę na uniesionym członku, jakby ją parzył. Rufus próbował ją przesunąć, ale napotkał opór. Po chwili Etain zaczęła go masować i w końcu zaskoczyła kochanka: zdjęła mu przepaskę, a następnie – ku jego zdziwieniu – pieszcząc jego pośladki, uklękła i obsypała pocałunkami całe jego biodra, po czym skierowała się tam, gdzie najbardziej pragnął jej ust.

To był moment. Pozwolił jej pieścić się przez jakiś czas, ale nie mógł wytrzymać dłużej i miał nadzieję, że ona także. Podniósł ją delikatnie, wziął na ręce i zaniósł na łóżko, a ona od razu instynktownie zacisnęła nogi i skrzyżowała ręce na swoim ciele. Rufus się nie zraził. Spodziewał się tego. Miał ochotę położyć się na niej, rozsunać siłą jej nogi i natychmiast wejść w nią, lecz po raz kolejny się przemógł, okazując cierpliwość, mimo że jego pachwiny pulsowały z pożądania.

Uklękął przy niej i zaczął wędrować ustami po jej nogach, zmierzając ku udom, całował jej delikatny puszek wyławiający się spomiędzy nich. Czuł,

jak dziewczyna powoli się rozluźnia i delikatnie wsunął jej palce między nogi. Początkowo napotkał opór zaciśniętych ud, które po chwili lekko się rozchyliły i powoli dawały mu coraz większy dostęp. W końcu Rufus przesunął palce jeszcze dalej, wsuwając je delikatnie do środka.

Dziewczyna zajęczała z rozkoszy. To dodało mu odwagi. Wsunął palce jeszcze głębiej i zrozumiał, że jest gotowa. Nie było potrzeby rozsuwać mocniej jej nóg. Sama delikatnie je rozłożyła, on tymczasem podniósł się i przez moment upajał się jej widokiem, by następnie położyć się na niej z całą delikatnością, jaką zdołał z siebie wykrzesać. Etain doskonale współpracowała. Przyjęła go do siebie, delikatnie kierując jego ruchami. Chwilę później Rufus poczuł, jak kontrolę nad jego ciałem przejmuje to wilgotne gorąco, za którym podązał i którego pożądał, odkąd przekroczył próg tego domu.

Zdążyli oboje w tym samym momencie osiągnąć szczyt rozkoszy i chwilę później zamieszanie wewnątrz *domus* zmusiło ich do pospiesznego ubrania się i wyjścia z pokoju. Pediusz i Pinariusz przynosili wiadomości z senatu.

Mecenas znajdował się w trudnej sytuacji. Zdawał sobie sprawę z tego, że brakuje mu charyzmy oraz wyglądu niezbędnych, aby porwać lud przemową. Co dopiero żołnierzy, o wiele bardziej wymagających niż cywile i przyzwyczajonych do kontaktu ze zdecydowanymi dowódcami, mocno zbudowanymi lub przynajmniej dobrze się prezentującymi. Z tego względu, choć był świadomy swoich umiejętności interpersonalnych i intelektualnych, wolał działać zza kulis. Układ z Oktawianem był dla niego idealnym rozwiązaniem. Mimo że ich współpraca trwała zaledwie od kilku miesięcy, połączenie tekstów formułowanych przez Mecenasa z interpretacją Oktawiana przynosiło doskonałe rezultaty.

Niestety, Oktawian nie był teraz w dobrej formie, a ktoś musiał ostudzić zapał w legionach czekających na jego rozkazy. Bezruch powodował, że żołnierzy rozpierała energia. Wiedzieli, że Antoniusz przystąpił do oblężenia Decymusa Brutusa w Mutinie i że senat nie podjął jeszcze żadnych działań. Czekali na decyzję o marszu na Rzym, aby tam wymusić na ojcach spisanych nominację ich młodego wodza oraz zapłatę za walkę z konsulem, którego mandat właśnie wygasł na rzecz jego następców – Hircjusza i Pansy.

— Legioniści... — Mecenas zaryzykował przemowę, leczod razu

stwierdził, że jego piskliwy głos nie nadaje się do publicznych wystąpień. — Wiem doskonale, że z niecierpliwością czekacie, by pokazać, na co was stać, i pomścić Cezara, ale musimy poczekać na odpowiedni moment. Oktawian również nie myśli o niczym innym jak zemsta za śmierć ojca, lecz zależy mu również na poparciu senatu, aby nie być zmuszonym do jednoczesnej walki ze zbyt wieloma wrogami. Musi po kolei realizować cele, ponieważ jeśli będzie chciał zrobić wszystko od razu, skąże na porażkę sam siebie, a przy okazji i was. Jeśli zajdzie taka potrzeba – a zajdzie na pewno – nasz młody, ale cieszący się posłuchem dowódca będzie potrafił odsunąć swoje główne cele, w tym dążenie do zemsty, na dalszy plan, o ile okaże się to niezbędne dla umocnienia jego pozycji. Pamiętajcie, żołnierze: słabość nie idzie w parze z zemstą. Aby się mścić, trzeba mieć dużo siły i wielu sprzymierzeńców!

Był co do tego absolutnie pewny i od tygodni starał się poskromić żądzę zemsty Oktawiana, usiłując go przekonać, by na jakiś czas odsunął od siebie nienawiść żywioną wobec morderców jego ojca. Chłopak zdołał już stłumić nienawiść do Cyncerona, teraz tak samo musiał postąpić z innymi, poczynając od Decymusa Brutusa. Dążąc do uzyskania poparcia senatu i zdobycia stanowiska, musiał widzieć swojego głównego przeciwnika w Antoniuszu, a nie w cesarobójcach.

Żołnierze protestowali. Najwyraźniej słowa Mecenasu nie trafiły im do przekonania. Etrusk był pewny, że gdyby padły z ust Oktawiana, uciszyłyby legionistów. Ponieważ jednak wykrzyczał je niezdarne, grubawy trybun, w dodatku głosem pozbawionym wewnętrznej mocy, nie zyskały niczyjej aprobaty.

Mecenas już uznał z rezygnacją, że nie pozostaje mu nic innego, jak czekać, aż Oktawian zwalczy kolejny atak kaszlu, gdy dostrzeże pędzącego jeźdźcę, w którym po chwili rozpoznał Rufusa. Nareszcie! Żaden człowiek nie był teraz tak wyczekiwany. Obecność chłopaka oznaczała, że senat podjął decyzję.

Salwidienus zauważył, że żołnierze zgromadzili się na przylegającym do obozu placu musztry, i stwierdził, że nie ma potrzeby przekraczać palisady. Kiedy ku swemu zaskoczeniu, wręcz rozbawieniu, dostrzegł na trybunie Mecenasu, skierował się w jego stronę. Ale Etrusk nie zamierzał wysłuchiwać wiadomości na oczach wszystkich. Niezależnie od tego, czego dotyczyły, trudno byłoby zapanować nad reakcją żołnierzy. Zszedł od razu

z podium i podszedł do pościąca.

— Chodź ze mną. Idziemy do Oktawiana. Tutaj nie waż się powiedzieć ani słowa! — rozkazał, wsiadając na konia.

Rufus się uśmiechnął.

— Czy coś się stało? Wystarczyło mi, że widziałem cię przez chwilę na trybunie. Teraz już rozumiem, dlaczego mimo takiej gadki wolisz pozostawać w cieniu. Trzeba przyznać, że masz poczucie przyzwoitości.

— Bądź cicho, głupcze! Oktawiana dopadł jeden z jego ataków. Mam nadzieję, że będziesz umiał podtrzymać go na duchu wiadomościami, które przynosisz — odpowiedział Mecenasa, nie dając się sprowokować.

— Cóż, jeśli nie pokrzepi go to, co mam mu do powiedzenia, nie wiem, co jeszcze można byłoby uczynić... — Na te słowa Etrusk nieco się rozluźnił.

Zsiedli z koni przed namiotem połowym Oktawiana i kazali wartownikom zapowiedzieć swoje przybycie. Mecenasa wszedł pierwszy. Oktawian leżał na łóżku, a przy nim siedział jego osobisty lekarz, Glikon. Chłopak był chyba jedynym dowódcą w historii Rzymu, któremu w trakcie kampanii wojennej towarzyszył osobisty medyk. Na szczęście Glikon, sędziwy Grek, człowiek dyskretny i mało mówny, znał swoje miejsce i potrafił usunąć się pomiędzy asystentów i niewolników, kiedy nie był potrzebny. Gdyby jego obecność w obozie była całkowicie jawna, mogłaby zaszkodzić wizerunkowi wodza w oczach żołnierzy.

Etrusk zauważył na pościeli i tunice ślady krwi, a także wymiotów i śliny. Oktawian leżał z nieprzytomnym wzrokiem i początkowo zdawało się, że nie rozpoznał Mecenasa, może i dlatego że przyjaciel stał w półmroku.

— Oktawianie, przybył Rufus. Posłuchajmy, jakie wieści przynosi nam z Rzymu.

— Rufusie... Cieszę się... że cię widzę — wymamrotał chory, a widząc zdezorientowany wzrok przyjaciela, poczuł, że musi wyjaśnić swój stan: — Nie zwracaj na to uwagi. Te ataki... przychodzą i mijają. Męczą mnie... od zawsze.

— Rufusie, zamieniamy się w słuch — powiedział mocno zniecierpliwiony już Mecenasa i zajął miejsce na krześle przy łożu Oktawiana.

Salwidienus odchrząknął i odczekał jeszcze chwilę. Etrusk domyślił się, że jego milczenie wynika z zakłopotania – najpewniej widok wodza w tak złym stanie dekoncentrował Rufusa i chłopak zastanawiał się, co powinien sądzić

o tym, czego jest świadkiem. Właśnie z tego powodu Mecenasa nie chciał, by Oktawian pokazywał się w obozie w czasie ataku choroby. Morale żołnierzy z pewnością by na tym ucierpiało.

— Tak więc dzięki wsparciu Cyncerona, a także jego elokwencji, senat był łaskaw nagrodzić cię, Oktawianie — odezwał się w końcu Rufus. — Jesteś teraz propretorem i możesz stawać do wyborów na stanowisko konsula. Dziesięć lat wcześniej niż pozwalają przepisy. Możesz wejść do senatu z prawem głosu na równi z konsulami. Zostanie również wzniesiony dla ciebie złoty posąg, wyobraź sobie...

— Wiesz, gdzie mam ten złoty posąg?! A co z wojną i armią? To są istotne kwestie... — naciskał Oktawian i można było odnieść wrażenie, że nagle odzyskał trzeźwość umysłu.

— Sytuacja nie jest prosta. Zostałeś razem z Hircjuszem i Pansą dowódcą armii, ale musisz przekazać im dowodzenie nad dwoma legionami, które zbuntowały się przeciwko Antoniuszowi. W zamian państwo wypłaci wynagrodzenie, które obiecałeś legionistom w razie zwycięstwa nad Antoniuszem.

— Czyli Antoniusz w końcu został uznany za wroga państwa? Mów!

— Hm... niezupełnie. Mówią, że właściwie już nim jest, ale postanowili dać mu jeszcze wybór, także w wyniku nacisków ze strony jego popleczników. Zobaczysz, że nie pozwolą ci od razu wyruszyć na północ. To powinno nas cieszyć, ponieważ będziesz miał czas, żeby dojść do siebie. Wolą, żeby przyjął Macedonię zamiast Galii Przedalpejskiej. Tymczasem wychwalali Decymusa Brutusa za to, że nie oddał swojej prowincji, i utwierdzili się w przekonaniu, iż słusznie mu zaufali.

W namiocie zapanowała całkowita cisza. I Oktawian, i Mecenasa pogрузyli się we własnych myślach. Po jakimś czasie Rufus poczuł, że musi się odezwać.

— A zatem to dobre wiadomości, czyż nie? Propretor i senator w wieku dwudziestu lat...

— Dobre wiadomości? Jak możesz tak mówić? Daj mi tylko opakowanie, nic w środku! — krzyczał Oktawian, tłukąc pięścią w łóżko. Ten wybuch złości wywołał natychmiastowy atak kaszlu.

Rufus nie potrafił zrozumieć. Głos zabrał więc Mecenasa. Chciał oszczędzić przyjacielowi niemiłej konieczności ubierania w słowa nasuwających się refleksji, miał bowiem pewność, że obaj pomyśleli

dokładnie o tym samym.

— Widzisz, Rufusie, nietrudno zrozumieć, że propretor nie ma nic do powiedzenia, kiedy działa wraz z dwoma konsulami. Tytuł w takiej sytuacji staje się czysto symboliczny. To, co jest istotne, to fakt, że mieliśmy pięć legionów, a teraz zabierają nam dwa najlepsze. Sądzą, że nas udobruchają, gdy w rzeczywistości próbują nas oszachrować.

Oktawian odchrząknął i dodał:

— Nie tylko. Są wciąż zbyt ulegli wobec Antoniusza i zostawiają mu drogę ucieczki. Co więcej, potwierdzają zaufanie, jakim darzą Decymusa Brutusa, tego mordercę i zdrajcę. Nie mają najmniejszej ochoty się go pozbywać... Tak więc sprawy nie mogły przyjąć gorszego obrotu.

Rufus zrobił skruszoną minę.

— Co zatem robimy? Ruszamy na Rzym, jak domagają się tego żołnierze?
— zapytał.

Wódz pogрузzył się w zadumie. Mecenas raz jeszcze postanowił zabrać głos.

— Gorąco bym tego odradzał. Możemy być pewni, że Antoniusz nie zrezygnuje z Galii Przedalpejskiej, by przypodobać się senatowi. Dla niego byłoby to jednoznaczne z upokarzającym odwrotem, a przecież tyle zrobił, by zdobyć tę prowincję. Decymus Brutus nie odda jej, szczególnie teraz, kiedy otrzymał potwierdzenie poparcia senatu. Dojdzie do wojny, a w czasie wojny wiele może się wydarzyć... Teraz jednak żołnierze, wiedząc, że zostaną wynagrodzeni bez względu na przebieg wypadków, będą zadowoleni, a zadowolonymi łatwiej kierować.

Oktawian poderwał się ze swojego posłania z gwałtownością, która zaskoczyła Mecenasa. Przywoławszy niewolnika, kazał zdjąć sobie tunikę, umyć się i ubrać jak należy. Następnie uciszył Mecenasa i Rufusa, którzy sprzeciwiali się jego zamiarom, twierdząc, że powinien jeszcze pozostać w łóżku.

— Mecenas ma rację — odezwał się w końcu. — Musimy zachowywać się w taki sposób, aby żołnierze sądzili, że udało nam się osiągnąć to, co chcieliśmy. Złożę ofiarę dziękczynną za nowe stanowisko i niezwłocznie przemówię do legionistów. Podziękuję im za to, że oddali się pod moją komendę, i powiem, że senat po prostu potwierdził, iż należy mi się to, co onidali mi już wcześniej. Wówczas w trakcie wojny będę słuchać tylko mnie, zwłaszcza gdy obiecuję im dodatkowe gratyfikacje oprócz tego,

co wypłaci im senat. Odłożyliśmy już pieniądze dla nich, prawda? W ten sposób otrzymają podwójne wynagrodzenie. Tak więc, po cóż mieliby iść za konsulami? A potem, kiedy wojna dobiegnie końca, zobaczymy, z kim będzie chciał rozmawiać senat!

— Otóż to! Pamiętajmy jednak, że musimy wygrać wojnę — przypomniał Mecenias, zastanawiając się, w jaki sposób mógłby zaangażować w konflikt Agrypę. Teraz potrzebowali go bardziej niż kiedykolwiek.

XV

Niech mi ktoś wytłumaczy, dlaczego wysyłają do nas poselstwo — mówił podniesionym głosem Dolabella.— Powinni po prostu pozwolić nam wejść, bez tych wszystkich korowodów. Czy nie mam racji?

Veleda ujrzała trzech mężczyzn wychodzących przez bramę Smyrny, a na stokach twierdzy dostrzegła rozstawionych żołnierzy. Niektórzy z nich założyli strzały na cięciwy, inni stali w gotowości z obnażonymi mieczami.

Dolabella miał rację, nikt nie przyjmował w ten sposób urzędnika Republiki Rzymu.

Czekał niecierpliwie nieopodal murów miejskich, gdy w końcu trzech mężczyzn podeszło do niego. Dolabella, obecny prokonsul Syrii – chociaż jego podwładni wciąż tytułowali go zgodnie z urzędem, który sprawował od czasu śmierci Cezara – stał otoczony strażami przybocznymi, do których należał również Ortwin wraz ze swymi Germanami. Nawet Veleda była traktowana przez Rzymian jako pełnoprawny wojownik.

Magistrat skierował się pewnym krokiem w stronę wejścia do miasta, ale praktycznie zatrzaśnięto mu bramę przed nosem, co – biorąc pod uwagę jego impulsywność – nie mogło nie zrobić na nim wrażenia. Zaatakował trzech posłańców, zanim zdążyli otworzyć usta, by go powitać:

— Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co się tutaj dzieje? Moi ludzie są zmęczeni i głodni.

— Konsulu Dolabello, prokonsul Azji Gajusz Treboniusz przesyła ci swoje pozdrowienia i wita cię w swej prowincji — oświadczył jeden z trzech ambasadorów. — Ma on nadzieję, że podróż z Italii upłynęła ci spokojnie. Poleciał przygotować dla ciebie i twojego wojska prowiant na trzy dni.

— Posłuchaj, tracimy niepotrzebnie czas — uciął Dolabella. — Dajcie mi natychmiast wejść, a sam wyjaśnię prokonsulowi, czego potrzebujemy ja i moi ludzie. Muszę wziąć porządną kąpiel i znaleźć zakwaterowanie na kilka dni. Podróż do Syrii jest jeszcze długa.

Poseł westchnął zmieszany.

— Jak powiedziałem, prokonsul przygotowuje dla ciebie to, co niezbędne. Bądź łaskaw zaczekać tutaj...

— *Nie będę czekał tutaj!* Jestem rzymskim urzędnikiem i mam prawo

wejść do miasta należącego do prowincji wtedy, kiedy mi się podoba, i tak, jak mi się podoba! — wykrzyknął wściekły Dolabella.

Legat nie ustępował, ale starał się zachować spokój.

— Prokonsul uważa, że wpuszczanie cię nie byłoby słuszną decyzją. W tych niespokojnych czasach przebywanie dwóch magistratów w jednym mieście na prowincji mogłoby doprowadzić do problemów. Prokonsul nie może również wyjść cię powitać. Prosi o wybaczenie, lecz jest akurat bardzo zajęty i...

— Ależ oczywiście! Zajęty pracą dla swych koleżków: Marka Brutusa i Kasjusza! Myślicie, że nie wiem o tym, iż Kasjusz przeszedł do Syrii, do *mojej* prowincji?

— Konsulu, nie wiem, o czym mówisz. Ja...

Dolabella postąpił krok ku niemu i chwycił go za rąbek togi.

— Słuchaj mnie, pętaku! Każ w tej chwili otworzyć te przekłete drzwi i wpuść mnie z tyloma ludźmi, ilu zechcę ze sobą zabrać! Czy wyraziłem się jasno?

— Wybacz mi, konsulu, wykonuję tylko rozkazy... Do wieczora otrzymasz swój prowiant. Możesz rozbić obóz pod miastem... — wybełkotał przerażony legat i kiedy Dolabella puścił jego togę, zaczął się wycofywać.

Na koniec odwrócił się, skinął głową w geście pożegnania, co skwapliwie uczyniło także jego dwóch towarzyszy, po czym wszyscy trzej się oddalili. Ciężkie skrzydła bramy otworzyły się, gdy tylko zbliżyli się do murów.

Dolabella odruchowo postanowił skorzystać z okazji i także wejść do miasta. Ruszył przed siebie, dając znak strażom przybocznym, by podążyły za nim.

— Sądzę, że jest to zbyt ryzykowne, konsulu, nie sądzisz?— zasugerował Ortwin i wskazał uzbrojonych mężczyzn stojących na wałach obronnych.

Dolabella się zatrzymał. Spojrzał w górę i pokręciwszy głową, odrzekł:

— Co za suczy syn!

Wśród znajdujących się przy nim ludzi zapanował niepokój, ponieważ zdali sobie sprawę, że stoją w zasięgu strzał. Velea spojrzała na Ortwiną, a on mrugnął do niej, by dodać jej otuchy. Mógł tylko liczyć na to, że konsul – który bez wątplenia był człowiekiem porywczym – mimo swego usposobienia nie zrobi teraz nic głupiego. Na przykład nie spróbuje przejść przez bramę w czasie jej zamykania. Ale Dolabella się nie ruszył.

Tymczasem trzej posłańcy zniknęli za zamykającymi się wrotami. Konsul

zaczekał chwilę, być może w nadziei, że ujrzy na wałach Treboniusza. Ten jednak się nie pokazał. Wyglądało na to, że zamierza trzymać się ustaleń, o których właśnie ich powiadomił. „To bardzo komplikuje zadanie, jakie Ortwin otrzymał od Oktawiana i sekty” — pomyślała Velea.

Należało się skontaktować z Treboniuszem, aby można było zrealizować zlecenie, ale wyglądało na to, że będzie trudniej, niż zakładali. Mieli nadzieję, że uda im się działać pod osłoną nocy, jak zwykli czynić sykariusze, i zaraz potem ruszyć z Dolabellą w kierunku Syrii, lecz gubernator Azji najwyraźniej wiedział o oportunistycznej postawie byłego konsula i nie zamierzał się z nim kontaktować.

— Oblegnijmy ich! Nie pozwolę, by w ten sposób traktowano rzymskiego urzędnika, to niedopuszczalne! — wykrzyknął nagle Dolabella, po czym zwrócił się do jednego ze swoich legatów: — Ściągnijcie skorpiony z okrętów, natychmiast zbudujcie taran i wieżę samobieźną. To wystarczy, by ich przestraszyć. Przekonamy się, czy i wtedy nie będzie chciał otworzyć bramy!

Następnie wydał dyspozycje, by rozbić obóz, w którym miała stacjonować jego mała armia.

— Myślisz, że wystarczy zbudować kilka machin oblężniczych, aby skłonić Treboniusza do ustąpienia? — zapytała Velea Ortwiną.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział. — Treboniusz wie, że jest silniejszy. Jest nas zbyt mało, abyśmy mogli zdobyć miasto otoczone murami tak mocnymi jak te w Smyrnie. Ośmieszmy się, lecz nic nie wskóramy.

Kobieta zrozumiała, że nie mają szans wejść do miasta. Nie potrzebowała potwierdzenia Ortwiną. Także pozostali żołnierze kręcili głowami, nie będąc przekonani o słuszności decyzji konsula.

— Więc jak dotrzemy do Treboniusza, skoro on trzyma się z daleka od Dolabelli? — dopytywała.

— No cóż, może udamy dezertarów i przejdziemy na jego stronę... — rozważał Germanin.

— A jeśli będzie z nim Kwintus Labienus? Rozpozna nas... Tak czy inaczej, byłyby z nim problemy...

Ortwin przytaknął. Zapatrzył się przed siebie swoim jedynym okiem. Na dźwięk tego imienia jego również dopadały mroczne wspomnienia. Względy Velea, przez długi czas kobiety Kwintusa Labienusa, całymi latami były ich kością niezgody. Syn głównego współpracownika Cezara,

który stał się później najzagorzalszym wrogiem dyktatora, zgwałcił ją, kochał miłością występłą i obsesyjną, traktował jak swoją własność, więził i uczynił swoją niewolnicą, walczył dla niej, ryzykował życie, rywalizował o nią nawet ze starszym synem Pompejusza Wielkiego – straconym Gnejuszem Pompeuszem Młodszym. Ortwin był niegdyś przyjacielem i towarzyszem broni Labienusa. Podczas wielu lat triumfu Cezara ich losy nieraz się krzyżowały: od Italii poprzez Grecję aż po Afrykę. Dzieliły ich i poglądy polityczne – jeden był wiernym zwolennikiem dyktatora, drugi jego zażartym przeciwnikiem – i miłość do niej. Prowadzili nieustanną walkę, która zakończyła się dopiero pod Mundą.

A przynajmniej Velea wierzyła w to, że koniec konfliktu nastąpił właśnie tam. Po bitwie Ortwin odnalazł ją i Lepidusa i miał możliwość zabić rywala. Ale kobieta wstawiła się za swoim kochankiem i oprawcą, toteż Germanin pozwolił mu odejść, chociaż pokonał go w pojedynku, a wcześniej przysięgał sobie, że go zabije.

Odstąpił od tego ze względu na nią, ze względu na miłość do niej. Także z miłości do niej wziął udział w szaleńczym przedsięwzięciu, którego celem miało być odzyskanie tronu, chociaż od początku nie miał do tego przekonania. Powrót do Germanii okazał się błędem, a teraz, kiedy Kwintus Labienus ponownie stanął na ich drodze, wszystko mu mówiło, aby tym razem nie pozostawiać go przy życiu, aby uniknąć kolejnego błędu.

— Jeśli będzie tam Kwintus Labienus? — odezwał się po długim namyśle.
— Tym razem go zabijemy. Nie tylko Oktawian może mieć swoją listę...

Oktawian zauważył, że jedna ze strzał śmignęła tuż nad jego głową. Instynktownie schylił się i ukrył za palisadą, ale zaraz potem zwyciężyła w nim ciekawość i uniósł głowę na tyle, by móc śledzić walkę toczącą się niewiele ponad sto kroków od jego obozu.

Konsul Aulus Hircjusz, stojący obok Oktawiana, zwrócił się zniecierpliwiony do legata:

— Psiakrew, Galbo, jeśli nie potrafisz utrzymać w ryzach swoich ludzi, po co tu w ogóle jesteś?

Martia Victrix, zbuntowany legion, który odmówił posłuszeństwa Antoniuszowi, by przejść na stronę Oktawiana, został następnie przekazany przez młodego wodza pod rozkazy senatu. Ojcowie spisani przydzielili

dowództwo nad oddziałem konsulowi Hircjuszowi, który z kolei powierzył go Serwiuszowi Galbie, jednemu z zabójców Cezara.

— Konsulu, niekiedy powstrzymanie zapалу żołnierzy jest rzeczą niemożliwą. Powiedział to sam Cezar pod Farsalos. Moi jeźdźcy zobaczyli, jak ich towarzysze na zwiadach są atakowani przez jazdę Antoniusza, i nie było sposobu, by ich powstrzymać. Wyszli z obozu, żeby dołączyć do walki u ich boku.

„»Moi jeźdźcy«” — pomyślał Oktawian i zebrało mu się na wymioty. „Mówi o nich »moi«!”

— Cezar wiedział, kiedy należało ryzykować wszystko dla wszystkiego, głupcze! — Odpowiedź Hircjusza nieco złagodziła zdenerwowanie Oktawiana. — Teraz ustawiliby ich w szeregu i niechby tylko spróbowali się ruszyć! Co mówiłem dzisiaj rano? Nie wolno nam reagować na zaczepki! Wiedzieliśmy, że Antoniusz będzie próbował sprowokować nas do walki przed przybyciem Pansy, aby nie dopuścić, do tego, że z przodu będzie miał nasze oddziały, a z tyłu Decymusa Brutusa w Mutinie. Wiedzieliśmy o tym doskonale! Stawanie z nimi w tej chwili do walki nic dobrego nam nie przyniesie!

— Ale nawet gdybyśmy stoczyli teraz walkę, Decymus Brutus skorzystałby z tego, by zaatakować Antoniusza od tyłu. O to chodzi. Nie potrzebujemy Pansy. Co więcej, jego legiony tworzą sami rekruci i byłiby dla nas przeszkodą— wtrącił zastępcę Galby, Kwintus Poncjusz Aquila, kolejny zabójca Cezara.

— Ach tak? — Hircjusz najwyraźniej nigdy nie pozbywał się swego złośliwego tonu.

Dyktator uważał go za jednego ze swoich najbliższych współpracowników, bardziej ze względu na jego lojalność niż kompetencje militarne czy polityczne, a także z powodu jego zdolności pisarskich. Zlecił mu redakcję ostatniej części swoich *Commentariorum* poświęconych wojnom galijskim, lecz świadomy jego ograniczeń nigdy nie powierzał mu zadań operacyjnych w czasie wojny. Dopiero teraz, po śmierci wodza, Hircjusz przejął dowodzenie nad rzymskimi oddziałami i za wszelką cenę chciał udowodnić, że jest godny tego stanowiska. Dlatego też nieustannie był bardzo spięty i skupiony na swoich dążeniach, co czyniło go postacią dość obmierzłą. Oktawian wolał jednak jego niż spiskowców, z którymi był zmuszony współpracować. Dla chłopaka Hircjusz przestawał być

antypatyczny, gdy karciał cesarobójców, jak choćby teraz.

— Ach tak? — powtórzył konsul. — Słuchając cię, odnoszę wrażenie, że i ty jesteś rekrutem. Pansa nadchodzi, więc nie ma sensu ujawniać się teraz. Decymus Brutus z kolei jest na wykończeniu. Jego legioniści cierpią głód, więc nie możemy teraz liczyć na ich skuteczność. Poza tym Antoniusz jest doświadczonym dowódcą. Skoro przeszedł rzekę Panaro i natarł na nas, możesz być pewny, że część jego oddziałów wciąż stoi pod murami Mutiny pod rozkazami jego brata, Lucjusza. Decymus Brutus nic nie może zrobić, nawet gdyby chciał.

Odgłosy walki i szcęk żelaza wzmogły się. Cały sztab generalny wyjrzał na zewnątrz. Kolejne szwadrony nieprzyjacielskiej jazdy pokonały rzekę w bród i ruchem oskrzydającym dopadły bocznych pozycji ich oddziałów, biorąc je w kleszcze. Przeciwnik miał teraz wyraźną przewagę liczebną nad jeźdźcami Galby, którzy – jak się zdawało – są skazani na porażkę. Spłoszone konie bojowe spadały ciężko na ziemię, rozpryskując dookoła błoto; ich wyrzuceni z siodła jeźdźcy z trudem wstawali, by umknąć lecącym strzałom; ci, którym się to udawało, byli zmuszeni walczyć na stojąco, w gęstwinie nieprzyjaciół siedzących wciąż w siodle, aż w końcu znikali w kłębowisku koni.

— Ależ nie możemy pozwolić, by tak tam ginęli! Musimy wyjść i im pomóc! — krzyknął Aquila.

— I doprowadzić do bitwy, na którą czeka Antoniusz? Nie ma mowy! To byłaby rzeź — oświadczył konsul.

Oktawian nie wytrzymał. Mamrocząc ledwo zrozumiale, jakby przeproszał, oderwał się od palisady, zszedł po drabinie, która prowadziła do podnóża wałów, i zwymiotował silnym strumieniem żółci przy wejściu na stok twierdzy. Poczuł, jak ogarnia go silne, konwulsyjne drżenie. Zatrzymał się na chwilę z zamkniętymi oczami, usiłując uspokoić swoje ciało lub przynajmniej nad nim zapanować. Musiał długo czekać, nimzdołał ukoić nerwy.

Przyglądał się swojej pierwszej bitwie. Dotychczas najbliższą styczność z walczącymi żołnierzami miał podczas treningów w Apollonii, kilka miesięcy przed śmiercią Cezara. Ale ten dźwięk, ten szcęk uderzających o siebie ostrzy, przeszywające, pełne bólu krzyki rannych, majestat bitwy polowej, w której ludzie starali się wzajemnie pozabijać, były dla niego całkowicie nowym doświadczeniem. Zaskoczyło go nagłe pragnienie, by

podzielić się tym z Agrypą, który z pewnością o wiele bardziej nadawał się do tego typu spraw i od dawna czekał na okazję, by nie tylko przyglądać się bitwie, ale i w niej uczestniczyć. Szybko jednak odrzucił tę myśl. To nie był czas na sentymenty, czekało go zbyt poważne zadanie.

W każdym razie miał pewność, że dostał mdłości nie z powodu zamieszania czy strachu. Nie. Było w tej sytuacji coś, co budziło w nim nieznośne obrzydzenie. Otarł twarz wierzchem dłoni, zaczerpnął oddechu, wypiął pierś i ponownie wszedł po stopniach, zajmując swoje dawne miejsce. Od razu zauważył, że postaci walczących wydają się teraz większe. Zrozumiał, że ludzie Antoniusza napierają coraz mocniej, doprowadzając do wycofywania się oddziałów Galby. Jeźdźcy zbliżali się do obozu. Byli *niebezpiecznie* blisko. A jednak ich sylwetki stawały się coraz bardziej zamazane. Nie walczyli już przy brzegu rzeki i błoto nie rozbryzgiwało się wokół przy każdym ruchu; teraz unosiły się tam tumany kurzu, które spowijały żołnierzy niczym mgiełka unosząca się nad gladiatorami na arenie.

— Miejmy nadzieję, że nas nie zaatakują! Młodemu Oktawianowi robi się niedobrze już na sam ich widok, a co by było, gdyby musiał z nimi walczyć! — wykrzyknął Poncjusz Aquila i po twarzy przemknął mu uśmiech, lecz Galba spojrział tylko na niego z wyższością, a Hircjusz był zbyt skupiony na śledzeniu walki, by zwracać uwagę na kąśliwe uwagi.

Oktawian przygryzł wargi. Miał ochotę powiedzieć mu, że zwymiotował z obrzydzenia, jakie budzi w nim konieczność współpracy z mordercami ojca. Ale wiedział, że nie może tego zrobić, poprzestał więc na stwierdzeniu:

— Gdy dojdą do fortu, zobaczymy, który z nas zmierzy się z nimi z większą godnością, Poncjuszu Aquilo...

W końcu dotarli. Galba i Aquila zdołali przekonać Hircjusza, aby wymknąć się z częścią oddziałów, lecz konsul nie ruszył z pomocą dla zwiadowców; nie chciał bowiem, by w starciu zaangażowała się cała armia. Wolał raczej wykonać manewr oskrzydłający i uderzyć z pięcioma kohortami na obóz, który Antoniusz rozbił na brzegu rzeki Panaro, po ich stronie. Miał nadzieję, że w ten sposób zmusi wroga, by zaniechał prób przebijania się między ich szeregi i by wycofał się w celu ratowania własnego obozu.

Gajusz Cherea również poparłby ten manewr, ponieważ miał on sens

taktyczny i wielkie szanse na powodzenie. Pod warunkiem że gdy oddziały będą zajęte walkami przed wałem, Antoniusz nie zbliży się na tyle, aby podjąć próbę szturm na obóz.

Niemal wszyscy jeźdźcy wroga rozproszyli się w walce i rzucili się w kierunku wałów obronnych fortu. Właśnie wtedy Oktawian został zmuszony do podjęcia pierwszej trudnej decyzji, godnej dowódcy.

Cherea przypatrywał mu się, jak wydaje rozkazy. Wyglądało na to, że chłopakowi udało się przezwyciężyć początkowy kryzys. Hircjusz przekazał mu odpowiedzialność za strażę obozu, sam natomiast ruszył na nieprzyjaciela. Otworzyli bramę, by wpuścić uciekających, ale zaraz musieli ją zamknąć, ponieważ za ich ludźmi ruszyli żołnierze Antoniusza usiłujący przedostać się do obozu. Oktawian znajdujący się na wałach, w pobliżu bram, nie potrafił wydać rozkazu. Przy wale wciąż było zbyt wielu jeźdźców ze sprzymierzonych oddziałów, a chłopak wyraźnie nie potrafił zostawić swoich ludzi na pewną śmierć.

Było to jednak nieuniknione, toteż Gajusz podszedł, by zmobilizować go do działania. Oktawian nie spuszczał oka z konnicy; wielu wojowników zostało już wysadzonych z siodła, inni leżeli przebici włócznią. Obserwował z góry te wydarzenia i... milczał. Jego ciałem wstrząsały silne drgawki, a oczy otwierały się coraz szerzej z przerażenia. I wciąż milczał. Odpowiedzialność zdawała się go paraliżować, jej ciężar przerastał młodego wodza rzuconego nagle na pierwszą linię walk, chorowitego i nieprzyzwyczajonego do decydowania o życiu innych ludzi.

Cherea poczuł, że musi interweniować. Potrząsnął Oktawianem i pośród zgiełku i odgłosów walki krzyknął mu do ucha, by wydał w końcu ten przeklęty rozkaz. Oktawian przez chwilę patrzył na niego z niesmakiem i nadal milczał.

— Chcesz ponieść klęskę przy pierwszym starciu? Chcesz, żeby wszyscy mówili, że nie potrafiłeś obronić obozu? Jak będziesz chciał potem pomścić Cezara? Kto ci zaufa? — krzyczał do Oktawiana, stawiając wszystko na jedną kartę i mając świadomość, że może ściągnąć na siebie jego gniew.

A jednak to zadziało. Oktawian otrząsnął się – najwyraźniej wreszcie pozbył się skrupułów – i krzyknął, by zamknąć bramę. Później już tylko patrzył, jak ci, których musiał pozostawić na zewnątrz, ginęli. Przywołał na wały garstkę pozostałych łuczników i miotaczy włóczni, rozkazując im, by celowali we wroga przy samej fosie. Następnie kazał zrzucić liny wzdłuż

palisady i nasypu, aby uciekinierzy, którym uda się pokonać fosę, mogli wspiąć się po nich do góry, lecz wielu utonęło, a inni – mimo że udało się im dojść do podnóża nasypu – w trakcie wspinania się po ostrokole ginęli od włóczni wroga. Choć z życiem uszli nieliczni, Oktawian swoją inicjatywą zdobył szacunek ludzi na wałach.

Legioniści pozostający w formie mogli teraz przystąpić do natarcia z determinacją ludzi, którzy pokładają w swoim dowódcy całkowite zaufanie. Nagle bowiem za sylwetkami jeźdźców, którzy puścili się w pogoń, pojawiły się liczne kohorty piechoty. Zbliżając się do fortu, uformowały wachlarz, którym otoczyły go z trzech stron. Legioniści zbierali po drodze to, co było pod ręką, i wrzucali do fosy, by wypełnić ją i uformować przejście; pozostali podążali za nimi z drabinami, które znaleźli w pobliżu. Oktawian dał rozkaz, by do walki włączono skorpiony. Ich syczące groty zaczęły kosić szeregi wroga, choć to nie wystarczyło, aby osłabić impet uderzenia.

— Nic z tego — powiedział Gajusz, obserwując, jak marny efekt przynosiło użycie machin i walka nielicznych łuczników, którzy przeciwstawili się nacierającemu nieprzyjacielowi. — Musimy poczekać, aż podejmą próbę przekroczenia fosy, wtedy znajdą się w zasięgu naszych włóczni, oszczepów i *pilorum*¹⁹.

Oktawian zamyślił się na chwilę, a następnie pokiwał głową.

— Centurionie! — krzyknął do najbliższego oficera. — Przekaż pozostałym centurionom, by zgromadzili na wałach całą broń miotającą, jaką mamy jeszcze w magazynach, i rozłożyli w równych stertach dla każdej jednostki! Natychmiast!

Gdy tylko rozkaz dotarł do wszystkich sektorów, legioniści zaczęli krążyć tam i z powrotem, pomiędzy szczytem palisady a wewnętrzną podstawą wałów, dopóki nie przyniesiono całej broni dostępnej w obozie, co do jednej sztuki. Tymczasem ludzie Antoniusza zaczęli wypełniać fosę patykami, kamieniami i gałęziami, budując prowizoryczne małe pomosty. Wydostanie się z fosy utrudniała nie tylko woda, ale także charakterystyczna forma wykopu, przypominająca literę V, szczególnie gdy dochodził do tego ostrzał z góry, zgodnie z wydanym na czas rozkazem Oktawiana.

Na jego znak z kolejnych sektorów wału na napastników spadał deszcz włóczni i strzał wszelkiego rodzaju i niemal wszystkie trafiały w cel. Legioniści nieprzyjaciela, tłocząc się przy każdym z usypanych naprędcze pomostów, byli zbyt zajęci szukaniem pewnego oparcia dla stóp, by trzymać

w górze tarcze i chronić się przed bełtamilecącymi od strony wałów. Na skutek celnego strzału lub tylko utraty równowagi upadali na ziemię albo do fosy, zagradzając często drogę swym kompanom, którzy byli zmuszeni zrzucić ciała w dół, by torować sobie przejście; tracili w ten sposób czas i stawali się jeszcze łatwiejszym celem dla przeciwników.

Lecz było ich wielu, dużo więcej niż obrońców fortu i niektórym udawało się dotrzeć do stóp nasypu. Niekiedy, spragnieni chwały, próbowali wdrapywać się na niego samotnie lub czekali na kogoś z towarzyszy, by połączyć tarcze i uformować coś w rodzaju *testudinis*²⁰, jednak czekając, mogli paść od strzał lecących od strony wałów. Wkrótce nasyp upstrzony był trupami osuwającymi się powoli w dół.

Co pewien czas pojedynczy strzał napastników sięgał celu. Pojawiło się ryzyko, że mogą zbyt blisko się zbliżyć. Gajusz spostrzegł, że w sektorze po jego lewej stronie na wale leży wielu poległych i rannych, a nieliczni obrońcy nie są w stanie odpowiadać strzałami z wystarczającą częstotliwością. Przy nasypie zauważył żołwia uformowanego co najmniej z trzydziestu tarcz, na które zaczęli się wspinać pozostali żołnierze nadchodzący przez usypany z tyłu pomost. Stojąc na takim podwyższeniu, mogli nabrać rozpędu i przeskoczyć palisadę.

Natychmiast wziął ze sobą dwóch żołnierzy i zamierzał tam pójść, lecz Oktawian go powstrzymał. Podbiegł do Cherei, wyprzedził go i pierwszy dotarł do zagrożonego sektora. W pobliżu znajdował się porzucony skorpion.

— Szybko, chodźcie tutaj! — krzyknął chłopak do pozostałych i chwycił podstawę maszyny. — Trzeba go podnieść!

Posłusznie pomogli mu postawić maszynę na wysokość czubków palisady. Gajusz spojrział w dół i zauważył, że jeden z żołnierzy wskakuje na utworzony z tarcz stopień i podbiega do niego, wymachując gladiuszem. Był już niemal przy Gajuszu i patrzył mu dziko w oczy z szyderczym uśmiechem. W tym samym momencie Oktawian rozkazał spuścić w dół skorpiona.

Maszyna przeleciała ponad szpicami ogrodzenia, wywracając podbiegającego żołnierza. Nieprzyjaciel zniknął za skorpionem, który runął na dach z tarcz. Rozległ się odgłos łamanego drewna, miażdżonych hełmów i trzaskających kości połączony z nieludzkim krzykiem. Gajusz wspiął się na górę ostrokołu i wychylił się, by spojrzeć w dół. Napastnicy staczali się po stoku nasypu, na sam dół, do fosy. Niektórzy byli ogłuszeni lub martwi, inni po prostu nie potrafili utrzymać równowagi i spadali pod ciężarem

swych towarzyszyłub odłamków broni.

Oktawian wydał okrzyk triumfu, tak do niego niepodobny, że Gajusz spojrział na wodza z zaskoczeniem. Chłopak zdołał zachować zimną krew, a swą nieprzeciętną inteligencję wykorzystał na potrzeby sztuki wojσκowej i dowodzenia. W tym wychudzonym ciele kryła się żelazna wola i determinacja.

Obrońcy przyległych sektorów śledzili całą scenę z uwagą, dlatego teraz wykrzykiwali radośnie imię Oktawiana, wznosząc oczy ku niebu. Pozostali atakujący w dole zatrzymali się niepewnie. Wielu z nich stało się w ten sposób łatwym celem dla strzelców ustawionych na wałach, co pozwoliło znacznie przerzedzić szeregi wroga. Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Determinacja ludzi Antoniusza bezpowrotnie umierała. Niektórzy z nich zaczęli się cofać, aby wyjść z zasięgu strzał obrońców. Ci, którzy odważyli się pozostać pod nasypem, dostrzegłszy, że z każdą chwilą ich ubywa, zaczęli tracić odwagę i pomimo krzyków swoich centurionów onitakże się wycofywali. W końcu dano rozkaz do odwrotu— sylwetki napastników robiły się coraz mniejsze, aż zniknęły całkowicie za linią rzeki.

Dopiero wtedy Oktawian, odetchnąwszy głęboko, poczuł, że ogarnia go ogromne zmęczenie. Doszedł do schodów i zszedł po nich ze spuszczoną głową. Cherea pomyślał, że dla chłopaka musiał to być olbrzymi wysiłek. Przez jakiś czas obawiał się nawet, że dopadnie go atak kaszlu. Miał wrażenie, że wódz w każdej chwili może zemdleć, toteż odruchowo pobiegł za nim, by go podtrzymać. Chłopak odepchnął go jednak i skierował się w stronę centralnej części fortu. Starał się teraz iść z wypiętą piersią i wysoko uniesioną głową.

Na wałach podniósł się zgodny krzyk.

— *Imperator!*

— *Imperator!* Oktawian, syn Cezara, *imperator!*

— Nowy Juliusz Cezar, *imperator!*

Wkrótce cały obóz ogłosił go zwycięzcą. Żołnierze znaleźli sobie nowego dowódcę.

Mecenas zaczynał żałować tego, że na własne życzenie wyruszył wraz z kohortą pretoriańską wysłaną przez Oktawiana w celu eskortowania armii Pansy. Wilgotne, ponure miejsca, jakie jednostka pod dowództwem

Decymusa Karfulenusa musiała pokonywać nocą, sprawiały, że Etrusk samrobił sobie wyrzuty. Na szczęście istniało duże prawdopodobieństwo, że unikną walki. Krążyły słuchy, że Antoniusz rozstawił przy bramach Mutiny oddziały pozostające w pełnej gotowości, ale patrole zwiadowcze doniosły, że nie natknęły się na żadne posterunki.

Z drugiej strony – rozważał Mecenasa, usiłując raz jeszcze się podrapać, sięgając pod niewygodną zbroję oficerską – na tak nieprzyjaznej równinie, gdzie nogi co krok grzęzły w błocie, każdy dowódca poprzestałby jedynie na rozstawieniu kilku wartowników. Na tym odcinku Droga Emiliańska, szczególnie tej wiosny, była wąska i słabo przejezdna, otoczona zewsząd mokradłami, bagnami i gęstymi lasami. Miało się wrażenie, że woda sączy się spod ziemi. Było jej tak dużo, że w wielu miejscach tworzyła prawdziwe stawy. Aby nagle nie okazało się, że kolumna została uszczuplona, Karfulenus postanowił, że jednostka będzie się posuwała naprzód szerszą linią, dlatego ci, którym zabrakło szczęścia, czyli żołnierze rozstawieni na skrzydłach, musieli brodzić w wodzie aż po łydki.

Etrusk spojrział w stronę czoła jednostki, szukając wzrokiem Rufusa. Oktawian wyznaczył go zastępcą Karfulenusa, pomimo jego młodego wieku, lecz Rufus, w przeciwieństwie do Mecenasa, był żołnierzem, a nie cywilem usiłującym udowodnić samemu sobie, że ma dość odwagi, by maszerować z oddziałem. Nie musiał sprawdzać, czy starczy mu ikry, żeby brać udział w walce.

Oktawian, zdając sobie sprawę z wrażliwości swojego etruskiego przyjaciela, usiłował mu zabronić udziału w operacjach, które mogłyby doprowadzić do starć. Ponieważ jednak Etrusk się zaparł, wódz przykazał mu, aby w razie zagrożenia trzymał się blisko Rufusa, temu z kolei zalecił, by był troskliwy jak niańka. Nie chodziło jedynie o przyjaźń, jaka się między nimi zrodziła. Następcą Cezara za bardzo cenił sobie geniusz polityczny Mecenasa, by ryzykować jego utratę. Dlatego też żegnając się z nim, życzył mu powodzenia z tak nadąsaną miną, jakby obawiał się, że więcej go już nie zobaczy.

Ale czy istotnie miał powody do obaw? Razem z jego kohortą pretoriańską maszerował Martia Victrix, a wkrótce mieli dołączyć do czterech legionów, które z Pansą na czele szły na Mutinę. Antoniusz, zmuszony trzymać większość swoich wojsk w gotowości pod oblężonym miastem i obozem Hircjusza i Oktawiana, musiałyby postradać rozum, aby atakować tak dużą

jednostkę, dysponując zaledwie garstką ludzi, których byłby w stanie przesunąć z tamtych pozycji. Możliwe, że przywódca nieprzyjacielskiej armii zamierzał uderzyć w nowe jednostki uformowane przez Panse, do których należeli sami rekruci, ale gdy tylko dowie się o weteranach wysłanych im jako wzmocnienie, z pewnością porzuci ten zamiar. Co najwyżej – jak niedawno zapewniał go Rufus – może przyjdzie im wziąć udział w jakiejś potyczce.

A jednak marszruta przez tak dzikie i nieprzyjaznemiejsca – najpierw, przed nastaniem świtu, w ciemnościach, a później w gęstej mgle jutrzeńki – wytrącała Etruskaz równowagi. Typowa dla wczesnej wiosny wilgoć przenikała jego kości, na co reagował od czasu do czasu kichnięciem. Dla maszerujących u jego boku żołnierzy było to oczywistym przejawem słabości, w czym utwierdzali się, wymieniając znaczące spojrzenia. Mecenas tolerował ich pogardę i nie brał jej do siebie, bo wiedział, że koniec końców, żołnierze znaleźli się tam na skutek jego decyzji, a ich motywacją są jego pieniądze. Gdyby tylko wiedzieli, że nie jest zwykłym trybunem... Ale jemu podobało się to, że biorą go za przeciętnego, nic nieznaczącego oficera. Nigdy nie dbał o pozory. Co innego, kiedy chodziło o wpływy.

Gęsta mgła nie ustępowała. Gdyby Rufus nie zapewnił go wcześniej, że są bezpieczni, maszerowałyby teraz przerażony, spodziewając się, że w każdej chwili może wyrosnąć przed nim nieprzyjaciel. Zdecydowanie nie był w swoim żywiole, gdy tak brnął przez głuszę wypełnioną niepokojącą mieszaniną odgłosów, na którą składał się rytmiczny chłupot żołnierskich nóg w kałużach, świergot ptaków i cykanie świerszczy. Mecenas miał nadzieję, że są już niedaleko miejsca spotkania, i starał się obliczyć, ile jeszcze zostało im drogi. Minionego wieczoru armia Pansy była kilka mil od Forum Gallorum i dwanaście od Mutiny, teraz więc, po trwającym większą część nocy marszu, miasteczko musiało być już niedaleko. Pokrzepiony na duchu zmobilizował się, by przyjąć postawę wojskową i zaczął naśladować krok idących obok legionistów.

Nagle spostrzegł konnego zwiadowcę zmierzającego w stronę czoła kohorty pretorianów, który zrównawszy się z Karfulenusem i Rufusem, zaczął z nimi rozmawiać. Po chwili zawrócił konia i ruszył z powrotem ku Martiae Victrici pod wodzą cesarobójcy Galby.

Zaciekawiony Mecenas przyspieszył kroku i dogonił Rufusa.

— Jakież nowiny? — zapytał.

— Dotarliśmy na miejsce — odrzekł adept sekty. — Pansa jest niecałą milę stąd. Zatrzymamy się i zaczekamy na niego — dodał, a tymczasem Karfulenus wydał rozkaz, by dać sygnał do postoju.

Mecenas odetchnął z ulgą. Na szczęście wszystko poszło gładko. Jego pierwsze działania wojenne ograniczyły się do uciążliwego nocnego marszu w chłodzie i wilgoci.

XVI

Nie był już konsulem, prokonsulem, nie był nawet zdobywcą Smyrny. Dolabella był nikiem i dawało się to zauważyć. Ortwin z rozżaleniem myślał o człowieku, którym Oktawian zamierzał się posłużyć, by rozpocząć swą zemstę na mordercach Cezara. Germanin wątpił, aby mógł się im jeszcze do czegokolwiek przydać. Jeśli nie chcieli z Veledą wrócić do swego prawdziwego wodza z pustymi rękami, musieli przejąć kontrolę nad sytuacją.

— Jak mogli? Jak śmieli odebrać mi Syrię i przekazać ją Kasjuszowi? Przecież miał dostać Cyrenę... Co się stało?

Dowódca pechowej ekspedycji jęczał, trzymając się za głowę, i wyładowywał złość na jednym ze swych trybunów. Nie zważał na germańskich strażników, którzy otaczali go w namiocie.

— Kons... generale... — Zakłopotany oficer usiłował coś powiedzieć. — Senat ostatnimi czasy jest jak chorągiewka. Kiedy Antoniusz był w łaskach senatorów, czynili wszystko, by przypodobać się jemu i tym samym tobie, ponieważ jeszcze wczoraj byłeś wraz z nim konsulem. Teraz jednak, gdy Antoniusz stał się swego rodzaju wrogiem państwa...

Dolabella przerwał mu, uderzając pięścią w podłokietnik swojego krzesła.

— Teraz, kiedy Antoniusz stał się wrogiem państwa, a senat i nowi konsulowie wypowiedzieli mu wojnę, wszystko staje się środkiem do umocnienia pozycji przeciwnego mu stronnictwa. Mordercy Cezara znowu są bohaterami, tak jak byli nimi tuż po idach marcowych. Senatorowie widzą w Decymusie Brutusie bastion, który ma chronić Galię przed podbojami Antoniusza, dlatego uczynią wszystko, by mu się przypodobać. Wysyłają mu na pomoc obu konsulów i młodego Oktawiana, a przyjacielom i sprzymierzeńcom Brutusa podarują najważniejsze prowincje. Co mam teraz począć? — zakończył płaczliwie i rozłożył ręce.

— Mógłbyś spróbować dotrzeć do Syrii przed Kasjuszem. On również, z tego co mi wiadomo, ma trochę zmartwień...

Dolabella spojrział na niego swoimi przerażonymi, zaczerwienionymi od nerwowego płaczu oczami.

— O! To właśnie muszę zrobić. Trzeba wyruszyć jak najprędzej i go pokonać. Przejmę legiony syryjskie. Ciekaw jestem, jak mi je później

odbierze!

Ortwin poczuł ścisk w żołądku. Ten dureń zamierzał udaremnić jego główną misję, po trzech dniach zmarnowanych pod murami Smyrny. Zebrał się w sobie i postanowił zrobić coś, by do tego nie dopuścić.

— Wybacz mi, konsulu — zaczął nieśmiało, posługując się tytułem, który uznał za najstosowniejszy dla swojego dowódcy — chciałbym jednak uczynić pewną istotną uwagę.

Wydawało się, że Dolabella dopiero teraz zauważył jego obecność. Spojrzał na niego z rozdrażnieniem, wyraźnie zaskoczony tym, że jakiś barbarzyńca jest w stanie „czynić uwagi”. Większość rzymskich generałów liczyła się z celtyckimi czy germańskimi *auxiliis* i chętnie korzystała z ich pomocy. Alenie Dolabella. Rzymianin był jednak zbyt sfrustrowany i nie miał siły traktować Ortwina z pogardą, jaką wobec niego odczuwał, więc zamilkł. Germanin uznał to milczenie za oznakę przyzwolenia.

— Jeśli odejdziemy stąd po nieudanym oblężeniu, nie wpłynie to dobrze na twój wizerunek, szczególnie wśród legionów syryjskich, które zamierzasz przejąć pod swoje dowództwo — powiedział zdecydowanym tonem. Wiele razy zwracał się per ty do Cezara, nie zamierzał więc występować z pozycji onieśmiałego przed Dolabellą, w którym nie sposób było się doszukać choćby cienia dyktatorskiej czy w ogóle jakiegokolwiek charyzmy.

— Poza tym, nawet jeśli zdołałbyś dotrzeć do Syrii przed Kasjuszem, uczyniłbyś sobie wrogów ze wszystkich tutaj, na wschodzie: Marka Brutusa, Tiliusza Cymbra w Bitynii i samego Gajusza Treboniusza w Azji. Moim zdaniem, skoro już tu jesteśmy, powinieneś się pozbyć przynajmniej Treboniusza.

— Łatwo ci mówić, barbarzyńco! — Dolabella potrząsnął głową, wstał z krzesła i zaczął chodzić po namiocie tam z powrotem. — Może mi powiesz, jak mamy wejść do Smyrny? Kilka maszyn oblężniczych rozstawionych w pośpiechu nic nie dało. Ani mury, ani brama nawet nie drgnęły. Za to skorpiony na wałach zabiły mi wielu ludzi i juczne zwierzęta!

Miał oczywiście rację. Przyczyną fiaska w dużej mierze był brak żołnierskiego doświadczenia Dolabelli. Oblężenie rozpoczęło się w najbardziej niekorzystnych okolicznościach. Wszelkie próby drążenia tuneli czy zbliżenia się do murów z drabinami, a także umieszczenia tarana pod bramą, kończyły się niepowodzeniem. Obrońcy miasta odpierali ataki z wielką łatwością, powodując poważne straty w wątłych szeregach

Dolabelli. W rzeczywistości szturmowanie miasta o tak potężnych fortyfikacjach jak Smyrna bez machin wojennych i odpowiednio dużej armii było nie do pomyślenia. „Może nawet nie udałoby się to Cezarowi, a co dopiero takiej miernocie jak ten jego nędzny podwładny” — powiedział sobie w duchu Ortwin.

Jednak już na samym początku oblężenia, które od razu, opierając się na swym bogatym doświadczeniu, ocenił jako chybione przedsięwzięcie, zaczął obmyślać rozwiązanie. Uznał, że nadszedł czas, aby przedstawić je dowódcy.

— Generale, nie jesteśmy w stanie zdobyć miasta. Jest nas zbyt mało i nie mamy odpowiedniego wyposażenia. Poza tym, jeśli pozostaniemy tu dłużej, ryzykujemy, że od tyłu zajdzie nas Tulliusz Cymber. Uratować może nas fortel.

— Fortel? Co masz na myśli?

— Pakuj manatki i zabieraj się stąd. Albo przynajmniej pokaż, że chcesz odstąpić od oblężenia. Resztą zajmiemy się my, „barbarzyńcy” — powiedział.

Dolabella nie przestawał się w niego wpatrywać. W końcu odwrócił głowę i zamyślił się. Było widać, że rozpaczliwie chce mu zaufać. Nie miał stanowiska, prowincji ani armii: upadł tak nisko, że był gotowy uwierzyć każdemu, kto dałby mu jakąkolwiek szansę. Lecz jednocześnie budziła w nim wstręt myśl o tym, że jest zależny od jakiegoś barbarzyńcy.

Ortwin miał nadzieję, że desperacja tego nieudacznika okaże się silniejsza od jego uprzedzeń. Czekał w ciszy na decyzję generała, spoglądając to na swoich ludzi, to na Dolabellę.

Rzymianin potrzebował trochę czasu.

— A jeśli się nie uda? — powiedział w końcu.

— Jeśli się nie uda, ja i moi ludzie zginiemy, dla ciebie zaś nie będzie to miało żadnych konsekwencji. Znasz może kogoś innego, kto byłby gotów poświęcić się dla ciebie?

Dolabella skapitulował – udało się. Teraz trzeba było jeszcze tylko zdobyć miasto: ośmiu przeciwko reszcie. Może bez tego nieudacznika mieli nawet jakieś szanse.

Agrypa nie posiadał się z radości, mogąc ponownie założyć napierśnik legionisty. Dzięki wstawiennictwu Mecenasusa zdołał się zaciągnąć do nowych

oddziałów Pansy jako jeden z najświeższych rekrutów i wyruszył na północ, by pomagać człowiekowi, który go przepędził. Potrzebował sprawy, imienia, dla którego mógłby walczyć, lecz nie potrafił znaleźć niczego, co byłoby zaszczytniejsze niż ideały sekty Marsa Mściciela... a także ideały Oktawiana, któremu przebaczył decyzję podjętą w gniewie. Dręczony poczuciem winy z powodu tego, że pokrzyżował plany przyjaciela i zagroził realizacji celów sekty, postanowił wspierać bractwo w tajemnicy przed wodzem, pozostając poza jego kręgami. Wielu ludzi pracowało na rzecz sekty – byli to sponsorzy i politycy związani z Mecenasem i Oktawianem, ale żaden z nich nie wiedział, że wspiera grupę, która miała przejąć stery w Rzymie, dając początek nowej klasie społecznej. Być może sądzili, że kupują sobie Oktawiana lub budują wokół niego frakcję, dzięki której będą mogli zwalczać swoich przeciwników; a może pomagali mu przez wzgląd na pamięć o Cezarze. Agrypa natomiast był w pełni świadomy wielkiej wizji, jaką nosił w swoim umyśle jego przyjaciel, i niczego bardziej nie pragnął, niż stać się częścią tej wizji. Na razie wystarczała mu świadomość, że Mecenas śledzi jego ruchy.

— Tam! Coś się rusza w krzakach! — zawołał jeden z kompanów jadących w tym samym szeregu kolumny.

Agrypa pokręcił głową. Otaczali go sami naiwni rekruci. Na szczęście tamtego ranka, dzięki posiłkom wysłanym przez Hircjusza i Oktawiana, nie doszło do starć, bo wówczas żółtodzioby nie wypadłyby dobrze. Prędzej czy później jednak do walki dojdzie i trzeba będzie zmierzyć się z doświadczonymi oddziałami Antoniusza. Wtedy się przekonają, że na wojnie liczby niewiele znaczą. Jego towarzysze byli mniej więcej w jego wieku, ale on służył w wojsku od ponad roku i nietrudno było dostrzec między nimi różnicę.

— Ja też widzę, że coś tam się rusza! — zaskrzeczał kolejny przelękniony głos. — Może to zwierzęta?!

— Na pewno. Jakaś owca, która uciekła pasterzowi...

— Albo jakiś chłop, podgląda nas, bo jest ciekawski, ale równie przerażony...

Dla Agrypy sprawa była jasna. Połączenie z siłami Oktawiana miało dopiero nastąpić i ta zbieranina przypadkowych żołnierzy, przeszkolonych w pośpiechu przez konsula w Rzymie, nie byłaby w stanie zmierzyć się nawet z małym oddziałem wyjących dziko barbarzyńców, a co dopiero

z legionem weteranów. Należało się upewnić, że w okolicy nie ma żadnych nieprzyjaciół. Nawet pojedyncza kohorta wojsk Antoniusza mogła wywołać panikę w szeregach rekrutów.

Agrypa wezwał najbliższego oficera.

— *Optio*! Sądzę, że powinniśmy posłać kogoś, by sprawdził, co jest za tymi krzakami, i uformować *agmen quadratum*²¹!

— Bez przesady! Wygląda na to, że posiłki Hircjusza są już dokładnie naprzeciwko nas. Nikt nie zaatakuje teraz, gdy jest nas tak wielu! Tam, z tyłu, to pewnie zwierzęta! — odpowiedział oficer urażony tym, że zwykły żołnierz odważył się sugerować mu, co ma robić.

Agrypa miał już zamiar otworzyć usta i odpowiedzieć, ale *optio* przeszedł obok niego obojętnie. Machnął ręką ze zniecierpliwieniem i spróbował opuścić szereg, aby pójść w stronę zarośli w pojedynkę.

— Co robisz? Jak cię zobaczy, dostaniesz chłostę — szepnął stojący na zewnętrznej krawędzi legionista, starając się przytrzymać chłopaka za ramię. Był jeszcze młodszy niż Agrypa.

— Lepsza chłosta niż *pilum* wbity w pierś — odpowiedział. Ani myślał się zatrzymać. Przeszedł w poprzek linii uformowanej przez oddział, aż dotarł do miejsca, w którym spod gruntu sączyła się woda. Dobył gladiusa i skierował się w stronę chaszczy, za którymi zaczynał się zagajnik, tuż za Drogą Emiliańską, którą maszerowali legionieści. Jego nogi zapadały się w błocie, z każdym krokiem robiły się coraz cięższe.

Gdy zaczął rozgarniać zarośla tarczą, usłyszał:

— Co robisz, żołnierzu? Powiedziałem ci, żebyś przestał! Zaraz zobaczysz, durniu... — *Optio* zauważył jego ruch i właśnie podążył w jego stronę, wymachując długą laską zwieńczoną mosiężną kulą. Wyglądało na to, że naprawdę zamierza zrobić mu krzywdę.

Agrypa musiał się spieszyć. Ostrożnie rozsunął kolejne gałęzie. Nic. Ale poranek był ciemny, mglisty, bez nadziei na choćby mały przebłysk bladego słońca w mlecznym płaszczu spowijającym równinę. Rozłożyste drzewa nie pozwalały nic zobaczyć. Zrobił jeszcze dwa kroki do przodu, słysząc za sobą coraz wyraźniej chlapanie kroków oficera i jego ciężki oddech.

— Co robisz, głupcze? Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Obetnę ci uszy, skoro na nic ci się nie zdają! — nie przestawał krzyczeć *optio*.

Był coraz bliżej. Agrypa nie odwracał się jednak i wciąż patrzył przed siebie. Zrozumiał, że miał rację, gdy spostrzegł mignięcie pomiędzy

konarami. Jakiś cień poruszał się w jego kierunku, nagle pojawił się również błysk ostrza. W tej samej chwili obok Agrypy znalazł się *optio*, który rozdrażniony jego brakiem reakcji zamierzył się, by zadać cios laską. Przed Agrypą z kolei wyrósł jakby spod ziemi legionista. Chłopak odskoczył w bok, ratując się jednocześnie przed razem wymierzonym przez oficera.

Żołnierz pchnął gladius w żebra *optionis*, który znieruchomiał z uniesioną w górę laską i zdziwieniem na twarzy osłoniętej hełmem zdobionym pióropuszem. Agrypa wyprowadził cięcie, zanim nieprzyjaciel zdążył wyjąć ostrze z ciała konającego oficera, i rozplątał mu bok, przebijając się przez ogniwa napierśnika i wgniatając je w zakrwawione ciało. Zaraz potem z lasu wyskoczyli cichcem antoniuszowcy. Wszyscy trzymali w dłoniach obnażone gladiusy.

Agrypa wyciągnął z żołnierza ostrze swojego miecza, cofnął się parę kroków, a następnie zawrócił i pobiegł w kierunku swoich szeregów, krzycząc:

— Alarm! Alarm! Zasadzka! Formujcie szyk kwadratowy!

Ale jego wołanie zostało zagłuszone okrzykami przerażenia niedoświadczonych komilitonów, którzy zdążyli już spostrzec, co się dzieje.

Czekały na nich nie zaprzyjaźnione legiony, lecz walka! Rufus przeklinał ich nieuwagę. „Ludzi Antoniusza było bardzo dużo — mówił do siebie — za dużo, by łudzić się, że łatwoich będzie pogonić, tym bardziej że rekruci Pansy nie byli w stanie stawić im oporu”. Niestety, żaden z dowódców nie wziął tego pod uwagę.

Awangarda donosiła, że niedoświadczeni ludzie konsula wycofują się, jakby zmuszeni do ucieczki. Wtedy Karfulenus i Galba pośpiesznie oświadczyli Pansie, że sami zajmą się zablokowaniem ataku z pomocą niewielkiej grupy doświadczonych ludzi, którymi dysponował, i że będą czekać na przybycie pozostałych legionów, zabezpieczając rekrutów przed kolejnymi zaczepkami. Kiedy jednak Rufus przybył na miejsce starcia, zrozumiał, że sytuacja była prosta tylko teoretycznie. Żołnierze Antoniusza atakowali z obu stron Drogi Emiliańskiej. Co chwilę spośród gąszczy wyskakiwali kolejni legioniści, a jedynym sposobem ucieczki było dla rekrutów podążanie w stronę nadchodzącego Martiae Victricis lub odwrót w kierunku Forum Gallorum, gdzie najprawdopodobniej wpadliby

w ręce nieprzyjaciela. Tak więc zbili się wokół weteranów, jakby liczyli na ich pomoc – będąc zupełnie bezużytecznymi, a wręcz stanowiąc dodatkową przeszkodę w działaniach doświadczonych żołnierzy.

A wszystko z winy Mecenasza, na Jowisza! Ten idiota uparł się, żeby uczestniczyć w nocnej marszrucie, a Oktawian nie brał pod uwagę, że w czasie walki należy mieć oczy dookoła głowy, żeby nie dostać w zad! Oczekiwał, że Rufus będzie chronił złotodzioba, więc teraz trzeba było wymyślić coś, żeby uratować tego przeklętego Etruska, z pewnością zdaniem wodzanajcenniejszego dla sekty. Tylko dlaczego Rufus miał narażać przy tym własne życie?! Czy naprawdę Mecenas nie mógł siedzieć spokojnie w obozie, sypiąc swoimi dobrymi radami jak z rękawa? Musiał brać się za robotę zarezerwowaną dla prawdziwych mężczyzn?

Aby go uratować, należało przede wszystkim dotrzeć do kohorty pretoriańskiej Oktawiana, w której szeregi Mecenas wstąpił jako trybun. Na bogów! Rufus gotował się ze złości: to była pierwsza poważna bitwa, a on musiał chronić babę, zamiast dać popis swoich żołnierskich umiejętności! Przynajmniej nie było tam Agrypy. Cieszył się, że nie musi z nim rywalizować.

Rufus zauważył, że Karfulenus prowadzi kohortę pretoriańską lewą stroną drogi. Sylwetki legionistów rozplywały się powoli w gęstej mgle, aż w końcu znikły pośród nieprzebranej przydrożnej gęstwiny. Następnie ponad głowami ludzi dostrzegł hełm Galby. Wódz wskazywał centurionom prawą stronę drogi, nakazując im przejście, ponieważ wyglądało na to, że tam siły nieprzyjaciela są liczniejsze. Podział wojska Rufus uważał za głupotę, tym bardziej że nikt z nich nie wiedział, ilu wrogów znajduje się po każdej ze stron.

Sprawy coraz bardziej się komplikowały. Chłopak skierował się w stronę moczarów, mając świadomość, że czekam na niego beznadziejna sytuacja. Im dalej się posuwał, tym wyraźniej docierało do niego, iż będą musieli walczyć samotnie, mimo że nieopodal mają pięć legionów. Ale gdzie się podział Mecenas? Może dał się już zamordować? Rufus właściwie miał taką nadzieję. Wtem dostrzegł charakterystyczną niezgrabną sylwetkę wyłaniającą się pomiędzy pojedynczych drzew stojących w bagnie. Etrusk znajdował się bezpośrednio za trzema innymi żołnierzami walczącymi co najmniej z pięcioma legionistami wroga, lecz Rufus nie był w stanie dokładnie określić ich liczby.

Ruszył w ich stronę na przełaj, dzięki czemu dopadł nieprzyjaciół od tyłu. Nie czekał na rozwój wypadków – wbił ostrze w plecy jednego z nich, a tarczą odepchnął kolejnego, który przy upadku nadział się na szpic gladiusa jednego z kompanów Mecenasa. Trzech pozostałych antoniuszowców było wyraźnie zaskoczonych i wkrótce wszyscy leżeli martwi.

— Galba wysłał nas na pewną śmierć — wyjęczał histerycznie Etrusk.

Jego błyskotliwy umysł od razu odkrył kolejny powód, dla którego dowódca Martiae Victrici chciał rozdzielić obie jednostki. Rufus zrozumiał, że Mecenasa może jednak mieć rację – umacnianie pozycji Oktawiana z pewnością nie leżało w interesie cesarobójcy.

— Kohorta pretoriańska jest zbyt mała, by móc walczyć samodzielnie!

— Zastanówmy się więc, jak ujść z życiem! W przeciwnym razie Oktawian gotów odprawiać czary nad moim grobem za to, że nie potrafiłem ochronić jego najcenniejszego doradcy — odpowiedział oschle Rufus, chwytając Mecenasa pod ramię i ciągnąc go za sobą. Następnie zwrócił się do pozostałych trzech żołnierzy: — Spróbujmy dołączyć do pozostałych. Karfulenus zapuścił się zbyt głęboko, jednostka się rozproszyła. Tylko zwarci mamy szansę na ograniczenie strat.

Pozostali przytaknęli i wszyscy razem zaczęli iść wzdłuż traktu, starając się zebrać po drodze jak największą liczbę swoich ludzi. Niestety, już na samym początku natknęli się na grupę nieprzyjaciół.

— Trzymaj się za mną! — krzyknął Rufus do Mecenasa, stając do walki obok pozostałych trzech legionistów.

Szczęk krzyżujących się mieczy, który rozległ się między drzewami, spłoszył okoliczne ptaki. Bez podżegania, bez obelg, jakie zwykle się słyszeć w trakcie walki: żołnierze bili się w milczeniu, jakby zawładnęła nimi atmosfera spowitego ciszą pola bitwy, jakby chcieli okazać szacunek przyrodzie, która stała się tłem ich potyczki.

Kątem oka Rufus dostrzegł, że Mecenasa wysuwa się do przodu, staje obok nich i osłania się tarczą przed ciosami jednego z nieprzyjaciół, prawą rękę, w której dzierżył miecz, trzymając jednak przez cały czas nieruchomo. Był do niczego, ale przynajmniej odwracał uwagę jednego z wrogów. Cóż z tego. Rufus nie mógł pozwolić, by ktoś zranił Etruska. Klepnął go w plecy i przegonił do tyłu, lecz Mecenasa natychmiast wrócił na upatrzone wcześniej miejsce. Żołnierz parsknął z pogardą i skoczył między towarzysza a jego przeciwnika, odpierając ciosy tarczą.

„Nie ma nic gorszego — pomyślał — niż bronić człowieka, który nie chce obrony, i jednocześnie zastanawiać się, jakocalić własną skórę”.

Nagle pod jednym z pchnięć pękła jego tarcza. Poczuł, jak drewno roztrzaskuje się na jego ramieniu, i to rozwścieczyło go jeszcze bardziej. W odpowiedzi zakręcił poziomo gladiusem. Ostrze przecięło szyję napastnika, jego gardło się otworzyło i głowa pod własnym ciężarem opadła do tyłu, zawisając bezwładnie. Zaraz potem usłyszał gruchot po stronie Mecenasa – spojrzał na niego i zobaczył, jak zgina się w pół i wymiotuje. Co za żołnierz! Tymczasem drugi nieprzyjaciel – ten, którego zostawił, by pospieszyć z pomocą Etruskowi – rzucił się na niego, więc Rufus cofnął się o krok i wylądował na zwiniętym w kłębek Mecenasiu. Upadł na plecy, co czyniło zeń łatwy cel dla miecza nieprzyjaciela. Oczami wyobraźni widział już siebie martwym.

Ale wtedy Etrusk rzucił się bykiem na wroga, uderzył go hełmem w udo i wywrócił na ziemię. Przed antoniuszowcem błyskawicznie pojawiły się dwa miecze: Rufusa i Mecenasa. Ten ostatni, trzymając gladius oburącz, wbił ostrze w powalonego legionistę tak mocno, że przeszło na wylot i zanurzyło się w błotnistym gruncie. Etrusk, usiłując wyjąć zablokowany miecz, całkowicie odsłonił plecy na ciosy kolejnego wojownika, który właśnie się do nich zbliżał. Na szczęście Rufus zdołał na czas sparować atak swoim gladiusem i stanął do pojedynku. Po krótkiej wymianie ciosów przebił się przez osłonę rywala i zatopił ostrze w jego boku.

— Zobacz, co mi przyszło robić przez ciebie... — wycedził do Mecenasa, ale już nie tak kwaśno jak wcześniej, musiał bowiem przyznać, że Etrusk dawał z siebie wszystko, chociaż naturalnie nie był stworzony do żołnierki.

Tak czy inaczej, przeciwnicy mieli już dosyć. Dwaj, którzy przeżyli, woleli się ulotnić i dopiero wtedy Rufus zdał sobie sprawę, że stracił jednego z ludzi. Legionista poległ u jego stóp. Teraz było ich czterech, lecz przed sobą dostrzegli kolejną grupę komilitonów. Wśród nich znajdował się Karfulenus – stał przed rozprutym trupem swojego konia, starając się odeprzeć atak nieprzyjaciela. Byli otoczeni.

— Cofnijcie się! Cofnijcie się! Przejdźcie do tyłu, hej, wy tam! Jeśli nie umiecie walczyć, to lepiej nie przeszkadzajcie!

Agrypa usiłował iść naprzód, ale fala rekrutów wycofujących się na rozkaz

swych oficerów spychała i jego. Niektórzy z centurionów usiłowali zapanować nad tłoczącym się legionem Pansy i ustawić go w szeregach na tyłach, aby nie przeszkadzali żołnierzom z Martiae Victricis. Przybyli im na pomoc weterani wciąż nie mogli wywijać swobodnie gladiusami, ponieważ napierali na nich przerażeni rekruci.

Nie potrafili stanąć w żadnym szyku bojowym, nieformowali żadnego *agminis quadrati*, nie dało się rozróżnić jednej centurii od drugiej. Wszyscy stali ciasno jeden obok drugiego, tłocząc się wzdłuż drogi. Starali się trzymać jak najdalej od lasu, ponieważ tam na każdym kroku czekały ich przykre niespodzianki. Na rozkaz dowódców wszyscy ustępowali z drogi legionistom Galby. Agrypa spostrzegł, że niewielu było niezadowolonych z tego, iż siłą odsunięto ich od walki. Byli to jednak ludzie, którzy właśnieukończyli czteromiesięczne szkolenie dla rekrutów i nigdy nie sądzili, że jeszcze zanim dotrą na pole walki, znajdą się w sercu prawdziwej bitwy.

Ale on *chciał* walczyć. Nie był rekrutem, mimo że za takiego go uważano. Nie odzyska szacunku Oktawiana, jeśli będzie tam stał i patrzył, jak mordują ludzi z Martiae Victricis. Nawet jeśli dowodził nimi jeden z zabójców Cezara.

Spróbował iść pod prąd, pomagając sobie łokciami. Kompani, których odpychał na boki, obrzucali go zdziwionymi spojrzeniami. Agrypa postanowił przeanalizować sytuację. Doświadczeni legioniści, którzy brodząc w moczarach, walczyli po jednej stronie drogi, od pobocza aż po zarośla, robili to niemal w kompletnej ciszy; do jego uszu docierały jedynie okrzyki otaczających go rekrutów. I wtedy zrozumiał, że to nie była bitwa, lecz prowokacja. Ludzie Antoniusza pragnęli zemsty na legionistach Martiae Victricis, którzy porzucili swojego dowódcę, a żołnierze z Martiae Victricis chcieli się zemścić na ludziach Antoniusza za ich bierną postawę wobec decyzji przeprowadzonej przez konsula w Brundyzjum.

Były to ich wewnętrzne porachunki – oto dlaczego odesłali wszystkich rekrutów! Argument o lepszym przygotowaniu do walki był jedynie pretekstem. Agrypa całym sercem solidaryzował się z żołnierzami z Martiae Victricis, dlatego uważał, że uczestnictwo w potyczce jest jego powinnością.

Nagle wyskoczył do przodu. Jeden z centurionów krzyknął, aby się zatrzymał, ale on gwizdał na to. Ruszył w stronę bagna i zaczął się przedzierać przez moczary. Z każdym krokiem jego nogi stawały się coraz cięższe, oddech płytszy, a łydki coraz bardziej poranione przez gęstniejące

krzaki. Przeszedł pośród pierwszych trupów, na wpół pogrzebanych w bagnie, poszarpanych, okaleczonych, z połamanymi kośćmi i rozciągniętymi wnętrznościami. Zebrało mu się na wymioty, kiedy uzmysłowił sobie, co gladius, który zaciskał w dłoni, może uczynić człowiekowi, gdy nie chodzi o zwykłą musztrę.

Kilku rannych wciąż jeszcze jęczało i z przerażeniem w oczach czołgali się w błocie. Jakiś człowiek pozbawiony ręki podpierał się na tej, która mu pozostała, a w ustach niósł kikut, zaciskając zęby na jego palcach. Inny, z głęboką raną ciętą twarzy i obciętym nosem, posuwał się po omacku na kolanach, wyciągając przed siebie ręce. Jeszcze inny zataczał się z gladiusem wbitym tuż nad pachą, głośno wzywając medyka.

Agrypa miał wrażenie, że śni mu się jakiś przerażający koszmar. Zawsze marzył o walce i o tym, by odznaczyć się na wojnie, dowieść swej odwagi i zwyciężyć w starciu z wrogiem, stać się częścią tej wspaniałej maszyny wojennej, jaką stanowiła rzymska armia. Ale rzeczywistość niewiele miała wspólnego z jego wyobrażeniami, a droga do zwycięstwa i sławy prowadziła nieuchronnie przez ból i cierpienie. Szkolenie nawet w najmniejszym stopniu nie przygotowywało na to, czego właśnie był świadkiem.

Odwaga oznacza jednak również umiejętność poradzenia sobie z szokiem wywołanym okrutnym widowiskiem. Postanowił nie dać się przytłoczyć temu, co zobaczył, i ponownie zaczął iść dziarskim krokiem, na tyle, na ile pozwalał mu podmokły grunt. W końcu znalazł się w samym sercu starcia. Dopiero wtedy poczuł, że ogarnia go podniecenie: postanowił udowodnić weteranom, że jest gotowy sprostać wyzwaniu.

Z działań legionistów, wszystkich starszych od niego, biło doświadczenie, jakiego Agrypa nie widział nigdy wcześniej na polu walki, jedynie w czasie pokazów przygotowania żołnierskiego. Po mistrzowsku posługiwali się gladiusem i tarczą, czyniąc z nich zarówno narzędzia obrony, jak i ataku. Zastępowali się wzajemnie w trakcie pojedynków i działo się to samoistnie – rozumieli się bez słów. Ani w poszczególnych żołnierzach, ani w szeregach duch walki nie gasł, mimo że bitwa trwała już dość długo. Wypadało się tylko uczyć od tak wprawionych wojowników. Nareszcie! Był tam, pośród nich, czuł, że to jest jego miejsce. I rzucił się w wir walki.

Mecenas nieomal ucieszył się z tego, że legat Karfulenus jest

w niebezpieczeństwie, ponieważ pozwoliło mu to w końcu uwolnić się od nieustannej ochrony Rufusa. Trybunnie odstępował go ani na chwilę, zachowywał się niemal jak niańka, a przecież Mecenas nie tak wyobrażał sobie swoją upragnioną wojnę. Owszem, bał się umierania, strach wręcz go paraliżował, lecz ceną za przeżycie okazał się ponizający układ, który stawał się nieznośny.

Karfulenus bronił się z garstką ludzi przed grupą nieprzyjaciół, którzy otoczyli go ze wszystkich stron. Nie byli liczni, ale zdołali odciąć mu drogę ucieczki. Istniała także obawa, że dotrą do nich kolejni.

— Ty idziesz ze mną! — rozkazał Etrusk jednemu z żołnierzy, którzy byli tam z nim, a następnie zwrócił się do Rufusa: — Weź drugiego legionistę i zaatakuj tamtych od przodu. My dwaj zajdziemy ich z przeciwnej strony. Miejmy nadzieję, że uwierzą, iż jest nas dużo!

— Nie, nie rób tego! Nie wolno nam dzielić sił! — krzyknął do niego Rufus.

Ale Mecenas był już daleko. Przedzierał się przez zarośla i czuł, jak jego kości przenika wilgoć tego przeklętego miejsca, w którym ze stojącej wody wydobywały się obrzydliwe wyziewy. Musiał sobie przypominać, że przybył tu na własne życzenie. Przyspieszył kroku i znalazł się za plecami drużyny Karfulenusa. Policzył walczących: legat pozostał na polu walki z czterema żołnierzami, natomiast nieprzyjaciół napierających na niego z każdej strony było co najmniej dziewięciu. Legioniści z kohorty, którym udało się przeżyć, używali ciał swoich poległych towarzyszy jako tarcz – ułożyli je w stos między jednym drzewem a drugim, tworząc coś w rodzaju barykady. Prawdopodobnie miała tam miejsce jedna z najbardziej okrutnych potyczek. Dookoła leżało pełno trupów, a niemal wszystkie porzucone tarcze zdobiły insygnia kohorty pretoriańskiej.

Mecenas dojrzał Rufusa i drugiego żołnierza, którzy mieli zajść od tyłu trzech ludzi nieprzyjaciela zbyt zajętych walką z pretorianami, by zauważyć szykowany atak. Zebrał się w sobie i ruszył naprzód wraz ze swym pomocnikiem, dzierżąc gladius w wyciągniętej dłoni i jak najdokładniej osłaniając tarczą swoje ciało. Obrął cel i skierował się prosto na jego plecy, zamierzając zadać mu cios, a jednocześnie tarczą odepchnąć napastnika po lewej stronie. Dał znak swojemu koledze, by uczynił to samo z drugim żołnierzem.

Był już niemal przy wrogu, wziął głęboki oddech i wykonał ostatni ruch:

mobilizując wszystkie swoje siły, wyskoczył, zadając pchnięcie. Wydał okrzyk, by dodać sobie odwagi, i dopchnął miecz do samego końca. Bał się, że nie zdoła przebić się przez ogniwa pancerza kolczego, który chronił pierś rywala. Ku swojemu osłupieniu odkrył, że gladius – wbrew jego obawom – przebija metal, a następnie ciało, roztrzaskuje kości i organy, rozpruwa wnętrzności i przechodzi na wylot. Nigdy nie sądził, że będzie kiedyś trzymał w dłoni tak potężną broń. Nie przypuszczał również, że dysponuje taką siłą.

Tarcza także spełniła swoje zadanie. Uderzyła w plecy żołnierza obok, który straciwszy równowagę, nadział się na ostrze gladiusa trzymanego przez jednego z obrońców. Dopiero teraz legionieści zauważyli, że zostali zaatakowani od tyłu i co najmniej dwóch z nich ruszyło na Mecenasa. Mężczyzna starał się złapać równowagę i jednocześnie chwycić dobrze miecz, lecz gdy ofiara upadała na ziemię, pociągnęła za sobą jego gladius.

Etrusk został bez broni. Na szczęście towarzyszący mu żołnierz nie popełnił tego samego błędu: ugodził ofiarę w szyję, nie tracąc przy tym własnej broni. Działał tak dynamicznie, że ściągnął na siebie uwagę dwóch kolejnych przeciwników. To dało Mecenasowi czas, by podnieść gladius należący do człowieka, którego przed chwilą zabił. Było to o wiele prostsze niż odzyskiwanie własnego miecza. Zdążył jeszcze rzucić okiem w stronę Rufusa, który przebił się przez kordon napastników i pojedynkował się teraz z legionistą stojącym mu na drodze do legata.

Nagle Etrusk zrozumiał, że nie mogą już liczyć na efekt zaskoczenia. Był teraz zmuszony stanąć do normalnej walki z doświadczonymi żołnierzami. Ta świadomość wzbudziła w nim panikę. Powiedział sobie w duchu, że jeżeli chce ocaleć lub przynajmniej nie wyjść na tchórza, musi jak najszybciej zrobić użytek ze swojego umysłu. Wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Przesunął się o kilka kroków, w pobliże stosu trupów. Wszyscy walczący byli zajęci odpieraniem ataku swoich przeciwników. Jednym szybkim ruchem odciął rękę któregoś z poległych, następnie drugą, a na koniec także nogę. Zebrał kończyny, usiłując stłumić uczucie obrzydzenia, i przycisnął do siebie, umieszczając je między piersiami a lewą ręką uzbrojoną w tarczę.

W samą porę. Żołnierz, który mu towarzyszył, właśnie padł martwy, wysławszy chwilę wcześniej do Hadesu swojego rywala, i teraz jeden z legionistów mierzył prosto w Mecenasa. Nie uciekał, wręcz przeciwnie, czekał na niego w bezruchu. Za tarczą trzymał ukryte obcięte ręce, ale nodze pozwolił osunąć się na ziemię, tak, że upadła u jego stóp. Kiedy wrócić do

niego zbliżył, Mecenasa – modląc się w duchu, aby nie okazał się on weteranem doświadczonym w tysiącu wojen – kopnął w jego stronę martwy kikut leżący dotychczas częściowo w wodzie i trawie. Noga wylądowała na żołnierzu, co wyglądało, jakby nagle spod gruntu wydostał się demon zamieszkujący podziemne otchłanie. Przerażony legionista stracił równowagę i przestał się osłaniać. Wtedy Mecenasa rzucił mu na twarz odciętą rękę. Mężczyzna zamknął oczy, a Etrusk dopadł do niego, by zadać pewny i trafny cios. W końcu miał już wprawę. Przeciwnik runął na kolana, zakrywając twarz rękoma. Między jego palcami lały się strumienie krwi, które spływały w dół po przedramionach.

W końcu padł na twarz, w bagno, u stóp Mecenasa, który powiedział sam do siebie:

— Chcę zobaczyć minę Oktawiana, kiedy będę mu o tym opowiadał.

Następnie rozejrzał się dookoła: teraz oni mieli przewagę liczebną. Rufus pozbył się co najmniej dwóch przeciwników. „Walczył bez wątpienia bardziej tradycyjnymi metodami” — pomyślał z przekąsem. Dostrzegł jednak również klęczącego Karfulenusa z rękoma na brzuchu. Podszedł do niego, podczas gdy trzech pozostałych przy życiu nieprzyjaciół pospiesznie wycofywało się pod naporem ciosów Rufusa i jego ludzi.

Spojrzał na ranę legata. To, co zobaczył, wzbudziło w nim przerażenie. Karfulenus przytrzymał dłońią własne wnętrznosci, które wypłynęły z ogromnej rany tuż nad *cingulo*²². Nie było dla niego ratunku.

Zauważywszy, że Mecenasa ma na sobie mundur oficerski, legat szepnął do niego:

— Zaprowadźcie do obozu tych, którzy ocaleli... ale pospieszcie się... — I upadł na bok z szeroko otwartymi, zamglonymi oczami.

— Na bogów! Gdybyś mnie posłuchał, może byśmy go uratowali... — wycedził Rufus, gdy nie zagrażał mu już żaden napastnik. — Ale ty żyjesz, przynajmniej na razie. Oktawianowi zawsze bardziej zależało na tobie niż na nim.

Mecenasa nie wiedział, co odpowiedzieć, aby nie zabrzmiało to opryskliwe. Poza tym nie lubił być opryskliwy. Dlatego postanowił zmienić temat.

— Powiedział, żeby zebrać ocalałych i wrócić do obozu. — Potem zwrócił się do jednego z żołnierzy Karfulenusa: — Byłeś przy nim. Wiesz może, jak przebiegała walka?

Żołnierz rozłożył ręce.

— Wiem tylko, że nasza kohorta pretoriańska musiała się zmierzyć co najmniej z dwiema kohortami pretoriańskimi Antoniusza i z jego konnicą. To była rzeź! Nie sądzę, byśmy odnaleźli wielu żywych. Nie mam też pojęcia, co robił legion Martia Victrix oraz legiony Pansy ani gdzie dokładnie walczyły. Może po drugiej stronie Drogi Emiliańskiej?

Mecenas zrozumiał, jak trudno było nawet dowódcy uzyskać dokładny obraz przebiegu bitwy. Odwaga dowodzącego była odwrotnie proporcjonalna do jego zdolności analizowania poszczególnych faz walki: im intensywniej uczestniczył w trwających działaniach, by pokazać swym ludziom, że chce dzielić wraz z nimi wszystkie niebezpieczeństwa, i by dawać im przykład, tym bardziej malała jego możliwość oceny sytuacji, tego, co należy robić, a czego unikać, aby osiągnąć wyznaczone cele. Bitwy między bardzo licznymi armiami były toczone na tak rozległym terenie, że wyłącznie dzięki sztafetom dowódcy lub pojedynczy oficerowie mogli śledzić przebieg wydarzeń, na przykład pół mili dalej, po przeciwnej stronie. Jak jednak sztafeta mogła dotrzeć do dowódcy znajdującego się w samym sercu wojennego zamętu? Jak miałyby dotrzeć do niego na czas, aby odebrać rozkazy i przekazać je do sektora, z którego została wysłana? W batalii takiej jak ta tego typu utrudnienia były odczuwalne jeszcze wyraźniej. Droga, lasy, moczary, bagna, jednostki nadchodzące z różnych kierunków powodujące rozbicie walk na szereg pojedynczych potyczek, w których żaden uczestnik, nawet oficer, nie zważał na losy swojego kolegi. Ta metoda nie prowadziła do niczego. Można było prowadzić wojnę podjazdową, ale musiała ona skutkować ogromnymi stratami po stronie wroga.

Mecenas uznał, że kwestia jest warta rozważenia i że powinien porozmawiać o tym z Oktawianem. Skoro mieli pokonać wszystkich przeciwników w walce o władzę, musieli również posługiwać się nowymi strategiami wojennymi.

Miał właśnie powiedzieć Rufusowi, by ruszać naprzód, ale powstrzymał się. Znał doskonale ludzką naturę i wiedział, że chłopakiem powoduje przede wszystkim próżność. Potrzebował pochlebstw, tylko one mogły zagwarantować jego oddanie dla sprawy. Dlatego okazywanie wyższości, zwłaszcza w kwestiach militarnych, nie było dobrym pomysłem.

Wziąwszy to pod uwagę, Mecenas zapytał jedynie:

— Co robimy, Rufusie? — Zdawał się na jego decyzję.

— Mnie o to pytasz? — odpowiedział trybun. — Wracamy oczywiście do

obożu, tak jak powiedział legat. I to biegiem!

XVII

Nadjeżdżają — szepnęła Velea, podchodząc do Ortwina i pozostałych Germanów ukrytych w krzakach, gdzie się rozbili. — Miałeś rację, śledzili nas.

— Byłem pewny, że Treboniusz pośle kogoś, żeby sprawdził, czy armia Dolabelli na pewno odeszła precz. Ilu ich jest?— spytał.

— Sześciu — odpowiedziała, przyciszając się między gałęziami, razem z pozostałymi. — To będzie dziecinnie proste.

Przesunęła palce po mieczu opartym o kikut. Upłynęło wiele czasu, od kiedy walczyła po raz ostatni, i była już bardzo spragniona bitwy, głównie dlatego że stanowiła ona dla niej doskonałą okazję, by dać ujście frustracjom i położyć kres prześladowającym ją niepowodzeniom.

Ortwin nie tracił czasu.

— Wy — wskazał dwóch ze swoich ludzi — idźcie natychmiast do Dolabelli i powiedzcie mu, że się udało. Może wracać i od razu ruszać na Smyrnę.

Wstali i podeszli do koni pozostawionych na pobliskiej polanie. Velea podziwiała swojego mężczyznę za tę pewność siebie. Był urodzonym przywódcą, a jego wojowie kochali go jak ojca. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pewnego dnia stanie na czele dużo liczniejszych oddziałów.

Ortwin dał ludziom znak, aby zamilkli i trzymali miecze w pogotowiu. W oddali usłyszeli tętent końskich kopyt. Zbliżali się jeźdźcy, których Velea ujrzała z daleka.

— Pamiętajcie — szepnął wódz — na mój sygnał wyskakujecie z zarośli i natychmiast ich otaczacie. Jeśli zawróci choćby jeden z nich, cały nasz wysiłek pójdzie na marne. Przypominam: jednego musimy wziąć żywcem.

Mężczyźni przytaknęli. Rozpoczęło się oczekiwanie na jeźdźców z garnizonu w Smyrnie. Velea słyszała, jak się zbliżają. Spojrzała zadowolona w niebo. Była zimna, bezgwiezdna noc. Niebo przesłaniały ciemne i ciężkie od deszczu chmury. Pogoda im sprzyjała. Żołnierze na koniach powinni ich zobaczyć dopiero w ostatniej chwili, gdy wyłonią się z mroku. Wpatrywała się to w drogę, to w Ortwina, z którym wymieniała

znaczące spojrzenia. Była przekonana, że powrót do akcji jest dla niego tak samo ekscytujący jak i dla niej. Nieudolne oblężenie przeprowadzone przez Dolabellę na niewiele się zdało; utwierdziło jedynie Ortwiną w poczuciu bezsilności i bezwartościowości, które nie odstępowało go ani na chwilę, odkąd opuścili Germanię jako przegrani.

Na drodze ukazał się zarys jeźdźców. Początkowo maleńkie sylwetki lewitowały w ciemności, by wkrótce zmienić się w masywne postaci, które poruszały się bez określonego porządku, zajmując całą szerokość drogi. Kiedy dotarli na wysokość Germanów, Ortwin uniósł rękę i wyskoczył z gęstwiny. Pozostali ruszyli bezszelestnie za nim. Słysząc było jedynie pęknięcie patyków pod ich stopami. Barbarzyńcy ustawili się w cztery przed linią wroga, cztery zaszło od tyłu, tymczasem Veleda została na poboczu, a Ortwin pomknął drugą stroną. Zanim jeźdźcy zauważyli ich obecność, byli już okrążeni, a konie zarżały i stanęły dęba. Ortwin i pozostali, chwyciwszy zwierzęta za uzdy, zaczęli zadawać im ciosy mieczami, celując w nogi.

Kilka koni runęło na ziemię, zrzucając z siodła swoich jeźdźców, którzy wpadali prosto w ręce atakujących. Ostrza mieczy cięły raz za razem, barwiąc się na czerwono. Dwa konie zaczęły jednak wierzgać, dając dosiadającym je ludziom czas na reakcję. Veledzie nie udało się trafić w zwierzę i jej przeciwnik zdążył dobyć miecza. Zaczął wymierzać cięcia, ale jego koń ruszał się zbyt energicznie, aby mogły osiągnąć celu. To pozwoliło kobiecie uchronić się przed jego kontrami. Usłyszała, jak jeden z jej ludzi staje obok i zmusza przeciwnika do walki na dwa fronty. Jeździec zaczął rozglądać się dookoła i gdy zauważył, że wszyscy jego towarzysze zostali powaleni, zamiast wykonać pchnięcie mieczem, poderwał konia i spiął go ostrogami.

— O nie! To nie miało prawa się wydarzyć — powiedziała do siebie załamana Veleda.

Nie mogła dopuścić do porażki. Zebrała wszystkie siły, rzuciła miecz na ziemię i jedyną ręką, jaką miała, chwyciła zwierzę za ogon, zanim wróg popędził w stronę Smyrny. Szarpnęła ogon i mocno się go uczepliła. Starła się utrzymać na nogach, biegnąc najszybciej, jak potrafiła, ale w pewnym momencie koń zaczął wlec ją za sobą. Jej twarz opierała się o zad zwierzęcia, aż w końcu silne wierzgnięcie wyrzuciło ją w powietrze. Veleda przeżoiołkowała dwa-trzy razy po ziemi, lecz wciąż trzymała się mocno

końskiego ogona. Mimo piekącego bólu dłoni nadal zaciskała palce resztami sił.

— Muszę go tylko spowolnić, tylko spowolnić... — mówiła do siebie. Nie potrafiła określić, jak długo nie dawała za wygraną ani ile razy uderzyła się w stopy, kolana i ręce, usiłując zapanować nad swoim ciałem, by zwierzę nie ciągnęło jej po drodze jak martwej. Kiedy puściła się, lądując twarzą w kurzu, poczuła okropny ból, ale bardziej z powodu kolejnej porażki niż na skutek kontuzji i ran, jakie odniosła. Zaraz potem usłyszała rżenie konia i tętent kopyt niedaleko niej, następnie brzęk mieczy w końcu głuchy odgłos czegoś upadającego tuż obok. Otworzyła oczy, które wcześniej zamknęła z bólu, i zobaczyła zamglone spojrzenie na nieruchomej twarzy kogoś, komu z ust sączył się strumień krwi.

— Co ci przyszło do głowy? — Był to głos Ortwina. Delikatnie obrócił ją na wznak. Jego dłoń gładziła jej twarz poprzecinaną strużkami krwi i łez.

— Nie chciałam... żebyś przeze mnie musiał ponieść kolejną porażkę. Uśmiechnął się do niej.

— Nigdy nie byłem do niczego przez ciebie zmuszony. Dobrowolnie zdecydowałem się na to, co razem robiliśmy.

— Czy... czy ktoś z nich ocalał? — zapytała słabym głosem.

Ortwin nic nie odpowiedział. Odwrócił się do swoich ludzi i dał im znak, by się zbliżyli. Przeprowadzili do niego wystraszonego żołnierza rannego w ramię. Zdezorientowany człowiek rozglądał się dookoła.

— Mów natychmiast, jakie jest hasło, a zginiesz szybką śmiercią. W przeciwnym razie długo będziesz jej wyczekiwał — powiedział Germanin lodowatym tonem.

Pojmany spojrzał na ponure twarze wojowników, aby znaleźć w nich współczucie, ale nikt się nie odezwał, nikt nawet nie drgnął. Ortwin dał znak jednemu ze swoich ludzi, by uciął jeńcowi palec. Barbarzyńca szarpnął więźnia za rękę i przytrzymał mocno jego dłoń, drugi dobył sztyletu i chwycił palec wskazujący.

— Idy marcowe! Idy marcowe! — wykrzyknął przerażony człowiek.

— Jakież oryginalne... — burknął pod nosem Ortwin, dając znak podwładnemu, by przystawił miecz do szyi żołnierza i jak najszybciej go zabił.

Agrypa po prostu zajął miejsce poległego legionisty. Stał się częścią dokładnie przemyślanej maszyny, w której każdy funkcjonował w ścisłej zależności od innych. Nie udało mu się walczyć na pierwszej linii, ale zgodnie z *mutatione ordinis* – systemem, w którym szeregi cały czas wzajemnie się zastępowały, dzięki czemu na przodzie stali zawsze wypoczęci żołnierze – jego kolej również miała nadejść. Wszyscy walczyli skoncentrowani, z bezlitosną skutecznością. Centurionowie nie musieli wykrzykiwać rozkazów, ponieważ każdy żołnierz wiedział, co i kiedy należy robić. Działali profesjonalnie, świadomi tego, że są jednymi z najlepszych w swoim fachu. Agrypie to wszystko bardzo się podobało, dlatego gdy nadeszła jego kolej, by stanąć twarzą w twarz z nieprzyjacielem, uczynił to z lekkiem i szacunkiem wobec przeciwników, lecz jednocześnie z entuzjazmem typowym dla kogoś, kto nie może się doczekać, by pokazać, że potrafi sprostać powierzonym zadaniom.

Trafił na starego legionistę, który jednak wcale nie był powolny czy osłabiony. Nie najlepiej pracował tułowiem, ale jego ręce zawsze znajdowały się we właściwym miejscu: lewa była cały czas osłonięta tarczą, która odpychała uderzenia Agrypy, prawa – gotowa do niebezpiecznych pchnięć i cięć. Ten doświadczony żołnierz doskonale opanował umiejętność oszczędnego gospodarowania siłami, dlatego wykonywał tylko niezbędne ruchy, albo zadając ciosy, albo robiąc uniki. Agrypa starał się w trakcie tego pojedynku uchwycić tajniki walki, podpatrywał taniec legionisty, przy każdym zadanym lub przyjętym ciosie zerkał na swojego przeciwnika z podziwem, którego tamten raczej nie był w stanie zauważyć.

Z trudem powstrzymywał się przed prawieniem mu komplementów, mimo że kilka razy był o włos od przegranej i wtedy żałował, że przeciwnik jest aż tak dobry. Chciał wykorzystać okazję, by nauczyć się czegoś jako żołnierz, toteż starał się walczyć oszczędnie, przybierając raczej pozycję obronną. W końcu jednak przypomniał sobie, że prędzej czy później będzie musiał wymienić się ze swoimi towarzyszami z tylnych szeregów, i postanowił zwiększyć tempo. Oczywiście realizację tego zamiaru skutecznie utrudniał mu rywal, który nie miał najmniejszej ochoty dać się pokonać. Był jak skała: twardy, zwarty, niewzruszony. Wydawało się, że nie wie, co to zmęczenie. Nigdy nie chybiał.

Agrypa zaczął tracić entuzjazm. Nie udawało mu się w żaden sposób trafić w przeciwnika, który tymczasem zbliżał się do niego coraz bardziej i parę

razy dotknął go krańcem ostrza, lecz napotkał opór napierśnika. Zachwyt przechodził powoli w zniechęcenie z powodu własnej nieudolności. Chłopak zmarkotniał, zaczął wymachiwać na oślep prawą ręką, łudząc się, że zdoła trafić. Nie przynosiło to jednak żadnego skutku: weteran pozostawał nieugięty. Wciąż trzymał Agrypę na dystans, wykonując proste ruchy, gdy wtem żołnierz walczący obok weterana został trafiony przez legionistę znajdującego się przy Agrypie i upadł na bok, prosto na swego sąsiada. Chłopak dostrzegł, że jego przeciwnik traci równowagę. Niewiele myśląc, wymierzył poziome cięcie gladiusem i dopiero po chwili zauważył, że jego broń utknęła pod prawą pachą nieprzyjaciela. Ten wytrzeszczył oczy, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, zachwiał się i w końcu runął do tyłu.

Agrypa odczekał chwilę, po czym wzniósł triumfujący okrzyk, który jednak zdawał się brzmieć jak fałszywy ton w tym nierealnym miejscu, gdzie jedynymi dźwiękami były ciężkie oddechy żołnierzy i szczęk broni. Stał w gotowości, by odeprzeć atak kolejnego przeciwnika. Miał wrażenie, że mógłby pokonać każdego, gdy spostrzegł, że jego szereg zaczął ustępować. Centurion wydał rozkaz do odwrotu. Oddział Agrypy tracił pozycję. Nieprzyjaciel napierał na nich ze znaczniejszą siłą, zadając ich szeregom coraz większe straty. To małe zwycięstwo nie miało żadnego znaczenia. Może tylko dla niego.

Musieli przejść do defensywy, starając się powstrzymać napierających wrogów, aby ci, którzy stali za nimi, mogli się wycofywać w uformowanym szyku, ponieważ w przeciwnym razie powpadaliby na siebie, rozrywając szeregi. Bez wątpienia jednak przegrywali. Porażka była tylko kwestią czasu.

— Konsul! Nadchodzi konsul! — Okrzyk ten przemknął przez szeregi legionu Martia. Zaraz potem nadszedł galopem Pansa, prowadząc za sobą kilka szwadronów konnicy. Z odwagą podązał wzdłuż linii frontu, zamierzając ją przeciąć, by utworzyć zaporę między Martia a oddziałami nieprzyjaciela i tym samym umożliwić swojej jednostce zwanie szyków i uderzenie z kontratakiem.

Podczas gdy Pansa i jego ludzie odwracali uwagę pierwszej linii wojsk Antoniusza, Agrypa otrzymał od centuriona komendę przejścia do drugiej linii. To go rozdrażniło. Chciał stać na przedniej pozycji, gdy będą wznawiać walkę, ale po chwili uspokoił się, tłumacząc sobie, że wkrótce znowu nadejdzie jego kolej. Nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł

wypróbować to wszystko, czego – jak sądził – nauczył się w trakcie pojedynku z weteranem.

Zaczął więc, tak jak i pozostali, przyglądać się działaniom ludzi konsula. Pansa przemierzał konno linię frontu, tam i z powrotem, zagrzewając swoich ludzi do walki, i od czasu do czasu wymieniał z piechurami kilka cięć mieczem. Agrypa od razu zauważył, że o ile Pansa chętnie pokazuje się na czele swoich oddziałów, o tyle Antoniusz jest zupełnie niewidoczny. Ledwo to pomyślał, nagle dostrzegł, jak konsul przegina się na swoim koniu. Na wysokości żeber z jego ciała wystawał grot oszczepu. Dookoła rozległ się krzyk przerażenia. Ci, którzy stali blisko, podbiegli do konsula, by go chronić, i utworzyli z tarcz swoistą obręcz. Jeden z nich poprowadził konia za uzdę i formacja przeszła powoli wzdłuż linii frontu, aż w końcu opuściła pole walki. Pansa wciąż pozostawał w siodle, ale oparty bezwładnie o zad konia, najprawdopodobniej nieprzytomny. Wszyscy zastanawiali się, czy jeszcze żyje, czy może jest już martwy. Jego ludzie podążali za nim, pozostawiając między legionem Martia a linią nieprzyjaciela otwarty plac boju.

Jeszcze zanim rozległ się okrzyk, Agrypa już wiedział, jakie rozkazy wydadzą za chwilę centurionowie.

— Wycofujemy się! Wycofujemy się!

Jego pierwsza bitwa na otwartym polu zakończyła się porażką.

Mecenas wyswobodził się z napierśnika i odrzucił tarczę, aby móc biec jak najszybciej i jak najdłużej. Z zazdrością spoglądał na Rufusa, który milą za milą na przemian maszerował i biegł i nawet nie miał większej zadyszki, mimo że pozostawił na sobie pełny rynsztunek. Etrusk usiłował wycofywać się z takim samym uzbrojeniem, w jakie byli wyposażeni uciekający wraz z nim towarzysze, ale pozostawał za nimi w tyle z winy dźwiganego ciężaru i powodowanego tym zmęczenia, dlatego wskutek nacisków Rufusa pozbył się wszystkiego, co zbędne.

— No cóż — powiedział — jeśli nas dopadną, i tak na nic się nam nie przydasz. Nie mam zamiaru oberwać, czekając na ciebie.

Zapomniał, że w czasie pojedynku w lesie Mecenasowi udało się ująć cało bez jego pomocy. Z drugiej strony nienależało liczyć na kolejne szczęśliwe zrządzenie losu. Mecenas zabił swego przeciwnika, to prawda, lecz gdyby

przyjmowano zakłady o wynik kolejnego pojedynku, nie postawiłby sam na siebie.

A wszystko wskazywało na to, że nowy wróg może się pojawić bardzo szybko. Dotarli w pobliże obozu Martiae Victricis, do którego właśnie powrócił pokonany legion. Ukryli się na skraju lasu, gdzie opracowywali plan dotarcia do wału, przed którym rozłożyli się liczni ocalali żołnierze. Wrócili tylko ranni, wspierając się na barkach swoich druhów, oraz ci, którzy stracili broń. Pozostali postanowili rozbić się za fosą i czekać na atak legionistów Antoniusza, którzy zatrzymali się kilkaset kroków od nich.

— Niech to szlag, dlaczego nie wchodzą? — zapytał Mecenas Rufusa. Był pewny, że zastanawiają się nad tym i pozostali żołnierze, którzy im towarzyszyli.

— Zgoda, Etrusku, tym razem mogę ci udzielić małej lekcji — odpowiedział niemal rozbawiony. — Taki jesteś bystry, ale tajniki walki są ci zupełnie obce. Legioniści z Martiae Victricis przegrali starcie na otwartym polu, lecz nie zamierzają się do tego przyznać. Dlatego, zamiast wejść za wały, co byłoby równoznaczne z przyznaniem się do porażki, wolą pokazać, że wciąż są gotowi do starcia i że dokonali jedynie wycofania taktycznego. To gra między weteranami, mój przyjacielu. I jedni, i drudzy chcą się okazać lepsi od przeciwników. Żadna strona nie zamierza przegrać.

— Możliwe, że w ten sposób zniechęcą wojska Antoniusza do kolejnego ataku, w nadziei, że tamci będą już zbyt zmęczeni stoczoną walką i późniejszym pościgiem — zauważył Mecenas, zastanowiwszy się przez chwilę nad taktyką, która początkowo wydała mu się bezsensowna.

Rufus spojrzał na niego z szacunkiem.

— Jak zawsze mnie zaskakujesz, Etrusku. Faktycznie, czekać na nich, mając fosę i nasyp za plecami, byłoby szaleństwem, gdyby chodziło o nieprzyjaciół w pełni sił. Odparcie ataku byłoby niemożliwe, a tylne umocnienia odcinałyby drogę ucieczki. Ale w takiej sytuacji... natarcie wojsk Antoniusza, o ile w ogóle do niego dojdzie, będzie niegroźne, a nasi zyskają czas na usunięcie się za wał i zamknięcie za sobą bram.

— Problem polega na tym, że na razie żołnierzy nieprzyjaciela jest niewiele więcej i nie mogą za bardzo ryzykować. Lecz niedługo przybędą ci, którzy z nami walczyli, i może się okazać, że pomimo zmęczenia mają nad nami przewagę. Pamiętaj, że nasi również są wyczerpani... — zauważył Mecenas, przyglądając się legionistom z Martiae Victricis, którzy by dodać

sobie animuszu, stanęli dumnie w bojowych pozach z obnażonymi gladiusami. Wystarczyło jednak przyrzeć się dokładniej, by zauważyć ich spocone, pokryte kurzem i zadrapaniami twarze, wgniecenia na tarczach czy napierśniki powalane błotem. Tak osłabionym doprawdy trudno byłoby im przekonać nieprzyjaciela, że są bastionem nie do zdobycia.

— To oznacza, że musimy odzyskać pozycje, zanim Antoniusz przybędzie z posiłkami. — Rufus sprowadził wszystkich na ziemię. Nie byli zwykłymi widzami i jeśli chcieli mieć jakiegokolwiek szanse na przeżycie, musieli się przyłączyć do *Martiae Victricis*.

Na ziemi niczyjej między dwoma wrogimi obozami błakali się pojedynczy żołnierze z obu armii, obelgami i oskarżeniami prowokujący przeciwnika do ataku. O ile jednak legioniści z *Martiae Victricis* byli czujni i zwarci, o tyle ludzie Antoniusza, wszyscy z legionu XXXV, zachowywali się beztrosko: ich szyki były rozbite, wielu siedziało, inni rozeszli się po okolicy w poszukiwaniu zaopatrzenia. „Nic dziwnego — pomyślał Mecenias — oni nie muszą się obawiać ataku”.

Nie można było się łudzić, że żołnierze z *Martiae* po ciosie zadany im pod Forum Gallorum, będą myśleć o czymś więcej niż ochrona własnego obozu. Niemniej jednak, gdyby on, Rufus, i pozostali ocaleni spróbowali wyjść z lasu, kierując się w stronę obozu, najbardziej wysunięci do przodu zwiadowcy Antoniusza na pewno by ich zauważyli, nie było innej możliwości. A konnica dopadłaby ich w mgnieniu oka.

— Ale jak? Złapią nas od razu, jeśli odważymy się wystawić nos z tych drzew — zaoponował Etrusk.

— Mimo wszystko musimy spróbować — oświadczył Rufus. — Przechesują lasy w poszukiwaniu prowiantu i drewna, więc i tak szybko nas tu znajdą. Na oko w linii prostej stąd do najbliższego rogu obozu będzie jedna trzecia mili. Jeśli skierujemy się w tamtą stronę, jest szansa, że zauważą nas, gdy będziemy już blisko naszych. A jeśli będą za nami podążać, ludzie z *Martiae Victricis* przyjdą nam z pomocą...

— Niezły plan, doprawdy znakomity, gratuluję! — wykrzyknął Mecenias ironicznie. — Całe szczęście, że postanowiłeś mi udzielić lekcji taktyki! Powiem ci, co możemy zrobić: zaczekajmy, aż zapadnie zmierzch. Dopiero wtedy będziemy mogli się stąd ruszyć. Brakuje jeszcze około dwóch godzin.

— Nie ma mowy! W ciągu dwóch godzin zdążą tędy przejść setki razy. Będziemy zgubieni.

— Wątpię. Mogą przejść jeden raz, ale i to nie jest pewne. Za to można mieć pewność, że zobaczą nas i dogonią, kiedy będziemy próbowali pokonać równinę.

„Oto problem żołnierzy — pomyślał Mecenasa — muszą koniecznie działać. Taktyka czekania jest im zupełnie obca”.

— Rozkazuję ci natychmiast się ruszyć, trybunie. Podlegasz moim komendom — naciskał Rufus.

— Nie sądzę. Jesteśmy równi stopniem.

Oniemieli żołnierze z uwagą śledzili spór dwóch oficerów.

— Na mój sygnał wszyscy macie wyskoczyć — powiedział w końcu Rufus. — Nie zamierzam dłużej tracić czasu.

Odwrócił się, ignorując Mecenasa, najwyraźniej przekonany, że i tak na koniec podąży za nim. Etrusk zamierzał jednak zostać na swoim miejscu i kiedy Rufus ruszył, poszło za nim około trzydziestu ludzi, ale nie od razu. Utworzyła się w ten sposób porozrywana kolumna, jeszcze bardziej rzucająca się w oczy. Z Mecenasem pozostało około dwudziestu legionistów, którym najwidoczniej przypadła do gustu jego strategia. Po przemierzeniu kilkudziesięciu kroków Rufus obejrzał się na chwilę, by skontrolować sytuację, i stwierdził, że przyjaciel nie podąża za nim. Zwolnił, aż w końcu się zatrzymał. Jego ludzie patrzyli po sobie zdeorientowani. Potrząsnąwszy rękoma w geście irytacji, zawrócił. Zdecydował się na blef i przegrał.

Mecenasa spostrzegł, że ich ruchy zostały od razu zauważone i kilku jeźdźców ruszyło w ich stronę. To było tylko potwierdzenie, że nigdy im się nie uda, lecz świadomość, że także tym razem miał rację, była marnym pocieszeniem. Zaraz potem usłyszeli dźwięk buciny dobiegający z oddali, zza linii legionu XXXV. Także jeźdźcy będący już niedaleko Rufusa i jego ludzi zwolnili, zatrzymali się i spojrzeli do tyłu. Nagle w szeregach antoniuszowców zapanował zgiełk. Wszyscy żołnierze leżący na ziemi poderwali się na równe nogi i chwycili za broń, a pozostali pospiesznie powrócili ze zwiadów.

Nadchodziła kolejna armia. Nie mogło to być żadne inne wojsko jak tylko to prowadzone przez samego Antoniusza do końcowego ataku. Tak czy inaczej, byli zgubieni.

Początkowo Gajusz Cherea nie mógł przetrwać decyzji Oktawiana

o zatrzymaniu go przy sobie. Zgoda, wchodził w skład jego sztabu generalnego i był zobowiązany stać u jego boku, lecz stanowił również część legionu Martia i jego jednostka wyruszyła naprzeciw oddziałów Pansy idących od Bolonii. Niezadowolenie przeszło w tłumiony gniew po dotarciu wieści o bezpośredniej potyczce z legionami Antoniusza. Trwała walka, a on nie był ze swoimi ludźmi, z żołnierzami, którymi dowodził przez ostatnie miesiące, których podziwiał za niewzruszoną postawę w czasie decymacji, których przekonał, by odeszli od Antoniusza.

Ale teraz... teraz odczuwał bezgraniczną satysfakcję, wręcz radość, która nie stałaby się jego udziałem, gdyby wyruszył ze swoją jednostką przed świtem. Tak, ponieważ zamiast uczestniczyć w klęsce, brał udział w zwycięstwie. A przede wszystkim dlatego, że zmieniał sukces Antoniusza w porażkę.

Gdy generałowie dowiedzieli się o przygotowanej przez Antoniusza zasadzce na Pansę i Karfulenusa, zebrali się i uradzili, by posłać im na ratunek legion IV, jeden z dwóch, które wypowiedziały posłuszeństwo Antoniuszowi. Główne dowodzenie nad kolumną posiłkową objął Hircjusz, ale Oktawian wymógł na obradujących, by jego zaufani ludzie towarzyszyli konsulowi. Wybór padł między innymi na Gajusza. Centurion maszerował w pierwszych szeregach, dzięki czemu stał się świadkiem niewiarygodnych scen. Zaskoczenie i przerażenie wojsk Antoniusza na moment przed pojawieniem się Hircjusza: nasyceni krwią przeciwników, spełnieni, rozkoszujący się zwycięstwem, rozproszeni po okolicy, bez jakiegokolwiek dyscypliny, zajęci wyłącznie czekaniem na swego głównego dowódcę nadchodzącego z dwiema kohortami pretoriańskimi, by zadać śmiertelny cios ocalałym z legionu Martia Victrix. „Wszystko poszło tak łatwo” — pomyślał.

Oktawian polecił mu, by ograniczył się wyłącznie do obserwacji, lecz on był przecież żołnierzem i, na bogów, jeśli trzeba było walczyć, walczył! Mimo że wróg nie stawiał żadnego oporu i, prawdę mówiąc, Oktawian nie będzie miał prawa potępić go za to, iż rzucił się w wir walki, z tego prostego powodu, że wiru walki nie było. Nie było również ryzyka. Ludzie Antoniusza robili błyskawiczny zwrot w tył i po prostu uciekali, porzucając nawet swoje tarcze. Tyle że wystawili na ciężką próbę jego wytrzymałość: wszyscy uciekali przed jego cięciami, więc Cherea próbował za nimi gonić, przynajmniej parę kroków.

Widział, jak niektórzy próbują wraz ze swymi kompanami tworzyć linię

obrony, aby móc uformować szyk. Także ich konnica starała się utworzyć zapory lub krążyła wokół napastników, by opóźnić ich natarcie, ale nie zmieniało to faktu, że byli to weterani, żołnierze, którzy walczyli większą część dnia, zbyt zmęczeni, aby stawić czoła kolejnemu uderzeniu ze strony wypoczętych oddziałów. Dali z siebie wszystko, odpierając całymi godzinami ataki równie doświadczonych legionistów, jakimi byli żołnierze z Martiae Victricis, i nawet ich pokonali. Byli przekonani, że tego dnia wywiązali się już ze swoich obowiązków.

Nie był to z ich strony wyraz tchórzostwa, lecz zwykły odwrót strategiczny pozwalający odzyskać siły. To, że wyglądał na ucieczkę, nie miało żadnego znaczenia. Z drugiej strony Cherea nie zamierzał urządzić rzezi i gdyby tylko mógł, nikogo by nie zabijał. Zważywszy na przetasowania na frontach typowe dla wojen domowych, pewnego dnia ci ludzie równie dobrze mogą się znaleźć pod jego rozkazami. Sam Hircjusz rozkazał w miarę możliwości brać jeńców. Biorąc pod uwagę fakt, że można było ich później przekonać do zmiany stronnictwa, stanowiło to doskonałą metodę odbierania oddziałów Antoniuszowi i umacniania własnej armii. Dopóki jednak ludzie uciekali w ten sposób, nie było możliwości ani żeby ich zabić, ani żeby ich pojmać.

Cherea, podobnie jak Oktawian zaraz po otrzymaniu wiadomości o ataku, zastanawiał się, co może się dzieć z Mecenasem i Rufusem. Krążyły słuchy, że kohorta pretoriańska była jednostką, która poniosła największe straty, toteż wódz sekty tracił głowę na myśl o tym, że mógł stracić swego najcenniejszego przyjaciela i sprzymierzeńca. Gajusz odnosił wrażenie, że Oktawiana wiele kosztowało wykluczenie Agrypy z szeregów sekty, a prawdopodobnie wręcz miał o to żal do siebie samego, dlatego nie zniósłby chyba, gdyby musiał stracić kolejnego człowieka, któremu bezsprzecznie wyznaczył uprzywilejowane miejsce w stowarzyszeniu. Centurionowi przeszło również przez myśl, że Salwidienus Rufus mógłby się poczuć urażony takim rozumowaniem, ponieważ nie znosił, kiedy stawiano go na drugim miejscu – niezależnie od tego, kto był na pierwszym.

Nareszcie ktoś zatrzymał się, by stanąć z nim do walki. Gajusz zobaczył przed sobą pióropusz podobny do swojego. Centurion, którego nawet znał z widzenia, postanowił zablokować jego gladius, przywołując jednocześnie swoich ludzi, aby uformowali linię. Cherea próbował go odepchnąć, tylko po to, by pokazać mu, że góruje nad nim sprawnością i zdobyć sobie uznanie

jego podwładnych, co być może skłoniłoby ich do kapitulacji. Ale przeciwnik mocno napierał swoim mieczem. Uderzał z zamiarem zabicia i gdyby Gajusz nie reagował odpowiednio, pewnie by mu się to udało. Pchnął mieczem, a następnie wykonał cięcie proste i na odlew. Kolejne uderzenie przyjęte tarczą wprowadziło w drganie całe jego ramię.

„Rywal jest potężny, lecz powolny — pomyślał — może z powodu zmęczenia lub, co bardziej prawdopodobne, ze względu na swą masywną budowę”. Gajusz – przeciwnie. Był wypoczęty i zamierzał to wykorzystać: zasymulował atak na lewą stronę, ale uderzył w prawą, wyskoczył w górę, wyprostował ramię i spuścił gladius z góry, tnąc na odlew w miecz przeciwnika. Przebiwszy pancerz kolczy i naramienniki, szpic miecza wszedł w ciało na głębokość dwóch palców. Nic wielkiego, ale wystarczyło, by wyeliminować centuriona z walki. Uwagę Gajusza zwrócili teraz żołnierze, którzy przyglądali się pojedynkowi, usiłując tymczasem uformować szyk bojowy. Zdał sobie sprawę, że stoi przed nimi *zupełnie sam*.

Gdyby zdecydowali się uderzyć, nie miałyby szans na ucieczkę. Przez chwilę spoglądał im kolejno w oczy, a oni patrzyli na niego; niektórzy trzymali gladiusy wymierzone w jego stronę, inni chowali się przyczajeni za tarczami. Po plecach przeszedł mu dreszcz. Zdał sobie sprawę, że się boi. Aby ukryć to przed wrogami, postanowił zaryzykować i powoli zaczął iść w ich kierunku z mieczem wyciągniętym przed siebie. Czuł, jak krople potu spływają mu spod hełmu i wsiąkają w skórę ochraniacza. W uszach dudniło mu echo jego własnego ciężkiego oddechu.

Niektórzy cofnęli się o tyle kroków, ile on postąpił do przodu. Pozostali zrobili to samo, jedni z większym, inni z mniejszym przekonaniem. Dokładnie w tej samej chwili niewielki oddział nieprzyjacielskiej konnicy minął ich galopem i jeden z jeźdźców krzyknął coś do piechurów, czego Gajusz niestety nie był w stanie zrozumieć, ponieważ głos żołnierza ginął wśród tętentu kopyt. Dwaj legionieci zawahali się, po czym rzuciwszy na ziemię tarcze, ruszyli w stronę wierzchowca i chwycili go obaj za ogon. Jeździec spiął konia i puścił się ponownie galopem, ciągnąc za sobą obydwu żołnierzy.

Pozostali kawalerzyści dali legionistom znak, by poszli śladem swoich kompanów, i właściwie żadnemu z nich nie trzeba było tego powtarzać. Po kilku chwilach byli już daleko. Pędzili w podskokach, jak dzieje się zawsze, kiedy człowiek jedzie uczepony czegoś szybszego niż on sam.

Gajusz stał na rozległej równinie, skąd dostrzegał kontury fortu, którego przybył bronić. Legioniści Martiae Victricis wzmocnieni dzięki interwencji Hircjusza przeszli pod jego rozkazy, ale nie byli łagodni jak podkomendni konsula, ich wrogowie. Polana stała się areną małych potyczek, które bardziej przypominały zbiorowe egzekucje, szczególnie gdy jakiś antoniuszowiec napotykał na swojej drodze zastęp nieprzyjaciół. Ujść cało udawało się tylko tym, którzy się poddawali. Tymczasem legioniści, którzy próbowali utworzyć wał obronny, umożliwiali ucieczkę ludziom znajdującym się za ich plecami. Niemniej jednak żołnierze Antoniusza nie mogli już wymknąć się z kleszczy, które zaciskały się wokół nich z dwóch stron.

Tę bitwę należało uznać za zakończoną. Pierwszą bitwę w kto wie której z kolei wojnie domowej. Oktawian twierdził, że chce położyć kres wewnętrznym walkom toczącym się między stronnictwami w Rzymie od ponad półwiecza. Ci, którzy zwyciężali, po jakimś czasie stawali się przegranymi. Działo się tak od zawsze: Mariusz i Sulla pokonywali się nawzajem, Cezar pobił wszystkich, lecz został zamordowany, teraz z kolei Antoniusz mógł mówić o wygranej i przegranej tego samego dnia. Nic nie mogło się zmienić, dopóki Rzymianie walczyli między sobą. Dzisiejszy zwycięzca był wczorajszym przegranym, a sukces poranka wieczorem mógł się zamienić w porażkę.

Ludzie, którzy doprowadzali do tego rodzaju zwrotów, byli tak zaślepieni swoimi ambicjami, że nie widzieli, iż kręcą się w kółko, a razem z nimi w kółko kręci się Rzym. Jednak osoby pokroju Cherei, którego jedynym zadaniem było posłuszeństwo, widziały to wyraźnie, a jakże. *Urbs* ugięło się pod jarzmem wojen domowych dużo bardziej niż pod naporem jakiegokolwiek zewnętrznego wroga. Oczywiście Gajusz nie znał rozwiązania tego problemu. Nie był politykiem ani nawet dowódcą. Wiedział jednak, że pośród tych ambitnych ludzi, którzy od dziesięcioleci rywalizowali ze sobą o władzę, znajdzie się jeden sięgający wzrokiem dalej niż pozostali i że wraz ze swoimi osobistymi celami zechce on realizować również cele Rzymu.

Cherea życzył sobie z całego serca, aby człowiekiem tym okazał się ten, któremu postanowił służyć: Oktawian.

XVIII

Hasło? — Dobiegł go przytłumiony głos strażnika, kryjącego się gdzieś wewnątrz budowli.

— Idy marcowe!

Rozległo się skrzywienie ciężkich, nabijanych żelazem, drewnianych skrzydeł bramy miejskiej w Smyrnie. Odgłos ten mieszał się z szumem ulewnego deszczu smagającego twarze sześciu Germanów, którzy czekali na koniach tuż przy murach miasta. Ortwin uniósł głowę ku niebu i pozwolił, by rześiste krople zbryzgały jego twarz. To go odprężyło. Jednocześnie mógł doświadczyć niespodziewanej pomocy zesłanej im przez Wotana. Ta okropna pogoda sprawiła, że wartownicy stojący w wieży widokowej przy bramie niezbyt palili się do ich kontrolowania, może dlatego że Germanie stali tam przemoczeni do cna, a w ubraniach zabranych zabitym jeźdźcom byli zupełnie nie do poznania.

Brama uchyliła się na tyle, aby mogli przejść. Ortwin miał nadzieję, że nie napotka straży stojących przy bramie, gdy jeźdźcy, za których się przebrali, opuszczali miasto. Zazwyczaj zmiana warty odbywała się co pół dnia. Tak więc nikt nie powinien ich rozpoznać, o ile ktoś nie postanowi spojrzeć im prosto w twarz. Tak czy inaczej, pogoda sprawiała, że wszystkim bardzo się spieszyło.

Kiedy weszli do miasta, nikt się już do nich nie zbliżał. Przeczucie go nie omyliło. Strażnicy zostali na wałach, chroniąc się przed deszczem. Najwidoczniej wystarczyło im, że rachunek się zgadza: miasto opuściło sześciu jeźdźców i sześciu wróciło.

— Poszli sobie? — zapytał tylko mężczyzna, który był najprawdopodobniej dowódcą straży przybocznej.

— Jakby mieli skrzydła u stóp, niczym Merkury — odpowiedział Ortwin, siląc się na swobodę.

Człowiek przekazał to swojemu podkomendnemu, który natychmiast rozesłał wici po wałach. Zaraz potem dało się słyszeć okrzyki radości i triumfu przeplatane salwami prymitywnego śmiechu. Żołnierze okazywali w ten sposób nie tylko zadowolenie, ale i pogardę dla Dolabelli, który w ich oczach się skompromitował.

— Idźcie szybko do gubernatora i złożcie mu raport. Powiedział mi, żeby go obudzić, gdy wrócicie, bez względu na porę — dodał dowódca, a następnie wrócił do swoich ludzi, by razem z nimi świętować. Nie zwracał sobie dłużej głowy Ortwinem.

Germanin odetchnął z ulgą. Najtrudniejsze było wciąż przed nim. Rozejrzał się dookoła, próbując ustalić, dokąd iść, aby nie sprawić wrażenia kogoś, kto nie zna lokalizacji pałacu gubernatorskiego. Zanim ponownie podeszli pod mury Smyrny, podpytał okolicznych wieśniaków, którzy opisali mu rozkład miasta i wyjaśnili, gdzie znajduje się siedziba Treboniusza. Teraz próbował się rozeznać w okolicy. Niestety, ciemności i rzęsisty deszcz nie ułatwiały mu zadania i przez chwilę zaczął się martwić, że niezdecydowanie może go zdradzić. Właściwie cieszył się, że Velea została ranna w potyczce z nieprzyjacielskimi jeźdźcami – dzięki temu miał doskonały powód, by wykluczyć ją z udziału w akcji; na pewno zechciałaby dołączyć do ich szóstki, gdyby tylko pozwalały jej na to siły.

Wyobraził ją sobie w przebraniu jednego z ludzi, których zabili, może nawet w stroju jeźdźca, którego pomogła uśmiercić, przypłacając to kilkoma złamaniami, ranami i potłuczeniami. Uśmiechnął się na myśl o tym, bo oczami wyobraźni zobaczył, jak jej drobne, choć umięśnione ciało tonie w za dużym rynsztunku, i jak zwykle poczuł, że jest z niej dumny.

Teraz jednak musiał przede wszystkim się stamtąd wydostać. Wiedział, że powinien iść główną drogą biegnącą od bramy, która właśnie zatrzasnęła się z hukiem. Nie było już odwrotu: albo Treboniusz, albo oni. Miał nadzieję, że Dolabella czeka w pobliżu murów, a przynajmniej że jest tam jego awangarda. Należało wykorzystać euforię żołnierzy na wałach, ciemność i deszcz, dzięki którym ich obrona była uszczuplona. Do świtu pozostało nie więcej niż trzy godziny. Trzy godziny, które zadecydują o przyszłości jego i Veledy.

Oczywiście na ulicach nie było ludzi. Chociaż Smyrna była dużym miastem, nie obowiązywało w niej prawo wprowadzone przez Cezara w Rzymie, które pozwalało na wjazd pojazdów tylko w godzinach nocnych. Poza tym ulewa skutecznie odstraszała tych, którzy mieliby ochotę wyjść na zewnątrz. Ortwin usiłował odnaleźć właściwy kierunek w ciemnościach rozświetlonych zaledwie kilkoma pochodniami, które pomimo padającego deszczu płonęły na wałach oraz pod łukami i balustradami budynków. Bazując na wskazówkach, jakich udzielili mu jego mimowolni informatorzy,

uznał, że powinien skręcić w prawo, ale na końcu drogi znalazł ciemny zaułek, który raczej nie mógł doprowadzić go do celu. Świadomość, że może się ośmieszyć przed swoimi ludźmi, wyprowadziła go z równowagi. Zawrócił na główną drogę i szedł nią do kolejnego skrzyżowania, które zdawało się bardziej pasować do trasy, jaką wytyczył sobie w myślach, zanim wszedł do miasta. Poczuł, że dopada go niepokój. Czas naglił i kolejna pomyłka mogłaby znacznie zmniejszyć szanse na powodzenie misji. Zaczęły już do niego docierać pomrukiwania jego ludzi. Treboniusza należało się pozbyć, zanim Dolabella przystąpi do szturm na mury, tylko w ten sposób można było uzyskać pewność, że atak zdoła przełamać obronę. Na szczęście w oddali dostrzegł budynek oświetlony wieloma pochodniami. To go podniosło na duchu. Tak mogła wyglądać tylko budowla o dużym znaczeniu, może nawet najważniejsza ze wszystkich. Mogła to być jednak kuria miejskiego senatu. Skierował się w tamtą stronę, znów pełen nadziei i zachęcony obecnością wartowników: to musiała być rezydencja Treboniusza, ponieważ nikt nie postawiłby straży przed pustym obiektem.

Miał nadzieję, że strażnicy nie znali osobiście posłańców gubernatora, którzy ruszyli ich śladem. I że wśród zabitych nieprzyjaciół nie było jakiegoś zaufanego człowieka Treboniusza.

Podszedł do wartowników stojących na baczność pod łukiem wejściowym do pałacu.

— Jesteśmy posłańcami. Rozkazano nam śledzić wojska Dolabelli. Musimy złożyć raport prokonsulowi.

Wartownik spojrzął na nich zaciekawiony.

— Germańskie *auxilia*, co? Ja posłałbym prawdziwych Rzymian, no ale cóż... przechodźcie.

To było szczęśliwe zrządzenie losu, że Treboniusz miał wśród swoich oddziałów także germańskich jeźdźców. Legionista służący w straży był najwidoczniej weteranem, dlatego nie zdziwił się, gdy jego doświadczone oko rozpoznało obcokrajowców. Ortwin spiął konia i szybko znalazł się na dziedzińcu. Upewnił się, że ludzie podążają za nim. Kiedy dotarł do bram pałacu, zsiadł z konia, zaczepił uzdę o pierścienie umieszczone na ścianie fasadowej i zameldował się kolejnym wartownikom. Ci kazali mu podążać za niewolnikiem, który zaprowadził ich do drzwi jednego z pokoi. Tam służący nakazał im czekać, a sam poszedł obudzić gubernatora. Po paru chwilach pojawił się ponownie i dał znak Ortwinowi, by wszedł. *Tylko Ortwinowi.*

Germanin przez moment spoglądał na swoich ludzi. Spodziewał się tego, a oni wiedzieli, że nic nie można na to poradzić. Wszedł do kubikulum Treboniusza. Niewolnik zostawił ich samych. Cezarobójca siedział na łożku w słabym świetle rzucanym przez lampę stojącą na szafce obok. Miał na sobie tunikę niezawiazaną w pasie i bacznie przyglądał się przybyszowi. Przez gęste, zmierzwione włosy trudno było go poznać. Postarzał się, odkąd Ortwin widział go po raz ostatni, u boku Cezara. Przez chwilę w uszach Germanina pojawiły się jak echo słowa zachwyty, jakich dyktator nie szczędził pod adresem Treboniusza po oblężeniu Marsylii, na początku wojny domowej przeciwko Pompejuszowi. Treboniusz zmusił Domicjusza Ahenobarbusa do ucieczki, zdobywając ten ważny port dla sprawy cezariańskiej. W ten sposób zaskarbił sobie dożgonny szacunek dyktatora, a w dowód uznania otrzymał jedno z najwyższych stanowisk w państwie. Cezar nie mógł gorzej ulokować swojej wdzięczności.

Ortwin z niecierpliwością czekał na moment, gdy wystawi Treboniuszowi rachunek. Mimo że nie otrzymał od Oktawiana zadania pomszczenia jego przybranego ojca, chętnie dokonałby zemsty na własną rękę. Velea nie potrafiła tego zrozumieć, dlatego nigdy nie rozmawiał z nią na ten temat, ale honor nakazywał mu wziąć odwet za śmierć najszlachetniejszego z wodzów, jakiemu kiedykolwiek służył.

— I jak? Co zrobił Dolabella? — zapytał gubernator.

Ortwin miał ochotę rzucić się na niego i zabić beznamysłu. Ale najpierw musiał dać się rozpoznać, żeby Treboniusz wiedział, iż morduje go nie człowiek Dolabelli, lecz mściciel Cezara.

Narada wojenna nigdy jeszcze nie przebiegała tak burzliwie. Aulus Hircjusz, główny dowodzący armii republikańskiej, uderzył pięścią w stół, a towarzyszący temu huk wypełnił cały namiot pełniący funkcję *praetorii*. W spotkaniu uczestniczyli wszyscy podlegli dowodzący oraz ich namiestnicy.

— Niech to szlag! — wykrzyknął konsul. — Minęło pięć dni od podwójnego starcia pod Forum Gallorum, a my wciąż nie wiemy, jak go zwabić! Po przegranej zrobił się ostrożny, suczy syn!

— Jeśli się nie pospieszymy i nie wypłoszymy go z kryjówki, Decymus Brutus podda się i da mu Mutinę na tacy. Jego ludzie cierpią głód. Mam

wątpliwości, czy uda im się wytrzymać dłużej niż kilka dni... — Galba pokręcił głową zniechęcony.

Hircjusz, jak zawsze przewrażliwiony, odebrał tę uwagę jako pośrednią krytykę jego sposobu dowodzenia. Gdy tylko mógł, starał się zawsze podkreślać, że Cezar bardzo liczył się z jego zdaniem.

— Ach tak? Może znasz jakieś magiczne zaklęcie, aby ściągnąć Antoniusza na otwarte pole, teraz, kiedy najbardziej opłaca się mu czekać? Zwłaszcza że Lepidus prawdopodobnie jest gotów wysłać mu swoje oddziały.

— Otóż to, Antoniusz jest sprytny. To najsprytniejszy dowódca, jakiego miał Cezar... — zauważył Poncjusz Aquila, wyraźnie czyniąc aluzję do obecnego głównego komendanta.

Nic tak nie wyprowadzało z równowagi Hircjusza jak porównywanie go do wroga, który z pewnością, dopóki Cezar był przy życiu, cieszył się o wiele większym poważaniem niż on.

Mecenas uczestniczył w naradzie wojennej bez prawa do głosu. Oktawian kazał mu milczeć, bez względu na to, co się stanie, aby nie drażnić dodatkowo Hircjusza. Etrusk widział, jak konsul trzęsie się z oburzenia, i zaczął się obawiać, że zaatakuje cesarobójcę. Mecenas był pewny, że Oktawian w głębi serca żywi nadzieję, iż Hircjusz, Galba i Aquila rzucą się sobie do gardeł i że dwóch morderców Cezara wyjdzie na tym najgorzej. Nie leżało to jednak w interesie republikanów, a chwilowo tylko nim sekta musiała się zajmować, jeżeli zamierzała zrealizować swoje cele. Należało doprowadzić do sytuacji, w której Antoniusz nie będzie mógł już nic uczynić, a następnie wykorzystać go przeciwko „wyzwolicielom” – oto, o czym członkowie, szczególnie Oktawian, powinni cały czas pamiętać, dopóki przy życiu pozostaje choćby jeden z morderców Cezara. Na bok więc żądza zemsty. Jedyne cel, na którym wszyscy musieli się teraz skupić, to pokonać Antoniusza i zdobyć nad nim całkowitą kontrolę; w razie potrzeby można nakłaniać go po dobroci, ale bezwzględnie nie wolno się go pozbywać. Jak słusznie zauważył Aquila, wśród czynnych generałów on jeden był prawdziwym i zdolnym do czegokolwiek dowódcą. Przynajmniej dopóki ci, którzy tworzą sektę, nie nabiorą wystarczającego doświadczenia...

Hircjuszowi udało się opanować zdenerwowanie. Wziął głęboki oddech i uściślił:

— Może i Antoniusz jest wyjątkowo sprytny, lecz daleko mu do Cezara.

Poza tym jest atakowany z dwóch stron. Trzeba to wykorzystać. Trudno jest utrzymać kontakt z Decymusem Brutusem, ale nie jest to niemożliwe. Musimy wraz z nim obmyślić plan skoordynowanego ataku i wziąć Antoniusza w dwa ognie — zaproponował.

Mecenasowi przyszło coś na myśl. Szepnął to Oktawianowi, który pokiwał głową i zabrał głos.

— Musimy zdobyć Mutinę, zanim wpadnie w ręce Antoniusza. Wydaje mi się, że to jedyne rozwiązanie. Jeżeli zobaczy, że podejmujemy poważne działania, dołoży wszelkich starań, by nam przeszkodzić, za cenę decydującej bitwy, której starał się dotychczas unikać.

Wszyscy obecni zamyślili się. Mecenas pomyślał z dumą, że propozycja zasługiwała co najmniej na to, by ją rozważyć, a dla cywila znajdującego się pośród tak licznych wojskowych była to niemała satysfakcja.

Aquila pierwszy zabrał głos. Pokręcił głową i rzekł:

— Jego konnica krąży wokół oblężonego miasta, powstrzymując wszelkie próby otwarcia drogi dla piechoty. Nie wiem, jak mielibyśmy się przez nich przebić. Nie mamy wystarczająco dużo jeźdźców, aby zatrzymać jego szwadrony. Jedyne, w czym ma nad nami przewagę, to właśnie konnica...

— Moje celtyckie *auxilia* — odezwał się ponownie Oktawian — które często ostatnimi czasy walczyły w potyczkach z *auxiliis* Antoniusza, nigdy nie zapuszczały się w kierunku drugiej strony miasta, podobnie jak i nieprzyjacielska kawaleria. Zgodnie z ich relacjami jest to miejsce trudno dostępne, niemal nieprzejezdne z powodu dużego skupiska moczarów i bagien. To swego rodzaju ziemia niczyja, gdzie walk nie prowadzi się jakby na mocy milczącego porozumienia. A gdybyśmy spróbowali posłać tam legion lub dwa, jednocześnie zatrzymując konnicę Antoniusza w innym miejscu?

Oczy Hircjusza rozbłysły. Oczywiście pomysł mu się podobał. Aquila pośpiesznie zaproponował:

— Skoro nikt dotąd nie odważył się tam zapuścić, oznacza to, że teren jest niezwykle trudny. Poza tym działań wojennych nie prowadzi się na zbyt ciężkich polach walki. Im więcej niewiadomych, tym łatwiej o porażkę.

— Sądzę, że niewiadomych działających na naszą niekorzyść przybywa z każdym dniem. Dlaczego nie wytrącimy Antoniuszowi noża, który chowa w rękawie? Atmosfera tutaj jest niezdrowa, a Brutus szybko padnie, podobnie jak i nasi rekruci — odparł Oktawian.

Napięcie między dwoma dowódcami natychmiast wzrosło do granic możliwości. Gdyby byli sami, najprawdopodobniej stanęliby do pojedynku na śmierć i życie. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można było przewidywać, że zwycięzcą takiego starcia zostałyby Aquila, zdecydowanie silniejszy, z większymi możliwościami za sprawą wojsk, które przejął od Oktawiana.

— O właśnie, niezdrowa atmosfera. Dla ciebie nawet bardzo szkodliwa, chłopcze — odpowiedział Aquila. — Jesteś tak słabego zdrowia. Powinieneś wrócić do domu, do mamy. Zostaw wojnę mężczyznom. Prawdziwym.

Oktawian spojrział na niego, a w jego oczach zapłonął ogień. Mecenasa podziwiał jego opanowanie: nie drgnął mu ani jeden mięsień, usta pozostały zaciśnięte. Ale spojrzenie... jego spojrzenie było tak przeszywające i pełne pogardy, że Aquila nie wytrzymał i uciekł wzrokiem w innym kierunku. Kto wie, może przeraziła go siła ducha, która z niego przebijała.

Galba stanął w obronie Aquili. Obaj cesarobójcy byli krytycznie nastawieni do spadkobiercy Cezara, podobnie jak Oktawian był krytycznie nastawiony do ich opinii.

— Nikt się tutaj nie bawi, mój chłopcze. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne błędy — powiedział, wyraźnie nawiązując do niefrasobliwości, z jaką pod Forum Gallorum Hircjusz i Oktawian wysłali do boju Martiam Victricem i kohortę pretoriańską. — Musimy dobrze przemyśleć każdy nasz ruch. Wysłanie dwóch legionów na niedostępny teren to narażanie ich na szturm wroga, a jeśli przegramy kolejną bitwę, dla Decymusa Brutusa będzie to oznaczało koniec. Tym samym będzie to koniec dla republikanów. Antoniusz zajmie Mutinę, połączy się z Lepidusem w Hiszpanii i stanie się nowym Cezarem. A wtedy będziemy musieli zabić i jego, chociaż pewnie, mając w pamięci losy swego mentora, zachowa większą ostrożność.

Mecenasa ścisnął nadgarstek Oktawiana, obawiając się, że tym razem przyjaciel wybuchnie. Nie mieli litości; pastwili się nad nim, wciąż robiąc aluzje do jego braku doświadczenia i młodego wieku, a także do jego przybranego ojca. Prawdopodobnie obrzydzenie, jakiego chłopak doświadczał, będąc zmuszonym do współpracy z mordercami Cezara, sięgało już zenitu.

Etrusk szepnął mu na ucho:

— Zostaw go. Zobaczysz, że Hircjusz przyzna ci rację. Nie pozostanie mu dłużny. Za bardzo chce udowodnić, że zasłużył sobie na szacunek

Cezara. Tylko czekał na taką propozycję. Teraz ma pretekst do działania.

Po chwili zastanowienia Oktawian odezwał się:

— Wy, którzy jesteście sprawnymi i wpływowymi politykami, macie rację, wytykając mi moje niedoświadczenie. Jestem tu bowiem, by się uczyć, wybaczcie mi więc, jeśli od czasu do czasu wyjdę z jakimś pomysłem. Oczywiście nie macie obowiązku go popierać i słusznie zauważyliście, że nie jestem osobą, która powinna udzielać rad. Jednakże ktoś spoza waszego grona może kierować się... nazwijmy to przecuciem neofity, po prostu mieć fart. Toteż proszę, nie odrzucajcie z góry tego, co usłyszycie z moich ust, tylko dlatego że mówi do was chłopiec.

„Bardzo dobrze, musisz być pokorny” — pomyślał Mecenasa. Po raz kolejny gratulował w duchu swojemu przyjacielowi. Aby zejść daleko, należy przede wszystkim uspić czujność nieprzyjaciół. To podstawowa zasada, którą od samego początku usiłował mu wpoić.

— Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem, dlatego nie pozostaje nam nic innego, jak przystąpić do działania — oznajmił Hircjusz zgodnie z przewidywaniami Mecenasa. — Jutro po odpowiednim rekonesansie uderzymy z serią ataków konnicy na całym obwodzie murów, koncentrując kolumnę dwóch legionów na sektorze, w którym przerwiemy obronę. I zobaczymy, czy Antoniusz będzie stał z założonymi rękami, widząc, jak wkraczamy do Mutiny, czy może użyje swojej piechoty, by nam w tym przeszkodzić!

Po zakończeniu narady wojennej Oktawian poprosił Mecenasa, aby zwołał zebranie, w którym mieli uczestniczyć Rufus i Gajusz Cherea. Wszystkim nakazał stawić się w jego namiocie pretoriańskim. Etrusk posłusznie wykonał rozkaz, ale nie od razu – najpierw musiał się spotkać z pewną osobą. Opuścił obóz i wszedł w obręb sąsiednich fortyfikacji, gdzie przebywali rekruci, nad którymi dowodzenie przejął Hircjusz, bowiem ich dotychczasowy dowódca, Pansa, leżał ranny w Bolonii, walcząc o życie.

Agrypa zamierzał właśnie polerować broń, tymczasem jego kompani z *contubernii*²³ byli zajęci przepuszczaniem żołądka na grę w kości. Stojący obok niego bukłak wina, zaczerwienione oczy i nieprzytomny wzrok pozwalały przypuszczać, że sporo już wypił. Mecenasa uważał go za naprawdę dzielnego chłopaka, szczerego i wartościowego. Nie mógł

odżałować, że został wyłączony z sekty za błąd popełniony w akcie desperacji. Nie skoczyłby w ogień za Rufusem, ale za Agrypą – owszem. Jego lojalność, niemal ślepe oddanie, jego zręczność były zbyt cenne dla Oktawiana. W Rzymie nie spotykało się raczej takich ludzi. Jeśli tylko jego plan się powiedzie... Oktawian na pewno już żałował swojej decyzji. Niestety, duma nie pozwoliła mu się z niej wycofać. Potrzebny był dobry powód, by go do tego skłonić, i właśnie nad tym pracował Mecenasa.

— Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z przewidywaniami, jutro stoczmy kolejną bitwę — odezwał się Etrusk, przechodząc od razu do rzeczy.

— A czy ja będę brał w niej udział? — zapytał Agrypa głosem łamiącym się od nierozwodnionego wina.

To pytanie rozczuliło Mecenasa. Chłopak rozpaczliwie potrzebował motywacji. Wzgardzony przez przyjaciela, odrzucony przez fizycznie i psychicznie skrzywdzoną kobietę, starał się zagłuszyć swój ból, dlatego nieustannie musiał być czymś zajęty; rzucał się w wojenny tumult i szukał ujścia dla swych nieskończonych pokładów energii. Nie interesowały go już ani strategię, ani taktyki. Chciał walczyć, przelać na wroga całą swoją frustrację. Dlatego wiadomość o nadchodzącej bitwie mogła mu sprawić tylko przyjemność.

— Do walki staną dwa legiony, przynajmniej na początku. Postaram się, aby twoja jednostka była jednym z nich. Jestem pewny, że Oktawian zamierza wziąć udział w tej bitwie. Ostatnio jest w dobrej formie, a nie chce, by żołnierze doszli do wniosku, że nie nadaje się na dowódcę. Idę teraz porozmawiać z twoim centurionem. Z pewnością pieniądze wynagrodzenie przekona go, by przymknął jutro oko na zasady i pozwolił ci na samodzielne prowadzenie ataków pozorowanych. Trzymaj się w pobliżu, żeby wkroczyć do akcji na mój znak. Przy odrobinie szczęścia niedługo znowu będziesz w szeregach sekty. Bo taki jest twój cel, prawda? — upewnił się.

— Oczywiście, że tego chcę. Nie mam już innych celów — rzekł rozżalony Agrypa i wychylił kolejny łyk wina, po czym wrócił do polerowania tarczy.

Mecenasa miał nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Gdyby opracowany przez niego plan zawiódł, ten chłopak zacząłby się staczać po równi pochyłej, a on nie byłby już w stanie tego powstrzymać. Straciliby go bezpowrotnie.

„Antoniusz chwycił przynętę” — pomyślał Rufus, widząc nadciągające legiony antoniuszowców. Teraz trzeba było ich tylko zatrzymać, aby zmusić wodza do wysłania im na pomoc kolejnych jednostek i w ten sposób przekształcić potyczkę w prawdziwą bitwę między dwiema kompletnymi armiami. Nieprzyjacielski oddział przygotowywał się do natarcia, posuwając się naprzód z *pilis* zaciśniętymi w dłoniach. Hircjusz rozkazał legionowi przejść z szyku marszowego do bojowego i żołnierze obrócili się o czterdzieści pięć stopni, nie wychodząc z szeregów. Spodziewali się ataku, więc konsul zarządził, by wojsko uformowało pozorny szyk marszowy, w trzech zastępach, bowiem na tyle dzielił się zazwyczaj legion gotujący się do starcia.

Tymczasem wojska nieprzyjaciela przyspieszyły kroku i były coraz bliżej. Na znak dany przez Rufusa Gajusz Cherea wydał rozkaz zwarcia szeregów w swojej centurii. Pozostali centurionowie zrobili to samo i w ciągu paru chwil na całej linii każdy legionista stanął obok żołnierza znajdującego się przed nim. Natychmiast utworzyła się ściana tarcz, a żołnierze mocno zaciśnęli dłonie na rękojeściach gladiusów spoczywających jeszcze w pochwach u ich prawego boku. Rufus przesunął się na stronę kohorty, do której należał: zgodnie z życzeniem Oktawiana tego dnia wchodził w skład *Martiae Victricis*. Hircjusz postanowił wesprzeć jednostkę weteranów jednym z legionów Pansy. Zamiarem konsula było posłużenie się rekrutami jako przynętą na Antoniusza, który – zgodnie z planem – miał się do nich zbliżyć, a następnie zostać rozgromiony. Weterani zaś, po zwabieniu nieprzyjaciela, mieli chronić rekrutów, nie dopuszczając do ich zagłady. Plan zakładał, że bitwa będzie kontynuowana poprzez angażowanie kolejnych legionów.

Żołnierze otrzymali również zakaz używania *pilorum*. Trzeba było uważać, by antoniuszowcy nie przystąpili do natychmiastowego odwrotu, dlatego ludzie Hircjusza musieli przyjąć na siebie atak oszczepników. Uderzenie nastąpiło punktualnie. Setki oszczepów, mknąc po lekko zagiętej trajektorii, przecięły przestrzeń pomiędzy obydwojma oddziałami, ale ludzie Hircjusza utrzymywali zwartą linię i ograniczyli straty, ponieważ nie odpowiedzieli kontratakami. Deszcz pocisków spadł na ich tarcze, zlewając się w jedno uderzenie, więc legionistom udało się ująć niemal bez szwanku. Kilku upadło na ziemię z grotem w plecach, wielu bezskutecznie próbowało wyjąć *pila* ze swoich puklerzy. W większości przypadków metalowa część broni zagięła się w taki sposób, że drewniana rękojeść tkwiła w ziemi i blokowała tarczę,

uniemożliwiając żołnierzowi jej odzyskanie.

Gajusz Cherea niezwłocznie wydał komendę, aby legionieści bez osłon przeszli do tyłu. Ich miejsce zajęli towarzysze w pełnym rynsztunku. Błyskawicznie dobyli gladiusów, tworząc pierwszą linię, gdzie każdej tarczy odpowiadało jedno ostrze wystające poza szereg.

Potem nastąpiło natychmiastowe uderzenie. Dudniący huk zderzających się ze sobą tarcz, okrzyki mające zagrzewać do walki i budzić strach wśród przeciwników, szcęk krzyżujących się gladiusów – wszystko wymieszane ze sobą, ogłuszające niczym nagły wybuch, który niesie się na odległość wielu mil.

Rufus walczył z boku. Nikt nie stał przy nim po stronie tarczy i mógł poruszać się swobodnie po zewnętrznej linii, jak każdy wyższy dowódca. Kilka kroków dalej znajdował się boczny sektor legionu Pansy, pod dowództwem Hircjusza, więc Rufus mógł niemal wybierać, czy chce walczyć z przeciwnikami Martiae Victricis, czy z tymi, którzy stali naprzeciwko drugiej jednostki. Oktawian przykazał mu, aby nie narażał się niepotrzebnie, ale on był pewny, że nawet przywódca sekty nie jest w stanie walczyć oszczędnie w tym ważnym dniu, ponieważ musi pokazać się żołnierzom z jak najlepszej strony, nie może pozostawać w tyle za Hircjuszem i Pansą. Rufus także chciał coś udowodnić. Wiedział, że będzie musiał się zmierzyć z widmem Agrypy, i chociaż ten chłopak nigdy nie uczestniczył w żadnej bitwie, Oktawian wydawał się przekonany, że gdyby tu był, walczyłby niczym lew, bez względu na sytuację. Rufus zamierzał pokazać wodzowi, że nie musi żałować straconego przyjaciela, że kiedy wypędził Agrypę, nie ubyło nic cennego, ponieważ miał jego, a jego stać na dużo więcej.

Rzucił się na najbliższego legionistę, naparł na niego tarczą, zaatakował z wściekłością i obalił na plecy. Przygniótłszy go do ziemi kopniakiem w hełm, zatopił swój gladius w jego ustach z taką siłą, że miecz przeszył na wylot kark. Wyjął ostrze, które pociągnęło za sobą wnętrzności, i instynktownie wykonał poprzeczne cięcie, które odstraszyło kolejnego napastnika. Już miał odpowiedzieć na jego atak, gdy ujrzał, jak tamten pada na ziemię z bokiem przebitym gladiusem należącym do legionisty z jednostki Rufusa. Następnie kilka kroków dalej, w głębi, zauważył Gajusza Chereę: zagrzewał do walki swoich ludzi i wymierzał kolejne ciosy, odcinając kończyny i rozłupując czaszki. Rufus machnął na centuriona, a kiedy ten spojrzał w jego stronę, wskazał miejsce przed sobą i zatoczył koło

ramieniem. Cherea pokiwał głową, wezwał do siebie trzech ludzi i razem z nimi zaczął napierać tarczami, zmuszając stojących przed nim przeciwników do cofnięcia się o parę kroków.

Rufus także ruszył do przodu, ale okrężną drogą, aby zachować bezpieczną odległość, następnie niespodziewanie skręcił w stronę bocznego sektora oddziału i zatopił mieczw plecach jednego z żołnierzy, którego Cherea spychał do tyłu. Wyjąwszy ostrze, zanurzył je w ciele kolejnego walczącego. Wtedy dostrzegł go trzeci i odwrócił się, by odeprzeć atak zagrażający mu od tyłu, ale w tej samej chwili został przebity mieczem Gajusza.

Rufus i centurion uśmiechnęli się do siebie z zadowoleniem, po czym Cherea zaczął wymachiwać gladiusem na wszystkie strony. Trybun wziął głęboki oddech i rozejrzał się dookoła, korzystając z okazji, by sprawdzić, w jaki sposób radzą sobie rekruci z przyległego legionu. Zgodnie z przewidywaniami wycofywali się pod naporem ludzi Antoniusza, o wiele bardziej doświadczonych i zdeterminowanych, choć było to tylko kilka kohort przeciw całemu legionowi pod dowództwem Hircjusza. Nikt nie uciekał, nikt nie rozrywał szyków, tylko stopniowo ustępowali pola, tak że Rufus znajdował się już na wysokości nie pierwszej linii rekrutów, ale pierwszych szeregów przeciwnika.

A jednak kilka grup walczyło zacięcie i front nie był już jednolity: w niektórych miejscach pierwsza linia była mocno cofnięta, w innych – leje i kieszenie przenikały praktycznie między formacje wroga. Jeżeli pozostali żołnierze nie przestaliby ustępować, odcięliby tych parę wysuniętych do przodu formacji, doprowadzając do ich odizolowania i otoczenia przez wroga. Bohaterskie zastępy rekrutów nie zdecydowały się przystąpić do odwrotu, być może licząc, że ich przykład podziała mobilizująco na kompanów, którzy zamiast się wycofywać, spróbują do nich dołączyć.

Szczególnie jedna grupka legionistów Hircjusza zaciekle broniła swoich pozycji na skrajnym skrzydle i teraz już z trzech stron otoczona była tylko przeciwnikami. Rufusa naszła ochota, by dołączyć do nich, ale nie mógł zostawić swojej jednostki; żołnierze czekali przecież na jego rozkazy. Był jednak urzeczony determinacją, z jaką walczył mężczyzna, który wysunął się najdalej ze wszystkich. Nie bił się jak rekrut, wręcz przeciwnie. Wyglądał jak ogarnięty szaleńcem, lecz w pełni kontrolował swoje ruchy, a poruszał się tak szybko, jakby miał oczy dookoła głowy, ponieważ za każdym razem, gdy

wróg czyhał na niego z tyłu, w porę się odwracał. Jego sposób poruszania się wydawał się dziwnie znajomy. Rufus zaczął dokładniej mu się przyglądać, usiłując dostrzec twarz widoczną spod hełmu; znał przecież wielu legionistów i może miał już z nim do czynienia.

Rozpoznał go, ale nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Poczuł, jak jego wnętrze wypełnia stłumiony krzyk. Wtedy uzmysłowił sobie, że stanął plecami do starcia, w którym dotąd uczestniczył. Odwrócił się i dostrzegł zgiętego w pół, klęczącego przed nim żołnierza – jego wzrok był zgaszony, a w plecach tkwił gladius. *Gladius Gajusza Cherei*.

— Co ty robisz? Podziwiasz krajobrazy? — zapytał centurion, który właśnie uratował mu życie.

Nie odpowiedział. Odwrócił się z ręką wyciągniętą przed siebie i wskazał miejsce, które obserwował chwilę wcześniej. Ale teraz byli tam już sami antoniuszowcy.

— O co chodzi?

— Właśnie widziałem tam Agrypę... — odparł zdezorientowany Rufus.

Agrypa odparł kolejne cięcie przeciwnika i, zgodnie ze swoim zwyczajem, uderzył z kontrą. Cios jak zwykle był celny: żołnierz spojrział z niedowierzaniem na swoją bezwładną rękę – wyglądała, jakby lada moment miała się oderwać od ciała. Gdy runął na kolana z przerażającym krzykiem, Agrypa dobił go poprzecznym cięciem, ucinając mu ramię przy szyi.

Kolejny legionista zawahał się chwilę, zanim rzucił się na chłopaka. Widok poszatkowanego kompana podziałał na niego odstrasżająco. Agrypa wykorzystał to wahanie. Przeskakując przez ciało pierwszej ofiary napał na przeciwnika, odpychając tarczą kolejnego. Trzy uderzenia i drewno pękło, rozbijając się na czwartym legioniście. Prawdopodobnie musiało być osłabione ciosami poprzedniej walki. Żołnierz odrzucił roztrzaskaną tarczę, bezskutecznie usiłując trafić Agrypę. Dobywszy zza pasa *pugionem*²⁴ i zapasowy sztylet, stanął przed swoim przeciwnikiem uzbrojony w dwa ostrza. Zwlekał jednak z atakiem, ponieważ nie miał tarczy, którą mógłby się osłaniać.

Agrypa bez zbędnej zwłoki ruszył na wroga. Ten instynktownie wysunął do przodu lewe ramię, by się chronić, rozpruwając jednocześnie sztyletem tarczę chłopaka. Kiedy Agrypa potrząsnął lewą ręką, przeciwnik wciąż

uczepiony swojego sztyletu zachwiał się. Chłopak wykorzystał to: cisnął wrogiem z całej siły w bok i wyrzucił go na ziemię, po czym błyskawicznie przygniótł nogą jego brzuch, by szybkim ruchem wbić gladius w klatkę piersiową antoniuszowca. Następnie wyjął ostrze z drżącego jeszcze ciała i rozejrzał się dookoła. Znajdował się w samym sercu starcia, usiłując za wszelką cenę powstrzymać przed odwrotem rekrutów, z którymi walczył w jednym szeregu. Hircjusz, pełniący dowództwo nad legionem, nie mógł nic zrobić: jego żołnierze się wycofywali. Na szczęście byli ludzie tacy jak Agrypa – nieustępliwi, wiodący do boju grupy oporu; dzięki nim można było wciąż żywić nadzieję, że Oktawian dotrze do nich i zaatakuje nieprzyjaciół z tylnych pozycji.

Przynajmniej w ten sposób Mecenias przedstawiał sytuację Agrypie w czasie spotkania, które odbyli minionego wieczoru. Hircjusz był zbyt dużym optymistą, sądząc, że jego jednostki będą pełniły funkcję kowadła, o które rozbijają się ludzie Antoniusza, a posiłki Oktawiana zadziałają jak młot, który spadnie na nieprzyjaciół od tyłu. Teoretycznie plan był bardzo dobry, ale prawdopodobnie tylko Martia Victrix zdołałaby go zrealizować, natomiast rozbicie walczącego obok legionu rekrutów i tak doprowadziłoby do fiaska.

Hircjusz i Oktawian nie wiedzieli jednak, że wśród ich rekrutów znajduje się ktoś wyjątkowy, kto działa i walczy niczym weteran i nie pozwala, by na widok przewagi liczebnej antoniuszowców ogarnęła go trwoga. Agrypa omal się nie roześmiał: Oktawian właśnie miał dokonać okrążenia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy... Współpracowali bez jego wiedzy! Mecenias z pewnością był rozbawiony tą sytuacją. Może bawiłaby ona również Agrypę, gdyby nie musiał teraz ratować własnej skóry. Oddział Hircjusza został już niemal rozgromiony i dookoła panowało kompletne zamieszanie. Żaden żołnierz nie wiedział już, czy ma obok siebie kompana, czy nieprzyjaciela, a każde cięcie zadawało komuś obrażenia, choć niekoniecznie przeciwnikowi. Legioniści upadali i podnosili się oblepieni błotem. W powietrzu latały grudy mokrej ziemi. Nie dawało się już rozróżnić insygniów na tarczach; nie było wiadomo, kto jest przyjacielem, kto wrogiem. Wszyscy przypominali glinianych gigantów, członków jednej wielkiej armii cieni. Ale wojska Hircjusza nie poddawały się i tylko to się liczyło.

Agrypa zaś wciąż żył. Jeśli tylko uda się mu ująć cało, może będzie mógł

dopomóc w realizacji planu Mecenasa i, kto wie, uzyskać przebaczenie Oktawiana... Tylko na tym mu obecnie zależało. Oczywiście oprócz przebaczenia Etain. Ale to była zupełnie inna sprawa. Obiecał sobie, że jeśli przeżyje, postara się zająć także i tym.

Jego gladius zatapiał się w sylwetkach, które coraz trudniej było rozróżnić – czy to z powodu pokrywającego je błota, czy jego zmęczenia i utraty tchu, przez które kontury ulegały zamazaniu. Musiał się poruszać po przestrzeni mocno ograniczonej ciałami żywych i martwych, które tłoczyły się, nie mając nawet skrawka wolnej ziemi, by na nią upaść. Często wystarczyło po prostu popchnąć, doprowadzić przeciwnika do utraty równowagi, by wpadł na człowieka stojącego za jego plecami, a gdy nie mógł już wykonać żadnego ruchu, jedynie zatopić w nim ostrze. Agrypie – dzięki jego masywnej budowie – zawsze się to udawało. Tylko kolos mógłby go powalić, lecz nikt taki jeszcze nie stanął na jego drodze.

Nagle poczuł na twarzy silne uderzenie łokciem, hełm nie zamortyzował ciosu. Najprawdopodobniej zrobił to jeden z jego kompanów, biorąc zamach przed kolejnym pchnięciem nieprzyjaciela, który na niego napierał. Hełmy legionistów nie były wyposażone w osłonę nosa, a łokieć trafił Agrypę między górną wargą a nozdrzami. Silny strumień krwi zalał mu całą twarz. Chłopak poczuł przeszywający ból między oczami. Nagle wszystko przed nim zabarwiło się na czerwono, a postaci stały się jeszcze bardziej niewyraźne. Próbował się wytrzeć, ale bez skutku. Wtem przed sobą zauważył jakąś sylwetkę. Miał wrażenie, że na wysokości talii błysnęło ostrze skierowane w jego stronę. Instynktownie, zamiast odpierać cios tarczą, wyciągnął prawą rękę i skrzyżował swój gladius z mieczem przeciwnika. Wśród bitewnej kakofonii rozbrzmiał zgrzyt ścierającego się metalu. Niestety, Agrypa zbyt późno zdecydował się wykonać cios. Siła uderzenia nieprzyjaciela wytrąciła mu broń z dłoni.

Przeczuwał, że koniec jest blisko. Wspólne manewry z Oktawianem, pojednanie z najdroższym przyjacielem, dojście do władzy, oswobodzenie Rzymu, druga szansa z Etain – wszystkie jego plany rozsypywały się jak zamki z piasku... Nieprzyjaciel odsłonił w szerokim uśmiechu białe zęby, które błyszczały w zabłoconej twarzy. Uczynił krok w przód i uniósł w górę gladius, by zadać śmiertelny cios.

I wtedy na Agrypę runęło nie ostrze, lecz przeciwnik. Ktoś pchnął go z tyłu i żołnierz stracił równowagę, lądując twarzą w ziemi. Chłopak szybko

zareagował: wbił wrogowi łokieć w plecy, by zablokować jego ruchy. Nie mógł go jednak zabić. Poczł na sobie nogi antoniuszowców – wszyscy zaczęli biec w jednym kierunku.

Okrzyki zagrzewające do walki oraz jęki umierających nieustannie rozbrzmiewające dookoła zostały nagle przerwane wołaniem:

— Nadchodzi kolejny nieprzyjacielski legion!

— Jest ich wielu! Może nawet dwa legiony!

— Chćą nas zająć od tyłu! Zawracajcie! Walczcie! Nie wolno wam uciekać!

Nadchodził młot, a Agrypa wciąż był gotowy pełnić rolę kowadła. Manewr przyniósł pożądany efekt.

A więc to tak! Agrypa wciąż był z nimi, na polu walki. „Co więcej: żywy!” — powiedział do siebie Gajusz Cherea, przyglądając się widowisku. Obserwował, jak przeciwnicy legionu Martia Victrix uciekają na oślep, usiłując wydostać się z kleszczy. Czuł, że musiał w tym maczać palce Mecenas, podobnie jak w Brundyzjum. Kto wie, co szykuje tym razem! Z pewnością coś, co przekona Oktawiana o konieczności pojednania się z dawnym przyjacielem. W odróżnieniu od Rufusa, który zawsze zdawał się przejawiać pewną zazdrość o Agrypę i być może ucieszył się, gdy doszło do konfliktu przyjaciół, Etrusk dokładał wszelkich starań, by pojednać starych druhów, nie zważając na to, że powrót Agrypy mógłby zaszkodzić jego pozycji w sekcie.

Gajusz usłyszał Hircjusza zagrzewającego żołnierzy do kontrataku. Ale legioniści Antoniusza właśnie usiłowali wycofać się z pola i przejść do odwrotu, zanim ludzie Oktawiana otoczą ich, zmuszając do walki z Martia Victrice. Rufus krzyknął do Cherei, by nacierał. Ten szybko zrozumiał, że należy biec, by nie stracić kontaktu z nieprzyjacielem, który szykował się do ucieczki. Zgodnie z głównym rozkazem mieli zdobyć obóz Antoniusza. Każdy inny wynik tej bitwy uczyniłby ją tylko przejściowym starciem, nawet gdyby po stronie wroga doszło do ogromnych strat. Mutina mogła się poddać w każdej chwili i jeśli byłemu konsulowi uda się ją zdobyć, porażka na otwartym polu, bez względu na jej rozmiar, nie będzie miała znaczenia.

Centurion wezwał swoich ludzi, by razem z nim rzucili się w pogoń za antoniuszowcami, którzy wycofywali się, próbując utrzymać zwarty szyk. Czekał, aż zgromadzi się wokół niego przynajmniej pół centurii, po czym rzucił się w stronę jednostki, która wycofywała się wolniej niż pozostałe.

Starał się doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji. Nieprzyjaciele dobrowolnie ustępowali, walczyli tylko wtedy, gdy musieli się bronić, a większość ciosów atakujących legionistów i tak trafiała w tarcze. Gajusz na próżno rozdawał cięcia na prawo i lewo i zagrzewał swoich ludzi do boju. Wysiłek, jaki w to wkładał, nijak się miał do miernych rezultatów: jedynie od czasu do czasu udawało im się uśmiercić jakiegoś pojedynczego żołnierza po stronie nieprzyjaciela. Także dlatego że pozostałe centurie niespecjalnie ich wspierały. Wszyscy walczyli z umiarkowanym zapałem. Wyraźnie dawało się zauważyć, iż bitwa przeszła w przejściową fazę wyczekiwania. Hircjusz widząc, że antoniuszowcy są już zdecydowani wycofać się w stronę własnego obozu, poprzestawał na pogoni za nimi, nie tracąc energii żołnierzy na zasadzki, ponieważ przy wałach nieprzyjacielskiego obozu mieli stoczyć decydującą bitwę. Antoniusz również liczył na to, że jego żołnierze dadzą sobie wszystko właśnie pod wałami, gdzie będą mogli liczyć na wsparcie w postaci machin miotających oraz oddziałów, które pozostały w obozie. Tak więc obie strony szykowały się do ostatecznego starcia.

Gajusz pozwolił sobie na chwilę odprężenia i jego myśli pobiegły ku domowi. Ku jego synowi i kobiecie, którą zostawił w pośpiechu, nie mogąc jej nawet pożegnać tak, jak by tego chciał: kochając się z nią namiętnie, jak zwykł robić przed każdą wyprawą wojenną. Nie miał także czasu, by pobawić się spokojnie z Markiem. Nagle obraz domu przysłoniło mimowolne wspomnienie Oktawii. Ogarnęło go zmieszanie. Coś się stało, odkąd znowu zaczęli się widywać. Onanie była już kruchą dziewczynką oczarowaną jego siłą, lecz wpływową kobietą; miała wysoko postawionego męża, córeczkę, brata, który zaraził Gajusza swoimi ideałami, a jednak... a jednak wyglądało na to, że Cherea wciąż ją pociąga. Pomimo tego, co zrobił.

Ona też go pociągała. Bardziej niż wtedy, kiedy spoglądał na świat ze świeżością, czystością, niewinnością i nie potrafił oprzeć się najprostszym impulsom. Ale teraz była Fabia: kobieta, która stała przy nim przez ostatnie lata, oczekując w zamian jedynie miłości. Przyjęła na swoje barki wychowanie Marka, chociaż nie był jej synem, poświęciła się tak bardzo, że dziecko nawet nie podejrzewało, iż nie jest jego matką. Jak sięgał pamięcią, wszystkie najprzyjemniejsze chwile w ciągu ostatnich lat spędził właśnie z nią i nie było niczego, naprawdę niczego, co mógłby jej zarzucić, chcąc usprawiedliwić związek czy choćby przelotną znajomość z inną kobietą. Oktawia nigdy nie należała do niego. Fabia natomiast była z nim i nic nie

dawało podstaw, by sądzić, że nie zostanie z nim na zawsze.

Czy ją kochał? Tak, kochał ją. Czy kochał Oktawię? Trudno mu było odpowiedzieć na to pytanie. Co najmniej część dawnej miłości była tylko złudzeniem. Tym razem potrafił panować nad swoimi odruchami; nie tylko dlatego że Oktawian by mu tego nie wybaczył, gdyby przypadkiem dowiedział się o wszystkim. Po prostu był zadowolony z tego, co ma, i żadna zmiana w życiu osobistym nie uczyniłaby go szczęśliwszym, bez względu na to, co by się wydarzyło.

Ciąg myśli doprowadził go do obecnej sytuacji. Uświadomił sobie, że wszystkie te rozważania i tak nie będą miały sensu, jeśli polegnie; a nadchodzące wydarzenia pozwalały się spodziewać najgorszego. Właśnie spoglądał na obóz nieprzyjaciela. Przed fortyfikacjami ciągnął się nieprzerwany sznur dział. Drugi, tak samo gęsty, znajdował się po drugiej stronie wałów. W innej sytuacji umocnienia te byłyby barierą nie do pokonania, lecz teraz antoniuszowcy uciekali przed pościgiem republikanów i beładnie wdzierali się do obozu. Nie mieli czasu ani możliwości, by uformować szyk. Czując na plecach oddech nieprzyjaciela, wpadali na swoich kompanów i rozrywali szeregi.

„Antoniusz pomylił się w swoich obliczeniach” — pomyślał Cherea i uśmiechnął się z satysfakcją. Chciał rozegrać bitwę na wygodnym terenie, z zabezpieczeniem na tyłach, tymczasem musiał opanować armię, która nie była nawet w stanie uformować szyku bojowego. Nie mógł zrezygnować z walki, otworzyć bram, wpuścić swoich ludzi i zabarykadować się za wałami. Doskonale zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że razem z jego żołnierzami wtargnęliby również legioniści przeciwnika.

Gajusz marzył o tym, by Hircjusz jak najprędzej wydał komendę do ataku. Należało niezwłocznie korzystać z zamieszania, jakie panowało wśród oddziałów nieprzyjaciela. Nie mieli na co czekać. Na dźwięk trąb legioniści przygotowali się do uderzenia na mrowie żołnierzy gromadzących się wzdłuż wałów. Na znak wszystkie centurie i manipuły ruszyły nieprzerwaną linią, gotując się do uderzenia na kierunkach zbieżnych, z trzech stron obozu, niczym gigantyczne szpony orła, który zamierza pochwycić swoją ofiarę.

Tym razem nie rzucono oszczepów. Wszystkie zostały zużyte w poprzednim starciu. W ruch poszły gladiusy. Gajusz, ściskając miecz, krzyknął do swoich ludzi, by przyspieszyli, i rzucił się w stronę legionistów nieprzyjaciela. W mgnieniu oka pokonał dzielącą ich odległość i uderzył

w zdezorientowane linie dokładnie w tym samym momencie, w którym dopadły do nich tysiące jego kompanów.

Odzyskał siły w czasie dość niemrawej poprzedniej fazy walki, więc teraz z zapalem rozdawał ciosy. Żołnierze wroga byli tak bardzo ściśnięci między wałami a atakującymi ludźmi Oktawiana, że nie mogli nawet operować gladiusami i tarczami. Walka z nimi przypominała mierzenie do nieruchomego celu, do kukły szkoleniowej, która po prostu przyjmowała kolejne uderzenia. Co chwilę jeden z tych celów znikał, trafiony, okaleczony, rozłupany bądź zmiażdżony przez Chereę, by w końcu, leżąc już na ziemi, zostać zdeptanym przez towarzyszy.

Cherea miał wrażenie, że zawładnęło nim coś w rodzaju wszechmocnego szalu. Z całym morzem bezradnych żołnierzy przed sobą czuł się niepokonany i był pewny, że jego koledzy doświadczają tego samego. Wydawało się, że jego siła uległa dziesięciokrotnemu spotęgowaniu i nieprzerwanie wymierzał kolejne ciosy, pchnięcia na przemian z cięciami, ani trochę się nie męcząc. Po jakimś czasie – nie potrafił określić jak długim – spostrzegł, że jego miecz najczęściej przecina pustkę. Próbował się otrząsnąć. Otarł z oczu krople potu i wyostrzył wzrok. Dopiero wtedy dostrzegł, że wojska nieprzyjaciela uciekają. A to oznaczało tylko jedno: Antoniusz otworzył bramy.

XIX

Zdaje się, że konsul Dolabella odszedł, gubernatorze.— W głosie Ortwiną pobrzmiwała taka sama gburowatość, z jaką Treboniusz zadał mu wcześniej pytanie.

Urzędnik od razu zwrócił uwagę na nieodpowiedni ton Germanina i przeszył go wzrokiem.

— *Zdaje ci się?* Co to ma znaczyć? Jak myślisz, dlaczego miałeś mu deptać po piętach? Jechałeś za nimi czy nie? Moi urzędnicy naprawdę nie mogli wybrać do tej roboty kogoś innego?

Ortwin jeszcze przez moment rozkoszował się jego nieświadomością. Dawno temu kilkakrotnie się spotkali; Treboniusz powinien raczej pamiętać człowieka, który nie był zwykłym żołnierzem pomocniczym, lecz komendantem straży przybocznych Cezara, choć wtedy miał jeszcze oboje oczu. Germanin wolał poczekać, aż zostanie rozpoznany, i dopiero wtedy wykonać swoją powinność – wiedział, że dostarczy mu to ogromnej przyjemności.

Dał Treboniuszowi jeszcze parę chwil, chociaż nie miał zbyt dużo czasu do dyspozycji. Postanowił jednak się do niego zbliżyć, by na wszelki wypadek mieć go na wyciągnięcie noża.

— Panie, wszak nie mogłem podążać za nim aż do Syrii, by upewnić się, że nie wróci. Pomyślałem, że z pewnością nie możesz się doczekać wieści, czy opuścił już kraj, czy jeszcze nie — odpowiedział, celowo płacząc się w słowach.

— Słyszycie tego durnia? Każę cię wychłostać za zuchwalstwo. A za jawną nieudolność i... zaczekaj chwilę... Czeka, przecież ja ciebie znam. Ty jesteś... — Nie zdążył dokończyć zdania, ponieważ Ortwin kocim ruchem dobył sztyletu z pochwy i rzucił się na gubernatora. Zacisnąwszy potężne ramię wokół jego szyi, położył mu dłoń na ustach.

— Tak, to ja, Ortwin, byłem dowódcą germańskich straży przybocznych służących u człowieka, którego zdradziłeś. Oktawian przesyła ci pozdrowienia — szepnął mu do ucha, po czym zastąpił swoje ramię ostrzem, przesuwając je szybkim, precyzyjnym ruchem po krtani.

Łoże pokryło się szkarłatem krwi. Treboniusz miotał się, bulgocząc,

szukając bezskutecznie czegoś, czego mógłby się uchwycić. Chciał wzywać pomocy, ale z jego ust wydobyło się jeszcze tylko kilka żałosnych, niewyraźnych dźwięków, po czym runął martwy na ziemię. Marmurowa posadzka zabarwiła się na czerwono.

Przez chwilę Ortwin przyglądał się zwłokom z pogardą. Mówiono mu, że Treboniusza nie było wśród tych, którzy zasztyletowali Cezara. Prawdopodobnie starał się wtedy zatrzymać pod jakimś pozorem Antoniusza, aby ten nie zjawiał się przypadkiem w Teatrze Pompejusza. Ponoć prowadził uprzejmą rozmowę z konsulem, gdy pozostali spiskowcy dokonywali mordy, lecz mimo to zasługiwała taki koniec, ponieważ był jednym z cesarobójców, obok Decymusa Brutusa i Marka Brutusa, najhojniej obdarowanych przez dyktatora. To pierwszy morderca wodza, którego dosięgła śmierć. Ortwin był dumny, że kara została wymierzona jego ręką.

Teraz zostało mu do wykonania jeszcze jedno niewdzięczne zadanie. Choć nie, odczuwałby wstręt, gdyby chodziło o kogoś innego. „Ponieważ to Treboniusz, nie będę kapryśny” — powiedział do siebie.

Rozejrzał się dookoła i dostrzegł togę cesarobójcy przewieszoną przez oparcie krzesła. Wziął ją, by osłonić swoje ubranie. Następnie przyklękawszy przy trupie, zaczął cierpliwie rozcinać jego szyję, pogłębiając ranę zadaną w momencie wykonania śmiertelnego ciosu. Jeśli napotykał na kości, kruszył je, dociskając mocniej ostrze. Kiedy skończył, zdjął zakrwawioną togę, podniósł głowę za włosy i zawinął w sukno. Następnie wyjął zza pazuchy sakwę, którą wziął ze sobą w tym celu, i schował do niej trofeum, po czym szybkim krokiem opuścił pomieszczenie. U drzwi czekali na niego jego ludzie. W odpowiedzi na zaciekawione spojrzenia dał im znak, że udało mu się wykonać zadanie.

— Prokonsul poszedł spać i nie chce, by mu przeszkadzano — powiedział niewolnikowi, który wcześniej zaprowadził go do kubikulum. Następnie skierował się do wyjścia, a za nim jego ludzie.

Nie był to jeszcze koniec misji. Teraz należało wykonać trzecią część planu, która niestety wymagała pomocy tego durnia, Dolabelli. Dlatego też ten etap był najtrudniejszy.

Ortwin podązał korytarzami pałacu, zachowując się, jak gdyby nic się nie stało. Zszedł po schodach i dotarł do przedsionka. Nie zwracał uwagi na mijanych po drodze pojedynczych ludzi ze służby i strażników. Na szczęście ponure twarze jego kompanów odstręczały każdego, kto miałby ochotę się do

nich odezwać. Wkrótce znalazł się u wejścia na dziedziniec, gdzie spotkał wartowników, z którymi zamienił dwa słowa po swoim przybyciu. Zaczynało świtać. Dolabella prawdopodobnie był już gotowy.

— I jak? Opłacało się obudzić prokonsula? — zapytał z zaciekawionym legionista.

Ortwin minął go, pozdrawiając szybkim gestem. Miał nadzieję, że wartownik nie będzie go zaczepiał. Powinien był coś odpowiedzieć, ale zrobił to, dopiero gdy on i jego ludzie dosiadali koni.

— Raczej tak. Przyniosłem mu pokrzepiające wieści, dlatego w końcu mógł zapaść w sen — odrzekł.

Weteran podszedł do niego i stanął dokładnie przed chrapami konia, którego dosiadał Ortwin. Przyglądał się Germaninowi z zaciekawieniem i podejrzliwością.

— Nie musimy się już więc obawiać oblężenia? — dopytywał, a Ortwin odniósł wrażenie, że robi to nie z ciekawości, lecz po to, by ich zatrzymać.

— Już nie. Uzurpator się rozplątał.

Zawrócił konia i spiął go ostrogami, ale wartownik sprawnie chwycił lejce.

— Twoja torba. Coś z niej kapie. Nie miałeś jej, kiedy wchodziłeś. Prokonsul dał ci coś w nagrodę?

— Tak, to moja zapłata.

Strażnik nie puszczał uzdy.

— Mówiłem, że coś z niej kapie.

— Ach tak? Nie zauważyłem.

Legionista zgarnął palcem wskazującym kroplę zbierającą się na skórze sakwy i podniósł ją do ust.

— To krew!

— Na Wotana! Musiałem się zranić, gdy byłem na zwiadach... — próbował tłumaczyć się Ortwin, udając, że z przejęciem ogląda swój tułów i nogi, jednak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nikt mu nie uwierzy. Musiał zyskać na czasie. Jego ludzie stali przy nim, gotowi w każdej chwili dać sygnał swoim wierzchowcom.

— Pokaż mi, co jest w twojej sakwie, jednooki barbarzyńco — rozkazał żołnierz i robiąc krok w tył, dobył gladiusa, a następnie przystawił jego ostrze do piersi Germanina.

Dalsze udawanie nie miało sensu. Lada moment, jeśli Dolabella nie przyjdzie na czas z atakiem, mógł się tam pojawić cały garnizon Smyrny.

A co jeśli generałowi nie uda się uporać z jego częścią planu?

Ortwin, tknięty nagłym impulsem, chwycił sakwę i rzucił ją w kierunku swego kompana stojącego najdalej od wartowników, wołając:

— Weź ze sobą dwóch ludzi i pędźcie w stronę bramy. Zróbcie to, co ustaliliśmy, i pokażcie ją żołnierzom!

Zastęp barbarzyńców błyskawicznie podzielił się na dwie grupy. Trzech pognało w kierunku miejskich murów, a Ortwin i pozostali chwyciwszy miecze, rzucili się na wartowników. Legionista miał przewagę i pierwszy zadał cios, ale gdy Germanin poderwał konia, szpic miecza skierowany w jego udo wbił się w siodło. Tymczasem jego podkomendni spuścili ostrza mieczy na plecy drugiego strażnika. Pozbywszy się wartowników, Ortwin mógłby swobodnie się oddalić, gdyby nie to, że szarpanina zwróciła uwagę kolejnych żołnierzy znajdujących się nieopodal. Czterech skierowało się na dziedziniec, trzymając miecze w pogotowiu. Stopniowo przyspieszali kroku, ponieważ zaczynało do nich docierać, co się wydarzyło przy wejściu. Pierwsze blade światło poranka pozwalało już dojrzeć szczegóły tego, co wcześniej było tylko zwykłym konturem.

Ortwin był wściekły. Nie mógł teraz uciekać. Podniesiono by alarm i obrońcy stojący na wałach wzmogliby czujność, co z kolei uniemożliwiłoby jego trzem kompanom otworzenie bramy. Skierował się ku nieprzyjaciołom, a za nim jego ludzie, lecz legionistów było już sześciu i nagle Germanie znaleźli się w okrążeniu. Wymachiwali mieczami na obie strony. Ortwin zadał powierzchowną ranę jednemu z żołnierzy, ale jednocześnie poczuł ukłucie w nogę. Obok usłyszał dziki krzyk. Nie miał czasu, by się odwrócić, lecz domyślał się, że właśnie stracił jednego ze swych ludzi. Udało mu się trafić kolejnego wroga, który padł na ziemię, jednak zaraz potem ktoś okulił jego konia – wierzchowiec runął w dół, wyrzucając Ortwiną z siodła, ale w taki sposób, że noga jeźdźca utknęła unieruchomiona pod ciałem zwierzęcia. I właśnie wtedy jakiś władczy głos rozkazał żołnierzom przerwać walkę. Germanin zauważył co najmniej czterech ludzi stojących przed nim na wyciągnięcie ręki.

— Posłałem człowieka do prywatnej rezydencji prokonsula, barbarzyńco. Jeśli cokolwiek mu się stało, zginiesz marnie.

Ortwin uniósł głowę i zobaczył, że mówi do niego centurion, najwidoczniej dowódca straży w pałacu gubernatora. Zaczął szukać wzrokiem swoich towarzyszy. Obaj leżeli nieruchomo cali pokryci kurzem.

Jego już i tak skromny zastęp stracił kolejnych żołnierzy i możliwe, że wkrótce także trzeci z nich będzie musiał stanąć przed obliczem Wotana. A może nawet wszystkich sześciu, jeśli Dolabella nie zjawi się na czas.

Przerażony niewolnik przybył, by powiadomić, że znaleziono okaleczone zwłoki Treboniusza. Szmer zaskoczenia przetoczył się przez szeregi służby stojącej na dziedzińcu. Tymczasem z pałacu zaczęły dobiegać krzyki rozpacz.

— Coś mi się zdaje, że koniec z tobą, przyjacielu. Ale najpierw musisz mi powiedzieć, dla kogo pracujesz — powiedział centurion, przyklękając przy Germaninie.

— Dla Dolabelli, przecież to oczywiste — odparł Ortwin zdecydowanym tonem. — Stoi pod murami gotowy, by wejść do miasta. Możesz być pewny, że gdy tylko ludzie na wałach zobaczą głowę Treboniusza, nie będą stawiać oporu i chętnie otworzą bramy. Ty także... Po co walczyć dla kogoś, kogo już nie ma? Ledwo go znałeś. Zaniechaj tego, a włos z głowy ci nie spadnie. Prokonsul potrzebuje dzielnych ludzi, by móc dochodzić swych praw w Syrii.

Centurion parsknął śmiechem. Pomijając wszystko inne, z pewnością oznaczało to, że nie zasmuciła go wiadomość o śmierci Treboniusza. A także, że łatwo można go będzie przekupić. Każdy ma swoją cenę.

— Z tego, co mi wiadomo, senat tak naprawdę uznał Dolabellę za uzurpatora i wroga państwa.

— Uważaj, co mówisz, centurionie — ostrzegł go Ortwin. — Ostatnimi czasy sytuacja w Rzymie potrafi się zmienić w mgnieniu oka: wczoraj Dolabella był oficjalnym prokonsulem Syrii, dzisiaj nim nie jest, lecz jutro, szczególnie jeśli tu uda się mu zwyciężyć, może na nowo objąć to stanowisko. Na granicy z Galią trwa wojna domowa, nie wiesz o tym? Wygrany, kimkolwiek będzie, narzuci senatowi własną wolę. I będzie potrafił wynagrodzić tych, którzy wcześniej go poparli...

Taka argumentacja zdawała się przemawiać do centuriona, ale wciąż nie był przekonany.

— Nie słyszę, żeby oddziały wkraczały do miasta. Coś mi się zdaje, że opowiedziałeś mi stek bzdur. — Przystawił mu gladius do szyi.

Przeklęty Dolabella! Co z tym sygnałem? Bez niego trzej ludzie Ortwinia nie mogli działać.

— Poczekaj, przekonasz się. — Nie wiedział, co lepszego mógłby

odpowiedzieć w tej sytuacji.

— Nie należę do zbyt cierpliwych ludzi, barbarzyńco. Ani do zbyt ufnych. Zresztą ty wcale nie wzbudzasz zaufania. Wszak pozbawiłeś nas źródła dochodu. Treboniusz był szczodry i hojnie nas obdarowywał za pośrednictwem swych przyjaciół, Brutusa i Kasjusza. Właściwie to wystarczający powód, by cię zabić...

— Dolabella będzie hojniejszy. Ma za sobą jeszcze potężniejszych przyjaciół, jak choćby syn Cezara.

— Ten chorowity chłopczyk? Ha! Treboniusz zawsze wyrażał się o nim z pogardą. Doprawdy nie wiem, czym miałyby przebić konkurencję. Starczy już. Giń, suczy synu!

Ortwin zdążył jedynie pomyśleć, że nie zobaczy więcej Veledy. Podniósł głowę i utkwiał wzrok w oficerze, który gotował się do wykonania cięcia.

— Płonący grot na niebie! Zaatakowano nas! — krzyknął jeden z żołnierzy.

Dolabella dotarł. Nareszcie!

Mecenas zatrzymał Oktawiana, chwytając go za ramię. Chłopak zamierzał rzucić się w kłębowisko dwóch legionów w obozie Antoniusza. U bram nikt już nie stał, obrońcy na wałach byli osaczeni przez wojska nacierające od frontu i od tyłu. Bitwa przeniosła się w obręb fortyfikacji.

— Dokładnie to przemyślałem — odezwał się Etrusk. — Możesz wejść dopiero wtedy, gdy sytuacja będzie pod kontrolą. To nierozsądne, by dowódca rzucał się w wir walki.

— Co takiego?! Powiedziałbym raczej, że to nierozsądne, by dowódca nie prowadził swoich żołnierzy! — krzyknął urażony Oktawian. — Chcesz, żeby legioniści myśleli, że mają za wodza tchórza? — Ponownie spiął konia ostrogami, lecz przyjaciel chwycił lejce.

— Nie tchórza, lecz mądrego stratega — uściślił Mecenas. — Bywa, że bitwy, które teoretycznie już są wygrane, kończą się klęską, ponieważ ginie w nich dowódca. Jego śmierć może odebrać wiarę żołnierzom, którzy bez wodzasa zagubieni niczym dziecko we mgle. Tracą człowieka, dlakórego warto byłoby zginąć. Poza tym w zamęcie bitwy nie masz możliwości podejmowania decyzji, śledzenia przebiegu walki i przystępowania do kontr. Możesz przegrać choćby z tego powodu, że nie przesunąłeś oddziałów

w zagrożony sektor, ponieważ nie wiedziałeś, że istnieje taka potrzeba. Nie.Prawdziwy główny dowodzący powinien śledzić starcie z uprzywilejowanej pozycji.

— Aleksander Wielki...

— Aleksander Wielki zginął, mając trzydzieści lat. Chcesz skończyć tak samo? Nie miałeś przypadkiem paru rzeczy do załatwienia przed śmiercią?

Oktawian zamilkł. Spojrzał na oblegane wały i na przenikający do obozu strumień walczących.

— Hircjusz wszedł do środka jako jeden z pierwszych...

— Hircjusz z pewnością nie jest dobrym dowódcą. Nieprzypadkowo Cezar nigdy nie powierzył mu pierwszoplanowej roli w działaniach wojennych. Nic się w tej kwestii nie zmieniło. Dobrze wie, że nie poważają go jako generała, toteż rozpaczliwie usiłuje udowodnić innym, że coś potrafi. Nie mógł się doczekać bitwy, bo sądzi, że stanie się wielkim dowódcą, jeśli parę razy zbierze się na odwagę, by rzucić się na oślep w tumult walki. Stanie się tylko łatwym celem, nic więcej nie wskóra. Ale może właśnie na tym mu zależy? Kto wie, może chce zginąć w bitwie? Popatrz na pozostałych podkomendnych: Galba, Aquila... Oni chronią swoją skórę i podążają za żołnierzami, zamiast ich prowadzić.

Oktawian zamilkł i obserwował rozgrywające się przed jego oczami widowisko, w którym splatały się ze sobą krzyki, krew i błysk mieczy. Mecenas wiedział, że młody wódz rozważa słowa, które usłyszał od przyjaciela, starając się do nich przekonać. Nie lubił walczyć. Kondycja również nie pozwalała mu na zbyt długie, intensywne starcia. Jeżeli wychodził do boju, czynił to tylko po to, by utrzymać szacunek i oddanie legionistów, jakim obdarzyli go w chwili, gdy pojawił się na scenie politycznej. Poza tym żołnierze byli warstwą społeczną o największym znaczeniu w drodze na szczyty władzy.

— Powiedzą, że zbyt długo zwlekałem, by rzucić się w wir walki. Antoniusz będzie wniebowzięty. Nie trzeba mu dawać kolejnych powodów...

Wątpliwości te nie były bezpodstawne, ale Mecenas wziął pod uwagę także ten aspekt sprawy.

— Postaramy się, aby wszyscy mówili, iż dokonałeś cudów w czasie walki. Nie martw się, powinieneś już wiedzieć, że za kilka sestercji ludzie, a zwłaszcza żołnierze, są gotowi zrobić każdą rzecz. A to, co będzie mówił nieprzyjaciel, nie ma żadnego znaczenia. W końcu to tylko wróg i oczywiście

jest, że będzie próbował cię oczernić. Jeśli Antoniusz przegra, prędzej czy później będzie musiał zawrzeć porozumienie, tak więc wzmacnianie twojej pozycji w żaden sposób nie jest dla niego opłacalne.

Wyglądało na to, że Oktawian dał się przekonać. Znowu zaczął w milczeniu śledzić przebieg bitwy. Wokół stało kilku ludzi z jego kohorty pretoriańskiej. Mecenas starał się ukryć swoje obawy. Był jeszcze inny powód, dla którego przekonywał przyjaciela, by wkroczył do walki nieco później. W takwielkim zamieszaniu nie udałoby się bowiem zrealizować jego osobistego planu.

Aulus Hircjusz, prześladowany pragnieniem udowodnienia, że jest lepszym dowodzącym, niż powszechnie uważano, rzucił się jak szalony do ataku, ryzykując nie tylko życie, ale i porażkę w bitwie, której zwycięstwo było już niemal przesądzone. Gdyby nie pogał na złamanie karku, by dołączyć do walczących, obie armie stanęłyby do boju w większym porządku i Mecenas nie miałby problemów z odnalezieniem uczestników swojego projektu. Teraz każda rzecz stawała się jeszcze trudniejsza do przewidzenia.

— Zdobywają już obóz. Nie mogę dłużej czekać — wycedził nagle Oktawian. — Do mnie! — krzyknął, przywołując członków kohorty ruchem ręki, i puścił się galopem.

Mecenas nie mógł nie przyznać mu racji. Walki przesunęły się już na obszar zajmowany przez Antoniusza i chociaż obawiał się bitewnego chaosu, bez wahania ruszył za przyjacielem.

Po przekroczeniu *portae praetoriae* ich oczom ukazał się widok zgoła odmienny od tego, czego się spodziewali: myśleli, że zobaczą przetrzebionych antoniuszowców w odwrocie, tymczasem obie armie były tak samo liczne. Republikanie wręcz się wycofywali i niektórzy próbowali umknąć za wały.

Gajusz Cherea wyszedł im naprzeciw.

— Propretorze! Propretorze! — Dyszał ciężko. Na jego ręce zauważyli ranę, na szczęście nie była głęboka. — Konsul poległ, dokładnie w momencie, w którym zamierzał zdobyć szturmem namiot pretoriański Antoniusza. Ludzie rozpierzchli się zaraz potem. Ciało wciąż tam leży i nie jesteśmy w stanie go przenieść!

Mecenas pokręcił głową. Przeszył wzrokiem Oktawiana, który odpowiedział mu spojrzeniem pełnym uznania i szacunku, gdyż właśnie otrzymał potwierdzenie jego dalekowzroczności. To, co miało nastąpić, było

już tak oczywiste, że Etrusk nie ośmielił się niczego sugerować przyjacielowi, bojąc się, że mógłby w ten sposób obrazić jego inteligencję. Przeznaczenie i głupi konsul stworzyli im idealną okazję.

— Gajuszu! Zbierz najdalej wysuniętych żołnierzy i powiedz im, że syn Cezara poprowadzi ich, by odzyskać ciało Hircjusza i dokończyć zdobycie *praetorii*! Biegnij! — krzyknął Oktawian bez namysłu. A więc Mecenas się nie pomylił: tym razem wódz nie potrzebował jego rady, by podjąć właściwą decyzję.

Następnie chłopak uniósł miecz, poderwał konia, który stanął na tylnych nogach, i zakrzyknął, zwracając na siebie uwagę wszystkich znajdujących się dookoła żołnierzy:

— Legioniści *Martiae Victricis*! Wy, którzy porzuciliście Antoniusza, by służyć mnie, synowi Cezara, oraz by uczcić pamięć mojego ojca! Wy, którzy mieliście odwagę sprzeciwić się nadużyciom Antoniusza! Wy, weterani tysiąca bitew! Ruszajcie za mną, by pomścić konsula Aulusa Hircjusza i zmasakrać hańbę, jaką okrył was Antoniusz. Poprowadzę was do wolności i do zwycięstwa!

Żołnierze, do których dotarły te słowa, posłusznie zgromadzili się wokół niego. Pozostali, zamierzający opuścić obóz, zatrzymali się gotowi wypełniać jego rozkazy. Oktawian zawrócił konia, by rozognionym wzrokiem śledzić przebieg działań i przypominać walczącym swoją obecnością, że jest godnym spadkobiercą wielkiego wodza. „Naprawdę, wygląda teraz jak Aleksander Wielki — pomyślał Mecenas — piękny i dostojny, charyzmatyczny i niemal boski, gotowy uczynić wszystko, by podbić cały świat”.

Legioniści musieli myśleć tak samo, gdyż wznosili okrzyki ku czci syna Cezara i w napięciu czekali na sygnał do kontrataku. Oktawian nie zamierzał wypróbować ich cierpliwości; wzniósł kolejny okrzyk zagrzewający do walki i nie oglądając się wstecz, puścił się galopem drogą pretoriańską. Mecenas powiodł za nim wzrokiem, a potem jeszcze przez jakiś czas śledził walki toczące się między namiotami. Cały obóz tonął już w półcieniu zbliżającego się zmierzchu. Wielu żołnierzy, widząc przejeżdżającego Oktawiana, dołączało do podążających za nim ludzi i w ten sposób na środek obozu dotarła mała armia, która wypełniła plac pomiędzy *praetorio* a *principiis*²⁵.

Antoniusza nie było, za to w obozie roило się od jego żołnierzy. Prawdopodobnie były to oddziały, które pozostawił dla osłonięcia własnej

ucieczki. Mecenasa przyglądał się twarzom antoniuszowców. Ci, którzy byli jeszcze przy życiu, a nie zdołali uciec przez *portam decumanam*²⁶, zabarykadowali się na niewielkim obszarze. Teraz naprawdę się bali, ponieważ republikanie, po chwilowym zwątpieniu wskutek utraty wodza, znowu byli pełni nadziei, którą tchnął w nich Oktawian. Młody wódz, nie zwlekając, wydał im komendę do ataku. Nie rzucił się do przodu razem ze wszystkimi. Kierując się rozsądkiem, pozwolił im najpierw przesunąć się na czoło, następnie zsiadł z konia i ruszył w kierunku namiotu, wymachując gladiusem.

Mecenasa nie podążył za nimi, teraz bowiem musiał się zająć realizacją swojego planu. Rozejrzył się dookoła: bitwa koncentrowała się wokół namiotu Antoniusza i nie miał wątpliwości co do tego, że wszyscy wojownicy, którzy mieli wziąć udział w wyreżyserowanym przez niego przedstawieniu, znajdują się właśnie tam, naturalnie pod warunkiem że wciąż pozostają przy życiu. Musiał ich tylko odnaleźć, co nie było aż tak trudne.

Pierwszy z nich odnalazł się sam: Agrypa właśnie zbliżał się do Mecenasa. Był pokryty krwią, ale najwyraźniej nie własną, ponieważ poruszał się bardzo sprawnie. Cóż za wojownik!

Skinęli do siebie, po czym Etrusk zapytał:

— Gdzie jest Poncjusz Aquila?

— Prawdopodobnie tam gdzie jego wódz, Galba. Walczyli przy *Via principali*²⁷.

— Chodźmy! Ale pozostawiaj nieco z tyłu — przykazał mu Mecenasa.

Zsiadł z konia i zaczął maszerować w stronę wskazaną przez przyjaciela. Za namiotem trwała walka. Były tam oddziały wyzynające legionistów, którym odcięto drogę ucieczki, pojedynkujący się żołnierze, silniejsze grupy, które łupiły, paliły lub ścierały się z równie licznymi zastępami wroga; można było w końcu dostrzec i takich, którzy uciekali lub stali nieruchomo, by złapać oddech. Mecenasa dostrzegł Galbę ze sztabem generalnym, a zaraz potem także Poncjusza Aquilę. Pojedynkował się z jakimś centurionem i wyglądało na to, że przegrywa. Nikt nie mógł mu pomóc, ponieważ każdy z jego ludzi był zajęty własną walką. Utworzenie zwartych szyków wśród namiotów okazało się praktycznie niemożliwe.

Nagle Mecenasowi przyszła do głowy pewna myśl. Wskazał Agrypie cesarobójcę i chłopak w mig zrozumiał, o co chodzi. Obaj zbliżyli się do Aquili i z gladiusami w dłoniach otoczyli jego przeciwnika. Na widok

kolejnych nieprzyjaciół w jego oczach pojawiło się przerażenie i tam też zastygło, gdy Agrypa ugodził go mieczem w bok, zatapiając ostrze niemal po rękojeść. Wyciągnął je wraz z wnętrznościami, które wypłynęły u stóp Aquili. Cezarobójca, postawny mężczyzna, niemal tak silnej budowy jak Agrypa, spojrzał na niego ponuro. Grymas ten nie zniknął z jego oblicza, nawet kiedy niebezpieczeństwo minęło.

— Sam też dałbym radę... — szepnął.

— W takim razie uprzejmie dziękuję ci, trybunie, że za twoją zgodą mogłem się na coś przydać.

Spięcie stało się dla Mecenasa doskonałym pretekstem. Lubił zdobywać informacje na temat charakterów swoich nieprzyjaciół, a o Aquili wiedział, że jest wyjątkowo przewrażliwiony i skory do gniewu.

— Nie powiedziałbym, Poncjuszu Aquilo — zauważył nad wyraz uprzejmym tonem Mecenasa. — Ty się tu męczysz z byle przeciwnikiem, a tymczasem Oktawian zdobywa namiot Antoniusza. Wątpię, czy na kolejnej naradzie wojennej odważysz się prawić mu morały.

Na twarzy Aquili malował się wstręt.

— Ach! To ty jesteś tym jego zniewieściałym pacholkiem. Jeśli chcesz wiedzieć, mógłbym mu udzielić lekcji choćby teraz! — odparł cesarobójca. — Nigdy nie widziałem go na pierwszej linii w czasie walk. Chce sobie przypisać zasługi za zdobycie *praetorii*? Nie ma mowy! Zawsze będę przed tym chłopczyką, choćby i o krok! — oświadczył i natychmiast skierował się w głąb obozu.

Mecenasa i Agrypa wymienili porozumiewawcze spojrzenia. „To będzie dziecinnie proste” — pomyślał Etrusk. „Znając i wykorzystując słabości człowieka, można zmusić go do wszystkiego”. Obaj podążali za Poncjuszem, zachowując jednak bezpieczną odległość.

Pierwsza część planu się powiodła. Teraz nadszedł czas na tę trudniejszą.

Fala legionistów, która uderzyła na obszar *praetorii* Antoniusza, sunęła z ogromną siłą. Oktawian był dumny z tego, że sam dał jej początek. Więc jednak odziedziczył jakąś część magnetyzmu Cezara, nawet jeśli nigdy nie będzie miał takiego ducha, takiej odwagi, determinacji i wytrwałości – cech, które powodowały, że w żołnierzach rodziło się całkowite oddanie. Ale może pewnego dnia ludzie będą gotowi umierać także za niego. Dzisiaj umierali za republikę albo w imię zemsty na Antoniuszu za decymację, jednak w przyszłości może zechcą czynić to dla Rzymu, którego wyobrażenie wciąż

tkwiło w jego głowie, Rzymu stojącego na czele całego ogromnego imperium, gdzie wszyscy będą syci, gdzie żołnierze będą otrzymywać należny żołd, gdzie nie będzie istniał konflikt instytucji, a podróżujący będą mogli przemieszczać się z miejsca na miejsce, drogą lądową czy morską, spokojni o swe bezpieczeństwo.

Może on także zostanie wielkim dowódcą, jeśli będzie potrafił iść za radami Mecenasa, łączyć pełny obraz pola walki z jego wybitną inteligencją, dążąc do tego, by być nie sternikiem, jak Aleksander Wielki, lecz koordynatorem, stworzyć nowy, bardziej nowoczesny model głównego dowódcy, który potrafiłby swoją ogólną wizję Rzymu przenieść na pole bitwy.

Dołączył do legionistów, którzy z każdym krokiem zdobywali kolejne obszary. Mimo że żołnierze starali się robić mu miejsce, tłum napierał i przyduszał go. Nie było sposobu, by całkowicie uniknąć popychania i potrącania. Poczł pulsowanie w skroniach, oczy zasły mu mgłą, oddech robił się coraz cięższy. Zaczł się obawiać, że wysiłek okaże się dla niego zbyt duży, że ciało odmówi mu posłuszeństwa i skompromituje go przed żołnierzami. Jeśli upadnie na ziemię po pierwszym biegu, ośmieszy się przed swoimi ludźmi. Wystraszył się, że matka miała rację, powtarzając mu stale, by unikał wysiłku fizycznego, a już zwłaszcza nie podejmował się realizacji testamentu Cezara. Entuzjazm, którego doświadczał jeszcze parę chwil wcześniej, ustąpił miejsca zniechęceniu. Czyżby to wszystko było tylko złudzeniem? Czyżby jego marzenia były jedynie żalonymi mrzonkami schorowanego chłopca, dla którego zwykle posiedzenie senatu mogło się okazać wyzwaniem ponad siły.

Perspektywa tak nędznego upadku, wystawienia się na pośmiewisko narodu przeraziła go bardziej niż myśl o śmierci. Zaczł sobie wyobrażać kpiny, których Antoniusz z pewnością sobie nie daruje, nawet jeśli przegra; drwiny żołnierzy, którzy początkowo obdarzyli go tak wielkim zaufaniem; rozczarowanie ścisłego grona przyjaciół, którzy poświęcili się dla jego sprawy. Myśląc o tym, zdecydował, że odbierze sobie życie, jeśli tylko jego kolana dotkną ziemi na skutek zmęczenia. Wzniósł okrzyk bojowy, zagrzewając tym razem do walki siebie samego, i stłumił niemoc, która napierała jeszcze silniej niż żołnierze wroga. Nikt ze stojących obok nie wiedział, że chłopak toczy dwie bitwy jednocześnie – jedną przeciwko sobie, drugą przeciwko wrogom.

Postanowił iść dalej, lecz z każdym krokiem jego nogi robiły się coraz cięższe. Miał wrażenie, że legioniści kręcą się wokół niego, jakby z niego drwili, ale wciąż był na tyle świadomy, by zrozumieć, że traci orientację, ponieważ świat wokół niego wcale nie wirował – to były zwykłe zawroty głowy. Zaczął kaszleć i po paru krokach stwierdził, że czuje doskonale mu znany smak krwi. Z ust sączyła mu się czerwona struga śliny, która spływała dalej po brodzie i szyi. Postanowił nie zważać na sygnały, które wysyłał mu organizm. Nie przestawał iść, mrużąc oczy, by rozróżnić przynajmniej wroga od przyjaciela.

— Generale! Źle się czujesz? — Jakiś żołnierz chwycił go za ramię i przytrzymał.

„O nie, tylko nie to” — pomyślał w duchu. Gwałtownie oswobodził się z silnego uścisku legionisty.

— Nie... Czuję się doskonale! *Doskonale!* — odparł niemal histerycznie.

Uniósł w górę rękę, w której trzymał gladius, i wyskoczył w przód z pochyloną głową, popychając kompanów stojących przed nim. Jego ludzie, widząc, jak naciera, pomyśleli, że chce wysunąć się naprzód, więc rozstąpili się, by zrobić mu miejsce. Poczul dopływ świeżego powietrza i nagle jego płuca zaczęły działać tak, jak powinny. Wzrok wyostrzył się, a krew w głowie przestała pulsować. Duszności jeszcze nie ustąpiły, lecz nie bał się już, że upadnie, a poza tym wyraźnie rozróżniał wszystko dookoła, także ogień obok *praetorii*.

Namiot Antoniusza zaczął płonąć. Oddział legionistów z *Martiae Victricis* zaciekle bronił zwłok Hircjusza. Jakaś grupa antoniuszowców w odwrocie biegła w kierunku tylnej bramy, kolejna zabarykadowała się między *quaestorio*²⁸ a namiotami trybunów i nadal próbowała stawiać opór. Żołnierze rozbiegli się po obozie, wchodzili do namiotów trybunów od strony Forum i wychodzili z nich z łupem.

Oktawian miał dwa jasno sprecyzowane cele. Podszedł do zwłok Hircjusza i zaczął wołać do żołnierzy:

— Przegońcie ich, legioniści. Musimy chronić bohatera Republiki, wiernego zwolennika Cezara! — krzyknął i stanął obok nich, na krańcowym skrzydle linii, którą uformowali, po czym zaczął wymierzać ciosy.

Nieprzyjaciele rozpoznali go i starali się go otoczyć, ale jego ludzie niezwłocznie stanęli do walki i starcie przeniosło się na skrzydło. Oktawianowi udało się nawet kilka razy skrzyżować miecz z przeciwnikami,

a zobaczywszy, że chronią go tarcze żołnierzy bijących się u jego boku, zaczął uderzać z większą mocą i z większą aktywnością. W końcu trafił w ramię jednego z nieprzyjaciół i wytrącił mu gladius z dłoni; wtedy legionista republikański ugodził rozbrojonego antoniuszowca śmiertelnym pchnięciem. Na pierwszą, choć pośrednią, śmiertelną ofiarę Oktawiana wojsko odpowiedziało owacjami. To dodało mu odwagi. Poleciał dwóm mniej zajęтым żołnierzom zabrać ciało Hircjusza i powrócił do walki, czując, jak jego ciało wypełnia się siłą i entuzjazmem, których dotąd nie znał.

Zamknął oczy i zaczął zadawać ciosy na oślep, dopóki nie zauważył, że przeciął szyję kolejnemu wrogowi. Nagle pozostali antoniuszowcy walczący wokół niego rozpląnęli się. Mignęły mu jeszcze tylko czyjeś plecy. Jego podkomendni powitali zwycięstwo w tym sektorze okrzykiem triumfu. Można było śmiało powiedzieć, bez żadnej przesady, że to właśnie ich młody wódz odzyskał ciało Hircjusza. Doskonale! Nadszedł czas, by zdobyć kolejny cel: namiot Antoniusza.

Chłopak ruszył naprzód, szerokim gestem zachęcając żołnierzy, by podążali za nim. Namiotu strzegła niezbyt liczna grupa legionistów. Tym razem Oktawian nie robił zimnych kalkulacji i rzucił się na nich na fali bojowego entuzjazmu, nie czekając na osłonę tarcz. Nieprzyjaciele zareagowali na niego z czymś w rodzaju świętego lęku – wbrew jego oczekiwaniom nie stanęli do walki. Wydawało się, że jego zapał ich przeraża. Nie czując zmęczenia, ponownie zaczął wywijać mieczem, lecz nie napotkał żadnego oporu, jakby bali się zrobić mu krzywdę. Spostrzegł, jak pada kolejny wróg, nie potrafiłby jednak powiedzieć, w którą część ciała pośród gradu ciosów zadał śmiertelną ranę. Pozostali podkomendni zaraz do niego dołączyli. Przełamali linię wroga, co doprowadziło do podziału walk na serie grupowych starć wokół namiotu.

Kolejna pochodnia przed wejściem spadła z trójnogu i krawędź ściany namiotu zajęła się ogniem. Oktawian musiał się spieszyć. Podniósł z ziemi czyjąś tarczę i za jej pomocą odepchnął dwóch stojących na jego drodze żołnierzy z wrogiej armii, następnie skierował się do wejścia, lecz przekraczając próg, zderzył się z kimś, kto także zamierzał wejść do środka.

Spojrzał na niego i już miał mu rozkazać, by zrobił przejście synowi Cezara, gdy wtem, w rozedrganym świetle płomieni, rozpoznał jego twarz. Poncjusz Aquila, jeden z morderców Cezara, spoglądał na niego z żądzą krwi w oczach. Dzielenie chwili triumfu akurat z nim jawiło się Oktawianowi

niczym okrutny żart bogów. Pragnął jego śmierci i kiedy dostrzegł, że w namiocie przebywa dwóch żołnierzy, uzbrojonych po zęby i zajętych rzucaniem w ogień dokumentów pozostawionych przez Antoniusza, uświadomił sobie, że z dużym prawdopodobieństwem człowiek ten może już niedługo stracić życie. *Podobnie jak i on sam.*

„Sprawy idą zgodnie z planem Mecenasa” — pomyślał Agrypa, widząc Oktawiana i Aquilę wchodzących jednocześnie do namiotu Antoniusza. Niestety, nawet genialny Etrusknie był w stanie przewidzieć, co obaj mężczyźni zastaną w środku ani jak potoczą się późniejsze wypadki. Ogień zajął już całą ścianę namiotu. Wkrótce miejsce to miało się zamienić w śmiertelną pułapkę dla każdego, kto tam przebywa. Mecenas odrzucił tarczę i zaczął przepychać się przez tłum. Prąc naprzód, odpychał na boki i braci, i wrogów. Nie spuszczał z oczu krawędzi skórzanej płachty, która opadła za wchodzącymi do namiotu wodzami.

Rzucił się przed siebie i wpadł do środka, nie zważając na nic. To, co dostrzegł w półmroku rozświetlonym przez migoczące języki płomieni, zmusiło go do szybkiej oceny: dwóch nieprzyjacielskich żołnierzy, każdy uzbrojony w gladius i sztylet, przypierało do ściany Oktawiana i Aquilę, którzy najwyraźniej nie byli pewni, czy mierzyć w siebie nawzajem, czy też we wrogów. Dookoła szybko rozprzestrzeniał się ogień.

Wszyscy uczestnicy tej niewiarygodnej sceny zamarli w bezruchu. Agrypa, wchodząc do namiotu, dostrzegł szok i niedowierzanie na twarzy Oktawiana. W mgnieniu oka rzucił się pomiędzy niego a Aquilę i zaczął walczyć z dwoma antoniuszowcami. Chwyciwszy stół, który go od nich oddzielał, cisnął nim w przeciwników, którzy wylądowali na przeciwległej ścianie. Nie zwlekając, wymierzył ostrze w jednego z nich, by po chwili jednym cięciem pozbawić go życia, i zajął się drugim. Ten jednak, zdążywszy już stanąć na równe nogi, odparował atak dwoma mieczami.

Agrypa usłyszał za plecami szcęk zbroi. Mecenas miał rację także co do tego: Oktawian i cesarobójca pozostawieni sam na sam nie mogli powstrzymać pragnienia, by zmierzyć się w śmiertelnym pojedynku. Miał ochotę odwrócić się i sprawdzić, jak idzie Oktawianowi, lecz nie mógł przecież stawać plecami do przeciwnika, nawet na chwilę. Musiał zaufać przyjacielowi i wierzyć, że sobie poradzi. Starł się zepchnąć napastnika

w kąt, ale ten nieustannie się wymykał. Agrypa nie ustawał w próbach, aż w końcu wpadł tyłem na płonącą ścianę. Poczul rwący ból na plecach. Pod wpływem oparzenia instynktownie odskoczył do przodu. Na to tylko czekał przeciwnik, który mierzył w chłopaka dwoma ostrzami. Zabrakło milimetrów, by pchnięcie dosięgło celu. Wróg wykonał zamach sztyletem, na szczęście o niezbyt długim ostrzu, toteż poza draśnięciem w ramię nie zdołał zadać chłopakowi większych obrażeń. Teraz jednak antoniuszowiec zaczął dążyć do tego, by przyprzeć go do rogu i pchnąć w ogień. Agrypa starał się uskoczyć w bok, ale ostrza zagroziły mu drogę z obu stron. Utknął w ciasnym kącie bez możliwości ruchu. Tymczasem coraz głośniejszy trzask płonącego namiotu mieszał się ze szczękiem broni i ciężkim oddechem dwóch pozostałych rywali.

Chłopak postanowił pójść na całość. Wymierzył cięcie, celując w lewe przedramię przeciwnika, ale w ten sposób odsłonił tułów na pchnięcie gladiusem. Zgodnie z przewidywaniami legionista zrobił unik i był zmuszony wyjść kontrą. Gdy Agrypa spostrzegł mknące na niego ostrze, przesunął się z lekkim obrotem w bok. Szpic miecza zdążył dosięgnąć jego boku, roztrzaskał ogniwa pancerza kolczego i dotarł do skóry, rozrywając także ciało, po czym zatrzymał się w tylnej części pancerza.

„To tylko draśnięcie, tylko draśnięcie” — powtarzał, mobilizując wszystkie siły, by zadać jedyny cios, jaki był możliwy w tej sytuacji. Jego gladius zatopił się w policzku przeciwnika i roztrzaskał kości twarzy. Krew trysnęła na Agrypę tak silnym strumieniem, że nie udało mu się zobaczyć upadku martwego przeciwnika. Wyjął ostrze i nie mając nawet czasu, by złapać oddech, odwrócił się w stronę pozostałych dwóch mężczyzn w namiocie: kilka kroków od niego Oktawian leżał na ziemi z zakrwawionym lewym ramieniem, bezbronny. Aquila, oparłszy stopę na piersi chłopaka, szykował się do zadania śmiertelnego ciosu. Agrypa zauważył płomienie za plecami cesarobójcy. Rzucił się na niego z wyciągniętym przed sobą mieczem, zbił cios przeznaczony dla Oktawiana i całą swą masą pchnął Aquilę w tył. Prosto w ogień.

Usłyszał jego krzyk i rzucił się na Oktawiana, by zasłonić go swoim ciałem. Zanim wstał, spojrział w stronę człowieka, którego skazał na spalenie żywcem. Cesarobójca, upadając, pociągnął za sobą krawędź płonącej kurtyny, która owinięła się wokół niego. Dopiero kiedy jego ciało zamieniło się w ognistą pochodnię, Agrypa sturlał się z Oktawiana, uwalniając go od

swojego ciężaru, a sam opadł bezwładnie na podłogę wyłożoną skórą.

Jego uszy wypełniło dudnienie wielu nóg. Poczował, że ktoś go podnosi. Zdawało mu się, że słyszy głos przyjaciela wydającego rozkazy. Jakaś ręka chwyciła go za nadgarstek. Starał się wyostrzyć wzrok, by dostrzec, do kogo należy. Zobaczył twarz Oktawiana, ale nie był w stanie odczytać jej wyrazu. Szczerze mówiąc, nigdy nie potrafił odgadnąć, co wyraża. Jego myśli się rozpierzchły. Gdy zmęczenie w końcu go pokonało, wokół zapanowała ciemność.

XX

Veleda, ujrawszy Ortwina przepychającego się wśród tłumu żołnierzy, chciała natychmiast podnieść się z noszy. Szedł w jej kierunku przez smyrneńskie forum. Niestety, otarcia na łokciach i rękach paliły żywym ogniem, więc opadła ponownie na plecy, zanim jej mężczyzna podbiegł, by wziąć ją w ramiona.

— Mówili... mówili mi, że ci się nie udało. Bałam się, że nie żyjesz — powiedziała, łkając i drżąc. Jej nosze podskakiwały potrącane przez biegających we wszystkie strony żołnierzy Dolabelli, którzy wraz z obrońcami świętowali zwycięstwo u bram miasta.

— Prawdę mówiąc, przez chwilę i ja się bałem — odparł, przytulając ją do siebie mocno, lecz ostrożnie, aby nie sprawić jej bólu. — Ten głupiec Dolabella się ociągał, niech go szlag! Mało brakowało, a wszyscy byśmy przez niego wpadli.

— Ale udało się otworzyć bramy... Nie musiał walczyć...

— Nie ja je otworzyłem. Miałem już na szyi gladius centuriona, gdy na niebie ukazał się sygnał nadejścia armii. Wtedy trzech nasi ludzie, którzy zdolali uciec, wykorzystali nieuwagę strażników i otworzyli bramę, a następnie powstrzymali atak, pokazując obrońcom głowę Treboniusza. Po czymś takim żaden nie miał już ochoty stawiać oporu i pozwolili wejść ludziom Dolabelli.

Veleda ścisnęła jego nadgarstek i spojrzała na niego czule. Nagle zapragnęła powiedzieć mu, że nie wyobraża sobie życia bez niego. Ale jak zwykle powstrzymała ją duma. Ona – niedoszła królowa – nie potrafiła okazywać uczuć. Nienawidziła siebie za to, lecz nie była w stanie temu zaradzić. Czuła, że ta królewska pycha wcale nie czyni z niej lepszego człowieka, jednak dopóki Ortwin wciąż ją kochał, nie widziała potrzeby, by cokolwiek w sobie zmieniać.

Spojrzała w górę i zaczęła się przyglądać świętującym legionistom. Świtało. Nieśmiałe promienie słońca zaczęły rozświetlać niebo, które od kilku dni było całkowicie zasnuwane chmurami. Żołnierze skandowali imię Dolabelli, tytułując go zdobywcą. Nie obchodziło ich, że to Germanie odegrali decydującą rolę w zajęciu miasta, co istotne: bezkrwawym, ani że

jako jedyni ponieśli straty – zginęło dwóch ich pobratymców.

Wzrok Veledy przykuło krzesło kurulne ustawiona trybunie, w centralnym punkcie forum. Zmrużyła oczy, by widzieć dokładniej. Na siedzisku spoczywała głowa.

— To ta? — Wskazała ją Ortwinowi.

Germanin powiódł wzrokiem za jej palcem.

— Tak, to Treboniusz. Dolabella zażyczył sobie, aby umieścić ją na tronie, z którego gubernator zarządzał prowincją. I pomyśleć, że nasz dowódca jeszcze parę miesięcy temu szczyił się, że wraz z nim spiskował przeciwko Cezarowi...

— Rzymianie mają twój szacunek, nie mój...

Nie potrafiła się powstrzymać od kąśliwych uwag, ale wiedziała też, że Ortwin się nimi nie przejmuje; w każdym razie nie mogła go w ten sposób zranić.

Nic nie odpowiedział. Także dlatego, że jego uwagę zwrócił dziki śmiech. Legioniści wlekli po ziemi nagiego trupa. W pewnym momencie Veleda zauważyła, że nie trzymają go za nadgarstki, lecz za gladiusy, którymi przebili na wylot dłonie. Jeden z żołnierzy przewrócił się, gdy ostrze jego miecza przecięło dłoń na pół. Pozostali parsknęli jeszcze głośniejszym śmiechem, a legionista, wstawszy z ziemi, podszedł do ciała i opluł je, klnąc przy tym siarczyście. Dopiero wtedy Veleda spostrzegła, że trup nie ma głowy. Spojrzała pytająco na Ortwina, a on pokiwał głową: tyle pozostało z Treboniusza.

Ktoś z wściekłością uderzył trupa mieczem między nogi, a następnie chwycił rękoma krwistą papkę i śmiejąc się, rzucił nią w jednego ze swoich kompanów. Ten z kolei z udawaną złością uderzył mieczem w stopę prokonsula, podniósł ją i także cisnął w któregoś z towarzyszy.

— Oto, co spotyka zdrajców. — Przed nimi spośród tłumu wyłonił się nagle, jakby spod ziemi, Dolabella. — Legioniści nie mogli znieść tego, że zabił ich dowódcę, mimo że był jednym z jego namiestników.

Veleda ucieszyła się, że słowa są skierowane do Ortwina i że to od niego Dolabella oczekuje odpowiedzi. Jej męczyzna zawsze był lepszym dyplomatą. Gdyby to ona miała zareagować, nie potrafiłaby się powstrzymać i z pewnością wypomniałaby generałowi, jak chwalił się, że zabił Cezara, człowieka, który mianował go konsulem, odstępując mu własne stanowisko. Teraz zaś zlecił morderstwo Treboniusza, choć jeszcze niedawno podawał się

za jego kompana i sojusznika. *Dwukrotnie* dopuścił się zdrady. Był jeszcze gorszy niż gubernator...

— Tak, był zdrajcą i cieszę się, że go zabiłem — uciął Germanin, podkreślając w ten sposób – a może było to tylko złudzenie Veledy – bez wątpienia ważną rolę, jaką odegrał w całej sprawie.

— Muszę przyznać, że twój plan zadziałał, Ortwinie— przyznał Dolabella. — Chociaż miał tyle niewiadomych, że trudno było go uznać choćby za przyzwoity. Na szczęście przybyłem w porę. Ale, co to ja chciałem powiedzieć... Możliwe, że trzeba będzie zorganizować coś podobnego w Syrii, jeśli Kasjusz będzie robił trudności. Następnym razem zadbaj o szczegóły. — Skończywszy, prokonsul, czy kim tam, u licha, był, poklepał Ortwina po plecach i ruszył w stronę trybuny.

Wymienili się ironicznymi spojrzeniami: ona lekceważenia, on teatralnego rozżalenia. Czasami naprawdę ją denerwował. Był zbyt pokorny, uległy, opanowany... Ten odrażający plugawiec, dał mu właśnie jasno do zrozumienia, że Germanie byli zwykłym mięsem armatnim, żołnierzami wysyłanymi na stracenie, dzięki którym bez jakiegokolwiek wysiłku ze swojej strony mógł zdobywać kolejne miasta. A w razie niepowodzenia... No cóż... Nie jego strata.

— Czy *on*... był tam? — zapytała Ortwina, zmieniając temat. Nie musiała podawać imienia. Od razu zrozumiał, że ma na myśli Kwintusa Labienusa.

— Nie widziałem go. Ale wydaje mi się, że nie ma go tutaj. Tak ci zależy, żeby go zobaczyć? — W jego głosie pobrzmiwała zazdrość, co polechtało dumę Veledy. Na szczęście od czasu do czasu okazywał jakieś uczucia.

— Ależ skąd! Boję się tylko, że mógłby nastawać na twoje życie — wyjaśniła, a po chwili sama zadała sobie pytanie, czy to jedyny powód. Dlaczego tak długo się wahała, zanim mu odpowiedziała?

W końcu z zadumy wyrwał ją widok Dolabelli wstępującego na trybunę. Rozległy się wiwaty żołnierzy, na które zasłużył. Konsul chwycił głowę Treboniusza i rzucił ją w tłum. Legioniści natychmiast ją podnieśli i zaczęli rzucać do siebie niczym piłkę.

Veleda po raz kolejny spojrzała na Ortwina pytającym wzrokiem. Skąd brało się w nim tyle szacunku dla Rzymian?

Oktawian poczuł na sobie wzrok Mecenasas i odwzajemnił jego spojrzenie.

Dotychczas wpatrywał się nieruchomo w szczelinę namiotu, w którym medyk zajmował się Agrypą. Mecenasa kiwnął głową, dając mu do zrozumienia, że teraz może wejść. Chłopak wyrwał się z odrętwienia. A niech go, nie musiał mu tego powtarzać! Sam doskonale wiedział, że już czas. Tyle że... najpierw musiał znaleźć odpowiednie słowa. Niełatwo było przyznać się do błędu albo przynajmniej do przesadnej reakcji. O, właśnie! „Przesadna” – to było właściwe słowo i tym tropem postanowił iść. Agrypa był najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znał. Teraz mógł to przyznać bez cienia wątpliwości. I jego najlepszym przyjacielem. Ale był także jego podkomendnym lub przynajmniej, skoro uratował mu skórę, ponownie zamierzał nim być, a wódz nie może się tłumaczyć przed kimś, kto służył pod jego rozkazami.

Przemknęło mu nawet przez myśl, by poprosić Mecenasa, aby mu towarzyszył, lecz szybko zdał sobie sprawę, że byłby to przejaw tchórzostwa. Nie poszedł do Agrypy poprzedniego wieczoru, po zakończeniu bitwy. Miał dobrą wymówkę: medyk Glikon, którego pospiesznie wysłał, by zajął się jego przyjacielem, powiadomił go, że pacjent nie odzyskał jeszcze przytomności, więc potrzebuje spokoju. Wykorzystał to jako pretekst i zyskał całą noc na dobieranie właściwych słów, którymi mógłby przyjąć go na powrót do sekty i dać do zrozumienia, że nigdy nie przestał mu być bliski. Ale teraz... teraz nie mógł już dłużej zwlekać. Na bogów! Ze wszystkich spraw, które musiał przeanalizować po wygranej bitwie, ta jawiła mu się jako najbardziej skomplikowana. Zaraz po zakończeniu walk jego myśli zajmowała tylko jedna kwestia: jak to się stało, że Agrypa znalazł się w tamtym namiocie?

Od razu zrozumiał, że maczał w tym palce Mecenasa, toteż udał się do niego po wyjaśnienia, pomimo że oficerowieczekali na jego decyzje w sprawie pochówku poległych i leczenia rannych, a także w kwestii objęcia nadzoru nad obozem Antoniusza.

Etrusk powiedział mu tylko, że zadbał, aby Agrypa nie opuścił szeregów sekty.

— Bądź niewzruszony dla wrogów i elastyczny dla przyjaciół — dodał na odchodne, choć nie proszono go o radę.

— Szlag by to! — mruknął pod nosem, wchodząc do namiotu. Zobaczył Agrypę. Nie spał, był przytomny. Leżał na łożu w bladym świetle lampy. Tymczasem Glikon zmieniał mu bandaż, który opłatał całą klatkę piersiową.

Chłopak wyszedł z pojedynku z poparzonymi plecami i raną ciętą boku –
ratował mu życie.

— Jak on się czuje? — zapytał od razu lekarza, stojąc przy łóżku i starając się nie patrzeć Agrypie w oczy.

— Nasz przyjaciel ma końskie zdrowie — odezwał się wesoło Glikon. — Mogę śmiało stwierdzić, że się z tego wygrzebie. Oparzenia na plecach nie są poważne, a ranę zaszyłem. Gdy wyzdrowieje, będzie silniejszy niż przedtem.

— Wyśmienicie. Potrzebujemy go. — Oktawian pozwolił sobie na spontaniczne wyznanie, aby łatwiej było mu przejść do tematu, który musiał poruszyć.

Lekarz zrozumiał, że przeszkadza. Szybko skończył swoją pracę, wstał i pożegnał się, tymczasem obaj młodzieńcy przyglądali się sobie w milczeniu. Oktawian zauważył wyczekiwanie w spojrzeniu Agrypy i nagle poczuł przypływ tak ogromnej sympatii do przyjaciela, że zapragnął mu ją okazać. Chciał go objąć, ale powstrzymał się, mimo że Glikona już nie było.

Usiadł jedynie na miejscu lekarza i po prostu chwycił Agrypę za nadgarstek. Chłopak milczał, a Oktawianowi przemknęło przez myśl, że przyjaciel powinien się jakoś usprawiedliwić. Cokolwiek by mówić, miał mu zniknąć z oczu raz na zawsze, a mimo to pojawił się tam, gdzie najmniej się go spodziewano. *Oraz tam, gdzie był najbardziej potrzebny.* Zupełnie jak bóstwo opiekuńcze. „Bądź niewzruszony dla wrogów i elastyczny dla przyjaciół” – zadźwięczało mu w uszach. Teraz to on powinien się odezwać.

Wziął głęboki oddech i powiedział:

— Uratowałeś mi życie.

Oczy Agrypy były wilgotne. Może z powodu bólu, może ze wzruszenia – trudno powiedzieć.

— Ty zrobiłbyś dla mnie to samo. Jestem tego pewny— oznajmił łamiącym się głosem. Oktawian cieszył się, że znowu może usłyszeć ten znajomy tembr.

— Zabiłeś też Aquilę, jednego z listy. Pierwszego, na którym dokonaliśmy zemsty, z tego, co mi wiadomo.

— Twoje cele zawsze były moimi celami, Oktawianie. Ja również kochałem Cezara.

Znowu zapadła krępująca cisza, po czym Oktawian ponownie się odezwał:

— Powinienem mieć żal do Mecenasa za to, że knuła moimi plecami, ale nie potrafię. Cieszę się... że znowujesteś pośród nas.

— A ja cieszę się, że mi przebaczyłeś. Muszę podziękować Mecenasowi, skoro jemu to zawdzięczam.

— Kto wie, może nie było potrzeby, abyś się tak bardzo narażał. W głębi serca wiedziałem, że kieruję się dumą, niczym innym. — Niemal od razu pożałował tych słów. Czuł, że się poniża.

Agrypa chwycił obiema rękami jego nadgarstek, by mu pokazać, że docenia ten gest. Długo patrzyli na siebie w ciszy i Oktawian poczuł się pokrzepiony. Zastanawiał się, jak mógł zrezygnować z bezcennej przyjaźni w tak trudnym momencie swojego życia. Stawiając czoła tak wielu wyzwaniom, często był zmuszony wykorzystywać najciemniejsze strony swojego charakteru, ponieważ tylko one dawały mu szansę na przetrwanie. Ich przyjaźń stanowiła najszlachetniejszy element wędrówki po tej wyboistej drodze, którą postanowił kroczyć.

Agrypa postanowił przerwać tę niezręczną ciszę.

— A zatem jak zamierzasz wykorzystać zwycięstwo? Wydaje mi się, że do ciebie należy teraz wybór strategii.

Oktawian pokiwał głową.

— Otóż to! Dobre pytanie. Nie sądziłem, że znajdę się w takiej sytuacji, lecz postanowiłem wykorzystać ją jak najlepiej. Hircjusz nie żyje, Pansa jest paskudnie pokiereszowany. Teraz, kiedy nie mamy konsulów, dowództwo przejmuje propretor, ale i tak muszę się porozumieć z Pansą w Bolonii. Gdybym działał samowolnie, rozdrażniłbym senatorów, a oni tylko czekają na moje potknięcie, by się mnie pozbyć. Jestem po prostu ich narzędziem. Z drugiej jednak strony mamy wspólny cel...

— Wszystko będzie zależało od tego, co postanowi Antoniusz. Tak sądzę — zauważył Agrypa.

— Właśnie tak. Muszę prowadzić grę na dwa fronty. Zważywszy na to, że Decymus Brutus znalazł się w bardzo złej sytuacji, jestem obecnie jedyną nadzieją senatu, ale tak naprawdę tylko Antoniusz może mi pomóc w zdobyciu zaufania i uznania senatorów oraz w ograniczeniu władzy morderców mojego ojca. Tak więc Antoniusz jest mi potrzebny. Wydałem rozkaz, by potraktować jego obóz dość łagodnie. Dopóki stanowi zagrożenie, senat będzie zmuszony mi ufać.

— Igrasz z ogniem. Antoniusz to niebezpieczna postać, a sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Co zamierzasz na tym ugrać?

W tym momencie poły namiotu się rozchyliły i do środka wpadły

promienie słońca. Minęła chwila, zanim Oktawian przyzwyczał się do mocnego światła i rozpoznał Rufusa. Zauważył, że wzrok trybuna padł na zaciśnięte ręce przyjaciół, a na jego twarzy pojawił się wyraz poirytowania.

Ponownie przeniósłszy wzrok na Oktawiana, Salwidienus odezwał się wyjątkowo bezbarwnym głosem:

— Witaj, Agrypo. Cieszę się, że widzę cię żywym. Antoniusz opuścił obóz i zbiera się do odjazdu. Decymus Brutus z kolei wysłał posłańca, prosząc o spotkanie z tobą, Oktawianie. Co robimy? Czy mam tymczasem postawić armię w stan gotowości i zablokować Antoniusza?

— Nie. Powiedz oficerom, że ludzie są wciąż zmęczeni po walkach i ryzykujemy przegraną. Dajmy spokój, na razie. Za chwilę do was dołączę. Wezwij pozostałych członków sekty — odpowiedział Oktawian, a następnie zwrócił się do Agrypy: — Co zamierzam na tym ugrać? Właśnie to, że Antoniusz wciąż będzie w stanie szkodzić... a przynajmniej będzie sprawiał takie wrażenie — dodał, po czym podniósł się i skierował do wyjścia.

Rufus poczuł się zakłopotany. Od kiedy potwierdziła się informacja, że Agrypa brał udział w bitwie i że, co więcej, uratował życie Oktawianowi, toczyła się w nim wewnętrzna walka. Z jednej strony chciał się dowiedzieć, w jakim stanie był jego towarzysz, z drugiej – czuł przypływ złości, ponieważ znowu stanął mu na zawadzie, jeśli chodzi o relacje z Oktawianem. A może i z Etain. Gdy zorientował się, że przyjaciele wybaczyli sobie dawne żale, poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość, której nie potrafił opanować. Chciał stłumić w sobie to nieprzyjemne uczucie i cieszyć się odnalezieniem przyjaciela, tak jak uczynili to wcześniej Gajusz Cherea i Mecenias, a później sam Oktawian, ale coś mu na to nie pozwalało. Kiedy wszedł do namiotu, z trudem udało mu się odezwać do leżącego tam kolegi. Teraz Agrypa znowu będzie największym przyjacielem wodza i jego najcenniejszym żołnierzem. Rufus zawsze czuł się spychany na drugi plan. A może nawet na trzeci, biorąc pod uwagę Etruska, bez którego Oktawian nie potrafił się już obejść.

Nie, ponowne pojawienie się Agrypy nie było powodem do radości – przyznał to w duchu, podchodząc do Oktawiana na brzegu rzeki, gdzie stawili się także Mecenias i Gajusz Cherea. Był świadom tego, że powoduje nim czysta zazdrość, dlatego starał się ją w sobie pokonać. Zamierzał również pokonać Agrypę, pokazać, że jest lepszy od niego. Pewnego dnia Oktawian będzie musiał przyznać, że najcenniejszym człowiekiem dla sekty jest właśnie on, Rufus, a nie ten chłoptaş, nad którym wszyscy – nie wiedzieć

dlaczego – rozplývają się w zachwytach.

— Widziałeś coś podobnego, Rufusie? — Oktawian pomachał mu przed nosem wiadomością, jaką otrzymał od Decymusa Brutusa. — Ten morderca ma czelność dziękować mi za oswobodzenie go z oblężenia i zaprasza mnie na rozmowę, by ustalić strategię wojny przeciwko Antoniuszowi. Tłumaczy się też, twierdząc, że jakiś demon opętał go i zmusił do zabicia mojego ojca i że żałuje swojego postętku...

— Ale jednocześnie, gdy tylko zorientował się, że Antoniusz opuścił obóz, zlecił zniszczyć wszystkie mosty, jakbyśmy to my byli oblegającymi — dodał Cherea, wskazując najbliższą przeprawę, którą minerzy Brutusa zmienili w stertę gruzu. — Robi pod siebie ze strachu. Wyzwoliciel... Teraz, kiedy między nami a nim nie stoi już Antoniusz, a jego siły zostały przetrzebione, jest całkowicie od nas zależny i doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

— Decymus Brutus oczekuje Oktawiana właśnie tam — wtrącił się Mecenas, pokazując wysepkę na rzece, tak blisko, że z łatwością dotarłaby do niej wystrzelona od nich strzała. — Oczywiście może to być pułapka, lecz niewykluczone też, że jest teraz gotowy na wszystko, byle ratować własną skórę. Kto wie, może naprawdę rozważy zawarcie przymierza.

— *Ale ja tego nie rozważam!* — wybuchnął Oktawian tak gwałtownie, że posłaniec czekający przed nim na odpowiedź zadrżał z przerażenia. — Powiedz swojemu panu, że nie jestem tutaj, by go ratować, lecz po to, by walczyć z Antoniuszem! — krzyknął do wysłannika. — Być może z Antoniuszem pewnego dnia zawrę w końcu pokój, natomiast mój charakter nie pozwala mi podejmować rozmów z Decymusem Brutusem. Ani patrzeć na twarz tego zdrajcy!

Mecenas ścisnął ramię Oktawiana, jakby przywoływał go do porządku. Zdradzanie się z zamiarami stało w sprzeczności ze strategią sekty. Przyciągnął go ku sobie i szepnął, lecz tak, aby usłyszał go Rufus:

— Uspokój się, przyjacielu. Chcesz, żeby senat odwdzieczył się, przekazując ci stanowisko konsula po Hircjuszu? Musisz zwodzić, jeśli nie chcesz być zwodzony. Obrażając Decymusa Brutusa, pupila tych starych błaznów, nie zyskasz ich wdzięczności.

Oktawian przytaknął i zmarkotniał, po czym odparł, ciężko wzdychając:

— Masz rację, oczywiście. Ale nie zamierzam również obierać strategii, która zmuszałaby mnie do sprzeniewierzenia się swoim zasadom. Zważ, że

poważanie i wsparcie armii, jakie udało mi się dotychczas zdobyć, z pewnością nie jest wynikiem moich militarnych dokonań, lecz celu, do którego dążę: pomszczenia Cezara. Legiony porzuciły Antoniusza dlatego, że był gotów iść na układy z mordercami dyktatora. Jakie świadectwo bym sobie wystawił, gdybym uczynił podobnie? Żołnierze są obecnie moją jedyną podporą i prawdopodobnie jedynym narzędziem, które pozwoli mi wyciągnąć z gardła tym przeklętym senatorom jakieś stanowisko.

Mecenas rozłożył ręce. „Oba punkty widzenia są słuszne” — pomyślał Rufus, ciesząc się, że nie musi podejmować decyzji politycznych w sekcie.

Oktawian postąpił kilka kroków naprzód i ponownie stanął przed posłańcem Decymusa Brutusa.

— Niech twój pan nie ma mi za złe wybuchów gniewu— powiedział. — Możesz uspokoić prokonsula, senat nie pozwoli, by stała mu się krzywda, dlatego też nie musi się niczego obawiać z mojej strony, przynajmniej dopóki leży to w interesie Rzymu.

„Bardzo zgrabny kompromis” — pomyślał Rufus. „Nawet nie musiał kłamać”.

Tymczasem przerażony wysłannik pokiwał głową i czym prędzej wsiadł do łodzi, którą przypłynął do ich brzegu. Szybko dotarł do niewielkiego skrawka lądu na wodzie. Oktawian ze swoimi ludźmi mogli obserwować z daleka, jak rozmawia z cesarobójcą. Przywódca sekty ostentacyjnie odwrócił się do nich plecami.

— Idziemy. Ten nikczemnik nie zasługuje na najmniejszą uwagę. Teraz muszę tylko porozmawiać z Pansą, zanim wyciągnie nogi.

— Rzeczywiście, jego poparcie w kwestii przyznania konsulatu może być bardzo cenne — przyznał Mecenas.

— Nie mówiąc o triumfie lub co najmniej *ovatione*. Koniec końców, ty wygrałeś tę wojnę — powiedział Rufus, który oczami wyobraźni widział już siebie maszerującego ulicami Rzymu za kwadrygą triumfatora.

— Nie zapominajmy również o nagrodach obiecanych żołnierzom — wtrącił Cherea. — Państwo wzięło na siebie wypłaty kwot, do których ty się zobowiązałeś, więc teraz powinno zacząć płacić za twoim pośrednictwem. Ludzie muszą mieć jasność, że otrzymują te pieniądze dzięki tobie.

Nagle do ich uszu dotarło imię Oktawiana niesione przez wiatr. Odwrócili się niemal jednocześnie i dostrzegli prokonsula machającego do nich i usiłującego zwrócić ich uwagę. To właśnie on krzyczał. Decymus Brutus

wymachiwał dokumentem, którym swego czasu senat zakomunikował mu nominację na stanowisko prokonsula.

Wyszedł na brzeg wyspy. Następnie, by lepiej go słyszano, wszedł do wody, która sięgała mu już niemal do pasa, i nie przestawał krzyżeć. Teraz jego słowa docierały do nich wyraźnie.

— *Rzymski senat za przyzwoleniem nieśmiertelnych bogów* — przypomniał urzędnik, pokazując im treść papirusu trzymanego w dłoni — *mianuje Decymusa Juniusza Brutusa Albinusa prokonsulem Galii Przedalpejskiej, przydzielając mu dowództwo nad stacjonującymi tam legionami w służbie Republiki, a także udziela mu władzy sądowej oraz uprawnień do poboru należności podatkowych.* Oto, co napisali do mnie ojcowie spisani. Jestem tu z woli senatu i narodu rzymskiego! A ty nic mi nie możesz uczynić, chłopcze! Nie waż się przekraczać rzeki! Bez konsulów jesteś nikim i nie masz prawa wchodzić do prowincji, jeśli nie masz zgody zarządzającego nią urzędnika. Nawet pod pretekstem pogoni za Antoniuszem! Nie otrzymałeś żadnego oficjalnego mandatu, a pod nieobecność konsulów to ja jestem odpowiedzialny za wojnę przeciwko niemu. Ja udam się w pościg za nim!

— Niestety, ale on ma rację — powiedział Mecenas. — To ścierwo korzysta z protekcji senatu.

— Ale przecież jego legiony są doszczętnie rozbite. Co więcej, ma samych rekrutów i gladiatorów — zaoponował Rufus. — Nasi żołnierze są liczniejsi i lepiej przygotowani. Nie ma sensu, by on kontynuował wojnę.

Oktawian nie odpowiedział na krzyki prokonsula. Jego oblicze spochmurniało. Był wściekły. Odwrócił się, by znowu go zignorować, i skierował się szybkimi krokami w stronę obozu. Pozostali podążali za nim. Jedynie Rufus przyspieszył, by się z nim zrównać.

— Dlaczego go nie zaatakujemy? — zapytał bez wahania. — Biorąc pod uwagę obecny stan jego wojsk, pożarlibyśmy go jednym kęsem... Nasi żołnierze też chętnie pozbawiliby tego zdrajcę głowy.

— Chciałbym. Chciałbym tego bardziej niż czegokolwiek innego, Rufusie. Niestety, jest to luksus, na który nie możemy sobie teraz pozwolić — odpowiedział Oktawian. Nadal stał zapatrzony w dal.

Od ostatniej wizyty Oktawiana twarz Pansy jeszcze bardziej poszarzała.

Mimo to chłopak uznał, że nie może się sugerować krytycznym stanem konsula, który już przy pierwszym spotkaniu usiłował wykorzystać swoje cierpienie, by wymawiać się choćby od rozważenia jego nieustannych prośb. Tym razem postanowił, że uzyska wsparcie urzędnika, nawet jeśli miałby go zamęczyć na śmierć.

Przywitał się i usiadł obok łoża, na którym konał konsul. Ten spojrzął na chłopaka niemal zamglonymi oczyma i na powitanie poruszył lekko wargami. Oktawian zaczekał, aż Pansa odprawi przebywających w kubikulum sekretarza i niewolnika, po czym dla przyzwoitości zapytał o zdrowie.

— Sądzę, że sam możesz ocenić, jak się czuję, propretorze — wymamrotał konsul. — Umieram. Lekarzom nie udało się zatrzymać infekcji. Ten zły demon pożera mnie od środka. Nawet twój Glikon nie był w stanie nic na to zaradzić, choć oczywiście bardzo ci dziękuję, że go do mnie przysłałeś. Stwierdził, że należy zdać się na wolę bogów. Sprawy przybierają dla ciebie bardzo pomyślny obrót, Oktawianie. Nie mając na swojej drodze żadnego z dwóch konsulów, będziesz mógł z większą swobodą dążyć do zaspokojenia swoich niepokonanych ambicji... Dopóki nie zostaną wybrani nowi urzędnicy, będziesz miał całkowitą kontrolę nad armią, która pokonała Antoniusza...

— Kpisz sobie ze mnie, konsulu? Czyżbyś o niczym nie wiedział? — odpowiedział wściekły Oktawian. — Senat zadbał o to, by powstrzymać wszelkie moje rzekome ambicje. Twój przyjaciele senatorowie nawet nie wspomnieli o mnie w swoich dekretach, mimo że uchwalili pięćdziesięciodniowe uroczyste obchody zwycięstwa nad Antoniuszem. Pięćdziesięciodniowe! Więcej niż w czasach jakiegokolwiek wojny! Nawet nie przeczytali narodowi mojej relacji z bitwy, ale twoją i owszem. Cały czas wychwalali tylko Decymusa Brutusa, jakby to on był jedynym współpracownikiem konsulów. Jemu w dekrecie przyznano prawo do triumfu. Jemu powierzono dowództwo nad legionami Antoniusza, które przeszły pod moje rozkazy, a które później powierzono tobie. Utworzyli również kolegium decemwirów, któremu wyznaczono zadanie przydziału żołdu... Dasz wiarę? Nawet wśród nich nie znalazło się miejsce dla mnie! To istna prowokacja... Nie, to zniewaga!

— Tak, słyszałem o tym, mój drogi, i bardzo mi przykro z tego powodu — odpowiedział z trudem Pansa. Oktawian sądził jednak, że konsulowi było to

zupełnie obojętne. Ten człowiek był czystym uosobieniem senatu. — Niestety, to oczywiste, że odkąd udało się przepędzić Antoniusza, nie jesteś im już do niczego potrzebny. Cieszysz się zbyt dużą popularnością wśród oddziałów, więc optymaci boją się ciebie. Jesteś dla nich niebezpieczny również dlatego, że Cezar wskazał ciebie jako swojego dziedzica, a wielu senatorów cieszyło się z jego śmierci. Mieli nadzieję, że ty i Antoniusz przytrzecie sobie rogów, i rzeczywiście, osłabiłeś go, co pozwoliło nam go pokonać. Zrobiłeś, co do ciebie należało, i nie jesteś już potrzebny.

Załamany Oktawian chwycił się za głowę.

— Napisali do Lepidusa, Munatiusa Plancusa i do Azyniusza Polliona... do wszystkich gubernatorów cezarian, wzywając ich, by ruszyli z atakiem na Antoniusza, ale nie do mnie... Nic, żadnego listu.

— A czego się spodziewałeś? Dla senatu śmierć Cezara stanowiła doskonałą okazję, by przejąć ster władzy w państwie i będzie trzymał z mordercami dyktatora, ponieważ tylko na nich tak naprawdę może liczyć, jeśli chce swobodnie rządzić Rzymem. Marek Brutus, Kasjusz Longinus, Decymus Brutus, Treboniusz... to senat! Natomiast Antoniusz, namiestnik Cezara, Lepidus, *magister equitum* Cezara, i ty, Oktawianie — jego adoptowany syn... Wszyscy jesteście potencjalnymi dyktatorami! Dlatego użyją wszelkich możliwych sposobów, by wyeliminować was z gry.

— W takim razie musisz mi pomóc, Panso. Jeżeli naprawdę kochałeś Cezara, jeżeli nie zdradziłeś go, a zdaje się, że zrobili to wszyscy, musisz mi pomóc.

— Ale jak? Wiesz, że w moim liście wspominałem o twojej chwalebnej postawie na polu walki i sugerowałem ojcom spisany, by zostawili tobie moje legiony, ale sam widziałeś, że na nic się to zdało. Teraz mogę ci służyć już tylko dobrymi radami.

— Chętnie ich wysłucham.

— Już ci je dałem, Oktawianie. To ty trzymasz w ręku armię. Żołnierze porzucili Antoniusza, dlatego że nie chciał pomścić śmierci Cezara, więc dekret senatu to za mało, aby przekonać ich do przejścia pod sztandar jednego z cezarów. Pusty śmiech bierze na samą myśl o tym, dlatego ich decyzja najlepiej pokazuje, jak krótkowzroczna jest ich polityka. Te legiony zawsze będą twoje, wykorzystaj to, aby nadal dysponować narzędziem nacisku. Wtedy będą zmuszeni brać cię pod uwagę... Cezar nauczył się, że kiedy podnoszą głowę, wystarczy przemówić głośniejszym głosem niż oni i robią się potulni

jak baranki. A wtedy...

— A wtedy? — Oktawian chłonał słowa Pansy.

— Już ci mówiłem: wtedy... ty, Antoniusz i Lepidus podejmujecie współpracę, ponieważ macie wspólne interesy. Senat wybrał już sobie przywódców wśród cesarobójców, nie chce was. Nigdy nie będzie was chciał. Uczynił wszystko, by was poróżnić, ponieważ wie, że jednocząc siły, we trzech, z łatwością narzucilibyście mu swoją wolę. Daliście się złapać w sidła. Antoniusz dlatego, że jest porywczy, ty, ponieważ jesteś jeszcze młody i niedoświadczony, a Lepidus jest gnuśnym darmozjadem. Gdybyście dogadali się od razu, cesarobójcom nie udałooby się umocnić wpływów we wschodnich prowincjach. Jeśli tylko przestaniecie prowadzić między sobą wojnę, od razu okaże się, że są zbyt słabi, by wam zagrozić... Ale może dopiero teraz nadszedł właściwy moment. Nie macie wyboru, jeśli chcecie przeżyć w polityce. I w ogóle przeżyć. Decyzje, do których nie doprowadziła was inteligencja, podejmiecie wiedzeni instynktem przetrwania. Chcesz się przekonać, że kiedy Antoniusz przejdzie na drugą stronę Alp, Lepidus nie zaatakuje go, nawet jeśli otrzyma taki rozkaz od senatu?

Chłopak zamyślił się. Pansa mądrze doradzał mu prowadzenie podwójnej gry. Pozwolić Antoniuszowi odzyskać siły, po to by senatorowie znowu zaczęli traktować znienawidzonego przez nich spadkobiercę Cezara jako jego przeciwnika, a jednocześnie dążyć do porozumienia z Antoniuszem, co zresztą było zamiarem Oktawiana od samego początku. Bo on kierował się inteligencją! To Antoniusz niczego nie rozumiał, sfrustrowany głupiec! Nie Oktawian był teraz jego wrogiem i najwyższy czas, by zechciał to zrozumieć. Pansa właśnie dał Oktawianowi cenną lekcję polityki, za co chłopak był mu niezmiernie wdzięczny.

Spojrzał z uznaniem na konsula, ale ten był już u kresu sił. Długa rozmowa wyczerpała go całkowicie. Jego oddech zrobił się ciężki. Oczy miał szeroko otwarte z wysiłku, usta wykrzywiły się w bolesnym grymasie. Rzeczywiście wyssał z niego resztki sił. Ale uzyskał to, czego chciał. Podniósł się zadowolony i pozdrowił Pansę, obejmując go na pożegnanie. Magistrat pokiwał głową i wyczerpany zamknął oczy.

Oktawian otrzymał pomoc, na której mu zależało. Teraz wiedział, co ma robić.

XXI

Agrypa kiwnął do Gajusza Cherei i centurion podał mu bukłak z winem. Jego ciężar okazał się zbyt duży dla chłopaka. Rana w jego boku zaczęła pulsować wskutek nadmiernego wysiłku. Nie chciał pokazać, że cierpi, lecz Cherea zauważył grymas na jego twarzy i podbiegł, by go podtrzymać. Agrypa powstrzymał go gestem sprzeciwu i zrobił krok w stronę płonącego przed nim paleniska. Otrzymał od Oktawiana zaszczytną rolę czynnego uczestnictwa w pogrzebie obu konsulów i nie zamierzał przynieść przyjacielowi wstydu.

Spojrzał na niego. Młody wódz skinął głową, podszedł do szczątków Hircjusza i Pansy, po czym zaczął lać wino na palenisko. Kiedy to samo uczynili Agrypa, Mecenas oraz Rufus, ze stosu, na którym spoczęli obaj polegli dowódcy, uniosły się iskry i dym. Dookoła rozszedł się przyjemny zapach olejków, którymi natarto zwłoki. Żołnierze stojący w dwóch rzędach, pomiędzy którymi przeszedł orszak żałobny, zasalutowali, wyciągając przed siebie prawą rękę.

Agrypa poczuł na plecach bolesne mrowienie wywołane gorącym powietrzem, które biło od ognia. Oparzenia po walce z Aquilą wciąż dawały o sobie znać. Oktawianowi podano kolejny bukłak z winem, by powtórzyć rytuał. Żar zamienił się w płomień i znowu sypnęło iskrami. Syn Cezara odszedł na bok, ustępując miejsca swym przyjaciołom, którzy ponownie dołączyli do obrządku. Za nimi do stosu podeszli służący i polali mlekiem kości, których ogień nie zdążył strawić. Następnie wzięli ze stojących obok wozów dwa całuny, by złożyć na nich prochy zebrane szczypcami i łopatkami.

Legaci, trybunowie i centurionowie zaczęli po kolei podchodzić, by pożegnać zmarłych. Każdy z nich zatrzymywał się na chwilę przed całunem i półgłosem wypowiadał kilka słów, by zaraz potem ustąpić miejsca następnemu żałobnikowi.

Galba, kiedy nadeszła jego kolej, popatrzył spode łba na Oktawiana i oddawszy hołd zmarłym, podszedł niego.

— Nigdy nie wybaczę ci tego, że nie zgodziłeś się, by wraz z nimi pożegnać również biednego Poncjusza Aquilę — szepnął, lecz na tyle głośno,

by słyszał go Agrypa i pozostali.

— A ja nigdy nie wybaczę ci, że zabiłeś mojego ojca. Jesteśmy więc kwita, morderco — wycedził Oktawian, patrząc mu prosto w oczy.

Agrypa z wielkim trudem powstrzymał uśmiech. Zwracanie się do Oktawiana z prośbą o wyprawienie pogrzebu mordercy jego ojca było bezgraniczną podłością. Nie ulegało wątpliwości, że Galba zrobił to, by sprowokować chłopaka. Chciał, by młody wódz stracił panowanie nad sobą i skompromitował się przed żołnierzami. Oficjalnie w tej sprawie został wysłany list z prośbą, ale Oktawian kategorycznie odmówił. Nie było potrzeby wracać do tematu. Galba wyraźnie szukał zaczepki. A jednak nic nie odpowiedział, tylko jeszcze raz rzucił im nienawistne spojrzenie.

„Kto wie, do czego by doszło — zastanawiał się Agrypa— gdyby wiedział, że Aquila nie zginął od ciosu jednegoz antoniuszowców w trakcie szturm na obóz”. Postanowił, że jeśli kiedyś nadarzy mu się okazja, by zemścić się także na samym legacie, zanim go zabije, nie omieszka mu wyjawić, kto uśmiercił Aquilę.

Gdy wszyscy oficerowie czekający na swą kolej oddali hołd poległym, pomocnicy zwinęli całuny i złożyli je na wozie. Po ich przewiezieniu do Rzymu miały się odbyć prywatne uroczystości żałobne, tym razem organizowane przez rodziny Hircjusza i Pansy oraz przez senat. Oktawian dał ręką znak, że ceremonia dobiegła końca. Legioniści wznieśli okrzyk będący wyrazem szacunku dla chłopaka, który odważnie przyjął na siebie obowiązek oddania ostatniej posługi ich dowódcom. Młody wódz udał się następnie do swojej kwatery głównej, a jegoludzie podążyli za nim.

— No cóż, miejmy nadzieję, że senat na równi z żołnierzami doceni to, co uczyniłeś dla jego dwóch najznamienitszych przedstawicieli, i że w końcu zechce traktować cię z należyłą powagą — powiedział Rufus. Odkąd Agrypa powrócił na łono sekty, Rufus nie zamienił z nim jeszcze ani słowa.

— Wątpię. Koniec końców, Hircjusz i Pansa byli nie tylko senatorami, ale także cezarianami, nielicznymi z tych, którzy naprawdę pozostali wierni twojemu ojcu — skomentował Mecenas. — W dzisiejszych czasach większą popularnością cieszą się antycezarianie niż cezarianie...

— Zważywszy na najnowsze wieści docierające z Forum Juliusza, sądzę, że senatorowie mimo wszystko szybko zrozumieją, iż muszą zacząć traktować mnie poważnie — oświadczył z zadowoleniem Oktawian.

— Dlaczego? Co się stało? — zapytał Agrypa.

— No właśnie, ty o niczym nie wiesz. Kiedy dzisiaj rano odpoczywałeś, by zebrać siły przed tym, cokolwiek by mówić, męczącym dla ciebie wydarzeniem, nie chciałem cię wywoływać z namiotu — wyjaśnił Oktawian. — Wygląda na to, że Lepidus, pomimo rozkazu wydanego przez senat, nie zamierza atakować Antoniusza, przyjął go bowiem z otwartymi ramionami. Ich wojska się połączyły, a Antoniusz przejął nad nimi dowodzenie, nad wszystkimi. Teraz podlegają mu jego legiony oraz sześć legionów Lepidusa. Jeśli dodasz do tego trzy legiony Publiusza Wentydusza, który się z nim połączył, jeszcze zanim wkroczył do Hiszpanii, zrozumiesz, że Antoniusz jest teraz silniejszy niż kiedykolwiek i znowu zaczyna budzić strach.

— A Decymus Brutus, który liczył na to, że chwyci Antoniusza w kleszcze, atakując go od tyłu z pomocą wojsk Lepidusa, które miały zablokować antoniuszowców, nic już nie wskóra. Tym bardziej że w jego armii właśnie wybuchła zaraza — dodał Mecenias. — Mam wrażenie, że ojcowie spisani szybko się z nami skontaktują. W Rzymie nie ma oddziałów, które mogłyby stanąć w ich obronie, w razie gdyby Antoniusz zdecydował ruszyć z Galii, żeby zająć *Urbem*, a Kasjusz i Marek Brutus są zbyt daleko, by przybyć z pomocą senatowi. Nie pozostaje im nic innego, jak skorzystać z pomocy naszych ośmiu legionów...

— To prawdziwe szczęście, że Martia Victrix i legion IV nie poszły za Decymusem Brutusem — kontynuował Oktawian. — Jest zbyt słaby, aby działać samodzielnie, a my mamy doskonałe karty przetargowe, by żądać mojej nominacji na stanowisko konsula. W Rzymie panuje taki chaos, że zawieszono wybory nowych konsulów. Zamierzam to wykorzystać. Napisałem do Cyncerona z propozycją współkonsulatu: on byłby konsulem seniorem, a ja młodym konsulem. Postanowiłem wykorzystać jego próżność i wyraźnie zaznaczyłem, że pozostawiłbym całkowicie w jego gestii podejmowanie wszystkich decyzji.

— Odpowiedział ci?

— Oczywiście! Zapewniam cię, był zachwycony. Niestety, napotkał opór. Senatorzy doskonale wiedzą, jak bardzo ten stary błazen jest łasy na pochlebstwa. Od razu domyślili się, że próbuję się nim posłużyć, ponieważ zbyt łatwo uległ moim propozycjom. Z politycznego punktu widzenia nie przyda się nam już do niczego. Nie cieszy się takim autorytetem jak niegdyś. Zgubiła go próżność. Pansa miał rację: teraz nikt nie będzie dla nas cenniejszym sprzymierzeńcem niż Antoniusz, a pośrednio także Lepidus.

— Ale Antoniusz jest na ciebie wściekły — odezwał się Rufus.

— Damy mu do zrozumienia, że nie ma powodu. W obecnej sytuacji bardziej powinien się obawiać senatu niż Oktawiana — wyjaśnił Mecenasa. — Nasza armia jest teraz języczkiem u wagi, gdzie na szalach ważą się losy jego, ojców spisanych i cesarobójców. Oto cztery siły polityczne, które sprawiają, że sytuacja polityczna jest tak skomplikowana jak nigdy wcześniej, w całej historii Rzymu. Mam wrażenie, że w tym rozdaniu będzie się decydowała przyszłość nie tylko nasza, lecz także przyszłość całej Republiki. Bez względu na to, kto zwycięży, Wieczne Miasto nie będzie już takie jak niegdyś.

— Możemy jednak ograniczyć liczbę graczy z czterech do dwóch. Należałoby stworzyć koalicje — dodał Oktawian. — Z jednej strony ja i Antoniusz, z drugiej senat i cesarobójcy. Złożyłem propozycję senatowi, ale ci dziecienniaki starcywołą morderców. Pomimo tego całego zła, jakie wyrządziłmi Antoniusz, gdy rozważam możliwość wejścia z nim w układ, nie zbiera mnie na wymioty tak bardzo jak na myślo porozumieniu z kimkolwiek, kto maczał palce w morderstwie mojego ojca.

— W przypadku wielu możliwości najlepszą strategią jest wstrzymanie się z działaniami, dopóki ich liczba sama nie ulegnie zredukowaniu — oświadczył podniosłym tonem Mecenasa. — Przekonajmy się, co zrobi senat z obawy przed Antoniuszem, dopiero potem podejmiemy odpowiednie kroki. Na pewno jednak nie pójdziemy im na rękę i nie będziemy prowokować Antoniusza...

Trybun stał na środku *praetorii* otoczony słuchającymi go uważnie ludźmi. Oktawian zajmował miejsce na krześle, za swoim pulpitem. Przyglądał się bacznie mężczyźnie, wodząc po ustach końcówką rylca, którym od czasu do czasu uderzał w woskową tabliczkę położoną tam celowo przez Mecenasa.

— To rozkaz uwolnienia, propretorze — powiedział Etrusk, zwracając się do chłopaka oficjalnym tonem. — Człowiek nazywa się Decjusz, służył w II legionie, gdy został wzięty do niewoli pod Mutiną.

Oktawian postanowił złożyć podpis pod dokumentem.

— Zgoda, Decjuzu, jesteś wolny. Możesz wracać do swojego dowódcy. I przekaz mu moje pozdrowienia – oznajmił z uśmiechem.

Oficer wydawał się kompletnie zdezorientowany. Milczał, rozglądając się

dookoła, jakby podejrzewał, że stał się ofiarą niewybrednego żartu.

— Co się stało, trybunie? Mów, jeśli chcesz — zachęcił go Mecenias.

Mężczyzna spojrzał na Oktawiana, szukając potwierdzenia. Dowódca pokiwał głową.

— No więc... — Zdobył się w końcu na odwagę. — Zastanawiam się, jeśli mi wolno... Co myślisz o Marku Antoniuszu?

Oktawian się skrzywił.

— Sądzę, że pokazałem już, co o nim myślę... Jeśli ktoś tego nie zrozumiał... cóż, i tysiąc słów by nie wystarczyło. Możesz odejść, trybunie.

Oficer wciąż zdawał się zbity z tropu. Zawahał się jeszcze przez chwilę, następnie skłonił się z szacunkiem i wyszedł z namiotu.

— Z nim mamy już czterdziestu siedmiu jeńców, których uwolniliśmy w ciągu ostatnich dziesięciu dni — powiedział Mecenias. — Oprócz pozostałych stu dwóch, którzyodeszli, po tym, jak ogłosiliśmy, że każdy, kto chce, może wrócić do Antoniusza.

— On również z pewnością dowiedział się, że senat postanowił powierzyć mi zadanie poprowadzenia wojska przeciwko niemu, razem z Decymusem Brutusem, i wie, że jeszcze się stąd nie ruszyłem. Sądzę, że zrobiłem już wszystko, co w mojej mocy, by dać mu do zrozumienia, że nie uważam go już za wroga...

Usłyszeli wołanie i zaraz potem na progu pokazał się Gajusz Cherea.

— Propretorze, z Rzymu przybyli decemwirowie. Polecono im ustalić wysokość żołdu dla legionistów — obwieścił.

— To śmieszne, że komisja, w której skład powinienem wchodzić, przybywa do mnie, by usłyszeć moje zdanie! — zachnął się znużony Oktawian. — Dobrze, powiedz im, żeby weszli.

— Właściwie... nie zamierzają rozmawiać z tobą, propretorze — wydukał Gajusz.

Oktawian zerwał się na równe nogi.

— Co to znaczy, że nie chcą ze mną rozmawiać?

— Oni... poszli rozmawiać bezpośrednio z żołnierzami. Obiecują im połowę wynagrodzenia teraz i drugą połowę po zakończeniu wojny, jeśli wyruszą z Decymusem Brutusem. I jeszcze jedno.

Oktawian rozłożył ręce i wznosił oczy ku niebu.

— Jeszcze? Czy może być coś jeszcze, na bogów?!

— Hm... Poszli rozmawiać tylko z Martia Victrice i z IV legionem,

z żołnierzami, którzy odeszli od Antoniusza. Pozostałe legiony pominięto.

Chłopak spojrział na Mecenasa.

— Chcą podburzyć żołnierzy przeciwko mnie, to oczywiste. Zamierzają skłócić ze sobą legiony, wprowadzając do nich rywalizację i zazdrość.

— Nie dziwi mnie to wcale — przyznał Etrusk. — Sądziłem, że uspią twoją czujność, przyznając ci wspólne dowództwo z Decymusem Brutusem, ale zobaczywszy, że nie podejmujesz żadnych kroków przeciwko Antoniuszowi, starają się teraz pozbawić cię oddziałów.

— A czego się spodziewali? Że kupią mnie jakimś nędznym, zwykłym stanowiskiem dowódcy? Prosiłem ich o konsulat i triumf, a spławili mnie byle czym. Kwintus Pediusz napisał do mnie, że kiedy w senacie pada moje imię, *patres conscripti* mówią o mnie „chłopiec”. Zaraz im pokażę, gdzie jest ich miejsce. Dziesięciu baranów! Idę natychmiast powstrzymać żołnierzy!

Mecenas położył dłoń na jego ramieniu.

— Zaczekaj. Poniżysz się tylko i wyjdiesz na miotającego się suplikanta. Pozwól, że najpierw ja tam pójde. Muszę ich przygotować.

Oktawian zatrzymał się i zaczął rozważać słowa przyjaciela. W końcu przytaknął.

— Niech będzie. Daję ci godzinę, żebyś ich urobił.

Mecenas objął Chereę w pasie.

— Gajuszu, chodź ze mną do obozu Martiae Victricis i legionu IV. Zobaczymy, co da się zrobić.

Gdy tam dotarli, zobaczyli, że wieści już się rozeszły i że poza legionistami należącymi do obu formacji byli tam także ludzie z innych legionów stacjonujących w przyległych obozach. Oficerowie i przedstawiciele żołnierzy zgromadzili się wokół podium na polu ćwiczebnym przylegającym do wału. Na trybunie dziesięciu wysłanników senatu prowadziło ożywioną dyskusję.

— Przejdź się wśród tłumu i przekaz żołnierzom to, co ci mówiłem. Pospiesz się! — krzyknął Mecenas do Cherei. — Ja zrobię to samo wśród oficerów.

Etrusk zaczął się przepychać wśród zgromadzonych i podszedł do ludzi przy podium, gdzie spostrzegł znajomego trybuna. Chwycił go za ramiona i krzyknął mu prosto w twarz:

— Jak śmiecie rozmawiać z tą komisją za plecami waszego dowódcy? Jeszcze do was nie dotarło, że senat cały czas was zwodzi? Jak możecie im

ufać?

— Byliśmy po prostu ciekawi, Mecenasi... — tłumaczył zakłopotany oficer. — Chcieliśmy posłuchać, co mają do zaoferowania, to wszystko. Ja...

— Senatorowie uznali, że przejmą na siebie obowiązek wypłaty żołdu, który obiecał wam Oktawian, ale niczego wam potem nie dali. Teraz obiecują wam połowę. Na jakiej podstawie przypuszczacie, że wypłacą wam drugą część? Oktawian przynajmniej udowodnił, że jest słowny. Wypłacił wszystko, zgodnie z wolą Cezara, mimo że musiał się zadłużyć!

Jeden z dziesięciu wysłanników, zauważywszy, że ktoś podburza zebranych, zwrócił się do tłumu podniesionym głosem:

— Żołnierze! Nie możecie pokładać całej nadziei w jednym człowieku. Uwierzcie senatowi! Jest to bowiem jedyny organ, którego władza nie przemija! I jednocześnie jedyny naprawdę godny zaufania!

Ale Mecenasi się nie poddawali.

— Legioniści, czy taka jest cena, jakiej żądacie za służbę mordercy waszego ukochanego niegdyś wodza? Połowa tego, co obiecał wam wypłacić jego syn?

Coraz więcej żołnierzy zdawało się przysłuchiwać słowom Mecenasowi, a jednocześnie coraz mniej zważało na decemwirów. Nawet ludzie na podium przestali zwracać uwagę na legatów i skupili się na tym, co mówił Etrusk.

To dodało mu odwagi. Kontynuował w nadziei, że Cherea także wykonuje swoją część zadania.

— Czyżby Oktawian pomylił się, traktując was jak bohaterów, lojalnych i wiernych swoim ideałom? Wystarczy garść sestercji, byście porzucili sprawę, do której wcześniej byliście tak bardzo przekonani, że pozwoliliście Antoniuszowi, by was zdziesiątkował? Pozwolicie się poróżnić z kompanami, którzy walczyli u waszego boku, przyjmując żołd, którego im nie zaproponowano?

Dookoła gromadziło się coraz więcej ludzi. Ci, którzy stali dalej, dowiadywali się, o czym jest mowa, od swoich towarzyszy znajdujących się bliżej trybuny. Z ust do ust przekazywano sobie wieści, które rozprzestrzeniały się z niebywałą prędkością. Mecenasi zauważyli, że przysłuchują mu się uważnie także żołnierze z innych oddziałów. Niektórzy z nich popychali legionistów Martiae Victricis, zarzucając im zachłanność i niewdzięczność.

Postanowił niezwłocznie to wykorzystać.

— A wy, żołnierze z legionów, które nie miały tego szczęścia i nie były mamione przez senat, jak możecie tolerować tak niesprawiedliwe traktowanie? Czy decyzja ojców spisanych, by nagrodzić tylko wybrane oddziały, nie jest dla was upokarzająca? Przecież wasze poświęcenie i niebezpieczeństwa, na jakie byliście narażeni, niczym się nie różniły od tego, co przeszli wasi bracia. Nie rozumiecie, że chcą was skłócić, aby pozbawić syna Cezara władzy i wpływów? Nie widzicie, że pragną, byście ze sobą walczyli?

— Przeklęty senat! — rozległ się pierwszy okrzyk.

— Oktawian jest naszym dowódcą! Niech on pomówi z tymi głupcami!

Za kolejnym rozległy się od razu następne:

— Nie powinniśmy pertraktować z przedstawicielami senatu bez syna Cezara! On troszczy się o nasze sprawy!

Fala żołnierzy oddaliła się od trybuny i przesunęła się dalej. Mecenas poczuł, że unoszą go w kierunku przeciwnym do wału. Nagle płynący tłum się zatrzymał.

— To on! Już jest! Oktawian jest tutaj. Chwała Oktawianowi! Przyszedł zadbać o nasze interesy!

Etrusk szukał wzrokiem przyjaciela i dopiero po dłuższej chwili udało mu się dostrzec go wśród mrowia ludzi. Szedł między żołnierzami pewnym krokiem, a legioniści rozstępowali się przed nim, wykrzykując w jego stronę słowa uznania i zachęty. Oktawian dotarł do trybuny, wszedł na nią, nie spoglądając nawet przelotnie na przedstawicieli senatu. Zignorował ich tak, jak oni zignorowali jego.

Następnie uciszył żołnierzy. Wszyscy wpatrywali się wyczekująco w jego usta, a on z kolei przeszył swoim ognistym wzrokiem każdego z legionistów stojących w pierwszym szeregu. Mecenas spojrzał na jego twarz i miał już pewność, że przyjaciel wie, co należy robić.

— Żołnierze! Do dzisiaj i ja, i wy uważaliśmy, że winniśmy pielęgnować pamięć o Cezarze i pomścić jego śmierć— zawołał. — Senat jest pod wpływem rodzin tych, którzy zamordowali dyktatora, i zawsze był przeciwny wymierzeniu sprawiedliwości. Współpracując z senatem, a tym samym pośrednio z mordercami waszego wodza, zamordowalibyście Cezara po raz drugi. Nie mielibyście również żadnej gwarancji, że otrzymacie ziemię i pieniądze, tak jak ja nie miałbym żadnej gwarancji, że dożyję jutra. Nie

mówię do was przez wzgląd na własny interes. Wiecie, że niekierują mną ambicje, a jedynie wdzięczność wobec mojego ojca i miłość do niego. Dlatego z pokorą przyjmę to, co los dla mnie przyszykował, i jestem gotowy na poświęcenia, ponieważ zemsta za śmierć Cezara to zaszczytne zadanie. Niestety, o was się boję, o was, którzy okazaliście swoje męstwo i tak licznie stanęliście gotowi na moje rozkazy. Kto będzie was chronił? Kto naprawdę zadba o wasze interesy, skoro chcecie pozwolić, abym stanął bezbronny przed moimi wrogami? Widzę już tylko jedną drogę ratunku dla siebie i dla was: muszę zostać wybrany na konsula, z waszą pomocą. Tylko w ten sposób będziecie mogli otrzymać to wszystko, co obiecał wam mój ojciec, a nawet więcej, bo także to, co ja wam obiecuję: ziemie, kolonie i sprawiedliwość, przypominam bowiem o karze za morderstwo waszego dowódcy. Gdy ją wymierzimy, zwolnię was z obowiązku walki w kolejnych wojnach i będziecie mogli zacząć korzystać z zasłużonego odpoczynku!

Kiedy przerwał, na polu panowała niczym niezmacona cisza. Ponownie zaczął się przyglądać ludziom stojącym w pierwszych rzędach.

— Na Rzym! Na Rzym! — rozległo się nagle wołanie w szeregach.

— Tak! Naprzód, wszyscy na Rzym! Oktawian na konsula! — Okrzyk ten niósł się wkrótce niczym echo.

Mecenas spojrział na Oktawiana z dumą. Udało się. Teraz należało przystąpić do decydującej rozgrywki.

Gajusz Cherea poczuł onieśmienie, którego nie doświadczał, nawet stojąc osobiście przed Juliuszem Cezarem, gdy spotkał się z nim po raz pierwszy. Przyglądał się majestatycznemu gmachowi Kurii Pompejusza, który wznosił się pośrodku tylnej kolumnady portyku otaczającego obszar teatru wybudowanego przez największego wroga Cezara.

Centurion zastanawiał się, co może być przyczyną jego zmieszania. Może fakt, iż za chwilę miał wejść do sali, w której został zamordowany dyktator, a może konieczność wystąpienia przed całym senatem w miejscu, gdzie odbywały się wszystkie pamiętne zebrania, które decydowały o późniejszych losach świata? Teraz od niego miała zależeć przyszłość Rzymu. Wraz z powierzonymi mu legionistami szykował się do przeprowadzenia akcji, która prawdopodobnie przejdzie do historii.

Zatrzymał się przed wejściem do budynku, gdzie dwóch zdezorientowanych wartowników zastanawiało się, czy powinni zagrozić mu drogę, czy raczej uciekać co sił w nogach. Obejrzał się za siebie, jakby

chciał sprawdzić, czy czterystu przybyłych z nim do miasta oficerów wciąż znajduje się za jego plecami, by służyć pomocą, kiedy przyjdzie mu stawić czoła bezgranicznej pysze rzymskiej arystokracji. Byli tam, gotowi go wspierać, lecz szczęśliwi, że to nie oni muszą przemawiać. Cherea był pewny, że żaden z nich nie ma zamiaru wypowiadać się pod ostrzałem surowych spojrzeń senatorów zasiadających w swoich ławach.

Aby dodać sobie animuszu, pomyślał, że Oktawian naprawdę musi darzyć go estymą, skoro postawił go na czele delegacji, która miała użyć siły wobec senatorów. Ale przyszło mu także do głowy, że został tam wysłany, ponieważ Agrypa był wciąż chory, z kolei Mecenasa i Rufusa Oktawian bardziej potrzebował na froncie. Wojna przeciwko Antoniuszowi i Lepidusowi, uznanym oficjalnie przez senatorów za wrogów państwa, straciła nieco na sile, zaś kontakty wodza sekty z oboma rebeliantami przybrały na intensywności i w zasadzie trwało swego rodzaju zawieszenie broni. Oktawian prowadził bardzo delikatną i skomplikowaną grę. Wystarczył pozornie błahy powód, by zburzyć misternie tkany plan.

— Jestem Gajusz Cherea, prior legionu Martia Victrix— odezwał się w końcu do strażników przerażonych widokiem czterystu żołnierzy stojących w szeregach wzdłuż fasady budynku. — Przybywam wraz z moimi kompanami w imieniu Oktawiana, syna Cezara, aby wziąć udział w obradach senatu.

— Prawo... prawo nie przewiduje, by uzbrojeni żołnierze mogli swobodnie wkraczać do miasta. Tym bardziej nie wolno im wchodzić do świętego miejsca, w którym gromadzi się senat. Jeśli natomiast chodzi o udział w obradach *patrum conscriptorum*... — Strażnik musiał wykorzystać całą pokładę odwagi, by odpowiedzieć w ten sposób.

— Tym razem trzeba będzie zrobić wyjątek — powtórzył śmiało Cherea. Wiedział, że może wejść w każdej chwili. Strażnik też miał tego świadomość.

— Ale... nie możecie wejść wszyscy. Jest was zbyt dużo...

Gajusz uznał, że uwaga jest słuszna. Nigdy nie był wewnątrz auli. Tej przeklętej auli. Słyszał, że jest ogromna, ale czterystu żołnierzy to istotnie bardzo dużo. A jednak stawili się tam razem z nim, by wzbudzić strach wśród tych starych błaznów.

W końcu zwrócił się do ludzi, którzy z nim przybyli:

— Stu z was za mną do środka! Pozostali niech utworzą kordon wokół budynku.

Następnie rozkazał swojemu *optioni*, aby podzielił żołnierzy na dwie grupy. Kiedy stu wybranych oficerów było już gotowych do wejścia, otworzył z pomocą podległych mu legionistów ciężkie wrota. Ojcowie spisani oczekiwali go, powiadomił bowiem o swoim przybyciu z wyprzedzeniem, żądając zwołania obrad senatu. W duchu liczył na to, że liczba obecnych będzie wystarczająca i każda uchwała, jaką zdoła na nich wymusić, uzyska automatycznie wiążący charakter. Miał również nadzieję, że potraktowali poważnie jego pogroźki, ponieważ zapowiedział, że jeśli nie zjawią się na posiedzeniu, uda się do siedziby każdego z nich i przywlecze ich na miejsce siłą.

Drzwi otworzyły się z ciężkim skrzypieniem i oczom Gajusza ukazało się imponujące pomieszczenie, w którym każda rzecz i każda osoba wydawały się drobinami. Posągi ustawione w eksedrach, wysoko umieszczone okna, po przeciwnej stronie, w głębi, podium, ławy senatorów oraz sami senatorowie obecni w liczbie, która zdawała się zadowalająca. Instynktownie zaczął szukać wzrokiem haniebnego posągu Pompejusza, przy którym – o ironio! – Cezar zginął pod ciosami spiskowców. Dostrzegł ją na podium, a przynajmniej domyślał się, że jest to właśnie ta rzeźba. Na jej widok poczuł ścisk w żołądku. Następnie powiódł wzrokiem w stronę senatorów zajmujących miejsca po prawej i po lewej stronie, wzdłuż bocznych ścian. Był poruszony tym widokiem. Wkrótce miał przemówić przed ludźmi pokroju Cyclerona. Audytorium z pewnością da mu odczuć swoją pogardę, gdyż bez wątpienia pogwałcił, ich zdaniem, święty charakter tego miejsca.

Podszedł parę kroków do przodu, do stóp podium. Nikt tam nie zasiadał – dwie ławy konsulów stały puste, ponieważ obecnie stanowiska nie były obsadzone. Przemknęło mu przez myśl, by wejść po schodach i stanąć między pustymi ławami. Ostatecznie postanowił jednak stanąć na stopniach. Senatorowie w milczeniu wpatrywali się w niego i w żołnierzy. Nie padło ani jedno słowo. Coraz wyraźniej wyczuwał ich wrogość. Przemowa w takich warunkach nie była łatwym zadaniem, ale nie mógł zawieść Oktawiana, więc przemógł się i zaczął:

— Dostojni senatorowie! Nazywam się Gajusz Cherea. Jestem centurionem w legionie Martia Victrix i poprosiłem o spotkanie z senatem, aby przedstawić wam żądania żołnierzy. Czują oni, że Republika, za którą walczyli i dla której ponieśli wiele wyrzeczeń, nie potraktowała ich sprawiedliwie.

Zebrani wciąż milczeli, tymczasem wśród oficerów rozległ się delikatny szmer. Cherea był pod wrażeniem pogłosu, z jakim jego słowa odbijały się od ścian pomieszczenia.

Ponieważ nikt mu nie przerywał, musiał kontynuować swoje wystąpienie.

— Wciąż bardzo dobrze pamiętamy zmagania z oddziałami Antoniusza, z którymi przyszło nam walczyć w czasie wojny domowej. Wzięliśmy w niej udział, ufając obietnicom złożonym przez naszego dowódcę, Oktawiana, a następnie potwierdzonym przez państwo. Niestety, do dzisiaj nie otrzymaliśmy nic z tego, co nam obiecano. Niedawno oznajmiono nam wręcz, że zostanie wypłacona zaledwie połowa żołdu, i to tylko dwóm legionom z ośmiu. Żądamy wypłaty ustalonego wynagrodzenia!

Zamilkł. Z zainteresowaniem obserwował reakcję swojego audytorium i czekał na odpowiedź. Nie otrzymał jej od razu, lecz cisza oczekiwania była przerywana głosami wtórujących mu oficerów.

— Ale... wojna przeciwko Antoniuszowi jeszcze się nie zakończyła. Dlaczego mielibyśmy płacić wam już teraz? — odezwał się w końcu jeden z senatorów, którego imienia Gajusz nie potrafił sobie przypomnieć.

Gwar wśród oficerów wzmógł się. Cherea musiał podnieść głos, aby wszyscy usłyszeli jego słowa.

— Zapłata należy się nam za to, co zrobiliśmy dotychczas, senatorze. Wzięliśmy udział w dwóch decydujących bitwach w całej kampanii. Cokolwiek się teraz wydarzy, będzie to już inna wojna. Poza tym zapłata obiecana przez Oktawiana, a potwierdzona przez was, była formą werbunku, dlatego należała się nam z góry.

Wierzył, że dzięki szczegółowym instrukcjom otrzymanym od Oktawiana i Mecenasa każda jego riposta będzie trafiała w sedno.

— Niestety, skarb państwa jest właściwie pusty, centurionie... Cezar i Antoniusz całkowicie go opróżnili — oświadczył kolejny senator, którego twarz również nic niemówiła Gajuszowi.

— Za pozwoleniem, senatorze, mam co do tego pewne wątpliwości. A poza tym możecie nam zapłacić przydziałem ziem. Prawo nam to gwarantuje!

Mecenas polecił mu, aby po kilku sprzeciwach przeszedł do pogrózek i Cherea ochoczo zastosował się do tej rady. Atakując, mógł łatwiej zamaskować swoje zakłopotanie i nieśmiałość.

— Założmy, że bylibyśmy skłonni opróżnić do końca *aerarium*²⁹, ale wy

musielibyście wówczas przejść pod rozkazy prokonsula. Nie możecie służyć propretorowi, ponieważ to Decymus Brutus jest obecnie najwyższym postawionym urzędnikiem godnym naszego zaufania i dla niego powinniście walczyć.

Kolejny senator, kolejna bzdura. Ale Oktawian przewidział, że będą próbowali poróżnić go z żołnierzami.

— Najpierw musimy rozwiązać zasadniczy problem— odpowiedział Gajusz. — To Oktawian wygrał bitwę. Decymus Brutus wytrzymał oblężenie w mieście tylko dzięki nam. Nikt bardziej niż syn Cezara nie zasługuje na objęcie dowództwa nad armią, *nad ośmioma legionami, które oddały się pod jego rozkazy*. I nikt bardziej niż on nie zasługuje na tytuł konsula. Leży to również w waszym interesie, ponieważ w ten sposób zyska prestiż niezbędny, by poprowadzić oddziały do walki, która zapowiada się na bardzo ciężką. Mam na myśli wojnę z Antoniuszem i Lepidusem.

Senat nie musiał wiedzieć, że Oktawian i Antoniusz uzgodnili właśnie warunki zawieszenia broni. Najważniejsze było to, aby przekonać *patres conscriptos*, że stanowisko konsula zmotywuje Oktawiana do podjęcia działań wojennych.

— Syn Cezara otrzymał od nas rozkaz wznowienia walk przeciwko Antoniuszowi, a mimo to nie uczynił zupełnie nic, nie dołączył nawet do Decymusa Brutusa — zauważył jeden z senatorów.

— Ponieważ bez odpowiedniego stanowiska czuje się, jakby miał związane ręce — odparł Gajusz.

— Jest zbyt młody, by zostać konsulem! — krzyknął kolejny z oburzeniem.

Oktawian wiedział, że ten zarzut się pojawi, toteż szczegółowo poinstruował Chereę.

— Zbyt młody? Czy Scypion Afrykański nie był za młody, gdy obejmował stanowisko konsula? A Scypion Emilian? Przykładów nie brakuje także w bliższych nam czasach. Wystarczy wspomnieć Pompejusza Wielkiego i Dolabellę. Przecież sami upoważniliście Oktawiana do przedstawienia kandydatury na dziesięć lat przed terminem określonym prawem. Panowie, to naprawdę wyjątkowo śmieszna wymówka. Dajcie swoje przyzwolenie i wszyscy będziemy usatysfakcjonowani! — zakończył zgodnie ze scenariuszem nakreślonym przez Mecenasa.

— Ależ to niebywałe! Ten chłopiec wysyła do nas swoich żołnierzy i żąda,

byśmy dali mu stanowisko konsula, strasząc, że w przeciwnym razie odbierze Republice osiem legionów, w czasie gdy my musimy walczyć z wrogami państwa.

— To szantaż!

Senatorowie odzyskali rezon i zaczęli z ożywieniem protestować. *Ze zbyt dużym ożywieniem.* Dobywszy gladiusa, Gajusz kilka razy uderzył ostrzem w marmur. Pozostali oficerowie poszli za jego przykładem i wkrótce złowrogi szcęk stu mieczy wypełnił całe pomieszczenie, odbijając się echem o ściany i ogłuszając ojców spisanych.

To wystarczyło, by zdobyć ich zainteresowanie.

— Spodziewam się, że natychmiast przeprowadzicie głosowanie. Pięć tysięcy sestercji na głowę dla wszystkich legionów i konsulat dla Cezarowego syna.

Zgodnie z instrukcjami wszystko miało wyglądać na inicjatywę żołnierzy, którą Oktawian wyłącznie zaaprobował.

— To nadużycie! Mamy do czynienia z nowym Cezarem— wołano z najdalszych ław. Reszta senatorów jednak milczała.

Gajusz uniósł w górę gladius, jakby chciał go wszystkim pokazać, i powiedział:

— Ponieważ wy nie zamierzacie dać Oktawianowi stanowiska konsula, da mu je ten oto miecz!

Słowom tym zawtórowały wiwaty pozostałych żołnierzy, a potem zapadła cisza. Senatorowie zrobili się jeszcze mniejsi niż w chwili, gdy Cherea spoglądał na nich z podium. Wtedy podniósł się kolejny z nich i tym razem Gajusz go poznał: był to Cynceron. Stary niedojda. W końcu się ruszył.

— Skoro prosicie o to w taki sposób, żołnierze, nie pozostaje nam nic innego, jak dać wam to — powiedział i ponownie usiadł.

Tylko tyle? Gajusz był rozczarowany, lecz Oktawian przewidział i to. Powiedział Cherei, że Cynceron swoimi wystąpieniami wystawia się już tylko na pośmiewisko i że należy pozbyć się złudzeń co do tego człowieka. Gdyby nawet miał powiedzieć coś na korzyść Oktawiana, przemowa oratora i tak nie sprawiłaby, że żądania Cherei zostałyby spełnione.

Miecz. „Miecz to jedyne, co mamy w zanadrzu i co może wstrząsnąć tymi ludźmi” — pomyślał centurion.

Drzwi zadrżały pod gwałtownymi uderzeniami. Ktoś w nie walił. Gajusz obudził się tak nagle, że śpiąca obok niego Fabia i mały Marek, który przyszedł do nich w nocy, aż się zatrzęśli. Mężczyzna usiadł na łóżku i przez jakiś czas czekał, by opanować natłok myśli, z którymi zasypiał poprzedniego wieczoru. Od dawna nie czuł się tak spełniony. W senacie uzyskał wszystko, czego żądał, dlatego postanowił spędzić noc ze swoją rodziną, zaraz potem wracał bowiem do Oktawiana, aby z należytymi honorami eskortować go do Rzymu, gdzie młody wódz miał objąć stanowisko konsula. Zasypiał szczęśliwy. Wyglądało na to, że udało się położyć kres wojnie domowej, Oktawian osiągnął jeden z najważniejszych celów, a on sam wypełnił swoje zadanie najlepiej, jak potrafił. Poza tym po miesiącach wojennych trudów w końcu mógł się rozkoszować ciepłem domowego ogniska z najdroższymi mu osobami. Sprawy nie mogły pójść lepiej.

— Spodziewasz się kogoś o tej porze? Tak wcześnie?— zapytała wyrwana ze snu kobieta.

— Nie, oczywiście, że nie. — Z niepokojem wpatrywał się w półprzymknięte okiennice. Świat wciąż był pogrążony w nocnym mroku. Wstał tknięty obawą i w tej samejchwili rozległ się jeszcze głośniejszy łomot niż wcześniej. Podszedł, by otworzyć drzwi, i ujrzał przed sobą wyraźnie zdenerwowanego Lucjusza Pinariusza w niedbale zawiązanej todze. Był nieogolony, a włosy miał w nieładzie; wyglądał jak po nieprzespanej nocy lub jakby ubierał się w ogromnym pośpiechu.

Cherea wyszedł za próg. Nie chciał, aby jego kobieta przysłuchiwała się rozmowie o sprawach sekty.

— Gajuszu Chereo, senat zmienił zdanie — pospiesznie zakomunikował mu Pinariusz. — Wczoraj po południu, po zakończeniu obrad, przyszła wiadomość, że legion, o którego przysłanie zwrócono się do prokonsula Afryki Kornificjusza, dobija właśnie do brzegów i wkrótce pojawi się w Rzymie. Dlatego też krewni morderców Cezara nakłonili w nocy pozostałych, by cofnąć dekret, którym wam przyznano pieniądze, a Oktawianowi stanowisko konsula.

— Mamy poważne problemy — ocenił Gajusz.

— Na tym nie koniec. Spodziewają się reakcji Oktawiana. Dowiedziałem się od jednego z przekupionych senatorów z przeciwnej frakcji, że zamierzają wziąć jako zakładników jego siostrę i matkę. Musisz niezwłocznie udać się

do nich i ukryćje w bezpiecznym miejscu.

Gajusz był przerażony.

— Na bogów! Nie możemy ryzykować wojny domowej z senatem i cesarobójcami, nie wiedząc nic o zamiarach Lepidusa i Antoniusza! Niech to szlag, wzięli nas w dwa ognie!

— Najważniejsze teraz to zapewnić bezpieczeństwo Oktawii i Atii — naciskał Pinariusz. — Rozmawiałem już z przełożoną westalek. Zgodziła się dać im schronienie.

— Tak, oczywiście... Niestety, mam niewielu ludzi do dyspozycji. Niemal wszystkich odesłałem wczoraj do Oktawiana z dobrymi wiadomościami.

— Musisz sobie poradzić z tymi, których masz. Ja i Pediusz pójdziemy z tobą. Spotkamy się za godzinę w domu Oktawii. Ściągnij tylu ludzi, ilu zdołasz — dodał na koniec senator, wsiadając z powrotem do lektyki, która chwilę później zniknęła między uliczkami Subury.

Gajusz wrócił do domu. Wyjął ze skrzyni swój ekwipunek, obmył twarz wodą z miski i zaczął się ubierać. Rzucił ostatnie spojrzenie w kierunku syna śpiącego spokojnie w ich łóżu. Zastanawiał się, czy jeszcze go zobaczy. Sytuacja zaczynała się pogarszać. Oktawian był właściwie przyparty do muru. Stali u progu kolejnej wojny domowej o dużo większym zasięgu niż ta, która niedawno dobiegła końca.

— Musisz do niej iść, prawda? — zapytała Fabia.

— Trzeba natychmiast zaprowadzić rodzinę Oktawiana w bezpieczne miejsce — odpowiedział po chwili wahania.

Jak się domyśliła? Westchnęła, ale nic więcej nie powiedziała. W milczeniu pomogła mu się ubrać, założyła mu napierśnik i ułożyła w taki sposób, aby gładko, bez żadnych fałdów, przylegał do jego posągowej piersi. Następnie podała mu hełm i dopiero wtedy udało się mu odważnie spojrzeć jej w oczy. Wyczytał w nich niepokój i smutek. Delikatnie ujął jej ramiona.

— Posłuchaj. Nie musisz się niczego obawiać. Ciebie kocham i ciebie wybrałem. Bo tylko z tobą mogę być szczęśliwy, nie z nią. — Przytulił ją, nie czekając na reakcję. Po raz ostatni spojrzął na dziecko i wyszedł, mając nadzieję, że mu uwierzyła. I mając nadzieję, że była to prawda.

Czasu miał niewiele. Udało mu się zebrać tylko ośmiu ludzi, w tym centurionów i *optiones*. Zabrał ich ze sobą na Awentyn. Tymczasem słońce zaczęło nabierać kształtów wyraźnej tarczy i promieniało nad Eskwilinem, rzymskim wzgórzem wysuniętym najbardziej na wschód. Rodziny Marcjusza

Filipa i Klaudiusza Marcellusa mieszkały po sąsiedzku, w dwóch oddzielnych, lecz przylegających do siebie rezydencjach. Kiedy przyszło do podziału żołnierzy na dwie grupy, Cherea zawahał się. Musiał zdecydować, kto gdzie idzie. Chciał się opiekować Oktawią, wybrał jednak Atię.

Etain weszła do pokoju Oktawii z niespotykaną dla siebie gwałtownością. Siostra wodza nie miała zwyczaju spać mężem i początkowo, jeszcze w półśnie, pomyślała, że może to właśnie Marcellus przyszedł domagać się od niej, aby spełniła małżeński obowiązek. Kiedy zrozumiała, że to tylko jej powiernica, uspokoiła się. Dopóki nie dostrzegła jej wzburzonego wyrazu twarzy.

— *Domina*, pukają do drzwi. To żołnierze. Stróż nie wie, czy otwierać. Jest tak wcześnie, że nie ma nawet jeszcze klientów twojego męża — powiedziała Etain, dotykając swojego zaokrąglonego brzucha. Oktawia wciąż miała w pamięci smukłą figurę swojej służki i trudno było jej przywyknąć do widoku brzemia, które nosiła.

— Żołnierze? A co na to Marcellus? — Tym razem matrona nie potrafiła opanować zdenerwowania.

— Twój mąż nie wrócił na noc. Przyszli po niego z senatu, zaraz po tym, jak udałaś się na spoczynek. Wygląda na to, że po wczorajszych obradach późną nocą odbyło się drugie, tajne posiedzenie.

Oktawia od razu domyśliła się, że musi być jakiś związek między nieobecnością męża a zjawieniem się żołnierzy pod bramą. Wiedziała również, że Gajusz Cherea przebywa w mieście, i w duchu marzyła, by po drugiej stronie drzwi stał właśnie on. Być może przybył, aby oficjalnie powiadomić ją o tym, o czym już wszyscy wiedzieli: że Oktawian nareszcie otrzymał stanowisko konsula! Tymczasem pukanie do drzwi stało się tak bardzo natarczywe i głośne, że docierało już wyraźnie nawet do jej kubikulum. Zrozumiała, że nie ma wyboru. Obawiała się, że mogliby wyważyć drzwi, posłała więc Etain do stróża z poleceniem, by je otworzył. Następnie wstała i pospiesznie włożyła pallę. Zatrzymała się jeszcze przed lustrem, aby chociaż trochę ułożyć włosy. Jeżeli to Gajusz, nie chciała się mu pokazywać zaniedbana, jak jego kobieta.

Właśnie zaczęła upinać fryzurę szpilkami, gdy drzwi do jej pokoju ponownie się otworzyły. Jeden z niewolników wprowadził centuriona,

którego nigdy wcześniej nie widziała.

Oktawia zerwała się na równe nogi i powiedziała:

— To niedopuszczalne, by goście zamiast oczekiwać mego przybycia w przedsionku, wchodzili do prywatnych pokoi!

— *Domina*, nie chcieli zaczekać... — usprawiedliwił się niewolnik.

— Pani, otrzymałem rozkaz, by cię chronić, i przykazano mi, bym nie marnował czasu — oznajmił szorstko centurion.

— Kto dał ci takie rozkazy, centurionie? — zapytała Oktawia, wstając. W tej samej chwili zauważyła, jak wielka zmiana zaszła w niej od dnia, w którym rok temu, w idy marcowe, żołnierze wtargnęli do jej domu, by ją aresztować. Nie bała się, była opanowana i potrafiła zachować godność w starciu z centurionem.

— Z rozkazu senatu, pani. Wkrótce może dojść do zamieszek i ojcowie spisani chcą być pewni, że jesteś bezpieczna — odpowiedział żołnierz.

Nikła nadzieja, że wysłał go Gajusz Cherea, ostatecznie się rozwiąła. Oktawia poczuła, jak ogarnia ją przygnębienie. Zaczęła szukać miejsca, żeby usiąść. Może nie zmieniła się aż tak bardzo, jak sądziła. Mimo wszystko postanowiła nie siadać.

— Jestem siostrą nowego konsula. Najpierw powinniście porozumieć się z nim — odparła.

— Pani, nie ma żadnego nowego konsula. Dzisiaj rano senat opublikuje nowy dekret, który unieważnia wczorajszy.

Oktawia przełknęła głośno ślinę. Teraz wszystko było jasne. Lub prawie wszystko.

— Czy mój mąż zaakceptował dotyczące mnie dyspozycje? — zapytała, starając się opanować drżenie głosu.

— To była propozycja twojego męża i od razu została zaakceptowana — odparł oschle.

To ją załamało. Opadła bezwładnie na krzesło. Wiedziała, że Marcellus nie podziela jej poparcia dla Oktawiana i że czeka na jego porażkę, lecz nigdy nie przypuszczała, iż posłuży się własną żoną, by wyrzucić nacisk na swego szwagra.

— Będziecie musieli użyć siły — powiedziała odważnie. — Nigdzie nie pójdę.

Chciała sprawdzić, czy Marcellus dał także zgodę na to, by stosować wobec niej przemoc. Mimo wszystko rok w polityce nie poszedł na marne:

jej determinacja zdecydowanie wzrosła.

Centurion nie wiedział, co robić. Na twarzy Oktawii pojawił się przelotny uśmiech. A więc mąż nie spodziewał się, że będzie stawiać opór. Z drugiej strony jasne było, że żołnierz nie ma zamiaru zaniechać wykonania rozkazu otrzymanego od senatu.

Podszedł do kobiety.

— Pani, nie zmuszaj mnie, bym użył siły. Otrzymałem rozkaz i zamierzam go wypełnić — szepnął, a jego ponury wyraz twarzy sprawił, że Oktawię przeszył dreszcz.

Postanowiła nie ustępować. Przynajmniej jej mąż zrozumie, że posunął się za daleko.

— Nie ruszę się stąd.

Centurion pokiwał głową, zacisnął pięści ze złością i rozejrzał się dookoła, próbując coś wymyślić. Wtedy zauważył Etain, która weszła właśnie do kubikulum. Zbliżył się do niej, zacisnął jej palce na gardle i wyciągnął gladius.

— Zacznę od niej, pani. Zostaniesz bez niewolników, jeśli nie podporządkujesz się rozkazowi swojego męża i senatu.

Oktawia zachwiała się. Wiedziała, że nie może dłużej stawiać oporu, ale świadomość, że zamiast okazać się pomocą, stała się dla Oktawiana tylko przeszkodą, była dla niej frustrująca.

Etain drżała, lecz nie odezwała się. W jej stanie, w widocznej już ciąży, powinna być przerażona, a jednak sprawiała wrażenie, jakby miała nerwy ze stali. Być może ufała, że jej pani nie pozwoli, by stało się jej coś złego. A może po prostu była odważniejsza.

— Zostaw ją — odezwała się w końcu Oktawia. — Wypełniaj swoje rozkazy.

Nie było innego wyjścia. Siedziała nieruchomo, przygnębiona, wyrzucając sobie, że nie pomyślała od razu o tym, by zabezpieczyć się, na wypadek gdyby senat chciał zmienić zdanie. Zamiast tego beztrąsko świętowała niepotwierdzone jeszcze postanowienia dekretu. Brat z pewnością będzie bardzo rozczarowany jej zachowaniem.

Centurion, który nie odstępował od Etain, głośno wezwał swoich ludzi czekających w przedsionku. Wtedy zamiast odpowiedzi dotarł do ich uszu zdławiony krzyk, a zaraz potem donośny szczeł zbroi. Nie puszczając kobiety, żołnierz przesunął się w kierunku wejścia i ponownie zawołał

kompanów. Zamiast jednego z nich ujrzeli wchodzącego Gajusza Chereę. Znowu! Oktawia miała wrażenie, że powtórzyła się scena sprzed roku.

— Puść wolno tę kobietę, centurionie — nakazał Gajusz, mierząc w niego gladiusem.

— Słyszę, że wciąż tam walczą — odpowiedział oficer.— Nie wierzę, żeby udało wam się pokonać moich ludzi. Nie masz więc prawa wydawać mi rozkazów.

Wahanie Gajusza nie trwało długo.

— Wzięliśmy ich z zaskoczenia, to tylko kwestia czasu. Zostaw ją, powiedziałem!

— Przekonamy się więc niebawem. Zaczekajmy. — Oficer nie dawał za wygraną.

Zapadła pełna napięcia cisza. Oktawia zaczęła szukać wzrokiem czegoś, co mogłoby się okazać pomocne. Wstała z krzesła i zaczęła udawać, że krąży wokół niego nerwowo, ale w rzeczywistości zbliżała się powoli do toaletki i trzymając rękę przy palli, zgarnęła z blatu szpilkę do włosów. Centurion uznawszy, że jej spacer po kubikulum nie stanowi żadnego zagrożenia, ponownie skierował badawczy wzrok na Chereę, a na nią nie zwracał uwagi. Gajusz natomiast śledził każdy jej ruch. Oktawia zauważyła jego zdezorientowany wzrok. Zrozumiała, że nie chce jej narażać i uznał, iż w tej sytuacji jest zupełnie bezradna. Wkrótce i on miał się przekonać, że nie była dla sekty jedynie ciężarem... ani dziewczynką, z którą kiedyś był tak blisko.

Nie przestawała krążyć wokół krzesła, zataczała jednak coraz szersze kręgi, zbliżając się do miejsca, w którym stał centurion z Etain. Coraz głośniejszy łomot jej serca przeplatał się z odgłosami walki dobiegającymi z westybulu. Nieprzerwanie czuła na sobie wzrok Gajusza, nawet wtedy, gdy na nią nie spoglądał. Strach o Etain niemal całkowicie ją paraliżował. Zebrała w sobie wszystkie siły i mając pewność, że centurion znajduje się w zasięgu jej ręki, dała upust nagromadzonemu w niej napięciu. Rzuciła się między mężczyznę a wyzwolenicę i podczas gdy prawą ręką zadawała mu cios szpilką, lewą odepchnęła mocno Etain.

Zaraz potem gwałtowny ciepły strumień zalał jej twarz, szyję i ramiona. Zdążyła jeszcze dostrzec, jak żołnierz, krzycząc przeraźliwie, upuszcza miecz. Zasłonił swoje oko obiema rękoma, zaciskając palce wokół tkwiącej w nim wciąż szpilki. Etain upadła do przodu, a Gajusz rzucił się do niej, trzymając w pogotowiu obnażony miecz. Jego ostrze pewnie zanurzyło się

w szyi zranionego mężczyzny, który momentalnie runął na ziemię. Po chwili krzyk zranionego przeszedł w cichnące rżenie. Oktawia niezwłocznie podeszła do Etain i pomogła jej wstać, pytając, czy czuje się dobrze, na co dziewczyna pokiwała twierdząco głową. Wtedy matrona spojrzała w stronę Gajusza, czując przemożne pragnienie, by podbiec do niego i rzucić mu się na szyję. Ale centuriona już nie było. Z pewnością oddalił się, by wesprzeć swych kompanów, którzy nadal walczyli w przedsiönku.

Oktawia objęła więc Etain, która w końcu mogła dać ujście tłumionemu dotąd przerażeniu i zaniosła się spazmatycznym płaczem. Pani pogłaskała ją po twarzy i zaprowadziła na krzesło. Płacz przechodził powoli w łkanie. Obie wsłuchiwały się w docierające z drugiego końca budynku hałasy, krzyki, szcęk mieczy, łamane meble i rozbijane rzeźby. Wydawało im się, że czas się zatrzymał.

I nagle w całym domu nastąpiła cisza. Po paru chwilach przerwało ją dudnienie żołnierskich butów. Było coraz bliżej kubikulum. Oktawia i Etain mocno do siebie przywarły. Na progu pojawił się cień. Uspokoily się, dopiero gdy zobaczyły wchodzącego Gajusza. Za nim podążało trzech ludzi, najprawdopodobniej pozostających pod jego rozkazami. Szaty mieli powalane krwią, lecz nie własną.

— Bierz swoją córkę i idziemy, pani — nakazał Gajusz. — Twoi kuzyni, Pediusz i Pinariusz, są u twojej matki, w domu obok. Odprawdzimy was do westalek, tam nikt nie będzie mógł was tknąć.

Oktawia dała znak Etain, która kiwnęła głową i poszła po małą Marcellę.

Gdy zostali sami, matrona podeszła do centuriona:

— Po raz trzeci w ciągu roku ratujesz mi życie...

Zmieszany uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem.

— Ledwo zdążyłem. Byłem u twojej matki, ale kiedy moi ludzie spostrzegli, że żołnierze wysłani przez senat są już u ciebie, zawołali mnie i wszyscy razem wkroczyliśmy siłą do twojego domu.

Podeszła jeszcze bliżej.

— Chciałam powiedzieć... Jesteś w tym najlepszy ze wszystkich — szepnęła, zbliżając swoją głowę do jego, i popatrzyła na niego przenikliwie.

Gajusz zajrzał w jej oczy równie głęboko. Uniósł dłoń, przysuwając ją do policzka Oktawii, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał.

— I nigdy nie przestanę robić tego najlepiej, jak potrafię, czy to na rozkaz sekty, czy bez rozkazu — odpowiedział, głośno przelękając ślinę.

Na moment zamknął oczy. Ujęła jego dłoń i przyciągnęła ku swojej twarzy. Chciała, by powiodł ręką w dół, ale Cherea nagle się odsunął. Oktawia go puściła.

— Dlaczego nie? — zapytała z trudem.

Zawahał się.

— Ponieważ kocham moją kobietę — wymamrotał.

— Jesteś tego pewny?

Zawahał się ponownie.

— Tak.

— Niektórzy mężczyźni... *wielu* mężczyzn... kocha swoją partnerkę, lecz nie widzi problemu, by... spotykać się z innymi kobietami.

— Ja nie.

— Dlaczego?

Gajusz nie odpowiedział. Odwrócił się, westchnął głęboko i wyszedł z pokoju. „Dlatego że ze mną to byłoby coś więcej” — odpowiedziała sobie sama. Przyglądała się, jak odchodzi. Była bezpieczna, a jednak po jej policzkach spływały łzy.

XXII

Dolabella wychylił się przez dziób tiremy, wpatrując się w imponujące mury Laodycei, które odcinały się na tle syryjskiego wybrzeża. Morska bryza odgarniała do tyłu jego długie włosy, a łopocząca na jego ramionach toga sprawiała, że przypominał galion. W napięciu wyczekiwał momentu, gdy w końcu zejdzie na ląd i przejmie władanie nad prowincją, którą pomimo wszystkich niesprzyjających okoliczności uważał jednak za swoją. Velela miała wrażenie, że zniecierpliwiony mężczyzna za chwilę wskoczy do wody i dopłynie do brzegu wpływ.

— Starszyna laodycejska już na mnie czeka, panowie. Zadeklarowali, że poprą mnie, nie Kasjusza. Ten gest to znak od bogów, że czuwają nade mną — oświadczył uroczyście stojącym z tyłu ludziom ze swojego sztabu generalnego. Nie mając wyjścia, musiał przyjąć do grona najbliższych doradców także Ortwina. Oraz Velełę.

— Krążą słuchy, że Kasjusz zdołał już zebrać osiem legionów. A my mamy tylko dwa — zauważył Germanin.

Dolabella nie odwrócił się. Nie spuszczać oczu z coraz bliższego zarysu murów miejskich, odpowiedział:

— Zapominasz o legionach, o które poprosiłem królową Egiptu. Nie mówiłem ci, barbarzyńco, lecz Kleopatra odpowiedziała mi na krótko przed tym, jak wypłynęliśmy z Cylicji. W Laodycei czekają na nas cztery legiony należące do tych wojsk, które zatrzymały się nad Nilem po porażce Pompejusza Wielkiego w wojnie z Cezarem. Dzięki wysłannikom, którzy na mój rozkaz udali się do Licji, Pamfilii i właśnie do Cylicji, w najbliższych tygodniach powinienem otrzymać kolejne posiłki. Możemy tu ściągnąć cokolwiek, najważniejsze, żeby dało się to transportować drogą morską. Dlatego właśnie wybrałem to miasto. Kasjusz przybył do Syrii przede mną, ale bez Laodycei niewiele zdziała.

Velela wyobrażała sobie, jak bardzo Ortwin musi być poirytowany, dowiedziawszy się, że ukryto przed nim tak ważne informacje. Nie tak umawiali się z byłym konsulem.

— On także może otrzymać posiłki — odparł Germanin, usiłując zachować obojętność. — Nie zapominaj, że ma na wyciągnięcie ręki Marka

Brutusa i Tiliusza Cymbra. I że cieszy się dużym poważaniem wśród Partów, którzy także mogą mu przyjść z pomocą. Ty z kolei... nie masz co liczyć nawet na posiłki z Rzymu, dopóki Oktawian nie przekona senatorów, by cofnęli dekret, w którym uznano cię za wroga państwa.

— Mam cię dosyć! Przynosisz mi pecha! — odpowiedział wściekły Dolabella. Zawsze reagował w ten sposób, gdy Ortwin obnażał nieudolność jego ocen. Tym bardziej że Germanin był jedynym namiestnikiem ekskonsula, który pozwalał sobie na podobną krytykę. Pozostali robili wszystko, by mu się przypodobać.

— W tych stronach nie zabraknie ludzi do walki. Pamięć o Cezarze jest tu żywa, więc chętnie wspomogą nas w starciu z jego mordercami — powiedział stojący z nimi trybun.

Wódz przyjął te słowa z aprobatą. Jednak nawet Velea doskonale wiedziała, że wschód, z wyjątkiem Egiptu, od zawsze był ziemią Pompejusza, czyli stronnictwa przeciwnego Cezarowi. Zauważyła, że Ortwin nie zamierza brać udziału w dalszej dyskusji i dla świętego spokoju przytaknął swoim rozmówcom. Ona również nauczyła się już, że nie warto polemizować z nieustępliwym, upartym i pełnym uprzedzeń Dolabellą.

Wkrótce ich statek dobił do brzegu. Ortwin musiał przyznać, że ten jeden raz Dolabella miał rację: dostojnicy przyjęli go z wielką przychylnością. Uznali, że Cezar wyróżnił ich miasto, postanawiając wykorzystać je jako bazę w wojnie z królestwem partyjskim, dlatego podejmowali ze szczególnymi honorami każdego, kto podawał się za kontynuatora dzieła wielkiego wodza.

Po ich zakwaterowaniu niedaleko zamieszkaney części miasta, przy przesmyku łączącym ją z lądem, Velea uznała, że przynajmniej przez chwilę może się odprężyć. Gdy w końcu po kolacji znaleźli się z Ortwinem sam na sam w przydzielonym im namiocie, zbliżyła się do kochanka i pomogła mu oswobodzić się z pancerza kolczego. Germanin lubił zakładać go na co dzień, ponieważ dzięki niemu wyglądał jak wojownik, a Rzymianie okazywali mu większy respekt. Kobieta nie poprzestała na napierśniku i zdjęła ze swojego mężczyzny także resztę stroju. Ułożyli się na jednym z okryć rzuconych na podłogę. Usiadła na nim i pozwoliła, by zsunął z niej tunikę. Jego szorstkie silne dłonie zacisnęły się na jej piersiach.

Kiedy Ortwin był już gotowy, zdjął przepaskę, a Velea otworzyła się przed nim i pozwoliła mu wejść głęboko w siebie, po czym zaczęła

rytmicznie się na nim poruszać. Jego ręce przesunęły się po biodrach kochanki, a następnie podążyłyza ruchami jej ciała. Siedząc na nim, wznosiła się i opadała, dopóki z jego ust nie dobył się dziki ryk. Zsunął ją z siebie, uklęknął, ponownie ją chwycił za boki i ustawił przed sobą na czworakach, by jeszcze raz w nią wejść. Była to jego ulubiona pozycja, w której zwykł szczytować. Veleđa nigdy nie protestowała. Pomagała sobie dłonią, aby osiągnąć rozkosz równocześnie z nim. Także tym razem byli *jednogłóśni*, jak zawsze. Opadli oboje na posłanie, jedno na drugim, na brzuchu, i w takiej pozycji zasnęli, bez słów, bo nie były im one potrzebne. Veleddie wystarczył jego usypiający oddech. Nic innego nie dawało jej w życiu większego komfortu. Pewnego dnia będzie musiała znaleźć w sobie odwagę, by mu to powiedzieć...

Nagle obudziły ją krzyki. Świtało. Na zewnątrz namiotu przesuwwały się cienie. Ubrali się w pośpiechu i wypadli na dwór. Ortwin nie zdążył założyć napierśnika, ale w ręku ścisnął miecz. W niewielkiej odległości od nich, od strony ładu, dostrzegli niekończącą się linię uzbrojonych ludzi.

Przybył Kasjusz z legionami. Było ich znacznie więcej, niż mogli się spodziewać na podstawie meldunków otrzymanych od informatorów.

— Idziemy, szybko! — krzyknął do Veleddy i popędził do namiotu po resztę ekwipunku.

Musieli czym prędzej dotrzeć do głównej bramy, która pozostawała jeszcze otwarta, by wpuścić obozujących na zewnątrz żołnierzy. Ortwin ruszył na poszukiwania Dolabelli. Ludzie pytani o miejsce, w którym przebywa generał, wskazali mu wały. Nie zwlekając, pobiegł w tamtym kierunku. Dolabella na powitanie pomachał mu przed nosem wiadomością, którą właśnie otrzymał:

— Była podpięta do strzały. Do strzały! — Zanim oddał Ortwinowi list do ręki, rzucił z wściekłością: — Kazałem zabić tego łuczника, który miał czelność podejść tak blisko!

Ortwin przeczytał wiadomość i podał ją Veleddie.

Witaj, fanfaronie szczyjący się nie swoimi podbojami. Informuję cię, że zajmujesz terytorium, do którego nie masz żadnego prawa, ponieważ decyzją senatu zostało powierzone mnie. Wiem, że masz tylko dwa legiony, dlatego zrobisz lepiej, jeśli nie będziesz próbował stawiać oporu moim dwunastu. Tak, teraz mam ich dwanaście, drogi Dolabello. Legiony, które wysłała ci Kleopatra, na twoje nieszczęście zostały po drodze pokonane przez moją

armię. Ich dowódca uznał, że nie ma szans na wygraną z siłami dwukrotnie przewyższającymi jego wojsko, dlatego też oddał się pod moje rozkazy, sprawiając mi miłą niespodziankę w postaci dodatkowych żołnierzy. Poddaj się niezwłocznie, a oszczędzisz ludowi rzymskiemu wielu problemów. Zapewniam, że twój proces odbędzie się zgodnie z prawem, a wiesz, że jestem człowiekiem honoru.

Ortwin oddał list Dolabelli.

— Co zamierzasz zrobić? Poddasz się?

— Żartujesz? Zginę, gdy tylko dostanie mnie w swojeręce. Jaki proces?!

— Uciekajmy więc. Wsiadajmy jak najszybciej na statek— zaproponował Germanin.

— Jeśli właśnie to chcemy zrobić, i tak musimy walczyć — odpowiedział Dolabella, wskazując na coś, co znajdowało się za ich plecami.

Odwróciwszy się, Ortwin i Velea zobaczyli, że fragment morza przylegający do portu roi się od statków... Kasjusz ich otoczył.

„Cesarowi udało się tylko z jednym legionem. Dlaczego mnie miałyby się nie udać z ośmioma?” — pomyślał Oktawian, wpatrując się w spokojne wody Rubikonu. Rzeczka zdawała się zapraszać, by przejść ją wraz z oddziałami.

Odwrócił się i objął spojrzeniem legiony. Przed sobą miał żołnierzy, którzy przeszli pod jego rozkazy, mimo że nie piastował żadnego oficjalnego stanowiska w Republice. Byli tam również weterani, którzy powrócili do służby specjalnie po to, by pójść za nim i pomścić swego dawnego wodza – Juliusza Cezara. Wiedział, że może na nich liczyć, tak jak i jego przybrany ojciec mógł liczyć na legion XIII oraz wszystkie pozostałe, które walczyły z nim w Galii. Oczywiście nie mógł okazywać słabości, niezdecydowania czy też niewystarczającego doświadczenia. Zresztą miał Rufusa. A przede wszystkim Agrypę. Jak dobrze, że wrócił!

Spojrzał na swoich współpracowników. Wszyscy stali w nabożnym skupieniu, zdając sobie sprawę z doniosłości chwili. Życie Cezara uległo radykalnej zmianie od momentu przekroczenia tej niepozornej rzeczki. Jego życie z pewnością także nie będzie już takie samo. Agrypa, Rufus, Mecenias i Gajusz Cherea – przybyły niedawno z Rzymu z wieściami, które zmusiły Oktawiana, by pójść śladami przybranego ojca – wszyscy pragnęli gorąco, by

przeszedł na drugi brzeg. On także tego chciał.

Wokół panowała nierealna cisza. Nawet żołnierze stali w całkowitym milczeniu, świadomi tego, że uczestniczą w wydarzeniach, które zmieniają bieg dziejów. Wieśniacy z pobliskich *villarum* rozpierzchli się, ponieważ doskonale wiedzieli, co oznacza obecność uzbrojonej armii przy strumieniu wytyczającym granicę między Galią a świętą ziemią italską. Ziemią, po której wojska nie mogły maszerować bez zgody senatu. *Zgody, której im odmówiono.*

Pierwszym, który ruszył z wojskami na Rzym, był Sulla. Sięgnął po władzę absolutną i sprawował ją do czasu nagłego ustąpienia. To samo uczynił później Cezar i także zdobył władzę absolutną, którą stracił wraz z życiem. Teraz przyszła kolej Oktawiana.

Miał udowodnić senatowi, że nie jest chłopcem, a cesarobójcom – że nie mogą się łudzić, iż pozostaną bezkarni; Antoniuszowi – że nie może go dłużej lekceważyć; żołnierzom – że jest godny przejąć schedę po Cezarze; członkom sekty Marsa Mściciela – iż podjęli się słusznego i zwycięskiego dzieła; swojej matce – że myliła się, namawiając go do odrzucenia spadku, a Cezarowi – że dokonał właściwego wyboru, powierzając mu swoją spuściznę. Przekroczenie rzeki wiele dla niego znaczyło. Poczuł, jak dreszcz przechodzi mu po plecach.

Zaskoczyło go, że nikt z maszerujących wraz z nim pięćdziesięciu tysięcy ludzi: ani jeden żołnierz, ani jeden oficer, nie skwitował śmiechem jego decyzji o przejściu Rubikonu. Albo była to próba, którą musiał przejść pomyślnie każdy, kto dążył do władzy, albo po prostu wszyscy stojący za nim wiedzieli, że tylko w ten sposób może uzyskać pieniądze i prawo do triumfu, którego senat tak uparcie mu odmawiał. Niemniej ryzyko tego przedsięwzięcia przerastało to, na co narażali się Sulla i Cezar. Pierwszy miał za przeciwnika tylko Gajusza Mariusza, drugi – Pompejusza Wielkiego. Obaj walczyli z jednym wrogiem – musieli stanąć z nim twarzą w twarz, by przejąć kontrolę nad *Urbe*. Ale tego dnia żaden z ludzi Oktawiana – od trybuna po markietana – nie zwracał uwagi na niezliczone zagrożenia, które czyhały z każdej strony.

Szli na południe, gdzie czekały na nich trzy legiony przybyłe do Rzymu na rozkaz senatu; z pewnością by sobie poradziły, gdyby Mecenas nie posłużył się niezawodną siłą perswazji pieniądza. Na wschodzie cesarobójcy gromadzili oddziały w zajmowanych przez siebie prowincjach i cały czas

można się było spodziewać ich nagłego uderzenia na Italię. Od północy, za plecami, mieli wojska Decymusa Brutusa, a od zachodniej strony w każdej chwili mogli się spodziewać ataku silnej armii Lepidusa i Antoniusza, którzy nie byli wszak zobowiązani do utrzymania cichego porozumienia zawartego z Oktawianem parę tygodni wcześniej. Właśnie ci dwaj byli jęczyciem u wagi. Chłopak miał nadzieję, że zdoła urobić Antoniusza, toteż usiłował mu się przypodobać, odmawiając Decymusowi Brutusowi i senatowi pomocy w walce przeciwko niemu. Dawny wielki namiestnik Cezara musiał w końcu pojąć, że rosnąca pozycja spadkobiercy dyktatora to jednocześnie większa przeszkoda dla działań senatu i cesarobójców oraz że taki układ sił działała na korzyść zarówno Oktawiana, jak i Antoniusza, chociaż ten ostatni istotnie mógł się obawiać, że chłopak wypowie mu ostateczną wojnę, gdy tylko uzyska upragniony tytuł konsula, mając senat za nowego sprzymierzeńca. Cokolwiek by mówić, Oktawian już raz zmienił frakcję: początkowo oddał się do dyspozycji senatu i konsulów, uderzając w Antoniusza, a następnie zwrócił się przeciwko ojcom spisany i zaproponował mu ciche porozumienie. Co stało na przeszkodzie, by ponownie zmienić front?

Nic. Tym bardziej że taki właśnie był jego zamysł: jeśli kolejna zmiana obozu miałaby być dla niego opłacalna, nie zawaha się. Antoniusz doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jedną rzeczą była niezmienna w jego postawie: całkowita niechęć do układania się z mordercami Cezara i pragnienie wymierzenia kary za zbrodnię, której się dopuścili. Oktawian zawsze będzie *przeciwko* cesarobójcom. Miał nadzieję, że Antoniusz zrozumie to i jeśli tylko miał otwarte oczy i trzeźwy umysł, pojmie prosty, czytelny schemat, na którym opierały się wszystkie pozornie sprzeczne działania chłopaka. Wyjaśnił mu swoje stanowisko listownie, parę dni wcześniej, wiedząc, że Antoniusz nie będzie ślepo wierzył jego słowom, lecz mimo wszystko ufając rozsądkowi wielkiego generała. Naturalnie nie otrzymał odpowiedzi. Nawet się jej nie spodziewał. Antoniusz bez wątplenia wolał się przyglądać biegowi zdarzeń, mając nadzieję, że „chłopczyk” i senat wykończą się nawzajem, a on w odpowiednim momencie zawrze porozumienie ze zwycięzcą tego konfliktu. Był ważnym sojusznikiem, a takiego nie sposób lekceważyć. Należało jednak pamiętać, że jest niebezpieczny jak mało kto i nie brzydzi się zdradą.

Oktawian uniósł wzrok ku niebu. Zbliżało się południe. Słońce powoli traciło pomarańczową barwę poranka i z półkola przekształcało się

w jasnożółtą tarczę. Nadchodzące wydarzenia miały się rozgrywać w jego złotej oprawie. Oktawian westchnął. Teraz, jak nigdy dotąd, potrzebował pomocy Marsa Mściciela, ale także swej protoplastki – Wenus. W myślach przywołał oboje bogów, potwierdzając przed Marsem obietnicę wybudowania mu świątyni i wychwalając Wenus ponad wszelkie boginie.

— Czy jesteś gotowy? — zapytał Agrypa siedzący obok na wierzchowcu.

— Tak — odpowiedział bez wahania.

— W takim razie... kości zostały rzucone, jak powiedział Cezar w tym samym miejscu — wtrącił Mecenias.

— Nie. Rzuciłem kości, gdy przyjąłem jego spadek — odparł Oktawian.

— Teraz usiłuję odzyskać pozycję w grze — dodał, spinając swojego konia.

Podniósł rękę do góry i wjechał do wody.

— Dajmy im pieniądze! Dajmy pieniądze wszystkim legionom! Jeśli uda się nam podburzyć żołnierzy przeciwko niemu, nie będzie już dla nas zagrożeniem! — krzyknął senator, gdy tylko *princeps senatus* wygłosił formułę otwierającą nadzwyczajne posiedzenie.

Dołączył do niego kolejny:

— Mogliśmy przynajmniej udzielić mu prawa do triumfu. Spełnilibyśmy marzenia próżnego chłopca i siedziałby cicho. A tak rozdrażniliśmy i jego, i żołnierzy, więc teraz mamy ich przeciwko sobie!

— Prawda jest taka, że nie powinniśmy byli ryzykować, dopóki Brutus i Kasjusz przebywają na wschodzie. Kto nas będzie bronił?

— Decymus Brutus nas obroni! Musimy wytrwać. Mamy do dyspozycji trzy legiony. Oktawian bardzo szybko posuwa się naprzód, a są z nim zaledwie cztery legiony. Poza tym chro-nią nas też mury. Kiedy przybędzie tutaj reszta jego armii, do nas także dotrą posiłki. Ja wam mówię: możemy stawić mu opór! Musimy wytrwać!

— Stawiajcie sobie opór, skoro chcecie! Na mnie przy Forum Boarium czeka już łódź, a na niej wszystko, co mam. Jestem gotowy, by odpłynąć do Ostii.

— Dlaczego mamy się godzić na kolejną tyranię? Wolę bronić się aż do śmierci, niż cierpieć w niewoli, tak jak to było za Cezara! Walczyliśmy z Antoniuszem właśnie po to, by nie dopuścić go do władzy absolutnej, a teraz mamy ustąpić przed tym chłopczyną? Niedoczekanie!

Lucjusz Pinariusz i Kwintus Pediusz rozglądali się dookoła zaniepokojeni zamętem panującym w auli.

— Nie ma między nimi zgodności, a to działa na naszą korzyść — zauważył pierwszy.

— Ale nie są też sparaliżowani strachem. Mogą stawić opór. Gdyby to Antoniusz maszerował na Rzym, od razu by się poddali. Niestety, Oktawian nie budzi w nich takiego lęku. Cały czas patrzą na niego jak na nieszkodliwego chłopaczka— odpowiedział Pediusz.

— Otóż to! Zmienia podejście, kiedy zobaczą jego legiony u bram miasta.

Wtedy krzyki nagle umilkły. W wejściu do auli pojawiła się doskonale rozpoznawalna sylwetka Cyncerona. Senatorowie rzucili parę ironiczyh uwag. Minęło wiele dni, odkąd ostatnio widziano wielkiego mówcę. Niektórzy sądzili, że wyjechał do Arpinum lub do Kampanii, jak zwykł robić, gdy pojawiał się jakieś zagrożenie.

— Co o tym sądzisz, Cynceronie? Skoro już zaszczyliś nas swoją obecnością, chcielibyśmy usłyszeć twoją opinię w tej sprawie — zagaił jeden z senatorów.

— Słyszałem zdanie wielu z was, znamienici koledzy— odrzekł stary konsul, dotarwszy do podium. — Obawiacie się kolejnej tyranii. Wicie doskonale, że sprzeciwiałem się bardziej niż ktokolwiek inny – i zanim jeszcze ktokolwiek inny to uczynił – wszelkim formom autokracji, przeczuwając z dużym wyprzedzeniem prawdziwe intencje Katyliny, a potem Cezara, przed którym nigdy się nie ugiąłem. Przeciwno Antoniuszowi wygłosiłem jedne z najostrzejszych przemów w całym moim dorobku. A jednak mówię wam, że na razie, dopóki nasi wyzwoliciele nie powrócą silni i gotowi, musimy zgodzić się na tyranie młodego, niedoświadczonego chłopca, bo jest ona o wiele mniej niebezpieczna niż tyrania tak niepohamowanego i pozbawionego skrupułów człowieka, jakim jest Antoniusz. Jego na pewno nie zdołamy sobie podporządkować, a Oktawiana owszem! Chłopiec jest mi oddany, szanuje mnie i sądzę, że mógłbym nim pokierować tak, by chronić interesy Republiki. Dlatego też sugeruję wybrać mniejsze zło.

Szmer, który nie cichł w czasie jego wystąpienia, teraz przeszedł w gwałtowną falę krzyków:

— Nie bądź śmieszny, Cynceronie! Sam chcesz rządzić, posługując się tym chłopcem!

- Jesteś tchórzem, jak zawsze! Albo dałeś się przekupić!
- Wracaj tam, skąd przyszedłeś. Tu nie jesteś potrzebny!
- Powinniśmy mu raczej odebrać żołnierzy! Użyjmy naszych prywatnych pieniędzy, by pozbawić go wojska!
- Tak! Zapłaćmy im! Jeśli damy im zaliczkę, zostawią go.
- Jak najszybciej wyślijmy złoto oddziałom. Zobaczycie, że machną na niego ręką. Nie została mu złamana sestercja!
- Ależ oczywiście! Żołnierze są z nim ze względu na pieniądze i będą mu posłuszni, dopóki je ma. Za to nasze trzy legiony należą do państwa i są posłuszne Republice, nie musimy im płacić! — Tak, wyślijmy pieniądze jeszcze dzisiaj wieczorem!
- Nic z tego — szepnął Pediusz do Pinariusza. — Zrobią wszystko, żeby się nie poddać. Musimy interweniować. Ale nie w czasie tych obrad.
- Zgadzam się. Trzeba jak najszybciej powiadomić Oktawiana, że szykują dla niego niespodziankę.

Z przyjemnością wracał do działalności w sekcie. Znowu czuł, że żyje. A przede wszystkim znowu był częścią czegoś. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Agrypa czuł się szczęśliwy. Dzięki Oktawianowi mógł sprawdzić swoją formę, otrzymał bowiem od niego dowództwo nad oddziałem odkomenderowanym do specjalnego zadania. Mieli urządzić zasadzkę na ludzi przewożących złoto przeznaczone przez senat dla legionistów. Przeżył coś w rodzaju rozczarowania, gdy w końcu jego oczom ukazał się konwój ciągnący Drogą Flaminiusza... Kolumnę otwierało pięciu konnych. Drugie tyle jechało na końcu, natomiast po obu stronach wozów, którymi powozili i jechali cywile, szły dwa dziesięcioosobowe oddziały.

Agrypa, kiedy powierzano mu to zadanie w obozie marszowym w Górnej Etrurii, miał nadzieję, że jest trudne. Oktawian z Mecenasem, otrzymawszy od Pediusza i Pinariusza informacje z Rzymu, poprosili przyjaciela, by nie dopuścił, aby złoto dotarło do legionistów, gdyż wielu z nich mogłoby zadowolić się tą jałmużną od senatu i wypowiedzieć posłuszeństwo swojemu wodzowi. Aby przekonać żołnierzy do marszu na *Urbem*, należało ich odpowiednio zmotywować. Nic nie mogło poruszyć ich bardziej niż pieniądze i zemsta, dlatego Oktawian musiał się jawić jako jedyny spośród wszystkich zainteresowanych będący w stanie zapewnić im jedno i drugie. Z tego też

powodu doświadczeni żołnierze pomocniczy, weterani wojen galijskich Cezara, tworzący turmę, z którą Agrypa wyruszył na akcję, nie znali prawdziwego celu eskapady. Biorąc pod uwagę to, jak wiele oddziałów i dowódców krążyło po terytorium Italii i przylegających prowincjach, nikt nie potrafiłby z całą pewnością stwierdzić, że formacja ta należy do wojsk Oktawiana.

Agrypa szepnął do dekuriona, aby ukrył się w lesie i tam czekał na jego znak. Przypomniął, że nie wolno im zabijać. Żołnierze, których mieli zaatakować, mogli już niedługo przejść pod komendy Oktawiana. Na zasadzkę wybrał przewężenie między Tybrem a urwiskiem, dając Rzymianom możliwość zwarcia szyków i zabarykadowania się.

Gdy dobył miecza, jego towarzysze niezwłocznie uczynili to samo. Ręką dał znak dekurionowi, by z połową szwadronu skierował się w stronę awangardy, odcinając drogę kolumnie. Pozostali ludzie z jednostki mieli wraz z nim uderzyć z flanki. Chciał zostawić żołnierzom wysłanym z transportem z Rzymu drogę ucieczki, aby jak najszybciej poinformowali senat, że dostawa się nie powiodła. Miał nadzieję, że to skłoni ojców spisanych do porzucenia wszelkich prób stawiania oporu.

Kiedy wozy były już na jego wysokości, wyskoczył z zarośli, a wraz z nim wszyscy Galowie. Żołnierze z piechoty eskortujący konwój dobyli mieczy i przywarli do wozów. Jeźdźcy zeskoczywszy z koni, dołączyli do piechurów. Agrypa stanął do pojedynku z żołnierzem, który zdawał się najwyższy stopniem, i zasypał go gradem ciosów, lecz nie pchnął go nawet wtedy, gdy przeciwnik się odślonił. Raz po raz rozglądał się wokół, kontrolując przebieg tego przedziwnego starcia. Jeden z żołnierzy, zaatakowany przez któregoś z Galów, straciwszy gladius i tarczę, podniósł do góry ręce na znak kapitulacji. Celt uderzył go tarczą, trafiając umbem w głowę. Mimo że Rzymianin miał hełm, stracił przytomność i opadł bezwładnie na ziemię.

Agrypa nie przestawał atakować swojego przeciwnika uderzeniami. Chciał go zmusić, by zaczął się cofać. Miał nadzieję, że dowódca eskorty w końcu wykrzyczy wyczekiwane słowo. Niestety nie mogło się obejść bez rozlewu krwi. Obok niego na ramię któregoś z Galów spadło ostrze miecza, z tak wielką siłą, że rozłupało podwójną warstwę napierśnika i naramienników. Gal runął na ziemię, wypuszczając broń z ręki. Z rany trysnęła krew. Żołnierz zatrzymał się w pozycji klęczącej i więcej się nie poruszył. Na ten widok jego

kompan wydał dziki ryk i rzucił się na napastnika, bombardując go ciosami. W efekcie wściekłego ataku trafił w końcu w udo Rzymianina, pozostawiając w nim głęboką ranę, a gdy ten pochylił się do przodu, odruchowo łapiąc za nogę, dobił go cięciem przez szyję.

Strumień krwi wytrysnął z głowy, która niemal oddzieliła się od reszty ciała i, co ciekawe, właśnie ten widok przekonał ostatecznie dowódcę oddziału, by wykrzyzczyć słowa wyczekiwane przez Agrypę:

— Wycofujemy się! W kierunku przewężenia za waszymi plecami. Spieszcie się! — zawołał, uciekając przed naporem młodego oficera.

Niestety, śmierć Gala wywołała u jego kompanów atak szału. Dowódca oddziału nie zdążył nabrać powietrza w płuca. Padł martwy. Zaraz za nim kolejny Rzymianin stoczył się do rzeki, czwarty runął martwy na ziemię, a Galowie zaczęli pastwić się nad jego trupem.

„Sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli” — pomyślał Agrypa, kierując się w stronę grupy swoich pomocników. Ustawił się między nimi a przypartymi do wozu trzema legionistami. W tym miejscu bardziej był narażony na ciosy własnych ludzi niż wroga. Co najmniej dwa razy był zmuszony odeprzeć atak tarczą, aż w końcu Galowie dostrzegli, kogo mają przed sobą, i uspokoiłi się. Zapomniał jednak o stojących za nim nieprzyjaciołach. Jeden z ich gladiusów dosięgnął jego ramienia, ale na szczęście impet pchnięcia skierował ostrze obok. Udało mu się w porę odwrócić tułów i odskoczyć, co zmusiło przeciwnika do przybrania postawy obronnej, a jemu dało chwilę oddechu. Rzymski żołnierz nie próbował ponawiać ataku. Cofnął się wraz z kompanami, podczas gdy Agrypa swoją masywną sylwetką odciął dostęp rozsierdzonym Galom. Po chwili ponownie zrobił kilka kroków do przodu, zmuszając napastnika, by cofnął się jeszcze trochę, i jednocześnie narzucając tempo walki swoim ludziom.

Powozący odwrócili zaprzęgi, ustawiając je przodem do siebie. W ten sposób powstał wąski przesmyk, w którym legionieści stali uczepleni kół, z kolei dwa pozostałe wozy ustawiono w poprzek, aby uzyskać barierę ochronną i zagrozić przejście. Nie było teraz sposobu, by je odwrócić, lecz Rzymianie chcąc ruszyć naprzód, także musieliby wcześniej siłą utorować sobie drogę. Agrypa zadbał o to, by znaleźli się w patowej sytuacji. Tymczasem Galowie, pojedynczo lub w małych grupach, puścili się w stronę barykady, prowokując przeciwników do walki. Niektórzy krzycząc, usiłowali przeskoczyć wozy, ale wystające *pila* legionistów skutecznie ich odstraszały.

Agrypa nakazał wstrzymać atak i wyprowadził Galów poza zasięg włóczni. Następnie polecił im, aby się rozeszli i poszukali swoich koni. Teraz pozostawało tylko czekać, jednocześnie dając Rzymianom do zrozumienia, że nie mają najmniejszego zamiaru stąd odchodzić...

Mecenas przyglądał się długiej kolumnie ludzi i wozów towarowych zdążających Drogą Aurelijską od strony Pons Sublicius. Dostrzegł, że pośród wędrujących są nie tylko biedacy, lecz również skromnie odziani arystokraci starający się wtopić w tłum. Ich wyniosłe zachowanie i zadbane sylwetki, wozy pełne dobytku i towarzystwo niewolników rzucały się jednak w oczy nawet komuś, kto obserwował ich z daleka. Wzdłuż murów miejskich wznoszących się u brzegu Tybru, w zachodniej części miasta, na wałach i wieżach obserwacyjnych roiło się od wartowników. Rzeką płynęły niezliczone łodzie, a na molo, naprzeciwko Wyspy Tyberyjskiej, tłoczyli się ludzie oczekujący na transport do Ostii.

Zadowolony skonstatował, że sytuacja najwidoczniej wymknęła się senatowi spod kontroli. Ojcowie spisani nie byli w stanie zapewnić ludności bezpieczeństwa, nie zdołali również zmobilizować odpowiednich sił, by stawić opór, mimo że głośno i kategorycznie zapowiadali, iż nie ustąpią. A zatem mimo że senat chciał przedstawiać Oktawiana jako nieszkodliwego chłopca z przerostem ambicji, naród obawiał się go tak jak niegdyś Cezara, który sześć lat wcześniej podbiwszy całą Galię, postanowił również podporządkować sobie Rzym.

Dobrze, że się go bano, ale nie można było dopuścić do tego, by zaczęto go nienawidzić. Mecenas był tam między innymi z tego powodu. Po skutecznej akcji Agrypy, w której udaremnilo próbę dostarczenia pieniędzy senatu do legionów Oktawiana i zmuszono posłańców, by zawrócili z drogi, senatorowie postanowili stawić opór, lecz w rzeczywistości nikt nie chciał, by wojna domowa dotarła do Rzymu. Trzeba było wyraźnie pokazać, że wbrew pozorom najmniej chciał tego właśnie Oktawian. Rzymianie podzielali jego dążenie do sprawiedliwości; widzieli też, z jak wieloma trudnościami musi się zmagać. Nie mieli jednak siły ani możliwości, by go wesprzeć. Należało ich więc przekonać, że dysponują odpowiednimi środkami, aby złamać wszelki opór stawiany przez senat.

— Dekurionie! Udaj się do miasta i uspokój ludzi zgodnie z rozkazami —

powiedział Mecenias do dowódcy towarzyszącej mu turmy. — Zostaw mi tylko dwóch jeźdźców, w razie gdybym potrzebował wsparcia. Zobaczymy się wczesnym popołudniem na moście Mulwijskim.

Dowódca szwadronu skinął posłusznie głową, wziął ze sobą niemal całą jednostkę i puścił się galopem w dół, po stokach wzgórza Janikulum, na które wspięli się wcześniej, by mieć widok na całe *Urbem*. Mecenias z kolei miał do wykonania delikatną misję. Dał znak ludziom, którzy z nim zostali, i zamiast zejść w dół, wszedł wyżej, docierając do garnizonu wzniesionego przez senat na szczycie wzgórza. Dotarł w pobliże prowizorycznej palisady otoczonej z przodu fosą, gdzie został zatrzymany rozkazem wartowników.

— Jestem trybun Gajusz Cilniusz Mecenias, wysłannik Oktawiana. Chcę rozmawiać z dowódcą garnizonu — rzekł.

— Legat Gajusz Kornutus nie może rozmawiać z buntownikiem bez specjalnej zgody senatu — odpowiedział strażnik

— Nawet gdyby miało to zapobiec wojnie? — zapytał Mecenias. — Chcesz przyjąć na siebie tak wielką odpowiedzialność, żołnierzu?

Nie odpowiedział. Znieruchomiał, a następnie zniknęła palisada. Gdy pojawił się ponownie, towarzyszył mu oficer – świadczył o tym attycki hełm z wysokim czerwonym grzebieniem i formowany pancerz.

— Jestem przedstawicielem senatu, nazywam się Gajusz Kornutus — poinformował. — Czego chcesz, trybunie?

— Porozmawiać z tobą, o ile pozwolisz mi wejść, legacie.

— Nie jestem do tego upoważniony. Powiedz, co masz do powiedzenia, i wynoś się.

— Jesteś tego pewien? Wolałbym porozmawiać z tobą na osobności.

— Nie prowadzę prywatnych rozmów z wysłannikami wroga państwa. Jeśli ci się to nie podoba, możesz odejść.

Mecenias prychnął. Trafił się mu chyba najbardziej nieustępliwy żołnierz w całej armii. No cóż... należało wykorzystać przeciwko niemu jego własną broń.

— Jak wolisz. Chciałem ci tylko powiedzieć, że mój dowódca, Oktawian, nie ma najmniejszego zamiaru wypowiadać wojny Rzymowi, senatowi ani narodowi rzymskiemu. Towarzyszy jedynie swoim ludziom pragnącym upomnieć się o zapłatę obiecaną im przez ojców spisanych, którzy wzięli na siebie dopełnienie obietnicy złożonej żołnierzom przez Oktawiana. A skoro już jest w Rzymie, chce również przedstawić swoją kandydaturę w wyborach

na stanowisko konsula.

— Ale dlaczego mnie to mówisz? Idź do Kurii Pompejusza i powiedz to senatowi...

— Mówię to tobie, ponieważ jesteś żołnierzem, Gajusie Kornutusie, a jako żołnierz, zdaniem Oktawiana, zasługujesz na obiecane darowizny. Twoi kompani również. On zamierza dopilnować, by zapowiedziane pięćdziesiąt tysięcy sestercji trafiło także do was... jako nagroda za utrzymanie pokoju.

Na wałach rozległ się szmer. Mecenas zauważył, że żołnierze zaczęli rozmawiać między sobą, a na szczycie wału pojawiało się coraz więcej nowych sylwetek, jakby wszyscy chcieli sprawdzić, czy za palisadą naprawdę zjawił się ktoś, kto obiecuje im pieniądze.

— Nie takie były ustalenia senatu. Wracaj do swojego pana, trybunie — odpowiedział beznamiętnie Kornutus.

Tak, to był najbardziej nieustępliwy żołnierz w całej armii, ale – zgodnie z przewidywaniami Etruska – nie dotyczyło to jego ludzi. Nagle do legata podszedł centurion i obaj zaczęli prowadzić ożywioną rozmowę. Otoczyła ich grupa żołnierzy, a wzdłuż wałów, na całej ich długości, utworzyły się mniejsze grupki. Wydawało się, że Kornutus jest zły na swojego podkomendnego. Podszedł do nich jeszcze jeden centurion, który z nieukrywanym wzburzeniem dołączył do rozmowy z legatem.

Mecenas się uśmiechnął. Załatwione. Ziarno zostało zasiane. Teraz czekał na niego kolejny punkt garnizonowy, który z rozkazu senatu postawiono przy moście Mulwijskim.

XXIII

To nie jest Kasjusz — powiedział Dolabella, stojąc na wałach. Przyglądał się bacznie ruchom dowódcy, który od dwóch miesięcy oblegał go w Laodycei.

Po dwóch bitwach morskich i licznych wypadach zakończonych porażką byli całkowicie zablokowani w mieście. Po raz pierwszy, odkąd zaczęło się oblężenie, znajdowali się w tak dramatycznej sytuacji. W czasie walk zatonała większa część ich okrętów, a wzdłuż przesmyku Kasjusz usypał szańce, wykorzystując do ich wzniesienia kamienie oraz wszystko, co zrabował z podmiejskich willi i grobowców. Nie docierały już do nich nawet posiłki. Stanęli przed widmem śmierci głodowej.

Ortwin, ciężko oddychając, wspiał się po drabinie prowadzącej na palisadę. Miał serdecznie dosyć Dolabelli i jego poronionych pomysłów, które powoli prowadziły ich do całkowitej klęski. Generał ograniczył obronę do poziomu pozwalającego im czekać na posiłki. Zwrócił się w tej sprawie do Oktawiana, wysyłając do Italii następującą wiadomość: „Jeśli chcesz swojej zemsty, każ senatowi zalegitymizować mój urząd i wyślijmi parę legionów”.

W rzeczywistości Dolabella nie był w stanie, ani teraz, ani później, dopomóc Oktawianowi w zemście na mordercach jego ojca. Liczenie na jego pomoc było stratą czasu. Oktawian nie zamierzał dłużej inwestować w tego głupca, nie planował również wysłać mu w przyszłości żadnych legionów, tym bardziej że najprawdopodobniej przejąłby je Kasjusz, a były przecież potrzebne, by wyrównać rachunki z cesarobójcami, do czego prędzej czy później musiało dojść.

Ortwin rozmyślał o tym, zbliżając się wraz z Veledą do stanowiska na wieży, skąd mogli dokładnie obserwować rozmieszczenie wojsk oblegającej ich armii. Z niepokojem stwierdzili, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy jej liczebność znacznie wzrosła – tego się nie spodziewali.

— Chcesz powiedzieć, że Kasjusz pozwolił, by ktoś inny przyjmował naszą kapitulację? — odpowiedział prowokacyjnie Dolabelli, dotarłszy na miejsce.

Prokonsul spojrział na niego z lekceważącym uśmiechem.

— Pewnego dnia obetnę ci język, bezczelny barbarzyńco. Gdy dotrą tu legiony, o które prosiłem Oktawiana, nie będę już potrzebował ciebie i twojej garstki ludzi. Zapłacisz mi wtedy za wszystkie zniewagi i pogardę. Tak. Wygląda na to, że Kasjusz uznał zwycięstwo nad nami za przesądzone i zostawił jakiegoś pachołka, żeby nas dobił. Świadomość, że gdy będziemy mogli przystąpić z kontratakiem, tej glisty tutaj nie będzie, jest irytująca. Zmusza mnie, żebym gonił za nim, przemierzając pół Orientu, ale zrobię to i wepchnę mu do gardła jego arogancję...

Ortwin spojrzał skonsternowany na Veledę. Ona także musiała już zauważyć, że Dolabella zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. Germanin nie odpowiedział. Spojrzał w dal, poza mury miasta, tam, gdzie nieustannie wpatrywał się generał. Horyzont przysłaniała ogromna rampa usypana z ziemi przez oblegających; dzięki niej mogli łatwiej przesunąć pod mury ruchome wieże. Wojskowi inżynierowie ciężko pracowali, by nagromadzić odpowiednio dużo ziemi, a następnie opasać ją drewnianymi wzmocnieniami. Samojezdne szopy obłężnicze, przenośne kazamaty okryte ognioodpornymi skórami stanowiły ochronę przed pociskami rzucanymi przez obrońców. Prace postępowały sprawnie, toteż zachodziła obawa, że w ciągu kilku dni nasyp dotknie podstawy obwarowań. Wtedy nic nie mogłoby już przeszkodzić napastnikom w wejściu na mury. To, że Dolabella nie zdawał sobie z tego sprawy, było niewiarygodne.

Dowódca nieprzyjaciół – rozpoznawalny dzięki towarzyszącej mu straży przybocznej, a także czerwonemu płaszczowi spowijającemu jego anatomiczny pancerz i attyckiemu hełmowi zdobionemu grzebieniem z piór – znajdował się na wzniesieniu specjalnie usypanym przez oblegających z przodu rampy. Stał daleko poza polem rażenia skorpionów ustawionych na wałach, ale jego postać wyraźnie odróżniała się od pozostałych.

„Wygląda znajomo” — pomyślał Ortwin. Zwrócił się w stronę Veledy i zrozumiał, że ją także to zastanowiło. Doskonale znała ten sposób poruszania się, dużo lepiej niż Germanin.

Oboje mogli w każdej chwili znaleźć się w samym sercu szturm i zginąć w obronie dowódcy, w którego przestali wierzyć i który nie mógł się już na nic przydać sekcje Marsa Mściciela. Dolabella stanowił wręcz przeszkodę w dokonaniu zemsty, której pragnął Oktawian. Jego czas się skończył. Co gorsza, istniało duże prawdopodobieństwo, że człowiek szykujący się do szturm na nich, to ktoś, kto – nie licząc Juliusza Cezara – naznaczył ich

życie bardziej niż ktokolwiek inny. Człowiek, którego kiedyś trzymali już w garści i mogli usunąć, gdyby tylko Velea pozwoliła Ortwinowi pchnąć do końca ostrzemiecza wymierzonego w pierś wroga. Ostatni człowiek, przed którym Ortwin chciałby kiedykolwiek składać broń; nie zamierzał oglądać jego triumfującego uśmiechu zwycięzcy. Kwintus Labienus.

Imponujące, nieruchome skrzydła Bramy Kollieńskiej ginęły w ciemnościach. Był to dość niecodzienny widok, odkąd Cezar zarządził, by pojazdy mogły wjeżdżać do Rzymu i krążyć po jego ulicach tylko w nocy, ograniczając w ten sposób tłok w ciągu dnia.

Oktawian spojrział pytająco na Rufusa i Agrypę. Zastanawiał się, czy powinni posunąć się jeszcze dalej. Ryzykowałiby, że od strony wałów spadnie na nich deszcz strzał.

— Nie martw się. Skoro Mecenasa napisał, że dzisiaj w nocy znajdzie sposób, by otworzyć nam bramę, nie ma powodów, aby w to wątpić. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby naszemu spryciarzowi powinęła się noga — uspokajał go Agrypa.

Rufus nie odezwał się nawet słowem. Niemal zawsze milczał w obecności Agrypy.

— Może coś się stało... Może go aresztowali, albo coś jeszcze gorszego...

Od przejścia spadku po Cezarze Oktawian jeszcze nigdy nie był tak podniecony. Obecność jego legionów, obozujących milę on murów miasta, wcale go nie uspakajała. Ponieważ chciał uniknąć ryzyka i niewiadomych, jakie niesie za sobą oblężenie, postanowił, że wjedzie do Rzymu tylko ze swoją kohortą pretoriańską, korzystając z tego, że Mecenasa przygotował mu bezpieczny grunt. Lecz nawet po wejściu do środka będzie musiał liczyć się z trzema oddziałami, które mogą go z łatwością pokonać, jeżeli senatowi uda się odzyskać nad nimi kontrolę. Tak czy inaczej, brama pozostawała zamknięta właśnie dlatego, że ojcowie spisani wciąż dzierżyli władzę.

— Kogo? Mecenasa? Nawet gdyby tak było, zdołaliby przekonać swoich strażników, żeby puścili go wolno. Najwyżej zapłaciliby im co nieco. Na twoim miejscu bym się nie przejmował. — Agrypa obstawał przy swoim.

Oktawian nie spuszczał oczu z wrót. Nie mógł się doczekać, kiedy się otworzą, a jednocześnie bał się tego. Wprawdzie bezgranicznie ufał Mecenasowi i jego zapewnieniom, lecz w Rzymie wciąż zagrażało mu zbyt

wielu wpływowych nieprzyjaciół, aby mógł się czuć swobodnie. Zastanawiał się również, czy wchodząc do miasta ukradkiem, nie naraża się przypadkiem na większe ryzyko i więcej niewiadomych, niż gdyby wziął je siłą.

I wtedy wrota jakby drgnęły. Po chwili miał już pewność, że się otwierają, bowiem między skrzydłami pojawiła się drgająca świetlna szczelina, a zaraz potem wyłoniła się z niej ciemna sylwetka, która zaczęła podążać w jego kierunku.

— Chyba mi nie ufasz, Oktawianie, skoro czekałeś na mnie w tak dużej odległości od murów.

Cała trójka rozpoznała Mecenasa po jego charakterystycznym głosie, zanim jeszcze poznali jego rysy.

— Nigdy nic nie wiadomo — odpowiedział wódz, uśmiechając się — może nawet za bardzo, biorąc pod uwagę okoliczności, ale chciał choć odrobinę rozładować napięcie. — Zawsze może się trafić ktoś, komu przyjdzie do głowy przysłużyć się mordercom Cezara i senatorom, zabijając mnie w nadziei na rekompensatę...

— Z pewnością nie brakuje również takich, którzy sownie by za to zapłacili — odpowiedział Etrusk, ściskając go serdecznie. — Niestety, nie mamy tu ku temu sposobności, ponieważ możemy zapłacić więcej. Pieniądze ze skarbu państwa znajdują się na razie na Janikulum. Coś mi mówi, że jutro rano będziemy mogli je wziąć.

— Czy nie strzeże ich cały legion? — zapytał Rufus, przerywając w końcu swoje milczenie.

— Na razie tak. Nie widzę jednak powodu, dla którego żołnierze mieliby narażać życie, broniąc czegoś, co do nich nie należy, a co pragną mieć. Tym bardziej że mogą zaspokoić swoją żądzę, niczego nie ryzykując... Wszyscy wiedzą, że nie możesz się doczekać, by zapłacić żołd legionistom i że senat stanowi jedyną przeszkodę.

— Skoro tak mówisz... — Spokój Mecenasa zawsze działał na Oktawiana pocieszająco. — Idziemy?

Puścili przodem połowę kohorty, a następnie sami przekroczyli bramę. Pochód zamknęła druga część oddziału. Oktawian spojrzał w górę i dostrzegł, że strażnicy stojący na bocznych wieżach mu salutują. Z lekką nieśmiałością odpowiedział im na ten gest i wkroczył do miasta. Wchodząc po zboczu Kwirynału, dotarli do *campi scelerati*, gdzie chowano skazańców i westalki, które nie dotrzymały ślubów czystości. Na myśl o tym, że

nieprzyjaciele mogliby go pogrzebać żywcem, poczuł przeszywający dreszcz. Modlił się w duchu, aby praca wykonana przez Mecenasą przyniosła pożądany efekt.

Etrusk musiał czytać mu w myślach.

— Czekaają na nas na szczycie wzgórza. To spotkanie powinno ostatecznie rozwiązać twoje wątpliwości — powiedział.

Kohorta szła dalej. Ludzie na wozach jadących po *Vico longo* usuwali się na bok, widząc zbliżającą się kolumnę żołnierzy. Na twarzach woźniców zaskoczenie przeplatało się ze strachem. Wszyscy w Rzymie wiedzieli już o armii Oktawiana stacjonującej pod murami miejskimi, teraz musiano kojarzyć ten fakt z nocnym marszem ulicami miasta. W którymś momencie do uszu młodego wodza dotarło jego imię wymawiane szeptem i co najmniej raz usłyszał stłumiony okrzyk zachęty.

— Widzisz? Naród także jest z tobą. Senat nie odważy się na otwarty sprzeciw wobec ludu, wie bowiem, że i ludzie odpowiedzieliby sprzeciwem — zauważył Mecenas.

Na potwierdzenie tych słów w kilku insulach przy drodze zapaliły się światła, ktoś wyglądał przez okno. Pomimo obecności żołnierzy trzymających ręce na główkach gladiusów gdzieś wychodzono nawet przed domy i powtarzano okrzyki uznania wznoszone przez woźniców.

— Czas, żeby ktoś w końcu wziął się za tych ślamazarnych senatorów!

— Doskonała robota, Oktawianie! Naprawdę jesteś godnym synem Cezara!

— Pokaż im!

— Będę na ciebie głosował, jeśli dopuszczą twoją kandydaturę na konsula!

— Przytarłeś rogów Antoniuszowi! Pora na Cyclerona i pozostałych staruchów!

— Dzielny z ciebie chłopak! Pomścij swego ojca!

— Cezar był najlepszy! I zdaje się, że dokonał dobrego wyboru!

Oktawian pomyślał, że triumfujący dowódca na kwadrydze jadąc ulicami Rzymu, musi doświadczać dokładnie tego, co on czuł w tej chwili. Spojrzał na swoich najbliższych przyjaciół. Uśmiechali się do niego, bo doskonale wiedzieli, co dzieje się teraz w jego sercu. *Ludzie chcieli właśnie jego.*

Dotarli na szczyt wzgórza, skąd rozciągał się widok na ciemny zarys budynków *Urbis*. Po wielu miesiącach nieobecności chłopak z trudem rozpoznawał najważniejsze miejsca Rzymu. Instynktownie zaczął szukać

wzrokiem Teatru Pompejusza i kurii tego samego imienia, ale mógł się tylko domyślać, w której części miasta mniej więcej powinny się znajdować. Jednocześnie wzdrygnął się ogarnięty nagle dziwnym poczuciem upojenia; u jego stóp leżało centrum władzy, do którego nie dopuszczano go przez ostatnie miesiące. Miał przed sobą miejsce, z którego od zeszłorocznych id marcowych wysyłane były i do którego powracały wszystkie impulsy sterujące jego egzystencją. Każda jego myśl krążyła wokół Rzymu, celem każdego jego ruchu był Rzym, każde zagrożenie pochodziło z Rzymu i cała jego przyszłość wiązała się z Rzymem. Teraz nareszcie tutaj był: oddychał zatechłym fetorem odpadów i ekskrementów, pośród chaosunocnej krzątający podziwiając majestatyczność i wyjątkowość tego miasta.

Mecenas wprowadził Oktawiana, Agrypę i Rufusa do eleganckiej posiadłości. Przeszli przez westybul, atrium i korytarz, by dotrzeć do małego ogrodu, który otaczał murek porośnięty bluszczem. Na ławce siedziało tam dwóch mężczyzn odzianych w *togam praetexam*. Zobaczywszy nadchodzących, podnieśli się pospiesznie. Nocne powietrze było wypełnione łagodnym sierpniowym ciepłem.

Mecenas przedstawił sobie zebranych.

— Oktawianie, to twoja baza na nadchodzące dni. A oto twoi pierwsi goście. Pozwól, że ci ich przedstawię: pretor miejski Marek Galiusz i *praetor peregrinus* Gajusz Krassus. Są komendantami obecnych rzymskich garnizonów.

Oktawian uścisnął im ręce, posyłając przyjacielowi spojrzenie pełne podziwu.

Udało mu się, na bogów! Naprawdę mu się udało!

Oktawia próbowała sprawiać wrażenie zadowolonej, kiedy matka po nią przyszła. Oktawian przybył z orszakiem klientów i kwestujących. Wśród nich było również wiele wysoko postawionych osób. Wszyscy tłoczyli się przed świątynią Westy i w domu westalek, gdzie obie kobiety ukrywały się w czasie marszu Oktawiana na Rzym. Podczas gdy Etain kończyła ją malować i nakładała jej *stibium* na brwi oraz niebieski pigment wokół oczu, jej pani próbowała przekonać samą siebie, że *musi* być szczęśliwa. Wszystko wskazywało na to, że jej brat jest o krok od realizacji pierwszego ważnego celu, a ona wkrótce stanie się jedną z najbardziej wpływowych matron

w Rzymie. Dowiedziała się, że Marcellus uzyskał przebaczenie Oktawiana, mimo że knuł przeciwko niemu i sprzeciwiał się jego kandydaturze na konsula. Jej córka zaś była silna i zdrowa.

Wszystko zdawało się zmierzać ku lepszemu. Dlaczego więc była smutna? Nie musiała sobie odpowiadać. Była w pełni świadoma tego, że nigdy nie doświadczy szczęścia, jakie stało się udziałem kobiety Gajusza Cherei. Tamta bowiem żyła u boku swego mężczyzny i mogła wychowywać syna, z którym Oktawia tak bardzo pragnęła przebywać.

— Mogłabyś się pospieszyć, Etain? — poganiała służkę zniecierpliwiona Atia. — Oktawianowi tak trudno było znaleźć wolną chwilę między kolejnymi spotkaniami. Na zewnątrz tłoczą się całe rzesze pragnące oddać mu cześć!

Wyzwolenica, wiedząc, że jej pani przy specjalnych okazjach zawsze z upodobaniem każe sobie rysować sztuczny pieprzyk na policzku, tym razem także zamierzała w ten sposób upiększyć jej twarz. Oktawia zatrzymała dłoń Etain. Podniosła się w nadziei, że wśród straży przybocznych Oktawiana natrafi na wzrok Gajusza, byłoby jej bowiem trudno powstrzymać łzy, a te z kolei mogłyby rozmyć jej makijaż. Wyszła z pokoju, który przełożona westalek oddała do jej wyłącznego użytku, i korytarzem biegnącym wzdłuż kolumnady dotarła do bramy wejściowej. Gdy stanęła na progu, jej oczom ukazał się rozradowany tłum skandujący imię Oktawiana. Żołnierze uformowali kordon wokół podium świątyni, na które wszedł jej brat, i przepuszczali pojedynczo tych, którzy przyszli po prośbie, dając dostęp wyłącznie obywatelom noszącym *togam praetextam*.

Dwóch legionistów podeszło do niej i do Atii, by odprowadzić je w kierunku świętej budowli. Zgodnie z wolą Oktawiana spotkanie po wielu miesiącach rozłąki miało się odbyć na oczach ludzi. Chciał pokazać, że jedną z udręk, na jakie został skazany, była konieczność ukrywania własnej rodziny z obawy o jej bezpieczeństwo. Oktawia wiedziała, że bierze udział w swoistym przedstawieniu, ale nauczyła się już, że teatr jest istotą polityki.

Podchodząc do podium, nie mogła się powstrzymać i rozglądała się wokoło, szukając wzrokiem Gajusza. Dostrzegła go w grupie żołnierzy otaczającej mężczyznę z rękoma związanymi sznurem. Szybko przywoławszy samą siebie do porządku, spojrzała w innym kierunku. Nie była pewna własnych reakcji, a pokazując się publicznie, musiała się kontrolować. Będzie miała jeszcze czas na płacz, niech tylko zakończą się

uroczystości. Uśmiechnęła się, gdy w końcu jej oczy spotkały wzrok brata. Dostrzegłszy ją i matkę, Oktawian rozłożył szeroko ramiona, a surowa twarz człowieka, który przejął kontrolę nad miastem, złagodniał. Wyglądał jak prawdziwy zdobywca i może istotnie nim był, mimo że podbił *Urbem* bez przelewu krwi – dla Oktawii był to dodatkowy powód do dumy. Osobistą satysfakcję czerpała zaś z faktu, że w pewnym stopniu i ona przyczyniła się do sukcesu brata.

Atię z kolei ogarnęła bezgraniczna radość. Rzuciła się z otwartymi ramionami w stronę syna, rozpływała się w zachwycie nad jego dzielną postawą i nie przestawała mówić, co nie do końca przystawało matronie jej pokroju. Oktawia ścisnęła lekko ramię matki, dając jej do zrozumienia, że powinna się zachowywać z większą godnością. Żołnierze rozstąpili się, by zrobić im przejście, ale właśnie wtedy nadszedł Gajusz Cherea prowadzący więźnia. Przez ułamek sekundy ich oczy się spotkały i równie szybko, jakby istniało między nimi ciche porozumienie, uciekli wzrokiem każde w inną stronę.

Centurion odezwał się do żołnierza eskortującego kobiety:

— Legionisto, muszę pilnie pomówić z generałem. A ty, pani — dodał, zwracając się do Atii, gdyż nie okazał szacunku, który należał jej się ze względu na wiek — wybacz, że przechodzę przed tobą, lecz nagłą mnie sprawy dużej wagi, z którymi muszę niezwłocznie zwrócić się do twojego syna.

Żołnierz posłusznie zrobił przejście. Atia – nie mając wyboru – również musiała zejść na bok.

— Dzieli nas parę kroków od Oktawiana, a nie możemy go nawet uściskać — rzuciła z rozżaleniem.

Gajusz wszedł po paru stopniach wiodących na podium niewielkiej świątyni wzniesionej na planie koła. Dach budowli miał kształt stożka z otworem pośrodku, przez który mógł się wydostawać dym unoszący się nad wiecznym ogniem.

Więzień został doprowadzony przed oblicze Oktawiana.

— Generale, oto pretor Krassus. Wpadł nam w ręce dzisiaj o świcie, gdy usiłował się wymknąć z miasta.

Spadkobierca Cezara spojrział na magistrata, lecz nie odezwał się ani słowem. Krassus również milczał, a nawet spuścił wzrok, czując na sobie gorejące spojrzenie młodzieńca.

— To tak mnie wspierasz, Krassusie. — Na jasne oblicze Oktawiana wystąpiło rozczarowanie. — Sprawileś mi ogromny zawód swoją postawą — dodał.

— Ja... wybacz mi, Oktawianie — odpowiedział pojmany.— Krążyły słuchy, że legion Martia Victrix się zbuntował. Dowiedziałem się, że senat zwołał nadzwyczajne posiedzenie i powiedziano mi, abym udał się do Picenum, by tam zgromadzić wojska posiłkowe.

— To ja rozpuściłem pogłoski o rebelii — odpowiedział Oktawian. — Miasto poddało się zbyt szybko. Chciałem się przekonać, na kogo mogę naprawdę liczyć. I widzę, że pomimo naszej umowy wciąż wykonujesz rozkazy senatu...

— No cóż... sytuacja instytucjonalna wciąż jest niejasna. Sam już nie wiem, czym rozkazom powinienem się podporządkowywać — usprawiedliwiał się pretor. — Ty nie objąłeś jeszcze stanowiska konsula, a armia nie dostała jeszcze pieniędzy... Wybacz mi.

— Co do jednego masz rację: sytuacja instytucjonalna rzeczywiście wciąż jest niejasna. Ale postaramy się, by jak najszybciej się wyklarowała — odrzekł sucho Oktawian. Następnie zwrócił się do Gajusza: — Ten człowiek zostaje oczyszczony z oskarżeń. Nie ponosi bowiem winy za to, co zrobił. Roześlij po okolicy żołnierzy i trybunów ludowych, aby ludzie dowiedzieli się, że okazuję łaskę tym, którzy stanęli przeciwko mnie z powodu swego oportunistycznego lub sprzedajności.

Nie mogąc dłużej wysłuchiwać nieszczerých podziękowań Krassusa, zszedł kilka stopni w dół i rzucił się w objęcia matki oraz siostry. Żołnierze ponownie rozstąpili się, robiąc przejście Oktawii i Atii. Nareszcie wszyscy zebrani mogli być świadkami sceny, która zgodnie z oczekiwaniami Oktawiana miała stać się znaczącym elementem jego propagandy. Siłą rzeczy Oktawię dopadły wątpliwości: ile w tym powitaniu było szczerą radością brata, a ile teatralnego gestu skierowanego do wiwatującego tłumu? Z pewnością pomysłodawcą tego przedstawieniabył przebiegły Mecenas. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś się nią posłużył.

— Dziękuję Weście i narodowi rzymskiemu za opiekę, jaką otoczyli najdroższe mi osoby! — zawołał Oktawian, zwracając się najpierw do zebranych, co dało Oktawii ostateczne potwierdzenie jej podejrzeń. Dopiero po tych słowach odezwał się bezpośrednio do matki i siostry: — Musisz wybaczyć mi, matko, dzisiaj wieczorem powitamy się jak należy. Teraz

wszystko, co robię, ma swój konkretny cel, jak z pewnością się domyślasz.

Tyle wystarczyło, by Oktawia poczuła się lepiej. Dla niej najważniejsze było to, że brat zdaje sobie sprawę, iż nie okazał im należytej czułości. Polityka na pierwszym miejscu, a polityką było wszystko.

— Nie musisz się tłumaczyć, mój synu — odpowiedziała pospiesznie Atia. — Udowodniłeś, że wiesz, co robisz. Tego się trzymaj, a przewyższysz swojego ojca... Mam na myśli twojego przybranego ojca! — dodała wesoło.

„Stanowisko matki uległo radykalnej zmianie, odkąd wiele miesięcy temu doradzała mu, aby odrzucił spadek” — pomyślała Oktawia.

Ona również chciała go uspokoić, o ile w ogóle potrzebował takiego uspokojenia.

— Oktawianie, możesz być pewny, że jesteśmy z ciebie bardzo dumne. A ja... — Musiała przerwać. Przed nimi wyrósł kolejny centurion.

— Wodzu, senator Cynceron pragnie wyrazić ci swojeuznanie — odezwał się, gdy tylko Oktawian skierował na niego swój wzrok.

Chłopak jakby nagle zapomniał o obecności rodziny. Na jego znak żołnierz przesunął się, robiąc miejsce słynnemu mówcy. Cynceron również zdawał się ignorować obie kobiety.

— Drogi chłopcze! Tak się cieszę, że cię widzę. Bardzo się o ciebie martwiłem. Żałuję, że nie mogłem na bieżąco udzielać ci rad, o które zawsze tak gorąco mnie prosiłeś — wykrzyknął.

Wódz uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały bez wyrazu. Uścisnął rękę, które senator wyciągnął w jego kierunku teatralnym gestem.

— Jesteś prawdziwym przyjacielem, Cynceronie, *ostatnim* z moich przyjaciół, którzy stawili się tu przede mną. Miałem właśnie wyjść z miasta, za pomerium, aby czekać na wyniki wyborów. Dokładnie tak, jak prawo nakazuje kandydatom w wyborach konsularnych.

Oktawia z trudem powstrzymała uśmiech. Brat był teraz tak wpływowym człowiekiem, że mógł sobie pozwolić nawet na ironię wobec samego wielkiego Cyncerona.

Etain przyglądała się rozkrzyczanemu tłumowi oblegającemu świątynię Westy, szukając wzrokiem Rufusa, lecz w głębi serca miała nadzieję, że zobaczy również Agrypę, choć wiedziała, że powinna stłumić to pragnienie. Nosila dziecko Rufusa. Okazała Agrypie tak wielką pogardę, że

niespodziewała się usłyszeć od niego nawet pół słowa. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że mimo iż była w stanie rozbudzić w sobie miłość do Rufusa, nie mogła się ona równać z tym, co czuła do Agrypy. Do tego stopnia, że chyba nawet wybaczyła mu to, co zrobił.

Niestety, nie dało się cofnąć czasu. Może nawet tego nie chciała. Teraz była kobietą Rufusa. Rosnące w niej życie było tego najlepszym dowodem. Agrypa mógł więc bez problemu wrócić do tej perfidnej, złej kobiety, do Fulwii, dla której stracił głowę i on, i dziesiątki innych mężczyzn w Rzymie, która jednak nigdy nie będzie należała do niego. Ku jej zdziwieniu ta myśl przyniosła jej pocieszenie.

Zobaczyła ich obu – jedynych mężczyzn, których kiedykolwiek kochała. Pojawili się obok Oktawiana wraz z Mecenasem, Lucjuszem Pinariuszem i Kwintusem Pediuszem – cały sztab generalny sekty Marsa Mściciela, nie licząc pomniejszych członków, takich jak choćby ona. Wróciła na próg domu westalek, mając nadzieję, że zauważył ją przynajmniej Rufus. Czekala dość długo, zanim namiestnik Oktawiana zwrócił na nią uwagę. Nie było w tym jednak nic dziwnego: tłum nieustannie rósł, a okrzyki na cześć Oktawiana rozbrzmiewały już na całym Forum.

Odniosła wrażenie, że także Agrypa spogląda w jej stronę, gdy wtem zobaczyła Rufusa schodzącego z podium i przepychającego się w jej kierunku przez kordon żołnierzy i rzeszę gapiów. Odpędziła wszelkie myśli o swoim poprzednim kochanku i postanowiła skupić się tylko na obecnym. Kiedy w końcu wyłonił się z tłumu oblegającego plac przed siedzibą kapłanek Westy, objęła go na powitanie.

— Ależ mi ciebie brakowało, na bogów! — wykrzyknął Rufus na jej widok. — Często o tobie myślałem w czasie wojny. I za każdym razem musiałem się dotykać — dodał nieco ciszej.

Nie takiego powitania się spodziewała. Z pewnością od Agrypy usłyszałaby coś innego... Tak czy inaczej, świadomość, że Rufus zdawał się za nią tęsknić, sprawiła jej przyjemność.

— Ja również bardzo wiele o tobie myślałam. Miałamku temu szczególny powód. — Nie mogła się doczekać, abymu to powiedzieć.

— Ja także mam pewien szczególny powód! — wykrzyknął entuzjastycznie Rufus, całując jej dłonie. — Zdałem sobie sprawę, że jesteś kobietą, która potrafi mi najlepiej dogodzić. Z żadną przez te ostatnie miesiące nie czułem się tak dobrze jak z tobą!

Etain poczuła się rozczarowana, lecz przecież nie mogła oczekiwać, że Rufus będzie jej wierny. Nawet Agrypie się to nie udało. Nie padły żadne obietnice, nic więc dziwnego, że z pełną swobodą zaspakajał swój popęd. Ale cieszyło ją, że te przelotne spotkania utwierdziły go w przekonaniu, iż jest dla niego najlepszą partnerką. Z pewnością wiadomość o tym, że spodziewa się jego dziecka, rozbudzi w nim poczucie odpowiedzialności.

— Domyślam się, że powinnam się z tego cieszyć — zdołała odpowiedzieć przez zaciśnięte gardło.

— Oczywiście, że powinnaś! Nie mogę się doczekać, by wrócić do Rzymu i znowu cię posiąść. Wciąż widzę cię nagą, pełną tej twojej niewinnej zmysłowości, która doprowadza mnie do szaleństwa. Zobaczmy się dzisiaj wieczorem?

— Ależ... oczywiście — odpowiedziała coraz bardziej zakłopotana. Najwidoczniej każdy mężczyzna kochał inaczej. — Tylko że, jak już wspomniałam, chciałam ci najpierw coś powiedzieć.

— Śmiało. Słucham cię.

— Ja... jestem w ciąży — powiedziała, siląc się na uśmiech, i położyła dłoń na wyraźnie zarysowanym brzuchu. Z jakiegoś powodu sądziła, że będzie szczęśliwa, gdy przekaże mu tę wiadomość. Tymczasem wypowiadając te słowa, poczuła w ustach niesmak.

— W ciąży? — Rufus spochmurniał. Zmierzył ją wzrokiem i dopiero wtedy zauważył jej stan, doskonale zauważalny pomimo szala przysłaniającego jej kształty. — Z kim?

— Jak to z kim? Oczywiście z tobą.

— A skąd możesz to wiedzieć? Tych dwóch w domu Antoniusza zabawiało się z tobą zaledwie parę dni przede mną.

Etain była przerażona. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Jak to parę dni? To było kilka tygodni wcześniej. Poza tym kobiety wiedzą takie rzeczy — zaoponowała.

— Ale mężczyzna nie. I kto wie, z iloma innymi baraszkowałam, gdy mnie nie było. Kobieta tak niezaspokojona jak ty, nie potrafi żyć bez seksu...

Zatrzęsała się z oburzenia. Zaciśnęła dłonie w pięści i z trudem powstrzymała się przed uderzeniem go w twarz. Nie miała siły, by cokolwiek odpowiedzieć.

— No i czego teraz ode mnie chcesz? — zapytał podejrzliwie. Po jego entuzjazmie nie został nawet ślad.

— Ja... powiedziała ci o tym, bo myślałam, że ucieszysz się, że zostaniesz ojcem... — wymamrotała. Łudziła się, że jej wytłumaczenie mogłoby go zainteresować, choć jednocześnie sama poczuła, jak absurdalna jest ta nadzieja.

— Nie mam zamiaru być ojcem bękarta. I szczerze mówiąc, brzydziłbym się kochać z ciężarną kobietą — zakończył, odwrócił się na pięcie i odszedł z takim samym pośpiechem, z jakim do niej biegł.

Etain zalała się łzami. Spojrzała w kierunku Agrypy, ale udało jej się zobaczyć tylko zamazane postacie. Ogarnęło ją nagłe pragnienie, by biec do pierwszego kochanka, lecz zaraz potem pomyślała, że wszyscy mężczyźni są jednakowi i żeon także potraktowałby ją jak dziwkę. Być może miałbyku temu większe powody niż Rufus...

Widok Etain podłamał go. Agrypa skierował się w stronę Janikulum, zgodnie z rozkazem otrzymanym od Oktawiana pod świątynią Westy. Był przygnębiony, chociaż odniesione właśnie zwycięstwo powinno go napawać zgoła innymi uczuciami. Usiłował uwolnić się od wspomnienia jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochał, lecz wystarczyło, że spojrzał na nią przelotnie, by powróciły do niego z całą siłą wszystkie obrazy, które tak bardzo starał się wyrzucić z głowy. Miał ochotę odłożyć rozkazy przyjaciela na później, pobiec do niej i powiedzieć, że wciąż liczy na jej przebaczenie. Zobaczył jednak, jak podchodzi do niej Rufus i jak ona wita go z radością. Ponieważ teraz była kobietą Rufusa. Dowiedział się również od Atii, że nie zabrały jej z Oktawią do świątyni, ponieważ obawiały się tłumu – Etain nosiła w swym łonie dziecko. Na pewno Rufusa.

Zbyt wiele wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy, by móc mieć jeszcze nadzieję na jej powrót. Ten rozdział był już zamknięty, dlatego powinien się uspokoić i pomyśleć, co zrobić, by jak najlepiej wykonać powierzone mu zadanie.

Przejechał konno zachodnią część miasta. Towarzyszyła mu centuria z kohorty pretoriańskiej. Minęli mury, następnie Wyspę Tyberyjską i skierowali się w górę po zboczach Janikulum. Po dotarciu pod garnizon kazał powiadomić Kornutusa o swoim przybyciu. Zauważył, że strażnicy, z którymi rozmawiał, są dziwnie zmieszani. W napięciu czekał, aż otworzą mu bramę. Przyszło mu stać przed nią dłużej, niż się spodziewał. Zaskoczyło

go to, tym bardziej że wszyscy żołnierze wiedzieli już o zamiarach Oktawiana. Na spotkanie wyszedł mu centurion *primus pilus* eskortowany przez dwóch legionistów.

— Ave, Agrypo. Czekaliśmy na twoje przybycie — powitał go oficer.

— Ave, centurionie. Gdzie jest legat? Jakies problemy?— odpowiedział, nie schodząc z konia.

— Cóż... teoretycznie nie ma żadnego problemu — odpowiedział zakłopotany centurion. — Ale nie zobaczysz się z legatem. Przynajmniej nie z żywym.

Agrypa wyprostował się.

— Co to ma znaczyć?

— Powiedzmy, że... doszło do pewnej różnicy zdań między nim a oddziałem i... nie chcąc ustąpić, wolał popełnić samobójstwo. Znaleźliśmy go parę godzin temu ze sztyłem wbitym w brzuch. Właściwie zamknęliśmy go w areszcie, w jego *praetorio*.

— Rozumiem. — Agrypa pokiwał głową. — Mam z tego wnioskować, iż została usunięta jedyna przeszkoda stojąca na drodze do realizacji planu i że nie napotkam utrudnień?

— Nie, nie powinieneś, trybunie. Nie powinieneś.

— „Nie powinieneś” czy nie napotkam? — naciskał, chcąc się dowiedzieć, w jakim stopniu będzie zmuszony posłużyć się swoją centurią.

— No cóż... jest kilku oficerów, którzy uważają, że... nie bierz mi za złe tego, co powiem... ktoś chce się tutaj dopuścić kradzieży... I że Oktawian nie zapłaci żołnierzom z własnych pieniędzy, jak twierdzi, lecz ze skarbu państwa. Sądzę jednak, że na szemraniu się skończy i nic więcej się nie wydarzy, ponieważ należą do zdecydowanej mniejszości.

— Dobrze. Wyjaśnij im, że większa część pieniędzy stanowiących skarb państwa to spadek po Cezarze przeznaczony dla żołnierzy. Tak więc ponieważ spadek Cezara został zapisany Oktawianowi, by rozdzielił go między legionistów, nie można tu mówić o żadnej kradzieży. Choć do tego usiłowali was przekonać senat i mordercy dyktatora, jedyni prawdziwi złodzieje, skoro już o tym mowa.

Centurion przytaknął.

— Zgadza się. Jedź za mną, trybunie, poprowadzę cię— powiedział, wpuszczając go w końcu do środka.

Agrypa przekroczył bramę na koniu. Za nim podążali jego ludzie. Gdy

przemierzali drogę pretoriańską, z namiotów rozstawionych po obu jej stronach wychodzili legionieści pragnący zobaczyć człowieka, który przybył, by im zapłacić.

Pełną wyczekiwania ciszę przerwał pierwszy okrzyk:

— Nareszcie!

Zaraz potem rozległy się kolejne.

— Najwyższy czas!

— Niech bogowie chronią Oktawiana, bo tylko on dotrzymuje obietnic!

— Na co czekacie? Dajcie nam je natychmiast!

— Tak, ja też potrzebuję ich niezwłocznie. I tak za długo czekałem!

— Straciłem dziesięć lat swojego życia, walcząc w wojnach domowych.

Nie mam zamiaru czekać ani dnia dłużej!

Okrzyki stawały się coraz bardziej napastliwe. Agrypa zaczął obawiać się kłopotów. Kiedy dotarli do *principiorum* centurion wpuścił go do *sacelli*³⁰, gdzie ukryli zawartość skarbu państwa. Młodzieniec wszedł do wojskowej kaplicy, w której zazwyczaj przechowywano sztandary jednostki. Ilość nagromadzonych tam pieniędzy, złota i precjozów umieszczonych w skrzyniach zaszokowała go. Od teraz miał być za to odpowiedzialny.

— Zarekwiruj wszystkie wozy, jakie tylko znajdziesz, i podstaw je na zewnątrz. Masz na to pół godziny — rozkazał centurionowi, który skinął głową i natychmiast opuścił pomieszczenie. Następnie Agrypa otworzył kilka skrzyń, by sprawdzić ich zawartość. Nigdy w całym swoim życiu nie widział podobnych bogactw.

Gdy wyszedł, na zewnątrz czekały już na niego wozy, a także tłum żołnierzy, którzy zgromadzili się wokół namiotu oficerskiego. Na ich twarzach malowała się dziwna mieszanka radości i niepokoju. Przypominali żebraków, lecz gotowych raczej żądać, niż prosić. Kilku z nich utworzyło nawet kolejkę.

Agrypa odwrócił się w stronę centuriona przewodzącego jednostce, z którą przybył, i rozkazał mu rozpocząć załadunek. Oficer zlecił połowie centurii stanąć w rzędzie, od kapliczki do wozów, i podawać skrzynie z rąk do rąk. Druga połowa ustawiła się w półkolu przed namiotem, by zabezpieczyć przebieg prac.

— I co? Gdzie są pieniądze?

— Gdzie je macie?

— Mówiono, że dacie nam pieniądze!

Agrypa poczuł, że musi zareagować, chociaż zdawał sobie sprawę, iż nie jest urodzonym mówcą. Skoro jednak pewnego dnia miał zostać generałem, prędzej czy później będzie musiał nauczyć się przemawiać do żołnierzy.

Uniósł w górę ręce, zaczekał, aż ludzie ucichną, i zawołał:

— Legioniści! Nikt nie twierdził, że dostaniecie pieniądze od razu! W najbliższych dniach będziecie musieli zgłaszać się kolejno, jednostka za jednostką, na Polu Marsowym, dokąd przeniosło się wojsko generała Oktawiana, i tam każdy z was otrzyma to, co mu obiecano. Jako pierwsze zapłatę powinny dostać oddziały, które były przy Oktawianie od samego początku kampanii i dzieliły z nim wszystkie trudy i znoje wojny przeciwko Antoniuszowi. Wkrótce przyjdzie kolej także na was, nie martwcie się, ponieważ Oktawian pragnie, abyście i wy przeszli pod jego komendę, kiedy zostanie konsulem!

Przemowa została przyjęta ponurym milczeniem. Przez jakiś czas słychać było jedynie ciężkie oddechy żołnierzy podających sobie z rąk do rąk skarb oraz łomot skrzyń układanych na wozach.

— Kłamstwo! — krzyknął ktoś z ostatnich rzędów.

— Tak, dacie je tylko swoim!

— Dlatego my weźmiemy je sobie od razu! W przeciwnym razie nigdy ich nie zobaczymy!

Niektórzy zaczęli występować do przodu. Na szczęście nie byli uzbrojeni. Agrypa zwrócił się do *primi pili*, z którym poprzednio rozmawiał.

— Masz pilnować dyscypliny, centurionie — wycedził.

Oficer po krótkim wahaniu podszedł do *optionis*, zamienił z nim kilka zdań i razem skierowali się w stronę żołnierzy stojących najbliżej wozów. Doszło do szarpaniny. W ruch poszła nawet laska centuriona, która wylądowała na plecach kilku legionistów.

W tym czasie centurion z drużyny Agrypy zameldował o zakończeniu załadunku. Napięcie wciąż rosło. Agrypa przydzielił woźniców do każdego z zaprzęgów i kazał konwojowi ruszyć w stronę bramy pretoriańskiej. Sam wsiadł na konia i przemierzył z powrotem drogę, którą dotarł do *principiorum*. Na twarzach żołnierzy z garnizonu, stojących po obu stronach traktu, nie pozostał nawet cień niedawnej przychylności. Spoglądali to na niego, to na centurię z jawną wrogością. W połowie drogi młodzieniec zauważył nawet, że kilku legionistów trzyma w ręku gladiusy. Potem zobaczył kolejnych, którzy wchodzą do namiotów i wracają z nich zaraz,

dzierżąc broń.

Wtem dostrzegł, że jeden z żołnierzy chwytą za *pilum*. Zaczął śledzić jego ruchy. Piechur wyraźnie szykował się do rzutu. Agrypa czekał, by dotrzeć na jego wysokość, spiął konia, wyciągnął *gladius* z pochwy i zaatakował legionistę. Stojący obok odskoczyli na boki, by nie stanąć na linii uderzenia. Żołnierz z włócznią był zaskoczony, lecz mimo to wziął zamach. Zanim Agrypa do niego dopadł, broń wyleciała z dłoni włócznika, ale chybiła. Młodzieniec uniósł się w siodle, wychylił i wykonał zamaszysty ruch mieczem. Ostrze dosięgło szyi żołnierza, który upadł na kolana, zachwiał się i znieruchomiał. Jego głowa potoczyła się po ziemi i zatrzymała przed trupem.

— Ten nie dostanie już ani jednej sestercji. Chcecie skończyć tak samo czy wolicie odebrać pieniądze za parę dni?— zapytał Agrypa, na tyle głośno, by usłyszeli go wszyscy, którzy stali teraz w osłupieniu wzdłuż drogi.

Dookoła panowała upiorna cisza. Nikt nie odpowiedział, lecz twarze legionistów mówiły same za siebie: wyrażały zdziwienie, strach i szacunek. A przynajmniej tak to odbierał Agrypa.

Przeszedł na czoło konwoju i poczuł, że nie musi już rozglądać się dookoła. Przekonał ich.

EPILOG

Gajusz Juliusz Cezar Oktawian... Gajusz Juliusz Cezar Oktawian... Gajusz Juliusz Cezar Oktawian.

Oktawian rozkoszował się każdą sylabą słów wypowiedzianych przez najwyższego kapłana, a następnie powtarzanych głośno przez skandujący naród, zgromadzony wokół niego z okazji komicjów. Zamknął oczy i sam powtórzył je kilka razy, jakby chciał się upewnić, że naprawdę jest synem Cezara, nareszcie na mocy prawa, a nie tylko za sprawą odziedziczonego spadku.

Niewzłocznie po mianowaniu na stanowisko konsula zażądał bowiem, by uroczyście dopełniono formalności w postaci uchwalenia *legis curiatae*, dzięki czemu adopcja dawała mu już nie tylko prawo do majątku, ale regulowała również jego status rodzinny. Od teraz był pełnoprawnym synem Gajusza Juliusza Cezara, tak jakby był jego rodzonym dzieckiem. Zważywszy, że jedyny syn dyktatora przebywał w Egipcie wraz ze swą matką Kleopatrą, Oktawian nie musiał się bać o swoją pozycję. Całe rzymskie imperium widziało w nim prawowitego spadkobiercę najpotężniejszego człowieka, jaki chodził po tej ziemi, od czasów Aleksandra Wielkiego.

Pozdrowił lud zgromadzony w *saepis* wydzielonych na Polu Marsowym z okazji komicjów centurialnych. Porządku pilnowała armia stojąca w szyku przed obozem, który rozbito tużza Tybrem w związku z odbywającą się ceremonią.

Wojska Oktawiana nadzorowały również przebieg wyborów na stanowisko konsula, do których zgłosiło się tylkodwóch kandydatów. Głosowanie dla obydwu skończyło się spodziewanym, pozytywnym wynikiem. Młody wódz zajmując Rzym, przygotował korzystny dla siebie grunt, unikając konieczności prowadzenia pertraktacji i zawierania kompromisów. Nie musiał dzielić się władzą ze współkonsulem należącym do przeciwnej partii, do czego Cezar był zmuszony, kiedy obejmował konsulat wraz z Bibulusem. Cezarobójcy zostali wyłączeni z gry.

Oktawian przywitał się serdecznie z rodziną i przyjaciółmi, którzy w dużej mierze dopomogli mu w realizacji zamierzonych celów. Uścisnął matkę Atię

i ojczyzna Marcjusza Filipa, ucałował siostrę Oktawię i podał rękę Klaudiuszowi Marcellusowi, po raz kolejny potwierdzając, że mu wybaczył. Wymienił szybkie porozumiewawcze spojrzenie z Gajuszem Chereą, uściskał również Lucjusza Pinariusza, a następnie objął serdecznie Mecenasa, Agrypę i Rufusa. Gdy stali tak we wspólnym uścisku, który miał symbolizować ich niezachwianą przyjaźń, życzył sobie w duchu, by trwała wiecznie.

Brakowało jedynie Kwintusa Pediusza, który właśnie rozpoczął prace nad trzecim, po konsulacie i potwierdzeniu adopcji, celem, jaki Oktawian zamierzał zrealizować przed końcem roku. Młody konsul zaprosił rodzinę i przyjaciół, by towarzyszyli mu w drodze na Forum. W pełni zasłużyli sobie na uczestnictwo w uroczystościach stanowiących zwieńczenie pełnej trudów walki, jakiej podjęli się razem z nim po bolesnych wydarzeniach zeszłorocznych id marcowych. Był to moment najważniejszy, najbardziej wyczekiwany przez wszystkich, którzy kochali Cezara, dlatego Oktawian pragnął, by przeżyli go wspólnie. Maszerował w towarzystwie liktorów oczekujących na objęcie przez niego stanowiska, rozkoszując się myślą o tym, co jeszcze go czeka.

Zaczęli od Poncjusza Aquili, którego Agrypa zabił pod Mutiną. Parę dni przed uroczystościami dotarła do nich wiadomość o śmierci nikczemnego zdrajcy, Gajusza Treboniusza: Ortwin spisał się dzielnie. *Dwóch mniej*. Teraz należało się wziąć za następnych, być może z pomocą Antoniusza, który właśnie złożył propozycję spotkania. Oktawian rozważał możliwość zawarcia z nim układu wbrew nadziejom senatorów, którzy tak bardzo pragnęli ich poróżnić. Zależało mu jednak na tym, by pozostający przy życiu cesarobójcy zostali skazani przez legalny sąd w legalnym procesie. Pragnął, by zapisali się na kartach historii jako przestępcy i mordercy, by nikt już nie śmiał ich nazywać wyzwolicielami, by zginęło bezpowrotne to miano, które przypisali sobie dzięki układom w senacie.

Oktawian dotarł do trybuny Rostrów, gdzie zgodnie z jego wolą miał się odbyć proces morderców, który w ten sposób dotarłby do szerokiej opinii publicznej. Kwintus Pediusz zasiadał na podium na swoim krześle kurulnym w charakterze przewodniczącego obrad sądu. Trwały przesłuchania świadków. Przed nim, u stóp trybuny, ustawiono krzesła, na których zasiadała komisja sędziowska złożona niemal z samych senatorów. Za nimi gromadzili się coraz tłumniej ludzie wracający z zakończonych właśnie komicjów.

Oktawian z satysfakcją zauważył, że ludziom bardzo zależało na uczestniczeniu w rozprawie. Forum było pełne. Ze wszystkich stron pod Rostra napływali ludzie.

— Ave, konsulu seniorze — powitał kuzyna. — Jak obrady?

Pediusz ruchem dłoni nakazał przesłuchiwanemu świadkowi, by zamilkł. Podniósł się z krzesła i podszedł do balustrady otaczającej wykonane z brązu rostry.

— Ave, młody konsulu — odpowiedział z uśmiechem, znajdując niemałą przyjemność w tej wymianie tytułów. — Powiedziałbym, że wszystko idzie po naszej myśli. Jedyny problem polega na tym, że bardzo dużo ludzi oskarża nie tylko faktycznych morderców, których nazwiska znamy od dawna, lecz także wiele innych osób będących w ten czy inny sposób ich współnikami, ale szczerze mówiąc, część zarzutów jest dość naciągana. Na tym etapie powinienem sporządzić listę winnych składającą się z setek nazwisk... Przesłuchanie ich wszystkich zajmie nam kilka dni.

— Nie — odparł stanowczo Oktawian. — *Lex Pedia deinterfactoribus Caesaris* zatwierdzone na twój wniosek przez senat przewiduje, że proces może trwać tylko jeden dzień i że ma dotyczyć wyłącznie osób, które fizycznie dopuściły się czynu. Jeżeli oskarżeni się nie stawiają, a zarzucane im winy zostaną udowodnione, niezwłocznie dokonasz konfiskaty ich mienia i skazesz ich na wygnanie. Resztą zajmie się sekta Marsa Mściciela.

— Jeśli o to chodzi, nie stawiał się żaden z nich. Nawet trybun ludowy Kaska, który przebywał w Rzymie jeszcze kilka dni temu.

— Dobrze. W takim razie zakończmy to. Ogłoś wyrok.

Pediusz przytaknął, wrócił na swoje miejsce i wezwał przewodniczącego komisji sędziowskiej, który po odbyciu z nim szybkiej narady zszedł z trybuny i zarządził głosowanie. Ci senatorowie z komisji, którzy uznali oskarżonych za winnych zarzucanych im czynów, mieli podnieść rękę. W pierwszej chwili wyglądało na to, że wszyscy są jednomyślni, ale kiedy przewodniczący zapytał, kto jest przeciwny, jeden z członków komisji podniósł rękę.

— Co to za jeden? — zapytał Oktawian Pinariusza.

— Nazywa się Sycyliusz Korona. To serdeczny przyjaciel Marka Brutusa.

Przewodniczący komisji skinął głową, dając znak Pinariuszowi, który ponownie podszedł na skraj trybuny i oznajmił:

— Proces przeprowadzony na mocy uchwały senatu zatwierdzającej *Lex*

Pedia de interfectoibus Caesaris zostaje zamknięty. Po zapoznaniu się z oskarżeniami, wysłuchaniu świadków i po głosowaniu komisji, uwzględniając decyzję podjętą większością głosów, uznają winnymi morderstwa dyktatora Gajusza Juliusza Cezara i skazują wyrokiem zaocznym na *aquae et ignis interdictionem*³¹ następujące osoby: Gajusza Kasjusza Longinusa, Marka Juniusza Brutusa, Decymusa Brutusa Albinusa, Gajusza Serwiliusza Kaskę Longusa, Publiusza Serwiliusza Kaskę Longusa, Lucjusza Tiliusza Cymbra, Publiusza Sekstusa Nazona, Kwintusa Ligariusza, Minucjusza Bazylusa, Rubriusza Gallusa, Marka Spuriusza, Cecyliusza Bukolianusa Starszego, Cecyliusza Bukolianusa Młodszego, Pakuwiusza Antystiusza Labeo, Gajusza Kasjusza z Parmy, Petroniusza, Publiusza Decymusa Turulliusza, Serwiusza Sulpicjusza Galbę. Ponieważ Gajusza Treboniusza i Poncjusza Aquili nie ma już wśród żywych, niech będzie wiadomym, że zostali uznani współwinnymi tego przestępstwa.

Oktawian zaczął bić brawo. Rodzina i przyjaciele niezwłocznie poszli jego śladem, podobnie członkowie komisji. Ludzie zgromadzeni wokół zaczęli wznosić okrzyki radości oraz poparcia.

„Sprawiedliwości stało się zadość” — pomyślał młodzieniec. Teraz należało przejść do drugiego etapu zemsty.

Dwóch centurionów pojawiło się w ciemności niczym błyskawice – w pancerzach odbijało się światło pochodni, którą jeden z nich trzymał w rękę, by oświetlić drogę. Jego kompan niósł dokument wyczekiwany z niecierpliwością przez Ortwina i Veledę. Wręczył zwój kobiecie, która niezwłocznie rozpieczętowała go i przyświecając sobie pochodnią, zaczęła analizować jego treść. Po chwili skinęła przytakująco, spoglądając na Ortwina. Dostarczono im glejt, o który prosili.

Jak na ironię, otrzymali go od samego Kwintusa Labienusa. Velede bez problemu rozpoznała jego podpis widniejący w dole dokumentu, w którym znalazła się jedynie wzmianka o „okazicielu niniejszego glejtu”.

— Powiedzieliście mu wyraźnie, że okręt, który ma puścić wolno na otwarte morze, to ten z galionem w formie syreny?

— Oczywiście — odpowiedział jeden z oficerów. — Trzeba go było widzieć. Nie mógł uwierzyć, że otrzymuje kapitulację, miasto, garstkę żołnierzy i Dolabellę na srebrnej tacy i że nie musi przypuszczać szturm.

Będzie mógł się pochwalić Kasjuszowi, że zdobył Laodyceę bez strat w ludziach.

Veledzie niewiele było trzeba, by wyobrazić sobie Kwintusa Labienusa cieszącego się niczym dziecko, miał w końcu ku temu powód: jego wódz tyle czasu bezskutecznie usiłował dokonać tego, co jemu udało się osiągnąć bez żadnego wysiłku. Chwiejny charakter jej dawnego kochanka sprawiał, że łatwo emocjonował się sukcesami i równie szybko popadał w depresję z powodu niepowodzeń, dlatego też była pewna, że bez wahania skorzysta z okazji, nie pytając nawet, kto i dlaczego składa mu ofertę. Nie miała również wątpliwości co do tego, że gdy dopadnie Dolabellę, w mgnieniu oka pozbawi go życia, bo nie będzie umiał sobie odmówić przyjemności złożenia jego głowy przed Kasjuszem.

Zorganizowanie wszystkiego w dwa dni nie było łatwe. Decydujący atak zbliżał się nieuchronnie i należało jak najszybciej przystąpić do ucieczki. Dlatego Ortwin skontaktował się z dwoma najgorzej nastawionymi do Dolabelli centurionami i obiecując im sowitą zapłatę za przejście na jego stronę, a następnie przyłączenie się do Oktawiana, przekonał ich, by udali się do kwatery generała nieprzyjaciół z propozycją otwarcia bram i dostarczeniem Dolabelli w zamian za przepustkę do Europy. Naturalnie w całej transakcji nikt nie wspomniał o Germanach. Wszystko miało wskazywać na to, że inicjatywa wyszła od dwóch oficerów, którzy byli zmęczeni nieudolnością prokonsula.

Następnie Ortwin i Velede udali się do kapitana triremy, który wykazał się wyjątkową odpornością na fanaberie generała, i przekonali go, że jeśli pomoże im wrócić do domu, porzucając nieużytecznego Dolabellę, zaskarbi sobie wdzięczność Oktawiana.

Teraz wszystko było gotowe.

— Jak się umówiliście? Kiedy otworzycie bramy? — zapytał Ortwin dwóch Rzymian.

— Za dwie godziny. Akurat tyle czasu potrzebujemy, by dojść do wrót. Zastęp oblegających będzie czekał pod osłoną nocy nieopodal, niedaleko fosy, i przejmie strażę przy bramie, dopóki nie dotrą kolejne oddziały. My w tym czasie zejdziemy do portu i wsiądziemy na statek.

— Dobrze. W takim razie sądzę, że możemy już iść, zanim ten głupiec, Dolabella, obudzi się i zacznie nam robić problemy — oświadczył Ortwin, po czym przywołał do siebie garstkę ludzi, którzy mu pozostali. Następnie

zwrócił się do dwóch centurionów: — Będziemy na was czekać na okręcie przez niecałe dwie godziny, potem damy rozkaz, by podnieść kotwice. Pospieszcie się więc.

Przy takim układzie sił nie miał najmniejszego zamiaru ryzykować spotkania z Kwintusem. Veleda musiała mu przyznać rację, choć coś w niej wołało, by jeszcze raz spojrzeć w oczy mężczyźnie, który sprawił jej tyle bólu, lecz przecież kochał ją do szaleństwa w odróżnieniu od Ortwina, który tak długo nie potrafił się na to zdobyć.

Germanin prawdopodobnie dostrzegł cień żalu w jej oczach, ponieważ bez słowa ujął jej kikut i powiódł ją za sobą w stronę portu, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że teraz należy do niego. Pokornie poszła za nim, chociaż w innych okolicznościach zareagowałaby sprzeciwem, przyjmując taki gest jako uwłaczający jej królewskiej godności. Tym razem jednak ucieszyła się: potrzebowała stanowczego potwierdzenia, że w pojedynku o nią zwyciężył niegdyś właśnie on, Ortwin. W pewnym sensie po licznych porażkach, które wypełniły jej życie, czuła się teraz jak cenna zdobycz, o którą zabiegało wielu.

Pokonując ciemne, cuchnące, wąskie i wyboiste drogi dotarli w końcu do portu i weszli na statek. Wioślarze siedzieli już gotowi na ławkach. Kapitan zamierzał wykorzystać delikatną bryzę wiejącą w kierunku zachodnim. Veleda oparła się o fałszburtę i spojrzała jeszcze raz na miasto, do którego wkrótce miał wkroczyć Kwintus. Gdy tuż przed świtem dotarli do nich zdyszani dwaj centurionowie, trierarcha wydał komendę odcumowania i okręt oderwał się od molo, kierując się ku wylotowi z portu. Przepłynąwszy obok latarni, bez przeszkód wyszedł w morze.

Ortwin podszedł do niej i objął ją w talii. Szacunek oraz wrażliwość, z jakimi zwykł się do niej odnosić, pozwoliły mu zrozumieć, że chce być sama. Postanowił nie przeszkadzać jej tak długo, jak tego potrzebowała.

— Sądzę że Oktawian może być zadowolony z naszej roboty — powiedział. — Zabiliśmy dla niego jednego cesarobójcę, zgodnie z rozkazem, i skazaliśmy na śmierć Dolabellę.

— Może nie będzie zadowolony, że poświęciliśmy jego sojusznika... — zauważyła Veleda.

— Będzie zadowolony, dlaczego miałby nie być? — Germanin się uśmiechnął. — Zanim się rozstaliśmy, powiedział mi, że gdy Dolabella nie będzie nam już potrzebny, mam mu wystawić rachunek za to, że chełpił się

uczestnictwem w zabójstwie Cezara. W rzeczywistości i on był na liście... —
dodał, spoglądając po raz ostatni na znikające w oddali zarysy Azji.

POSŁOWIE

Powieść opowiada o niespokojnych wydarzeniach rozgrywających się od momentu śmierci Cezara (idy marcowe 44 roku przed Chrystusem) do objęcia przez Oktawiana stanowiska konsula (sierpień 43 roku przed Chrystusem). To pierwszy etap porywającej i niejednokrotnie zaskakującej drogi, na którą wkroczył chorowity osiemnastolatek, by po piętnastu latach dojść do władzy i stać się pierwszym imperatorem Rzymu. Przedstawionych tu zostało siedemnaście niespokojnych miesięcy, w czasie których młody spadkobierca Cezara wkroczył z impetem na scenę polityczną *Urbis*, z powodzeniem torując sobie drogę pośród rzeszy nieustępliwych, wrogo usposobionych rywali, od wielu lat zajmujących najważniejsze stanowiska w państwie, nieprzyjaciół lub sługusów wielkiego dyktatora, którzy starali się zbić kapitał na jego śmierci lub wręcz zająć jego miejsce.

Cyceron, Marek Antoniusz, Emiliusz Lepidus, Decymus Brutus Albinus, Marek Juniusz Brutus, Kasjusz Longinus – to tylko kilku z ludzi, którzy sprawując przez dziesiątki lat władzę, osiągnęli wpływową pozycję, zdobyli klientele i olbrzymie majątki, niejednokrotnie pomagając sobie przejściem do przeciwnego obozu, jak było w przypadku dwóch ostatnich. Nietrudno się domyślić, że żaden z nich nie byłby w stanie przerwać błędnego koła, dzięki któremu kasty zapewniały sobienieprzemijające istnienie, a ich członkowie nie schodzili ze sceny, dopóki nie padli ofiarą wewnętrznych porachunków. Uczynił to dopiero Oktawian, posługując się spadkiem Cezara, czego zresztą nikt się po nim nie spodziewał, i dobierając sobie jako współpracowników grupę podobnie jak on zdeterminowanych, odważnych i pozbawionych skrupułów młodych osób, które później zajęły kierownicze stanowiska w jego rządzie i dokonały tym samym pierwszej zmiany warty w dziejach polityki rzymskiej.

Bogactwo wydarzeń, jakie miały miejsce w ciągu tygodni i miesięcy po śmierci Cezara, zawdzięczamy również dość dużej liczbie źródeł, co jest rzeczą dość niespotykaną, jeśli chodzi o standardy, do jakich przywykli badacze historii Rzymu. O tym okresie pisało wielu starożytnych autorów, a znaczna część tych dzieł zachowała się do dzisiaj. Appian z Aleksandrii pozostawił nam wielką ilość szczegółów, chociaż jego opisy są bardzo

pompatyczne. U Kasjusza Diona znajdujemy liczne wskazówki, z kolei zbiór listów Cyncerona przedstawia nawet różne punkty widzenia uczestników tych wydarzeń: kiedy Galba, cesarobójca, opisuje wielkiemu oratorowi bitwę pod Forum Gallorum, możemy poznać szczegóły starcia widzianego oczami jednego z jego najważniejszych świadków, ze wszystkimi zaletami i wadami takiego ujęcia (w tym przypadku chodzi o dowódcę, który musi usprawiedliwić swoją porażkę). Lecz jednocześnie, z czym spotykamy się także dzisiaj, źródła zawsze są w jakiś sposób nacechowane propagandowo, w jednym lub w drugim kierunku, i ten sam epizod może być opisywany na dwa skrajnie różne sposoby, trudne, a wręcz niemożliwe do pogodzenia ze względu na fakty i sposób ich przedstawienia. Z drugiej strony właśnie ta mnogość daje narratorowi swobodę w przedstawieniu jego historii, w przeciwnym razie mielibyśmy do czynienia ze zwykłą kroniką wydarzeń. A to dopieropoczątek. Opowieść o tym, jak Oktawian wraz ze swymi przyjaciółmi wspinał się po kolejnych stopniach władzy, jest pełna politycznych intryg, bitew, walk, zdrad i karkołomnych misji, które staną się tematem kolejnych książek poświęconych drużynie Niezwycięzonych.

Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

[Przypisy](#)

-
- 1 *magister equitum* (łac.) – dowódca jazdy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- 2 legion XIV Gemina Martia Victrix – rzymski legion zwerbowany przez Augusta w 41 r. p.n.e. Łaciński człon „Gemina” („bliźniak”) nawiązuje do faktu utworzenia legionu poprzez połączenie dwóch istniejących wcześniej jednostek. Człon „Martia Victrix” („zwycięzca wojenny”) został dodany przez Nerona po zwycięstwie nad Boudiką.
- 3 *propraetor* – w starożytnym Rzymie pretor, którego władzę przedłużono po zakończeniu rocznej kadencji (najczęściej namiestnik).
- 4 *pontifex maximus* (łac.) – najwyższy kapłan w starożytnym Rzymie.
- 5 *patres conscripti* (łac.) – dosł. „ojcowie spisani”; wyrażenie używane na określenie senatorów senatu rzymskiego.
- 6 *fumigum* (łac.) – czernidło do oczu.
- 7 *lex curiata* (łac.) – ustawa zatwierdzająca władzę dyktatora.
- 8 *insula* – dom czynszowy w starożytnym Rzymie.
- 9 *rogator* (łac.) – urzędnik zbierający głosy.
- 10 *Commentarii de bello Gallico* (łac.) – *O wojnie galijskiej*, pamiętniki Juliusza Cezara.
- 11 *porta praetoria* (łac.) – główna brama rzymskiego obozu wojskowego.
- 12 *auxilia* (łac.) – jednostki posiłkowe w armii rzymskiej.
- 13 *praetorium* (łac.) – siedziba wodza lub dowódcy w rzymskim obozie wojskowym.
- 14 *tribunus laticlavus* (łac.) – trybun wojskowy, pułkownik, pierwszy zastępca dowódcy legionu.
- 15 *tribuni angusticlavii* (łac.) – pięciu młodszych trybunów zajmujących się administracją w legionach.
- 16 jeźdźcy – tak nazywano ekwitów, ponieważ symbolem przynależności do stanu ekwickiego był koń (łac. *equus*).
- 17 *cornicen* (łac.) – trębacz.
- 18 *vitignum* (łac.) – kij z drewna winogronowego.
- 19 *pilum* (łac.) – oszczep rzymski.
- 20 *testudo* (łac.) – dosł. żółw; rodzaj formacji obronnej w legionach rzymskich.
- 21 *agmen quadratum* (łac.) – szyk kwadratowy w czasie marszu.
- 22 *cingulum* (łac.) – skórzany pas rzymski z kilkoma szerokimi rzemieniami zdobionymi metalowymi ćwiekami, mający formę fartucha osłaniającego brzuch wojownika.
- 23 *contubernium* (łac.) – najmniejsza zorganizowana jednostka w armii rzymskiej; składała się z ośmiu legionistów.
- 24 *pugio* (łac.) – sztylet rzymskiego legionisty.
- 25 *principia* (łac.) – kwatera główna znajdująca się w centralnym punkcie obozu.
- 26 *porta decumana* (łac.) – brama tylna w rzymskim obozie.
- 27 *Via principalis* (łac.) – jedna z dwóch głównych dróg w rzymskim obozie.
- 28 *quaestorium* (łac.) – strefa w rzymskim obozie wojskowym przeznaczona dla kwestorów.
- 29 *aerarium* (łac.) – skarbiec rzymski.

[30](#) *sacellum* (łac.) – kapliczka.

[31](#) *aquae et ignis interdictio* (łac.) – dosł. „pozbawienie wody i ognia”.